



# MAXIME CHATTAM ILUZJA



NAJNOWSZA POWIEŚĆ AUTORA KULTOWEJ TRYLOGII ZŁA

# MAXIME CHATTAM ILUZJA



Z języka francuskiego przełożyła  
Joanna Kluza

Czytanie, podobnie jak pisanie, wymaga porzucenia rzeczywistego świata. Czy jest coś lepszego niż owinięcie się kokonem muzyki, by ułatwić sobie zadanie?

Oto najważniejsze albumy, które towarzyszyły mi w wymyślaniu tej opowieści:

Bates Motel Chrisa Bacona,  
Doctor Sleep Newton Brothers,  
Basic Instinct Jerry'ego Goldsmitha,  
Dark Bena Frosta.

Nieodłączna playlista w Val Quarios – odtwarzajcie ją sobie przy czytaniu.

A jeżeli chcecie zakończyć lekturę tej powieści zgodnie z tym, jak ją pisałem, od rozdziału 75.: Doctor Sleep, pozycja numer 36 (We Go On), w kółko, aż do ostatniego wersu...

Powodzenia.

Mojej żonie Faustine,  
która pozwoliła mi odróżnić  
iluzję od szczęścia

„Wielkie kłamstwo o nieśmiertelności osobowej niszczy wszelki rozsądek, każdą naturę w instynkcie. Wszystko, co w instynktach dobroczynne, wspierające życie, stanowiące gwarancję przyszłości, budzi odtąd nieufność. Życ tak, że już nie ma sensu żyć, to staje się teraz sensem życia...”

„Nazywam zwierzę, gatunek, indywiduum zepsutym wtedy, kiedy traci swoje instynkty, kiedy wybiera i preferuje to, co dzieje się ze szkodą dla niego”.

Antychryst,

Friedrich Nietzsche1

# Plan Val Quarrios



Plano Sanfelippo

# Prolog

W sali czuć było świeży воск i użyte do dekoracji drewno; aksamitne siedzenia zdążyły przesiąknąć wszystkimi możliwymi zapachami korzystających z nich gości, a reflektory swoim ciepłem pomagały im się rozprzestrzeniać, nasilały je, wydobywając najsubtelniejsze akcenty: bukiet pudrów do makijażu, lotion kostiumów i wszelkie możliwe, niemal nieuchwytnie wonie, jakie mogły się wydobywać zza kulis. Uderzająca do głowy alchemia teatralnych aromatów, które już odpowiednio nastrajały publiczność oczekującą z niecierpliwością na podniesienie kurtyny.

Widzowie drżeli i przebierali nogami, zjednoczeni wspólnym, odrobinę podniecającym poczuciem przynależności do wybrańców, szczęściarzy, którzy zasłużyli na swoje miejsca dzisiejszego wieczoru. Lucien Strafa dawał bowiem popisy bez obwieszczeń, bez reklam w gazetach ani nawet w radiu, występował bez afiszów. Należało być czujnym, znać kogoś, kto o nim słyszał, poczta pantoflowa wystarczała, by sala pękała w szwach, bilety na każdy spektakl sprzedawały się na pniu.

Cieszył się sławą największego magika, jaki kiedykolwiek pojawił się na scenie. Krążyły nawet słuchy, że odnosił sukcesy daleko poza granicami Francji, w Nowym Jorku czy Las Vegas, w Tokio czy bodaj podobno, pomimo napięć w stosunkach dyplomatycznych, w ZSRR.

Nagle lampy zgasły, zduszone niedopałki wylądowały na podłodze, po czym w grobowej ciszy rozsunała się kurtyna.

Lucien Strafa tkwił pośrodku sceny, ogromny w swym czarnym kostiumie, odwrócony plecami do publiczności, z ramionami w górze, z zaciśniętymi pięściami.

Dopiero po dziesięciu sekundach sala uświadomiła sobie z równoczesnym westchnieniem zdumienia, że magik płynie nad parkietem; podeszwy jego butów od desek podłogi dzieliło co najmniej dwadzieścia centymetrów, podczas gdy on utrzymywał idealną równowagę.

W dodatku w smugach światła, w których tańczył dym, nie był widoczny żaden kabel.

Następnie Strafa otworzył dłonie niemal gniewnym gestem, a wtedy wszystkie reflektory wybuchły, zasypując scenę okruchami szkła, i rozległ się zbiorowy okrzyk osłupienia, który zdradzał jednomyślne zaskoczenie.

Po chwili Strafa dotknął ziemi i powoli opuścił ręce. Knoty lamp olejowych zapaliły się równocześnie, aż za magikiem powstał mur wypełniający całe tło, ich blask zaś odbijał się w kwadratowych lustrach, toteż w ciągu kilku sekund utworzyły ogromne drgające okno rzucające bursztynowe i srebrne błyski.

Obraz Luciena Strafy powielał się w nim prawie w nieskończoność.

Tymczasem prawdziwy magik odwrócił się twarzą do swych wieczornych widzów.

Był młody, nie skończył jeszcze trzydziestu lat, hebanową czuprynę zaczesał do tyłu, miał zapadnięte policzki i wystający podbródek. Jednak charyzma, magnetyzm błyszczących źrenic nie wynikały z wieku. Osoby, które liczyły na to, że przyciągną jego spojrzenie, spuszczały wzrok, gdy popatrzył w ich kierunku. W sposobie, w jaki wybałuszał oczy, aż stawały się olbrzymie, okrągłe i płonął w nich ogień, kryła się jakaś postać powściąganego szaleństwa i wyostrzonej determinacji, kiedy wpatrywał się w człowieka dłużej niż przez parę sekund. Wywoływało to uczucie niepokoju, tak jakby jego szaleństwo mogło być zaraźliwe, gdy zaś wreszcie się cofnął, aby prześwidrować wzrokiem znajdującą się przed nim ciemną czeluść, pierwsze rzędy wydały westchnienie ulgi.

Unióśł lewą rękę w zwolnionym tempie, w dziwnej pozie, a wkrótce po niej prawą – zdawały się dryfować w niewidzialnej cieczy, po czym to samo zrobił z nogami i wzbił się niesiony prądem, którego nikt nie był w stanie zobaczyć, poszybował ponad pół metra w górę. Lewitował i tym razem przypominał ciało, które płynie po widmowej rzece.

Zdębiała publiczność wstrzymała oddech.

Lampy olejowe rozbłysły mocniej, aż w lustrach jał się odbijać oślepiający mur, godny słońca w samym środku letniego popołudnia. Strafa zaś sunął w tym złocistym bulionie, nieuchwytny kształt, a każdy z obecnych na sali był zmuszony osłonić twarz ramieniem, kapeluszem albo szalem.

Nagle lampy znów roztaczały swój naturalny blask, chociaż tłum jeszcze nie otrząsnął się z szoku po tej iluminacji.



Strafy już nie było. Nigdzie.

W pobliżu drzwi, za plecami widzów rozległy się głosy, a gdy każdy z siedzących się odwrócił, ujrzał Luciena Strafę, który schodził lekkim krokiem, pewny siebie, środkowym przejściem.

Obrzucał siedzących najbliższym oszłamiającym spojrzeniem, a każda kobieta i każdy mężczyzna, do których się zbliżał, głośno przełykali ślinę, oddychając szybko. Strafa wyraźnie kogoś szukał.

Widzowie zajmujący miejsca niedaleko przejścia zaczęli wstawać, zasłaniając usta i nosy.

Odór prędko się rozprzestrzenił.

Kwaśny. Przenikliwy.

Za magikiem ciągnęła się woń siarki.

Zastygł przed jakąś sztywno wyprostowaną kobietą, która zdawała się patrzeć nań wyzywająco, bo ośmielił się ją zaskoczyć. Strafa nie spuszczał z niej wzroku, kąciki ust uniosły mu się w okrutnym grymasie. W półmroku biel i czerń jego oczu osobliwie się mieszały.

Pochylił się ku kobiecie i tak mocno obnażył zęby, jakby zaraz miał ją pożreć. Z języka trysnęły mu płomienie, toteż zgromadzeni cofnęli się ze strachu. Strafa zaśmiał się z zadowoleniem i wrócił na scenę wśród szmeru wyleknionej publiczności. Mężczyzna w pełni zasłużył na swoją reputację. Wyjątkowy. Przerazający. Niezrównany. Świat był podzielony na pół: na tych, których Lucien Strafa oczarował swą tajemniczością, i resztę. Powróciwszy na scenę, magik ponownie zaczekał, aż zapadnie cisza. Napięcie było namacalne. Do czego jeszcze jest zdolny? Jak on to robi? A przede wszystkim: jak daleko się posunie?

Skoncentrowawszy na sobie ponownie całą uwagę, splótł dłonie na brzuchu i skłonił głowę. W całkowitym skupieniu. W ciągu długiej minuty oczekiwania, obawiając się najgorszego, mężczyźni i kobiety ścieśnili się nieco bardziej, mimo wszystko zafascynowani.

Następnie Strafa powoli, bardzo powoli zadarł podbródek i zamknął oczy. Podłoga zadrżała, rozległ się głuchy ryk, pomruk, który dobiegał z daleka, z trzewi ziemi i narastał. Z ust wielu osób wydobył się krzyk. Szklane klosze lamp po bokach mrugały, kurtyna łopotiała gorączkowo, składane siedzenia skrzypiały, kapelusze spadały na podłogę, zrodzony w czeluściach pomruk ciągle się nasilał. To nie mogło być metro, to było dużo potężniejsze, głośniejsze i bardziej zatrważające. Powstało zbiorowe

wrażenie, że zaraz pod ciężarem jakiejś ogromnej masy teatr się zawali, nastąpi przerwanie fundamentów i wszyscy zostaną pogrzebani.

Strafa otworzył oczy, rozłożył ramiona, pstryknął palcami i wtedy głęboki łoskot natychmiast umilkł, lampy olejowe rozbłysły jasno, a kurtyna opadła, zamykając pierwszy pokaz.

Tak narodziła się legenda Luciena Strafy. Największego magika, jaki wystąpił przed śmiertelnikami.

Ludzie w pierwszych rzędach krwawili z nosów, wodząc błędnym wzrokiem, niemal ze zgrozą.

Był to ledwie początek przedstawienia.

# 1.

„Mówi się, że miłość trwa trzy lata, że to w zupełności wystarczy, by przejrzeć na wylot drugiego człowieka. Między nami trwa to już ponad siedem lat, a ja mam dość krążenia wokół ciebie jak satelita”.

Te dwa zdania go prześladowały.

Słyszał je bez końca na widok każdego plakatu przedstawiającego kobietę, przy każdym spojrzeniu wymienionym z mijaną dziewczyną, jak tylko jakaś piosenka z jego playlisty przywodziła mu na myśl wspólnie spędzone życie. W rzeczywistości zdania te były niemal pozbawione sensu, pasowały co najwyżej do serialu albo w ostateczności do powieści. Zresztą Hugo podejrzewał, że jego przeładowany frazesami albo skrótami umysł sam byłby zdolny do spłodzenia podobnych, gdyby napisał na temat rozstania, ale od wielu miesięcy już w ogóle nic nie pisał.

Jednakże tamtego feralnego dnia właśnie dokładnie to mu powiedziała. Pamiętał każdą intonację, najdrobniejszy oddech. Prawdę mówiąc, słycać było tylko jeden oddech, Lucie. On swój wstrzymał. Stał z zapartym tchem, tak jakby zaczerpnięcie powietrza miało sprawić, że ta chwila nabierze realności, a jeśli zdołałby umrzeć, to by się nie wydarzyło, słowa nadal byłyby ulotnymi kształtami bez wpływu na jego świat.

W końcu napełnił płuca.

Co kompletnie pozbawiło go znaczenia.

Od tamtej pory już nic nie wiedział. Nawet tego, czy jego podstawowe funkcje życiowe są całkowicie spełnione, przemykał przez życie, wszędzie był tylko przelotnie.

Trzy miesiące na opróżnienie, na oddanie wspólnego mieszkania, na szarpanie się o razem kupiony obraz, roślinę. Nie o kota. Hugo jej go zostawił. Nie czuł się już zdolny kochać, nawet kota, a ten biedny zwierzak zasługiwał na coś lepszego.

Trwająca trzy miesiące jazda w dół, chociaż nigdy nie udało mu się osiągnąć dna, Hugo nigdy jeszcze nie czuł się tak nieprzenikniony,

w innych okolicznościach potrafiłyby być z tego dumny. Dostrzegął w sobie taki ogrom pustki, otchłani, że wprawilyby w podziw samego Nietzschego, który kontemplowałyby je w nieskończoność. Tylko czy był to rzeczywiście triumf? Każdy wie, jakie są najwyższe szczyty na Ziemi, a kto potrafi wymienić najdalsze i najgłębsze miejsca? W ciemności nie ma żadnej chwały. Wyłącznie mrok i chłód. Przepych śmierci. Hugo czuł, że wypełnia go śmierć.

Były to trzy najtrudniejsze miesiące, jakich nigdy dotąd nie przeżył. I miały katastrofalny koniec.

Siedem lat związku podsumowanych wymówkami podlanymi okrutnym sosem. Lucie nie chciała być już dla Hugona emocjonalną kulą, orbitować wokół niego i jego wiecznie niespełnionych ambicji, pragnęła innego otoczenia, w którym rozwinęłaby skrzydła. On nigdy nie wpuścił Lucie do własnego świata, nie pozwalał jej się zbliżyć do swego prawdziwego ja, kategorycznie odmawiał zaangażowania się. Nie myliła się co do tego. Wykorzystał własny urok, by trzymać ją całkiem blisko, choć nie dał jej wylądować, zasiać ziarna, wspólnie rozkwitnąć. Teraz zaś, przejrzawszy go na wylot, Lucie zdawała sobie sprawę z tego, że tak jest prawdopodobnie lepiej. Atmosfera otaczająca Hugona była toksyczna.

Skoro słowa te wypowiedział ktoś, kogo kochał, z kim tak wiele dzielił przez siedem lat, to było zupełnie jak naciśnięcie czerwonego guzika w wojnie nuklearnej.

Lucie odeszła, pozostawiwszy po sobie zgliszcza, a radioaktywność jej słów nadal zatruwała go do cna.

Hugo okazał się próżnym egoistą, który nie wątpi we własny wdzięk, by zatrzymać swą zdobycz, przekonany, że wystarczy być, aby ją mieć, nie trzeba nic robić, nie trzeba dawać. Skupiał się wyłącznie na własnym spełnieniu, a przynajmniej na usiłowaniu spełnienia.

Teraz był sam.

Z przerażającym przeświadczeniem nadmiaru. Nie miał nic, aby dać ujście smutkowi. Chociaż skończył trzydzieści cztery lata, jego kariera aktorska utknęła w martwym punkcie, kariera pisarska zresztą też. Był jedynie słowami, których nikt nie słyszy ani nie czyta. Drobne dorywcze zajęcia nie zdałyby się na nic, poza nieustannym przypominaniem mu o jego porażkach. Z czasem utracił przyjaciół. Najpierw tych z Normandii, z dzieciństwa, gdy wyprowadził się tuż po maturze, pełen marzeń o wielkości, potem tych, do których przywiązał się tutaj, w stolicy. Poznał

mnóstwo przelotnych znajomych, „kolegów”, nieudaczników, rywali, utalentowanych ludzi, którzy zapominają. Niewielu zatrzymał. Patrząc wstecz, przyznawał, że tych najlepszych stracił z własnej winy, ponieważ o nich nie dbał. Lucie miała rację. Z każdego robił swego satelitę, nie pozwalając mu się zbliżyć, pozostawiając go na orbicie, nigdy nie dając prawa, by wylądował. Zderzywszy się, odbiwszy się i napotkawszy inne kosmiczne atrakcje, większość się oddaliła. Została tylko garstka osób tego samego pokroju co on, które potrafiły ledwie obserwować się nawzajem z daleka, nie poznając się naprawdę, jedynie się odgadując.

Bolało go, że został porzucony w wieku, w którym normalnie człowiek buduje fundamenty własnego związku. Uzmysłowanie sobie jednak tego, jak bardzo stał się „podłym palantem”, zdruzgotało go. Nigdy nie był zły, nigdy nie miał takiego zamiaru, nie bardziej niż znaleźć się w centrum wszechświata – to się dokonało podstępnie, poprzez drobne przeoczenia, chodzenie na łatwiznę, zdradzieckie karmienie się codziennością pracy nad sobą, kiedy to jego osoba była w centrum uwagi. Stracił z oczu najważniejsze, drugiego człowieka. Gdy się nad tym zastanawiał, właśnie ten aspekt porażających odkryć najbardziej go dobijał. Uświadomienie sobie, że sam siebie napawa wstrętem.

Wobec tego dał sobie ze wszystkim spokój. Absolutnie ze wszystkim. Zostawił tylko płócienny worek marynarski, a w nim ostatnie powiązania z namacalnym światem.

Hugo znalazł ogłoszenie w internecie, na forum dyskusyjnym o muzyce, jednej z tych stron, które długo przeglądał po nocach wyłącznie po to, by w taki czy inny sposób zabić czas. Pewien forumowicz, któremu się zwierzył, że stoi nad przepaścią, podesłał mu ogłoszenie, dostrzeżone na pierwszej lepszej stronie z wiadomościami. Znajdowało się w artykule na temat nietypowych prac na lato. Jakiś ośrodek narciarski poszukiwał złotej rączki. „Odosobnione miejsce, mało kontaktów ze światem zewnętrznym”, wyszczególniono w tekście. Właśnie to skłoniło Hugona, żeby zgłosić swoją kandydaturę.

Odpowiedź już nazajutrz, z prośbą o podanie więcej szczegółów, poruszyła go i to było dziwne. Jeszcze jest zdolny do emocji. Poczł.. ciekawość. Ciekawość to był dobry początek, załazek pragnienia, Hugo zaś siedząc przez cały wieczór na hotelowym łóżku w Montreuil, przetrawiał to upodobanie dla czegoś, co odradzało się powoli. Motywacja pojawiła się równocześnie z niecierpliwością. To było przyjemne. Zadzwonili w ciągu

czterdziestu ośmiu godzin. Bez odrobiny zażenowania nakłamał na temat swoich kwalifikacji. Hugo jest zaradny, trochę majsterkuje, bez trudu potrafi uruchomić kosiarkę albo wdrapać się na drzewo. Dwie kolejne rozmowy telefoniczne, z czego jedna w całości poświęcona jego stanowi umysłu, aby ocenić, czy wytrzyma pięć miesięcy w górach w malutkim gronie, i choć raz doświadczenie aktorskie okazało się przydatne: otrzymał posadę. Wyjazd najdalej za dwa tygodnie.

Po raz pierwszy od ponad trzech miesięcy zdobył się na uśmiech. Umysł już nie pamiętał, jak to się robi, ale twarz wpadła w taki zachwyt, że wyszczerzył zęby.

Kilka dobrze przespanych nocy, tak jakby ta obietnica wreszcie uspokoiła podświadomość. Długie oczekiwanie, podczas którego nie był w stanie czytać, nie potrafił sobie znaleźć innego zajęcia niż zmęczenie ciała sportem i ogłupianie się nijakimi programami w telewizji. Nie miał już nawet dostępu do Netflixu, opłacanego przez jego byłą, ale ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było oglądanie jej imienia na stronie startowej.

Datę wyjazdu podano mu pod koniec tygodnia. Kilka dni. Był gotowy.

Ostatniej doby prawie wcale nie spał. Zastanawiał się, co go czeka, jaki wpływ będzie miało to wygnanie na jego powrót do życia.

Spacer przez hol Gare de Lyon wcześniej rano wywołał lekkie odurzenie, niemal przyływ paniki. Ekscytację. Natychmiast jednak opadła. Odczuwanie pozytywnych emocji przez parę minut go przerastało. Zaniepokoił się tym, trochę, ledwie – nawet lęk okazał się dla niego zbyt skomplikowany. Czy to kiedyś powróci? Z pewnością. Potrzebował czasu.

Być może dystansu.

Kiedy TGV opuścił Paryż, Hugo uważnie przyjrzał się licznym ceniom gromadzącym się u wylotu przejścia podziemnego. Miał wrażenie, że spora ich część należy do niego.

Hugo otworzył oczy, gdy pociąg z piskiem zaczął hamować przed Valence. Na peronie powietrze było chłodniejsze niż w Paryżu. Również bardziej aromatyczne. Prawdziwsze, pomyślał, zanim zdał sobie sprawę, że to on się zmienia. Otwiera się. Zakotwicza się w ziemi, jego emocje kiełkują. Nie podniecaj się, jeszcze dziś wieczorem trafisz do jedenastometrowej klitki bez okna, ze szpetnymi ścianami, i szybko znów dopadnie cię chandra, i będziesz się głowił, po cholere tam pojechałeś!

Nie powstrzymało go to jednak, toteż uśmiechał się trochę głupkowato, rozbawiony: nawet jeśli nie pisze, musi używać wyszukanych słów.

Szpetne? Poważnie? Skoro tylko to nie daje mu spokoju, jest na dobrej drodze.

Pociąg zagłębił się mocniej w Alpy, u stóp majestatycznych kolosów, które wyglądały tak, jakby chciały się schować pod bezkresnymi szarymi, brązowymi albo zielonymi kobiercami – niekiedy wynurzało się z nich sterczące kolano albo łokieć – przykrywającymi je niemal aż po same szczyty, kanciaste twarze zatopione w brodach nieskalanej mądrości i w czuprynach mgły. Wszędzie wokół wznosiło się namacalne świadectwo wieku świata, człowiek czuł się na tej ziemi taki mały, przypomnienie o pokorze, właśnie tego było mu trzeba.

Hugo zastanawiał się, co go czeka tam, wysoko, wśród innych ludzi, z którymi będzie się stykał przez pięć miesięcy. Góry latem wydawały mu się mniej groźne niż zimą. Widziane pod tym kątem, były niemal oazą odpoczynku. Przez telefon ucieszyli się, że go poznają, i obiecali, że wyślą kogoś po niego na dworzec. Jacy byli ci ochotnicy do pustelni?

Pociąg lawirował ostrożnie po zboczach, zanurzał się po kolei w doliny ciasnymi i wilgotnymi tunelami, zatrzymywał na coraz mniejszych stacjach, tymczasem w miarę jak oddalali się na dobre od wszelkich form cywilizacji i zanieczyszczenia środowiska, jednobarwne roślinne dywany przybierały coraz subtelniejsze odcienie. Hugo był zafascynowany krajobrazem, ostrogami, które wyrastały ze stoków, jakby jakiś olbrzym przebił górę na wylot swym kamiennym ostrzem, szpiczastymi grzebieniami, zachowującymi równowagę pomiędzy dwoma wierzchołkami hen, wysoko, chłostanymi wichrami, które jak się można było domyślić, pomimo widniejącego ponad nimi błękitu nieba, musiały być lodowate i bezlitosne. Wszędzie obłądne masy, ukształtowane przez siłę, której mogła dorównać jedynie potęga cierpliwości. Mijane jeziora przypominały łązy uwięzione w zmarszczkach czasu, a w całej tej geologicznej monotonii, której powolność w ludzkim wymiarze była bliska śmierci, namiastkę życia stanowiły na szczęście czarne plamy ptaków albo z rzadka błakającego się w oddali ssaka.

Pociąg znieruchomiał przed budynkiem o bladozielonych okiennicach. Montdauphin-Guilleville. Przemierzywszy część Alp, Hugo dotarł na miejsce. Wsiadł na peron i podniósł głowę. Pośrodku szerokiej niecki, pod urwiskiem, na którym królował fort, jak się domyślił Hugo, wzniesiony przez Vaubana, ciągnęła się mała osada, której dachy były ledwie

widoczne. W razie inwazji kosmitów przynajmniej będzie można się tam schronić, zakpił.

Wysiadł na tej stacji jako jedyny, ale w cieniu budynku czekała jakaś kobieta.

Tańczyła ze zniecierpliwienia albo zakłopotania, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Obróciła twarz ku Hugonowi.

Dotknął stopą chodnika, świdrując ją wzrokiem, i właśnie za sprawą jednego spojrzenia znów wstąpiło w niego życie.



## 2.

Ta kobieta jest całkowicie wolna, nic jej nie trzyma. Jest nieuchwytna, dotarło do Hugona, jak tylko ją zobaczył. Lubił kreślić portrety napotykanych osób, jakby to była powieść. W tym wypadku stworzył obraz nowoczesnej Ofelii, z tym że nie otulał jej całun wody, ona unosiła się na falach życia, promieniała nim, co uwidaczniało się zwłaszcza w jej intensywnie błyszczących oczach. Płonął w nich buntowniczy ogień, ukazując paletę brązów przypominającą jesienną tęczę, tygrysie oko, od głębokiej brunatnej barwy po najjaśniejszy orzech. Wymykające się wszelkim normom płomieniste włosy, ni to blond, ni to kasztan, miejscami niesforne, nie chciały dać się ujarzmić przez wiatr, tocząc własną bitwę. Hugo dostrzegł pojawiający się powoli na jej jasnych wargach wyraz czułości, jakby zarys dołeczków, które nie śmiały pokazać się w pełni, i od razu spodobał mu się sposób, w jaki lekko przechyliła głowę na jego widok. Emanowała z niej fascynująca wielowymiarowość, romantyczna natura pod przykrywką dzikości. Za bardzo popuszczam wodze fantazji, za bardzo mnie poniosło, skarcił się w duchu Hugo, zarzucając na ramię worek marynarski. Podszedł bliżej i podniósł dłoń.

– Hugo? – zapytała odrobinę ochryplym głosem.

Logiczna do bólu.

Mocno uściśnęli sobie ręce. Ona miała nieco ponad trzydziestkę, postawę dziewczyny wychowanej na łonie przyrody, sylwetkę twardej góralki. Cere też, zauważył.

– Witam, jestem Lily. Pański kierowca. To wszystkie pańskie rzeczy? – zdziwiła się. – Zwykle nowi przyjeżdżają z trzema albo i czterema walizkami!

Parsknęła łagodnym i krótkim śmiechem, którego szczerłość przypadła Hugonowi do gustu. Wyglądało na to, że nie ma w niej ani krzty fałszu. W każdym razie tak to postrzegął, pragnął w to wierzyć.

Wzruszył ramionami.

– Podróżuję bez obciążeń.

Był zły sam na siebie, na drugi raz powinien lepiej dobierać słowa.

– Dzięki temu będzie mnóstwo miejsca – oznajmiła Lily, zachęcając, by podążył za nią w kierunku parkingu przed dworcem. – Nie ma pan choroby lokomocyjnej? Bo czeka nas kawał drogi, w dodatku piekielnie krętej, przykro mi, dla pana to długa trasa.

– Nie ma problemu. Ile czasu nam to zajmie?

– Latem jest łatwiej, jakieś trzy godziny pod górę.

– Nie skłamali przy rozmowie kwalifikacyjnej, to naprawdę koniec świata.

– Widzi pan Marsa? Jest tuż za nami.

– Dobrze pani zna okolice?

Pokiwiała głową, potrząsając burzą włosów.

– Jestem instruktorką narciarstwa.

Zatrzymała się przed jeepem wranglerem i otworzyła tylną klapy, umożliwiając Hugonowi wrzucenie rzeczy, następnie wsiadła i związała włosy w koński ogon leżącą na desce rozdzielczej gumką.

Miała sportowy sposób bycia, pozbawiony wahania.

– Pierwszy raz w górach latem?

– To aż tak widać?

Lily roześmiała się uprzejmie.

– Ma pan to wypisane na czole dużymi literami.

– I pomyśleć, że chciałem robić dobre wrażenie przynajmniej przez tydzień...

– Nie ma co się stresować, Hugo. Mogę tak do pana mówić?

– Właściwie nawet bym wolał przejść na ty.

– Wszystko będzie dobrze. Większość pracowników sezonowych już przyjechała, w tym roku mamy spoko załogę, czuję to. Przekonasz się, ogólnie rzecz biorąc nikt tam, wysoko, nie zawraca dupy, wystarczy robić swoje, a zostanie się docenionym. Najczęściej będziesz pracował ze starym Maxem, gość udaje zrzęde, musi tylko trochę pomarudzić, żeby żyć, ale nie jest złośliwy. Życiowa odmiana?

– Dlaczego tak mówisz?

– Większość facetów, którzy stawiają się tu na lato tak jak ty, to albo menedżerowie świrujący po dziesięciu latach w korporacji, co to szukają sensu w życiu i tak dalej... albo ci z marginesu.

– Nie ma trzeciej opcji: po prostu gość, który łapie pierwszą robotę, jaka mu się nawinie, żeby zarobić trochę kasy?

– Człowiek nie barykaduje się w samym środku gór na prawie pół roku tylko po to. I bądźmy szczerzy, pensja nie jest porażająca, na pewno mógłbyś znaleźć coś lepszego. Nie, człowiek zgadza się tu przyjechać, żeby uciec albo z powodu buntu. Ty raczej nie wyglądasz na ekscentryka. Masz delikatne dłonie, jesteś jajogłowym, który chce odmienić swoje życie, przynajmniej chwilowo.

Hugo skrzywił się z podziwem.

– Znamy się od pięciu minut. Czuję się, jakbym był goły.

– Po prostu napatrzyłam się na kandydatów na wygnanie. Nie walą tu drzwiami i oknami.

– Całe życie mieszkasz wysoko w górach?

– W Val Quarios? Nie, wielkoludzie, nie! Za ciasno tam, żeby żyć. Jestem instruktorką narciarstwa od trzech lat. Tuż przedtem byłam w Arcs, to inny rodzaj ośrodka.

Lily bardzo chętnie wduszała gaz, o wiele rzadziej hamulec, zauważył Hugo, ściskając kurczowo klamkę u drzwi przy nieco zbyt szybkim skręcie i nie wiedząc, czy powinien się bać.

Skupił się na rozmowie.

– Czy to nie dziwne zamienić wszystko na...

– Nic? To kwestia motywacji – stwierdziła. – Miałam dość tłumów, pracy na ilość. Czułam potrzebę pobycia sama ze sobą. Trafiła się... okazja, żeby wszystko zmienić, więc z niej skorzystałam.

Wyczuwając pobrzmiwający w jej głosie fałsz, który bezbłędnie rozpoznawał, i spostrzegając, że Lily nie nosi obrączki, zaryzykował:

– Zerwanie albo związek, który źle się zakończył?

Zerknęła na niego z ukosa. Tym razem to ona była zaskoczona.

– Można to tak ująć.

– A jeśli nie tak, to jak?

Cisza. Hugo żałował, że dał się wciągnąć w tę grę, w tej chwili nie dysponował odpowiednią bronią, od trzech miesięcy empatia ani tupet nie były jego głównymi cechami.

Już miał przeprosić, gdy Lily odparła:

– Można to nazwać stratą czasu, zdradą i koszmarnym palantem. Z rodzaju tych bardzo koszmarnych.

– Przykro mi. To nie moja sprawa.

Kolejne zerknięcie z ukosa. Błyskawiczne. Mimo to Hugo wyczuł w dziewczynie łagodność. Jakąś życzliwość, która podziałała na niego niesamowicie kojąco.

– Nie bój nic. Spędzimy na kupie pięć miesięcy, wysłuchamy nawzajem wszystkich naszych kretyńskich historyjek, więc lepiej od razu wyłożyć kawę na ławę. A poza tym szczerze mówiąc, to najlepsza rzecz, jaka od dawna mi się przydarzyła. To znaczy wylądować tutaj, w spokoju, odnaleźć to, co najważniejsze.

– Czy mieszkanie tam przez okrągły rok nie jest zbyt trudne?

– Najwyższy czas zaznajomić cię z Val Quarios. Nie wiem, czy odrobiłeś lekcję przed przyjazdem, ale to raczej nie jest żaden wielki modny kompleks...

Hugo uzmysłowił sobie, że właściwie nawet go nie interesowało, dokąd jedzie, bo sama myśl, że będzie miał dach nad głową i ktoś się o niego zatroszczy, z dala od świata, zapewniała mu zbyt duże poczucie bezpieczeństwa. Lily mówiła dalej:

– Jak się sam przekonasz, to małeńki rodzinny ośrodek, samo dotarcie do niego to już cała wyprawa, którą warto podjąć, często trudno się tam dostać z powodu śniegu, jednym słowem, żaden tam kurort. Za to co do narciarstwa, oferta jest skromna, chociaż urozmaicona, atmosfera przyjazna, nigdy nie ma tłoku na trasach, dużo stałych bywalców, którzy siłą rzeczy się znajdują, w pełni sezonu to mały tajemniczy raj.

– O ile dobrze zrozumiałem, latem będziemy prawie sami?

– Val Quarios jest wysoko, więc mamy szansę korzystać ze śniegu aż do kwietnia. Potem zamykamy do października. Na tym polega minus: ośrodek powstał wraz z boomem na sporty zimowe w latach siedemdziesiątych, podobnie jak mnóstwo innych w tym okresie, z kolei nigdy nie przejął letnich aktywności w latach dziewięćdziesiątych, kiedy to znów nadeszła pora na inwestycje, żeby poszerzyć ofertę, tutaj nic nie zrobiono. I niewiele od tamtego czasu, trzeba przyznać. Przeszarżała infrastruktura, można by wręcz uznać, że to celowe działanie przeciwko nowoczesności. Klienci przestają przyjeżdżać i jeżeli nic się w tym ośrodku nie zmodernizuje, wątpię, by w najbliższej przyszłości przetrwał. Zatem owszem, będziemy zupełnie sami przez nadchodzące miesiące. Żadnych turystów. I nie jest to miejsce z rodzaju tych, gdzie człowiek przypadkiem zabłądzi. Nie spodziewaj się wielu odwiedzin.

Stwierdziwszy, że jak wdusi gaz do dechy, to zdoła przejechać, Lily wymusiła pierwszeństwo z prawej strony. Hugo wcisnął się w fotel.

– Kiedy już to wszystko wiesz, a masz raczej prostą naturę, możesz się czuć dobrze w wysokich górach. Nawet o tej porze roku. Zwłaszcza wtedy. Spokój, kontemplacja, koledzy są w porządku, to znaczy jak człowiek nie polegnie przy rekrutacji.

– Oprócz ciebie są wyłącznie pracownicy sezonowi jak ja?

– Przeważająca większość. Bardzo nieliczni mieszkają tam przez cały rok. Trzeba naprawdę tego chcieć. – Parsknęła śmiechem. – To mały raj, chyba że jesteś maniakiem centrów handlowych i ciągłych imprez, wtedy może cię to dobić.

– Mój typ to bardziej samotna planeta w galaktyce, która mi umyka.

Hugo domyślił się, że Lily nadal się w niego wpatruje. Wolał nie odwzajemniać spojrzenia, żeby przynajmniej jedno z nich skupiło się na drodze.

Gdy minęli rondo, zniknęły ostatnie domy, po czym jeep z rykiem przypuścił szturm na wzniesienie i przeciął las, pierwszy z długiej serii. Hugo stracił ochotę do rozmowy, chciał tylko podziwiać widoki, by uniknąć mdłości, a przede wszystkim pozwolić Lily na pełną koncentrację przy prowadzeniu, rzecz jasna z dużą prędkością. Wkrótce pochłoneła go różnica poziomów, zachwycał się wierzchołkami drzew iglastych poniżej, a powtarzająca się serpentyna, po której wznosili się coraz wyżej, pogrążyła go w przyjemnym odrętwieniu. Obok Lily słuchała muzyki, starej kapeli rockowej, Ten Years After, wyjaśniła, zapytawszy, czy nie ma nic przeciwko temu.

Nie przesadziła: to był prawdziwy etap rajdu. Przyspieszenie po każdym ostrym zakręcie, długie wznoszenie się, potem kolejny ostry zakręt w przeciwnym kierunku i tak w kółko. Lily panowała nad kierownicą, chociaż Hugo nie mógł się opędzić od myśli, że za mocno trzyma się środka szosy – bał się, że nie zdąży uskoczyć, jeśli natkną się na jakiś pojazd wynurzający się z jednego z martwych punktów, których wraz z wirażami i jodłami przybywało.

Jakby czytała w jego myślach, odezwała się uspokajająco:

– To jedyny sposób, żeby dostać się do Val Quarios, i jedyny kierunek, w jakim prowadzi ta podstępna trasa, mogę ci więc zaręczyć, że nikt nam nie wyjedzie z naprzeciwka.

„Podstępna trasa”... To ja mógłbym tak powiedzieć.

Lily podobała mu się coraz bardziej.

Wjeżdżali coraz wyżej. Miasto, przez które tu dotarł, stało się jedynie pióropuszem geometrycznych kształtów i ukrytych kolorów, po czym, gdy pokonali przełęcz, zupełnie zniknęło. Zamiast niego ukazała się seria przyprawiających o zawrót głowy wąwozów, nad którymi górowali, gorączkowo sunąc po wąskiej wstędze asfaltu, i masywnych urwisk, u stóp których Hugo czuł się aż nazbyt kruchy. Prześlizgiwali się z jednego wierzchołka na drugi, ani na chwilę nie przestając się wznosić. Kraina światłocieni, gdzie promienie słońca rzadko padają bezpośrednio, terytorium rozciągniętych kształtów – Hugo się zastanawiał, czy kiedykolwiek dotrą na szczyt. Po przedarciu się przez las o ogromnych drzewach, ze stożkami igieł na zwartym, nieprzeniknionym poszyciu, wreszcie osiągnęli płaskowyż. Już samo utrzymanie przekopu, po którym się posuwali, musiało być mordegą bez końca. Hugo dostrzegł na poboczach plamy mchu, który zaczynał się wdzierać na asfalt, zuchwałę gałęzie, tworzące nad jeepem baldachim. Miał wrażenie, że te niebotyczne jodły się w niego wpatrują, że ktoś obserwuje go z zewnątrz... Ledwie opuścili ten obszar i powrócili na zbocze, po którym zaczęli kręcić kolejne serpentyny, Hugo nawymyślał sobie od idiotów, że coś podobnego mogło mu przyjść do głowy. Las nikogo nie szpieguje. Las nie jest osobą.

Lily nastawiała jeden album po drugim, wyjmując je ze schowka na rękawiczki, co za każdym razem krępowało Hugona, chociaż sam nie wiedział, czy to dlatego, że jej dłoń muskała jego kolana, czy że wtedy przestawała patrzeć na drogę. Funkadelic. Greta Van Fleet. The Raconteurs. Wyraźnie miała szczególne upodobanie do rocka i gitary. Hugo wolał raczej spokojną muzykę, mimo to nie wiedły mu uszy.

Dolina poniżej zaczęła się zamazywać, nie widać było najmniejszego śladu człowieka. Nigdzie. Nic, tylko te skaliste golemy, tytani, których czas przystroił w nieforemne zielone szaty.

Pokonali przerwę między dwiema ostrogami, po czym tuż za ostrym zakrętem wreszcie ukazał się róg budynku. Hugo wyprostował się w fotelu. Nie był pewien, czy pod koniec trochę się nie zdrzemnął.

– Rzeczywiście było warto – rzucił, przeciągając się.

– Jak wszystko pójdzie dobrze, nie będziesz musiał pokonywać tej drogi ponownie aż przez pięć miesięcy, możesz być spokojny.

Po gwałtownym manewrze kierownicą jeep wykonał mocny skręt i wjechał na wąską drogę wewnętrzną, a potem zatrzymał się na

zwirowanym placu urządzonym na cyplu. Mogli stamtąd podziwiać ośrodek, dokładnie naprzeciwko, za pofałdowaną skałą, zza której wyzierała droga. Trzypiętrowe obite ciemnym drewnem ramiona tworzące odwrócone V, pośrodku główny hol z szerokimi oknami, za którymi musiał się rozciągać zapierający dech w piersiach widok, kilka wież przypominających dzwonnice, a po prawej stronie rząd szwajcarskich domków z tarasami u stóp wyciągów narciarskich.

– Twój nowy dom – oznajmiła Lily, siadając na masce.

Urzeczony panoramą Hugo wpatrywał się w bezkresne zbocza ciągnące się pod ośrodkiem. Czuł, jakby powoli wsysała go otchłań... Wolał powrócić na miejsce przeznaczenia. To, co zimą służyło jako trasy narciarskie, teraz było jedynie porośniętym trawą, rozpościerającym się ku górze kanionem, wzdłuż którego sterczały szare pylony. Nie było widać wyciągów krzeselkowych, prawdopodobnie wszystkie zostały schowane w szopach.

Gdzieś wysoko nad nimi rozległ się przenikliwy krzyk jakiegoś drapieznika. Jak wzrokiem sięgnąć, Hugo wszędzie dostrzegał jodły, wystające skały i stromizny. Przyjechałem tu, żeby uciec przed własnymi słabościami, tymczasem otaczają mnie przepaście.

Powietrze działało orzeźwiająco. Podobnie jak widowisko prezentowane przez przyrodę. Jeśli się dobrze zastanowić, było to idealne miejsce do pracy, jaką miał do wykonania nad samym sobą. W rzeczywistości wcale nie przyjechałem tu po to, żeby przed nimi uciec, tylko je pokonać. A należy zacząć od tego, żeby przestać się bać w nich zanurzyć...

Hugo podszedł na skraj cypla. Od ściany oderwały się drobniutkie kamyczki i sturlały po stoku w kierunku rosnącego poniżej lasu. Znów powróciło wrażenie, jakby wciągała go otchłań. Hugo wystawił do połowy stopę nad przepaścią, gotów skoczyć. Gdyby rzucił się do przodu, toby fruwał. Niezbyt długo, ale wystarczająco, by przepełniło go to euforyczne uczucie panowania nad sobą, wolności. A wtedy twoja czaszka rozłupie się o tamtą dużą skałę, rozwali z głuchym, wilgotnym, potwornym trzaskiem i pozostanie po tobie mężczyzna bez twarzy, krew i tkanka mózgowa rozprysnięta po wszystkich okolicznych pniach. Cofnął się, by zaczerpnąć głęboko powietrza. Poczuł, że żyje. W pełni.

– Pięć miesięcy – powtórzył łagodnie. – Pasuje.

Domyślał się wzroku Lily na karku.

– Nie dopadła cię klaustrofobia? – zapytała.

– Nie, wymiary są idealne.

Istotnie ośrodek nie był duży, za to wolny od obecności kogokolwiek, toteż nie wydawał się malutki. Nie licząc paru urwisk, wznoszących się głównie po lewej stronie, całe Val Quarios otaczały drzewa iglaste. Hugo zauważył domek górski albo raczej zameczek, biorąc pod uwagę jego wielkość i przylegającą do niego wieżę. Wyglądał jak skandynawski kościół, którego dokładnej nazwy nie potrafił sobie przypomnieć.

– Co to za posiadłość tam, na dole, trochę na uboczu? George Clooney ma tu swoją rezydencję?

Lily zeskoczyła z maski i usiadła z powrotem za kierownicą.

– W drogę, czekają na nas.

Zmierzając ku niej, Hugo poczuł lekki niepokój.

– Powiedziałem coś nie tak?

Lily pokręciła głową i ruszyła. Nie odrywając oczu od lusterka wstecznego, wyjaśniła:

– To twój pierwszy dzień, pozostanmy przy pozytywnych wrażeniach. Po przyjeździe na miejsce nie wspominaj przy innych o zameczku.

Po czym pokonali w milczeniu ostatni kilometr do Val Quarios.



### 3.

Gdy jeep został połknięty przez ciemną dziurę w drewnianym budynku, pomknęli przez cały parking podziemny – Hugo wciśnięty w fotel – a następnie niemal rozbili się o antyogniowe drzwi w głębi. Hugo rozprostował ciało, które ścierpło podczas jazdy. Neonowe lampy ciągnęły się długim szeregiem ku oświetlonemu słońcem prostokątowi wyjścia, niczym odwrócony do góry nogami pas startowy. Przez moment Hugo poczuł się w tym betonowym zimnym bunkrze jak więzień przytłoczony odległością od światła. Wokół nich zajmowały stanowiska nieliczne samochody, poza tym cały parking był pusty. O zmroku miejsce to musi być upiorne, stwierdził w duchu Hugo. Akurat to świetna chwila na myślenie o takich rzeczach! Kolejny rzut oka na niekończący się rząd masywnych filarów, szereg smutnych lamp, a pozostało mu już tylko przyznać, że wcale się nie mylił: to miejsce rzeczywiście było przygnębiające. Zbyt puste. Właśnie to mnie czeka przez najbliższe pięć miesięcy, dlatego lepiej szybko się przyzwyczać.

Zorientowawszy się, że Lily zabrała się do wyciągania jego torby z bagażnika, wyręczył ją, po czym podążył za nią w stronę metalowych drzwi. Zignorowała windę i ruszyła po schodach.

– Niezbyt często korzystamy z wind – powiedziała. – Wyobraź sobie, że któraś się zepsuje. Na tym pustkowiu nikomu się nie uśmiecha przymusowe zamknięcie i czekanie na przybycie montera.

– Aha, w porządku.

– W sezonie mamy od tego specjalnego gościa, żeby uniknąć jakichkolwiek problemów, ale przez pozostałą część roku nie warto.

Hugo nie mógł się powstrzymać, by nie zadać sobie pytania, czy to się już kiedyś zdarzyło. Świadomość, że jest się nie tylko skazanym na zamknięcie w mikroskopijnej przestrzeni, ale w dodatku zawieszonym w próżni, że wisi się jedynie na linie, w odosobnionym ośrodku na skraju gór, musiała być bolesna. Klaustrofobiczne doświadczenie.

– Zgadzam się z tobą – odparł – schody są dobre na figurę.

Hugo wszedł za Lily na parter jednego z dwóch skrzydeł, w których mieściły się apartamenty Val Quarios. Znaleźli się w holu, przed ladą recepcji, gdzie nikogo nie było. Kiedy Hugo odwrócił głowę, uderzyła go wielkość i oszałamiająca architektura budynku. Skrzydło ciągnęło się na prawie dwieście metrów, nad holem wznosiły się cztery kondygnacje z galeriami, nadając mu charakter więzienia albo jakby retrofuturystycznego hotelu, Hugo sam dobrze nie wiedział. Wszystkie drzwi do apartamentów prowadziły z balkonów, które ciągnęły się bez końca, wysoko. W suficie tkwiły świetliki, dzięki którym ta długa amfilada nie przypominała ślepego hangaru. Wraz z wytartą wykładziną w pomarańczowe wzory, sztucznymi roślinami rozsianymi wszędzie po trochu, aby przynieść odrobinę oddechu, przygaszonymi lampami w stylu vintage i kanapami wepchniętymi w plastikowe skorupy o zaokrąglonych kształtach, wystrój wewnątrz sięgał jeszcze lat osiemdziesiątych, a nawet siedemdziesiątych.

Całość spowijała nabożna cisza.

– Witamy w Dużym B.

– Dużym B?

Ich głosy odbiły się echem w przestronnym holu.

– Owszem, tak się nazywa. Naprzeciwno masz A, na który mówimy Tetryk, został zbudowany jako pierwszy i... Powiedzmy, że to widać. Każdy ma nazwę, sam zobaczysz. Na co dzień tak jest łatwiej, a przede wszystkim dzięki temu w tym miejscu jest więcej życia, to mu nadaje osobowość.

Lily pociągnęła go do wyjścia, dwojga szerokich przeszklonych drzwi w jodłowej ościeżnicy, a wtedy Hugo zdołał nareszcie odetchnąć i dokładnie się rozejrzeć po ośrodku.

Po prawej stronie dostrzegł pas bujnej trawy, a wzdłuż niego przy jednej krawędzi konstrukcje wyciągów narciarskich i rząd domków w stylu szwajcarskim, częściowo ukrytych wśród drzew. Na samym końcu perspektywę zamykał rodzaj nowoczesnego donżonu, którego ramiona przykrywał płaszcz otaczającego Val Quarios lasu.

– Tam dalej jest Wieża. Normalnie sala widowiskowa, kino i dyskoteka w podziemiach. Ale jak się domyślasz, w tej chwili nieczynna. Chodź, pokażę ci to, co nas interesuje.

Hugo wpatrywał się w stojący przed nimi kompleks w kształcie litery V, z górującą nad nim kopułą, którą podtrzymywały ciężkie filary. Zgadywał,

że za filarami kryje się jakaś dziwaczna konstrukcja.

– Czy wysoko w dzwonnicy jest olbrzymi dzwon?

– Nie, to szalona wizja tego gościa, który zbudował Val Quarios. Dzwonek wiatrowy. Przypuszczam, że największy na świecie albo coś w ten deseń. Nie jestem pewna, czy ma homologację, ale właśnie tak tutaj mówią.

– Działa?

– Jest taki ciężki, że trzeba porządnych podmuchów, żeby go uruchomić. Chociaż na tej wysokości ich nie brakuje. Jeszcze go usłyszysz, nie bój nic. Może nawet aż za często. Zwłaszcza że twój pokój nie jest zbyt nisko. Chodź.

Lily wprowadziła go do czegoś, co określiła jako „C”. Podążyli kolejnym korytarzem w tym samym przedpotopowym i odrobinę krzykliwym stylu, minęli urządzonej na ludowo sabaudzką restaurację w drewnie i baranich skórach, sprawiającą wrażenie od dawna zamkniętej. Drzwi wiodły do biur albo skazanych na letnią bezczynność sal zebrań, stref wypoczynku, gdzie dziecięce zabawki i krzesła zen zasłonięto pokrowcami. Na piętra można było się dostać schodami... Człowiek miał się gdzie zgubić.

– Dostanę mapę? – zapytał pół żartem, pół serio Hugo.

– Z początku będziesz zdezorientowany, to nieuniknione, ale zobaczysz, że człowiek szybko się połapuje. Na początku poruszaj się po głównych korytarzach, to serce urzędzeń.

Hugo zdał sobie sprawę z tego, że największe wrażenie robi na nim spokój. Żadnych głosów, żadnych samochodów, żadnego zanieczyszczenia hałasem. Nic, tylko szuranie ich butów po wykładzinie i chrzęst dzinsów bądź rękawów kurtek. Na tak ogromnej przestrzeni, przy tak wysokim stropie kilkudziesięciometrowe galerie ciągnące się z obu stron działały trochę onieśmielająco.

Mijając dobrze zaopatrzone, lecz pogrążony w mroku sklep spożywczy, Lily dodała:

– Jest otwarty codziennie rano oprócz niedziel. Jeżeli czegoś ci potrzeba, wal jak w dym. Simone otworzy ci rachunek.

– Ile nas w sumie jest?

– Reszta zgłaszała się stopniowo od tygodnia, zdaje się, że ty jesteś ostatni. Razem powinien być... jakiś tuzin osób.

– Kiepsko mi idzie zapamiętywanie imion, będę musiał sobie zanotować.

– Mogę cię uspokoić, że jeszcze nie dałam rady wbić sobie do głowy, jak się nazywa dziewczyna, która przyjechała przedwczoraj. Ale to przyjdzie z czasem. Izolacja sprzyja więziom.

Jak się domyślił Hugo, dotarli do serca V, gdzieś pod kopułę, i wkroczyli do dużej jadalni wyposażonej w stoły, krzesła i regały w stylu industrialnym. Lily rozpostarła ramiona.

– To nasza kantyna. Właśnie tutaj spożywamy większość posiłków. Oczywiście możesz przygotować zarcie w pokoju, ale wiedz, że w porze jedzenia zawsze jest tu trochę ludzi, a kucharymy na zmianę. Spiżarnie, chłodnie i lodówki są pełne, więc uważaj, bo jak nie, to w trakcie pobytu przytyjesz dziesięć kilo.

Uwagę Hugona przykuł jakiś ruch, po czym chłopak spostrzegł mężczyznę rozpartego na jednej z kanap naprzeciwko przeszklonych drzwi wychodzących na długą ukwieconą łąkę. Mężczyzna wyprostował się, trzymając w rękach laptop. Przed trzydziestką, twarz okalała mu ruda, dawno niestrzyżona broda, miał okulary i pomimo mocno wystającego brzucha o dwa numery za duży T-shirt. Na koszulce widniała płonąca i śpiewająca czaszka, logo posepnej skandynawskiej kapeli metalowej.

– O, cześć, Lily.

– Hugo, przedstawiam ci Axela.

– Exhella! – sprostował czym prędzej chłopak, podchodząc bliżej. – E-X jak eks i hell jak piekło po angielsku!

Był niemal tak samo szeroki jak wysoki. Wyciągnął do Hugona pulchną dłoń.

– Przepraszam, Exhell, zapomniałam – powiedziała Lily, przewracając oczami.

– To jak Excel, arkusz kalkulacyjny, ale diaboliczny – uznał za stosowne brnąć dalej. – To moje wirtualne imię.

Miał o wiele mocniejszy uścisk, niż pozwalało przypuszczać jego zachowanie.

– To nasz informatyk.

– Nie miałem pojęcia, że ośrodek jest naszpikowany komputerami – przyznał Hugo.

– Potrzeba przynajmniej minimum sprzętu, żeby cały ten bajzel mógł funkcjonować – odparł Exhell. – Prowadzę też stronę internetową i ogarniam rezerwacje. Beze mnie nic tu nie ma.

Lily westchnęła i odciągnęła Hugona.

– Jest tu zaledwie od miesiąca, a już woda sodowa uderza mu do głowy... – stwierdziła z ironią. – Pokażę ci twoją kwatere.

– Fajnie było cię poznać – wtrącił Exhell. – Jeszcze trafi się okazja, żeby pogadać. Mam nadzieję, że jesteś dobry w grach.

Nie dając Hugonowi czasu na odpowiedź, Lily wypchnęła go z sali. Zamknawszy za sobą kolejne z licznych podwójnych, drewnianych drzwi, wspięli się po schodach na drugie piętro, po czym pomaszzerowali korytarzem z pstrą wykładziną, który również ciągnął się bez końca.

– Tutaj jest jak w „Lśnieniu” – wyrwało się Hugonowi.

– Chyba każda nowa osoba, która się tu pojawia, mówi dokładnie to samo. Poza tym, jak tylko w jakimś hotelu panuje trochę dziwna atmosfera, od razu nasuwa się takie skojarzenie... Już prawie jesteśmy. Masz C-dwieście dwanaście. Standardowe dwa pokoje. Wygodne.

– Wszyscy mieszkają w tym budynku?

– Większość, rozmieszczona na dwóch piętrach budynku C i D naprzeciwko, żebyśmy mieli trochę spokoju. Twój najbliższy sąsiad jest po drugiej stronie korytarza, na samym końcu, więc możesz nastawiać wieczorem muzykę na cały regulator i nikogo nie wkurzysz.

Hugo sam nie wiedział, czy to go uspokoiło, czy napęliło lękiem.

– A ty gdzie śpisz?

– Ja? Trzeba mnie odnaleźć, żeby się dowiedzieć – roześmiała się.

Lily wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła drzwi do czegoś, co w ciągu kilku najbliższych miesięcy miało być jego lokum. Duży salon z aneksem kuchennym, a obok tradycyjna góralska sypialnia. Trochę przestarzałe meblowanie, obrazki przedstawiające nieciekawy alpejski krajobraz, ogólnie rzecz biorąc, było niezłe.

– Naturalnie będziesz mógł tu dodać jakiś osobisty akcent – wyjaśniła Lily. – Ale jak mi tu wyjedziesz z plakatami z piłką nożną albo muzyką elektroniczną, spalę tę budę.

Podkreśliła swoją tyradę świdrującym, krótkim, lecz przyjemnym parsknięciem. Hugo zastanawiał się, od jak dawna nie słyszał równie serdecznego śmiechu.

– Gdybym w latach dziewięćdziesiątych miał piętnaście lat, zrobiłbym to – odrzekł, podchodząc do zajmującego całą ścianę okna. – Ale...

Widział stąd przeciwne ramię V, po drugiej stronie łąki. Następnie, nieco na lewo, również obity drewnem budynek, a dalej wspaniałą pustkę doliny, wraz ze zboczem naprzeciwko, niemal rozplywającym się w oddali.

– Rozgość się. Wieczorem o dziewiętnastej, przed kolacją, jest zebranie, odbędzie się w wiszącym salonie na statku matce... Spoko, przyjdę po ciebie. Znajdź mnie za kwadrans siódma w kantynie.

Kiedy drzwi się zatrzasnęły, wszystkie nazwy, wszystkie zdumiewające perspektywy zakotłowały się Hugonowi w głowie. Sam już nie wiedział, gdzie jest. Potrzeba mi porządnego gorącego prysznicza.

Nie potrafił oderwać oczu od naturalnego widowiska, jakie rozgrywało się za oknem. Czy słusznie postąpił, przyjmując tę robotę? Nie był to ten rodzaj zajęcia, które można rzucić ot tak i wrócić do domu wieczorem. Przygnał tu, szukając wszelkich sposobów, żeby uciec od codzienności, teraz zaś, gdy sobie uświadomił, jakie to może mieć konsekwencje, poczuł się odrobinę zagubiony. Życie, które wstępowało w niego, w miarę jak oddalał się od Paryża, a zwłaszcza kiedy zobaczył Lily, znów mu się wymykało. Ta dziewczyna miała na niego zbawienny wpływ. Właśnie dlatego, że sama aż tryskała witalnością. Ta witalność promieniała, skrzyła się w jej oczach, w łatwo pojawiającym się uśmiechu, a nawet w potoku słów, gdy tylko Lily otwierała usta.

– Ale nie w sposobie prowadzenia samochodu! – powiedział na głos. – W tym wypadku można by sądzić, że chce zginać! Szlag...

Świadomość, że co najmniej przez kilkanaście tygodni nie będzie musiał wsiadać razem z nią do auta, wcale nie była niemą.

Hugo odruchowo sprawdził telefon, nie spodziewał się żadnych wiadomości, ponieważ zamknął się w sobie, nie dostawał ich wiele, ludzie już przestali do niego pisać.

Brak zasięgu.

Czy mogłoby to kogoś zdziwić w takiej zabitej dechami dziurze? Ale przecież musi być gdzieś jakaś antena, ośrodek narciarski w XXI wieku nie może się obejść bez telefonów komórkowych. Ze względu na gości to było nie do pomyślenia. Może problem tkwi w moim telefonie, przemknęło Hugonowi przez głowę. Sprawdził wi-fi, też bez powodzenia. A przecież Exhell pracuje na swoim laptopie, gdzieś niedaleko musi się więc znajdować jakaś stacja przekaźnikowa. Pójdę zobaczyć w kantynie...

Na wspomnienie informatyka Hugo zaczął się zastanawiać, czy oni wszyscy są tacy. Jeśli tak, nie będą się nudzić...

Tuż nad sufitem rozległ się szybki, cichy tupot nóg, zaskoczony Hugo aż szarpnął się do tyłu. Szczury?

Niezły początek.

Dwadzieścia tygodni. W razie potrzeby z przedłużeniem o kolejne cztery. Właśnie na coś takiego się zgodził. Nie może wyjechać wcześniej, sam sobie tego zakazał. Nie może sobie pozwolić na jeszcze jedną porażkę. To było wyzwanie rzucone samemu sobie. Musi dotrzeć do końca. A zresztą kto wie, może przeżyje cudowne chwile? Skoro niektórzy wracają co roku, to wyraźny dowód, że to może być dobre doświadczenie. I jeszcze Lily! Ona tu mieszka, więc to z całą pewnością nie jest piekło...

Hugo chwycił torbę. Nadeszła pora opróżnić ją ze wszystkiego i urządzić się w tym miejscu. Teraz to był jego dom.

## 4.

Noc spadła z prędkością walących się na łeb kłopotów.

Było to jedno z ulubionych powiedzonek Hugona, zważywszy na to, że kłopoty zjawiają się szybko jak błyskawica, na pewno szybciej niż szczęście, używał go więc przy każdej sposobności.

Wysoko w górach dzień gasł w okamgnieniu. Już o tym słyszał, sądził jednak, że to tylko takie gadanie. Lecz on niczego nie zauważył, zdążył włożyć swoje rzeczy do szafy i komody, pomknąć pod prysznic – którego trwanie sobie wydłużył, delektując się gorącym strumieniem przynoszącym ulgę ciału obolałemu z powodu jazdy bez końca – a kiedy spod niego wyszedł, na zewnątrz było ciemno. I wcale nie trochę. Czysty atrament, nawet nie rozrzedzony kałużą księżycy albo chociaż nieśmiałyymi błyskami gwiazd, nie, nic z tych rzeczy, nic, tylko głęboki mrok odgradzony czapą gęstych chmur. W tej chwili w oknie bardziej odbijało się wnętrze pokoju, niż widać było przez nie to, co za murami. Hugona zawsze intrygowała zasada działania okien, polegająca na tym, że im bardziej słońce chyliło się ku zachodowi, tym bardziej one skupiały się na tym, co jest w stanie się w nich odbić, zamiast przenikać ciemności. Transparentność przeradzająca się w lustro. Czyżby na zewnątrz, na świecie istniały rzeczy, których lepiej nie oglądać? Które same prawa fizyki wolą ukrywać, pokazując ludziom ich własne światła? Metafora świadomości, która powinna się obudzić, kiedy cienie wypełzają ze swojej nory?

Zbyt dużo interpretacji... jak zawsze dochodził do wniosku Hugo.

Tutaj dzień bladł szybko z powodu wzniesienia. Wysokie szczyty pochłaniały słońce, tymczasem ostrogi i doliny natychmiast rozpościerały swoje cienie. Ot i wszystko.

Hugo krążył po nowym mieszkaniu, czekając owinięty w pasie ręcznikiem, aż wyschnie, i oswajał się z zawartością szafek kuchennych, i wtedy zwrócił uwagę na zapach po raz pierwszy. Nie wiedział, czy był tu od początku, a on w końcu go poczuł, czy dopiero się pojawił. Woń wilgoci



i... rozkładu. Pleśń. Śmierdzi pleśnią. Czym prędzej otworzył lodówkę, spodziewając się znaleźć zgniłe resztki jedzenia po poprzednim lokatorze, wewnątrz jednak okazało się puste, a nawet bardzo czyste. Wysprzątało tu przed jego przyjazdem, wszystko było nieskazitelne, zdążył już to zauważyć. Węsząc, Hugo uparł się, że dotrze do źródła smrodu. Bacznie oglądał każdą powierzchnię, blat obok zlewu, ladę oddzielającą kuchnię od salonu, następnie okrągły stół, a nawet poduszki narożnika, który zamykał przeciwległy kąt. Nic.

To jest w powietrzu.

Wtem rzucił mu się w oczy pewien szczegół w ścianie, toteż Hugo zbliżył się powoli. Jeden pas tapety zadarł się na rogu. Tam odór był silniejszy. Teraz zabarwiony naturalną zgnilizną. Kwaśny fetor szczypał śluzówkę, równocześnie był tak tłusty, że zdawał się pokrywać przełyk cuchnącym filmem. Hugo zatkał nos ramieniem i pochylił się nad oberwanym trójkątem. Ścianę pod spodem pokrywała brunatna lepka warstwa. Co to, do licha, jest? Czyżby po szczurach na strychu płyty już całkiem przegniły? Wolną ręką pociągnął za róg. Tapeta dała się odkleić bez trudu, a każdy jej centymetr odsłaniał ten sam lekko wilgotny brąz, jednocześnie coraz mocniej zatruwając powietrze. Po czym ukazała się ciemna spływająca kropla. Ściana zaś zaczęła przybierać karminową barwę. Hugo zdarł cały pas, wydobył się taki dźwięk, jakby zrywał z rany plaster, wybałuszył więc oczy ze zdumienia.

Wszystko było czerwone. Krwistoczerwone. Z obnażonej ściany kapały strużki.

Nagle ściana zaczęła pulsować. Niczym narząd reagujący na atak, zarazem dając Hugonowi do zrozumienia, że właśnie odarł ze skóry, do żywego mięsa to ciało, które drgało rytmicznie. Krew spływała po całej odsłoniętej powierzchni i przez moment Hugonowi wydało się wręcz, że dostrzega rozdzierające, coraz szybciej bijące serce, którego każde uderzenie wywoływało jeszcze większy wpływ krwi.

Oddychał głośno, mając wilgotne skronie.

Jego własne serce zrównało swoje bicie z uderzeniami serca hotelu, a wtedy Hugo się zachwiał. Chciał krzyknąć, ale nie dał rady. Cały pokój zawirował, a Hugo runął na podłogę...

## 5.

Wyprostował się gwałtownie na łóżku, bez tchu, nie potrafiąc sobie przypomnieć, kim jest. Nie rozpoznawał otoczenia, niezdolny stwierdzić, czy jest bezpieczny, odróżnić, co jest prawdą, a co częścią koszmaru, dopóki nie wróciła mu pamięć. Val Quarios. Ośrodek. Kwatera.

Pogrążony w półmroku pokój.

Hugo długo wypuszczał powietrze, po czym usiadł na brzegu materaca. Cholera, zebranie!

Telefon pokazywał 18.32. Jeszcze miał czas.

Odczekał chwilę, aż przetrawi ostatnie nieprzyjemne wrażenia ze swojego złego snu. Dał się zwieść. Koszmar był bardziej prawdziwy niż rzeczywistość. Hugo ciągle jeszcze czuł w gardle ten potworny smród. To dlatego, że to mnie dręczy, moja obecność tutaj, że się ukrywam, że nie chcę widzieć... Hugo nie należał do tych, którzy przywiązują szczególną wagę do tego, co mu się śni, teraz jednak sny były zbyt oczywiste, żeby je zignorować. Tym lepiej. Coś we mnie drgnęło. A on tego potrzebował.

Wypił dużą szklankę zimnej wody, aby raz na zawsze pozbyć się tego smaku zgnilizny, po czym się ubrał, bo nie wiedział, czy wieczorami jest zimno. Znajdowali się na wysokości, zdecydował się więc na polar, który włożył na designerską bluzę Parisien, o wiele za lekką jak na góry. Przechodząc przez salon, zerknął na tapetę. Serce mu stanęło na widok zadartego rogu. Podszedł bliżej niepewnym krokiem. Pod spodem biała, nieskazitelna powierzchnia, nie licząc odrobiny zaschniętego kleju.

Hugo westchnął przeciągle.

– Jak minę bliźniaczki w niebieskich sukienkach, spadam stąd – powiedział głośno żartobliwym tonem.

Dźwięk własnego głosu podziałał na niego kojąco. Jestem tu dopiero od dwóch godzin, a już mi odbija. Nieźle się zaczyna...

Złapał klucz i wyszedł na korytarz. Było zupełnie ciemno. Gdy wymacał na oślep włącznik, rozbłysły chaotycznie wszystkie lampy. Droga

ewakuacyjna, wytyczona przez rząd drzwi, światła i pomarańczową wstęgę podłogi, przyprawiła go niemal o zawrót głowy. Jazda, weź się w garść, chyba nie zaczniesz się rozklejać, to tylko korytarze, kolejne korytarze i znowu korytarze.

Hugo szedł ciągle w tej samej osobliwej ciszy, dotarłszy zaś do wind, o mało nie wcisnął guzika, ale się powstrzymał. Przecząco pokiwał palcem. Zły pomysł. Ruszył szerokimi schodami naprzeciwko. To nie było trudne, przypomniał sobie. Dwa piętra w dół, w lewo, potem cały czas prosto aż do podwójnych drzwi i znajdzie się w jadalni. W kantynie. Przynajmniej nad tym panował.

Tylko że tam, gdzie spodziewał się zastać podwójne drzwi, ujrzał metalowe skrzydło opatrzone tabliczką „Wstęp wyłącznie dla personelu”, którego nie rozpoznał. Cholera. Byłem pewien, że... Czyżby zszedł o piętro za nisko? Zawrócił i natknął się na okno. Znajdował się na parterze, o ile zdołał zobaczyć w nocy, która w przeciwieństwie do jego sennego koszmaru cieszyła się łaskawym spojrzeniem życzliwego księżyca – pomiędzy budynkami C i D rozpościerała się łąka. Dobra. W takim razie może to było w prawo?

Podążając po własnych śladach, przemierzył dwa kolejne wąskie korytarze, wsadził głowę do czegoś, co normalnie powinno być studium fotograficznym, następnie zauważył poczekalnię przed gabinetem lekarskim, wszystko zamknięte na lato, po czym stanął na środku drogi i wziął się pod boki. W mordę, przecież nie jestem idiotą! To musi być tędy! Które pomniejsze rozwidlenie przegapił? Jakies zapomniane drzwi za zakrętem? Czuł się jak pajac. „Poruszaj się po głównych korytarzach”, poradziła mu Lily. Hugo rozejrzał się dokoła. Jestem na głównym korytarzu! Tylko że on nie kończy się żadnymi pieprzonymi podwójnymi drzwiami...

Hugo nie należał do tych, którzy łatwo gubią się w Paryżu, połapanie się po wyjściu z metra nie zajmowało mu całej wieczności, odróżniał północ od południa i ogólnie rzecz biorąc, miał dobry zmysł orientacji.

– Potrzebna pomoc? – odezwał się za nim znajomy głos.

W do połowy otwartych drzwiach stała Lily.

– Przepraszam, byłem mniej więcej pewien, że dam sobie radę, a potem...

– Wszyscy przez to przeszliśmy – uspokoiła go i przywołała gestem ręki.

– Chodź, zaraz tu będą.

Dotarłszy do wyjścia z budynku C, Hugo miał wrażenie, że jednak obrał właściwy kierunek, dokonał właściwych wyborów, ale nie pojmował, gdzie popełnił błąd.

– Spoko – odparła jego przewodniczka, gdy się z nią tym podzielił. – Jutro, jak będzie jasno, jeszcze raz pokażę ci drogę, przekonasz się, że musiałeś coś pominąć.

W centrum ośrodka wznosił się tak zwany statek matka, jak wyjaśniła Lily. Z góry główne budynki powinny przypominać A. W tej chwili znajdowali się na poprzecznej belce A. Potwór z drewna i szkła postawiony fasadą do doliny, tak jakby miał ją zdominować, mieścił wejście do Val Quarios, biura dyrekcji, jak również wypożyczalnię sprzętu, a przede wszystkim urządzenia sportowe i wypoczynkowe.

– Za jakieś trzy tygodnie będziesz mógł pójść na masaż do strefy zen, na dole – dodała Lily – na razie będziesz się musiał zadowolić salą gimnastyczną i basenem. Nawet jeśli nie jesteś świetnym pływakiem, radzę ci tam zajrzeć, jak będziesz mógł.

Hugo nie zdążył zapytać dlaczego, bo właśnie wkraczali do długiej sali z nieskazitelnym parkietem, wzniesionej na przedłużeniu statku matki, przodem do doliny. Wyposażono ją w wygodne kanapy i fotele otoczone roślinami, ponadto stały w niej naprzeciwko siebie dwa kominki, z czego w jednym buzowały pokrzepiające płomienie. Wewnątrz przy palenisku zgromadził się jakiś tuzin osób, część z nich stała i prowadziła spokojną rozmowę. Melodia ich głosów rozgrzała Hugona jeszcze bardziej niż ogień. W tym miejscu jest za dużo ciszy!

– A oto i ostatni! – wykrzyknął chudy mężczyzna około sześćdziesiątki, z siwymi włosami i okularami w cienkich oprawkach. – Ty pewnie jesteś Hugo? Witamy.

Kiedy Lily przedstawiła Hugona, powitali go jednogłośnie. Na ustawionej równolegle do kominka sofie siedziały dwie dziewczyny, mniej więcej dwudziestolatki, które od razu wpadły mu w oko, dość ładne, wręcz śliczne. Jedna była pewną siebie, niemal zarozumiałą blondynką, w dłoni trzymała kubek, druga Mulatką, mniej przebojową, za to o łagodnym spojrzeniu i oszałamiającym dekolcie. Hugo odwrócił się, nakazując sobie, by się na nie nie gapić. Rozpoznał rudowłosego olbrzyma Exhella, rozpartego na berzerce, po czym skupił uwagę na dwóch mężczyznach, którzy grali niedaleko w warcaby, nie podnosząc wzroku. Pierwszy przed pięćdziesiątką, nieogolony i z nieco wystającym brzuchem, drugi chyba

pięćdziesięciopięć-, sześćdziesięciolatek o nijakiej twarzy. Ostatnia dwójka obecnych na zebraniu to młody, nawet nie trzydziestoletni chłopak o za długich włosach, w grubym wełnianym swetrze i z rękami w kieszeniach kompletnie wytartych dżinsów, który wpatrywał się weń zimno, i dwa razy starszy od niego mężczyzna, nieco przygaszony, łysy, z szerokim karkiem ozdobionym grubym srebrnym łańcuchem, z prymitywnymi tatuażami na przedramionach, którego Hugo zaszufładował jako albo byłego marynarza, albo byłego więźnia. Ten, który sprawiał wrażenie najstarszego, podał Hugonowi rękę i się przedstawił:

– Jestem Philippe DePrigent, rozmawialiśmy przez telefon.

– Ach tak, pan dyrektor – przypomniał sobie Hugo i skłonił głowę.

– Wybacz, że mówię ci ty, taki tu panuje zwyczaj, i mam nadzieję, że będziesz go przestrzegał. Oto doborowy zespół! Nie wszyscy są tu dziś obecni, ale nowi zjawili się w komplecie.

Obaj gracze w warcaby jednocześnie wzruszyli ramionami.

– No tak, poza Armandem i Paulem, którzy przyjeżdżają na każde lato – sprostował rozbawiony DePrigent. – Paulo to nasz hydraulik, a jego wspólnik wykonuje dwa zawody: elektryka i ciepłownika.

Dyrektor miał tubalny głos. Uderzyło to Hugona już w czasie rozmów telefonicznych, nie spodziewał się jednak tak delikatnej sylwetki ani wyglądu pocziwego ojca rodziny, ujmującego i skorego do porozumiewawczego uśmiechu.

– Te czarujące młode kobiety to Alice, odpowiedzialna za sprzęt, która niestety wkrótce nas opuści... Kiedy to będzie?

– W przyszłym tygodniu – odparła dziewczyna słabym głosem, niepasującym do jej niemal wyniosłego zachowania.

– Będzie nam niezmiernie smutno i mam nadzieję zobaczyć cię znowu w październiku. Obok – ciągnął dyrektor – siedzi Jina, która przyjechała przedwczoraj, jest tak samo dziewicza jak ty! Będziecie mogli razem zdobywać szlify.

Najwyraźniej do DePrigenta nie dotarła dwuznaczność tych słów, które rozśmieszyły obu graczy, mówił więc dalej:

– Jina jest dekoratorką, będzie się zajmowała głównie naprawą szkód po sezonie. Ludovic, ten, który nosi tak urocze swetry, jest mechanikiem. Dokładniej od wyciągów, ale zobaczysz go wszędzie po trochu. Tutaj latem to cecha obowiązkowa: bycie wszechstronnym. Aha, nie zapomniałem

oczywiście o Merlinie, naszej złotej rączce, który też przyjdzie z pomocą wszędzie tam, gdzie będzie potrzebny.

Wytatuowany gość pokiwał głową, a w jego dotąd nieobecnych oczach zapalił się błysk. Na koniec DePrigent oznajmił:

– I wreszcie Axel, o którym nigdy nie wiadomo, czy śpi, czy słucha, a który jest górskim informatykiem.

– Skoro już o tym mowa, czy jest tu gdzieś wi-fi? – zapytał Hugo.

– W kantynie – odrzekł Exhell. – Później podam ci hasło.

– A co do telefonów, trzeba należeć do jakiejś konkretnej sieci? Moja chyba nie łąpie zasięgu.

Po tych słowach Hugo wyczuł wśród nowych kolegów lekkie zakłopotanie, o ile to nie była rozpacz...

– Będziesz musiał się obejść bez tego – oświadczyła Lily, która przysiadła na poręczu jednej z kanap.

– Nie łąpicie żadnej sieci? – zdziwił się Hugo. – W ośrodku narciarskim?

– W pełni sezonu tak, antena przekaźnikowa jest włączona, ale kiedy nie ma turystów, wyłączają ją.

Hugo nie posiadał się ze zdumienia. Nie miał nawet pojęcia, że można przerwać sygnał dla dowolnie wybranego obszaru. Dyrektor przytknął palec do skroni i powiedział:

– Może ci się to wydać przesadą, ale przekonasz się, że na dłuższą metę tak jest o wiele lepiej dla twojej psychiki. Żadnych zakłóceń, żadnych szkodliwych fal, które przez ciebie przechodzą, a poza tym dzięki temu nikt z nas nie siedzi z nosem w ekranie. Urządzenia cyfrowe zabierają zbyt dużą część naszej osobowości, pożerają ludzką duszę, a w zamian niepostrzeżenie przerabiają nas na jedno kopyto, jednocześnie dając nam złudzenie, że każde z nas jest wyjątkowe, chociaż to nieprawda.

Domyśliwszy się, że to poważne zagadnienie, Hugo wolał nie zadzierać ze wszystkimi, toteż nie drążył tematu, zwłaszcza widząc, jak Exhell unosi brwi i puszcza do niego oko. Jeśli nawet trafił na sektę antypostępowców, przynajmniej wiedział, że ma sprzymierzeńca.

– Usiądź, proszę – podjął dyrektor – chyba że chcesz kawy albo herbaty, z tyłu na stole jest ekspres, a Merlin jest tak miły, że codziennie go uzupełnia.

Hugo uznał, że uwaga wszystkich skupia się na nim już zbyt długo, machnął więc przecząco ręką i zajął najbliższy wolny fotel, tymczasem DePrigent ciągnął swoją przemowę:

– Axelu, jesteś tu od miesiąca, nie wahaj się interweniować, jeśli stwierdzisz, że pomiąłem coś, co może się okazać pomocne naszym nowicjuszom. Ludovic i Merlin dołączyli do nas w tym tygodniu, no a dla Jiny i Hugona to prawdziwy chrzest bojowy, ale nie martwcie się, wszystko pójdzie doskonale. Praca jest przyjemna, a załoga fantastyczna. Można zarabiać na życie w dużo gorszych warunkach! Schemat jest prosty: w każdy weekend wszystkie ekipy zdają relację na temat sytuacji i uzupełniają plan, który będzie wisiał na drzwiach do waszych pokoi. Wieczorem mogą się zdarzyć zmiany, ale omawiamy je regularnie. Dobra, sami zobaczycie, wszyscy się tu mijamy, gawędzimy, panuje dość swobodna atmosfera, pomagamy sobie nawzajem i niewykluczone, że któreś z was otrzyma z marszu inne obowiązki, nic nie zostało wyryte w marmurze.

Lily oddaliła się na chwilę, po czym wróciła z tacą drobnych gotowych przekąsek prosto z pieca.

– Nasz ośrodek nie szczędzi wysiłków, żeby was serdecznie powitać – zażartowała, podsuwając tacę Jinie i Alice, następnie Hugonowi.

Ten zdecydował się podnieść dłoń i zwrócił się do DePrigenta:

– Właśnie, chciałbym wiedzieć, co dokładnie mam robić. Przez telefon wspominał pan o drobnych naprawach, ogrodzie...

– Należysz do naszego „zespołu kameleonów” – odparł dyrektor. – Tak was właśnie nazywamy. Ponieważ wasza praca polega na przystosowywaniu się. Reperacje, wycinka drzew, malowanie, uszczelnianie i tak dalej. Stary Max jest szefem kameleonów.

Na te słowa Paulo i Armand parsknęli śmiechem, nie odrywając wzroku od szachownicy.

– Jak Max to usłyszy, zadławi się petem! – zadrwił Armand.

– Szef kameleonów – powtórzył ubawiony Paulo.

DePrigent pokręcił głową urażony.

– Nie słuchaj tych klaunów, nawet jeśli w razie potrzeby przyjdzie ci podać im pomocną dłoń. Zatem będziesz wykonywał polecenia starego Maxa. Czasami odeśle cię do pracy z JC, naszym ogrodnikiem, a jeśli na przykład Jinie przyda się pomoc przy mocowaniu karnisza albo wyrwaniu czegoś, trafisz do jej sektora, krótko mówiąc: wszechstronność.

Hugo ponownie zerknął na młodą Mulatkę. Przebywanie z nią w jednym pokoju przy odnawianiu to niezupełnie było coś, czego się spodziewał, przyjmując tę robotę, chociaż nie mógł powiedzieć, że nie przypadłoby mu

to do gustu. Następnie pomyślał o widzianym pod koniec dnia wystroju wewnątrz i zastanowił się, czy przeciwnie, to nie będzie trochę upiorne. Sam na sam w jednym z tych długich budynków. Jeżeli uzna mnie za jakiegoś ogiera, który obcina ją wzrokiem, będzie kicha. Powinien postawić granice. Absolutnie nie patrzeć na nią jak na śliczną dziewczynę, raczej jak na koleżankę, tylko koleżankę. Dopiero co zakończył katastrofalny związek, był emocjonalnie rozbity, ucierpiała jego miłość własna, jeszcze mu tylko potrzeba do szczęścia zostać zaszufadkowanym jako „zbok”. Przyjechał tutaj właśnie po to, żeby dojsć do siebie.

Hugo odwrócił wzrok i skupił się na przemowie DePrigenta, który objaśniał w ogólnych zarysach funkcjonowanie ośrodka, pory posiłków, dyżury, godziny pracy i dni wolne. Wraz ze wspomnianymi starym Maxem i JC, Simone, panią, która prowadzi rano sklep spożywczy, i swoją sekretarką, o której dyrektor kilkakrotnie napomknął, Hugo naliczył czternaście osób. W sumie to wcale nie tak źle. Spodziewał się, że będzie gorzej. Był tu cały przekrój wiekowy i osobowościowy... Wystarczająco bogaty, żeby zawrzeć nowe przyjaźnie. Pięć miesięcy w tych murach nie mogło polegać wyłącznie na wyciszeniu się, powinien się otworzyć na innych, wzbogacić dzięki ich różnorodności. Muszę udowodnić tej kretynce, że się myli, że nie jestem samolubnym potworem skupionym jedynie na sobie, który...

Hugo bezwiednie zacisnął szczęki. Przysiągł, że będzie ze sobą szczery, że skończy z chodzeniem na łatwiznę. Jeżeli Lucie miała rację, nie powinien o tym zapominać. Powoli zamknął się w sobie, ale to się nie może zacząć na nowo. Już złość na samego siebie stanowiła dowód, że jeszcze długa droga przed nim. Może przynajmniej skorzystam z okazji, żeby znów zacząć pisać? Nie był o tym wcale przekonany, na tym polu też stracił sporo pewności siebie, motywacji, poza tym to nie była wina Lucie, prawdę mówiąc, nie tak do końca jej wina. Jego pierwsza powieść okazała się totalnym niewypałem, niecałe trzysta sprzedanych egzemplarzy, żaden wydawca książek kieszonkowych nie chciał mu dać drugiej szansy, co poskutkowało stłumieniem wszelkich ambicji. Po co pisać, skoro używa się języka, w którym nikt poza tobą nie chce się porozumiewać? Nie była to do końca prawda, jak wkrótce stwierdził, gdy żądza pisania zawładnęła nim na nowo. Dla własnej przyjemności, dla samego siebie. Opowiedzieć sobie jakąś historię, poczuć zadowolenie z własnych wyborów i prostą radość już na sam widok rodzącej się koncepcji, która za sprawą pisarskiej alchemii



zostaje przelana na papier, wprost na jego oczach... To lepsze niż magiczna sztuczka. Brakowało mu jedynie inspiracji. Tak, może uda mi się tutaj coś napisać, o ile to miejsce podsunie mi jakieś pomysły...

Rozejrzył się wokoło, po ludziach, po pokoju... Jak usłyszał, z powodu przeszklonych ścian wychodzących na dolinę nazywali go „akwarium”. Na razie to były tylko czarne i zimne tafle, w których odbijały się ich efemeryczne sylwetki, tak jakby wszyscy byli zjawami. Trzeba będzie przestać traktować ten hotel jak nawiedzony dom! Na swoje usprawiedliwienie pomyślał, że nie brakuje powodów do makabrycznych halucynacji. Mam nadzieję, że z czasem wszystko wyda mi się lepsze. Splótł ręce na piersi lekko zaniepokojony. Wraz z nastaniem dnia, dzięki codziennej rutynie, wspólnym posiłkom... Hugo spoglądał na otaczające go raczej życzliwe twarze, nie ma powodu do obaw, wszystko będzie dobrze. Nieobecność stałych bywalców na wieczorze powitalnym świadczyła o tym, że nie bardzo się przejmują nowicjuszami, Hugo wystraszył się więc, że pomiędzy „lokalsami” a pracownikami sezonowymi wybuchnie wojna. Przestań pisać najczarniejsze scenariusze.

DePrigent perorował z zapałem, Hugo wyłączył się już jakiś czas temu. Gość dyryguje, kobieta serwuje ciasteczka, to wszystko jest takie staroświeckie. Co pomyślawszy, poderwał się z miejsca, wyjął z rąk Lily tacę i zachęcił ją, by usiadła. Widząc jej spojrzenie, wcale nie był pewien, że potraktowała to jak szczególną galanterię, ale miał to w nosie. DePrigent zaśmiał się krótko.

– Przynajmniej jeden chłopak wie, czego chce.

Gdy zebranie dobiegło końca, Armand i Paulo pozostali w akwarium, mimo że już przestali grać, a ponieważ tak naprawdę ze sobą nie rozmawiali, Hugo zastanawiał się, co właściwie robią poza przedłużaniem tej chwili, żeby uniknąć samotności... Cała reszta opuściła długą salę i przystanąła w progu. Utworzyły się dwie grupy: ci, którzy nie ruszają się ze statku matki, w tym DePrigent i Lily, oraz ci, którzy mieszkają gdzie indziej. W ostatnim momencie Lily klepnęła się w czoło na znak, że o czymś zapomniała.

– Odprowadzę cię – powiedziała do Hugona.

– Nie trzeba, dam sobie radę.

– Zgubisz się!

Energicznie pokręciła głową i pognęła ku schodom, nie pozostawiając mu wyboru.

– Zamierzasz spać na którymś korytarzu, w przejściu? To twoja pierwsza noc, a ja jestem twoją opiekunką.

Gdy tylko wyszli, Hugona owionął chłód, przenikliwie zimno, od którego aż dostał dreszczy i był zmuszony zasunąć zamek polarowej bluzy po samą brodę.

– A jednak! – wyszeptał.

– Przecież jesteś w górach, nie spodziewałeś się tego?

Już miał odpowiedzieć, że jest maj, gdy ponad Lily, w oddali dostrzegł jakiś blask. A zatem w przylegającym do zbocza, częściowo zasłoniętym przez wysokie jodły zameczku, który zauważył w ciągu dnia, ktoś mieszkał. Przypomniawszy sobie zakłopotanie, jakie wywołał swoim pytaniem na jego temat, Hugo się zawahał.

Jednak ciekawość zwyciężyła.

– Dlaczego wcześniej zakazałaś mi mówić o tym miejscu?

Lily nawet nie zerknęła w tamtą stronę, doskonale wiedząc, co ma na myśli.

– To u wszystkich wywołuje nerwowość.

– Dom w stylu szwajcarskim?

Wzruszyła ramionami i przyspieszyła kroku, zmierzając do budynku C.

– Kto tam mieszka? – Hugo nie dawał za wygraną. – Ktoś od nas?

Na te słowa Lily się uśmiechnęła, po czym otworzyła przed nim drzwi.

– Tak szybko? Już należysz do rodziny? Super.

Lily musiała się zorientować, że nie zdoła tak prędko zmienić tematu, bo się nachmurzyła.

– To zameczek właściciela – wyjaśniła, zapraszając go do środka.

– To nie DePrigent jest właścicielem?

– Nie, on jest dyrektorem, zarządza interesem. Tam, na górze, mieszka właściciel Val Quarios. Ale nie będziesz miał z nim do czynienia. Właściwie w ciągu całego pobytu go nie zobaczysz.

– Nigdy nie wychodzi? To znaczy... Jest zamknięty?

Lily kiwnęła głową, by wszedł. Hugo wpatrywał się w światło na wysokości. Paliło się przynajmniej w jednym oknie. To wystarczyło, by w jego umyśle zrodziło się mnóstwo pytań. Następnie natężenie światła uległo zmianie, pojawił się nieczytelny z powodu odległości cień. Ktoś właśnie stanął za szybą. I odwzajemniał jego spojrzenie.

## 6.

Stary Max upodobił się do otaczających go gór, tak jakby żyjąc wśród nich, zlał się z nimi w jedno. Żywioty i czas porały mu twarz bruzdami i zmarszczkami, wokół których z rzadka rosła flora w postaci krótkich włosków. Wyżłobione po obu stronach doliny podkreślały wierzchołek ostrego nosa, a płaski czubek głowy pokrywała biała szczecina. Jediną fantazją, na jaką sobie pozwalał, były gęste wąsy, zasłaniające sporą część warg.

Wcale nie jest taki stary, ocenił Hugo, natknąwszy się na niego przy wyjściu z budynku C, sześćdziesiątka, nie więcej. W dodatku Max miał mocniejszy uścisk dłoni niż większość młodych ludzi, których Hugo spotkał w życiu. Szorstka, silna dłoń o grubych, nieskończenie długich palcach.

Hugo z lubością wdychał czyste, już ogrzane słońcem powietrze, zupełnie inne niż poprzedniego dnia. Różnica temperatur była zdumiewająca.

– Śniadanie mocno ci siedzi w żołądku? – zapytał Max. – Bo zaczniemy z grubej rury. Mnie dzisiaj nie będziesz potrzebny, właśnie kończę moją dłubaninę. Za to czeka na ciebie JC, chodź. Ale najpierw sprzęt.

Poprowadził go na skraj statku matki, po czym przeszli przez służbowe drzwi wiodące bezpośrednio do podziemi. Tam zaś przemierzyli wykonany z szarych pustaków korytarz, oświetlony przez okratowane lampy godne najbardziej ponurych piwnic, i wkroczyli do pomieszczenia, w którym metalowe stojaki uginały się od ekwipunku. Max podał mu szeroki pas wyposażony w kieszonki, klamry i uchwyty, poprzyczepiał do nich najrozmaitsze narzędzia, karabińczyki i przybory, z których większość była dla Hugona nieznaną. Jak już pierwszego dnia nie będę miał pojęcia, co robić, z miejsca mnie wypieprzą...

– Posługiwałaś się już piłą łańcuchową? – zapytał wąsacz, chwytając za jakieś ustrojstwo sięgające mu aż do bioder.

– Eee... Dawno temu – skłamał Hugo.

Max wręczył mu narzędzie. Piła wcale nie była ciężka. Mężczyzna wziął pięciolitrowy kanister z benzyną, po czym wyszli i ruszyli od strony wyciągów, następnie podążyli wzdłuż budynku C ku zalesionym urwiskom, które górowały nad ośrodkiem. Hugo bacznie wszystko obserwował, stalowe słupy wbite w ziemię, liny jak ze srebra, połyskujące na tle błękitnego nieba, soczystą zieleń trawy tam, gdzie zima rozpostarła swe ścieżki, rozmieszczone w dole domki w stylu szwajcarskim, a całkiem w głębi wieżę. Korciło go, żeby wszystko zwiedzić, powałęsać się po nowym otoczeniu. Wraz z nadejściem dnia złe przeczucia zniknęły, teraz widział wszystko w nowym, pokrzepiającym świetle. Mimo to prześladował go lekki niepokój. A jeśli nie sprostą zadaniu? Jeśli go wywałą jeszcze przed końcem tygodnia?

Zbocze stawało się coraz bardziej strome, toteż Hugo się zasapał. Był wystarczająco wysportowany jak na aktora, narzucił sobie dyscyplinę i regularnie uprawiał jogging oraz ćwiczył na siłowni, a jednak z trudem dotrzymywał tempa Maxowi. Za parę tygodni moje ciało się przyzwyczai do wysokości, będzie lepiej.

– Jazda, młody, nie gub kroku! – rzucił Max, przyspieszając, jakby chciał go sprowokować.

Zostawiwszy skraj iglastego lasu po lewej stronie, wspięli się wyżej, aż dotarli do płaskowyzu nad ośrodkiem i dopiero wtedy zagłębili się w puszcę jodłową. Hugo był zlany potem. Nie zauważył żadnej ścieżki, żadnej bruzdy, nic, co mogłoby stanowić punkt orientacyjny, ale to nie przeszkadzało staremu Maxowi przeć do przodu, tak jakby dokładnie wiedział, dokąd idą, uchylał się przed nisko rosnącymi gałęziami, przedzierał przez zarośla albo odsuwał zawadzające mu łodygi. I nagle bez ostrzeżenia dotarli na kraniec świata.

Ziemia zniknęła pod ich stopami wraz z podszyciem, a oni górowali nad całym oszałamiającym krajobrazem, gotowi poderwać się do lotu. Hugo instynktownie cofnął się o krok. Niecałe półtora metra od niego ciągnęło się urwisko, w dole rozpościerała charakterystyczna perspektywa Val Quarios, a sama góra osuwała się w zacienione serce doliny.

– JC, to twój nowy kumpel! – przedstawił ich sobie Max.

Przed pochyłą nad przepaścią jodłą stał brunet z okrągłą głową, otoczony takim samym pasem jak Hugo. Odwrócił się ku nim. Miał sylwetkę człowieka nawykłego do wysiłku i przebywania na powietrzu. Jego nieogolona twarz pozostawała bez wyrazu, wzrok zaś przyciągał

dołek w brodzie. Szerokie brwi, szczere spojrzenie, stwierdził Hugo. Wysportowany czterdziestolatek. Na widok Hugona JC się zmarszczył.

– Max, nie kazałeś mu włożyć odpowiednich butów!

Sześćdziesięcolatek położył swą ogromną dłoń na ramieniu Hugona.

– Dzięki temu będzie ostrożny! Dobra, miłego dnia – powiedział.

Po czym bez ceregieli obrócił się na pięcie.

Po szybkim wstępie JC wyjaśnił swemu nowemu pomocnikowi, że mają ścinać drzewa rosnące zbyt blisko krawędzi albo grożące zawaleniem. Zamierzano raczej kontrolować wywroty, zwłaszcza podczas burz, regularnych i gwałtownych latem. Tym razem, kiedy JC zapytał o umiejętności posługiwania się piłą, Hugo nie próbował kłamać – po otwartości i miękkim akcencie dopatrywał się w nim dziecka tej ziemi, nie czuł się więc na siłach, by łągać. JC nie szczędził czasu, by wszystko mu szczegółowo objaśnić: ścinkę piłą łańcuchową na prąd albo spalinową, okrzesywanie, działanie klinów i dźwigni-obracaka, pozycję, jaką należy zająć, po czym dał pokaz pierwszorzędnej zręczności i pomógł ściąć pierwsze drzewo. Hugo był pod wrażeniem hałasu maszyny, dzikości, z jaką łańcuch atakuje drewno i pożera z łapczywym rykiem – on musiał tylko napierać ostrzem na korę, a wtedy obcinało ono drzewo przy samej ziemi, rozpryskując wióry i biały pył. Piła budziła w nim strach, wyobrażał sobie, że się ślizga albo że traci panowanie i maszyna z miejsca obrzyna mu stopę, albo że wbija mu się z rykiem w udo, ochlapując krwią osłupiałego JC. To było takie łatwe. Chwila nieuwagi, omsknięcie, na dodatek gdyby się obsunął, zaplątałby się w sieć kłaczy... Hugo wyobrażał sobie potworne wypadki, nie potrafił się powstrzymać, zwłaszcza wtedy, kiedy wprawiał w ruch bestię, która z wyciem wbijała zęby w miękkie drewno.

Późnym rankiem poczuł, że jest gotów do pracy. I już wyczerpany czynnością, do której nie był w najmniejszym stopniu przyzwyczajony. Nagła potrzeba kazała mu odłożyć sprzęt i oddalić się w las.

Wtem czyjaś dłoń zacisnęła się na jego ramieniu.

– Nie tędy – powiedział z surową miną JC. – W drugą stronę.

– Aha. OK.

Zawracając, Hugo przyglądał się uważnie roślinności w poszukiwaniu wskazówek, które wyjaśniłyby otrzymane ostrzeżenie. Nie dostrzegł nic szczególnego poza tym, że las jest bardzo gęsty.

– Coś nie tak? – zapytał.

JC nie odstępował go na krok, pilnując, gdzie stawia stopy. W końcu rzucił:

– To niebezpieczne miejsce. Wszędzie jamy świstaków ukryte pod liśćmi, możesz sobie zwichnąć nogę w kostce, do tego jest ślisko, upadek z urwiska, które pojawia się znienacka, jeżeli dokładnie nie wiesz, gdzie ono jest, może się okazać śmiertelny.

– Jak popatrzeć na to w ten sposób...

Hugo załatwił się gdzie indziej i powrócił do pracy, uważając na każdy ruch. Stopniowo wpadł w rutynę – bał się samego siebie, ponieważ teraz manewrował już tą swoją piłą, jakby to była zabawka. Wystarczyłoby, że przysunie się zbyt blisko, coś go rozproszy albo okaże zbytnią pewność siebie, a skutki mogłyby się okazać fatalne. I znów wyobrażenia podsuwała mu tysiące możliwości, by sprawy przybrały zły obrót – jedna wizja była bardziej okrutna od drugiej.

Gdy JC wrzasnął mu coś wprost do ucha, Hugo błyskawicznie się odwrócił, niespodziewanie wyrwany z zadumy.

Piła się nie zatrzymała, toteż łańcuch w obłokach spalin przeciął czterdziestolatкови brzuch, uwalniając wnętrzności, które wylały się między obydwoma mężczyznami gąbczastym strumieniem.

Hugo zamrugał i wierzchem dłoni starł wióry z okularów ochronnych. Nie widział przed sobą ani krwi, ani flaków. Musi skończyć z tymi szalonymi majakami. Po raz kolejny sprawdził podcięcie, kierunek obalania, ułożenie klina i upewnił się, że JC znajduje się odpowiednio daleko, zajęty swoją jodłą. Kiedy jego drzewo spadło z urwiska, słyszał, jak trzeszczy przy każdym uderzeniu, jak łamią się gałęzie, aż wreszcie pień roztrzaskuje się o wystające skały. Hugo czuł się niemal winny. Przykro mi, stary, taką mam robotę.

W dole ośrodek trwał niewzruszony, jedynie kocioł albo komin co jakiś czas wypluwały pióropusz dymu. Pod wyciągami w kierunku okrągłej wieży przemieszczał się jakiś kształt. Czyżby to była Lily? Bujna czupryna wpadająca w blond, dziarski chód – wiele wskazywało na to, że to ona. Gdzie się podziała reszta załogi? W którymś z olbrzymich skrzydeł rozpościerających się ku dolinie? To po prawej stronie, Tetryk, jak je nazywała Lily, wydało mu się inne od swojego bliźniaka, chociaż nie umiał dokładnie określić, co je różni...

– Krótka przerwa? – zapytał JC, stając za nim.

Podszedł bezszelestnie, toteż Hugo niemal podskoczył.

– Tak... Ja... Zrzuciłem tego grubasa, tak jak mi pokazywałeś.

– Doskonale. Dobrze sobie radzisz. Większość ludzi robi w gacie ze strachu z piłą w rękach, zwłaszcza z taką wielgachną poczwara jak ta twoja.

Hugona korciło, żeby opowiedzieć mu o obrazach, jakie go nawiedziły, ale się pohamował.

– Coś ze mną nie tak czy te dwa budynki w dole nie są identyczne?

– Tetryk jest w remoncie. Już się nie nadaje do użytku. To pusta skorupa. Prace powinny ruszyć rok temu, ale są opóźnienia. Nie dało się go używać w sezonie, wyobrażasz sobie, jakie to muszą być straty? Nie mam pojęcia, co oni, do cholery, wyprawiają...

Teraz, kiedy Hugo lepiej się przyjrzał, rzeczywiście stwierdził, że skrzydłu brakuje blasku, szyby są brudne, przed wejściem wala się sterta folii, a niedaleko, na samym środku sterczy kontener pełen śmieci.

– To DePrigent tym zarządza? – zapytał.

– Tak przypuszczam. Nie mają pieniędzy na kompleksowy remont, takie krążą plotki. Nie przejmuj się, pensje są wypłacane, jeżeli to nie daje ci spokoju. Pierwszego każdego miesiąca, jak w zegarku – zastrzegł JC, podsuwając manierkę nowemu koledze.

– Dzięki, jutro zabiorę swoją, razem z odpowiednimi butami.

Upił spory łyk, po czym otarł pot z czoła.

– Jesteś stąd? – zapytał Hugo.

– To widać?

– Słysząc.

– Urodzony w dolinie. Wszystko, na co patrzysz, to moja ziemia.

– Pracujesz tu od zawsze?

JC powoli przytaknął, jednocześnie podziwiając przeciwnie zbieżne.

– Dla miejscowych ten ośrodek to manna z nieba – powiedział. – To było moje pierwsze zajęcie, nigdy stąd nie odszedłem.

– Zimą też?

– Oczywiście. Przy tych wszystkich turystach to się nigdy nie kończy. Razem z resztą chłopaków ogarniamy trasy zjazdowe i ratraki. Trochę jak marzenie dzieciaka.

Czując, że rozmowa skręca na właściwe tory, Hugo machnął w kierunku zameczku, którego wieża wyłaniała się spoza wierzchołków drzew.

– Znasz go?

– Właściciela? Jasne, że tak, to on mnie zatrudnił, jak miałem siedemnaście lat.

Ani cienia zaciętości czy zmiany tonu, zauważył Hugo. Wbrew temu, co twierdziła Lily, najwyraźniej wzmianka o właścicielu nie u wszystkich budziła nerwowość.

– Jest wporzo?

Tym razem JC zawahał się przed odpowiedzią. Przygryzł wargę, omiatając spojrzeniem zameczek.

– Dawniej często go widywaliśmy, schodził do ośrodka, ale teraz już nie.

– Nigdy nie wychodzi?

Kolejne wahanie.

– Nie.

– To jak robi zakupy?

– Ktoś mu zanosí wszystko, czego mu potrzeba, i tyle.

– To starszy gość?

– Przypuszczam, że teraz tak.

Wzrok JC powędrował ku pile. Mężczyzna wzruszył ramionami. Hugo zdobył się na szczerość:

– Lily poradziła, żebym o nim nie wspominał. Mówi, że to ludzi denerwuje.

JC skrzywił się w zamyśleniu.

– Nie wiem, czy denerwuje – odparł w końcu – po prostu... Wszystko należy do niego, on wszystko stworzył, a teraz już się go nie widuje, tymczasem ośrodek potrzebuje inwestycji bardziej niż kiedykolwiek, bo popada w ruinę, a on nic nie robi. Remont Tetryka to dobry przykład, nie można było dłużej czekać, DePrigent dał zielone światło, tylko że kredyty nie napływają.

JC posłał Val Quarios mocne spojrzenie, w którym kryło się coś pomiędzy miłością a nienawiścią.

– Przyszłość ośrodka jest zagrożona? – zapytał Hugo.

– Jeżeli jego właściciel nic nie zrobi, prawdopodobnie tak.

– Dlaczego tak się zachowuje? Nie ma kasy?

JC odwrócił się ku niemu, wpatrzył w las, po czym wskazał na karpę po dopiero co ściętym drzewie. Drewno było zaatakowane przez robaki. Drwal wycelował czubkiem piły w ciągnące się po ziemi włókna pleśni, ku następnym igłakom.



– Zdarzają się jodły, które gniją u samej podstawy i zanim padną, próbują zarazić swoją chorobą pozostałe. Moim zdaniem zdarzają się też istoty ludzkie, które w pewnym sensie robią to samo. Może świadomość, że zabiorą ze sobą jak najwięcej ludzi, je uspokaja. Wtedy śmierć wydaje się mniej straszna.

Hugo wychylił się nieco ponad przepaścią, aby lepiej zobaczyć zameczek.

Potrafił zrozumieć gorycz tych ludzi, dla których Val Quarios stanowiło nie tylko źródło dochodu, ale od lat również oparcie. Poczucie porzucenia, bezsilności, życie w niepewności przed zagrożoną przyszłością... Teraz Hugo lepiej pojmował, dlaczego Lily nakazała mu unikać tego tematu. Nie było w tym nic tajemniczego, nic podejrzanego, jedynie źródło niepokoju.

– Kim właściwie jest ten cały właściciel? Co to za gość?

JC mierzył go przez chwilę wzrokiem, po czym podniósł piłę.

– Dostyc gadania, wybiliśmy się z rytmu. Zetnij no mi tę przed tobą.

Maszyna JC ruszyła z najgroźniejszym rykiem, jaki można sobie wyobrazić, tym samym zamykając dyskusję.

## 7.

Ostrze przecięło główkę. Po rozpołowieniu bulwy Hugo chwycił ząbek czosnku i posiekał na drobniutkie kawałeczki, gdy tymczasem woda na makaron zawrzała.

W natłoku zajęć pierwszego dnia nie zdążył wpaść rano do sklepu spożywczego, toteż Lily podrzuciła mu w swej uprzejmości koszyk zawierający podstawowe produkty na kolację.

Nie wiedział jeszcze, jak zdoła dociągnąć do końca tego pierwszego dnia, ponieważ już sama myśl, by wdrapać się po piętrach do pokoju, wydawała mu się niemożliwa do zrealizowania. Wszystko go bolało. Stawy w palcach, na których obawiał się pęcherzy. Zesztywniały grzbiet, zdrętwiałe ramiona, ścierpnięte pośladki i uda, a najmocniej łupało go w krzyżu. Nawet sobie nie wyobrażał, w jakim stanie obudzi się nazajutrz rano.

Co nie przeszkadzało mu zadbać o kubki smakowe i żołądek. Zawsze był łasuchem, zawsze „troszczył się o swój talerz”, jak sam mawiał. Był zbyt leniwy, żeby codziennie przyrządzać smaczne dania, wiedział jednak, że to niezawodna metoda, aby skupić rozbiegane myśli i zapewnić sobie dobre samopoczucie. Już sam pomysł, by poświęcić własnej osobie czas, był krzepiący, stanowił połowę sukcesu. Zmęczenie czy nie, tego wieczoru po raz pierwszy od dawna zabrał się do pichcenia.

Przylegająca do kantyny kuchnia była ogromna. Industrialna. Wszędzie stal lśniąca w zbyt silnym oświetleniu. Hugo zajmował bardzo ograniczoną przestrzeń i w tym oceanie kuchenek, błyszczących blatów, zięjących okapów i szafek, tworzących szereg niczym wojsko, poczuł się całkiem samotny. Tu także typowa dla Val Quarios nieubłagana cisza zwielokrotniała najdrobniejsze skrobnięcie noża o deskę, wrzenie wody w rondlu i każde chrząknięcie Hugona, który sobie powtarzał, że do tego przywyknie. Jak wrócę jesienią do domu, nie będę mógł znieść paryskiego szumu! Wcale nie był tego pewien, nie zaszкодziło jednak spróbować to sobie wmówić.

Na drugim końcu pomieszczenia otworzyły się drzwi, po czym Hugo rozpoznał Alice, niemal wyniosłą blondynkę, która podeszła prosto do pierwszej lodówki, wyjęła z niej pudełko Tupperware i zniknęła, nawet mu nie pomachawszy. Nie miał pojęcia, czy go nie zauważyła, czy zrobiła to specjalnie.

Tego wieczoru nie natknął się w kantine na nikogo, być może to nie była ich pora albo też każdy wolał jeść kolację w swoim pokoju. Hugo był zbyt rozleniwiony, żeby wdrapywać się teraz na górę, marzył tylko o tym, żeby usiąść i nigdzie się nie ruszać, najlepiej przez najbliższych dziesięć albo piętnaście lat, zanim w ogóle pomyśli o pokonaniu choćby stopnia schodów.

Kiedy skończył przygotowywanie posiłku – linguine z odrobiną oliwy, czosnkiem i szyfonada z bresaolą, którą skropił cytryną – zaniósł go do jadalni obok. Alice siedziała pośrodku ze słuchawkami w uszach. Jazda, zbierz się na odwagę...

Skinął dłonią na znak, czy może się przysiąc, Alice zaprosiła go do stołu i wyjęła z uszu słuchawki.

– Nie chcę ci przery...

– To podcast, mogę go włączyć, kiedy chcę.

– Przyznaję, że nie mam nawyku słuchania podcastów. Będę musiał się nauczyć.

Alice energicznie przytaknęła.

– Rzeczywiście, spędzisz tu tyle miesięcy, że warto!

Wróciła do swojej sałatki z komosy ryżowej, którą jadła prosto z pojemnika.

– Widziałem, że lodówka jest pełna twoich pudełek, to sprytne, będę musiał pomyśleć o czymś takim – odezwał się Hugo, żeby podtrzymać rozmowę.

– Przyzwyczaiałam się do tego, jak tu przyjechałam. Ponieważ czasami trzeba było wszystko robić w biegu, postanowiłam szykować sobie posiłki na cały tydzień w niedzielę. Trochę to zajmuje, ale potem człowiek ma spokój.

– Cwane. Zwykle nikt nie je kolacji tutaj?

– To zależy, czasem spotkasz jedną lub więcej osób, czasem każdy je u siebie, nie ma reguły. To znaczy tak jest, od kiedy ośrodek stoi pusty.

– A jak było? Mam na myśli zimę tutaj.

– Sympatycznie.

Hugona zdziwił brak entuzjazmu z jej strony.

– I tyle? Powiedz, czy to kompletny kanał, żebym zdążył się stąd zwinąć, póki jestem na okresie próbnym! – wykrzyknął, udając wystraszonego.

– Nie, nie, jest wporzo, bez paniki. Ale ja się cieszę, że wszystko cichnie. Jestem wykończona. Siedzę tu od października. To był gorący sezon i chociaż dobry miesiąc temu wrócił spokój, jestem zadowolona, że coś się zmieniło.

– Po siedmiu miesiącach, mogę to sobie wyobrazić.

– Po prostu po jakimś czasie człowiek zaczyna kręcić się w kółko. Zwłaszcza teraz, kiedy jest pusto. W dodatku wszędzie po trochu powyłączali internet. Gdyby przez cały sezon nie było sieci, nie wzięłabym tej roboty.

– Tak, lekko nie będzie.

– W zeszłym miesiącu po wyjeździe ostatnich turystów odcięli antenę. Żadnego albo prawie żadnego zasięgu, a tutaj, w akwarium, gówniane, słabe wi-fi. Nie wiem, dlaczego to robią. Właściwie wiem, słyszałam, że chodzi o koszty, a DePrigent jest zachwycony, że komputery i telefony nie zaśmiecają nam umysłów... Wyobrazasz sobie?

– A... ee... Zapłacili ci, nie było problemu?

Alice obdarzyła go nieco kpiącym spojrzeniem.

– Nigdy nie było najmniejszego spóźnienia. Czekam tylko na wyciąg z konta i w przyszłą środę wracam do domu.

– Czyli dokąd?

– Do Amiens.

– Raczej nie kojarzy się z górami.

– Rodzice mieli dobry fundusz socjalny, co roku wyjeżdżaliśmy na narty w Alpy, więc nie jest to dla mnie nieznany teren.

– Przyjeżdżaliście do Val Quarios?

– Nie, w mniej dzikie Alpy, bardziej na północ. Zawsze pociągały mnie tego rodzaju krajobrazy.

– Super, możesz podziękować swoim starym.

– Nie żyją.

Hugo zastygł z widelcem w drodze od talerza do ust.

– O cholera, przepraszam. Zawsze muszę coś chlapnąć...

– W porządku, nie przejmuj się, mogę spokojnie rozmawiać na ten temat. Korzyść jest taka, że miałam swojego psychologa, jak byłam nastolatką. Ojciec zginął w wypadku na motorze, a matkę zeżarł rak żołądka.

– Przykro mi.

– Już to przetrzymałam.

Hugo zwrócił uwagę na metaforę i zastanawiał się, czy była zamierzona. W gruncie rzeczy ta cała Alice przypadła mu do gustu. Wczoraj wieczorem uznał, że jest trochę zarozumiała, teraz jednak odnosił wrażenie, że to przede wszystkim wojowniczką. Z bliska okazała się nie tak ładna, jak mu się wydawało, jej cerę szpeciły blizny po trądziku, miała lekko kartoflowaty nos, ale cechowała ją czarująca uszczypliwość i miała dużo uroku, kiedy się uśmiechała.

A co, tobie się zdaje, że jak ci się przyjrzeć z bliska, to jesteś przystojny? Z piegami na gębie, krzywym kłębem i rozciętą brwią po tym, jak walnąłeś się o kamień za dzieciaka? Hugo zawsze miał lekkie poczucie winy, kiedy oceniał czyjąś urodę, zwłaszcza gdy ta ocena była okrutna albo niepoehlebna.

– A ty masz rodzinę? – zapytała.

– Matkę w Caen, ale nigdy jej nie widuję. Nie jesteśmy ze sobą zbyt blisko.

– Pokłóciliście się?

– Nie, niezupełnie. Po prostu dorastałem w rodzinie, w której się za dużo nie rozmawiało. Powiedzmy, że teraz, kiedy wyjechałem, kontynuuję tę tradycję.

– A ojciec?

– Nie znałem go. Wojskowy, dał nogę, zanim nauczyłem się chodzić.

Alice odłożyła widelec i cofnęła się na krzesło.

– Słuchaj no, nasi przodkowie to zabawni goście!

Oboje się roześmiali.

– Przypuszczam, że jak człowiek ma kochającą rodzinę, to nie zaszywa się wysoko w górach na kilka miesięcy – stwierdził Hugo.

– Ja przynajmniej wybrałam sobie dobry okres, było mnóstwo ludzi, wszystko tętniło życiem. Za to ty... To już prawdziwy masochizm. Liczę na to, że masz bogate życie wewnętrzne!

Hugo parsknął śmiechem i zapytał:

– Jacy są pozostali?

Alice głęboko zaczerpnęła powietrza, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

– Szczerze mówiąc, za bardzo się do nich nie zbliżyłam. Zimą był duży ruch, mieliśmy pełne ręce roboty. Ewidentnie brakowało personelu. Każdy

skupiał się na swoich zadaniach, mijaliśmy się... Dyrektor jest wporzo, o ile nie zjada go stres. Dalej... Ten wąsacz, z którym będziesz pracował, nigdy się nie odzywa, więc sama nie wiem, co o nim myśleć. JC wszystko bierze dosłownie, unika żartów, bo ich nie kuma. Innych nie znam, dopiero co przyjechali, tak jak ty.

– Sekretarka DePrigenta? Simone ze spożywczaka?

Alice wzruszyła ramionami.

– Trudno cokolwiek powiedzieć, właściwie nie miałyśmy ze sobą styczności. Tylko „dzień dobry” i „dziękuję”. Miłe, uprzejme i tyle.

– A Lily? Wygląda mi na kogoś, kto tryska energią, wali prosto z mostu, jest otwarty.

Alice zaczęła się bawić wykończeniem swetra.

– I niezbyt rozgarnięty, prawda? – dodała z wyzywającym grymasem.

Hugona zatkało, nie spodziewał się tego. Alice wybuchnęła śmiechem.

– Jaja sobie robię. Ale jeśli cię to interesuje, myślę, że jest singielką.

– Nie... Nie dlatego pytałem – wyjąkał. – Po prostu ciekawiło mnie, z kim będę miał do czynienia przez ten czas, to wszystko.

Alice wycelowała w niego palec, mówiąc:

– Będziecie żyli jak w zamkniętym słoiku, to pewne. Ja bym tego nie zniosła, nie wiem, jak dasz radę.

Ich głosy rozbrzmiewały w kantynie. Hugo również odsunął talerz. Na zewnątrz zapadła noc. Z prędkością walących się na łeb kłopotów.

– Szczerze mówiąc, specjalnie się nad tym nie zastanawiałem.

Hugo poczuł na sobie wzrok dziewczyny. Postanowił wytrzymać jej spojrzenie. Mnóstwo uroku.

Właściwie dlaczego tu przyjechał? Żeby wyrywać wszystko, co się rusza? To nie było w jego stylu. Jeszcze mniej w stylu kogoś, kim obecnie się stał. Lily oczarowała go, jak tylko postawił stopę na peronie, zdołała go obudzić, odmrozić zmysły obolałe po ciosie, który zainkasował niemal trzy i pół miesiąca wcześniej. Wczoraj wieczorem wyobraził sobie siebie w sypialni wraz z Jiną, a teraz przyszła kolej na Alice? Wszystkie trzy były ładne, to fakt. I co z tego? Dopiero co otrząsnął się po burzliwym, wyniszczającym rozstaniu, przyjechał się schronić na końcu świata, a w pierwszym odruchu robi słodkie oczy? Uważał, że jest żaloszny. Ludzki. Jestem mężczyzną, moje instynkty się budzą po tym, przez co przeszedłem, to dobry znak, nie? Patrzenie, rozmyślanie nie oznacza od razu działania.

– Po pierwszym dniu pewnie jesteś padnięty? – zapytała, a on nie bardzo wiedział, jak rozumieć tę uwagę.

Czy coś mu się roi? Czy było to uprzejme i logiczne stwierdzenie bez żadnych podtekstów? Przestań wszystko odczytywać tak, jakbyś miał nieodparty urok!

Zerwanie bezapelacyjnie nadszarpnęło jego samoocenę. Czyżby brakowało mu też dojrzałości? Czy to właśnie dlatego musiał stoczyć taką walkę, żeby dojść do siebie po tym, jak został puszczony w trąbę? Bo pogubił się we własnych emocjach, pragnieniach, zaufaniu? Czy to normalne, że trzydziestoczteroletni facet ma aż tyle wątpliwości?

Złamane serce, towarzysząca mu zraniona miłość własna, Hugo nie sądził, żeby pewnego dnia potrafił je przyjąć z większym spokojem, nawet jak będzie miał pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat. Miłość to uczucie pierwotne, fundament wszystkiego. Przy niej jesteśmy tylko dziećmi, nie?

– Gorzej. – Usłyszał własny głos.

– Powinieneś popływać. Basen jest obłędny.

– Jesteś drugą osobą, która mi to mówi w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Wieczorna kąpiel w basenie, gdy już go zamknięto dla gości, to była prawdziwa frajda. Kiedy ledwie żyłam i wszystko mnie bolało aż po same koniuszki palców, aplikowałam sobie czterdzieści minut pływania, a potem spałam jak dziecko. Będzie mi tego brakowało.

Kiedy wstała, żeby umyć swoje naczynia, Hugo pilnował się, by nie obcinać jej wzrokiem. Samczy odruch kazał mu się wpatrywać w jej krągłości, ale delikatny wewnętrzny głos szeptał, że to nie wypada. Że to brak szacunku. Czuł się trochę jak palant, przeżywając katusze jak jakiś małolat, chociaż już dawno przestał nim być.

Po niszczycielskich słowach Lucie przygasł. Jego libido stopniało jak lody w słoneczny dzień. W dodatku jeszcze niewyjęte z plastikowego opakowania. Właśnie taki sobie stworzył obraz. Wielobarwny sok jego pragnień niczym rozpuszczona tęczą – dawniej to było piękne, teraz zamieniło się w nieciekawą zupę.

Odkąd jednak wysiadł z pociągu TGV, jego ciało się budziło, skłaniając mózg do automatyzmów, o których sądził, że zniknęły na dobre.

Szkoda, że Alice miała wyjechać, mogli znaleźć wspólny język. Zostać przyjaciółmi, może kochankami? Nie, nie wydaje mi się. Pięć miesięcy bez cienia fizycznej i uczuciowej relacji to będzie długo, ale czy nie tędy

właśnie powinna wieść droga jego oczyszczenia, koniecznego, żeby się odrodził? Wolał nie podążać w tym kierunku, toteż jak tylko po sobie posprzątał, ruszył do budynku C, pilnując, którądy idzie, ostatnią bowiem rzeczą, jakiej pragnął, było znów zabłądzić i być zmuszonym wrzeszczeć, dopóki ktoś nie przybędzie z odsieczą. Dobra, nie ma co świrować, w końcu to nie labirynt...

Miał przed sobą dwa zakręty i dwoje dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do dwóch podobnych do siebie korytarzy. Wczoraj popełnił dokładnie ten błąd, myląc główny korytarz z jego podstępny bliźniakiem. Z jego złośliwym klonem, pomyślał rozbawiony. Tym razem nie dał się nabrać i skręcił tam, gdzie trzeba, po czym dotarł do szerokich schodów. Kusiło go, by pojechać windą. Nie pajacuj, przecież Lily powiedziała, że nie używają ich poza sezonem. Były dwie. Dobra i zła. Czy to jakaś gra?

Hugo pokręcił głową i krzywiąc się, chwycił za poręcz schodów.

– Nie dzisiaj – oświadczył na głos.

Na drugim piętrze skręcił w prawo i przemierzył korytarz, minął odnogę prowadzącą do pustej sali, prawdopodobnie do organizowania imprez zimą, i wreszcie znalazł się przed swoim pokojem.

Właśnie przetrząsał kieszeń w poszukiwaniu klucza, gdy doznał wrażenia, że już nie jest sam. Było to irracjonalne i głupio się czuł, mimo to nagle włoski na karku mu się zjeżyły. Rozejrzał się na boki: wytarta wykładzina, kinkiety i szereg drzwi. Ten długi, monotony, męczący dla wzroku rząd. Nikogo. Nic, tylko gra światła i cienia. To raptem drobny przeciąg, wyluzuj.

Hugo uświadomił sobie, że nie pamięta, czy pozostałe pokoje w korytarzu są zajęte. Zapewne nie. Chyba że dalej, za zakrętem. A może na niższym poziomie? Przypomniał sobie, jak Lily mu tłumaczyła, że może nastawić muzykę na cały regulator albo coś w tym rodzaju... A kto? Kto może być jego najbliższym sąsiadem?

Czujka zaraz się wyłączy, pogrążając go w ciemności, w głuchej ciszy, w której będzie słycać jedynie jego trochę niespokojny oddech. W porządku, odpuść.

Sufit lekko zaskrzypiał, a on zbyt szybko podniósł głowę, by sobie wmówić, że jest odprężony. Nic się nie działo.

– Jeśli się potwierdzi, że tu są szczury – wyszeptał – zażądam przeniesienia do innego budynku.

Wreszcie znalazł klucz, wszedł do środka i zamknął drzwi.



Po chwili wahania dwa razy go przekręcił.

W korytarzu lampy pogasły chaotycznie, w ciszy.

Potem wśród starych murów zadął wiatr, aż zatrzeszczały niczym klatka piersiowa śpiocha, który wybudza się w końcu ze zbyt długiego snu i się przeciąga.

## 8.

Dante zapomniał o jednym kręgu piekła. O dziesiątym.

O kręgu zakwasów.

Hugo wszedł do niego zaraz po przebudzeniu. Potężne zakwasy nie pozwalały mu się skupić na niczym innym, stwarzając złudzenie, że tak już będzie do końca świata.

Dowlókł się do sklepu spożywczego, żeby zrobić zakupy, a przy okazji spotkać Simone. Alice niewiele pominęła, „dzień-dobry-dziękuję-dowiedzenia”, poza odrobinę surową twarzą, głową wciśniętą w ramiona, twardym i zarazem uciekającym wzrokiem, policzkami ze śladami trądziku różowatego. Po wypiciu na stojąco soku pomarańczowego, z bułką maślaną w kieszeni i drugim śniadaniem w plecaku Hugo pognął po swój sprzęt do piwnicy statku matki. Zaczynał się wyrabiać i odczuwał z tego powodu pewną dumę.

Drugiego dnia pracy JC zmusił go do odpowiedzialności, dając mu wolną rękę. Hugo miał wrócić na zalesione płaskowzgórze i pozaznaczać farbą w sprayu wszystkie drzewa, które jego zdaniem należało usunąć: ewidentnie narażone na złamanie, martwe, gnijące, chwiejne... Następnie JC oceni egzemplarze do wycinki, zanim przejdą do czynu.

Aby oszczędzić sobie męczącej wędrówki w tę i z powrotem, Hugo postanowił zabrać się ze wszystkim na jeden raz, zarzucił więc piłę na ramię i zaatakował zbocze. Gdy zaciskał zęby, wspinając się po stoku, na wierzchołku jednego ze słupów od wyciągu zauważył jakąś siedzącą okrakiem sylwetkę. Nie miał całkowitej pewności, ale przypuszczał, że to Ludovic. Chłopak z niebywałą zręcznością zdejmował za pomocą drążka linę z koła. Na wyciągach nie było już ani orczyków, ani siodełek, a wkrótce nie będzie też lin. Co za kretyńska robota... Rozbierać wszystko każdej wiosny, potem sprawdzać, żeby jesienią instalować z powrotem.

Ludovic, który w końcu również go dostrzegł, przyglądał mu się długo, dopóki Hugo nie zбочzył w stronę płaskowzgórza. Paryżanin nie wiedział,

czy on coś do niego mówi, czy po prostu kontroluje, co robi, przy tej odległości twarze były zamazane, dźwięki niesłyszalne, wprawilo go to jednak w lekkie zakłopotanie, po czym przestał sobie tym zaprzętać głowę i zanurzył się w iglaki.

Hugo nie orientował się w tym gąszczu tak dobrze jak stary Max, wolał więc dostać się od strony zbocza, które się wznosiło stopniowo, zamieniając się w coraz wyższe i bardziej strome urwisko. Terminujący drwal okraczał przeszkody, omijał co pokaźniejsze i oddalał się od krawędzi uskoku. Dotarł w ten sposób do strefy, którą czyścili już poprzedniego dnia, tam założył sprzęt wraz z pasem, zostawiając sobie tylko pojemnik z farbą.

JC polecił mu posuwać się wzdłuż krawędzi, w kierunku ośrodka, nie specjalnie skomplikowanego. W dole w majowym słońcu wznosiła się kopia dzwonnicy, którą nazywali Latarnią Morską, świątynia kawek, przycupniętych gromadnie i czekających na okazję, by porządnie sobie podjąć. Kopułę wieńczyła wąska wieżyczka z kolumnkami, zupełnie jakby ktoś obserwował z niej niebo. Sterczała niemal na wysokości Hugona. Z pewnością roztaczał się stamtąd wspaniały widok na dolinę, słabo zasłonięty przez długie budynki... Muszę zapytać, czy można się tam dostać.

Ku swojemu zdziwieniu Hugo nie miał zawrotów głowy. Nie od razu poczuł się swobodnie, zbliżając się do skraju przepaści, mimo to szybko się oswajał. Kiedy przywyknie, będzie w stanie sam się wdrapać na słup albo spacerować po dachach, jeżeli ktoś mu każe.

Szedł naprzód zatopiony w myślach, aż nagle zdał sobie sprawę, że trochę się zapędził, teraz bowiem Latarnia Morska znajdowała się za jego plecami. Instynktownie zadarł głowę i go poszukał.

Chociaż zameczek ginął w listowiu, zdradzała go drewniana wieża. Na piętrach połyskiwało niebieskie światło o zielonkawym odcieniu z lekką domieszką różu. Rozeta? Jak w kościele?

To miejsce go intrygowało. Podobnie jak jego właściciel. Jakim jest człowiekiem?, zastanawiał się Hugo. Milionerem z lat siedemdziesiątych, który postanawia zainwestować w ośrodek narciarski i buduje rezydencję, aby górowała nad jego ziemią. Trochę to megalomańskie. O ile dobrze zrozumiał, facet nie miał już grosza przy duszy. Ofiara kryzysów finansowych? Już wtedy nie wydał kasy na przystosowanie ośrodka do sezonu letniego, żeby działał przez cały rok. Czyli że dobra passa nie

skończyła się niedawno. Czy jest chory, skoro nie chce już schodzić do doliny?

Hugo zauważył różnicę w stosunku do poprzednich dni: okien nie dało się zobaczyć. Opuścił wszystkie żaluzje. Związał. Porzucił ich. Od kiedy to kapitan opuszcza statek przed załogą? Spokojnie, przecież nie toniemy...

Hugo jednak nie miał pojęcia, jak jest naprawdę, ale liczył na to, że wypłata trafi na jego konto pierwszego dnia następnego miesiąca.

Kiedy zamierzał zawrócić, przeszło mu przez myśl, czy nie znajduje się w strefie, którą JC kazał mu omijać. Roślinność była tutaj bardziej gęsta niż gdzie indziej, krzewy bujne, obfitujące w jagody i kolce, podłoże nierówne, pokryte mchem, a gałęzie niskie. To było całkiem możliwe. Powinien tylko wrócić po własnych śladach, pójść wzdłuż zbocza, uważając, żeby się nie potknąć, nie miał żadnego powodu do obaw.

Przypomniał sobie, jak gwałtownie JC zatrzymał go poprzedniego dnia. Wyczuł coś więcej niż zwykłe ostrzeżenie. To go zaniepokoiło. Nie, było w tym coś jeszcze bardziej naglącego... Strach? Może nie aż tak, coś pomiędzy, ocenił.

Kolejny rzut oka odsłonił przed nim luźno zwisające szare pnącza i sporą liczbę pochylonych drzew iglastych, których gałęzie bezładnie się splatały. Hugo zaczynał rozróżniać cechy poszczególnych gatunków, JC go tego uczył. Jodły, modrzewie, sosny limby – nazwy powracały i młody mężczyzna poczuł dumę. Nie było to nic wielkiego, lecz czepiał się wszystkiego, co mogło poprawić jego wizerunek we własnych oczach.

Zawahał się, zanim ruszył, by przejrzeć sektor i pozaznaczać najbardziej problematyczne pnie. Nadgorliwość. Powiedział, żebym się tam nie zapuszczał.

Coś zakołysało się powoli w jego polu widzenia i Hugo natychmiast rozpoznał, co to takiego. Rodzaj girlandy... Im dłużej się temu przyglądał, tym większego nabierał przekonania, że to nie jest naturalne. To zostało wykonane ręką człowieka. Sznurek i... główki lalek? Chociaż wcale nie miał pewności, przeszył go dreszcz. Co to za cholerstwo?

Hugo zanurzył się w podszycie, aż zbliżył się do przedmiotu, który ledwie się chybotął na wietrze. To rzeczywiście był sznureczek przywiązany do gałęzi. Tylko że pomylił się co do lalczynek główek.

Zamiast nich co jakieś dwadzieścia centymetrów dyndała zwierzęca czaszka – wszystkie razem tworzyły posępny naszyjnik z „pereł”. Kto mógł zrobić coś tak groteskowego?

Oblepione brudem końce sznureczka strzępiły się, a czaszki z czasem poszarzały. Hugo naliczył trzy ptasie łebki i prawdopodobnie jeden wiewiórczy, pośrodku. Nie wisały tu od niedawna. Może nawet od paru lat. Albo wręcz od kilkudziesięciu? Nie miał pojęcia, nie był archeologiem, ale nie zdziwiłby się, gdyby ktoś to umieścił jeszcze przed jego narodzinami. W okolicy grasował jakiś świr.

Pierwszy przyszedł mu na myśl JC. To był jego rewir, sam to przyznał, a płaskowyz traktował jak swoje biuro. Hugo wcale nie miał ochoty spacerować po puszczy jodłowej w towarzystwie tego gościa, w dodatku uzbrojonego w piłę łańcuchową...

To on mi zakazał tam wchodzić, ale nie... nie czuł się pewnie.

Jego kolega nie sprawiał wrażenia degenerata, który strzeże swojej tajemnicy. Przeciwnie.

Hugo głośno przełknął ślinę, a własny lęk wywołany jakąś starą zabawką wydał mu się śmieszny. Stercę w samym środku puszczy, w jakiejś zabitej dechami dziurze, nikt oprócz JC nie wie, gdzie jestem, w dodatku nie słyhać żadnego dźwięku... Na tę myśl Hugo aż ścierpł. To była absolutna prawda. Cisza także zaskakiwała. Była mniej przytłaczająca niż w budynkach, otaczały go naturalne szmery, nie słyszał jednak wyraźnie ptaków, szelestu liści, a tym bardziej dalekich głosów, w zasięgu słuchu nie było żywej duszy.

Właśnie wtedy zobaczył następną.

Dłuższą, przyczepioną wyżej i ozdobioną większą liczbą kości. Girlanda znajdowała się jakieś dziesięć metrów dalej. Po nieszczerym wahaniu Hugo podszedł bliżej, stosując się do rad JC: omijać zdradliwe dla kostek nory – chociaż nie natknął się na ani jedną. Natrafił na obrośnięte mchem skały wszelkich możliwych wielkości, wszystko zaś otaczały drzewa, częściowo jedne ponad drugimi, ich splątane korzenie tworzyły imponujące czupryny na gospodarzach. Chyba że to więzienie...

Sznureczek był tak samo zużyty jak poprzedni, lecz tym razem kości barwy popiołu zostały otulone i powstał długi żałobny amulet.

Tutaj panowały o wiele głębsze ciemności, półmrok przecinały jedynie z rzadka złocistobrunatne smugi, a w powietrzu tańczyły zawieszane drobinki. Hugo musiał zaczekać, aż jego wzrok oswoi się z otoczeniem.

Naturalne zapachy objawiły się z całą mocą. Nasilona przez wilgoć woń próchnicy, przydymionej kory, tłustej, niemal słodkiej żywicy... A w tle coś innego, bardziej organicznego, pomyślał Hugo. Niemal drażniącego

nozdrza. Co najmniej nieprzyjemnego. Pamiętaj, że jesteś paryżaninem, ale przede wszystkim Normandczykiem. Znasz wieś i... Wszystko to były brednie i dobrze o tym wiedział. Zanim wylądował w stolicy, dorastał w Caen. Zwierzęce zapachy były mu równie obce jak klasyczna greka. Nie miał więc żadnych predyspozycji do tego, by czuć się swobodnie w samym środku lasu.

Tym bardziej przy tych wszystkich potwornościach naokoło.

Wiązki maleńkich kości podobne były do gwiazd albo słońc skamieniałych w śmierci. Dotknął jednej z nich. Zimna. Wygładzona przez czas.

Obudził się wiatr, wprawiając w drżenie całą roślinność, po czym na jego drodze rozległ się jakiś głuchy dźwięk, który odbił się wielokrotnym echem. Pac, pac, pac, pac, pac... Wklęsłe i puste kształty uderzały o siebie, odpowiadały sobie wzajemnie, aż w końcu Hugona opadło straszliwe zwątpienie i zaczął się bacznie rozglądać.

Były wszędzie.

Makabryczne girlandy. Wszystkie czaszki stukały jedna o drugą, wywołując tę przytłumioną melopeę. Dziesiątki martwych zwierząt. Ich szkielety spętane po to, by odegrać tę zatrważającą kakofonię.

Na powitanie dla niego.

Hugo cofnął się, nie patrząc, i o mało nie upadł na plecy, zahaczywszy o korzeń w kształcie szponiastej dłoni. Uchwycił się jednej z girland.

W nieskazitelnie żółtym kolorze.

Przywiązane do niej szczątki gryzoni połyskiwały idealną bielą.

Ta była całkiem świeża.

Zrobiona zaledwie przed kilkoma dniami.

Może nawet przed kilkoma godzinami.

## 9.

Kantyna rozbrzmiewała wybuchami śmiechu około pół tuzina osób.

Hugo szykował się na kolację w samotności, zamiast tego jednak zastał Lily, nierozłącznych Paula i Armanda, wytatuowanego Merlina, Jinę, a w kącie Exhella, który uczestniczył w rozmowach, nie odrywając się od laptopa. Był tam nawet – co dziwniejsze – stary Max, którego wasy tańczyły, kiedy żuł mięso.

Hugo wśliznął się na wolne miejsce po prawej stronie Lily. Widząc, że chłopak krzywi się z powodu zakwasów, dziewczyna zapytała:

– Dajesz radę?

Przytaknął.

– Z czasem człowiek nabiera wprawy – zauważył Max.

– Słuchaj no – zwrócił się do niego Paulo – a to nie z tobą powinien normalnie pracować?

– Pozwalam JC, żeby go uformował – wyjaśnił wąsacz. – W ten sposób będzie całkiem gotowy, jak do mnie wróci.

Lily zwędziła kawałek chleba z talerza Hugona.

– To Simone go piecze rano, przed otwarciem sklepu. Niezły, co? Jak minął dzień?

– W porządku.

Nie bardzo miał ochotę się rozwodzić, zwłaszcza o swoim poranku. Odkrycie, jakiego dokonał na płaskowzgórzu, trochę nim wstrząsnęło. Do tego stopnia, że ledwie skubnął drugie śniadanie. JC zapytał, czy wszystko gra, na co Hugo udał, że jest zmęczony, że nie przywykł do pracy na powietrzu. Co zresztą nie było takim znowu kłamstwem. Chociaż w gruncie rzeczy wątpił, żeby to ogrodnik był twórcą girland z martwych zwierząt, nie potrafił mu zaufać. Jeszcze nie. Potrzebował czasu, żeby się otworzyć, żeby się z tym oswoić. Hugo nie był bowiem w stanie ocenić powagi tego, co widział. To było idiotyczne i jednocześnie napawało go lękiem: nie umiał tego umiejscowić w płaszczyźnie moralnej, nie wiedział, czy to

dziecięca i śmieszna fantazja, czy akt perwersji świadczący o potencjalnym zagrożeniu. W końcu artystom schlebiało tworzenie dzieł z organicznych odpadów tego samego kalibru. Na czym polegała różnica między mrocznym umysłem twórczym a tym niebezpiecznie chorym?

Od rana dręczyło go jedno pytanie: czy autor tych rzeźb pozyskuje kości już martwych zwierząt, czy też sam je zabija? To robi ogromną różnicę.

– Włóczyłem się po płaskowzgórzu – odparł, śledząc reakcję Lily.

– Przez całe popołudnie słyszałam śpiew waszych pił. Nigdy nie mogę się opędzić od myśli, że szkoda tych biednych drzew, które o nic się nie proszą.

Pokerowa twarz: jeśli zdawała sobie sprawę z istnienia girland, to albo znakomicie udawała, albo uznała, że to w ogóle bez znaczenia.

– Większość jest martwa albo chora – wyjaśnił – my tylko oddajemy przysługę puszczy jodłowej, pomagając jej odetchnąć, poza tym dzięki nam żadna jodła nie runie z urwiska na ośrodek, w ten sposób kontrolujemy ich upadek.

– Masz rację, Max – parsknął śmiechem Paulo – JC dobrze go wyszkolił!

W głosie było słycać kpinę, ale nie złośliwość, zauważył Hugo, który wolał nie odpowiadać. W drzwiach do kuchni ukazała się Alice i zajęła miejsce naprzeciwko niego.

– Cześć. Smacznego – zagała.

Pochyliła się nad jednym ze swoich pojemników Tupperware i zaczęła pałaszować sałatkę z ogórków i innych warzyw.

– A co ty robisz przez całe dni? – zapytał Lily Hugo.

– Aktualnie razem z Jiną obchodzimy Duże B i odnawiamy wszystko, co tego potrzebuje.

– A jest co robić! – potwierdziła Jina. – Prawie każdy pokój wymaga odświeżenia.

– Max – zagadnęła Lily, opierając się o ramię sąsiada – pożyczysz go nam na lato, prawda?

Przemierzanie niekończących się galerii Dużego B, wkręcanie śrub, szycie, wbijanie gwoździ czy bejcowanie w towarzystwie Lily i Jiny całkiem by się Hugonowi podobało. Zapowiadało się bardziej ekscytująco niż ryzyko amputacji ręki przy cięciu kłód w samym środku lasu skażonego przez szaleństwo jednego z nich.

Przez cały dzień zachodził w głowę, kto mógł być autorem tych rzeczy, do tego stopnia, że chwilami się rozpraszał, źle stawał albo tracił



równowagę razem z piłą, a gdy nagle sobie uświadamiał, co mogłoby się stać, oblewał go zimny pot.

Doszedł do prostego wniosku: ze względu na to, że niektóre girlandy są stare i wiszą już niejedną zimę, to nie może być żadne z nowicjuszy, co od razu wyklucza Alice, Jinę, Ludovica, Exhella i Merlina. Lily mieszkała tu przez okrągły rok zaledwie od trzydziestu sześciu miesięcy, a to kłóciło się z tym, co zdążył dokładnie obejrzeć. Nie skreślił Paula i Armanda, ponieważ, o ile dobrze zrozumiał, są to regularni pracownicy sezonowi i zapewne wracają tu od dawna. Część sznureczków się strzępi, są brudne, zużyły się przez kilkadziesiąt lat, a kości pokryła patyna czasu. Stwierdził, że Paulo ma prawdopodobnie około sześćdziesiątki, a więc pasuje. Armanda oceniał na jakieś czterdzieści pięć lat, czyli musiał tu przyjeżdżać co najmniej od ćwierć wieku. Prawdopodobny.

Jeśli chodzi o DePrigenta i Simone, Hugo ani przez sekundę nie wyobrażał sobie, że mogliby się wdrapywać na płaskowzgórze i przedzierać przez dziką przyrodę, aby się oddać podobnemu hobby – ani nie ten profil, ani wiek.

JC mocno go zaintrygował, przestrzegając przed wkroczeniem do tej strefy: bał się, to było oczywiste. Zatem to też nie on.

Pozostawał stary Max.

Hugo bacznie mu się przyjrzał. Max żuł, wprawiając wąsy w podrygi, tak jak niektórzy kręcą tyłkiem. Otoczone zmarszczkami oczy spoglądały w dal, zagubione w otchłani oczodołów. Nie sposób było coś z nich wyczytać. Mina kuny. On? Poważnie? Hugo nie potrafił w to uwierzyć.

W takim razie Paulo albo Armand.

Został jeszcze ktoś, o kim zapomniał.

Skoro jest za stary albo niepełnosprawny, żeby opuścić swój dom, dlaczego i w jaki sposób miałby fikać po lesie? I dlaczego w ogóle by coś takiego robił?

Właśnie na tym potknął się Hugo. Czy za tymi instalacjami krył się jakiś motyw? Jakies tajemnicze przesłanie, zamiar? Czy była to po prostu chora fantazja?

Przesłonił go cień, gdy Exhell pochylił się nad nim, by położyć na stole jakiś papier.

– Hasło do wi-fi, może się przydać. Dasz radę się połączyć tylko tutaj. Do tego w akwarium jest takie samo.

– Dzięki. A co z siecią komórkową, nadal nic?

Lily wycelowwała palec w jedną ze ścian, mówiąc:

– Tam, w głębi, masz Wieżę, wiesz? Okrągłą budowlę ze szpiczastym dachem, za domkami szwajcarskimi.

– Widzę doskonale. Dyskoteka, sala widowiskowa...

– Czasami można stamtąd coś złapać, ale nie oczekuj cudów, jeżeli niebo nie będzie idealnie czyste.

– W dodatku wszystko zależy od twojego operatora – zastrzegła Alice. – Przywiozłeś książki? Bo wieczorami w pokoju nie będziesz miał dużo więcej do roboty.

– Mam laptopa, chciałbym wrócić do pisania.

– Powieści?

– Tak, jeżeli przyjdzie natchnienie.

– W takim otoczeniu to będzie jak nic Stephane King! – zażartował Paulo.

– Stephen King – poprawił natychmiast Armand. – Ignorant! Przecież to Amerykanin.

– Doskonale wiem, kto to jest, wyobraź sobie, że go czytałem.

– A ty w ogóle umiesz czytać?

Paulo machnął groźnie nożem, co jedynie nasiliło rehot sąsiada z naprzeciwka. Śmiech złobił głębokie dołeczki w twarzy Maxa, który nie uрониł ani słówka.

Żaden z nich trzech nie miał w sobie nic z nawiedzonego myśliwego, który poluje na zwierzęta, żeby je poćwiartować i zawiesić na sznurku, pomyślał Hugo.

– Skończyłeś już jakąś? – zapytała Alice.

– Nawet wydałem.

– Ach tak? Zarąbiście. Co to za rodzaj?

– Tylko że przy tym poziomie sprzedaży to było przede wszystkim marnotrawstwo papieru. Teraz, jak się tak nad tym zastanawiam, chyba mnie dopadła jakaś karma drzew zabitych na próżno. Książka należała raczej do literatury wysokiej.

– Bo co, w książkach też stosuje się podziały?

– Słucham?

– Istnieje coś takiego jak literatura niska?

– Tak, to kryminały, thrillery...

– W dzisiejszych czasach to dosyć przestarzałe.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Hugo tylko wbił wzrok we własny talerz, lecz Alice ponownie przypuściła szturm:

– Opisujesz w nich własne życie?

– Nie własne, tylko jednego gościa, którego wymyślam, żeby opisać przetworzony przez fantazję kawałek mojego życia.

– Jest coś o pieprzeniu?

Alice waliła prosto z mostu, na dodatek świdrowała go oczami, w których lśniły ogniki, zbijając Hugona z tropu.

– Eee... tak. Trochę.

– Moim zdaniem autora da się ocenić już po samym sposobie, w jaki opisuje sceny pieprzenia – drażyła Alice. – Czy jest dobry, oryginalny, czy ma wyjątkowy styl albo czy jest po prostu nudny jak flaki z olejem, to się od razu wyczuwa.

– Nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób – przyznał się Hugo. – Następnym razem pomyślę, żeby w miłosnej scenie dać z siebie wszystko.

Armand nie potrafił się powstrzymać, żeby nie wtrącić paru sprośnych uwag. Hugo odczekał, aż zapanuje spokój, po czym zapytał:

– Czy pozostali przychodzą tu czasem na posiłki? Dyrektor?

– Nie, zostaje z Adele – oświadczyła Lily.

Na widok porozumiewawczych spojrzeń współbiesiadników Hugona ogarnęła wątpliwość.

– Oni są... razem?

Max potwierdził skinieniem.

– Mąż i żona.

– OK, dobrze wiedzieć – powiedział Hugo. – Są tu jeszcze jakieś pary? Oczywiście poza Paulem i Armandem...

– Patrzcie no, jaki dowcipniś! – wyrwało się z ust elektryka, młodszego z dwóch mężczyzn.

Paulo się roześmiał.

– Szybko skumał ten nowy.

– Sami starzy zatwardziali kawalerowie, którzy są z tego dumni – odparła w końcu Lily. – To znaczy, o ile mi wiadomo.

– I nigdy nie urządzą wielkiego żarcia?

Lily poszperała w pamięci, żeby nie palnąć głupstwa, a Max pokręcił przecząco głową.

– DePrigent woli „małe okazjonalne koktajle”, jak je nazywa, w stylu tego na twoje powitanie – odrzekła instruktorka narciarska.

Między kadrą kierowniczą a pozostałym personelem jest wyraźna przepaść, stwierdził Hugo. Życie w małej wspólnocie wymaga minimalnych umiejętności społecznych i dobrze jest się orientować we wzajemnych układach, żeby nikogo nie urazić. Obiecał sobie, że zachowa ostrożność.

Kiedy skończył kolację, przyrządził sobie bezkofeinowe americano. Zwykł wypełniać w ten sposób wieczorem żołądek, aby uniknąć opychania się. Jego nienaganna sylwetka kosztowała go całe mnóstwo sztuczek w tym stylu. Z filiżanką w dłoni przemierzył z powrotem cały budynek C i usiadł na ławce z widokiem na wyciągi. Z postawionym kołnierzem sączył swoją kawę, podziwiając wygwieżdżone niebo, które było jeszcze czystsze niż to nad jego rodzinną Normandią. Tak bardzo upragniony przez ludzi wehikuł czasu istnieje od zawsze, nad ich głowami. Wystarczy wybrać gwiazdę, na której chce się zatrzymać wzrok, a jej światło cofnie nas o wiele lat, a niekiedy wręcz wieków. Hugo słyszał, że najbliższa znajduje się o dwa lata świetlne od Ziemi. To oznaczało, że blaskiem, który właśnie obserwował, promieniowała dwa lata wcześniej, i że ów blask potrzebował aż tyle czasu, by pokonać przestrzeń międzygwiazdną i do nich dotrzeć. Na ani jedną nie dało się patrzeć bezpośrednio. Nic, tylko kosmiczny playback. Niekiedy zaś różnica była astronomiczna.

Począwszy od pierwszego kroku człowieka na jego planecie, wszystko, na co spogląda, jest fałszem. Wielka kosmiczna manipulacja, której jesteśmy ofiarami. Czyżby to były pierwsze słowa jego nowej powieści? Tekst na temat pozorów? Być może... Czasami musiał pozwolić umysłowi długo błądzić, żeby się pojawił jakiś interesujący trop. A dzięki cmentarzysku poronionych pomysłów byłoby czym wypełnić biblioteki!

Bezwiednie zerknął na zameczek w górach, a kiedy ujrzał światło, rysy mu stężały.

Czyli tak naprawdę wcale nie odszedłeś, kapitanie, który opuszczasz okręt?

Odwrócił się, słysząc za plecami pełne rezygnacji westchnienie.

Lily położyła dłonie na oparciu ławki.

– Lucien Strafa – powiedziała cichutko. – Ten, który mieszka na górze, to Lucien Strafa. I ty doskonale wiesz, o kogo chodzi, prawda?

## 10.

Hugo nie miał pojęcia, kim jest Lucien Strafa. Ani załączka wspomnienia, nic, co skrywałoby się w fałdach jego kory mózgowej, toteż na widok malującej się na twarzy Lily niezbitej pewności poczuł się jak idiota i zawahał przed przyznaniem się do własnej niewiedzy.

– A powinienem? – zapytał wreszcie.

Lily nie oceniała go albo nie dała mu tego odczuć.

– Houdini, mówi ci to coś?

– Magik sprzed wieku?

Uff, przynajmniej tego znał.

– Houdini zrewolucjonizował prestidigitatorstwo i przez długi czas uważano go za mistrza. Aż do pojawienia się Strafy.

– Nic mi to nie mówi, wybacz.

Lily usiadła obok niego na ławce.

– Ani ciebie, ani mnie jeszcze nie było na świecie, ale jego nazwisko stało się legendą. To się działo w latach siedemdziesiątych, wtedy miał swoje pięć minut. Wiadomość o jego występie rozchodziła się lotem błyskawicy, a kiedy ruszała sprzedaż biletów, sale pękały w szwach, a przecież to były czasy bez internetu, kiedy człowiek musiał trzymać rękę na pulsie, przemieszczać się... Przejechał Europę, później cały świat. W Las Vegas obiecywali mu złote góry, byleby tylko tam został, kupę kasy, ale odmówił.

Hugo machnął jeszcze ciepłą filiżanką w stronę ośrodka i stwierdził:

– Chyba powinien był się zgodzić.

– Z tego, co czytałam, nigdy nie zależało mu na pieniądzach, gdyby chciał, mógłby być superbogaty, ponad ludzkie pojęcie.

– Niech zgadnę: robił to „z miłości do sztuki”? – powiedział z przekąsem Hugo, przesadnie akcentując cudzysłów.

Lily przez chwilę milczała.

– Myślę, że coś w tym jest. Kiedy taki Houdini zachwycał publiczność nowoczesną inscenizacją i sztuczkami, wykorzystując najnowsze

technologie swojej epoki, Strafa zaskakiwał swoich widzów niepojętymi wyczynami. Wszyscy: prasa, konkurencja, a nawet świat naukowy pochylili się nad fenomenem Strafy, ale nie udało im się go wytłumaczyć.

– Zaraz, zaraz, chcesz powiedzieć, że to nie było prestidigitatorstwo, tylko prawdziwa magia? – zadrwił Hugo, który wpadł w błazeński nastrój.

Szczerze mówiąc, cała ta historia go rozczarowała. Spodziewał się usłyszeć, że właściciel jest cudzoziemcem o nikomu nieznanym imieniu albo gościem w nieokreślonym wieku, który urodził się zbyt dawno, żeby to było możliwe... Zamiast tego serwuje mu się opowieść o jakimś mistycznym artyście. To było poniżej jego oczekiwań.

– Masz prawo się śmiać, chciałeś wiedzieć, kto to jest, a ja tylko zaspokoiliam twoją ciekawość.

Hugo uświadomił sobie, że zirytował ją, obracając w żart jej słowa, więc zmienił front.

– Przepraszam, słucham cię.

Znów martwa cisza. Hugo drążył dalej, tym razem z większym zainteresowaniem:

– Czyli że stał się sławny dzięki własnej pomysłowości.

– To coś więcej. Po czterdziestu latach nadal nie wiadomo, jak on to robił.

– Czy nie w tym tkwi siła iluzjonisty? W zachowywaniu tajemnic dla siebie?

– Tylko że w końcu innym zawodowcom udaje się odkryć jego sztuczki, a czasami nawet ulepszyć. W tym wypadku okazało się to niemożliwe. Jeszcze dzisiaj jest niedościgłym wzorem, tajemnicą, prawie tabu.

– Aż tak?

Lily wzruszyła ramionami.

– To, co wyprawiał na scenie, przerażało ludzi, bo nie potrafili pojąć, że to w ogóle wykonalne. Właśnie na tym zbudował swoją reputację, jeden z jego afiszy głosił wielkimi literami: „Pokaz niemożliwego, który wyrwie wam z piersi okrzyki zdumienia”. Okropnie przestarzałe, zgoda, ale to był jego znak firmowy. Afisz znajduje się w jednym z biur administracji, zdaje się, że DePrigent dostał go od samego Strafy wiele lat temu.

Hugo przyglądał się dziewczynie, która mówiła z pasją.

– On cię fascynuje, co?

Przytaknęła bez skrępowania.

– Z początku, kiedy mi o tym opowiadali, jakby to była sensacja roku, miałam to gdzieś. Potem sprawdziłam w internecie. Wciągnęło mnie to, przyznaję. Facet był legendą. Nadal jest. Jego tournée były niesłychanie widowiskowe.

Mimo półmroku Hugo zdołał dostrzec, jak jej oczy błyszczą.

– Chciałabyś go zobaczyć?

– Na scenie? Tak, oddałabym wszystko. Nie zachował się żaden film wideo, żadne nagranie dźwiękowe, nic. Strafa był bardzo czujny pod tym względem. Ludzie przeżywali jego doświadczenie, siedząc naprzeciw niego, pal licho resztę. Przeczytałam sporo artykułów. Bezpośrednich relacji fanów, którzy opowiadali część tego, co widzieli... Wszyscy byli w szoku. On sam bardzo rzadko udzielał wywiadów, ale jak człowiek dobrze pogrzebał, mógł trafić na prawdziwe perełki. O, na przykład to: żaden występ nie obył się bez zasłabnięcia. Co wieczór wywożono jedną albo i kilka osób. Systematycznie. To świadczy o sile fenomenu, w jakim uczestniczyły.

– Chyba jestem ignorantem, bo nigdy o tym nie słyszałem.

Lily poklepała go po udzie, sprawiając, że głupio przełknął ślinę.

– Nie, to wcale nie zaskakuje, jego nazwisko jest legendą, ale jego sukces wywołał straszne zamieszanie i jeszcze do dzisiaj staje ludziom kością w gardle.

– Są zazdrośni...

– Możliwe. Wzbudził dużo nieufności. Kiedy człowiek czyta komentarze dzisiejszych iluzjonistów na jego temat, widzi, że każdy unika tego zagadnienia albo jest zakłopotany. Ostatnio wymazano go nawet z książek o historii magii, bo jest niewygodny.

Hugona zaczynało to wciągać.

– Bo nie potrafią się wspiąć na jego poziom? To żenujące.

– Bo się go boją – rzuciła Lily.

Zamilkła na moment i oboje wpatrzyli się w rozświetlony zameczek na wzgórzu.

– Krążą plotki na jego temat – dodała. – Mówi się, że to nie było prestidigitatorstwo. Że on poszedł dalej. Za daleko.

– Jak to? Wracamy do magii? To znaczy do tej „prawdziwej”?

Lily wybuchnęła śmiechem. Perlistym, głębokim, niemal dziecięcym śmiechem.

– Co? – zapytał Hugo.

– Gdybyś widział swoją gębę!

– Jaja sobie ze mnie robisz, zgadza się?

Opanowanie się zajęło Lily trochę czasu, po czym odezwała się głosem, w którym ciągle jeszcze pobrzmiwała wesołość:

– Najpierw sobie kpisz, a chwilę później masz gęsią skórkę, bo tak mocno w to wierzysz!

Hugo wydał krótkie westchnienie pełne zawodu.

– Coś takiego, to sprytne...

– Oj, dobra, w porządku, nie nadymaj się, odrobina śmiechu z samego siebie nie zaszkodzi.

Hugo był dotknięty do żywego, że tak łatwo dał się nabrać.

– Twoja opowieść w końcu mi się spodobała, to wszystko...

– Ta historia jest prawdziwa – przyznała Lily, przybierając na powrót poważną minę. – Przysięgam.

– Jasne...

– Nie świruję, mówiłam szczerze. Możesz to sprawdzić.

Hugo już sam nie wiedział, czy jej zaufać, czy ona znowu próbuje go wkręcić, wolał więc nic nie mówić.

– Przepraszam – powiedziała szczerze. – Nie chciałam cię urazić.

Czuł się wrażliwy jak mały chłopiec i zrobiło mu się wstyd.

– Dobra, do którego momentu robiłaś ze mnie durnia?

Na jej widocznej w półmroku twarzy malowało się przeczenie.

– Już mówiłam: wszystko jest prawdą. Aż do jego zniknięcia.

– To teraz się okazuje, że Strafa wyparował ze sceny? – odparł sceptycznie Hugo.

– Nie, dokończył ostatnie tournee, potem obwieścił, że wycofuje się ze świata, że ludzie nigdy więcej go nie zobaczą. Bez wyjaśnienia, bez komunikatu w prasie. A następnego dnia nikt nie wiedział, gdzie jest ani dlaczego wszystko rzucił. To był koniec.

Hugo spoglądał na nią z powątpiewaniem. W tej chwili z trudem wierzył w pokręconą opowieść o genialnym iluzjoniście, który przeraża tłumy i rezygnuje z sukcesu, żeby na resztę swoich dni zaszyć się w jakiejś alpejskiej głuszy.

– Dlaczego ośrodek narciarski? – zapytał, sprawdzając Lily. – Gdyby potrzebował spokoju, wybrałby góralską chatę na uboczu, z dala od wszystkiego.



Lily odwróciła się w stronę zameczku w lesie nad Val Quarios, który zdradzały jedynie światła.

– A nie to właśnie zrobił? Ziemia wokół należy do niego, prawdopodobnie utrzymywał się z tego biznesu przez cały ten czas, chociaż nie musiał się nim zajmować osobiście. Tam, na górze, wszyscy zostawiają go w spokoju. Turyści, którzy tu przyjeżdżają od lat, nie mają pojęcia, kim jest mężczyzna w zameczku, zresztą mają to w nosie, dopóki mogą szusować za małe pieniądze, w rodzinnej atmosferze i bez tłumów. Strafa ma święty spokój, a wszystko to opłaca jego życie pustelnika.

Niezupełnie, pomyślał Hugo, przypominając sobie prace w Tetryku, które przerwano z powodu braków w budżecie. Skoro Strafa wydał cały majątek na kupno tego miejsca i zrezygnował z partnerstwa, wykupów albo spółek, aby zdobyć fundusze na modernizację Val Quarios, uczynił to po to, by zachować anonimowość.

Wtem w jego głowie zakiełkowała kolejna myśl...

– Skoro ośrodka nigdy nie przystosowano do przyjmowania gości latem, to nie jest wyłącznie kwestia kasy, prawda? To on tego chce.

Lily na chwilę wzniosła ręce do nieba w pytającym geście.

– Właśnie tak twierdzą albo przynajmniej sądzą starzy pracownicy. Sezon zimowy wystarczy, żeby opłacić faktury, a Strafa nigdy nie miał ambitnych planów co do Val Quarios, oprócz tego, żeby zapewniło mu środki do życia.

Hugo wyczuł w jej głosie nutę goryczki.

– Jesteście na niego źli?

– Przypuszczam, że nie mamy do tego prawa.

– Postępując w ten sposób, dba wyłącznie o siebie. Ma gdzieś przyszłość tego miejsca, nic nie szykuje, a ponieważ to starszy pan... Co się stanie z Val Quarios po jego śmierci?

Lily pokiwała głową.

– Nic dodać, nic ująć.

– Wstrętny samolub.

Lily odwróciła się ku niemu.

– O ile wiem, nigdy nic nikomu nie obiecywał. To wszystko istnieje tylko po to, żeby miał z czego żyć. Nasza praca, te baraki, nic nie jest tu po to, żeby przetrwać dłużej niż on.

– Właśnie tego chce? Po mnie choćby potop?

– W każdym razie dokładnie tak się zachowuje. A teraz jest gorzej...

Hugo szukał wzrokiem w ciemności ledwie widocznego zarysu zameczku. Ciągłe widział ten blask pochodzący z wielkich okien pośrodku, jak przypuszczał, należących do salonu, prawdopodobnie równie ogromnego jak hol w budynku. I ten nieregularny ruch wewnątrz, pozwalający się domyślać czyjejs obecności.

Hugo wahał się, czy zdradzić się przed Lily ze swojego makabrycznego odkrycia na płaskowzgórzu. Przyniosłoby mu to ulgę, tak jakby podzielenie się tajemnicą mogło złagodzić jej dziwny charakter. Powstrzymał się jednak. Nie potrafił. Musiał zaufać dziewczynie trochę bardziej. Uznał, że lepiej pozostać przy temacie interesującym ich oboje.

– Strafa nigdy nie wyjaśnił, dlaczego w tamtym okresie rzucił scenę?

– Nie. Podobnie jak nie podał powodów, dla których przestał tu schodzić. Strafa to człowiek pełen tajemnic.

– Od jak dawna go nie widzicie?

– Ja w ciągu trzech lat spotkałam go tylko raz, w roku mojego przyjazdu.

– Jaki on jest?

Lily zastanawiała się nad doborem słów.

– To tak jakbyś wsadził nowoczesny i bardzo silny reflektor do starej latarni morskiej. To zużyta skorupa, chociaż jest w nim coś imponującego, co objawia się w jego spojrzeniu. Nigdy nie zapomnę jego oczu. Przeniknęły do mojego wnętrza i... – zawahała się. – Wydaje mi się, że w pewnym sensie pozostaną już tam na zawsze.

Postukała się palcem w skroń.

– To bardzo silne wspomnienie – dodała.

Po chwili położyła dłoń na przedramieniu swego towarzysza.

– To tajemnica poliszynela, ale byłoby miło, gdybyś nie wygadał innym, że wiesz.

– Wszyscy wiedzą o Strafie?

– Oczywiście nie nowi, a co do Armanda i Paula, przyznaję, że nie mam pojęcia, przyjeżdżają tu od dawna każdego lata, niewykluczone, że któregoś wieczoru przy kielichu stary Max coś chlapnął... Ale jeśli chodzi o DePrigenta i jego sekretarkę Adele albo Simone, ten ośrodek jest dla nich wszystkim, są tu od dawna, a Strafa to drażliwy temat.

– Lubią go?

W tym wypadku Lily również długo ważyła słowa.

– Kochają się bardziej, niż nienawidzą, jak stare małżeństwo, ale prawdopodobnie obydwaj uczucia się ze sobą łączą. Od pewnego czasu

sprawy ulegają zmianie, nawet im nie wolno już go odwiedzać. Moim zdaniem od jakichś dziesięciu lat on się coraz bardziej izoluje. Obecnie zamienił się w ducha.

Hugo spojrział na górujące nad nimi gwiazdy, potem na sylwetkę zameczku. Otaczały ich światła pochodzące z przeszłości. Zatem nic nie było prawdziwe, natychmiastowe. Znowu dostrzegł niewyraźny kształt w zameczku, otoczony drżącym halo.

– Ducha, który nas obserwuje – powiedział głosem osobliwie pozbawionym pewności siebie.

## 11.

Niedziela była dla wszystkich dniem odpoczynku. Hugo miał wrażenie, że od samego przyjazdu jest na urlopie, co dla jego organizmu okazało się zbawienne. Nie wiedział, czy zdołałby się wspiąć na płaskowzgórze i podnieść tę przeklętą piłę po raz kolejny, zanim ciało odmówi mu posłuszeństwa albo któraś jego część zwyczajnie zastrajkuje. Bunt na pokładzie mięśni, tylko tyle.

Do tego dochodził lęk. Przed powrotem na górę, ze świadomością tego, co las skrywa w swoim wnętrzu. Zaczynał się godzić z jego ohydną stroną, ale nie z myślą, że autor kościanych girland może się znajdować wśród nich.

Następnego dnia zakwasy były bardziej bolesne. Hugo słyszał, że mają one związek z kwasem mlekowym, chociaż nie miał co do tego niezbitą pewności, ale kiedy zwlókł się z łóżka, był gotów założyć się o miesięczną wypłatę, że coś się w nim rozregulowało i że w środku zżera go kwas siarkowy, a nie mlekowy.

Po raz pierwszy zjadł śniadanie w swoim apartamencie, który wypełnił się aromatem kawy. Usiadł na narożniku, aby rozkoszować się widokiem na trawiastą esplanadę pomiędzy budynkami C i D. Część położonego niżej statku matki przesłaniała mu panoramę doliny. Lecz w oddali, po drugiej stronie wznosiła się prawie nieuchwytna góra, porośnięta szmaragdowymi łąkami i pierzastymi lasami, z których miejscami sterczały szarobrunatne nochale i występy, jakby uwięzione w ich brzuchu gigantyczne stwory na przestrzeni milionów lat próbowały się z niego wydostać, wałąc tak mocno, że aż zniekształciły swoje więzienie i porobiły w nim garby.

Jednakże całe to fascynujące widowisko wcale nie budziło w młodym człowieku zachwyty. Poprzez parę unoszącą się nad kubkiem Hugo wyczuwał jego obecność nad budynkiem D, wyżej, ponad spadziścią, w otoczeniu dwóch wąskich urwisk.

Jaskinia Luciena Strafy.

Opowieść Lily długo dręczyła go w nocy. Im głębiej się nad nią zastanawiał, tym bardziej wydawała mu się groteskowa, a przynajmniej przesadzona.

O północy, nie mogąc zasnąć z powodu zakwasów, o mała nie wstał i nie zabrał się do szukania w sieci na własną rękę, lecz myśli, że aby połączyć się z internetem w kantynie, będzie musiał przemierzyć korytarze, przeważała nad ciekawością.

Podziwianie zameczku za dnia, bez oznak życia, tylko mnożyło kolejne pytania. Czyżby Strafa mieszkał tam, na górze, zupełnie sam? Bez żadnej pomocy?

Pewien szczegół w tym, co udało mu się z trudem zobaczyć, kazał mu się pochylić, aż Hugo dotknął nosem szyby. Nie był pewien, ale...

Widok przesłaniała mgła.

Hugo chwycił telefon i posłużył się aparatem fotograficznym, aby zrobić maksymalne zbliżenie zameczku. Drewniana budowla wtapiała się w otoczenie, lecz jej architektura była godna gwiazdy. Ile pokoi? Za dużo jak dla jednego człowieka.

Hugo sprawdził i pokiwał głową. Dobrze widział. Żaluzje znów są opuszczone. A ty wcale nie wyjechałeś, więcej nie dam się nabrać. Prowadzisz nocny tryb życia?

Coraz lepiej...

Hugo rozważał możliwy związek między tajemniczym mężczyzną zabarykadowanym na zboczach a girlandami na płaskowzgórzu. Czyżby były jego dziełem? W jakim celu są robione? Albo w hołdzie czemu? Co nieodmiennie rodziło to samo pytanie: kto jest ich autorem?

Hugo zdawał sobie sprawę, że przed tym nie ucieknie, musi przeprowadzić śledztwo na własną rękę.

Kiedy wstał, ramiona i pośladki bolały go tak bardzo, że postanowił zadbać o swoje ciało, popędził więc po niezbędne rzeczy. Zapakował je do plecaka i wyszedł.

Po raz kolejny o mała się nie zgubił, przeklinając niepojętą, pełną pułapek architekturę. Nie powinien był zwątpić w obraną drogę, przecież pokonywał ją dostatecznie często, żeby wiedzieć, jak dotrzeć z własnego pokoju do głównego wyjścia, a mimo to zawsze musiał natrafić na jakąś przeszkodę. Nieoczekiwany zakręt, zakamarek, którego nie rozpoznawał, wybór między dwojgiem drzwi, których sobie nie przypominał... Nic nie było łatwe. Zupełnie jakby ta budowla spiskowała przeciw niemu albo

jakby na pokonanie każdego odcinka trzeba było zasłużyć, a budynek bawił się z gośćmi. Zwykły korytarz główny powinien być czymś wręcz oczywistym, prostą linią od punktu A do punktu B i cześć pieśni. Ale nic z tego, oś tę musiały zakłócać jakieś bariery i asymetryczne obejścia, jedno bardziej podstępne od drugiego, aby bestia mogła się przemieszczać po ogromie i obfitości pokoi, galerii bocznych, trzystopniowych schodków, a niekiedy szerokich studni otwierających się na całą wysokość i połączone piętra. Architekt był kompletnie stuknięty, Hugo nie miał co do tego wątpliwości. Obłąkaniec, który pewnie jako dziecko uwielbiał wrzucać nieszczęsną mrówkę do zrobionego z kartonu labiryntu, oczywiście nie zadbałszy o to, żeby wyposażyć go w wyjście, a potem ją obserwować. Facet jedynie odtworzył swoje pokręcone dzieło w skali dla dorosłych i w dodatku słono mu za to zapłacono.

Na szczęście orientacja w statku matce wydała się Hugonowi łatwiejsza, przeciął więc gigantyczny hol z górującą nad nim antresolą, która prowadziła do akwarium, lecz zamiast wspiąć się po masywnych schodach, zszedł na dół. Mosiężne płytki bawiły się w Tomcia Paluszka, oznaczając drogę do SPA, i wkrótce Hugonowi nie pozostało nic innego, jak podążać ścieżką, by dotrzeć do szatni, gdzie mógł się przebrać. Tutaj dalekiemu szumowi wentylacji towarzyszył mechaniczny warkot urządzeń wodnych i ciepłowniczych, co miało tę zaletę, że zakłócało idealną ciszę panującą w pozostałej części ośrodka. Hugo uznał te odgłosy w tle za kojące.

Kiedy wkroczył na pływalnię, zaparło mu dech.

Całość zbudowana była głównie z grubego i doskonale przezroczystego szkła, za którym roztaczał się przepiękny widok na Alpy. Kraniec zbiornika przylegał do szklanej ściany, pozwalając pływakowi widzieć albo być widzianym z zewnątrz, nawet jeżeli zanurzył się do samego dna.

Hugo rzucił ręcznik na plastikowe krzesło i stopniowo wszedł do wody, która nie była zbyt ciepła. Jego ciało stawiało opór przed pierwszymi ruchami żabką, po czym poddało się dotykowi wody i całkowicie względnemu wysiłkowi.

Dopłynąwszy do końca basenu, Hugo oparł się dłońmi o szkło i zanurzył twarz w letniej wodzie, wstrzymując oddech, aż na powierzchni pozostały tylko oczy. Krajobraz go hipnotyzował. Podobnie jak pewnie wszystkich, którzy byli tu przede mną. Hugo wyobraził sobie ziemię, która karmi się emocjami. W takim miejscu ziemia ta miała jedzenia pod dostatkiem – wystarczyło tylko nieustannie zapewniać jej strumień pływaków.

Nie jestem pewien, czy dam radę się zdystansować od tej myśli i przekuć ją w powieść. Szkoda...

Hugo wynurzył nos, by zaczerpnąć tchu.

Teraz rozumiał, dlaczego Lily i Alice radziły mu tu przyjść. Do poprzedniej dołączyła kolejna myśl: popluskanie się tutaj z jedną z nich dobrze by mu zrobiło. Po kręgosłupie przebiegł mu dreszcz podniecenia, natychmiast zduszony przez cień poczucia winy.

Są śliczne, dlaczego miałbym sobie zabronić myślenia o tym i w ogóle wzięcia pod uwagę, że mogą mi się podobać?

Ponieważ dopiero co przeżył zerwanie? Bo rozstanie sprawiło, że stał się pusty w środku, zakwestionowało go całkowicie? To była prawda. Tylko że to się wydarzyło trzy miesiące temu. Nawet wcześniej... Niedługo miną cztery. Manipulował liczbami, zyskując co najmniej dwa tygodnie, co w gwałtownym przebłysku szczerości przed samym sobą kazało mu przyznać, że szuka wymówek. W rzeczywistości sytuacja była bardzo prosta: jego instynkty się budzą, umysł zdążył się już częściowo pogodzić, w każdym razie wystarczająco, by dopuścić do głosu tę jego sferę. Gorąco pragnął poczuć czyjeś ciało przy swoim, osiąść je, zatracić się w nim, brać, dawać, czuć... Słowa te wywołały lekkie zwątpienie, odrobinę lęku. W gruncie rzeczy może wcale nie był gotów. Fizyczne ciepło, bliskość, rozkosz, owszem, ale sam akt wymagał minimum pewności siebie. Czy ją odzyskał? Nie kochał się z inną kobietą niż Lucie od... siedmiu lat. Właściwie ośmiu i nawet nie pamiętam imienia jej poprzedniczki. W ulotnym przebłysku mignął mu obraz zwisającego z kącika ust papierosa, który omal nie wypadł. Berenice. Wieczorem, kiedy ją poderwał, jej wargi smakowały brzoskwinia, to pozostawiło w nim niezatarte wrażenie. Dziewczyna na jedną noc. Nadzieja. Prędko zgasła. Doskonale pamiętał obrzydzenie nazajutrz rano. Jej zapach, który mu przeszkadzał, mleczne ciało, szerokie sutki, które go drażniły. Poranny pet, który trzymała bezwładnie w ustach, ani razu na mnie nie patrząc. Dzisiaj zapewne jakiś inny mężczyzna kocha tę kobietę z tych samych powodów. Ale nie on. Sam nie wiedział dlaczego. Nigdy więcej się nie spotkali.

Skończył pokonywać długości basenu, aż poczuł się na wskroś uwolniony, i wrócił do apartamentu, tym razem nie myśląc drogi, po czym wziął wrzący prysznic.

Wczesnym popołudniem, po zjedzeniu posiłku w towarzystwie połowy załogi, ponownie udał się do statku matki, tym razem na górę,

i zainstalował w akwariium, długim przytulnym salonie, gdzie w zimowe miesiące gromadzili się klienci poszukujący przyjaznego miejsca, żeby pogadać albo poczytać. Tylko że o tej porze roku Hugo czuł się jak pięciolatek w koszuli ojca grubasa. Jego kroki stukały na parkiecie, aż do mięsistego dywanu, zapowiadając, że nadchodzi.

W jednym z dwóch kominków trzaskał ogień, mimo że obok nie było nikogo poza nim. Zerknąwszy kilkakrotnie w kierunku licznych kanap i zakamarków i nie dostrzegłszy niczyjej obecności, Hugo wzruszył ramionami i rozwalił się na zasłanej poduszkami leżance niedaleko ognia. Roztaczał się stąd niemal identyczny, zatem oszałamiający widok jak z basenu – tylko niżej – toteż musiał siłą oderwać wzrok, żeby otworzyć laptop. Przepustowość wi-fi była daleka od światłowodowej, ale na jego potrzeby spokojnie wystarczy. Rozprostował palce, aż zatrzeszczały, i zabrał się do dzieła.

Kolej na nas, Lucienie Strafa.



## 12.

Kiedy Hugo wpisał w przeglądarkę Google „Lucien Strafa”, zdumiała go liczba wyników. Lily wcale nie zrobiła go w trąbę – ten człowiek nie tylko istniał, ale był o wiele bardziej sławny niż mnóstwo współczesnych tandetnych gwiazdek wirtualnego świata. Miał nawet własne hasło w Wikipedii, Świętym Graalu cyfrowej rozpoznawalności. Przed przeczytaniem Hugo pragnął zobaczyć. Jednak po kliknięciu w zakładkę „Grafika” stwierdził, że nie ma tam nic nadzwyczajnego. Jakieś piętnaście powtarzających się w kółko zdjęć, większość zrobiona ukradkiem, bez zgody zainteresowanego, na ulicy, w teatrze albo na schodach domu, do którego spieszył. Stare fotografie, niekiedy rozmazane z powodu ruchu, charakterystyczne dla kliszy.

Strafa miał na nich około trzydziestki, ciemne włosy, zapadnięte policzki, sterczące brwi i wysokie czoło. I zgodnie ze słowami Lily jego oczy potrafiły zapaść w pamięć. Czarne. Świdrujące. Na nielicznych ujęciach, kiedy patrzył w obiektyw, jego źrenice wchodziły w aparat, umyślnie zapisywały się na filmie, było to spojrzenie, które nie pozwalało się uchwycić, lecz samo się narzucało. Przenikając na wskroś tego, kto spoglądał na Strafę. Nie była to zależność oparta na sile, to była zależność oparta na oczywistej uległości. Jak tylko człowiek popatrzy w te oczy, od razu im ulega.

Tło nigdy nie było identyczne, podobnie jak nieliczni osobnicy, uchwyceni na kliszy w przelocie wraz ze Strafą. Z wyjątkiem dwóch fotografii. Hugo rozpoznał na drugim planie tego samego mężczyznę. Młody. Mniej niż trzydzieści lat, chudy, uciekający gdzieś wzrokiem. Pospolita twarz, której Hugo nigdzie indziej nie widział. Jego agent.

Wszystkie zdjęcia pokazywały Strafę w tym samym przedziale wiekowym poza jednym, zrobionym dla „France-Soir” do artykułu zatytułowanego Skąd się wziął czarodziej Lucien Strafa?, którego autor zdołał uwiecznić iluzjonistę, kiedy był młodszy. Strafa nie skończył na nim

jeszcze trzydziestki, rzecz jasna miał na skroniach więcej kruczoczarnych włosów, mniej surowy wyraz twarzy, za to już tryskał magnetyzmem.

Ma wzrok szaleńca, który wie, co robi.

Hugo postanowił rozpocząć poszukiwania od gazety. W gruncie rzeczy „France-Soir” niewiele o nim wiedział. Urodzony we Francji, chociaż nie udało się ustalić, gdzie dokładnie, jednak, dorastał w skromnej rodzinie włoskich imigrantów. Jego nazwisko pozostało nieznane aż do kwietnia 1970 roku, kiedy to jego pierwszy występ w Eldorado, w paryskiej X dzielnicy, z miejsca zrobił furorę. Trudno było prześledzić jego wcześniejszą drogę poza tym, że produkował się w małych salkach, niektórzy świadkowie twierdzili, że już go widzieli na scenie, ale nie bardzo go pamiętali, ot „magik” jak tylu innych.

Hugo przewijał wszystkie linki podsuwane przez Google i klikał na to, co przykuło jego uwagę.

Wokół niego drewno akwarium co jakiś czas trzeszczało, tak jakby budynek właśnie się przeciągał.

Powoli powstał portret mężczyzny. Podejrzewano, że zatarł wszelkie ślady po swojej przeszłości, zwłaszcza po publicznych występach przed kwietniem 1970 roku. Potem jego życie stało się pasmem triumfalnych tournée, krzyczących nagłówek i niespokojnych zachwyków. Wiele osób zarzucało mu zbyt upodobanie do makabry, do pogrzebowej prowokacji i do sztuczek „za bardzo widowiskowych, żeby bawić”, i uznawało, że powinno się ich zakazać „wrażliwym kobietom, a już na pewno nie uczyć dzieci jego imienia”, a wszystko to w patriarchalnym, typowym dla epoki stylu. Hugo dostrzegał jednak za tymi nagłówkami wątpliwości, niekiedy zakłopotanie. Dziennikarze, którym udało się obejrzeć przedstawienie, wspominali o chwili poza czasem, o „coraz bardziej duszącym oniryzmie”, gdy sen przed końcem przeradza się w koszmar. Jeden z nich twierdził, że podano mu narkotyki, aby jego „pamięć przesiąkła niemożliwą magią”, podobnie jak całej publiczności, i że należy zabronić Lucienowi Strafie występów, ponieważ usypia zmysły i uwodzi organizmy wbrew ich woli.

Na jakimś tajemniczym blogu fana iluzjonisty, który zbierał artykuły i opowieści z pierwszej ręki na jego temat, Hugo wyszperał niemal fantastyczny opis początku spektaklu Strafy, stanowił on wzór. Wszystko to wydawało się tak dziwaczne, nieprawdopodobne, że można było to uznać za fikcję. Podczas pokazu ludzie z emocji krwawili z nosów. Opowieść

kończyła się następująco: „To był zaledwie początek przedstawienia”. Ciąg dalszy nastąpi!

Z bardzo nielicznych wywiadów, jakich udzielił, praktycznie niczego nie można się było dowiedzieć. Strafa robił celowe uniki, kierował rozmowę na tematy, które go bawiły. Metafizyka. Istnienie „równoległej przegródki”, gdzie łączą się duchy zmarłych, z których nadal czerpie energię do swoich sztuczek. Strafa kształtował własny wizerunek, wyostrzony, drobiazgowy, głęboki. Nawet w jego sposobie mówienia było coś staroświeckiego i delikatnego, jakby czytał z książki. Nigdy jednak się nie otwierał. O sobie prywatnie nie mówił nic.

„Plotka” pojawiła się w połowie lat siedemdziesiątych, gdy Strafa był już międzynarodową gwiazdą i krążył od kraju do kraju. Po tym, jak z inicjatywy „Parisien libere” i „Europe no 1” powstały komitety naukowe skupiające ekspertów w rozmaitych dziedzinach, aby przeanalizować opisy jego najbardziej niewiarygodnych sztuczek, i doszły do wniosku, że przy obecnym stanie wiedzy nie da się ich wytłumaczyć. Jakiś polityk (najwyraźniej związany z chrześcijańską prawicą) obwieścił, że jedyne możliwe wyjaśnienie jest takie, że Strafa sprzedał duszę diabłu za sukces. Wprawdzie w innych czasach twierdzenie to wydałoby się śmieszne, większość tych, którzy je rozpowszechniali, widziała Strafę na scenie i wcale nie było im do śmiechu. Po prostu chcieli zrozumieć. Chcieli, żeby ich ktoś uspokoił.

Szeptano najpierw w Paryżu: Strafa ma krew na rękach. Oczywiście krew niewinnych. „I podpisał pakt, zanim ich serca zdążyły ostygnąć!”, dało się słyszeć w pewnych tradycyjnych salonach. Chodzenie na jego występy oznaczało kwestionowanie tej odrazy. Opłata za bilet równała się opłacie za podróż w jedną stronę do piekła. Intryga, uknuta głównie przez chrześcijańską prasę i polityków tej opcji, rozwijała się przez cały 1975 rok, a w kolejnym, gdy magik wrócił z Ameryki, opanowała całą Francję. W tym okresie życia Lucien Strafa nie udzielał już żadnych wywiadów i odmówił reakcji na polemikę. Zamiast tego przed Bożym Narodzeniem oświadczył, że rozpoczyna zupełnie nowe przedstawienie, zatytułowane prowokacyjnie „Kolekcjoner dusz”.

Sale pękały w szwach, plan tournée był gotowy jeszcze tego samego dnia, gdy ruszyła sprzedaż biletów, podobnie jak w przypadku wszystkich poprzednich. Lucien po raz kolejny objeżdżał świat aż do roku 1978, kiedy to dał ostatni występ, tam, gdzie wszystko się zaczęło, w Eldorado.

Zdaniem wybrańców losu oglądających go owego wieczoru po zakończeniu ostatniej sztuczki zwrócił się do widzów, podziękował, że tak mocno osłodził mu życie, powiedział, że nasycił się ich przerażeniem i że teraz musi nastąpić koniec magii. Mówiąc to, długo wpatrywał się w publiczność, aż część osób poczuła się źle, po czym posłał jej okrutny uśmiech, strzelił palcami i... zniknął. Rozbłysły światła, scena była pusta i nastąpił kres Luciena Strafy. Nigdy więcej go nie widziano.

Nigdy, przenigdy.

Jakiś nadgorliwy dziennikarz policzył, że był to sześćset sześćdziesiąty szósty występ magika. Zapisał to wielokrotnie, pod różnymi postaciami: 666. Liczba diabła.

O Strafie można było powiedzieć przynajmniej tyle, że dbał o szczegóły i potrafił urządzić prawdziwy show. Sława zdążyła się już ugruntować, teraz narodziła się legenda.

Hugo podniósł głowę znad komputera z obolałym karkiem. Spędził nad laptopem kilka godzin, całkowicie pochłonięty. Jak mógł nie wiedzieć o istnieniu takiej historii?

Z drugiej strony chociaż mężczyzna był bardzo popularny w okresie swojego królowania, jego nagłe wycofanie się wprawdzie wywołało mnóstwo pytań, pozbawiło go jednak zarazem zainteresowania w epoce, kiedy nie istniał internet, toteż ślad po nim zachował się wyłącznie dzięki wysiłkom archiwizacyjnym. Pokolenie rodziców Hugona musiało go znać, tak jak on znał Davida Copperfielda. Tylko że to nie wystarczy jako wyjaśnienie, ocenił Hugo.

Został wymazany celowo.

To nie budziło żadnych wątpliwości. Nie da się wykasować takiego sukcesu, za to przy silnej woli politycznej, z pomocą paru konserwatywnych potentatów prasowych nieprzychylnych temu, co reprezentował Strafa, istniała możliwość pozbawienia jego nazwiska splendoru. Po prostu należało więcej go nie wymieniać. To nie było kłamstwo, jeszcze mniej spisek na szeroką skalę, zaledwie postanowienie, by więcej o nim nie mówić. Zamknięty temat. Dziękuję. Następny, proszę.

Strafa w jednakowym stopniu oszołomił i wystraszył swoich widzów, kwestionując ich pewniki, i wielu z nich chciało o nim zapomnieć, aby nie zadawać sobie więcej dziwnych pytań na jego temat, na temat tego, co wyczyniał na ich oczach, na temat tego, jaki to może mieć wpływ na rządzące światem prawa fizyczne, o których sądzili, że je znają.

Może to zbyt daleko idące wnioski, zganił sam siebie Hugo. Mimo to czuł, że trzyma niemal w garści coś, co nie jest znów takie dalekie od prawdy.

Lucien Strafa nie pojawiał się w żadnej książce historycznej, w żadnej księdze rekordów, w niektórych pamiętnikach znalazły się ledwie wzmianki o nim. Oczywiście były próby odnalezienia go pod koniec lat siedemdziesiątych, a nawet człowiek, którego Hugo uznał na fotografiach za jego agenta – istotnie okazał się jego impresariem – utrzymywał, że nic nie wie, był tak samo bezradny jak dziennikarze czy publiczność. Val Quarios stanowiło nadal pilnie strzeżoną tajemnicę. Hugo przypuszczał, że skoro niektóre języki po kilkudziesięciu latach w końcu się rozwiązały, Strafa już nikogo nie interesował. Czyżby jego obecność tutaj nadal była sekretem? Być może. Małą tajemnicą. Z rodzaju tych, które można dzielić z dobrze poinformowanymi, jak to zrobiła z nim Lily.

Tylko że jesteś tu dopiero od trzech dni... i ty mówisz o dobrze poinformowanych?!

Czyżby miała zbyt długi jęzor? Nie, nie była z tych. Hugo miał spędzić tutaj prawie pół roku, Lily wiedziała, że temat wypłynie i że prędzej czy później będzie trzeba wyjaśnić istnienie zameczku na odludziu, nieobecność właściciela – po prostu zbyt pośpiesznie mu zaufała. I to nie z powodu mojego seksapilu, mam tego świadomość.

Zatem nie, to już nie była tajemnica. Tylko fakt, który cały świat zewnętrzny miał gdzieś.

Hugo wyobraził sobie nagłówek: Stary właściciel usytuowanego na pustkowiu ośrodka narciarskiego bliskiego zamknięcia był wielkim magikiem... czterdzieści lat temu!

Dobre dla „Nowego Detektywa”. W ostateczności dla „Ici-Paris”.

Tylko że to nie była cała prawda. Nie, nie wielkim magikiem.

Z tego, co wyczytał, nie istniały żadne wątpliwości: Lucien Strafa był największy. Był największym magikiem ze wszystkich i największym magikiem wszech czasów. Bił wszystkich na głowę.

Hugo podniósł się z kanapy, jęknął, rozciągając zdrętwiałe i obolałe kończyny, po czym podszedł do jednej z długich przeszklonych ścian otaczających akwarium.

Za Tetrykiem ukazał się zameczek, uczepony występu, na całej wysokości skarpy okolony drzewami iglastymi. Hugo uzmysłowił sobie, że można go zobaczyć z każdego miejsca ośrodka. Czyżby to było

zamierzone? Żeby jego właściciel miał lepszy widok na własne królestwo... Albo żebyśmy pamiętali, że on tam jest i na nas patrzy.

Hugona ogarnęła wściekłą chęć, by się tam wspiąć. Czego miałyby się obawiać? W najgorszym razie nikt mu nie otworzy. Albo mnie spuści ze schodów.

Tym bardziej że nikt nie zakazał mu tam chodzić.

Niebo miało zachęcająco niebieską barwę, całą straż stanowiło zaledwie parę szybujących po nim drapieżników.

Hugo nie był przekonany. Ochota to jedno, ale jakiś głos szeptał mu, że to nie jest dobry pomysł. Czuł się jak w jednym z komiksów o Tintinie, kiedy do jednego ucha psa Milusia przemawia aniołek, a do drugiego diabełek, próbujące wyrzeć na niego wpływ.

Żaluzje są opuszczone. Śpi.

Tylko jeden wypad. Żeby rzucić okiem.

Jaskinia Luciena Strafy, największego magika wszech czasów. Iluzjonisty. Na ogół właśnie tak mówili o nim dziennikarze.

Albo nazywali go „wysłannikiem Szatana”.

Hugo już zmierzał ku schodom.

## 13.

Budynek C uwziął się na niego.

Hugo nie potrafił inaczej wytłumaczyć, dlaczego nie jest w stanie odnaleźć właściwej drogi dwa razy z rzędu. C jak Cholera. Cymbał. Cep.

Ślepa uliczka.

Szlag!

Dwukrotnie próbował dostać się na drugie piętro, zanim udało mu się w końcu zanieść laptop do pokoju.

Gdy wypadł na zewnątrz, zawahał się, czy nie pognać do przodu, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. To by pociągnęło za sobą długi marsz przez łąkę na wschód, a zatem na otwartej przestrzeni, w samo popołudnie, a tylko tego brakowało, żeby połowa personelu wsiadła mu na głowę, bo ośmielił się zakłócić spokój gospodarzowi. Sprawa należała do delikatnych, Lily dała mu to wyraźnie do zrozumienia, nie chciał kłopotów, po prostu pragnął zaspokoić usprawiedliwioną jego zdaniem ciekawość.

Nikommu nie będę przeszkadzał, tylko rzucę okiem, a jeżeli on tam będzie, na widoku, ewentualnie się przywitam, żeby wy badać teren. To ludzkie, a nawet bardzo uprzejme, powiedział sobie.

Nie, jedyne, co mógł zrobić, to wkroczyć do Tetryka, zejść po jego kręgosłupie, znaleźć dostęp do podziemi i wydostać się przez garaż. Potem może przeciąć las wzdłuż zbocza prosto do zameczku, w dodatku niezauważony przez nikogo.

Nawet przez niego, o ile szpieguje.

Równie dobrze Hugo mógł spróbować wejść pod jakimś wymyślonym pretekstem, chociaż sam nie wierzył, że to się uda...

Główne drzwi do Tetryka nie były zamknięte na klucz. Właśnie tę i parę innych zasad wyjaśniła mu pierwszego dnia Lily: tutaj niczego nie zamyka się bez ważnego powodu, ponieważ są tylko oni, czyli nie ma złodziei.

Szary hol przypominał kryjówkę pajaka giganta. Wszędzie wisiły brudne, lekko przezroczyste płachty, niczym pajęczyna gotowa na

schwytnie nieostrożnego gościa. Żadnej staromodnej wykładziny, mebli z lat siedemdziesiątych ani lady przy wejściu. Wszystko zostało zdemontowane. Przygotowania do robót, ale jeszcze nic niezrobione, a tym bardziej nieskończone. Z rowków w części ścian zwisały peszle i plastikowe rury, wyglądające jak przecięte, puste żyły. Lampy sufitowe usunięto, poskręcane przewody sterczały jak nerwy po wyłupieniu gałek ocznych. Nie było więc oświetlenia poza tym ze świetlików, z których blask wlewał się na trzy piętra przez antresolę, ciągnącą się bez końca wzdłuż całego monstrum. Nie była to idealna sytuacja, ale w to późne popołudnie Hugo widział wystarczająco dobrze, żeby się rozeznać. W podziemiach będzie gorąco! Nie zabrał telefonu na wszelki wypadek, chociaż i tak nigdzie nie było zasięgu, przyzwyczał się, by zostawiać go w pokoju. Trudno, da sobie radę.

Hugo przekroczył kilka zwojów czegoś, co uznał za dywany – które pewnie niedawno przyjechały na przyczepie trzydziestotrzytonowca – i wszedł na „główny dziedziniec”. Zgodnie z jego przewidywaniami po odkryciu Wielkiego B, z rzędami balkonów i drzwi, wszystkich wychodzących na patio, miejsce przypominało więzienie. Brakowało tylko siatek zabezpieczających i judaszów. Tutaj przynajmniej nie mógł się zgubić, prowadziła prosta droga i nie było innej możliwości wydostania się stąd.

Kolejne szare płachty wydawały piwniczne odgłosy, unosząc się niedbale pod wpływem przeciągu, którego Hugo nawet nie czuł. Apartamenty pozostawały otwarte, lecz dostępu do nich broniły leniwie przezroczone plandeki. Hugo zaglądał do każdego po kolei, nie mogąc się powstrzymać, by nie zadać sobie pytania, jak by zareagował, gdyby za progiem ujrzał czyjąś postać, choćby i widziany pod światło cień. To zależy, czyby się poruszała jak zombie, czy to by był ktoś z naszych...

Skąd mu się wzięły takie pomysły? Wiecznie wykracza poza rzeczywistość, zapełnia luki, przeczuwa najgorsze, najczęściej same horrory... Gdyby mój umysł nie był taki zboczony, nie mógłbym pisać. Właśnie z takich pokreconych wizji rodzą się powieści. Inaczej byłyby w nich po prostu świat, który znamy, mdły, niepotrafiący zaskakiwać, banalny aż do porzygania.

Przynajmniej był pozytywny...

Wtem jedna z płacht załopotiała donośniej niż inne, aż Hugo podskoczył. Kurwa, to tylko zwykłe cholerstwo do prac remontowych, wyluzuj! Łatwo



powiedzieć... Z antresoli dobiegło zwielokrotnione echo podobnych dźwięków.

Hugo zaczął wątpić w swoje przedsięwzięcie, kiedy dotarł na koniec Tetryka, pod wysokie okna wychodzące na dolinę. Na kolejne poziomy można się było dostać windami – te zignorował – i ruszył schodami. Po kilku stopniach światło dzienne jęło blednąć. Z każdym krokiem coraz bardziej zanurzał się w mrok. Na ostatnim biegu schodów pograży się w zupełnej ciemności. Hugo był na siebie zły, że nie zabrał telefonu, choćby tylko na ten spacer. Zwolnił i dotknął opuszkami palców ściany, by wiedzieć, dokąd iść. Przecież jesteś dużym chłopcem, to śmieszne, czego ty się boisz?

Nie potrafił wytłumaczyć swojego lęku. Niepokój był instynktowny. Czy właśnie to odczuwa owad przed zbliżającą się dziurą, w której czają się wielkie włochate pająki? W ogóle nie zdając sobie sprawy z obecności bezwzględnych drapieźników, które czyhają nieruchomo, zaledwie kilka kroków dalej, no jazda, zbliż się, jeszcze troszkę, tylko tyle, żebym na pewno cię dopadł, żebym zanurzył moje szczękoczułki w twoim chitynowym pancerzu, żebym go przebił i wsączył jad, a wtedy twoje wnętrzości zaczną się rozpuszczać, a ja z lubością wessę twój sok, podczas gdy ty będziesz się wił w konwulsjach, jeszcze żywy, w pełni świadomy istnienia mnie, olbrzyma, który cię pożera.

Znów ta chora wyobraźnia, która szaleje w najgorszych momentach.

Hugo prawie nie posuwał się naprzód. Jeszcze nie przeniknął do strefy całkowicie pozbawionej choćby odrobiny światła, znajdującej się jakieś pięć, sześć stopni niżej.

Postawił stopę na kolejnym schodku. Własna ślina wydała mu się bardziej gęsta, trudniejsza do przełknięcia. Odwaliło ci czy co? W wieku trzydziestu czterech lat? Boisz się ciemności?

To nie do końca było tak.

Coś mu się nie podobało w tym nieokreślonym odrętwieniu.

Coś w tym miejscu nie grało. Coś nie gra we mnie, tak!

Zmusił się, by zanurzyć się głębiej. Jeszcze jeden stopień. Zrobiło się trochę chłodniej. I bardziej wilgotno.

Powieściopisarska wyobraźnia pracowała teraz na pełnych obrotach. Podszeptowała, że pająk jest tuż-tuż, właśnie rozprostowuje pozbawione mięśni nogi, otwiera szczękoczułki, na których krańcu znajduje się kropla

jadu, czeka już tylko na jeden krok albo dwa, by wyskoczyć z kryjówki i zwabić go ku powolnej i okropnej śmierci. Żeby cię zjeść.

Hugo westchnął, zmęczony własnym obłędem. Nie posuwał się już jednak do przodu. Kompletnie mi odbiło.

Bał się. Był to dziecienny strach, którego się wstydził. Jeżeli zrezygnuje, poczuje się upokorzony. Po co to wszystko? To było nierozsądne.

„Zbliź się. Dalej, ostatni maleńki wysiłek. Zrób to. Dla siebie. Aby sobie udowodnić, że potrafisz... Aby nie skończyło się porażką... Jeszcze jeden. Chodź”.

Hugo wyciągnął nogę, gotów ją opuścić. „Tak, dobrze... Jazda, postaw ją... Zrób to. Tylko tę stopę i wystarczy...” Miał wątpliwości. Dziecięce mrzonki, na których się oparł, szarpały go z oszalałą energią. Chyba nie zrezygnuję dlatego, że...

– Cykor – powiedział ledwie dosłyszalnie.

Odzywając się w tej pustce, miał wrażenie, jakby przebił bańkę, zapalił pochodnię tuż przed sobą, wskazał ciemnościom swoje dokładne położenie. Wyobraźnia podsunęła mu wszelkie możliwe plugawe istoty, które wyłaniały się z mroku i pędziły ku niemu. Wygłodniałe.

A jeśli to nie moja wyobraźnia, tylko szósty zmysł? To było groteskowe. Bardzo śmieszne. A jednak jego stopa zamarła w powietrzu. Jeszcze jej nie postawił na kolejnym stopniu.

„Jazdaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa! Chodźże, mówię! Zrób to! Dla sie... Dla mnie. Jestem głodny!”

Przez całe życie Hugo miał zwyczaj działać. Podejmować decyzję, trzymać się jej, nie zwlekać bez końca. Niekiedy pod wpływem impulsu, co nie zawsze wychodziło mu na dobre, ale czasami obracało się na korzyść. Normalnie się nie wahał. Coś tam, na dole, w ślepych podziemiach się niecierpliwiło. To ta twoja pieprzona powieściopisarska wyobraźnia, nic innego.

Lecz jak tylko się cofnął, zawładnęło nim poczucie ulgi przynoszące wolność. Tuż po nim pojawiło się coś innego, o wiele bardziej niepokojącego: gula, która rosła w nim z zawrotną szybkością, on zaś wiedział, że jej wybuch go powali. Panika. Wznosiła się z samej głębi, z odruchów, kiedy był dzieciakiem. Nie, niezupełnie... Z instynktów.

Ponieważ odmawiał. Ponieważ pająk w swojej dziurze go wyczuje, a dla niego to była najodpowiedniejsza chwila – teraz albo nigdy – żeby skoczyć i go capnąć, zanim zdąży uciec, zaraz runie, dwiema olbrzymimi łapami

zagrozi mu drogę z tyłu, wysuwając nad nim obrzydliwy brzuch, reszta utworzy klatkę, po czym pająk rzuci się, żeby... Cię zjeść.

Hugo przeskoczył dwa stopnie, po czym dwa następne, uczepił się poręczy, żeby się wydostać, i dopadł do parteru, zanim dziecięcy strach zmusił go do płaczu. Obejrzał się na pogrążone w głębokich ciemnościach schody.

Nie poruszał się tam żaden cień. Cholerna fantazja!

Frustracja. Oto co kipiało u stóp schodów. Złość też. I głód jak diabli!

Hugo miał ochotę wyjść. Znów poczuć słońce na skórze, odegnąć szkodliwe myśli, które wypływały nie wiadomo skąd... Czyżby gdzieś w jego korze mózgowej istniał jakiś zbiornik, czerpiący z najczarniejszych otchłani jego rozwoju, który zapomniał opróżnić, kiedy dojrzał? Błyskawiczny dostęp do całego błota świata, jakie zgromadził, zmiksowanego i zmieszanego ze wszystkim, co hipotetyczne, żeby nadać mu dokładniejszy kształt? Przed takim zbiornikiem powinna widnieć tablica z czerwonym napisem: „Uwaga, płynne okropności, które mogą wystąpić z brzegów, zakaz wstępu”. Jeżeli tak było, podejrzewał, że wycieka. Od dawna. I że poplami jego życie swoją czarną substancją. Robi to od zawsze.

## 14.

Adele Morisse zajmowała mały gabinet urządony na ostatnim piętrze statku matki. Jego maleńkie okno przypominało raczej bulaj i zmuszało ją do zapalania lampy natychmiast po przyjściu rano, nawet gdy była piękna pogoda. Z biegiem lat ozdobiła pokój rysunkami, które otrzymała w prezencie od dzieci zimowych gości (zdarzało się to rzadko, jako że stanowisko sekretarki stwarzało okazję do bardzo nielicznych kontaktów) lub pozbierała porzucone ze stołów w świetlicy, w jednej z restauracji czy w pokojach. Siłą rzeczy dla personelu stało się to rytuałem – każdy wiedział, że Adele chce mieć dziecięce rysunki, więc każdy je dla niej odkładał. Poza bezpośredniością i artyzmem bez upiększeń obrazki te miały w sobie coś fascynującego – ukazywały świat taki, jakim widziały go dzieci, bez makijażu ani hipokryzji. Dokładnie takie było ich przeznaczenie. Czyżby je zgubiono? Zapomniano? Zostawiono celowo? Wyrzucono? Adele mogła je oglądać kolejno przez godzinę, zastanawiając się nad każdym z nich, szukając odpowiedzi w tym, co miała przed oczami: w bałwanie z za długimi rękami, o niemal krwiożerczym uśmiechu; w rodzinie, w której każdemu członkowi przydzielono własne pstre kolory z wyjątkiem malutkiego taty, narysowanego wyłącznie czarną kredką; w narciarzach pędzących samotnie nad przepaścią; nawet w tym, jak Val Quarios postrzegła siedmio- czy ośmioletnia dziewczynka – co ciągle w jakiś sposób było bardzo prawdziwe.

Adele kolekcjonowała te obrazki, ich stosy leżały w trzech szafach naprzeciwko wejścia do jej roboczej przestrzeni, ogromną przyjemność sprawiało jej przeglądanie ich, przynajmniej po każdej zmianie pory roku, i wybieranie tych, które powiesi na ścianie i które schowa. Właśnie sortowała obrazki na koniec wiosny – tym razem nieco się pospieszyła – gdy do drzwi zapukał Hugo.

– Dzień dobry – powiedział. – Rano znalazłem w drzwiach kartkę, żebym do pani wpadł pod koniec dnia.

– A, to pan jest Hugo, proszę wejść, niech pan siada. Miło mi, jestem Adele, sekretarka Philippe’a.

Jej wygląd działał kojąco, przypominała do złudzenia Ruth Fisher z serialu „Sześć stóp pod ziemią”. Ta sama pociągła, łagodna twarz, ciepłe niebieskie oczy i aureola włosów wpadających w wenecki blond.

– Chciałam się z panem zobaczyć, żeby podpisać umowę. Najwyższy czas, w pańskim przypadku nic nie zrobiliśmy jak należy.

Hugo usiadł naprzeciw niej, zafascynowany zestawem naiwnych i jaskrawych obrazków pełniących funkcję tapety.

– Zwykle – ciągnęła Adele – jesteśmy trochę bardziej formalni, ale nie wiem, co się stało, Philippe powinien był panu dać papiery zaraz po pańskim przyjeździe i... O, zdecydowanie nie mogę ich znaleźć.

Poderwała się z miejsca niczym wulkan energii i przeszukała biurko.

– Zaaklimatyzował się pan, panie Hugonie? – odwróciła się czym prędzej twarzą do niego. – Pozwoli pan, że będę się do pana zwracać w ten sposób, prawda? Myśli pan, że się panu u nas spodoba?

– Trzeba by mieć trudny charakter, żeby się skarżyć.

– Och, wie pan, to nie wszystkim pasuje. Odosobnienie, bliskie sąsiedztwo ludzi...

– Cały ośrodek na piętnaście osób to dla mnie nie jest bliskie sąsiedztwo – sprostował Hugo.

– Bardzo słusznie. Wie pan, po dłuższym czasie człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego. Ośrodek nie wydaje mi się taki znów wielki...

Otwierała szuflady i lustrowała je z szybkością zaprawionej w bojach urzędniczki.

– Od dawna tu pani jest? – zdobył się na odwagę Hugo.

– Wystarczająco, żeby przestać liczyć.

W oczach Hugona pojawił się błysk zaciekawienia.

– W takim miejscu jak to muszą się dziać różne rzeczy. Pewnie ma pani cały zapas zabawnych historyjek do opowiadania.

Adele przerwała poszukiwania, podniosła głowę i zastanawiała się przez moment.

– Prawdopodobnie... Tylko że marna ze mnie gawędziarka. Philippe jest o wiele lepszym mówcą ode mnie. Gdzie, do licha, są te umowy? Przecież wczoraj je widziałam!

Doznawszy nagłego olśnienia, strzeliła palcami i pognała do przeciwległych drzwi, a gdy je otworzyła, ukazał się za nimi kolejny,

obszerniejszy gabinet. Bez wątpienia należący do dyrektora. Adele uniosła stertę papierysk w rogu blatu, pośliniła kciuk i zabrała się do przeczesywania kartek.

– Jak nic pomieszał je z bieżącymi dokumentami. Właśnie dlatego zapomniał o nich w czwartek wieczorem.

Hugo natychmiast go zauważył: oprawiony w starą ramę afisz Luciena Strafy. W najczystszyim stylu iluzjonistów z początku XX wieku, w niemodnych kolorach, w całości narysowany. Strafa został przedstawiony w czarnym kostiumie, w żabim oku, żeby zrobił silniejsze wrażenie, z dłonią otwartą ku widzowi, z przenikliwym wzrokiem, jakby rzęsy miał podkreślone mascarą. Nawet slogan reklamowy przesadnie krzyczał: „Pokaz niemożliwego, który wyrwie wam z piersi okrzyki zdumienia”.

– Mam! – zatriumfowała Adele, potrząsając plikiem papierów.

Hugo skorzystał ze sposobności, by wskazać afisz.

– Bardzo piękny.

– Ach, to. Zna pan?

– Kto nie zna Strafy?

Adele nie kryła zdziwienia.

– W pańskim wieku? Myślałam, że wszyscy o nim zapomnieli...

– Nadal jest legendą.

– Tak... No cóż, niech pan przy okazji wspomni o nim Philippe’owi, on siedzi w temacie. Normalnie powinnam pana namawiać do przeczytania wszystkiego od deski do deski, ale dobra, skoro powinny być podpisane, zanim rozpoczął pan pracę, lepiej żeby się pan za bardzo nie guzdrał...

Położyła przed nim wszystkie trzy egzemplarze wydrukowane z komputera, dołączyła długopis i zapytała:

– Woli je pan zabrać do pokoju i przejrzeć? W takim razie musiałyby mi je pan prędko zwrócić, żeby wszystko było jak należy...

– Nie, w porządku.

Hugo parafował każdą stronę, nie tracąc czasu na rozszyfrowywanie prawniczego bełkotu, sprawdził tylko paragraf dotyczący wynagrodzenia. Wszystko wydało mu się akuratne, toteż na końcu złożył podpis.

– Świetnie – zawołała Adele. – Oficjalnie jest pan jednym z nas. Bardzo się cieszę. Niczego pan nie potrzebuje?

– Nie, Lily pokazała mi już z grubsza urządzenia, a nawet ofiarowała kosz powitalny, żebyim mógł spokojnie zrobić zakupy.

– Ach, to nasza perła. Chciałabym więcej takich jak ona. Może pan tu robić, co pan chce, ale proszę jej nie zepsuć, jasne?

Hugo uznał tę uwagę za osobliwą, prawie nie na miejscu. Bo jest facetem, więc koniecznie musi się okazać pożeraczem damskich serc? Gdyby tylko wiedziała, w jakim stanie jest moje własne...

– O to może pani być spokojna, nie ma się czego obawiać.

Chwycił swój egzemplarz umowy i ruszył do drzwi. Adele jednak była niezmordowana.

– Ta dziewczyna ma w sobie tyle radości życia, to prawdziwy skarb. Moim zdaniem mamy w tym roku dobry zespół, nie mówię tego, żeby śpiewać peany na pańską cześć, ale Axel, chłopak od informatyki, jest cudowny, Jina wywarła na mnie znakomite wrażenie, a teraz pan...

Pochyliła się i dodała w zaufaniu:

– Wie pan, jak pana nazwaliśmy przed pańskim przyjazdem? „Aktor”. Z powodu pańskiego wyglądu. I CV.

Hugo głęboko zaczerpnął powietrza. Tego się nie spodziewał.

– Chyba wolę, żeby nadal mnie nazywać „kameleonem”.

– Proszę tego nie powtarzać staremu Maxowi, bo zemdleje! Uważam, że aktor do pana pasuje. To pomysł samej Lily.

– Lily była obecna przy rekrutacji?

Uświadomiwszy sobie, że powiedziała za dużo, Adele się skrzywiła.

– Proszę jej nie mówić, co panu nagadałam, dobrze? Owszem, zanim wybierzemy kogoś, aby dzielić z nim codzienność przez pięć miesięcy, zdarza nam się pytać o zdanie innych... W sumie to normalne, nie? Ich to też dotyczy, nawet bardziej.

Hugo położył palec na ustach na znak milczenia. Proces go nie zaszokował. Prawdę powiedziawszy, w ogóle go to nie obchodziło. Cała ta rozmowa go nudziła. Miał w głowie tylko jedno: uzyskać informacje o Strafie, lecz Adele nie okazała się zbyt wylewna. Nagle zapragnął spróbować z innej beczki:

– Niedawno w lesie natrafiłem na zwierzęce szkielety. Było tego diabelnie dużo, można powiedzieć cmentarzysko pod gołym niebem...

Wolał ostrożnie dobrać słowa.

– Co za potworność!

– Zastanawiałem się, czy to mogła być robota pracownika sezonowego, czy...

– Zabawiać się trupami zwierząt? Tylko tego brakowało! Nie. Nawet martwe, te biedne stworzenia zasługują na minimum szacunku. Tutaj nikt nie zachowałby się w taki sposób. Za to lisy... Philippe twierdzi, że do naszego regionu przybywają wilki, proszę mu nic nie mówić, bo inaczej będzie rozprawiał wyłącznie o tym.

Nie miała pojęcia o kościanych girlandach, była zbyt szczera. Hugo zaś nie bardzo posunął się naprzód.

– W każdym razie dziękuję, pani Adele.

– Proszę bardzo, panie Hugonie, i jeszcze raz: witamy w Val Quarios! Aha, jeżeli w ciągu najbliższych tygodni wpadną panu w ręce jakieś dziecięce rysunki, absolutnie proszę mi je przynieść! Nie ma nic bardziej niewinnego niż zagubione bazgroły...



## 15.

Po relaksującym weekendzie, z dala od wszelkiego stresu, poniedziałek okazał się typowym przygnębiającym poniedziałkiem, kiedy to znowu trzeba się poddać dyktatowi budzika, a potem znosić ludzką faunę w środkach transportu publicznego i przymus nieszczęśliwie rozwijającej pracy. Tutaj jednak w kwestii roboty Hugo nie miał powodu do narzekań. Jak dotąd to było nawet dosyć przyjemne, bardziej niż przesłuchania do mdłych ról, kiedy to musiał się podlizywać kierownikowi od castingu, żeby się z nim „zakumplować”, również bardziej przyjemne niż na niektórych planach filmowych, gdzie był nikiem, tylko rywalem dla innych aktorów, przed którymi otwierały się widoki na średnioterminową karierę, zawsze wspanialsze niż przed nim. Mimo wszystko mniej przyjemne od porządnej sesji pisania. Nawet jeśli nikt cię nie czyta.

Nie, poniedziałek stał się beznadziejny za sprawą myśli, jakie nawiedziły Hugona po ucieczce ze schodów w Tetryku. Był zły na siebie, że uległ dziecinnemu impulsowi. Od kiedy to trzydziestolatek zawraca z drogi na widok ciemności? Jeśli chcesz, to wsadź moją kretyńską wyobraźnię do głowy choćby i pięćdziesięcioletniego faceta, a wtedy zobaczymy, co robi bez lampy w takim posępnym i strasznym miejscu jak to! Jego i tak już kruche poczucie własnej wartości zostało nadwątlone, po raz kolejny, i wcale nie był daleki od wpadnięcia w najgorszą chandrę.

Po kilku godzinach spędzonych tym razem u stóp płaskowzgórza na piłowaniu pni, które nagromadziły się tam po wyрубie, wrócił do apartamentu. Nie krążył więcej w pobliżu żałobnych girland, co go uspokoiło. Chociaż wmawiał sobie, że to tylko owoc chorego umysłu, nie potrafił w to uwierzyć, nawet udawać, żeby dać sobie odrobinę wytchnienia.

Czuł potrzebę czystości. Jednak nawet kiedy się umył, nadal nie zdołał się całkowicie odprężyć, nie pomogły tu ani czytanie, ani kolacja. Złapał więc plecak i popędził na statek matkę, tym razem na niższy poziom.

Znad basenu unosiła się delikatna para. Chlor szczypał go w nos. Na zewnątrz zapadał zmrok, przekształcając ogromne szklane ściany w niebieskawe halo. Basen był słabo oświetlony, w spoczynku, pomyślał Hugo, wślizgując się do wody.

Pływał od kwadransa, gdy nadeszła Alice w płaszczu kąpielowym. Nie od razu go dostrzegła, on zaś wpatrywał się nieco zawstydzony, mimo to niezdolny oderwać wzroku, jak upina jasne włosy na czubku głowy i pokazuje się w kostiumie. Hugo przełknął ślinę na widok jej idealnych kształtów. Na podstawie jakich kryteriów przyjęli akurat ją? I kto tym razem siedział w gabinecie DePrigenta, żeby poprzeć jej kandydaturę? JC? Hugo wcale by się nie zdziwił, domyślał się, że z niego podrywacz.

Alice zbliżyła się do basenu i widząc go, aż podskoczyła.

– Aleś mi napędził cykora!

– Przepraszam, byłem pod wodą, ja też cię nie zauważyłem – skłamał. – Zaraz wychodzę.

– Nie przeszkadzasz mi – zapewniła, powoli się zanurzając.

Hugo zajął miejsce z przeciwnej strony, pod szklaną ścianą. Za oknami słońce zatoneło za wierzchołkiem, toteż musiał przykleić nos do szyby, żeby rozróżnić zarysy nocnego krajobrazu.

Alice podpłynęła ku niemu.

– I co? Warto było tu wpaść, nie?

– Tak, chyba też to polubię.

– Będzie mi tego brakowało.

Między nimi zapadło milczenie.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– W środę.

– Smutno ci?

– Nie. Jak już mówiłam, zatoczyłam koło.

– Masz jakieś plany?

– Jeszcze nie. Zamieszkać u koleżanki, dopóki czegoś nie zdecyduję. Znajdę jakąś dorywczą robotę na jakiś czas, a potem na lipiec i sierpień wybiorę się w podróż, z torbą na ramieniu. Absolutna wolność.

Hugo ją rozumiał. Nie znajdował się w tym samym stanie umysłu – jemu zależało przede wszystkim na zajrzeniu w głąb siebie i powrocie na właściwą drogę, zanim wyruszy na spotkanie innych kultur, dla niej jednak brzmiało to obiecująco.

– A więc napiszesz książkę? – zapytała Alice, wypływając odrobinę wody.

– Byłoby dobrze.

– Masz już jakiś pomysł?

– Nie. Ale czuję, że we mnie aż wrze, moja wyobraźnia wykorzystuje każdy pretekst, żeby podsuwać mi najróżniejsze wizje.

Płynąc, aby utrzymać się na powierzchni wody, Alice musnęła dłonią jego ramię.

– Jakiego rodzaju?

Hugo powrócił pamięcią do przygody w Tetryku z poprzedniego dnia.

– Upiorne.

– Byłam tego pewna. Tutaj masz albo szaleństwo w rodzaju „Lśnienia”, albo obscenę typu „Pięćdziesiąt twarzy Greya”. Żadnego wyboru. Nie możesz spłodzić historii o gościu, który zdycha z nudów, ale spotyka sympatycznych turystów i wtedy się zmienia, i... To murowane samobójstwo.

– Biorąc pod uwagę mój poprzedni „sukces”, nie mam pewności, czy aby wolno mi oceniać, co jest odpowiednie, a co nie.

– W każdym razie gdzieś słyszałam, że natchnienia nie da się zaprogramować, tak już jest, kiedy na ciebie spada, piszesz i kropka.

Alice odznaczała się zabawną spontanicznością osoby, która mówi bez zastanowienia, co jej ślina na język przyniesie, i nagle zaczyna wyrzucać słowa z prędkością karabinu maszynowego. Wypowiada się tak, jak rozumie natchnienie.

– Masz jakiś pseudonim?

– Nie.

– Tym lepiej. To jest jak maska. Nie podoba mi się. Po co się chować, kiedy człowiek wydaje książkę? Powinno się być dumnym, nie?

– Tak, przypuszczam, że tak...

Ich ręce ponownie się musnęły, po czym Alice się odwróciła i oparła plecami o szklaną ścianę.

– Na początku bałam się tak robić i odpychać nogami, wydawało mi się, że szkło zaraz popęka i mnie wciągnie. Wiesz, że niby przez nacisk całej tej wody, ona wsysa mnie do dziury, kawałki szkła kaleczą mi ciało, aż zginam się w scyzoryk, z połamanym kręgosłupem, z bebechami na wierzchu, przebita na wylot, i wylewam się w dolinę...

Hugo wybałuszył oczy. Nie tylko on w kółko fantazjował o okropieństwach! I wcale nie był przekonany, czy przez to nie stała się trochę przerażająca... Skoro ja mam takie odpały, to dlaczego nie ona? Niby dlaczego u kobiety miałyby to być bardziej odstręczające?

Alice odpychała się nogami, rozplaszczając plecy na szybie.

– Sam nie wiem, czy mi się podoba, że tak robisz – wyznał Hugo.

Posłała mu drwiący, lekko wyzywający uśmiech i mocniej naparła ramieniem, by udowodnić, że nie ma się czego obawiać. Ściana sprawiała wrażenie solidnej. Nie drgnęła ani na jotę. Przy takim nacisku nie ma żadnego powodu, to solid...

Na wydany przez całą konstrukcję dźwięk każde z nich z łomoczącym sercem aż odskoczyło jak najdalej od okna. Czekali na najdrobniejszą oznakę słabości, trzask, łoskot rozpryskującego się raptownie szkła, zapowiedź totalnej ruiny, która by potem nastąpiła...

Nic.

– To drewno na górze – oznajmiła Alice z wymuszonym śmiechem. – Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Ja też tak sędzę. Byłoby lepiej.

Przysunęła się do niego.

– O mało nie zrobiłam w gacie ze strachu – zachichotała dziewczyna.

W panice włosy jej się rozsypały i teraz okalały jej twarz niczym połyskująca złotymi refleksami korona kwiatu. Alice wpatrywała się w niego, a przy każdym ruchu ocierała się ramionami o jego ramiona. Miała rozchylone wargi.

Hugona zalała fala gorąca i popłynęła od łądźwi aż do mózgu, budząc obszar ciała pozostający do tej pory w uśpieniu. Był zbyt mocno zdołowany, jeszcze niegotowy. Zadrżał. To nie jest dobry pomysł.

Alice uśmiechała się do niego. Przecież pojutrze wyjeżdża, czym ryzykuję? Nie zdąży się tak od razu do niej przywiązać, ona nie zdoła go zranić w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Lucie wystarczyło jedno zdanie, za to powtarzane jak mantra przez siedem lat wspólnego życia. Dlaczego miałby rezygnować z tej przyjemności, skoro mogłaby uśmierzyć przeżywany obecnie niepokój? Bo mam cykora. Nie jestem gotowy.

To było śmieszne. Kochał się setki razy, może nawet tysiące, poznał wiele kobiet, robił, co mógł, żeby się okazać czułym kochankiem, nigdy jednak nie doświadczył podobnego lęku. Moje ciało tego chce, ale nie głowa. Gdy do tego doszło tchórzostwo z poprzedniego dnia, Hugo poczuł,

jak całe pożądanie się ulatnia. Nie potrafił się zmusić, żeby „się podreperować”, to tak nie działało. Frustracja wywołała gniew. Cofnął się.

– Zmarłem, wychodzę. Naciesz się po raz ostatni i staraj nie opierać o to ustrojstwo, nigdy nic nie wiadomo – powiedział, próbując nie tracić pewności siebie.

Tyle że w środku czuł się upokorzony.

## 16.

– Pożarłeś konia z kopytami czy jak? – zapytał ze zdziwieniem JC, przekrzykując ryk pił.

Hugo z zapalem bliskim wściekłości ciął kłody, które przygotowali poprzedniego dnia.

– Muszę się wyładować.

– Kumam... Postaraj się nie zapominać o zasadach bezpieczeństwa, zwłaszcza jak trzymasz piłę, OK? Nie mam ochoty patrzeć, jak obcinasz sobie nogę i stoisz w kałuży krwi.

Po kilku minutach JC ponownie przypuścił szturm:

– To przez dziewczynę? Człowiek doprowadza się do takiego stanu często z powodu dziewczyny.

– Nie, przeze mnie. Nawet nie mogę użyć takiej wymówki.

Nie dodał nic więcej.

Po całym wtorku tak wyczerpującym fizycznie w porze kolacji poczuł się lepiej. Wiedział, że to tylko kwestia cierpliwości. Teraz był jedynie duchem, chwilowo obecnym na Ziemi, na powrót bratał się z własnymi emocjami, interesował innymi ludźmi, odyskiwał zdolność śmiania się z samego siebie, a zwłaszcza doświadczania pragnień, chociaż nie potrafił ich jeszcze zaspokoić. Wkrótce spustoszenia wywołane rozstaniem staną się tylko wspomnieniem, zaledwie białymi bliznami na duszy. Od tej pory musi się zdobywać na większą wyrozumiałość wobec samego siebie. Na początek wtedy, kiedy robię w gacie ze strachu.

Na wspomnienie epizodu na basenie ciągle ścisnęło go w gardle. Przygoda bez przyszłości, tylko po to, żeby znowu skoczyć na głęboką wodę... Gra słów go rozbawiła. To było to. Przez cały dzień wahał się, czy nie spróbować jeszcze raz w ostatni wieczór Alice miło spędzić czas, udowodnić sobie, że wszystko działa jak należy, umocnić własną pewność siebie... Kiedy jednak wrócił do apartamentu, wiedział, że nic nie zrobi. Za bardzo się bał odmowy, konsekwencji. Tego, że nie stanie na wysokości

zadania. Nie, gorzej: stwierdzenia, że w gruncie rzeczy nie mam na to ochoty.

Nawet Lucien Strafa ze swoim zameczkiem wyleciał mu z głowy. Nie żeby miał to w nosie, po prostu zabrakło mu energii, by się tym przejąć.

Tego wieczoru nie chciał jeść kolacji w samotności i liczył na to, że pojawią się przynajmniej Lily, Exhell, a nawet Tic i Tac, jak nazywał Armanda i Paula.

Cała banda z wyjątkiem przedstawicieli starszego pokolenia, jak zwykle nieobecnych, zajmowała stolik w kantynie. Nie było także Ludovica ani JC. No i Alice, spostrzegł Hugo. Jedli, jak zawsze śmiejąc się z dowcipów o hydrauliku i elektryku. Hugo zauważył, że Lily wyraźnie na kogoś czeka.

– Masz randkę? – zagadnął.

– Szukam Alice. Powinna przyjść, żebyśmy się ustawiły na jutro. To ja odwożę ją na dworzec.

Na wspomnienie osobliwego sposobu prowadzenia samochodu przez instruktorkę narciarską Hugo życzył Alice w duchu dużo odwagi i szczęścia, aby dotarły do doliny w jednym kawałku. Wszyscy zostali trochę dłużej, Armand wypalił wspólnie z Merlinem jointa, nie martwiąc się o czujniki dymu.

– Sam je zakładam – zaśmiał się elektryk – więc równie dobrze mogę je wywalić! A właściwie zdradzę wam sekret: dobry buch nie piszczy, właśnie po tym można go poznać.

Po czym pomimo protestów Lily i Exhella stanął na stole i odegrał całe przedstawienie, aż urządzenie zaczęło piszczeć. Wszyscy zamarli z obawy, co będzie dalej, ale Armand zadbał o to, by odłączyć je od systemu, więc nie uruchomił się żaden alarm przeciwpożarowy.

Po tym, jak wszyscy sobie poszli, Hugo właśnie mył w kuchni naczynia, gdy Lily wetknęła głowę do środka.

– Nie wpadła tu, kiedy mnie nie było?

– Alice? Nie.

– OK. Sprawdzę w jej pokoju.

– Lecę z tobą – powiedział, zakręcając wodę, z rękami w pianie.

Wszystko, byleby nie znaleźć się samotnie w łóżku. Przesadziłem z kawą, pomyślał Hugo. Jego ciało było nabuzowane energią, a umysł pracował na pełnych obrotach.

Ku swemu ogromnemu zdziwieniu stwierdził, że Alice nie tylko zajmuje apartament w tym samym budynku co on, ale w dodatku na tym samym

piętrze, tylko w innym korytarzu, od zachodniej strony. Gdybym wiedział... Gdybyś wiedział, i tak nic więcej byś nie zrobił, sprostował trzeźwo wewnętrzny głos. Musi skończyć z tym trybem warunkowym, do którego za mocno się przywiązał.

Lily poruszała się swobodnie, używając skrótu, przecięła pustą salę, następnie wykorzystała wejście dla personelu i schody dla kadry kierowniczej.

Kilkakrotnie zapukali do drzwi, lecz bez odpowiedzi. Zmarszczyła nos.

– Pewnie jest na basenie albo w akwarium – podsunął Hugo.

– Właśnie stamtąd wracam.

– Urządziła sobie pożegnalną popijawę z Ludovikiem albo JC, a teraz w kąciku leczy kaca?

Lily to nie przekonało. Już mieli odejść, ale Lily napała na drzwi i nacisnęła klamkę. Drzwi się otworzyły.

– Alice? – zawołała dziewczyna. – Alice, jesteś tam?

Widząc, że Lily bez skrupowania przekracza próg, Hugo podążył za nią. Apartament był identyczny jak jego, okna wychodziły na wyciągi narciarskie i sterczącą w głębi Wieżę.

Wewnątrz nikogo nie było.

Wysprzątane mieszkanie, goły materac, żadnych naczyń w zlewie, a przede wszystkim nigdzie ani jednej walizki czy ubrań w szafach.

– Jesteś pewna, że to jej pokój? – zapytał z powątpiewaniem Hugo.

– Absolutnie.

Hugo kucnął przed małą lodówką. W środku zdołał jedynie dostrzec ślad po gąbce, którą została na koniec umyta. Jeszcze tego popołudnia, na bank.

– Nadal pachnie żarciem, masz rację – przyznał. – Chyba wyjechała dzień wcześniej.

Hugo przypomniał sobie, jak na basenie oświadczyła, że opuszcza Val Quarios w środę.

– To ja kursuję w tę i z powrotem – oznajmiła Lily – nie mogła dostać się na dół na własną rękę.

Hugo odparł, wskazując szafę:

– Zwiała albo zamelinowała się u kogoś na ostatnią noc. Jest blisko z którymś z facetów?

Lily pokręciła głową, zaglądając do szuflad nocnego stolika. Może i coś sobie ubzdurałem, ale sądząc po tym, jak wczoraj wieczorem napaliła się na igraszki w wodzie razem ze mną, ta cała Alice raczej nie należy do



nieśmiałych... Równie dobrze mogła się spiknąć z innym gościem, żeby pożegnać się z przytupem. Szybko dokonał przeglądu. Exhell w ogóle nie wchodził w grę, chyba że dziewczyna lubi maniaków komputerowych przypominających wikingów, Ludovic był równie seksowny jak nieudany bałwan śniegowy, który się roztopia, a co do tria Armand–Paulo–Merlin, oni i Alice zdecydowanie nie nadawali na tych samych falach. DePrigent i Max: nie do pomyslenia. Pozostawał JC. Albo Jina... Wyglądało na to, że obie świetnie się rozumieją... Tylko że ona jadła kolację z nimi.

– Wczorajem JC też nie było przy stole, wyobrażasz ich sobie razem? – zapytał.

– JC nigdy nie jada z nami, za każdym albo prawie każdym razem idzie do siebie.

– Ale przecież mógł ją zaprosić, nie? Wyczułem, że... sprawiała wrażenie, jakby pomysł ostatniego flirtu nawet ją kręcił, to znaczy tak mi się wydaje...

Lily była ostatnią osobą w ośrodku, której miałyby się ochotę zwierzyć ze swojego błędzenia i rozterek z poprzedniego dnia. W końcu niepewnie pokiwała głową.

– Być może.

– W każdym razie gdzie ma być, skoro nie mogła zjechać bez ciebie? Czy reszta ma kluczyki od samochodów?

– Tak, ale zwykle to się nie odbywa w ten sposób...

– Założę się, że jest u JC. Albo Jiny...

Lily po raz ostatni omiotła apartament wzrokiem, po czym wyszła.

– Pewnie masz rację. Wolałabym, żeby mnie uprzedziła.

Gdy wracali korytarzem w milczeniu, Hugo miał gonitwę myśli. Chciał odegrać optymistę, uspokoić Lily, teraz jednak musiał przyznać, że to zniknięcie – o ile to rzeczywiście jest zniknięcie – jego też martwi. Przyjemne spędzenie czasu albo i całej nocy z koleżanką, dlaczego nie, tak samo jak dokładne wypucowanie mieszkania, żeby nie musieć tego robić w dniu wyjazdu, mógł to sobie wyobrazić. Tylko dlaczego zabrała wszystkie swoje rzeczy? Żeby postawić je przy wejściu i nie musieć wracać po nie na górę. Zyskać na czasie. To miało sens.

– Czy jest jakieś pomieszczenie, w którym można przechować bagaże? – chciał wiedzieć.

– Kilka. Ale to w końcu jej problem. Skoro chce się spóźnić na pociąg, trudno. Idę spać.

Hugo doskonale rozumiał, że Alice i Lily to nie małżeństwo, jedna nie musi się tłumaczyć przed drugą, gdzie spędza noc. Dlaczego więc nie potrafił się pozbyć tego nieprzyjemnego wrażenia? Co takiego go dręczyło? Nie sposób tego nazwać. I wcale nie posunął się dalej niż wtedy, gdy Lily życzyła mu dobrej nocy i popędziła po schodach w złym humorze.

Tkwiał tak na klatce schodowej zatopiony w myślach, dopóki czujka się nie wyłączyła i nie pogrążyła go w całkowitych ciemnościach. Nie boję się mroku. Spokojnie. Wyciągnął rękę i pomacał ścianę w poszukiwaniu wyłącznika. W ciemności nie było nic strasznego, nie w rzeczywistości.

Poza piwnicznym i przewrotnym głosem, który szeptał z apetytem.

Ciebie.

Zjeść.

## 17.

Środa była drugim wolnym dniem Hugona. Niedziela wspólna dla wszystkich zespołów, a potem dzień przydzielony w zależności od grafiku. On wybrał środę, żeby podzielić tydzień na dwie części.

Exhell po śniadaniu zatrzymał go w progu kantyny.

– Jesteś dobry w grach?

– Jakiego rodzaju?

– Społecznych, strategicznych, nieważne.

– Eee... Od czasu do czasu „Time’s Up!” po pijaku z kumplami, liczy się?

Exhell warknął.

– Chcesz spróbować?

Hugona niespecjalnie do tego ciągnęło, zwłaszcza o dziewiątej rano, ale nie wiedział, jak się wymigać i jednocześnie nie rozzłościć rudego olbrzyma, a przeczuwał, że prędzej czy później może mieć w nim sprzymierzeńca.

– Nie musisz iść do roboty?

– Ogarniam sprzęt komputerowy, jak nie ma awarii, pracuję, kiedy chcę.

Boże, jeżeli istniejesz, podsuń mi jakiegoś wirusa, żebym zaraził nim sieć ośrodka...

– OK, ale nie za długo, bo chciałbym pobiegać.

Exhell spojrzał na niego tak, jakby Hugo właśnie go ugryzł.

– Zamierzasz uprawiać jogging? W samym środku gór?

– Na bieżni, przecież jest siłownia.

– Po co?

Hugona korciło, by kazać mu się przejrzeć w lustrze, to uzyska odpowiedź, lecz się powstrzymał i obaj usiedli na białych kanapach naprzeciwko okien. Exhell poprosił, by Hugo zaczekał, i wrócił z talią kart. Hugo obawiał się ogromnego pudła z figurkami, czyli gry z rodzaju tych, co to teoretycznie mają trwać cztery godziny, a praktycznie ciągną się aż sześć.

– „Star Realms”, zobaczysz, to łatwe. Taktyczne i rozrywkowe. Idealne na inicjację.

Hugo kazał mu objaśnić zasady dwukrotnie, miał ochotę się powiesić i nie robił sobie żadnych złudzeń: był kiepskim graczem.

Widząc przez okno, jak Lily mknie szybkim krokiem w dół trawiastej esplanady i wchodzi do statku matki, natychmiast skorzystał z okazji.

– Przykro mi, zapomniałem, że obiecałem Lily pomoc, a ona właśnie mi mignęła...

Opuszczając salę krokiem, który dowodził, że jeszcze nie do końca pozbył się zakwasów, przyrzekł sobie, że przygotuje co najmniej dziesięć wymówek, by następnym razem móc się wymigać.

Zanim dotarł do statku matki, Lily zdążyła już zniknąć w środku. Wołał ją wielokrotnie, po czym logika kazała mu się wdrapać na ostatnie piętro, aby dostać się do części zarezerwowanej dla kadry zarządzającej, królestwa Adele i DePrigenta. Zrobiło mu się dziwnie, kiedy sobie wyobraził tych dwoje razem w łóżku. Skąd mi się biorą takie wizje? Jestem pokręcony...

– Lily?

Dobiegły go głosy z gabinetów, zapukał więc do drzwi sekretarki. Obydwie kobiety właśnie rozmawiały.

– Martwię się o nią – oznajmiła Lily.

– Prawdę mówiąc, nie ma powodu. Niby co miałyby jej się stać? – odparła Adele, machając do Hugona.

Chłopak zapytał Lily:

– Jeszcze się nie znalazła?

– Nie i nikt jej nie widział przez cały wczorajszy dzień.

– Nie brakuje żadnego samochodu?

Adele parsknęła drwiącym śmiechem.

– Przecież Alice nie ukradłaby któregoś z naszych aut! Pewnie zaszyła się gdzieś w kącie i opłakuje wyjazd albo może nasza ją ochota, żeby zdobyć się na szaleństwo i przespać w jednym z apartamentów w Dużym B, albo... Zaraz, zaraz, sprawdzałaś, czy nie brakuje klucza od któregoś z domków szwajcarskich? Gdybym miała dwadzieścia pięć lat i zostałaby mi jedna noc w Val Quarios, poszłabym właśnie tam, żeby ponapawać się widokiem, pospać dłużej i zjeść śniadanie w łóżku!

– Pójdę się upewnić – przytaknęła Lily.

– Zajrzyj też do sali widowiskowej w Wieży, Max mi zdradził, że JC zabrał tam jedną czy dwie dziewczyny, żeby puścić im w spokoju film,

może skumała, że tak się da...

Lily ponownie przytaknęła, tymczasem zadowolona Adele dodała:

– A ja poszukam informacji na własną rękę, zgoda? Ona nie może być daleko. O której ma pociąg?

– Nie wiem, miałyśmy się spotkać wczoraj, żeby ustalić godzinę wyjazdu.

– To musi być ten o trzynastej pięćdziesiąt. – Zerknęła na zegarek. – Nasza ślicznotka tym razem powinna się pospieszyć, jeśli nie chce go przegapić, bo może nie zdążyć.

Hugo uparł się, że będzie towarzyszył Lily w poszukiwaniach. Przenieśli się na przeciwległy kraniec piętra, aby przepatrzeć korytarz prowadzący do kwatery dla personelu na poddaszu. Wszystkie okazały się puste. Po czym zeszli na dół, a Hugo zaproponował, żeby jeszcze raz zajrzeli na basen.

– Wiem, że ona uwielbia to miejsce, nigdy nie wiadomo.

Nie znaleźli tam jednak ani śladu Pikardyjki.

– Tej zimy najwięcej czasu Alice spędzała w magazynie ze sprzętem, może wróciła tam w ostatnim ataku nostalgii? – odezwała się Lily.

Poprowadziła go do pomieszczenia pełnego stojaków z butami narciarskimi, które wydzielają silny zapach, Hugo nie mógł się więc powstrzymać, by nie podzielić się ulubionym skojarzeniem:

– Cuchnie jak po lekcji kf-u!

Lily nie zareagowała – albo nie widziała filmu „Goonies”, albo uznała, że to nie jest odpowiedni moment, i miała rację, stwierdził Hugo, który poczuł się jak dupek.

Lawirowali między dziesiątkami szafek, po czym przeszli do przyległej sali, niemal tak samo dużej, gdzie tysiące nart tworzyły armię, z włócznie skierowanymi w niebo, gotową wyruszyć na podbój Sabaudii.

– Alice? – powtarzała Lily. – Alice, jesteś tam?

Bez odpowiedzi. Dziewczyna stanęła w progu i wzięła się pod boki.

– Domki szwajcarskie to dobry pomysł – przyznała znienacka i pognęła do pomieszczenia za recepcją, gdzie przeszukała metalową szafę na klucze.

– Nie brakuje ani jednego. Czyli że nie ma jej w domku szwajcarskim.

– Czy to nie ty mówiłaś, że latem niczego nie zamykacie?

Lily zrobiła dzióbek.

– Owszem. Chodź.

Na progu usłyszeli jakiś głos dobiegający z antresoli.

– W porządku, znaleźliśmy ją! – wykrzyknęła Adele.

Rzucili się na schody, po czym zdyszani wpadli do gabinetu Philippe'a DePrigenta, który trzymał przy uchu telefon. Kiwał głową.

– I to ona do pana zadzwoniła? – zapytał. – Świetnie...

DePrigent wypowiedział bezgłośnie słowo „taksówka”.

Pochylił się i przełączył na tryb głośno mówiący. Na drugim końcu linii mężczyzna ze śpiewnym miejscowym akcentem objaśniał niskim, lekko chropowatym głosem:

– Tak, tak, wysadziłem ją wczoraj przed hotelem naprzeciwko dworca, nie było jeszcze piętnastej.

– Niską blondynkę? – drążył dyrektor.

– No tak, już mówiłem, niezła sztuka.

– Skąd ją pan zabrał? – wtrąciła się Lily.

– Eee, dzień dobry, pani... No więc, z góry, to jasne, z Val Quarios.

Lily nie kryła przerażenia.

– A powiedziała panu, dlaczego odjeżdża akurat taksówką?

– Nie pytałem, klienci mają prawo robić, co chcą. Ale po drodze trochę pogadaliśmy, o ile dobrze zrozumiałem, powiedziała, że nie cierpi pożegnań.

Wymknęcie się bez słowa, w dodatku dzień przed terminem, to już nie jest wrażliwość, tylko brak uprzejmości, pomyślał Hugo. Lily sprawdziła godzinę na zegarku Adele. Pokręciła głową. Było już za późno, żeby ją dogonić przed odjazdem pociągu.

– Dobrze. Czyli nie ma powodu do zmartwienia – obwieścił DePrigent zaskoczonym i nieco rozzalonym tonem. – Dziękuję panu.

Rozłączył się i splótł dłonie na brzuchu.

– Przyznaję, że tego się nie spodziewałem – dodał. – Nasza Alice. Taka miła i grzeczna.

– To miejscowa taksówka? – chciała wiedzieć Lily.

– Tak, z Montdauphin, na dole – odrzekła Adele. – Chyba nawet wiem, kim jest ten pan, zimą często przywozi nam gości. Zdaje się, że ma takie staromodne imię, Gustave albo Gontran, w każdym razie na G.

Spoglądali po sobie lekko przybici. Pierwszy odezwał się Hugo:

– Przynajmniej możemy być spokojni. Alice nie zasłała gdzieś w kącie, po prostu związała jak złodziejka.

Chociaż ledwie ją znał, jego własne słowa nawet jemu zabrzmiały fałszywie. A przecież tak właśnie było. Powrócił myślami do jej zanurzonej w basenie twarzy, do okalającej ją korony włosów, które unosiły się na

wodzie, do tego, jak go przyciągnęła, niemal z łapczywością. Czy gdyby się przespali, to by cokolwiek zmieniło?

Lily nabrała głęboko powietrza.

– Panie Phillipie, zechce pan do niej zadzwonić, jak już doleci do Paryża? – zapytała. – Tylko żeby się przekonać, co u niej słychać.

– Oczywiście. Przy okazji nie omieszkam napomknąć, co myślę o jej manierach.

W głowie Hugona zakiełkowała kolejna myśl, która usiłowała się przebić na powierzchnię... A jeśli Alice opuściła ośrodek nie po to, żeby oszczędzić nam trudnego rozstania, ale dlatego, że nie miała wyboru? Spędza tu każdą zimę, został jej tylko jeden dzień, prawda? A jeśli miała kłopoty? Tak duże, że nie chciała tu zostać na kolejną noc? To nie było do końca logiczne. Siedem miesięcy na miejscu... Co mogło się zmienić w ciągu raptem jednej doby? Czyżby topniejący lodowiec uwolnił yeti?, zakpił w duchu Hugo.

Nie potrafił się z tego śmiać. Nim także wstrząsnęła ta historia. Dlaczego właśnie teraz? Czyżby któryś z chłopaków posunął się za daleko? Miał tyle czasu na działanie i czekał aż do wczoraj? To trochę idiotyczne...

Właściwe słowo wpadło mu do głowy z nienacką. Ona wcale nie wyjechała. To przypominało ucieczkę.

## 18.

W ciągu dwóch dni Hugo starał się wypełniać swoje obowiązki i nie zadawać sobie zbyt wielu pytań. Wykonywał polecenia JC, zastanawiając się jednocześnie nad tym, ile czasu jeszcze zajmie mu wycinka lasu. Sądził, że trafi pod rozkazy starego Maxa, żeby zająć się drobnymi naprawami, tymczasem zrobili z niego drwala.

– Zostało ci jeszcze dwadzieścia tygodni, na pewno coś się zmieni – powtarzał sobie, kiedy miał już dość dźwigania tej przeklętej piły.

Chociaż starał się zapanować nad umysłem, a zwłaszcza okiełznać rozszalałą wyobraźnię, i tak bacznie obserwował mężczyzn z ekipy. Nie potrafił nie myśleć o Alice. Jedynym wiarygodnym powodem, dla którego w takim popłochu uciekła, było jego zdaniem to, że nie czuła się już bezpieczna. Jeden z nich próbował ją uwieść, może nawet o wiele więcej, i przekroczył granice...

Skoro Alice przebywała w Val Quarios od siedmiu miesięcy, na początek Hugo uznał, że czekanie aż do przedostatniego dnia, by się do niej dostać, nie miało sensu. Tylko że nie wszyscy siedzieli tu aż tak długo... Zresztą jeśli się dobrze zastanowić, nawet któryś ze „starych” mógł sobie powiedzieć, że ona zaraz wyjedzie, więc teraz albo nigdy. Musiał rozważyć rozmaite możliwości, w tym te najgorsze.

Prawdę mówiąc, Hugo sam nie wiedział, kogo szuka. Porządnego faceta, któremu sprawy wymykają się z rąk, który z powodu podniecenia, może nadmiaru alkoholu traci kontrolę i posuwa się za daleko, staje zbyt nachalny, albo napalonego palanta, który napada na Alice w jakimś kącie, żeby ją obmacywać? Czy przez byle padalca, który przekroczył granice, uciekłaby w pośpiechu, bez uprzedzenia? Czy nie mogłaby się zwrócić do DePrigenta, albo wręcz złożyć skargę, jeśli to zaszło za daleko? Jak ty byś się zachował, gdybyś był laską, którą obściskuje w korytarzu taki Merlin czy JC? Budzące strach osiłki. Czy nie bałbyś się o swoje życie? Do tego stopnia, żeby wiać i nie oglądać się za siebie... A gdyby jeden z tych



łajdaków posunął się jeszcze dalej, aż do... gwałtu. Czy żandarmi już by nie byli na miejscu? Część ofiar nie składa skargi albo potrzebuje czasu, by do tego dojrzeć...

Za każdym razem, gdy Hugo mijął jednego z mężczyzn, posyłał mu przyjacielski uśmiech, jednocześnie uważnie go obserwując, szukając oznak niepokoju, poczucia winy. Nie dostrzegał żadnej różnicy w stosunku do ubiegłych dni. W południe lub wieczorami kantyna bywała pusta, po czym wypełniała się przy kolejnym posiłku, nie istniały żadne reguły, każdy wykonywał codzienne obowiązki, a resztę czasu spędzał zgodnie z własnymi upodobaniami. Exhell jadał przed wszystkimi, a potem zakotwiczał się w jadalni, żeby być z resztą grupy, i prawie nigdy nie zostawiał swojego laptopa. Tic i Tac prawie się nie widywali w ciągu dnia, każdy zajęty swoimi sprawami, ale kiedy już postanowili wspólnie zjeść kolację, byli jak papużki nierozłączki, jednakowo tryskając sprośnym w miarę możliwości humorem. Ani cienia wahania w ich śmiechu, ani krzty niepewności w spojrzeniu. Stary Max przechadzał się z torbą na narzędzia, bezustannie gładząc wąsy, rzadko się odzywał, ale chętnie uśmiechał, słysząc żarty Tica i Taca. Niezmienny. Emanował wręcz czymś, co działało kojąco.

Ludovic i Merlin nadal budzili w Hugonie niepewność. Nie potrafił ich rozgryźć. Pierwszy: samotnik, nie zawsze był obecny, Hugo widział, jak spędza dnie przy wyciągach, odczepiając liny, smarując koła. Nie miał pojęcia, gdzie śpi, poza tym chłopak prawie nigdy nie jadał posiłków z grupą. Z kolei na tego wytatuowanego można się było natknąć na korytarzach – Merlin popychał wózek do sprzątnięcia, z lukrecjowym cukierkiem w ustach (z początku Hugo wziął go za patyk). Ten pięćdziesięciolatek o wyglądzie byłego garownika w ogóle się nie odzywał, co najwyżej kiwał głową na powitanie. On był najdziwniejszy ze wszystkich, ale Hugo starał się nie traktować go jako głównego podejrzanego tylko z powodu zakazanej gęby.

Hugo wykluczył DePrigenta, bo za mocno go było czuć naftaliną, za rzadko bywał na miejscu – człowiek pożąda tylko tego, co ma pod nosem przez cały dzień, a on siedział zamknięty w biurze, daleko od Alice – i wreszcie: był za chudy. Nie miał pewności, czy gdyby sytuacja za bardzo wymknęła się spod kontroli, dałby radę zapanować nad Alice...

I na koniec JC, z którym spędzał całe dnie. Ten milczący, poczciwy gość sprawiał wrażenie szczerego, z tych, co to patrzą człowiekowi prosto

w oczy w trakcie rozmowy. Tylko czy to od razu czyniło z niego świętego?

Właściwie kogo tak naprawdę grał Hugo? Początkującego detektywa-drwała ze złamanym sercem? W kółko zmieniały mu się nastrój i zamiary, w zależności od tego, czy ta historia wydała mu się wiarygodna, czy nie. W czwartek wieczorem uznał, że jest żałosny, a w piątek rano obudził się z pragnieniem służenia prawdzie, dla Alice. Z tym że prawda była przypuszczalnie równie banalna i rozczarowująca jak fakty, które już znał: Alice dostała potężnego napadu chandry, do tego stopnia, że zniknęła, związała bez słowa, ponieważ pożegnanie wydało się jej zupełnie nie do zniesienia.

W gruncie rzeczy nie miał o tym bladego pojęcia.

Wieczorem na kolację udusił paski kurczaka z papryką i cebulą w sosie do woka. Mieszał łąpatką, błędząc myślami gdzie indziej, pośrodku obszernej industrialnej kuchni. Nie było nikogo, również w przyległej kantynie. Nie szkodzi, cenił sobie także chwile ciszy. Właśnie spróbował swojej mieszanki, o mało nie parząc sobie podniebienia, gdy po przeciwnej stronie sali ujrzał pięć lodówek ze stali nierdzewnej stojących w szeregu. Przyszła mu na myśl Alice i jej pojemniki Tupperware uszykowane na cały tydzień. Było to sprytne, zwłaszcza dla kogoś, komu podobnie jak jemu brakowało determinacji, żeby przygotować sobie zrównoważony posiłek, poza tym nie wyobrażał sobie, żeby miał tu spędzać dwie godziny w niedzielne popołudnie. Musisz wiedzieć, czego chcesz.

Nagle Hugo odłożył łąpatkę na blat i ruszył w kierunku lodówek. Alice zawsze używała tej samej, środkowej, zapewne po to, by nie mieszać swoich dań z innymi. Hugo pociągnął za uchwyt. W głębi stały jeden na drugim dwa pojemniki Tupperware. Obiad i kolacja z wtorku, czyli normalnie jej ostatniego dnia.

Serce Hugona lekko przyspieszyło. Spokojnie, to jeszcze niczego nie dowodzi. Tylko tyle, że zapomniała je zabrać. Czy to w jej stylu, skoro jest taka zorganizowana? W pośpiechu, z żalu i zakłopotania, dlaczego nie? Hugo wyjął pudełka, żeby je opróżnić i umyć, następnie schował w szafce, którą sam sobie przydzielił, a w której trzymał część zapasów. W tej kuchni wielkości hali dworcowej było ich tak dużo, że istniało niewielkie prawdopodobieństwo, by ktoś inny korzystał z tej szafki poza nim, a nawet gdyby tak się stało, liczył, że każdy okaże się uczciwy i zostawi jego rzeczy w spokoju.

Zjadł kolację, podziwiając niebieskawy zachód słońca, równie błyskawiczny jak spadająca gwiazda, i cienie wędrujące od doliny ku przeciwległej górze. Rozmyślał o Alice. O taksówce. Nie zostawiła nawet liściku. Chyba właśnie to niepokoiło go najbardziej. Czy zadzwoni do DePrigenta z przeprosinami?

Hugo odsunął talerz, zanim skończył, najedzony, i zawahał się, czy wyciągnąć komórkę. Wziął ją, aby połączyć się przez wi-fi, móc chociaż posurfować po internecie, sprawdzić e-maile i konto na WhatsAppie, mimo że co do tego ostatniego nie robił sobie specjalnych złudzeń. Zaprzeszał wszelkiej korespondencji przed wieloma miesiącami, a wśród kontaktów nie było nikogo, kogo mógłby uważać za przyjaciela. Chwycił telefon, kiedy zaś go włączył, usłyszał stłumiony głos, na którego dźwięk zastygł w bezruchu. Był przenikliwy i daleki. Za drzwiami, w korytarzu. Niezupełnie wołanie, raczej... świszcząca skarga.

Hugo wyteżył słuch, sądząc, że się przesłyszał albo że to wiatr sobie z niego zakpił, po czym odległy szept rozbrzmiał na nowo. Lekki. Przywodził na myśl kobietę, którą coś boli. Coś pomiędzy jękiem a bezsilnym westchnieniem. Z pogłosem. Rura?

Czujny pchnął obydwie skrzydła drzwi do kantyny. Korytarz rozdzielał się w kształt litery T. Hugo przypomniał sobie, że jedno z ramion prowadziło do ciągu sal, z których część służyła zimą jako żłobek. Czyżby to, co usłyszał, było krzykiem dziecka? Niemożliwe.

Tkwił tak z pochyloną głową, lecz nie wyłowił uchem żadnego dźwięku. Po czym dobiegło doń narastające rytmiczne pocieranie... masy, która wypadła gwałtownie z za rogu i runęła na niego. Rozległ się wrzask Exhella, który mocno ścisnął swój komputer, aby go nie upuścić.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – wykrzyknął. – Dlaczego się czaisz po korytarzach? O mało nie rozpieprzyłem mojego laptopa. W dodatku omal się nie sfajdałem ze strachu, palancie.

– Nic nie słyszałeś?

– Jasne, że nie, bo inaczej bym cię wyminął!

– Nie, mam na myśli coś w rodzaju... westchnienia albo wołania.

Exhell nadał się, mierząc Hugona wzrokiem.

– Robisz sobie ze mnie jaja, co?

– Nie świruję, wydawało mi się, że ktoś jęczy. Czy w budynku C są podziemia?

– A skąd mam wiedzieć?

Informatyk utkwił w nim nieufne spojrzenie, czekając na wyjaśnienia, żeby żart dobiegł końca, Hugo jednak z zapałem brnął dalej.

– Moim zdaniem to dochodzi stamtąd – ciągnął, wędrując korytarzem aż do schodów i wind.

Exhell podążał za nim z powątpiewaniem.

– Popalasz sobie czasem z tamtymi dwoma cwaniaczkami? – zapytał.

Hugo zignorował tę uwagę. Czujnie nasłuchiwał. Rozległ się przenikliwy gwizd, w tej samej tonacji co początkowe skargi, lecz tym razem nie towarzyszył mu żaden głos. Dolatywał z wind.

Exhell przytknął ucho do metalowych drzwi.

– Masz swoje wołanie o pomoc – roześmiał się.

Hugo także podszedł bliżej. To brzmiało bardzo podobnie, z tym że bez odgłosu ludzkiej istoty. Wiatr świstał w szybie, pomiędzy kablami. Exhell zmiażdżył mu ramię swoim olbrzymim łapskiem.

– Przyśniło ci się, koleś. Nie łam się, mnie się to też przydarzyło na początku.

Po czym puścił do niego oko, nieudolnie skrywając pogardę.

## 19.

Pierwsze szare chmury pojawiły się po dziewięciu dniach od przyjazdu Hugona. Kiedy obudził się w sobotę, już były, otaczały góry, gęste, tak nabrzmiałe, że niemal ocierały się o wierzchołki, aż człowiek miał wrażenie, że gdy tylko dotkną ich swymi ciemnymi brzuchami, Val Quarios zaleje potop. Na zewnątrz było jednak sucho, chociaż zimny wiatr zmusił Hugona, by na drogę do pracy pod Latarnię Morską włożył polar.

Chłopak lubił widok ośrodka otulonego srebrzystym blaskiem, przy niepewnej pogodzie, kiedy to trawa gorączkowo faluje, drży, a jodły trzęsą się, jakby dostały konwulsji. I te pomruki wydawane przez drzewa przy silnej wichurze. Panowała wówczas atmosfera końca świata, która przyprawiała go o zawrót głowy. Ponieważ to tylko wrażenie, raptem porywy wiatru i zapowiedź ulewy...

JC dołączył do niego pośród starannie ociosanych pniaków pachnących żywicą. Ich sterty piętrzyły się wszędzie po trochu pomiędzy pozostałymi, nadal żywymi iglakami, które porastały urwisko. Piekielnie wysokie stosy rozprzestrzeniły się tak daleko, że Hugo nie miał pojęcia, jak im dadzą radę. Stanowiły odpowiednik co najmniej dwudziestu drzew, które ktoś pociął na kłody i porozwalał w jakimś gigantycznym ogrodzie.

– Co zrobimy? Chyba ich tu nie zostawimy? – zapytał Hugo.

– Jak skończymy, przyjadę traktorem z przyczepą, Merlin i Ludo nam pomogą.

– Spalicie to?

– Nie, iglaste drewno nie nadaje się do kominków. Ułożymy je w szopie pod budynkiem D, przydadzą się na klepki przy naprawach. Trzeba tylko oddzielić modrzew od jodły. Pokażę ci.

Zadarł głowę i spojrzał na niskie, groźne chmury.

– Wzięłeś kurtkę nieprzemakalną? Bo raczej się przyda.

Hugo poklepał wybrzuszenie na plecach.

– Pełne wyposażenie.

– OK. Dzisiaj się rozdzielimy, ty pójdziesz na wschód, za budynek D, tak jak ostatnio, zaznaczysz wszystkie drzewa, które uznasz za chore, za zawałdrogi albo za bliskie połamania się. W południe razem dokonamy ostatecznej selekcji. Ulewę mamy gdzieś, jesteś przygotowany, ale jak zacnie mocno wiać, wracaj, nie będę ryzykował, że jakaś gałąź rozkwasi któremuś z nas gębę.

Hugo się z nim zgodził.

– Okrążymy w ten sposób cały ośrodek?

– Masz już dość?

– Nie, tylko chcę wiedzieć.

– Będzie dobrze, jeśli zdążymy wykonać większość roboty przed porą silnych upałów i burz – wyjaśnił JC, uderzając stopą w ziemię – przed błotem i ślizgawicą. Cała ta wycinka jest konieczna, przynajmniej co pięć lat, reszta to dbałość o las. A poza tym już mówiłem: przyda się jako zapas klepek na wymianę. Sam się przekonasz, to na później.

Hugo zostawił większość sprzętu pod plandeką, wraz z plecakiem zawierającym obiad, po czym zgodnie ze wskazówkami swego nauczyciela oddalił się, by przejść między Latarnią Morską a urwiskiem, do trudniej dostępnej strefy, pełnej gęstych zarośli i ostrych skał, które musiał omijać. Zaskoczył go odgłos z nieba, zarazem ciężki i głuchy, po którym nastąpiła bardziej melodyjna odpowiedź. Zerknął na wierzchołek Latarni Morskiej. To odezwał się dzwonek wiatrowy. Podmuchy nie były jeszcze dość mocne, by pokazał, co potrafi, chociaż kilka rurek już leniwie uderzało o siebie. Ten potwór potrzebował prawdziwej burzy, by ujawnić całą siłę dźwięku. Do jego produkcji zużyto wiele drzew, i to nie żadnych tam wiotkich sosen! Hugo miał nadzieję, że usłyszy go znowu, dłużej, ale na próżno.

Zajął się swoim zadaniem. Jednocześnie pilnował granicy lasu oddzielającej wschodnią łąkę i zagłębiał się chwilami na kilkanaście metrów w bór, aby znaczyć drzewa do wycinki, niezbędnej, by las mógł oddychać. Nawet nie zauważył pierwszych kropel, chociaż były duże i zimne. Znakował drzewa, które miały zostać potraktowane piłą, malując na nich uśmiechnięte buźki pomarańczową farbą, w świetle tego deszczowego poranka niemal odblaskową. Niech przynajmniej to piętno ofiary będzie zabawne. Gdy deszcz stał się zbyt dokuczliwy, Hugo włożył nieprzemakalną kurtkę i schował się pod liśćmi, licząc na to, że ulewa prędko minie.

Wszystkie okna budynku D były czarne i rzucały refleksy – przypominały oczy jakiegoś olbrzymiego owada. Nie zaczynaj. Nie w tym stylu. Te pieprzone okna są szare jak gliniane tabliczki, to w zupełności wystarczy. Kiedy tak czekał, pokusa okazała się wkrótce zbyt silna, wychylił się więc, by popatrzeć na zbocze wysunięte bardziej na wschód.

Wieża wystawała ponad wzgórze. Ani odrobiny światła. Czyżby Strafa był u siebie? A niby dokąd miał pójść, zgromił sam siebie Hugo, jasne, że siedzi na górze, w suchym miejscu, a jeżeli nie jest kompletnym inwalidą, pewnie rozpałił porządnie w kominku!

Z komina nie unosił się dym. Szkoda.

Z kopuły Latarni Morskiej dobiegł kolejny nieśmiały gong, który niemal natychmiast ucichł. Pieśń nie chwyciła. Hugo przestępował z nogi na nogę. Czyż to nie najlepsza okazja: teraz albo nigdy? Znajdował się blisko zameczku, nikogo na horyzoncie, a jeśli odważy się pójść na całość, może zapukać do drzwi pod pretekstem, że szuka schronienia. Chociaż obczaić, co tam się wyprawia.

Jeśli będzie się dłużej namyślał, znajdzie tysiąc powodów, żeby nie iść, ruszył więc zdecydowanym krokiem, lawirując między rosnącymi na skraju lasu sosnami, by okrążyć łąkę. Po pięciu minutach znajdował się u stóp wzniesienia i już przystąpił do wspinaczki, bardziej zdeterminowany niż kiedykolwiek, gdy nadział się na tablice: „WŁASNOŚĆ PRYWATNA – ZAKAZ WSTĘPU”. Widniały wszędzie, tworząc zapórę, trudno było je zignorować. Hugo westchnął. Przecież nie odpuści z powodu ostrzeżenia, ruszył więc dziarsko dalej, lecz napotkał kolejną przeszkodę, tym razem bardziej konkretną: pagórek, na którym stał zameczek, otaczały nie tylko zarośla, ale także ogrodzenie z drutu. Nie było wysokie, toteż Hugo mógł je pokonać bez trudu, wystarczyło na nie nadepnąć, żeby się trochę pochyliło. Ogarnęły go poważne wątpliwości. Jeśli je sforsuje, nie będzie już mógł udawać miłego, trochę rozkojarzonego chłopca, który próbuje się schować przed ulewą... Nie mogę się poddać. Nie po raz kolejny.

W przyływie szaleństwa przygniół dłonią ogrodzenie, żeby przejść ponad nim, i skaleczył sobie kciuk. Nie zauważył drutu kolczastego. On... On jest skierowany do wewnątrz. Dlatego trudno go było dostrzec. Dlaczego umieszczono drut kolczasty od złej strony? Zamiast bronić wstępu do środka, nie pozwala się wydostać z posiadłości, pomyślał Hugo. Przytknął zranioną dłoń do ust. Jesteś królem dziwaków, Strafa.

Hugo nie zamierzał tak łatwo kapitulować, ruszył więc dalej. Roślinność tworzyła wystarczająco gęsto splecioną pergolę, by osłonić go przed deszczem, ale za to pochłaniała sporo światła, toteż pośród tego dywanu igieł i paproci panowały ciemności. Hugo wzmógł czujność, żeby się nie potknąć. Zasapał się i zaczął sobie pomagać rękami, żeby pokonać skarpe. Z ziemi sterczały coraz mocniej sękaty, poskręcane korzenie.

Jeszcze... trochę. Powinien się znajdować w połowie drogi. Zaklął głośno, zawadziwszy o jedną z najwyższych kołyszących się gałęzi. Nie krwawił, chociaż odczuwał ból ponad skronią. Dalej, jeszcze trochę! Odepchnął się ponownie obolałymi od wspinaczki nogami, a wtedy ukazały się pierwsze twarze. Schowane wśród drzew, milczące, patrzyły ukradkiem, jak się zbliża.

Kiedy Hugo podniósł głowę i je zobaczył, znieruchomiał z rozdziawionymi ustami. Naprzeciw niego było ich przynajmniej dziesięć. Wszystkie powykrzywiane.



## 20.

Wszystkie oczy utkwione były w Hugonie. Świdrowały go z głębokich oczodołów, spod wystających łuków brwiowych.

Ściągnięte rysy, bruzdy jakby wycięte sierpem, nienaturalnie wydłużone twarze, wszystkie pokryła patyna czasu, ozdabiając miejscami warstwą mchu.

Ludzie w drzewach. Po jednym w każdym pniu, sterczeli spod zmurszałej kory niczym rana, idealnie wyrzeźbieni, najczęściej zajmując całą jego szerokość, naturalnej wielkości, pomijając wrażenie, że ich rozciągnięto, że stanowią owoc kłótni między korzeniami a wierzchołkiem.

– Gość, który wyrzeźbił te wszystkie mordy, był tak samo utalentowany jak stuknięty – rzucił na głos Hugo.

Pluskanie kropel zagłuszyło jego głos. Nie czuł się zbyt dobrze wśród tych płaskorzeźb. Chociaż wcale nie były przerażające, ale sama ich liczba, to, że wszystkie zwracały się ku niemu, budziło niepokój.

„Weirdos”... to kraina świrów, to niemożliwe... Czyżby jej twórcą był Strafa? Bo niby kto? Potrzeba diabelnej zręczności, żeby osiągnąć taki rezultat. I mnóstwa cierpliwości.

Hugo ruszył w dalszą drogę, klucząc między drewnianymi twarzami, spuszczać przed nimi wzrok nie tylko po to, by pilnować, dokąd idzie, ale również dlatego, że wolał, by nie wryły mu się za mocno w pamięć. Nie podobały mu się. Wyżej, na zboczu, dostrzegł ich więcej, wyłaniały się nagle zza woalu igliwia albo zza skały, każda wyjątkowa – wpatrywały się weń maski kobiet, mężczyzn, młodszych i trochę starszych, a nawet, choć rzadziej, dzieci. Ile ich w sumie było w całym lesie? Hugo nie miał pojęcia, bez wątpienia kilkadziesiąt. Uzmysłował sobie, że najstraszniejsza jest ta szczególna umiejętność wykonania, przez którą odnosił wrażenie, że podążają za nim wzrokiem, gdziekolwiek się udaje. Dotychczas widział to wyłącznie na niektórych obrazach mistrzów, dostał więc od tego gęziej

skórki. Mimo to parł naprzód, okraczając naturalne szczątki, wdrapując się na pagórki, aby zdobyć zameczek Luciena Strafy.

Korony drzew chwiały się z szelestem, poruszane wiatrem. Hugonowi przemknęło przez głowę, czy aby las właśnie do niego nie przemawia. I co mi chce powiedzieć? Żeby natychmiast wiał? Pokręcił głową. Tym razem mowy nie ma, żeby zawrócił. Żadnych przeraźliwych ciemności ani wygłodniałego pająka gotowego się na niego rzucić. Nie, masz rację, nic, tylko wycięte w bieli drzew twarze, które zamierzają mnie pożreć. Od razu lepiej. Czas i warunki atmosferyczne wygładziły ich rysy, a cała ta osobliwa populacja nie powstała wczoraj. Bluszcz wił im się pod nosami albo nakładał kagańce, na policzkach albo z oczu wyrastały grzyby. Bardzo możliwe, że Strafa stworzył je tuż po zaszyciu się w swojej jaskini, w latach osiemdziesiątych.

Do czego służyły te maski? Czy to strażnicy jego świątyni? Czyżby ożywały wraz z zapadnięciem nocy? Czyżby w porze zimowego przesilenia śpiewały pieśń o przeszłości? Właśnie tak. „It’s a small world after all... It’s a small world after all...” I tańczą na golasa przy pełni księżyca. Musisz skończyć z doszukiwaniem się we wszystkim sensu. One niczemu nie służą, po prostu dają mu zajęcie, kiedy zdycha z nudów w tym swoim królestwie.

Wreszcie jakieś pięćdziesiąt metrów wyżej zamajaczył zameczek. Podekscytowany Hugo przyspieszył mimo już i tak napiętych mięśni. Dom był równie ogromny, jak wydawał się z daleka. Mieszanina wiktoriańskiej budowli i kościoła słupowego. Stavkirke, przypomniał sobie Hugo. Fasada z brązowych, niemal czarnych klepek, a pośrodku wieża przypominająca dzwonnice. Wszystkie otwory zasłaniały opuszczane mechanicznie żaluzje, z wyjątkiem tych na ostatnim piętrze wieży, zbudowanych z ostrołukowych witraży. Czyżby to był gabinet właściciela? Czyżby to tam przeżywał po raz kolejny swoje dawne wyczyny, podziwiając własne ziemie w dole?

Jednak to dziwne, pomyślał Hugo, że żaluzje są systematycznie opuszczane na dzień i podnoszone na noc, o czym świadczył blask widoczny tuż po zachodzie słońca. Rząd szerokich prostokątów w sercu domostwa zdradzał istnienie czegoś, co zapewne było salonem. To tutaj przebywa wieczorami, kiedy widzę przemykający cień.

Hugo miał ochotę odkryć więcej. Zabrał się więc do okrążania domu, starannie omijając kobierzec z gałązek, chociaż wątpił, żeby dało się usłyszeć ich szelest przy bębniącym deszczu. Żaluzje uniemożliwiały

komukolwiek wewnątrz dostrzeżenie chłopaka. Chyba że stoi za witrażami w swoim donżonie...

Ten cały Strafa był zdecydowanie fascynującym osobnikiem. Legenda, rozmyślnie wybrana emerytura, rzeźby w drewnie – w jego otoczeniu nic nie było normalne.

Istniało główne wejście, tylne drzwi i dostęp na taras. Jeżeli się zdecyduje, muszę wejść od przodu. Zgodnie z postanowieniem Hugo zatrzymał się pod markizą, przed dwoma dębowymi skrzydłami. Dzwonek zastępowała kołatka z kutego żelaza. Miała kształt diabelskiej główki, z wyszczerzonymi zębami, ze sterczącymi rogami, aby łatwiej ją było uchwycić. Zupełnie jakby ze mnie szydził. Diabeł rzucał mu wyzwanie, że nie zapuka. „Podnieś mnie, posłuż się mną, a otworzę przed tobą bramy piekieł”, zdawał się obwieszczać z krwiożerczym uśmiechem. Jasne. A ja jestem Archanioł Gabriel...

Wpatrywał się w drzwi jednocześnie pełen podziwu i podejrzliwości, gdy wtem złowił uchem zbliżający się warkot silnika. Przez wzgórze biegła bokiem droga, zatopiona w zaroślach, i właśnie wtedy podążał pojazd. Krótka chwila paniki. Co powinien zrobić? Czy pozwoli się wywalić na zbity pysk, bo ośmielił się zapuścić aż tutaj bez pytania? Rozpoznał odgłos jednoślada. Który prawie dotarł na miejsce. Zaraz Hugo nie będzie miał wyboru. Pomknął w las i przyczaił się niewidoczny pod osłoną gałęzi.

W tym samym momencie ukazał się skuter, podjechał powoli pod główne drzwi, po czym zsiadła z niego z trudem jakaś krępa postać. Nie zdejmując kasku, ściągnęła z bagażnika z tyłu jakieś paczki i dopiero wtedy zdradziła swoją tożsamość. Hugo rozpoznał Simone, kobietę ze sklepu spożywczego. Zastukała trzy razy kołatką, której uderzenia rozbrzmiały donośnie pomimo nieustannego plusku, i czekała. Bez ruchu, przynajmniej dobre dwie minuty.

No dalej, pokaż się, niecierpliwił się Hugo.

Gdy pomyślał te słowa, jedno ze skrzydeł otworzyło się do połowy. Hugo stał pod złym kątem, nie mógł więc zajrzeć do środka. Cholera. Jeśli drgnie, mogą go zobaczyć.

– Proszę – powiedziała Simone, przekrzykując ulewę. – Tu masz to, o co prosiłeś.

Jest z nim na ty. Tamten odparł coś zbyt cicho, by Hugo zdołał usłyszeć, chłopak jednak domyślił się, że ma ochrypły głos. Słaby.

– Tak – zapewniła sklepikarka – zajmę się tym.

Już miała odejść, kiedy zadał jej pytanie, wywnioskował z intonacji Hugo. Simone pokiwała z wahaniem głową.

– Sprawa jest załatwiona – oświadczyła, zanim odezwał się ponownie.

Hugo był zły, że nie może usłyszeć całej rozmowy, a jeszcze bardziej, że nie jest w stanie zobaczyć jego. Mężczyzna coś mówił, Hugonowi wydało się zaś, że wyłowił własne imię, chociaż nie był całkowicie pewien. Simone wyciągnęła rękę w jego stronę. Dokładnie ku niemu. Serce waliło mu jak oszalałe. Skąd ona może wiedzieć, że on tu jest?

– ...idzie dobrze – powiedziała, nie patrząc na niego. – Będziemy gotowi na lato.

Ona nie celuje palcem we mnie, tylko w ośrodek!, odetchnął z ulgą Hugo. W szparze w drzwiach pojawiła się dłoń Strafy – pomimo odległości chłopak dostrzegł delikatne palce i pergaminową skórę. Simone słuchała, co tamten mówił. Przytaknęła i z szacunkiem się pożegnała, włożyła kask, po czym skuter powoli zjechał po zboczu.

Drzwi pozostały otwarte. Dlaczego ich nie zamykasz? Hugo był w stanie dojrzeć diabelską kołatkę. To coś rzuca mi wyzwanie. Żebym się zbliżył. Żebym wszedł do środka. Hugo nie pojmował, dlaczego Strafa nie zamyka drzwi. Na co czeka? Czy tkwi tam, w mrocznym holu? Czy on na mnie patrzy?

Wtem niemal zmumifikowana dłoń wystrzeliła z ciemności, chwyciła za klamkę i po pewnym czasie gwałtownie zatrzęsnęła drzwi. Hugo odniósł wrażenie, że otrzymał zaproszenie, by doń dołączyć. To było idiotyczne, bez żadnego dowodu na poparcie tego przypuszczenia, po prostu odczucie. On wiedział, że tu jestem. Czekał na mnie. Hugo kategorycznie pokręcił głową. To niemożliwe, znów coś mu się roi.

Potem, uznawszy, że przebywa tu dostatecznie długo, obrócił się na pięcie, by znaleźć się w Val Quarios, zanim JC zacznie się niecierpliwić. I cofnął się w pośpiechu na widok ich wszystkich. Twarzy w pniach.

Mijał te umieszczone przodem do szczytu, ale do tej pory umykało mu alter ego każdej z nich, widniejące z tyłu tych samych pni. Identyczne.

Tym razem jednak ich rysy były wykrzywione cierpieniem, usta zdeformowane, jakby zaraz miały się rozerwać. Błaganie przesłaniało wzrok.

Las wrzeszczał. Był to niemy i przerażający krzyk.

I niewiele brakowało, by Hugo zrobił to samo.

## 21.

Późnym popołudniem Philippe DePrigent wysłał wiadomość: chce widzieć wszystkich wieczorem, w akwarium.

Hugo miał złe przecucia. Spodziewał się, że eskapada na wzgórze Strafy ściągnie na niego kłopoty, chociaż nie miał pojęcia, jak się dowiedzieli. Co mu grozi? Dostanie reprimendę przed całym zespołem, aż mu w pięty pójdzie? Wyleją go? Tylko za to?

Po tym, co zobaczył, nie był pewien, co myśleć. Ten cały Lucien Strafa był rąbnięty, bez cienia wątpliwości. Izolacja, zameczek o pokręconej architekturze, zasieki w przeciwną stronę... A zwłaszcza ludzie wyróżnieni w pniach. Rewers: mam cię na oku. Awers: wrzeszczę ze zgrozy.

To nie było dokładnie to. W ich wyciętych rysach była namacalna zgroza, ale przede wszystkim potworny ból. Jakiego rodzaju artystą trzeba być, aby spędzić tak wiele czasu na cyzelowaniu tych przerażających strażników? Nie po to, by potwierdzić własną legendę: Strafa chciał pozostać w tajemnicy, zapomniany. Również nie z powodu groteskowej chęci do zabawy, skoro wstęp do zameczku był zabroniony. To było przeznaczone wyłącznie dla niego. Dla jego osobistej przyjemności.

W odróżnieniu od posępnych girland na płaskowzgórzu.

Hugo mieszkał tu od dziewięciu dni. Kiedy rozsiadał się na kanapie w akwarium, nieco z dala od kominków – jeżeli miał dostać ochrzan, wolał się nie narażać na spojrzenia – po raz pierwszy poczuł coś, co kazało mu zwątpić w słuszność własnej obecności w Val Quarios. Ogarnęło go zakłopotanie. Zastanawiał się, w co wdepnął. Zdecydował się na tę robotę ze względu na odosobnienie, na możliwość odnalezienia samego siebie. Tylko czy w gruncie rzeczy to było takie znów roztropne?

Ale chyba mimo wszystko nie zwieję? Ciągle był na okresie próbnym, pod względem formalnym nie stanowiło to problemu. W imię czego miałbym zrezygnować? Z powodu jakiegoś badziewia w lasach Strafy? Nie, to była kwestia ogólnej atmosfery. To tylko wrażenie, nowe otoczenie,

nowe twarze, muszę to ogarnąć. Powrót do Paryża był nie do pomyślenia, nie wiedział zresztą nawet, dokąd miałby wrócić, ponieważ nie miał ani mieszkania, ani przyjaciela, który pomógłby mu w potrzebie, gdyby się zjawił z podkulonym ogonem, z nosem na kwintę i poczuciem własnej wartości, które zagubiło się na dnie doliny. A poza tym być może wieczorem mnie wyleją, zaczekajmy więc...

Wszyscy się stawili. Nawet Adele, która przybyła w towarzystwie DePrigenta, JC, który rzadko się pokazywał, i Simone. Hugo wpatrywał się w nią, aby się przekonać, czy ucieknie wzrokiem, i sprawdzić, czy to ona go wyspała. Simone, z dłońmi wsuniętymi w rękawy wełnianego swetra, z nikim nie zamieniła ani słowa i zajęła miejsce w głębi, bardziej niż na uboczu. Dyrektor, stojąc plecami do kominka, w którym nadal płonęły polana – zupełnie jakby ogień nigdy nie gasł, podsycany przez ducha – czekał, aż zapadnie cisza.

– Przyjaciele – zaczął – jak wiecie, okoliczności wyjazdu Alice ostatnio trochę zepsuły atmosferę. Chciałem wam powiedzieć, że udało mi się ją złapać przez telefon. Przeprasza za swoje zachowanie, ścisnęła ją w żołądku na myśl, że musi się z nami wszystkimi pożegnać, aż się pochorowała od tego i wołała zniknąć po angielsku. To jej słowa. Obiecała, że napisze, i zapewniam, że płakała w słuchawkę.

Wymienił szybkie spojrzenia z Adele, która potwierdziła uniesieniem brwi, co wiele mówiło na temat wspomnianych łez.

– Reszta należy do niej – ciągnął dyrektor – podobnie jak do tych z was, którzy nawiązali z nią bliższą relację, ja się w to nie mieszam. Jeśli chodzi o nas, zgodnie z prognozą pogody w naszym sektorze w przyszłym tygodniu będą burze. Wiecie, co to oznacza. Zorganizujcie sobie odpowiednio pracę.

– Już? – wtrącił JC. – Trochę wcześniej jak na tę porę roku.

– Ocieplenie klimatu – rzucił Exhell. – Niedługo już w ogóle nie będzie pór roku.

DePrigent skrzywił się z niezadowoleniem i dodał:

– Co do nowych: przygotujcie się na wkroczenie na terytorium bogów. Thora, Zeusa, Jowisza, Raidena albo Indry, sami wybierzcie, ale oni się zjawiają tu, na zewnątrz i stoczą bezpardonową walkę. To może być imponujące, wolę was ostrzec. Unikajcie spacerów po łące, zwłaszcza z parasolem, jeżeli nie chcecie się zamienić w piorunochrony! Zdecydujcie

się raczej na pracę w budynku, której nie brakuje. Jutro przejrzymy grafik. To tyle, koniec zebrania, dziękuję za uwagę.

Kwestia Alice została zamknięta, chociaż pozostawiła niesmak. „Nie tak się załatwia sprawy”, powtórzyła kilkakrotnie część ekipy, wstając z miejsc. Hugonem targaly sprzeczne emocje. Jednocześnie ulga i... rozczarowanie. To było paskudne, czuł do siebie złość z tego powodu, ale myśl, że cała ta historia sprowadza się do potężnego napadu chandry, była tak pospolicie ludzka, że aż smutna. Wolałbyś, żeby ktoś ją zaatakował?, skarcił się natychmiast w duchu. Nie, jasne, że nie, nic z tych rzeczy. Po prostu wolałby coś... bardziej oryginalnego. Zrobiło mu się wstyd. Nieładnie sobie poczynał. Musi się prędko wziąć w garść, żeby uniknąć takich kretyńskich myśli. Przynajmniej go nie wywalili. I nikt go nie nakrył w pobliżu domu Strafy. Przyłączył się do Lily i Jiny, które o czymś rozprawiły.

– Pewnie czujesz się lepiej – zagadnął instruktorkę narciarską.

– Mam do niej żal. Sporo wspólnie przeżyliśmy, siedem miesięcy to nie byle co, człowiek nie zwija się w taki sposób.

Jina się z nią zgodziła.

– Któregoś dnia pożyczyłam jej sweter, nawet mi go nie oddała – wyznała. – To nic takiego, ale tak się nie robi.

Zgromadzeni rozchodzili się powoli, gawędząc, z wyjątkiem ich trojga. Lily wyciągnęła się na brzuchu na kanapie naprzeciwko i wsparła brodę na dłoniach.

– Spałeś z nią? – zapytała ni z gruszki, ni z pietruszki Hugona.

– Co? Nie, nie...

– To nie zbrodnia, przecież mogłeś.

– Owszem, ale nie. Co to za pytanie!

Hugo poczuł zakłopotanie, jakby miał coś do ukrycia. Jina też dołożyła swoje trzy grosze:

– Pierwszego wieczoru po twoim przyjeździe powiedziała mi, że z ciebie ciacho.

– Ach tak?

– Zauważ, że sama też była niczego sobie – oznajmiła Lily.

– Jest – sprostował Hugo.

– Słucham?

– Jest niczego sobie, przecież żyje.

Lily skrzywiła się z powątpiewaniem.

– Po tym, co zrobiła... I wiedz, że jak porzucasz Val Quarios, przestajesz dla nas istnieć – dodała uprzejmie wyzywającym tonem. – Więc przyznaj się: ty też uważasz, że jest ładna, co?

– Zgrabna – sprecyzowała Jina.

Wzięty w dwa ognie Hugo udał oburzenie:

– Ejże, to jakieś przesłuchanie czy co? Powtarzam wam: nie spałem z nią! Lily i Jina popatrzyły na siebie porozumiewawczo.

– Wygrałam.

– W czym wygrałaś? – zapytał Hugo. – Zrobiłyście ze mnie idiotę?

– Ależ skąd... Jina założyła się, że szalejesz za Alice. Nie wierzyłam.

– Niby dlaczego? – rozłościł się Hugo. – Mógłbym...

– Samiec zdobywca ze zranioną dumą – roześmiała się.

Lily rozciągnęła wargi w znaczącym uśmiechu i wyjaśniła:

– Po pierwsze, żaden z facetów, których Alice przeleciała zimą, nie był w twoim stylu. Starsi, bardziej...

– Palantowaci? Grubi? Nadziani? – podsunął Hugo.

– Pewni siebie.

– Aha, wielkie dzięki. A po drugie?

Lily zawahała się, po czym przyznała:

– Sama nie wiem, kobiecy instynkt. Odniosłam wrażenie, że nie masz do tego głowy.

Hugona korciło, by opowiedzieć jej o epizodzie na basenie, ale w gruncie rzeczy to by była tylko woda na młyn, ponieważ faktycznie nic nie zrobił. Ale jej się podobałem. To znaczy... tak mi się wydaje.

– Niespecjanie jestem w nastroju, żeby stać się waszą ofiarą, dziewczyny – oświadczył, zamierzając wstać.

Lily powstrzymała go gestem ręki.

– Pozwól mi przedstawić moje argumenty – powiedziała i otworzyła szafę za jedną z kolumn podpierających strop. Wyjęła z niej butelkę rumu i trzy szklanki, następnie z radością je napełniła. – Wybacz mi – poprosiła, podnosząc szklankę.

Akwarium opustoszało, zostało tylko ich troje.

– O co się założyłyście? – chciał wiedzieć.

Jina i Lily parsknęły śmiechem, spoglądając po sobie.

– Babskie sprawy – rzuciła Jina.

Hugo czuł się coraz bardziej wykluczony. Mimo wszystko podniósł szklankę.



– Dobre jest to cholerstwo, ale wypiję tylko jedną, już i tak nawet na trzeźwo bez przerwy się gubię, a nie mam ochoty spać na zewnątrz.

– Ja też błędę za każdym razem! – wykrzyknęła Jina, aż nadto uszczęśliwiona, że może z kimś dzielić swoją ułomność.

– W budynku C?

– W D. Jakaś idiotka ze mnie, omijam zakręt, nie zauważam drzwi, trzeba przyznać, że wszystkie są takie same!

– Też tak mam. Niedługo minie dziesięć dni, jak tu jestem, i dopiero zacznę się orientować. Najgorsze, że raz trafiam bez problemu, a zaraz potem nie mogę się połapać, zdaję sobie sprawę, że przegapiłem rozwidlenie. Prawdziwa masakra.

Jina pochyliła się z tajemniczą i rozbawioną miną.

– Nigdy sobie nie mówiłeś, że ściany się przesuwają? Że ośrodek żyje?

Wybuchnęła szczerym śmiechem.

– Nie trzeba się zastanawiać – wtrąciła Lily. – Idźcie na wycieczkę, a sami zobaczycie, że nieświadomie przypomnicie sobie drogę.

– Co nie zmienia faktu, że nienawidzę tego architekta – odparł Hugo. – To sadysta.

Jina ponownie stuknęła się szklanką z Hugonem i upiła potężny łyk, zaciskając zęby pod wpływem mocnego alkoholu.

– To właściciel – oznajmiła Lily.

– Strafa jest architektem? – Hugo o mało się nie zachłysnął.

Lily przytaknęła skinieniem głowy. Dlaczego się nie domyślił? Taka perfidia w skomplikowanym układzie pomieszczeń, przejść i półpięter pasowała do niego jak ulał, zwłaszcza po tym, jak Hugo nadział się na jego drewnianych „kompanów”.

– Co to za jeden ten Strafa? – zapytała Jina.

Lily spojrzała na rozczochranego bruneta, czekając, aż przemówi.

– Magik.

– Prestidigitator – sprostowała Lily. – Od dawna nie praktykuje.

Pozwoliła Hugonowi dokończyć:

– Odszedł na emeryturę jakieś czterdzieści lat temu, można powiedzieć, że się tu ukrywa. To on mieszka w zameczku nad Val Quarios.

– Myślałam, że tam mieszka dyrektor z żoną – wyznała Jina.

– Nie, oni mają apartament na samej górze statku matki – wyjaśniła Lily.

– Tamten dom należy do Strafy.

Hugo wstał i podszedł do jednego z okien. W mroku zameczek lśnił, z nareszcie podniesionymi żaluzjami.

– Facet uważa się za wampira, zauważyłyście? Odżywa, jak tylko zajdzie słońce.

– Tutaj to by był dobry pomysł – stwierdziła rozbawiona Jina. – Zimą wybierasz wśród narciarzy drobnego samotnego wędrowca i ciach! W dodatku szybko się ściemnia, to wygodne dla tych, którzy wysysają krew. Cichaczem podkradasz posiłek z żywego inwentarza, który na okrągło się odnawia, i nikt nie ma o tym pojęcia. Raj dla Draculi! O, proponuję taką reklamę: „Wampiry, przyjeżdżajcie do Val, gwarantujemy pełnię jedzenia przy pełni księżyca!”.

Hugo się nie roześmiał. Nie mógł oczu oderwać od ciemnej bryły na zboczu ani od jej świateł. Witraże również się zabarwiły. Czyżbyś tam był, w swoim gabinecie?

– Czyli to on wyrysował plany – powiedział Hugo. – Całego ośrodka?

Lily, nagle pogrążona w zadumie, odrzekła dopiero po chwili:

– Tak, tak mi się wydaje... Czekać, nie, z tego, co mówią, Wieża była tu już wcześniej. I chyba z jeden czy dwa budynki, sama nie wiem. Philippe może być zorientowany.

– DePrigent? Był przy otwarciu?

– Nie sądzę, ale ma wszystko w małym palcu.

Lily nie była już taka wesolutka, Hugo wyraźnie widział, że coś ją trapi.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak...

Jej ton mówił jednak co innego. Hugo przysunął się bliżej.

– Ej, Lily, coś nie gra?

– Nic, to idiotyczne...

– Jestem królem idiotyzmów, wierz mi, nie mogłaś gorzej trafić. Jazda, strzelaj. Powiedziałem coś nie tak?

Pokręciła głową.

– Uznacie mnie za świruskę.

Do Jiny i Hugona dotarło, że atmosfera nagle się zmieniła – żadne z nich nie miało ochoty na dowcipkowanie. Hugo odstawił szklanekę.

– To Strafa? – zapytał, ściszej głos.

– Chodzi o to, że... Jina, kiedy wspomniałaś o...

– Wampirze?

– O łatwych do znalezienia ofiarach... No więc...

Lily wypatrywała ich reakcji, niepewna, czy powinna mówić dalej, czy zaraz zacząć drwić.

– Wyduś to wreszcie – zniecierpliwił się Hugo, poważniejąc bardziej niż kiedykolwiek.

– Przyrzekacie, że wam nie odwali?

– Mnie już odwaliło. Mów.

Nie była do końca przekonana, czy brnąć dalej, Hugo potrafił to wyczytać z jej twarzy.

– W ciągu paru lat było sporo zaginięć tutaj, w Val Quarios.

– Sporo? To znaczy więcej niż średnia?

Spojrzenie Lily wędrowało od jednego do drugiego.

– Przed przyjazdem żadne z was nie szukało informacji na temat ośrodka, prawda? Lepiej przyniosę laptop.

## 22.

Siedząca na jednej z kanap Jina chwyciła poduszkę i trzymała przed sobą jak tarczę. Lily postawiła przed nią maca, którego przyniosła ze swojego pokoju, i włączyła go.

– Dla personelu to nie jest tajemnica – wyjaśniła – ale oni nie lubią, jak się porusza ten temat. Szczególnie Philippe. Wkurza się, że ktoś może traktować jego „mały raj” inaczej niż jako coś cudownego. Po raz pierwszy powiedział mi o tym zaraz po moim przyjeździe pracownik sezonowy, który co roku opiekuje się trasami zjazdowymi.

– Nie jestem pewna, czy mi się to spodoba – stwierdziła Jina.

– Do tej pory zawsze spychałam to gdzieś na dno umysłu. Z etykietką w stylu „Odpaly do wyrzucenia z pamięci”. Tylko że mnie to gnębi i nie mogę przestać o tym myśleć.

– Zaginięcia mogące być czymś więcej niż mąż, który daje w długą, albo dzieciak na gigancie? – zapytał Hugo.

Lily potrząsnęła głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Postanowiłam nie dać się zwariować, więc nigdy nie kopałam głębiej, ale pewnego razu znalazłam w necie coś takiego. Seria wypadków. Podobno w dolinie nazywają nas „felernym ośrodkiem”.

– To dlatego martwiłaś się o Alice bardziej niż wszyscy?

– Nie mogę powiedzieć, żebym o tym nie myślała.

– Ale mi napędziliście cykora – przyznała Jina. – Nie wkładacie mnie? Wy tak na poważnie?

Połączywszy się wreszcie przez wi-fi, Lily wpisała nazwę ośrodka do wyszukiwarki i dodała słowo „zaginięcia”. Ukazało się wiele stron z wynikami. Podobne tytuły. Tylko że daty nie były takie same. 2017. 2015. 2010. 2006... Hugo dostrzegł nawet gdzieś pośrodku 1998.

– Dalej, otwórz którąś.

Lily spełniła polecenie i natknęli się na artykuł w „Dauphine Libere” zatytułowany Niepokojące zniknięcie w Val Quarios. Jakaś

siedemnastolatka nie pojawiła się w swoim apartamencie po wieczorze, który spędziła z przyjaciółmi na dyskotecie w ośrodku. Zmęczona opuściła grupę krótko po północy i miała wracać sama, po obudzeniu się zaniepokojeni rodzice zawiadomili, że jej nie ma. Hugo przeczytał ciąg dalszy:

– „Żandarmeria odnalazła rodzinny samochód zaparkowany przed dworcem Montdauphin-Guillemestre, rodzice stwierdzili, że w pokoju brakuje jednej walizki i części rzeczy dziewczyny. Nasuwa się hipoteza ucieczki, chociaż niczego nie słyszeli i stanowczo oponują...” OK. Cofnij się i otwórz inną stronę, żeby się przekonać.

Kolejny artykuł wspominał o trójce narciarzy uznanych za zaginionych w górach nad Val Quarios. Miejscowy przewodnik utrzymywał, że przy tak szerokim terenie poza wyznaczonymi trasami ciała odnajdą się dopiero wtedy, gdy stopnieją śniegi, o ile ktoś zada sobie trud, by przeczesać odległe doliny. Artykuł nie informował, czy później podjęto taką próbę.

– Czy jako instruktorce narciarskiej wydaje ci się to prawdopodobne? – odezwał się Hugo.

– Teren zjazdowy jest spoko, ale dużo ludzi ryzykuje i oddala się od wyznaczonych tras. Dopóki zostają na najzimniejszym zboczu, to jeszcze ujdzie, wtedy zjeżdżają aż tutaj, a w najgorszym razie możemy pójść ich poszukać. Ale czasami zdarzają się narwańcy, którzy szusują po południowym stoku... Jak się znajdziesz na szczycie góry, a potem zjeżdżasz złą stroną, nie ma nic, ani osady, ani żywej duszy. A już na pewno nie jest to właściwe miejsce, żeby dać się zaskoczyć przez lawinę albo się zgubić i spędzić noc bez odpowiedniego sprzętu. W sezonie prowadzimy dużo akcji prewencyjnych, i najczęściej ludzie przestrzegają...

Jina wskazała następny artykuł zatytułowany Lawina w Val Quarios, troje zaginionych. W tekście nie brakowało niespodzianek: żadnego ciała nie odnaleziono, za co obwiniano liczne i głębokie szczeliny. Nawet wyspecjalizowanej ekipie żandarmerii trudno było się do nich dostać. Potem wymieniano wiele samobójstw na przestrzeni lat. Najczęściej powieszenie w apartamencie, kilka skoków z urwiska albo z balkonu, wspomniano też o jednej kobiecie, która zdjęła całe ubranie i wyruszyła na szczyty, wystawiając się na zimno, przynajmniej do takich wniosków doprowadziło śledztwo, kiedy znaleziono jej nagie, zamrożone zwłoki.

– I ty mówisz, że ci nie odbiło? – skwitowała Jina. – Ale zaczynam mieć cykora. Poważnie, co to za miejsce?

– Trzeba by sprawdzić, czy statystycznie śmierć zdarza się tutaj częściej niż gdzie indziej... – uspokoiła ją Lily. – Nieustannie sobie to powtarzam.

– Nie muszę znać statystyk, by potwierdzić, że to dużo – sprzeciwił się Hugo, który czuł narastający niepokój. – Uciezki dzieciaków i dorosłych, lawiny, zbłąkani wędrowcy, którzy się nigdy nie odnaleźli, samobójstwa... i wszystko, o czym jeszcze nie czytaliśmy! Istnieje jakiś związek. Czyli że to nie jest normalne.

– Zgadzą się co do tego – skrzywiła się Jina – że szukamy wyjaśnienia dla dużej liczby... „wypadków”. Co wcale nie oznacza, że to może być coś nadnaturalnego.

Jina zaakcentowała to słowo, aby dobitniej podkreślić jego niestosowność.

– Czy to nie ty mówiłaś o wampirze? – odparowała Lily z nutką sarkazmu.

Jina wskazała ruchem głowy Hugona.

– To on. Ja robiłam sobie jaja.

Chłopak pomasażował sobie kark i ponownie stanął przy najbliższym oknie. Wycelował dłoń w rozświetlony zameczek.

– Jak chcecie prawdziwego popaprańca, to macie!

– Wiesz, ile on ma lat? – wtrąciła Lily.

– Może i jest stary, ale coś z nim nie tak. Zaglądałaś już kiedyś do niego?

– Nie, spotkałam go raz tutaj...

– A powinnaś. I koniecznie przejdź przez las!

– Z powodu totemów? Twarzy w pniach?

– Wiesz o nich?

– Słyszałam o nich. JC coś wspominał.

– To on je wyrzeźbił?

Wobec tego musiał zacząć bardzo wcześnie, ponieważ niektóre twarze zostały wycięte przynajmniej dwadzieścia lat temu, ocenił Hugo.

– Nie, ale mi opowiadał. Według niego rolnicy stawiają na polach strachy na wróble, żeby przepłoszyć ptaki, a Strafa robi to, żeby zniechęcić ciekawskich.

– Bardzo chcę wierzyć, że tak to działa, ale metoda jest pokrecona!

– O czym właściwie mówimy? – zapytała Jina.

Kiedy Hugo wyjaśnił, w czym rzecz, jeszcze mocniej przycisnęła kolana do piersi i zgmiotła poduszkę. Wszyscy troje pograżyli się w zadumie przy trzasku płomieni.

– W ciągu trzech lat nie zauważyłaś nic dziwnego? – dążył Hugo, zwracając się do najstarszej z całej grupy.

– Ani jednego zaginięcia, jeśli o to ci chodzi. I powtarzam: nie wpadajmy w paranoję, po prostu chciałam się z wami podzielić tym, co czuję, a nie napędzić wam stracha.

Jiny wcale to nie bawiło.

– No nie, wy tak na serio? Siedzimy tu sobie w ciepłku i... wyobrażamy sobie, że może istnieć...

– No dalej, powiedz to – zachęcił Hugo.

Jina pospiesznie pomachała palcem na znak zaprzeczenia.

– To są wypadki – powtórzyła łagodnie Lily, jakby chciała przekonać samą siebie.

Hugo upierał się przy swojej wersji. Wymówił to słowo:

– Morderca. Właśnie to mamy na myśli.

Hugo uzmysłowił sobie, że obie dziewczyny popatrzyły po sobie bliskie śmiechu, nerwowego, pozbawionego wesołości śmiechu, który pozwoliłby rozładować zbyt duże napięcie. Dobił je:

– A jeżeli w ośrodku jest psychopata? I to od lat. Pozoruje wypadki, żeby nikt go nie nakrył.

Po tych słowach w akwariu zapadła grobowa cisza.

– Przesadzasz, wyciągając taki wniosek z powodu... błahostki – odezwała się wreszcie po namyśle Lily.

– I każdy glina miałby niezły ubaw, gdybyśmy mu opowiedzieli coś takiego – przyznał Hugo. – Ale ja zadaję wam to pytanie.

Jina energicznie pokręciła głową.

– Lubię się czasem przestraszyć dla zabawy, ale jednak to jest jakaś makabra.

Hugo zerknął na zaabsorbowaną Lily.

– A przecież przejrzelśmy zaledwie część artykułów – przypomniał – a jest ich cała fura. Zbieg okoliczności, bardzo bym chciał, ale tutaj...

– Wypadki, owszem, ale niemające nic wspólnego z przestępstwem – upierała się Lily.

– Alarmująca jest ich liczba.

– Intrygująca – sprostowała natychmiast.

– To coś stałego – dodała Jina. – To znaczy zdarzają się po trochu przez cały czas.

– Ani jednego od trzech lat – zaoponowała Lily.

– Ani jednego, który zwróciłby uwagę mediów – zastrzegł Hugo – to niezupełnie to samo.

– Alice... – zaczęła Jina.

– Alice wróciła do domu – ucięła Lily.

Hugo wbił w nią wzrok.

– Jesteś tego pewna? Rozmawiałaś z nią?

– Nie, ale DePrigent rozmawiał, a taksówkarz...

Wśród nich zapadło milczenie, przerywane trzaskaniem ognia w kominku.

– Czy myślimy o tym samym? – zapytała Jina.

– Nie, nie zgadzam się – oświadczyła Lily. – Jeśli chodzi o Philippe’a, to nie skrzywdziłby nawet muchy, daję za to głowę. A tak w ogóle dobrze mu się przyjrzelście? On i Adele jako para psychopatów? Bzdura.

– No to może nie akurat Alice, zgoda – ustąpił Hugo. – Ale inni? Kiedy „wypadki” zdarzają się z taką regularnością, człowiek ma prawo zadać sobie pytanie... A jeżeli za tym wszystkim stoi istota ludzka?

Widząc opór Lily, skrzyżował ręce na piersi.

– Jestem tu od trzech lat – oznajmiła dziewczyna – i podoba mi się to miejsce, nigdy nie miałam powodów do narzekań na współpracowników. Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, kto by to mógł być. A w ciągu roku nie ma tu dużo personelu. DePrigent, JC i stary Max.

– Zapominasz o Simone, Adele i oczywiście o Strafie.

W końcu Lily zaśmiała się sucho, ironicznie.

– Nie, nie wierzę.

– Dla ciebie to po prostu szaleństwo. Przypadek?

– A twoim zdaniem co niby ma być?

Cisza. Wymiana spłoszonych spojrzeń.

– Autootumaniamy się – oznajmiła w końcu Jina.

– Co? – wykrzyknęli jednocześnie Hugo i Lily.

– Autosugestia, robienie wody z mózgu, sianie zamętu... Ja to nazywam autootumanianiem i właśnie tak się teraz zachowujemy. Snujemy domysły, robimy z igły widły... Z początku człowiek bawi się, że w to wierzy, a z czasem to się roznosi jak wirus, człowiek przestaje udawać, uznaje to za prawdę.

– W takim razie to musi być to – przyznała Lily.

– Sama zasiałaś panikę – przypomniał Hugo.

Lily odparła, wskazując na Jinę, jakby to była jej wina:



– Tak, bo po tej historii z wampirem, który tu swobodnie grasuje, mnie to zastanowiło, ale tylko przelotnie. Pomyślałam o tym, ale to naprawdę niemożliwe.

Hugo spojrział ku rozbłyskującym w nocy światłom w czymś, co przypominało drewniany gotycki kościół.

– Mam nadzieję – powiedział, niezupełnie wiedząc, co sam sądzi.

## 23.

Szczyty nasiąknęły deszczem jak gąbka. Rynny w całym ośrodku wypluwały wodę na okrągło, tymczasem wysoko na łąkach powstawały bruzdy, w których się ona gromadziła.

Zapowiadał się przygnębiający poranek. Część personelu zabijała czas w kantine, rozmawiając albo grając w gry zaproponowane przez Exhella, przy dźwiękach muzyki, o którą toczyli boje Lily i Armand. Rebekka Karijord: Wear It Like a Crown przeciwko Suzane: SLT. Lorene Aldabra & Enzo Clark: All Flowers in Time Bend Towards the Sun przeciwko Vanowi McCoyowi: The Hustle. The Broken Circle Breakdown Bluegrass Band: The Boy Who Wouldn't Hoe Corn przeciwko Polyrhythmics: Yeti, Set, Go. Z każdą godziną lista pojedynków się wydłużała, a przy każdym utworze następowało głosowanie. Kiedy przewagę zaczęła zdobywać playlista zaproponowana przez Armanda, Lily obwieściła, że wszystkim „powinno się wyszorować uszy kwasem”, i się poddała, ustępując pola przeciwnikowi. Skuliła się na sofie, blisko okien, i wpatrywała się przez nie w potop.

Gdy Paulo przygotowywał blachy z domową pizzą, unosił się aromat gorącego ciasta i pieczonej szynki. Tej niedzieli Hugo trzymał się na uboczu, obserwował. Exhella, który włożył jedną z tych swoich gigantycznych koszulek z niemożliwą do wymówienia nazwą zespołu metalowego i się wściekał, jeśli nie słuchano jego (zbyt) długich objaśnień zasad gier. Merlina, który żuł lukrecjowe cukierki, nie odzywając się ani słowem. Tica i Taca oraz ich nieprzerwany ociekający sarkazmem słowotok. Jinę, która grała w szachy ze starym Maxem w milczeniu, za to śmiała się z (nielicznych) dobrych żartów obydwu komików. Jak zwykle ani Ludovic, ani JC, ani pozostała trójka „starych” się nie pokazała. Max jednak zauważył, że skoro przy tej pogodzie tak siedzą zamknięci w czterech ścianach, pewnie DePrigent przyspawał się do swoich krzyżówek, a Adele zabiera się po raz piąty albo i dziesiąty do układania

którychś z tych swoich puzzli, przedstawiających tak mdły krajobraz, że można się powiesić. Jeśli chodzi o innych, Hugo nie wyłowił żadnych dodatkowych informacji i zaczynał się na poważnie utwierdzać w przekonaniu, że powinien bardziej zasięgnąć języka na temat JC, a zwłaszcza Ludovica. Ten ostatni miał oczy jaszczurki. Chociaż rzadko na siebie wpadali, Hugonowi nigdy nie podobał się sposób, w jaki tamten świdrował go wzrokiem: zimno, bez słowa. Bycie niegrzecznym i nieokrzesanym to jedno, ale bycie sobkiem albo odludkiem to co innego. Podobnie jak podejrzewanie kolegów, że są zbrodniarzami? Owszem, jednego z nich, to możliwe.

Hugo czuł, że niedługo stanie się to jego obsesją, musiał się opanować. Od jego przyjazdu nie minęły nawet dwa tygodnie, a już się szykował, żeby donieść na kogoś glinom tylko z tego powodu, że to miejsce bywa czasem dziwne i że występuje wysoki procent zaginięć lub samobójstw. W dodatku sam to stwierdziłem, a być może gdyby to sprawdzić, okazałoby się, że w ośrodku narciarskim taki odsetek jest normalny. W przygodnym miejscu, gdzie tętni życie, a więc są chwile nie tylko szczęścia, ale i bólu, dramaty, rozpacz... Skoro przewija się tędy każdej zimy dwa albo i trzy tysiące osób, to czy nie można uznać, że procent wypadków jest stosunkowo wysoki? Ile wynosi w liczącej trzy tysiące dusz wspólnocie przy bardzo aktywnej populacji?

Hugo był świadom własnych fiksacji, dlatego ważne było, żeby zachował powściągliwość, żeby nie stało się to jego obsesją, bo inaczej zacznie dostrzegać wyłącznie to, co pasuje do jego urojeń.

W porze obiadu poszedł poćwiczyć na siłownię w statku matce, niedaleko akwarium. Jednak nawet po niezbędnym długim, gorącym prysznicu nie poczuł ukojenia. Musiał wyjść. Deszcz zelżał, po czym pod koniec popołudnia całkowicie ustał. Na widok Lily czytającej na sofie w kantynie chłopak pomyślał, że mógłby ją ewentualnie wyciągnąć, aby poznać jej odczucia. Tymczasem Jina zniknęła, zapewne wróciła do swojego pokoju.

– Idę się przewietrzyć, przyłączysz się?

– Na dwór? Chyba jest błoto.

– Kręcę się w kółko, brakuje mi powietrza.

Burknęła coś w odpowiedzi, nieprzekonana.

– Dalej, rusz tyłek – nie dawał za wygraną Hugo.

Lily zmrużyła oczy.

– Jeszcze nie znam cię zbyt dobrze, ale instynkt mi podpowiada, że coś ci chodzi po głowie. Mam rację?

– Chciałbym ci pokazać jedną rzecz.

Lily zastanawiała się, przygryzając policzek. Następnie pochyliła się, by nikt jej nie usłyszał.

– Jeżeli to dotyczy Strafy, nie, dziękuję – zastrzegła.

– Zaufaj mi.

Wyciągnął do niej dłoń. Z westchnieniem podała mu swoją.

Okutani jedno w parkę, drugie w nieprzemakalną kurtkę, posuwali się wzdłuż wyciągów narciarskich. Lily wciąż zerknęła w niebo, bojąc się piorunów. Pozostanie na zewnątrz, gdyby rozpuściła się burza, wcale jej się nie uśmiechało, po ostrzeżeniach DePrigenta Hugonowi zresztą też nie. Chłopak przyspieszył kroku.

– Dokąd mnie prowadzisz? Ja znam te doliny, wiesz? To moje trasy.

– Nie, nie te, dokąd idziemy.

– Nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć. Paryżanin! Żółtodziób, który opowiada mi o moim własnym regionie. Jasne, coś takiego!

– Szusujesz między drzewami?

– A jak ci się wydaje?

– W takim razie chodź za mną.

Gdy się znaleźli na wysokości płaskowzgórza, które górowało nad Latarnią Morską, Hugo skręcił w puszcę jodłową. Powoli się już w niej rozeznawał i nie musiał iść wzdłuż urwiska, żeby się orientować. Wszędzie wokół kapała woda, jakby drzewa właśnie wyszły z kąpieli.

Przy każdym kroku zanurzali się po kostki w mokrej próchnicy.

– Ejże, zdajesz sobie sprawę, że to kiepska metoda na podryw? – roześmiała się Lily.

Schowała część niesfornej czupryny pod czapkę Jankesów.

– Lily ma związek z piosenką czy książką? – zapytał po drodze Hugo.

– Och, naprawdę chcesz brnąć w ten temat?

– To jakaś dłuższa historia?

– To nie jest moje prawdziwe imię.

– Ach tak? Szkoda. Podoba mi się Lily. Więc jak mam cię teraz nazywać? Warkot bębnow?...

– Moi rodzice wyprzedzali swoją epokę. Wpływy New Age i sympatie feministyczne.

– Simone?

- Pudło. Jako imię dali mi żeński odpowiednik Adama.
- Eve? – podsunął Hugo, mierząc ją wzrokiem. – Zarąbiście, podoba mi się. Po co zmieniać?
- Nie, Ewa to ta potulna. Co powstała z żebra Adama. I rzadko kto wie, że Ewa nie była pierwszą żoną Adama.
- Poważnie?
- Odśwież wiedzę z religii, stary. Przed Ewą była... Lilith!
- Lilith? To... brzmi jak nazwa kwiatu.
- Pięknego kwiatu, ale za to z kolcami – parsknęła śmiechem. – Lilith została stworzona jako równa Adamowi, z gliny, czyli de facto nie była mu podległa, ujarzmiona. Przez co w rezultacie wygnano ją z raju, bo nie robiła wszystkiego, czego życzył sobie Adam.
- Nie miałem o tym pojęcia.
- Akurat o tym kawałku świętych tekstów nie mówi się głośno. Możesz sobie wyobrazić, że przez wieki w społeczeństwie patriarchalnym starano się ukryć istnienie tej pierwszej kobiety i wymieniano wyłącznie spolegliwą i wybrakowaną Ewę. Siłą rzeczy, jeżeli nawet wiadomości na temat Lilith się zachowały, są mało znane i rzadko badane.
- Dlaczego nie używasz pełnego imienia?
- Lubię je, po prostu przyzwyczaiałam się do zdrobnienia. Kiedy rodzina się na mnie złości, używają pełnego brzmienia, tak jest wygodniej. A ty? Dlaczego Hugo?
- Eee... nie mam pojęcia, może dlatego, że mamie się podobało? Widzę, że przy tobie będę musiał wymyślić coś mocnego, co robi wrażenie. Wydaję się sobie kompletnie mdły...
- Hugo dumiał przez chwilę nad kierunkiem, trochę skołowany wyglądem lasu w stosunku do tego, do czego zdążył przywyknąć. Gałęzie opadły pod ciężarem wilgoci, za to podniosła się wysoka trawa, maskując część punktów orientacyjnych. Po krótkim błędzeniu jednak znalazł to, czego szukał.
- Prawie jesteśmy na miejscu.
- Pierwsza żałobna girlanda zaskoczyła nawet jego samego – spadła na nich, kiedy odsuwał zagrządzającą im drogę gałąź i o nią zawadził. Lily krzyknęła, po czym dotarło do niej, że czaszki pochodzą od ptaków. Hugo chwycił ją za rękę i pociągnął głębiej w „udekorowaną” strefę. Otaczał ich z tuzin pogrzebowych lian. Chłopak potoczył wokół ramieniem i oznajmił:
- Proszę bardzo.

– To jakiś żart? Ty to zrobiłeś?

– No coś ty... Nadziałem się na to jakieś dziesięć dni temu. JC odradzał mi zapuszczanie się tutaj. On wie.

– Chodzi po tych lasach od dziecka, oczywiście, że wie o wszystkim, co tu jest.

– W takim razie czy to może być jego dzieło?

Lily nie od razu odpowiedziała. Przyglądała się uważnie girlandom. Hugo obserwował jej ruchy, podziwiając zimną krew. Pamiętał, jak bardzo nim samym to wstrząsnęło za pierwszym razem. Lekko zadarty nos i pełne wargi tworzyły ładny profil.

Deszcz, który dopiero co spadł, nasilił zapach ziemi, kory i żywicy. Wkrótce dołączyła do niego woń wilgoci i grzybów.

– Nie mogę powiedzieć, że doskonale znam JC – wyjaśniła Lily – ale zdziwiłabym się, gdyby lubował się w makabrze. Wysportowany, prostolinijny, bliski naturze, trochę podrywacz, szczerze mówiąc, nie wygląda na kolekcjonera martwych zwierząt.

Stała przed nim.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

Nie będąc pewien, czy jest na niego zła, Hugo poczuł się trochę jak idiota. Wzruszył ramionami.

– Po wczorajszej rozmowie pomyślałem sobie, że dobrze by było pokazać ci, co znalazłem. Przyznaj, że to nie jest normalne. Ale jest coś, czego nie potrafię zrozumieć: jakim cudem żaden z zimowych turystów na to nie natrafił? Z pewnością ktoś z personelu musiał o tym słyszeć.

– Już mówię: gdybyś przed wejściem do lasu wdrapał się po zboczu trochę wyżej, zauważyłbyś tablice. Nie zdejmujemy ich wszystkich na lato, przynajmniej nie te duże. Do tej strefy nie ma wstępu, zagrożenie śmiertelnym upadkiem z urwiska. Jak nie będziemy stawiać oznaczeń na każdym kroku, zawsze znajdą się wycieczkowicze, którzy zapuszczą się, gdzie nie trzeba, i skręcą kark. Zaraz po przyjeździe ich ostrzegamy. Wiedzą, że nie wolno zbaczać ze szlaków. A więc nie, nie przypuszczam, żeby ktokolwiek wiedział o tych... aberracjach, bo nikt tu nie chodzi. Z wyjątkiem JC, który dba o ten teren. No i ciebie.

Utkwiła w nim spojrzenie.

– Masz w zanadrzu jakieś inne niespodzianki w tym stylu? – zapytała.

– Nie i wołałbym, żeby ich więcej nie było. A co ty o tym myślisz?

Po raz kolejny obrzuciła wzrokiem kołyszące się girlandy.

- Nadal się upierasz przy pomyśle, że w Val Quarios grasuje psychopata?
- Przyznaj, że to niepokojące.

Lily długo się zastanawiała nad odpowiedzią.

- Pomożesz mi? – nie ustępował Hugo.

Obróciła się gwałtownie ku niemu i powtórzyła:

- Pomóc ci? Bawić się w gliny? Żeby co znaleźć? Zdechłego kota?
- Według ciebie te żałobne ozdoby są normalne? Pnie drzew u Strafy?
- To ekscentryk.
- A Alice? Potwornie się zamartwiałaś, jak zniknęła.

– Miałam cykora, to wszystko. Ze względu na charakter Val Quarios nie wykluczyłam, że mogło jej się coś stać. Byłam zmęczona, przesadziłam. A ty powinieneś się ogarnąć, Hugo, nie możesz pozwolić, żeby od tego ci odbiło.

- A jeżeli było coś jeszcze?

– Przestań wreszcie, Hugo. Przykro mi, że przeze mnie nabiłeś sobie tym wczoraj głowę, po prostu po wszystkich tych opowieściach, które słyszałam przez lata, nagle zajarzyłam, przyszło mi to na myśl, ale żeby od razu popadać w takie szaleństwo... Szczerze mówiąc, nie wiem.

Zapadła cisza, jakby przemknął obok nich anioł. Z czarnymi skrzydłami i złą miną, pomyślał Hugo, po czym przedstawił swój plan:

- Mam na oku całą bandę i tyle.

– W jakim celu? Musisz wykonywać swoją robotę, przecież nie możesz siedzieć każdemu na plecach.

– Stwarzam sobie portrety, a potem je uzupełniam. Wyluzuj, nie zacznę podrzucać pluskiew ani oklejać ścian pokoju zdjęciami podejrzanych, po prostu jestem... powiedzmy, czujny.

Lily się skrzywiła. Złapała go za ramię i pociągnęła do tyłu.

- Chodź, mam już tych kości po dziurki w nosie.

Wałęsali się po puszczy jodłowej i chłopak stopniowo przestał snuć wariackie domysły. Zachowanie Lily rozczarowało Hugona, jednocześnie pragnął, żeby to nie zaszkodziło ich relacji. Uświadomił sobie, że ją lubi. Po wielu minutach marszu w milczeniu poczuł złość na siebie, że ją tu przyprowadził. Czuł złość na siebie nawet o to, że okazał się aż do tego stopnia nieufny, że się nakręcił i że wręcz podejrzewał jednego z członków zespołu. Zapewne Lily miała rację – posuwał się za daleko.

- Przykro mi – powiedział.

Wzruszyła ramionami. Zbyt szybko skręcili na północ, jeszcze zanim dotarli do stoku z trasami narciarskimi, toteż trafili na urwisko. Ruszyli wzdłuż przepaści, oddaliwszy się o kilka kroków od krawędzi.

– Będę miała otwarte oczy, może zadam jedno czy dwa pytania, dyskretnie – oznajmiła Lily.

Hugo przyspieszył, aby się z nią zrównać.

– Ty też czujesz, że to jest trochę... że coś tu nie gra?

– Już mówiłam: nie mam pojęcia. Pracuję w tym ośrodku od trzech lat, z częścią tych ludzi. To moi przyjaciele.

– Rozumiem.

Mimo to po chwili dodała:

– Ale przyznaję, że z początku ja też miałam takie wrażenie, kiedy usłyszałam te historie. Wmawiałam sobie, że to ja wszędzie widzę zło, dlatego dzisiaj jestem trochę zdezorientowana.

Hugo zatrzymał ją, chwytając za rękę.

– Dziękuję. Naprawdę.

Wykrzywiła kącik ust, po czym spojrzała na dolinę.

– Chodź, mgła się podnosi i wierz mi, wolałbyś tu utknąć z seryjnym zabójcą, niż błąkać się na skraju urwiska zagubiony we mgle.



## 24.

Deszcz padał przez cały tydzień. Szare chmury krążyły nad Val Quarios, jakby niewolniczo posłuszne ciągłemu ruchowi, za to ich brzuchy nigdy nie były puste. Hugo przywykł do pracy w tych warunkach. Wystarczyło zapiąć kurtkę nieprzemakalną, by pozostać suchym, a JC pożyczył mu czapkę, by woda nie zalewała mu twarzy. Natomiast z każdym dniem jego dłonie ulegały coraz większemu zniszczeniu. Zrogowaciały, popękały, wysuszyły się. Praca fizyczna nie była specjalnością Hugona, chociaż miał dużo zapału i dobrą kondycję fizyczną, potrzebował trochę czasu na przystosowanie się. Po sezonie tutaj jego ciało się zmieni, był o tym przekonany.

Codziennie rano, zanim wyruszyli, JC sprawdzał najświeższą prognozę pogody i jeśli tylko nie zapowiadano silnej burzy, potwierdzał ich wyjście. Oczyszczili szeroki pas wokół łąki po wschodniej stronie ośrodka, konkretnie pod wzgórzem wiodącym do Strafy, rozsiewając po drodze stosy karpiny po każdym wyrębie pośród nieużytków pełnych pościnanych gałęzi. Sprzątanie będzie najtrudniejszym etapem, podejrzewał Hugo.

Kiedy działali w pobliżu domu Strafy, Hugo próbował pociągnąć JC za język. Wróciwszy spod ogrodzenia, gdzie poszedł oddać mocz, zapytał:

- Ta bariera tam to normalne?
- To dla takich jak ty, co to nie potrafia czytać. Nie widziałeś tych wszystkich tablic z napisem „Własność prywatna”? A przecież trudno ich nie zauważyć.
- Owszem, ale my to co innego.
- Ach tak? A niby dlaczego?
- No bo pracujemy tutaj, jesteśmy z Val Quarios.
- Tylko dlatego, że jestem miejscowy, mam prawo wejść do twojej chaty, kiedy chcę, bez pytania?
- Nie, ale...
- To to samo. Tutaj jest posiadłość właściciela, on nie chce, żeby mu zawracać dupę, a ponieważ zawsze znajdą się tacy, którzy mają gdzieś

pisemne zakazy, trzeba im postawić namacalną przeszkodę. Nie wspinamy się do niego i kropka.

Hugo przytaknął, trochę nabuzowany z powodu otrzymanej nauczki. Nieco później starał się ponowić szturm, żeby JC opowiedział mu o „totemach” Strafy, ale bez powodzenia. Nie mógł poruszyć tematu wprost, a już na pewno nie mógł się przyznać, że pomimo zakazów i płotu już wdrapał się na górę, a wszelkie aluzje nie zdały się na nic. JC milczał jak zakłęty.

W czwartek drwał był nerwowy. Na najbliższe czterdzieści osiem godzin nie zapowiadano żadnej pogody. Przed południem zagadnął Hugona:

– Umiesz prowadzić?

– Tak.

– Świetnie. Przywieziesz mi traktor. Już ma przyczepę. Stoi w garażu pod budynkiem D.

– Jak się tam dostanę? Nie przypominam sobie, żeby w tym miejscu były drzwi dla pojazdów.

– Bo nie ma. Jesteś w górach, tutaj musimy obsłużyć maksimum powierzchni, pokonując jak najkrótszą drogę, to prawdziwy problem. Wejdiesz przez piwnicę Tetryka i przetniesz cały parking.

Na te słowa Hugo dostał gęsiej skórki i na moment stracił oddech. Nic się nie dzieje. To moja pieprzona wyobraźnia.

– Zobaczysz – ciągnął JC – na samym końcu jest przejście, tunel, dostatecznie duży dla ciężarówki. Zimą to tam odbywają się dostawy dla kuchni pod Latarnią Morską i dla restauracji. Prowadzi na rampę wyładunkową i do podziemnego garażu. Będziesz pod budynkiem D. Tam zobaczysz traktor, przygotowałem go przedwczoraj. Kluczyki są w środku.

Hugo już się oddalał, gdy JC go zawołał.

– Weź pas, przyda ci się lampa. Odkąd trwa remont, w Tetryku odcięli prąd. Mam nadzieję, że nie boisz się ciemności – dodał z kpiącym uśmiechem.

Palant.

To było silniejsze od Hugona. Wszystko przemawiało na korzyść JC, to była prawdziwa siła natury – zwycięzcy z programu „Koh Lanta” wypadali blado przy tym nowoczesnym Tarzanie. Reality show niekoniecznie musi być punktem odniesienia... Hugona ogarnęła nerwowość. Przede wszystkim jednak nie pojmował, jak mógł do tego dopuścić. Dlaczego zwykła wieża w opustoszałej budowli potrafiła wywołać u niego takie uczucie lęku?

Z powodu pograżonych w mroku schodów... Uznał, że jest dołująco dziecinny.

Przemierzył całą łąkę w mżawce, dostrzegając warstwę popielatych chmur. Nie musiał umieć odczytywać pogody w wysokich górach, aby się domyślić, że wkrótce rozpęta się ulewa. Kiedy pokonał ostatnie metry, stanął pod Tetrykiem przed podwójnymi drzwiami na parking. Słabe światło dnia przenikało tam jedynie na małą odległość, po czym niemal natychmiast zastygało, jakby bało się zapuścić dalej.

Właśnie tutaj pokażesz, że jesteś dorosły, dodał sobie odwagi Hugo, wyjmując z pasa latarkę i ruszając naprzód.

Wewnątrz było pusto. Ani jednego samochodu, tylko niekończący się rząd zaznaczonych na posadzce miejsc parkingowych i betonowych filarów, korowód bez końca – jakby trafił do jakiegoś współczesnego radykalnego kościoła. Latarka miała dobry zasięg, lecz Tetryk ciągnął się tak daleko, że jej blask rozjaśniał zaledwie jego maleńką część. I żadnego przyczajonego w kącie potwora, żadnego dziwnego cienia, żadnego... Wygłodniałego pająka? Nie. Nic z tych rzeczy. Ja i moje światło, które sobie wędruje. Kropka. Stukot jego butów odbijał się od niskiego stropu.

Co jakiś czas majaczyły metalowe drzwi, wejście na wyższe kondygnacje. Schody pająka, wyrwało mu się spostrzeżenie. Hamował własną wyobraźnię, zamknął ją na podwójny zamek za spokojną siłą woli, którą przedstawiał sobie jako jedno z tych stalowych wrót. Mimo to wyobraźnia parła naprzód. Mocno. Z nieustanną zawziętością, wykorzystując najwęższą szczelinę, najdrobniejsze odstępstwo. I stopniowo szturmowała drzwi. Już po cichu wyłoniła się włochata łapa, anormalnie długa, o kościstych stawach pokrytych krostami... Stop.

Drzwi trzasnęły w jego umyśle, chociaż przez sekundę zdawało mu się, że ten dźwięk rozległ się na parkingu. Łapa leżała na ziemi, wijąc się jak ogon wyrwany jaszczurce. Chłopak omiatał przestrzeń przed sobą snopem latarki, szukając tunelu, o którym wspominał JC. Mam czas, to miejsce jest dłuższe niż stadion!

Podczas gdy akurat przekraczał próg podziemi, drzwi w jego głowie ponownie się uchylły. Czyżby lepki pająk czaił się za nimi? Nasłuchując, jak się przesuwają, czując go? Czyżby już cichaczem wychodził? Kurwa, nie cierpię być sobą w takich chwilach... Nadających się do tworzenia, do pisania, ale będących przekleństwem w życiu codziennym. Maszerowanie po na wpół zrujnowanym podziemnym parkingu to nie jest życie

codzienne. W jego umyśle pancerne drzwi kołysały się, otwierając się na oścież przed pustą teraz przestrzenią. I dupa. Nie teraz.

– Skup się na trasie – powiedział, aby dodać sobie otuchy.

Tylko że dźwięk własnego głosu wcale nie dodał mu otuchy. Nic a nic. Przeciwnie, Hugo odnosił wrażenie, że przyłączył się do intensywnego światła latarki, by tym mocniej zaakcentować jego obecność. Tak samo jak robale lgną do światła w nocy. Czy po plecach właśnie nie przebiegło mu coś na cienkich nóżkach? Hugo odetchnął głęboko. Sam pozbawiał się sił.

Na zewnątrz przez dolinę przetoczył się imponująco potężny grzmot. Odwróciwszy się, Hugo stwierdził, że w tej chwili wyjście, ten biały podwójny prostokąt, jest daleko. Pokonał sporą część Tetryka. Światelko w tunelu jest tam, a ty właśnie się od niego oddalasz... Metafora życia. Pokręcił głową. Dobra, kończę z tym. Skupiam się.

Parking pokrywał kurz palący mu nozdrza. Mury były tak grube, że Hugo czuł się jeszcze bardziej odcięty od świata. Nawet gdyby wrzeszczał na całe gardło, i tak nikt by go nie usłyszał. Z tyłu coś się poruszało. Nie, to wiatr albo echo moich własnych kroków. Mógł sobie wmawiać, co tylko chciał, on tam był. Znajdował się coraz bliżej, przemykał wśród cieni, od filaru do filaru, niekiedy po posadzce albo pomiędzy belkami, i zdobywał przewagę. Nie spuszczał go ze swoich ośmiorga oczu. Czyż nie czuje jego ciężaru na karku? Dokładnie tam, gdzie wbiłby pierwszą parę szczękoczułek, żeby wstrzyknąć mu do szpiku kostnego jad. I go sparaliżować. Żeby mógł go spokojnie wessać od środka, powoli rozpuścić narządy, a potem je połknąć, gdy tymczasem Hugo patrzyłby na to niezdolny do reakcji, tylko do cierpienia, ażby oszalał.

Chłopak bezwiednie zwiększył tempo. O mało nie puścił się biegiem. Jeden skok naprzód, żeby się dostać do tego piekielnego tunelu, a potem, na jego końcu, wreszcie dopaść do traktora. Powstrzymał się jednak. Nie ustąpi przed tymi urojonymi lękami. Jest na to za stary.

Za jego plecami wyłonił się pajak i podniósł się, aż mu się rozsunęły szczękoczułki, a strużki śliny i jadu utworzyły miękkie girlandy pomiędzy kłami jadowymi. Zamierzył się dwiema kościstymi łapami na Hugona.

Nie załamie się. To jest w mojej głowie, a za mną absolutnie nic nie ma. Wahał się, czy się obejrzeć, poświecić, tylko po to, by sobie udowodnić, że ma słuszość, i jeszcze raz spróbował się pohamować. To oznaczało sprawdzenie... Błysk poruszającej się latarki odbił się w czarnych ślepiach

pajaka, który zajmował całą przestrzeń między podłogą a sufitem. Już miał zaatakować, gdy...

Hugo nadzieiał się na ślepy zaułek. Tak go to zaskoczyło, że zmobilizował cały mózg do rozwiązania tego problemu.

Pajak zniknął. Podążając wzdłuż ściany, chłopak trafił na wejście do tunelu. Tak samo ciemne jak cała reszta. Hulał po nim zimny wiatr.

– Hej, ho! – zawołał głośno, by usłyszeć echo.

Odpowiedział mu mrok. Uprzejmy i uważny odrzucił wołanie bez ani jednej fałszywej nuty. Ani jednego chrzęstu za dużo, ani śladu ochrypłego brzmienia albo zbyt przenikliwego dźwięku. Albo chór ciemności był idealnie wyćwiczony i oczekiwał go z niecierpliwością, niewzruszony i zdeterminowany, albo w tym całkowicie normalnym tunelu w ogóle nikogo nie było. Tak czy siak, nic nie mogę na to poradzić, prawda?

Hugo był prawie na miejscu. O mało nie zerknął przez ramię, ale obawiał się, że widok wyjścia, które znajdowało się tak daleko, podkopie jego odwagę, dlatego pognął w kierunku hangaru. Nie istniał żaden olbrzymi pajak, podobnie jak w podziemiach Tetryka nie było żadnego ducha. Nie mógł jednak z całą mocą zapewnić, że dotyczy to też tego, co się dzieje w jego głowie.

## 25.

Burza rozpętała się w czwartek w południe i trwała do wieczora, wściekła i podstępna. Waliła ze wszystkich stron, zalewała ścianą deszczu jedną fasadę, potem uderzała w kolejną, udawała, że się oddala, po czym wracała z jeszcze większą siłą.

Z początku JC i Hugo, przyczajeni w salonie budynku D, czekali, aż przejdzie, ale w końcu po południu się poddali i przyznali sobie czas wolny. Chłopak wykorzystał go na wypoczynek – już od dwóch nocy raczej źle i niespokojnie spał, chociaż po przebudzeniu nie przypominał sobie żadnych koszmarów. Wiatr chłostał ciężkie rurki dzwonka wiatrowego w Latarni Morskiej, a te stukały o siebie, pobrzękując głucho.

W sobotni wieczór upichcili sobie wspólną paellę. Chcąc zmienić otoczenie, Tic i Tac walczyli o otwarcie jednej z restauracji, a DePrigent się zgodził pod warunkiem, że dokładnie posprzątają po posiłku. Merlin, który dbał o porządek, zapewnił, że nie będzie z tym problemu. Hugo nigdy nie widział, żeby się skarżył, obtatuowany mężczyzna zawsze zachowywał się naturalnie, był małomównym, uczynnym obserwatorem. Jednocześnie wolnym od podejrzeń, oszacował Hugo, i niemal zbyt gładkim. Tego wieczoru do Hugona dotarło wreszcie, co mu nie gra: wygląd Merlina nie pasował do jego zachowania. Z tymi swoimi paskudnymi tatuażami, niegodnymi nawet więziennego artysty, na których tusz wyjeżdżał za linię, facet przypominał barowego rozrabiakę, tymczasem miał maniery zbyt nieśmiałego jajogłowego. Chłopak postanowił usiąść obok niego, żeby go wysondować.

Ogólny dobry humor i kolejne butelki Clos des Cimes rozwiązywały języki, u niektórych już i tak chwilowo aż nazbyt chętne do rozmowy. Kiedy Merlin podał mu pełny talerz, Hugo zaryzykował, celując palcem w jego tatuaże na ramionach:

- Czy one opowiadają jakąś historię?
- Och, to stare dzieje.

– Z marynarki?

– Nie.

Hugo podszedł go z drugiej strony:

– Sam je zaprojektowałeś?

– Nie, po prostu opisałem, co chcę mieć.

– Gdzie je zrobiłeś?

– Zależy które.

Trzeba z niego wszystko wyciągać, uświadomił sobie Hugo.

– Bo ja wiem? Ten tutaj, w kształcie... tak, pajęczyny.

Nie zmieniając ani tonu, ani nastawienia, Merlin odparł:

– Ten jest z Rouen, z kicia. Żebym nigdy nie zapomniał, że zabiłem człowieka.

Hugona zatkało, mimo to starał się niczego po sobie nie pokazać.

– Chcesz powiedzieć, że to było morderstwo?

– To było nieumyślne.

– Byłeś wtedy młody?

– Taa. Osiemnaście lat. Dostałem dziesięć. Wyszedłem po niecałych sześciu.

Hugo zupełnie się nie znał na prawie karnym, jego zdaniem dziesięć lat za nieumyślne zabójstwo to surowy wyrok, przynajmniej we Francji. Zapewne towarzyszyły temu niejasne okoliczności. Armand, który przysłuchiwał się rozmowie, przysunął się do Merlina i zachęcił:

– No dalej, pokaż mu napis.

Zamiast odpowiedzieć, Merlin połknął olbrzymią porcję paelli.

– No dalej – nalegał Armand – pokaż!

– Co ma pokazać? – wtrącił się zaciekawiony DePrigent, poprawiając wąskie okulary.

– Pamiątkę z młodości!

Napięcie wokół biedaka błyskawicznie narosło, zmuszając go do podniesienia ręki na znak kapitulacji. Wsunął łańcuch okalający mu szyję pod kołnierzyk koszuli, którą rozpiął, by odsłonić tors. Wśród pozostałych tatuaży, bardzo zbliżonych do tych na ramionach, na skórze widniał napis wykonany gotykiem, zajmujący niemal całą powierzchnię klatki piersiowej, aż do brzucha: „Gwałtowny, mogący spowodować śmierć bez zamiaru jej zadania”.

Armand poklepał Hugona po plecach.

– Tak brzmiał wyrok!

Wśród zebranych zapadło milczenie. DePrigent, z tą swoją miną bardzo gorliwego chrześcijanina, poczuł się w obowiązku usprawiedliwić:

– Wiedzieliśmy o przeszłości naszego drogiego Merlina i uważamy, że każdy zasługuje na drugą szansę. Szczególnie gdy to się zdarzyło tak dawno, w młodości naszego przyjaciela.

– To taki duży misiek! – zawołał Armand i wyciągnął ręce ponad Hugonem, aby ścisnąć łysą głowę wytatuowanego kolegi.

Tic i Tac postawili sobie za cel (zresztą bez specjalnego wysiłku), żeby przywrócić miłą atmosferę przy stole, kiedy zaś kolacja dobiegła końca, Hugo spostrzegł, że Lily dyskretnie kiwa do niego głową, chcąc odciągnąć go na bok.

Liczył na to, że ma mu do zakomunikowania jakieś nowiny w sprawie poczynionych w tygodniu obserwacji, jakieś pikantne informacje na temat zachowania jednego z członków zespołu, lecz zamiast tego zaproponowała:

– Masz ochotę na film w małym gronie, tylko Jina i my?

– U ciebie?

– No coś ty, w kinie!

Hugo był lekko zawiedziony, nie tego się bowiem spodziewał, z drugiej strony odrobina rozrywki mogła mu poprawić humor, w dodatku kto by zrezygnował z towarzystwa Lily, a nawet Jiny?

Lily obwieściła, że to będzie czas wyłącznie dla nich, i postarała się, by opuścili restaurację dyskretnie, przed innymi.

Gdy tylko wyszli na zewnątrz, gdzie słońce jeszcze nie zdążyło się całkiem schować, wysunęła spod parki butelkę szampana.

– Przyznajcie, że za mną przepadacie – powiedziała, kiedy zmierzali w kierunku Wieży.

– Potrafisz obsługiwać salę kinową? – zapytała Jina.

– Łatwizna. Pomyślałam sobie, że po naszym wieczorze, który spędziliśmy na... Jak ty to nazwałaś? Na snuciu dywagacji...

– Autootumanianiu – poprawiła ją Jina.

– Na autootumanianiu na temat ośrodka. Powinniśmy zacząć od nowa na zdrowych podstawach. Bardziej... radosnych.

Hugo się naburmuszył. Czy to oznaczało, że przestała traktować ich rozmowę poważnie? Wszystko, co jej pokazał na płaskowzgórzu? Uspokoila go, jakby czytała mu w myślach:

– Co nie przeszkadza mieć oczy i uszy otwarte na to, co się dzieje dokoła.



– O nie, nie zaczynamy od początku, miałam po tym okropną noc – poskarżyła się Jina, po czym dodała: – Niezła jest ta nasza banda, kiedy zaczynamy świrować!

– Zwłaszcza dla Hugona, ma dwie laski tylko dla siebie...

– W dodatku najładniejsze – zaznaczyła Jina.

– W sumie jedyne, więc to żaden wyczyn! – dodała ze śmiechem Lily.

Hugo postanowił zapomnieć o swoim małym cykorze i przyłączyć się do gry. Oznajmił więc najbardziej radosnym tonem, na jaki potrafił się zdobyć:

– Wolałbym imprezkę z Adele i Simone, ale biorę, co dają.

– Kretyn! – rzuciła Lily, udając, że zamierza się na niego butelką.

Minęli domki szwajcarskie, rząd sześciu chat w najczystszy góralskim stylu. Każdy był odgradzony od sąsiedniego kilkudziesięcioma metrami lasu, co nadawało mu wygląd „zatopionego w przyrodzie puzderka”. Uosobienia ciszy i spokoju.

– Musi być stąd cudowny widok – zauważył Hugo.

– Mniej więcej taki sam, jaki masz z akwarium – przytaknęła Lily – z tą różnicą, że kiedy stoisz na tarasie, urwisko jest stromą ścianą, więc robi dość duże wrażenie. A główne pomieszczenie, na piętrze, też wychodzi na majestatyczną dolinę.

Gdy zbliżali się do Wieży, Hugo, który dosłownie chłonał krajobraz, zaczął zwalniać. Coś zobaczył. Wstrząśnięty, nie mogąc się dostroić do śmiechów dziewcząt, które właśnie robiły przegląd najbardziej seksownych scen ze wspólnego repertuaru filmowego, w milczeniu podążał za nimi. W gasnącym świetle dnia na piętrze, w oknie ostatniego domku szwajcarskiego, zamajaczyła jakaś postać. Sylwetka utkwiała mu pod powiekami. Nie miał żadnych wątpliwości. Dostrzegł jakiś ruch, kogoś, kto gwałtownie się cofnął, żeby nikt go nie widział. Z jakiego powodu ktoś obserwuje ich w ten sposób? Nie miał pojęcia, ale nie dawało mu to spokoju. Dopiero po chwili zastanowienia pojął dlaczego.

Wszyscy bez wyjątku zjawili się na kolacji, a oni troje wymknęli się jako pierwsi. Posuwali się prostą drogą, jedyłą, jaka wiodła do domków szwajcarskich. Nikt nie mógł ich wyprzedzić. Niemożliwe. Płynący stąd wniosek sprawił, że po plecach przebiegł mu dreszcz.

W ośrodku znajduje się piętnasta osoba.

Ktoś, o kim jeszcze nikt mu nie wspominał. I kto się ukrywa.

## 26.

Wieża stanowiła kwintesencję błędów w Val Quarios. Ta stara budowla, jedyna wzniesiona z kamienia, rzeczywiście przypominała średniowieczny donżon, porzucony przez zabłąkanego w górach możnowładcę. Nieobita drewnem, nie z drewnianych bali, pokryta glinianymi dachówkami – jedynie względnie świeża zaprawa i nieliczne otwory oraz ościeżnice mogły zaświadczyć o jej rzeczywistym stanie. Ani jednego okna na trzech czwartych wysokości. Do głównego wejścia prowadziła stalowa struktura mogąca wytrzymać płócienną markizę. Z boku ciągnęły się schody do podziemi – Lily zdradziła, że to dyskoteka. Wieża stanowiła anachronizm w Val Quarios.

Instruktorzna narciarska powiodła ich przez budynek, wewnątrz bardziej nowoczesny, do pomieszczenia służbowego, gdzie leżało ze sto płyt Blu-ray z najrozmaitszymi gatunkami filmów. Wybór zajął obu dziewczynom dwie minuty, bez udziału Hugona. Chłopak był tak naprawdę nieobecny. Myśli zaprzętała mu bezustannie postać w domku szwajcarskim. Wahał się, czy opowiedzieć o tym swoim współniczkom, na co nie pozwalał mu ich entuzjazm wywołany perspektywą spędzenia miłych chwil. Nie chciał się stać po raz kolejny złym prorokiem, który wszystko psuje. A jak one by zareagowały? Powiedziałyby, że mu się przyśniło? Że to gra światła o zmiernchu? Że to przeciąg poruszył zasłoną?

Uległszy namowom dziewczyn, dał się wciągnąć do ogromnej okrągłej sali zajmującej większą część Wieży, gdzie rzędy foteli ustawiono schodkowo. Jina zaproponowała, żeby usiedli blisko siebie, a nie każde w innym rzędzie, zwłaszcza że się zdecydowali na horror. Zupełnie jakby robiły to specjalnie, pomyślał ze złością Hugo.

Lily zniknęła, aby rozpocząć projekcję, i wróciła, niosąc dwie kołdry, którymi się podzielili. Wystrzelił korek, po czym szampan krążył z rąk do rąk, pity prosto z butelki, gdy tymczasem rozpoczęła się „Zejsście”,

opowieść o grupie kobiet, które utknęły w jaskiniach zamieszkałych przez jakieś przerażające istoty.

Jina i Lily nie mogły się powstrzymać od komentarzy, szczególnie po jakiejś wyjątkowo działającej na nerwy scenie. Posadziły Hugona pośrodku, nie pytając go o zdanie, i wkrótce stopy Jiny znalazły się na jego kolanach, a on usłyszał wyraźne żądanie masażu – spełnił je bez gadania. Czyżby ostentacyjnie go uwodziła? Prawdopodobnie nie. Nie był tego do końca pewien, a ponieważ w ogólnej atmosferze absolutnie nie należało źle odczytywać tego rodzaju sygnałów, powstrzymał się od jakiejkolwiek reakcji. Był już w związku od kilku lat, kiedy zakiełkował ruch #MeToo. Przywitał go z oczywistą życzliwością i odrobiną wstydu za rodzaj męski, przyjmując na siebie część odpowiedzialności, chociaż uważał, że nigdy nie zachował się nagannie wobec kobiety. Wszyscy mężczyźni, choćby tylko przez atawizm, powinni odczuwać minimum winy w imię wielowiekowego mizoginicznego patriarchatu, którego spuściznę nosili w sobie. W chwili narodzin zjawiska przeżył niewiarygodną rozmowę. Właśnie ukazała się jego powieść i usiłował zaistnieć dzięki licznym akcjom podpisywania książek, na które zresztą nikt nigdy nie przychodził. Czasem paru naprawdę wyrozumiałych gapiów przystanęło z litości, by zajrzeć na czwartą stronę okładki, a jeszcze rzadziej, by zamienić kilka słów z Hugonem, przy czym raczej nie na temat książki, bo ta ich nie interesowała. I właśnie wtedy pewien starszy mężczyzna, przekartkowawszy początek, zdjął czapkę. Jego głos ciągle jeszcze rozbrzmiewał Hugonowi w głowie.

– Wydaje mi się, że pańska bohaterka nie jest zbyt nowoczesna.

– Skąd ten wniosek?

Na myśl, że można ocenić dwa lata pracy w dwie minuty, wszystkie włoski na karku stawały mu dęba.

– Nie sprawia wrażenia zbyt silnej, jest trochę uległa. W epoce #MeToo to trochę szkoda.

– To powieść, która nie mówi o dzisiejszych czasach.

– Nieważne, przesłanie pańskiej bohaterki jest takie samo. Za tym, co pan o niej opowiada, kryje się to, co sam pan chce przekazać.

– To nie jest bohaterka.

Staruszek zbył jego argument machnięciem ręki.

– Niech pan nie udaje głupszego, niż jest, przecież pan zrozumiał. Coś panu powiem: pańskie pokolenie nie ma żadnego usprawiedliwienia.

A poprzednie było jeszcze gorsze.

– Mówimy tutaj o pisarstwie czy o socjologii?

– Na jedno wychodzi, dobre książki opowiadają świat. Proszę nigdy nie zapominać o jednym, chłopcze: mężczyźni wykorzystywali kobiety przez całą historię. Poprzez seks, umysł, swoje prawa, kłamstwa, od zawsze! Kobiety mogły oddziaływać wyłącznie sercem, a to, za co często płaciły wysoką cenę, to była broń obosieczna. Och, nie róbmy z nich od razu świętych, ale czyż ich wprawa w manipulacji nie jest dowodem na umiejętność przystosowania się i przetrwania? Tak, mężczyźni długo posługiwali się jedyną istniejącą wymówką, wojną, aby usprawiedliwić swój status panów. Wmawiali sobie, że kobiety są im to winne. To przecież oni wyruszali, żeby dać się zabić, okaleczyć, żeby postradać zmysły, stać się ofiarami albo drapieżcami, żeby zapewnić rodzinie bezpieczeństwo. Ale te czasy minęły bezpowrotnie, miejmy nadzieję. Za to pan, mój młody przyjacielu, pan nie ma tej kultury, a zatem i wymówki. Musi pan zwrócić kobietom równe miejsce w tym świecie. To pańska powinność, która zaczyna się od książek.

Starzec naciągnął z powrotem czapkę, odłożył powieść Hugona i rzucił na odchodnym:

– Będę pana czytał, kiedy pan przyjmie swoją rolę.

Wypaliło go to niczym rozżarzone żelazo. Rozmawiali o tym z Lucie, która popierała ruch #MeToo, jednocześnie zachowując rezerwę wobec zbyt nowoczesnej wizji związku, ponieważ się w niej nie odnajdywała. Według niej każdy ma w domu swoją rolę i tak jest dobrze, nie znosiła, jak wcinął się w jej sprawy, i obwieściła, że pewne obowiązki z założenia przypisane są z góry jemu. Na przykład zakupy to jej działka, ponieważ on nigdy nie kupuje dokładnie tego, co ona chce, o połowie zapomina. Nigdy jednak nie dźwigałaby zgrzewek wody ani mleka, uważała, że tym powinien się zajmować „facet”. Archaiczna wizja, którą Lucie w pełni przyjmowała, skoro sama tak postanowiła. W gruncie rzeczy to ona rządziła w domu i dopóki postaci kobiet w jego pisaninie budziły sympatię, kpiła nieco z dyskusji na temat ich roli – to było jej własne kryterium. Żyjąca przeszłością albo uległa, Lucie miała to w nosie, jeżeli tylko istniało uczucie. To nie bardzo pomogło Hugonowi zająć jakieś stanowisko w debacie.

Od ich rozstania był ostrożny aż do przesady, nie bardzo wiedząc, gdzie jego miejsce, co wolno mu zrobić czy powiedzieć bez ryzyka, że popełni

gafę. Czy powiedzenie nieznajomej w barze, że jest ładna, to coś niestosownego? Pierwszy odcinek na skali braku szacunku, zwiastun molestowania? Czy wolno mu zapłacić za drinka? Czy jeśli wsiądzie do windy sam na sam z kobietą, to będzie nieprzyzwoite? Czy powinien unikać wszelkich spojrzeń na dekolt, tak jak pierwszego oszałamiającego wieczoru z Jina? Gdzie leży granica między patrzeniem a dostrzeganiem tego, co ma przed oczami? W czasie tych dywagacji dopadła go rzeczywistość: tak naprawdę od rozstania ta kwestia nigdy się nie pojawiła, ponieważ nie miał na to ochoty. Był wygaszony. Tylko że rzeka zmieniała bieg... Już nie płynęła w tę samą stronę, przyznał gwoli uczciwości.

Tak czy inaczej, ciągle nie wiedział, co począć z nogami Jiny. Masował jej podeszwy stóp, zapuszczając się chwilami nieco wyżej, ku kostkom, potem ku dolnej części łydek, a ona nie protestowała. Narastało podniecenie. Dotyk aksamitnej skóry pod palcami wzmagił bardziej konkretne pragnienia.

Lily rzuciła w Jinę korkiem od szampana, po czym zachichotały porozumiewawczo, Hugo zaś domyślił się, że zupełnie mimo woli stał się obiektem ich śmiechu. Jina zabrała nogi, a po chwili Lily przyciągnęła go do siebie za rękaw i oparła mu głowę na ramieniu.

– Jeden facet, dwie dziewczyny, należysz do nas – oznajmiła, nie odrywając oczu od ekranu.

Dokładnie to dawały mu do zrozumienia, on zaś czuł się odrobinę niezdarny, uprzedmiotowiony, niezdolny przedsięwziąć cokolwiek, rozdarty między jedną a drugą. To one rozdawały karty. Hugo zupełnie nie śledził filmu, toteż kiedy obie dziewczyny wrzasnęły z przerażenia, on nawet nie mrugnął.

Poza rozbudzeniem zmysłów cała ta operacja odniosła pozytywny skutek: oderwała go od jego obsesji, od postaci w domku szwajcarskim. Powrót do przyziemnych ludzkich problemów obniżył poziom stresu. Na jego oczach bohaterki krzyczały ze strachu. Lily chwyciła go pod kołdrę za rękę.

## 27.

Rozlewał się pomiędzy jego synapsami niczym kropla mleka w kawie. Dobry nastrój sprawił, że Hugo poczuł się lekki. Wygładził mu mięśnie umęczone całotygodniową pracą i pozwalał patrzeć na świat przez łagodniejszy filtr.

To niesamowite, jaką moc miała dłoń w jego dłoni. Nie aż taką, by zdołał zapomnieć o sylwetce w domku szwajcarskim, ale przynajmniej jej obecność budziła mniejszy niepokój. Chociaż nadal żywił przekonanie, że to nie mógł być nikt z załogi, dopuszczał możliwość, że nie o wszystkim wie. Lucien Strafa był starcem, mieszkał w gigantycznym domu i wydawało się oczywiste, że nie jest w stanie sam o niego zadbać. Osoba w domku szwajcarskim to asystent Strafy. Albo jeden z jego pomocników. Właśnie do takiego wniosku doszedł Hugo po długich rozmyślaniach. Co wcale nie dało mu odpowiedzi na pytanie dlaczego, ale odbierało wydarzeniom tajemniczość i nieuchronność.

Miało to tę korzyść, że pozwalało zaatakować od innej strony, której jeszcze nie rozważał: zwracało uwagę na istnienie innych członków personelu, jeśli nawet nie wśród nich, to przynajmniej na wysokości, w zameczku. Nowych osób, których nie znał. Dodatkowych podejrzanych.

O dziwo, tego niedzielnego poranka w ośrodku nie było żywego ducha. Wszyscy zniknęli. Połacie traw bez końca, puste korytarze, pogrążone w ciszy sale. Wszędzie jak okiem sięgnąć nikogo, co zważywszy na wielkość Val Quarios oraz liczebność ich załogi, nie zaniepokoiło go. Każdy miał prawo zaszyć się w swoim pokoju, pospać dłużej albo wyruszyć dokądś, nie natykając się zupełnie niechcący na nikogo. Mimo wszystko nim wstrząsnęło. Wyobrażanie sobie, że mógłby tu przebywać sam przez całe lato, pilnować tych murów, doglądać kotłów, przemierzać lasy... Aż przebiegł go dreszcz. Ile posiłków zjadłby samotnie w pogrążonej w złowieszczej ciszy jadalni, zanimby oszalał? Już samo błąkanie się po tych labiryntach korytarzy doprowadzało go do szajby, ale uzmysłowienie

sobie, że w gruncie rzeczy nie znajdzie się nikt, kto by pomógł, cokolwiek mu się przydarzy, budziło lęk. Tylko że tak nie było. Po prostu wszyscy siedzieli u siebie.

Mimo że Hugo późno położył się spać, obudził się rześki i gotowy tuż po wpół do dziewiątej. Zjadł śniadanie w kantine i wrócił do pokoju, żeby poczytać Connie Willis, którą zabrał ze sobą. Nie potrafił się skupić. Rozmyślał o wczorajszym dniu.

Gorąca dłoń Lily w jego dłoni. Poczucie jej ciężaru na sobie. Od jak dawna nie zasmakował ludzkiego ciepła? Tak naprawdę. Nie tych automatycznych gestów, jakie w ostatnich miesiącach wymieniał z Lucie, ale chwili świadomej, chcianej i docenianej czułości. Gdy pojawiła się czołówka filmu, odwróciła ku niemu twarz. Poczuł jej lekko cytrusowy zapach. Skrępowany wątpliwościami nie ośmielił się nic zrobić, wpatrzony w ekran. Wyczuwał na sobie wzrok dziewczyny. Pocałowała go pod uchem, a ich dłonie się rozplotły. To było wszystko. A i tak wywołało u Hugona olbrzymie następstwa. Żył. Doświadczał emocji, pożądania. Czuł głębokie pragnienia.

Przez okno salonu ujrzął Merlina i Armanda, którzy wychodzili ze statku matki zajęci rozmową. A więc nie został sam jak palec na najbliższe pięć miesięcy, jego towarzysze się nie ulotnili. To go zmotywowało do zejścia, do rozmowy, do słuchania, do dostrzegania życia wokół siebie. Szybko jednak spotkał go zimny prysznic. W jadalni było tak samo pusto jak rano. Wyszedł więc i nie odnalazłszy Merlina ani Armanda, przywitał się z akwariem i jego kanapami, rozproszonymi na całej długości w kwadratach lub prostokątach, po czym doznał równie silnego zawodu.

W obydwu kominkach buzował ogień. Ktoś będzie musiał mi wyjaśnić tę całą sztuczkę z nigdy niegasącymi płomieniami, obruszył się leniwie. Był zrezygnowany. Do tego stopnia, że rozważał nawet grę społeczną z Exhellem. Jestem wykończony.

Kiedy tak krążył po przestronnym holu statku matki, uderzyło go irytujące spostrzeżenie: uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, gdzie mieszkają jego koledzy. Ani Exhell, ani Jina, ani nawet Lily. Jeśli chciałby zapukać do ich drzwi, pozostałoby mu tylko wielogodzinne błąkanie się po wszystkich korytarzach po kolei. Telefony komórkowe nie działały, nie było zatem żadnego sposobu. Mimo że rozglądał się na prawo i lewo, wypatrując charakterystycznego profilu Maxa wąsacza, genialnego

informatyka czy brzuchatego Armanda, w końcu przyznał przed sobą, że to nie ich spodziewa się zobaczyć.

Wyglądał Lily. Nie miał sprecyzowanej wizji ani tym bardziej planu tego, co by robili, ot spędziłby z nią popołudnie, nacieszył jej obecnością... Jak zachowywałyby się w stosunku do niego? Jak gdyby nigdy nic, przypuszczał. I taka była mniej więcej prawda. Trzymanie się za ręce pod kołdrą przy oglądaniu horroru, zwłaszcza po tej ilości szampana, którą w siebie wlała, nie oznaczało od razu bycia w związku, ale zaledwie skromny załączek zaangażowania. Być może opowiedziałby jej o postaci w domku szwajcarskim. W zasadzie nie miał żadnych wątpliwości, że zrobiłby to we właściwej chwili. Aby usłyszeć jej zdanie. Aby mnie uspokoiła, potwierdzając obecność personelu w zameczku, zgodził się w końcu.

Mijały godziny, a Hugo nikogo już nie spotkał, toteż wreszcie wrócił do siebie przybity, całkiem bez humoru. Kiedy słońce skryło się za przeciwległym zboczem, jakby wiedziało, co się wydarzy, i wołało przy tym nie być, zza horyzontu wyłoniły się złowieszcze chmury. Wraz z zapadnięciem nocy lunął deszcz. Mury zatrzęśły się od gniewnych pomruków. Światło mrugało przez krótką chwilę, po czym prąd na dobre powrócił. Następnie nad Val Quarios zajaśniały błyskawice, rozpostarte ramiona chłuszczące wierzchołki gór.

Hugo stał z nosem przyklejonym do szyby. Dobiegały do niego przytłaczające pomruki, które rozbrzmiewały echem w korytarzach budynku C. Pioruny uderzały bezustannie, wznosząc się po klatkach schodowych, roztrzaskując w szybach wind, szarpiąc szyby i okiennice i zagłuszając głuchą pieśń dzwonka wiatrowego.

W oddali trzasnęły drzwi. Niebo rozgorzało pod wpływem magii gromowych szkieletów, które wyglądały tak, jakby się biły o wierzchołek jodły albo szczyt skały, a ich rozpłomienione ciała rozjaśniły długie budynki ośrodka. Puste, musiały być takie smutne, takie samotne... Teraz robię z nich żywe istoty, sprytne. Co będzie dalej? Pójdę z nimi pogadać, żeby je pocieszyć? W głowie zakiełkowała mu dziwaczna myśl. Nagła ochota. Hugo walczył z nią, dopóki nie skończyły mu się argumenty. W sumie co w tym złego?

Chwycił plecak i wyszedł na korytarz. Wędrówka przez budynek C w takiej atmosferze nie napawa jakąś szczególną otuchą, powiedział sobie, maszerując szybkim krokiem. Już tydzień, jak przestał gubić drogę, a i tak



nadal miał wrażenie, że wszystko się zmienia za jego plecami. Nie zawsze rozpoznawał wystrój wnętrz albo po raz pierwszy dostrzegał jakieś lustro czy konsolę przy ścianie. Lucie rechotałaby z niego i jego „typowo męskiego” zmysłu obserwacji, który nie pozwalał mu zobaczyć żyrafy nawet w Ikei, jak lubiła się z nim droczyć. Dosyć tej całej Lucie. Koniec. Musi przestać traktować ją ciągle jak punkt odniesienia.

Po opuszczeniu budynku C Hugo zarobił policzek. Dosłownie. Wiatr cisnął mu kaptur od bluzy prosto w twarz. Statek matka niemal zupełnie zniknął z krajobrazu za sprawą ukośnych strug deszczu, chociaż Hugo miał go przed nosem. Chłopak puścił się biegiem i wpadł przemoczony do holu. Nie przejął się tym, miał silną motywację.

Pięć minut później zanurzył się w basenie pogrążonym w przyćmionym świetle. Delektował się każdą zmarszczką na wodzie. Po paru ruchach żabką przystanął na końcu pływalni, przed szklaną ścianą zajmującą całą jej szerokość. Stąd burza miała zupełnie inny wymiar. Niczym starcie tytanów przedstawione w chińskim teatrze cieni. Kontrast między chwilami niemal totalnego mroku, kiedy to pejzaż zamieniał się w nieprzenikniony woal, a krótkimi stroboskopowymi pożarami przyprawiał o zawrót głowy. Najpierw nicość, potem nagle ogromna dolina otoczona co najmniej równie monumentalnymi zboczami, ciągnącymi się bez końca, aż ku grzbietom wzniesień naprzeciwko, wszystko uchwycone w ułamku sekundy, bez nasycenia kolorem, wszystko w odcieniach srebra. Towarzyszący tym wizjom łoskot wcale nie był gorszy, ta orkiestra chaosu grała swoje nuty zupełnie bez taktu, w całkowicie własnym rytmie.

Woda w basenie drżała przy każdym grzmocie. Wąwóz tuż pod ośrodkiem trzeszczał pod zajadłymi atakami pioruna, a gdy wróciła kompletna noc, wszystkie lampy na sali pogasły, pogrążając Hugona w ciemności.

– Cholera.

Płynął powoli, aby utrzymać się na powierzchni, czekając, aż znów pojawi się prąd. Tylko że prądu ciągle nie było. Hałaśliwy plusk działał kojąco. Kiedy jego wzrok przywykł do mroku, Hugo zdołał rozróżnić geometryczny kształt basenu. Jednocześnie go to zaskoczyło, a gdy zaskoczenie minęło, mocno podniosło na duchu.

Na zewnątrz trwał niewiarygodny taniec przyrody, ukazując pływalnię w ulotnych błyskach. To powinno wystarczyć, żebym zobaczył coś przy wychodzeniu... Zaskrzypiały drzwi do szatni. Hugo chciał sprawdzić, kto

idzie, ale przy braku błyskawic nie zdołał dojrzeć nic więcej. Skrzydło ponownie skrzyknęło, tak jakby ten, kto chciał wejść, z trudem się przeciskał, po czym się zamknęło przesunięte w prowadnicy. Z cichym odgłosem.

Czy ktoś tam był? A może tylko zerknął i sobie poszedł? Pewnie błędnie stwierdził, że w basenie nikogo nie ma... Hugo otworzył usta, by zapytać, kto tam, przynajmniej uprzedzić o swojej obecności, żeby kogoś nie wystraszyć, ale w ostatniej chwili instynkt go przed tym powstrzymał. Zaczął płynąć jak najwolniej, jak najciszej. Nie wiedział, dlaczego jest posłuszny temu kategorycznemu, podświadomemu nakazowi. Przydałby się teraz porządny piorun... Tylko, żeby popatrzeć...

Plastikowe krzesło, na którym położył ręcznik, krótko zgrzytnęło. Ktoś właśnie o nie zawadził. OK, więc już nie jestem sam. Dlaczego ten ktoś się nie odzywa? W dodatku jest bez latarki? Hugo wpatrywał się w przeciwległą krawędź basenu w nadziei na choćby krótki błysk, aby się uspokoić, przekonać, kto z nim pogrywa. Czy ten ktoś wie, że tu jestem?

Chłopak zostawił plecak w szatni, a ręcznik na krześle, trudno więc go było nie zauważyć. Lily i Jina? To by było do nich podobne, schować się i wyskoczyć zniemacka. Jeśli widziały, jak wchodzi z plecakiem do statku matki, mogły wywnioskować, że udał się na dół, aż tutaj i... W deszczu nie dałyby rady zobaczyć mnie na zewnątrz. Wyczuwał obecność kogoś, kto spacerował wzdłuż brzegów basenu, w pobliżu drzwi. Hugo rozpoznał charakterystyczne kapanie, gdy ktoś sprawdza temperaturę wody.

Kurwa, kto tam jest? W co on gra? Dźwięk, jaki usłyszał, sparaliżował go. Przypominał stąpanie psich poduszczyków pod łapami po posadzce. Tylko że ten pies był wielki. Bardzo wielki. O wiele za bardzo.

Olbrzymi. Kolejny domysł przyprawił Hugona o dreszcze: stwór miał dużo więcej łap niż cztery... To nie był ktoś, ale coś. Coś, co z trudem przesunęło drzwi. Klamka. To coś nie potrafiło posługiwać się klamką...

Hugo zamierzał się cofnąć, lecz uderzył plecami o szklaną ścianę, a kiedy jego ciało ześliznęło się po szybie, z ust wydobył się pisk. Poduszczyki zastygły. Następnie pomknęły do krawędzi basenu, a Hugo wyraźnie wyłowił plusk masy zanurzającej się w wodzie przy przeciwległym krańcu.

Kolejne chlupotanie. To sunie do mnie.

Hugo nie zdołał dłużej wstrzymać oddechu i głośno wypuścił powietrze. Musi zareagować. To się zbliża, już tu jest! Jeżeli zaraz

dopadnie brzegu z prawej strony, później będzie mógł sprintem pognać do szatni, to się mogło udać...

Coś w basenie posuwało się prędko, bardzo prędko. I nie płynęło normalnie. Nie jak istota ludzka. To z powodu wielu łap... Zanurkowało. Domyślił się tego wyłącznie po dźwięku. Zaraz dobierze się do niego od spodu. Bliskość kształtu wywołała u Hugona wstrząs, chłopak rzucił się więc ku najbliższemu obrzeżu. Szybko przebierał nogami i robił jak największe zamachy ramionami. Niemal mógł wyczuć drżenie tego czegoś w wodzie basenu, złowieszcze, powolne pulsowanie, które falowało ku niemu, jego łapczywy, przesycony bólem oddech... Żarłoczną i złowrogą aurę.

Hugo prawie dotarł do brzegu. To coś za nim zmieniło kierunek, aby go złapać. Czując osłonięty plastikiem róg basenu pod paznokciami, wbił je głębiej, aby się dźwignąć.

Najpierw tors.

Potem brzuch.

Nogi ciągle znajdowały się w wodzie.

Monstrum pulsowało tuż-tuż, pod spodem.

Biodra.

To coś się zbliżało.

Uda, kolano na brzegu.

Została tylko druga łydka.

Coś wyciągnęło długie łapy, żeby go schwycić...

...ale Hugo wyskoczył i poturlał się po posadzce.

Uderzył się o stojak z kapokami i dmuchanymi zabawkami dla dzieci, pociągnął, aby go przewrócić, zatarasować drogę temu czemuś, co już wydostawało się z basenu i pędziło jego śladem. Musiał to spowolnić. Nigdy nie da rady stąd uciec, jeśli tego nie spowolni.

Hugo biegł, przy każdym susie ryzykując, że pośliźnie się przez mokre stopy.

Kiedy wszystko wokół rozświetliła błyskawica, czyjś cień przykrył jego własny.

Ogromny. Pazurzasty.

Cię...

Pajęczy.

Zjeść!

Gdy znów nastała ciemność, już nie był pewien, dokąd pędzi, wnęka drzwiowa zniknęła z pola widzenia, powinien przywyknąć do mroku... Nie ma czasu!

Łapy tego czegoś plaskały mu za plecami. Hugo wyciągnął ramiona. Owionął go zapach monstrum. Zjełczały, zgniły. Oddech pyska, w którym gromadzą się resztki padliny i powoli rozkładają...

Po czym nagle wrócił prąd, z brzęczeniem każdej żarówki, każdej powracającej do życia świetlówki.

Klamka od drzwi znajdowała się tuż pod jego nosem.

Pokryty gęsią skórką Hugo ścisnął ją, a dając szczupaka na drugą stronę, do szatni, spojrzał na basen.

Nic tam nie było.

Ani śladu stwora.

Tylko wzburzona woda.

## 28.

Stary Max wykorzystał poniedziałkowy ulewny deszcz, żeby zawłaszczyć Hugona i zaciągnąć go do ogromnego magazynu na parterze statku matki. Ich zadanie było proste: zanim pomogą Lily nawoskować wszystkie narty, powinni przejrzeć buty. Upewnić się, że każda klamra jest zamknięta, i wysledzić ewentualne pęknięcia w skorupie. Gdyby Hugo takie namierzył, miał odstawić całą parę na wózek, z którym jeździł między alejkami.

Nie odzywał się za dnia, co najwyraźniej bardzo pasowało wąsatemu mrukowi. Drużyna niemych kameleonów, przemknęło przez myśl Hugonowi. Prawie w ogóle nie spał, a jego śniadanie polegało na tym, że wpatrywał się w filiżankę z kawą, dopóki nie przestała parować.

Odwala mi, powtarzał sobie. Był absolutnie przekonany, że poprzedniego wieczoru coś się wśliznęło do basenu. Chociaż jak tylko wróciło światło, niczego nie było. Przecież nie mógł sobie ubzdurać tych odgłosów. Ani ohydny smrodu tego paskudztwa! Ono tam było wraz z nim. I gdyby nie zwiął w panice, na bank pożarłoby go pod wodą.

Tyle że niczego nie było.

I nie istniał żaden powód, żeby taki koszmar się wydarzył. Z dziecinnie oczywistego powodu: TO NIEMOŻLIWE. Nie ma żadnego pająka giganta, który postawiłby sobie za cel spałaszowanie go. Ani tutaj, ani nigdzie. Hugo roztrząsał ten problem na wszystkie strony: albo właśnie fiksuje, albo ma jakiegoś guza mózgu, z powodu którego traci poczucie rzeczywistości.

Trzecia możliwość pojawiła się rankiem, gdy sortował buty cuchnące potem setek ludzi. Jego umysł, osłabiony przez rozstanie i początki depresji, którą ono wywołało, nie reagował jak należy na izolację ani na to miejsce. W połączeniu z niepohamowaną wyobraźnią Hugo nie potrafił już odróżnić fikcji, podsycanej przez podświadomość, od tego, co namacalne.

Przekonanie to krążyło mu po głowie przez cały dzień, a późnym popołudniem po wyjściu z magazynu uznał, że nie może tego dłużej ciągnąć, i znalazł rozwiązanie. Zdecydował, że najpierw jednak musi wziąć

prysznic i wyprać ubrania. Jeśli poczuje na sobie choć odrobinę fetoru butów narciarskich, chyba zwymiotuje albo rzuci się z wierzchołka Latarni Morskiej. Wszystko z umiarem. Najwyższa pora wziąć się w garść.

W drzwiach do budynku C odnalazła go Lily. Wyglądała na wyczerpaną.

– W porządku, pisarzu? – zagadnęła. – Twoja gęba wygląda paskudnie.

– Mogę się odwzajemnić takim samym komplementem.

– Dopiero co urządziłam sobie wycieczkę do miasteczka w dole, sześć godzin jazdy w tę i z powrotem, a potem razem z chłopakami wyładowaliśmy wszystkie zapasy dla sklepu spożywczego na najbliższe tygodnie. Konam ze zmęczenia.

– Myślałem, że jesteście zaopatrzeni.

Lily roześmiała się drwiąco.

– Jasne, ale dostawca, który przyjeżdża w piątki, w zeszłym tygodniu uprzedził, że tym razem nie da rady pokonać tej drogi, a wierz mi, cały ten światek potrafi nieźle zreć! Na szczęście mamy umowę z miejscowym gospodarzem, który przynosi nam raz w tygodniu mięso i nabiał. A co u ciebie? Z Maxem w porządku?

– Aż mi w uszach szumi od słuchania jego opowieści o życiu.

– Takie dwie gaduły powinny się świetnie rozumieć.

Lily już miała się oddalić, lecz Hugo ją zatrzymał.

– Co byś powiedziała na drinka dziś wieczorem?

– W obecnym stanie nie jestem pewna, poza tym obiecałam Jinie, że wyrwę ją ze szponów Exhella, zdaje się, że ten oszołom się do niej ślini – oznajmiła z lekkim rozdrażnieniem.

– W takim razie całą trójką, jak poprzednio.

Lily posłała mu nieco łobuzerskie spojrzenie.

– Czyli że to nie było zaproszenie na romantyczny wieczór?

– Eee... Ja... Po prostu nie mam ochoty być sam.

Dziewczyna poklepała go po ramieniu i ruszyła dalej.

– Wpadnij do baru w statku matce po kolacji.

– Nie wiem, gdzie to jest! – wykrzyknął, gdy zdążyła się już nieco oddalić.

Lily nawet się nie obejrzała.

– Ogarnij się! Bądź dużym chłopcem!

Drogę wskazały mu muzyka i alkohol. Gdy tylko Hugo wspiał się na pierwsze piętro statku matki, przeciął antresolę górującą nad holem, przed akwariem, i ruszył ku dźwiękom country i brzękowi butelek.

Lily i Jina popijały piwo, siedząc na wysokich stołkach przy barze. Puste półki były umyte, podobnie jak odwrócone krzesła leżące na stołach, Lily zadbała jednak o to, by zapalić węże ledowe, co wystarczyło, by zapewnić miły nastrój. Zielony pokrowiec zasłaniał coś, co przypominało stół bilardowy. W pomieszczeniu nie było nikogo oprócz dziewczyn.

– A oto i największe ciacho! – obwieściła Lily.

Lecz tego wieczoru Hugo nie miał do tego głowy.

– Schłodziłam browary, częstuj się – powiedziała Jina. – Desperados, mam nadzieję, że lubisz.

Nie miał natomiast nic przeciwko odrobinie alkoholu. Poczęstował się, przyciągnął stołek i usiadł naprzeciwko koleżanek.

– Widziałeś wczorajszą burzę? – zapytała Jina. – Myślałam, że się posikam. A Lily mówi, że ta wcale nie była silna.

– Rozgrzewka przed latem – potwierdziła instruktorka narciarska. – Jak wali na poważnie, masz wrażenie, że to sam diabeł!

Hugo się nie odzywał, zastanawiał się, jak podzielić się z nimi tym, co mu chodziło po głowie.

– Prądu też nie było, już wtedy spałeś?

Hugo zaprzeczył w milczeniu. Wolałby spać.

– Mam haluny – wykrztusił wreszcie.

Dziewczyny przestały dowcipkować, od razu bowiem się zorientowały, że to nie jest czarny humor.

– Głęboka chandra? – podsunęła Jina.

– Nie, to nie to. Od przyjazdu odczuwałem lęk z bardziej lub mniej naciąganych powodów, ale to zaczyna się wymykać spod kontroli...

– Wiesz, że możliwa jest choroba wysokościowa? To niekiedy doprowadza nawet do urojeń.

– Pewnie coś w tym jest, ale wydaje mi się, że to cały koktajl.

Lily, która do tej pory nie powiedziała ani słowa, przysunęła się do niego.

– Mów jaśniej.

Wzruszył ramionami.

– I tak już nie potrafię myśleć o niczym innym jak to, o czym gadaliśmy tamtego wieczoru. Analizuję każdy gest członków grupy, szukam wskazówek... A poza tym... Mam coś jakby majaki.

– Wizje? – zapytała z ekscytacją i odrobiną niepokoju Jina.

– Nie, to moja wyobraźnia, ale wydaje mi się, że tym razem to ona czasami przejmuje kontrolę nad moimi zmysłami, a ja jej ulegam, chwilami z prawdziwą... rozpaczą.

Lily z czułością pogładziła go po plecach.

– Bierzesz jakieś prochy? – chciała wiedzieć.

– Nie.

– Przepracowanie?

– Chyba nie. Praca jest fizyczna, ale się przyzwyczajam, poza tym nie jest znów aż tak intensywna. Myślę, że wszystkiego po trochu. Wychodzę z drobnej depresji, silnego uczucia osamotnienia, lekko mnie to osłabiło, i na dodatek w tym wyludnionym ośrodku trochę mi się poprzestawiało we łbie.

– Chcesz się skonsultować z lekarzem? Znam dobrego w Montdauphin.

– Jeżeli nie, to mam xanax – oświadczyła Jina. – Donormyl, jak chcesz spać jak zabity, albo lexo, jak chcesz się przymroczyć. Jestem chodzącą apteką.

– Nie, chcę do końca potwierdzić swoje przypuszczenia, raz na zawsze zamknąć rozdział „Dziwactwa”, żeby w spokoju zacząć od nowa. Czuję, że mi tego potrzeba. Pozbyć się wszystkiego, co pokręcone, bym mógł się skupić na normalności, która pozostanie.

Zgadując, że Hugo ma już plan, Lily powiedziała:

– Przerażasz mnie. Co zamierzasz zrobić?

– Sercem tego wszystkiego jest Lucien Strafa i jego zameczek.

– Jaskinia wampira – skwitowała Jina, która teraz traktowała sprawę bardziej lekceważąco niż zwykle.

Dopiła swoje piwo i poszła po następne.

– Zamierzasz go odwiedzić? – domyśliła się Lily.

Wpatrywał się w nie obie przez moment, po czym pokiwał głową.

– Powiem mu, że chcę się przedstawić, i tyle. Co może mi się stać? Przecież DePrigent mnie nie wywali za to, że przywitałem się z „szefem”!

Hugo nakreślił w powietrzu cudzysłów. Jina podniosła nową butelkę w jego kierunku.

– Skoro uważasz, że to ci pomoże, zrób to! Ale beze mnie. Już po samych waszych opowieściach widzę, że koleś jest upiorny, a na myśl o jego chałupie mam cykora.

Lily była wyraźnie mniej przekonana.

– Hugo, Strafa to tutaj naprawdę ktoś. Nie wiem, czy...



– Zgłębiłem tę kwestię od każdej strony i jestem przekonany, że właśnie tego mi trzeba. Rozmówić się z gościem, udowodnić sobie, że jest normalnie, i uciszyć rozszalałą podświadomość.

– To nie jest wyłącznie starzec w zameczku – upierała się Lily. – Dla niektórych Strafa to ktoś w rodzaju półboga. Nie wejdiesz na jego teren bez pozwolenia. Będą mieli do ciebie żal, będą wściekli. To tak, jakbyś wpadł do rodzinnego domu panny młodej i z miejsca olał zasady przodków jej rodziny. Wiem, że to śmieszne, ale to oni są tu u siebie.

– Kto powiedział, że muszą się dowiedzieć?

Jina pociągnęła kolejny łyk, po czym zwróciła się do Lily:

– Skoro ma przeświadczenie, że to mu może pomóc, dlaczego nie? Ja sobie zagram partyjkę bilarda, wy też macie ochotę?

Lily obserwowała Hugona.

– Fatalnie wyglądasz, powinieneś łyknąć któreś z lekarstw od Jiny, żebyś mógł zasnąć.

– Wolę się nie faszerować chemicznym gównem, bo i tak chwilowo mam zamęt we łbie.

Jina zdjęła pokrowiec ze stołu bilardowego i o mało się nie przewróciła, zdążyła się już bowiem upić. Lily czule pogłaskała Hugona po udzie.

– W każdym razie pamiętaj, że nie jesteś tu sam. Jak cię dopadnie deprecha, wbijaj do nas.

– Nawet nie wiem, gdzie są wasze pokoje.

Lily się uśmiechnęła i oczy jej rozblęły.

– Powiedziałam ci za pierwszym razem: trzeba mnie odnaleźć, żeby się dowiedzieć, ale jak będziesz grzeczny, dam ci wskazówkę.

Mrugnęła do niego i przytknęła butelkę do warg, następnie spoglądając na pochyloną nad stołem przyjaciółkę, która szykowała się do uderzenia, dodała:

– Co do niej, pisz na Desperados, a dostaniesz odpowiedź.

– Słyszę cię, pindo! Cholera! No i proszę, przez was nie trafiłam.

Hugo przyglądał się, jak sprzeczą się bez złośliwości, i delektował każdą minutą. Ostatnimi laty właśnie tego mu brakowało, przyjaciółek. Teraz to coś w basenie wydało mu się trochę dalekie, chwilowo jakby rozmyte. Zanim Lily przyłączyła się do Jiny, szepnął jej na ucho:

– Pójdiesz ze mną do Strafy?

Odwzajemniła spojrzenie, zastanowiła się, po czym niedostrzegalnie przytaknęła.

– Mam nadzieję, że nie będziemy tego żałować – powiedziała.

## 29.

Najważniejsze było wyczucie czasu.

Hugo nie zadawał już sobie żadnych pytań. Wiedział, że musi wyruszyć na spotkanie ze Strafą, by odsunąć całą resztę. Należało znaleźć właściwy moment. Żeby nikt nie zdołał go zobaczyć ani odwieść od zamiaru. W idealnej wersji liczył wręcz na to, że stary prestidigitator nikomu nie doniesie o ich rozmowie, że nikt się nie dowie. Tak czy inaczej, nabrało to dla Hugona tak wielkiego znaczenia, że był gotów ponieść wszelkie konsekwencje, w razie konieczności nawet bronić swoich racji przed DePrigentem. Nie obawiał się utraty pracy, co najwyżej nagany.

Przez cały wtorek stary Max trzymał go przy sobie w długiej sali wypożyczalni sprzętu i kazał mu dokończyć sortowanie butów, których odór doprowadzał Hugona do mdłości. Wieczorem z kolei w kantine zgarnął go Exhell, który wyprosił u niego partię kart, od czego Hugo nie mógł się wymigać, jeśli nie chciał się okazać niegrzeczny, bo tego nie cierpiał. Miał zbyt dużo empatii i życzliwości dla innych, żeby się zachowywać obcesowo, Exhell zaś wpadł w rozpacz, nie mogąc znaleźć partnera do gry.

Gdy w środę rano Max znów chciał zapędzić Hugona do wypożyczalni sprzętu, ten zagroził, że ją podpali, aby usunąć smród. Max najwyraźniej nie zrozumiał, tak jakby buty wcale nie cuchnęły. Przeszedł nad tym do porządku dziennego. Zainstalowali się w warsztacie niedaleko, gdzie nauczył Hugona podstaw naprawy wiązań, poczynając od wymiany klamer. Było tego z sześćdziesiąt, do Hugona dotarło więc, że spędzi tu co najmniej resztę tygodnia. Kiedy obrabiał pierwszy but i wyciągnął ohydny kapeć, żeby umieścić skorupę na blacie roboczym, miał ochotę zwrócić śniadanie. Pot z najmarniej tysiąca stóp, który wgryzał się w buty w czasie każdego kolejnego sezonu, wymieszał się i wniknął przez skarpety, zakażając czarną piankę. Już na samą myśl robiło mu się niedobrze, obiecał sobie, że nigdy

więcej nie wypożyczy butów narciarskich. Max wymierzył mu na zachętę kuksańca w plecy.

Kiedy nieco przed osiemnastą obwieścili koniec dnia pracy, Hugo przyznał Maxowi, że to była prawdopodobnie najbardziej wykańczająca robota, jaką przyszło mu wykonywać w życiu. Sam już nie wiedział, czy to zwierzenie oznaczało rzeczywiście subtelną aluzję, której Max nie zrozumiał. Poczciwy starzec poradził, by Hugo postępował tak jak on, zapuścił gęste wąsy: „Żeby filtrowały świat i pozwalały ci się poczuć wszędzie jak u siebie”. Cały Max.

Hugo przemierzył budynek C prawie na bezdechu, tak bardzo bowiem potrzebował prysznic, by zmyć z siebie smród, który przeniknął nawet przez pory skóry.

Pod drzwiami swojego apartamentu znalazł kartonik wypełniony okrągłym, dosyć wytwornym pismem.

Kolacja o 20.00.

W 4. z 6.

Tylko Ty, nikomu nie mów.

Bądź sprytny. Bądź punktualny.

Twarz Hugona rozpromieniła się w uśmiechu. Popędził pod prysznic. O 19.45 podążał po zboczach wzdłuż wyciągów, szukając kwiatów, i ułożył fioletowy bukiet z astrów alpejskich. O 19.55 był przed czwartym domkiem szwajcarskim. Uznał, że wykazał się sprytem, to musiało się znajdować tutaj. W Val Quarios nie było żadnego sześciopiętrowego budynku, za to stało w tej samej osi sześć domków szwajcarskich, ponumerowanych od jednego do sześciu.

Odczekał dokładnie do dwudziestej – należało spełnić polecenie, nie przyjść ani za wcześnie, ani za późno – i zapukał. Po jakichś trzydziestu sekundach zaskoczony brakiem reakcji zapukał mocniej. Również bez powodzenia.

Czyżby się pomylił? Czyżby źle zrozumiał zaproszenie? Zaczynał tracić pewność siebie. Nie słyszał nic poza zwykłym świergotem ptaków na otaczających domek jodłach. Nacisnął klamkę. Otwarte. To niczego nie dowodzi, Lily mówiła, że nie zamykają drzwi. Przekroczył próg, żeby chociaż rzucić okiem, i smakowity aromat dania dochodzący z piekarnika przywrócił mu śmiałość.

Stół pośrodku salonu przykrywał gruby obrus z białej bawełny. Przez szerokie szklane drzwi na taras sączyło się wieczorne światło i roztaczał

widok na dolinę. Hugona aż zamurowało.

Nikogo jednak nie było. Zauważył zapaloną świecę u stóp schodów, potem nieco wyżej następną, i jeszcze trzecią... Ciągnęły się ku piętru. Upewnił się, że w kuchni naprawdę jest pusto, po czym ruszył ścieżką wyznaczoną przez świece. Na piętrze znajdowało się czworo drzwi, z których jedno były uchylone. Rolety zostały zasunięte, mrok rozświetlał jedynie nikły blask płonącego knota.

Hugo wszedł z bukietem w ręce. W pokoju pachniało liliami. Wtem czyjaś dłoń chwyciła go za ramię i pociągnęła, tymczasem druga zamknęła drzwi. W półmroku bez trudu rozpoznał dziką czuprynę Lily. Dziewczyna wyrwała mu bukiet i cisnęła go na komodę. Położyła mu dłonie na twarzy i przytknęła wargi do jego warg. Hugonem owładnęła delikatna euforia. Liczył na ten pocałunek, wręcz o nim marzył. Język Lily miał smak wanilii i orzecha. Jej usta były słodkie i aksamitne. Oddech gorący, mocny, podczas gdy pierś podnosiła się i opadała. Dziewczyna przycisnęła go do ściany.

– Pragnę cię – wyszeptała niemal niedosłyszalnie.

Hugo poddał się, delektując każdym drzeniem, po czym jego dłonie powędrowały ku niej. Ku jej umięśnionym plecocom. Ku krągłym biodrom. Ku kształtnym pośladkom. Przytulił ją, czując dotyk jej piersi. Jego serce oszalało, chociaż nie tak mocno jak umysł, napawający się życiem, które tchnęła weń Lily.

Jego pożądanie rosnęło. Oddając każdy pocałunek, wsunął dłoń w jej imponującą burzę włosów, odchylił jej głowę, by odsłonić szyję, ramiona, dekolt.

Lily rozpięła bluzkę, pod którą miała koronkowy biustonosz. Hugo pogładził go, później odsunął i łapczywie całował jej piersi. Ona obejmowała dłoń jego głowę, drugą pośladek, dysząc gwałtownie. Cofnęła się i pociągnęła go za sobą na łóżko.

Na nocnym stoliku paliła się świeca zapachowa, tworząc grę cieni, które pojawiały się i goniły w nieregularnym rytmie, to powoli, to szybko, ocierały się o siebie, uderzały i stapiały w jedno.

Hugo rozebrał Lily, posługując się zarówno palcami, jak językiem, aż odkrył ją nagą w pościeli. Gdy sama spróbowała zdjąć mu sweter, odepchnął jej dłoń, by móc lepiej pieścić jej skórę, chwycić ją, przycisnąć do siebie albo dopasować do kształtu własnego ciała. Chciał ją hołubić.

Dłoń Hugona delikatnie przywarła do wznórka łonowego Lily, palec muskał powoli, wbrew pożądaniu, które aż huczało mu w skroniach. Otoczył wargami sutek i rozkoszował się jego smakiem.

Czując, że sam jest gotowy, ściągnął ubranie, po czym przyłgnęli do siebie, aż przeniknęli się nawzajem. Hugo był w Lily, a Lily była w Hugonie. Poprzez skórę. Poprzez rozkosz. Ocierali się o siebie, ich biodra się stykały, w idealnej harmonii, w wilgotnej rozkoszy, w której splatały się ich nogi. Wezglówie przyłączyło się do tej miłosnej orkiestry, uderzając rytmicznie o ścianę.

Trzymał w garści całą władzę, po czym ją tracił. Ona mu ulegała, po czym przejmowała ster. Oddychali sobą, przywierali do siebie i powoli się siebie uczyli, z daleka, potem w pełni, aż wreszcie stanowili niemal jedno ciało.

Pierścień stopionego wosku ze świecy falował za każdym razem, kiedy łóżko uderzało o stolik nocny, ochlapując brzegi przydymionego szkła, cudownie oszczędzając górujący nad nimi knot. Płomień kulił się pod wpływem uderzenia, po czym powracał do poprzedniej pozycji, wyprostowany i dumny, następnie ponownie drżał, trzaskał, o mało nie gasł, i znów był na miejscu, jeszcze silniejszy i żywotniejszy niż przedtem.

Powtarzające się uderzenia zamiast go osłabić, podsycały go, rozpalał się u nasady, aż powstawał gorący ogień, który szybciej go spalał. Świeca wydała lekki świst, niemal westchnienie, i wtedy straciła moc. Gorący płyn rozlał się natychmiast i w jednej chwili płomień się ulotnił, pozostawiając w powietrzu jedynie odurzającą smugę, niczym ducha pożądania, które rozbudził.

## 30.

Uniesienie kazało się skupić na chwili. Hugona przestały rozpraszać tysiące myśli, nie tkwił już rozdarty między przeszłością a przyszłością, żałując lub drżąc z niecierpliwości, liczyło się tylko tu i teraz, to, że leży w łóżku w otoczeniu miłosnych woni. Lily spoczywała przytulona, z głową na jego piersi. Objęci, w trwającym chwilę zespoleniu, zwierali szyki przed własnymi niedoskonałościami, przed światem, bez ani jednego słowa. Trwali tak przez moment, odzyskując oddech i własne ciała.

– Błagam cię, nie zepsuj wszystkiego, nie pytaj, jak było – powiedziała zduszonym głosem Lily, z ustami na jego skórze.

– Wiem, jak było.

Parsknęła cichym, zmęczonym śmiechem.

– Zarozumialec.

Przesunął dłońią po jej włosach. Lubił ich zjawiskową burzę.

– Miłość przed kolacją – dodała – to zbyt rzadko stosowany sposób na pierwszą randkę.

– Trzeba być pewnym drugiej osoby.

– Jesteś tu od trzech tygodni, co dało mi więcej czasu na wyrobienie sobie zdania niż jedna kolacja przy świecach.

– Dobrze mówisz.

Dłoń Hugona ześliznęła się po plecach dziewczyny. Wędrowała po czarnych przeplatających się arabeskach, pokrywających ją od ramion po lędźwie, przy czym niektóre linie sięgały nawet krągłych pośladków, niczym nieposkromione kolczaste gałęzie.

– Nie spodziewałem się, że masz tatuaż – przyznał.

– Dlaczego? Wyobrażałeś sobie, że jestem zapuszczoną góralską wieśniarą?

– W dodatku jest... mocny. Co przedstawia?

– Rozetę czasu utworzoną przez krzew różany.

– To piękne.

– Możliwe, kosztowało mnie to sporo godzin męczarni!

Hugo nigdy nie uległ modzie na tatuaże, niezdolny skupić się na jednym motywie, zbyt niestały, żeby zobowiązać się na całe życie.

– Mam nadzieję, że lubisz porządnie przypalone warzywa w cieście – powiedziała.

– Jak to?

– Bo powinnam pójść i je wyjąć z piekarnika, ale mam straszego lenia.

– Liczyłaś, że szybciej się uwiniemy?

Wyprostowała się i rzuciła mu w twarz jego T-shirt.

– Idiota.

Usiedli przy stole ubrani zaledwie jedno w bieliznę, drugie w koszulę. Słońce właśnie zachodziło, zalewając cały krajobraz złocistobrązowym blaskiem.

– To piękne, zupełnie jakbyśmy patrzyli, jak umierają góry – zauważyła Lily, trzymając w dłoni kieliszek białego wina.

– A dlaczego nie jak się rodzą? To by było bardziej optymistyczne, nie?

– Nie, teraz bledną kolory zmierzchu, w oprawie cieni, cielisty róż, krwawy karmin, wraz z ulatującym życiem, a tam w trenie unosi się granat nocy, który je pożera. Światła umierają, ścigane przez niechybną ciemną wieczność. To z pewnością śmierć.

Hugo przytaknął skinieniem głowy.

– Powinnaś pisać wiersze.

– Nie sądzę, że z tym „talentem” miałabym więcej czytelników od ciebie.

Zakończyli posiłek musem orzechowym z nutą wanilii, który przypominał w smaku wargi dziewczyny. Ich stopy, leżące na jednym krześle obok stołu, dotykały się pieszczotliwie.

– Więc tutaj mieszkasz? – stwierdził z podziwem Hugo.

– Nie, tutaj wyłącznie uprawiam seks – odparła prowokująco. – Prawdziwe mieszkanie pokazuję dopiero wtedy, kiedy wiązę się z kimś na poważnie.

– Gdzie mieszkasz?

– Właśnie powiedziałam.

Hugo poczuł się zraniony.

– A, to przepraszam. Nie wiedziałem, że trafiłem do szufladki „seksualna zabawka”.

– Czy nie od tego wszyscy zaczynamy?

– Skoro tak mówisz.



– Pięć miesięcy to mnóstwo czasu, zdążysz wydeptać ścieżkę do mojego prawdziwego domu. A ja zdążę zdrapać lakier z przystojniaka-wyklętego pisarza, żeby się dowiedzieć, co tak naprawdę kryje się pod spodem.

– Proponujesz mi regularny związek?

Rozmowa przybierała lekki ton, co nie przypadło zbytnio Hugonowi do gustu, ponieważ w takiej sytuacji łatwo o jedną szpilę za dużo, a wtedy wszystko nagle bierze w łeb – bo jedno jest rozbawione, a drugie rozłoszczone.

– Upiekłam ci warzywa w cieście, nie? Czy to nie dowód bardzo silnego zaangażowania uczuciowego?

– Przyznaję, brakowało tylko, żebyś mi się oddała...

– Nie przesadzaj. I nie nakręcaj się, warzywa w cieście to jedyne danie, które potrafię zrobić.

Mrugnęła do niego figlarnie. Hugo wpatrywał się w złociste wino przez kieliszek.

– Te nieoczekiwane chwile sprawiły, że czuję się jak w siódmym niebie, ale czy to przypadkiem nie jest przewrotny sposób, żeby mnie odwieść od mojego planu? – zapytał.

– Jakiego planu?

– Złożenia wizyty Strafie?

– Lubię perwersję, ale nie aż do tego stopnia.

– Nadal chcesz iść ze mną?

– Sam mnie o to poprosiłeś.

Hugo zmienił ton, spoważniał.

– Nie zmuszam cię. To mi...

– Dodało pewności, jak usłyszałeś, że będę ci towarzyszyć? Wyobrażam sobie.

– Tak, coś w tym jest.

– Powiedziałam: tak, więc to zrobię.

– Nie czuj się w obowiązku...

– Pójdę. Powiedziałam. Nie tylko dla ciebie.

Czekał na dalszy ciąg, ale on nie nastąpił.

– Czego się po tym spodziewasz? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Po chwili milczenia mimo wszystko dodała:

– Prawdopodobnie trochę tego samego co ty.

– Że przestanę się obawiać tego miejsca?

– Jego. Strafy. On jest fascynujący. I straszny.

Hugo odczekał moment, po czym ponownie przypuścił szturm:

– Obserwowałaś całą bandę, zauważyłaś różne zachowania... Sam nie wiem... Powiedzmy, podejrzane?

– Nie. Już ci mówiłam: większość z nich znam, odkąd tu jestem, i gdyby istniała choćby najmniejsza wątpliwość...

– Sama wspomniałaś o zadawaniu pytań, o tym, żeby mieć otwarte oczy.

– I właśnie to robię. Ale kierowanie rozmów na właściwe tory bez sprawiania wrażenia natarczywej albo bez wzbudzania czujności wymaga czasu. Cierpliwości. Nie sądzę, żeby to się skończyło tak, jak ty chcesz, ale robię, co mogę.

– Ja chcę się uspokoić, mieć pewność, że to miejsce jest bezpieczne. Że my jesteśmy bezpieczni, nie tylko ja.

– To słodkie – parsknęła Lily – ale myślę, że gdyby w ciągu tych trzech lat miało mi się przytrafić coś złego, to już by się stało.

Hugo dolał Lily wina, po czym pocałował ją w czoło i w szyję. Prawdę mówiąc, chciał znów poczuć jej zapach, zanim w końcu ona wyrzuci go za drzwi.

– Kiedy chcesz tam pójść? – zapytała.

– Jeśli będę mógł, to jutro po południu. Rano pracuję, żeby nadrobić deszczowe dni, ale potem mam wolne.

Lily kiwnęła głową.

– Niech będzie jutro po południu, jakoś się wykręcę.

Wypili, chociaż nie bardzo wiedzieli za co, ponieważ pomysł nie miał w sobie nic wesołego, wręcz przeciwnie. Następnie Lily wypytywała go, czym się teraz zajmuje, a on się jej zwierzył, że fetor butów narciarskich doprowadza go do szaleństwa, co mocno ją rozbawiło. Gdy tylko osuszyli butelkę, Hugo sięgnął po spodnie, by wrócić do siebie, lecz Lily go powstrzymała.

– Jest późno, a po morzu alkoholu, który w siebie wlałeś, nierozsądnie by było pozwolić ci wracać – ostrzegła z przebiegłą miną.

– Przyszedłem pieszo, powinno być dobrze...

– Znajdujesz się w górach, pijany, to niebezpieczne, zwłaszcza dla takiego chłopca jak ty, który ciągle myli drogę. Poza tym jestem zmarzlakiem, a w domkach wyłączyli ogrzewanie, więc bardzo by się przydało, żebyś został.

- Z czysto praktycznego powodu.
- Absolutnie – szepnęła, całując go.

Nazajutrz rano, gdy Hugo zjawił się w warsztacie po nocy spędzonej z Lily – żałował jedynie tego, że wstała wcześniej, aby przyjąć cotygodniową dostawę mleka – zapalił światła i pełen radosnego rozbawienia stwierdził, że na stojaku czeka świeca o zapachu lilii.

## 31.

Las iglasty, ciągnący się aż do zameczku Luciena Strafy, łagodnie szeleścił na wietrze. Był tak gęsty i nieprzenikniony, że aby się w nim rozejrzeć, należało zapuścić się do środka.

Lily i Hugo razem przecięli Tetryka, po czym ostatnimi schodami dostali się na parking i wyszli przez drzwi do garażu. Hugo nie wyczuł obecności żadnej złej istoty, nie dostrzegł nawet najmniejszego pajęczka w kącie. Lily prawdopodobnie działała jak talizman. Chyba że to jej determinacja ochroniła go przed zbyt bujną wyobraźnią. Ale przecież w basenie coś ze mną było, powtarzał sobie z drzeniem, nie potrafiąc tego pojąć.

Niebo przypominało roztopioną stal, która właśnie stygnie. Mieszanina bardziej lub mniej zróżnicowanych odcieni szarości, ogrzewana przez niewidoczne słońce, którego istnienie można było odgadnąć wyłącznie dzięki nielicznym, bardziej delikatnym, niemal białym plamom.

Hugo zamierzał puścić się pędem przez las, Lily pociągnęła go jednak na dół, na asfalt.

– Równie dobrze można się wdrapać drogą – oznajmiła. – Wije się pod gałęziami, z ośrodka nikt nas nie zobaczy, jeżeli to cię uspokoi.

– Nie chcesz oglądać totemów?

– Nie, raczej nie.

Podążali asfaltową wstęgą, w której niepogoda pozostawiła szczeliny. Wilgoć wniknęła pod nawierzchnię, po czym wraz z zimowym mrozem napęczniała i porobiła purchle i dziury, aż człowiek miał wrażenie, że stąpa po niekończącym się parchatym wężu.

Zza zakrętu wyłonił się wierzchołek wieży.

– To ostatni moment, żeby zawrócić, jeśli nie chcesz... – ostrzegł Hugo.

– Bądź cicho i zasuway do przodu.

Lily bywała czasem szorstka, nie owijała w bawełnę, co raczej podobało się Hugonowi, który w pewnym sensie właśnie za to ją podziwiał. W końcu ukazał się zameczek, imponujący w oprawie ciemnych kolczastych zarośli.

– Ty będziesz mówił – oświadczyła Lily na ostatnich metrach.

Hugonowi wydało się, że słyszy w jej głosie lekkie rozgorączkowanie, więc ogarnęły go wątpliwości, przez cały bowiem czas Lily sprawiała wrażenie nieugiętej. W cieniu daszku nadziali się na diabelską kołatkę. Wpatrywała się w nich z piekielnym uśmiechem, tak jakby od dawna ich się spodziewała. Hugo chwycił ją z wahaniem i zastukał, po czym uznawszy, że zrobił to zbyt nieśmiało, powtórzył tę czynność z większym wigorem.

– A jak nie otworzy? – zapytała półgębkiem Lily.

– Będziemy pukać dalej.

Nikt nie nadchodził. Hugo się wychylił, usiłując dojrzeć jakąś sylwetkę przez jedno z okien, ale wszystkie żaluzje były opuszczone. Czyżby Strafa spał? Zdecydowany nie odpuszczać, Hugo jeszcze mocniej uderzył w twarz szatana.

I pod naporem ciosów drzwi się otworzyły.

– Cholera – wyrwało się szeptem Lily.

Rzecz jasna, to nie było zamierzone, Hugo użył zbyt dużej siły, a drzwi nie zostały zamknięte na klucz ani rygiel do końca wsunięty do gniazda. Nie widzę innego wytłumaczenia, chyba że facet potrafi otwierać na odległość, samymi myślami...

Hugo był między młotem a kowadłem. Lily pchnęła skrzydło czubkiem stopy, odsłaniając ciemny hol. Posadzka była z kamienia, ściany obite czarnym drewnem.

Hugo wszedł do środka, pozostawiwszy dziewczynę na zewnątrz.

– Co ty wyprawiasz? – oburzyła się szeptem.

Nie odpowiedział, tylko rozejrzał się dokoła.

– Och, nie cierpię cię – oznajmiła Lily, przyłączając się do niego. – Nie taka była umowa.

– Mieliśmy się spotkać ze Strafą, oto jaka była umowa.

– Ale nie mieliśmy się włamywać!

– Przecież było otwarte.

Hugo chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą na korytarz pełen drzwi, na które nie zwrócił uwagi, tylko pognął prosto do pokoju naprzeciwko. Pomieszczenie przypominało kościół. Wysokie sklepienie, zmyślnie rozmieszczone belki spoczywały na dębowych filarach otaczających długi prostokąt wyposażony w antyczne meble. Prowizorycznie zamurowane

okna nie przepuszczały żadnego światła, futryny dziwnie umieszczono znacznie poza zasięgiem ręki, tuż pod sufitem.

Przez otwarte drzwi przenikała wyłącznie daleka poświata. Bez wątplenia salon stanowił największe pomieszczenie w całym zamczku. Unosiła się w nim woń korzennego kadzidła. Hugo miał wyczulone wszystkie zmysły. Wielkie bordowe poduszki na kanapach przywoływały miniony czas, tak jakby w ich miękkościach zanurzały się plecy królów i królowych. Kominek był wygaszony, na gzymsie wryto splecione litery L i S. W głębi całą szerokość pokoju zajmował wygładzony przez lata albo i wieki stół, a nad nim widniały przybite do ściany dwa miecze na tarczy.

Kiedy Hugo podniósł głowę, zobaczył ją równocześnie z Lily. Tapiserię pokrywającą jedną ze ścian na całej długości. Na pierwszy rzut oka, z tymi swoimi kawalerami i damami przy uczcie, przypominała te średniowieczne.

Wiktuały zdominowały każdą najdrobniejszą dostępną przestrzeń między biesiadnikami, których wystające brzuchy świadczyły o pochłoniętej uczcie, co potwierdzały ślady po winie i okruchy jedzenia na dubletach bądź na sukniach i wyraz sytości na twarzach. Lecz za ich plecami zbliżała się horda monstrualnych postaci, które wyskoczyły ze skrzyni, zapewne zawierającej potrawy – demonów o błoniastych skrzydłach, sterczących rogach i płomiennych spojrzeniach. Z rozdziawionych gąb wyrastały zaślinione kły i niesamowicie ogromne rozszczepione jęzory. Pierwsze diabły zdążyły już dotrzeć do biesiadników pośrodku i wbić zęby prosto w gardła nieszczęśników. Kolejny łakomczuch dawał się pożreć od brzucha, chciwe pazury rozdarły mu tunikę. Jakaś kobieta miała rozsunięte nogi, a diabeł sobie na niej używał, przy jej ohydnie bezgłośnym krzyku. Pożerani zastygli w prymitywnej zgrozie, której realizm, kontrastujący z sytością reszty biesiadników, jeszcze niczego nieświadomych, wywołał u Hugona dreszcze. Symbolika była raczej mało subtelna.

– Kto wiesz sobie coś takiego na środku salonu? – zapytał.

– Nie powinno nas tu być – odparła równie cicho Lily.

Hugo miał to w nosie. Prawda stanowiła dla niego zbyt silną obsesję, żeby się teraz wycofał. Opuszkami palców musnął pulpit, na którym leżał wykonany tuszem szkic przedstawiający Val Quarios. Tak musiał wyglądać ośrodek w chwili powstania. Wszystko już tam było. Rysunek podpisano literami L i S.

O wszystko zadbałeś. Już od założenia tego miejsca. Nic nie zdołało ci umknąć... Popaprana kontrola.

Hugo okrążył duży globus z czereśniowego drewna, umocowany w konstrukcji z tego samego materiału. Umieszczone pod nim kieliszki do likieru uzmysłowiły mu, że to barek, którego mechanizm otwierający gdzieś schowano. Salon wypełniały podobne meble, bez wątplenia skrywające swe prawdziwe przeznaczenie, godne takiego magika jak Strafa. Stopy Hugona uderzały o posadzkę.

Kiedy żaluzje były podniesione, dzięki wysoko rozlokowanym oknom światło dzienne musiało przenikać z obydwu stron i nadawać pomieszczeniu niemal niebiański klimat, pomyślał Hugo, podchodząc do podwójnych drzwi.

– Co ty wyprawiasz? – zaniepokoiła się Lily.

– Zdaje się, że wieża jest tam.

– Ale nie możemy się dłużej pętać po jego domu jak złodzieje!

Hugo zadarł brodę i wykrzyknął najczystszy i najbardziej stanowczy głos, jaki potrafił z siebie wydobyć:

– Panie Strafa, jest pan tam?

Palce Lily zmiażdżyły jego dłoń. Hugo kilkakrotnie powtórzył pytanie. Po czym pokręcił przecząco głową pod adresem swojej współpracownicy.

– Śpi albo wyszedł.

– Hugo, Strafa już nie wychodzi. Na pewno tu jest.

Hugo nie był o tym przekonany. Wtedy w kinowy wieczór zauważył w domku szwajcarskim czyjąś obecność. Wiedział, że po nocy ktoś się skrada za plecami innych. Strafa albo przynajmniej jeden z obsługujących go pracowników.

– Ilu ludzi pracuje dla niego? To znaczy tutaj, w zamczku.

– Nikt. Mieszka zupełnie sam.

– Zdziwiłbym się.

Nikt nie wyszedł im na spotkanie, co też nie wydawało się normalne. Strafy nie było, ponieważ opuścił dom w czyimś towarzystwie, Hugo nie widział innej możliwości. Albo leży w piwnicy, w trumnie, a na dźwięk mojego głosu właśnie podniósł powieki. Jest wściekły i w nocy wyjdzie, żeby...

Lily dwa razy ścisnęła go gwałtownie za rękę, by przyciągnąć jego uwagę. Wpatrywała się w ponaddwumetrowej długości korkową tablicę wiszącą na ścianie. Przyczepiono do niej fotografie członków całego obecnego personelu Val Quarios. Urzędowe fotografie. Pełen zespół,

wszyscy w jednym szeregu z wyjątkiem kilku twarzy pod spodem, które Hugo pomimo półmroku natychmiast rozpoznał.

Exhell. Jina. Ludovic. Merlin. I on. Zdjęcie z CV. Nowi.

Hugo zauważył, że Strafa wyraźnie potraktował Armanda i Paula jak starych wyjadaczy, umieszczając ich na poziomie „lokalsów”.

Na widok pewnego szczegółu głośno przełknął ślinę. Na widok własnego zdjęcia.

Tylko ono przypięte było dwiema pinezkami, nie jedną.

I w przeciwieństwie do reszty pinezki nie zostały wbite w obramowanie fotografii.

Przekłuwały mu oczy.



## 32.

Lily chwyciła Hugona za ramię, aby go odciągnąć.

– Chodźmy stąd.

Chłopak jednak ani drgnął. Stał wpatrzony w fotografie. W co grał Strafa? I dlaczego wziął na cel akurat jego?

– Chcę się z nim zobaczyć – oświadczył Hugo.

Odsunął się, ruszył ku podwójnym drzwiom, a następnie je rozsunął.

– Lucien Strafa! – zawołał, a Lily do niego dołączyła.

Znajdowali się pod wieżą, w sercu zameczku, w sali ledwie rozjaśnionej blaskiem wpadającym przez jedyne wąskie okno na piętrze. Smuga światła w postaci witrażu przedstawiającego marsylskiego tarota. Stopnie imponujących schodów w kształcie litery L skąpane były w purpurze i złotym brązie.

Hugo uświadomił sobie, że stoi pośrodku muzeum. Ku chwale Strafy. Staroświeckie afisze. Wszędzie przedmioty za szkłem. Mosiężne szkatułki, kajdanki na kciuki, zestawy noży, kilkanaście nieskazitelnych kostiumów, a nawet imponująca gilotyna, której ostrze potrafiło schwytać odrobinę nikłego światła podkreślającego jego cienką krawędź. Hugo krążył, zahipnotyzowany przez owe dzieje magii bez legend, bez objaśnień, zmuszony posłużyć się wyłącznie wyobraźnią, by pojąć, czym są te przedmioty, jaką skrywają tajemnicę. Natrafił na wciąż płonące kadzidełko stożkowe, niemal zupełnie wypalone na swojej podstawie.

– Jeszcze niedawno ktoś tu był – oznajmił.

Hugonowi zrobiło się nieswojo, gdy stwierdził, że to nie stożek, a głowa. Malusienka. Ludzka twarz z kadzidła. Kiedy wydało mu się, że rozpoznaje samego siebie, na chwilę serce mu zamarło. Nie, to może być ktokolwiek, to nie ja, niemożliwe. Głowa w dwóch trzecich zdążyła się zamienić w gęsty popiół, a jej rysy rozwieje pierwszy przeciąg.

– Upiorne – mruknął.

Kto jest aż tak chory, żeby kazać sobie zrobić kadzidło w kształcie twarzy? Jak sądzisz? Dostarczono je razem z tapiserią do salonu...

– Wiedziałaś o istnieniu tej kolekcji? – zapytał.

Lily przemierzała pokój równie zafascynowana.

– Nie.

Pośrodku królował gerydon, przykryty koronką z herbem Strafy, jego splecionymi inicjałami. Hugo pochylił się, zaintrygowany pewnym szczegółem, i spostrzegł ciemne plamy. Czyżby krew? Numer, który źle się skończył? A może to było zamierzone?

Odwróciwszy się, ujrzał biblioteczkę, która zajmowała całą ścianę. W większości stare dzieła oprawione w ciemną skórę ze złotymi literami. Inne wyglądały na tak wiekowe, że nie dało się odczytać żadnego tytułu. W środkowej, zamykanej na klucz witrynie spoczywało pięć grymuarów. Przykleiwszy nos do szyby, Hugo odniósł wrażenie, że może poczuć zapach atramentu, papieru, kurzu i skóry. Z trudem odcyfrowywał tytuły czegoś, co tworzyło serce kolekcji Strafy. De Vermis Mysteriis. Cthaat Aquadingen. Unaussprechlichen Kulten. Liber Ivonis. Występowały we wszystkich językach. Ostatni był najtrudniejszy do odczytania... Zwarte gotyckie pismo... Necronomicon. Bezbożne księgi. Dla Hugona część tych nazw była znajoma. Jako nastolatek przeżył okres ezoteryczny, kiedy to wraz z przyjaciółmi spotykał się na strychu domu babci jednego z nich i kładli przed sobą planszę ouija albo zwykłą kartkę, żeby przywoływać duchy zmarłych. Namiętnie czytali literaturę na ten temat i przegadywali całe godziny, usiłując sobie wmówić, że duchy istnieją, zaś jedna z dziewczyn – której imienia nie był w stanie sobie przypomnieć, Lydie albo Liliane, albo coś w tym rodzaju – opowiadała im wszystko, co wiedziała, a była prawdziwą kopalnią wiedzy okultystycznej. Często wspominała o „przeklętych księgach”, do których zaliczała się najrzadsza i najbardziej niebezpieczna księga umarłych, Necronomicon.

Strafa wierzył w te opowieści równie mocno jak tamta dziewczyna o prawie zapomnianym imieniu. Tylko że on miał środki na zdobycie dzieł, które mu się podobały. Czyżby to były oryginały? Źródło jego legendarnych mocy?, pomyślał z rozbawieniem Hugo, zastanawiając się nad tym, co pisano o Strafie w prasie z lat siedemdziesiątych.

Wtem znikąd wyłonił się świszczący, zdarty głos, który odbił się ledwie słyszalnie od szyby:

– Większość moich sztuczek robiłem bez żadnych przedmiotów. Ale nikt nie eksponuje pustki, prawda?

Hugo i Lily podskoczyli i odwrócili się, szukając, skąd dobiega dźwięk. Nie było jednak nikogo oprócz nich.

– Do prawdziwych sztuczek, tych najbardziej widowiskowych, niczego nie było potrzeba – dodał mężczyzna.

Jego głos spadał z sufitu, skrzeczący jak u gadającego kruka. Gdzie on jest? Hugo przepatrywał półmrok, wyeksponowane maszyny i zmyślnie urządzenia dawały złudzenie obecności licznych postaci. Lecz wśród nich nie było ani jednej ludzkiej istoty.

– Niewielu przekroczyło ten próg – dodał surowo głos.

Od strony schodów, oszacował Hugo. Jakiś osobnik stoi na szczycie schodów, w ciemnościach. Hugo był w stanie rozróżnić podłużny kształt, satynowy szlafrok w stylu angielskim, a pod nim lniany garnitur. Mężczyzna wspierał się na lasce. Sygnet na małym palcu. Panował zbyt gęsty mrok, by dało się dojrzeć więcej.

– Przepraszam, wołaliśmy i... – zaczęła Lily.

Strafa uciał oschle:

– Weszłicie do mnie bez zaproszenia.

– Przykro nam, my...

– Wiecie, co to oznacza? Mógłbym zrobić z wami wszystko, co bym chciał.

Lily posłała Hugonowi zaleźnione spojrzenie.

– Ale czy to przypadkiem nie dotyczy każdego miejsca w tym ośrodku? – dodał Strafa z odrobiną złośliwości. – Tutaj wszystko należy do mnie.

– Nawet nasze dusze – skwitował uszczypliwie pod nosem Hugo.

Strafa, który go usłyszał, odparował:

– Przeczytał pan dokładnie umowę, młody człowieku? Wszystkie paragrafy, nawet te rozproszone na licznych stronach prawniczego żargonu?

Nie, nie zrobił tego. W dniu podpisywania był akurat w gabinecie Adele, zajętej zupełnie czymś innym. Wątpił jednak, by znalazła się tam klauzula dotycząca jego duszy. Strafa z nimi pogrywał. Hugona onieśmiała sama obecność, władczy ton magika, który częściowo tłamsił jego determinację. Mimo wszystko to, co widział tuż obok, wystarczyło, by dodać mu odwagi na odpowiedź:

– Czy właśnie dlatego mam pinezki wbite w oczy? – zapytał, wskazując salę, z której dopiero co przyszli.

Strafa się nie odezwał. Teraz, wobec wyższości gospodarza, Hugo uzmysłowił sobie, że jego pewność siebie gdzieś się ulotniła. Co powinien mu powiedzieć? Czego się spodziewał? Złożenie wizyty Strafie stanowiło cel, na którym skupił cały wysiłek umysłowy, wszystkie dążenia. Skoncentrowanie się na prestidigitatorze pozwoliło mu nie myśleć o niczym innym. To była konkretna misja. Tylko że mężczyzna u szczytu schodów nie uwolni go od wszystkich obsesji samą swoją obecnością. Hugo nie wiedział dokładnie, na co liczył, prawdę mówiąc, jego wyobraźnia nie sięgała aż do tej chwili, czuł się zdezorientowany.

Strafa nie zszedł na dół, nie przywitał ich, Hugo postanowił więc nie owijać w bawełnę. Lecz gdy tylko słowa popłynęły mu z ust, okazało się, że brzmi mniej stanowczo, niżby sobie życzył.

– Proszę nam wybaczyć najście, panie Strafa, nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę ze wszystkiego, co się dzieje w pańskiej posiadłości. Ze... szczególnych rzeczy.

Strafa zachęcił go do mówienia machnięciem pergaminowej dłoni.

– Po pierwsze, wyrzeźbione pnie wokół pańskiego domu... – zaczął Hugo.  
– Wie pan o nich, prawda?

– Jestem starcem, a starzy ludzie w końcu otaczają się tym, co najbardziej lubią – odrzekł zimno właściciel zameczku.

Powiedział „tym” czy „tymi”?, zastanowił się natychmiast Hugo. Nieważne. Zbyt szczęśliwy z uzyskania odpowiedzi ciągnął:

– To pan jest ich autorem?

– Ja? – zaskrzeczał Strafa. – Nie. Nie mam takiego talentu. To las jest ich autorem.

OK. A więc będzie się bawił z nami w tajemnice, robił nas w wała.

– A girlandy z martwych zwierząt w puszczy jodłowej?

Strafa milczał, ani jednej ciętej riposty, ani jednego enigmatycznego stwierdzenia, za którymi przepadał, co nasunęło Hugonowi myśl, że być może starzec nie ma pojęcia o girlandach na płaskowzgórzu. Nie nad wszystkim panuje. Lily powolutku się przysunęła, Hugo poczuł delikatne muśnięcie jej ręki na swoim ramieniu. Już samo to, że była obok, pozwalało się domyślić jej zakłopotania. Hugo odetchnął głęboko. Nabierał pewności siebie, głos przestał mu drżeć.

– Nad pańskim ośrodkiem wisi fatum – tłumaczył dalej. – Zaginięcia, wypadki, samobójstwa... Wiedział pan o tym, prawda?

Dłoń zacisnęła się na lasce. Do Hugona dotarło, że nie uzyska od prestidigitatora konkretnej odpowiedzi. Zdecydował się zatem na szczerłość.

– Panie Strafa, możemy porozmawiać?

Stojący na końcu schodów magik odrzekł wesołym tonem:

– Czy nie to właśnie teraz robimy?

– Mam na myśli twarzą w twarz, na spokojnie.

Tym razem Strafa okazał wyniosłość.

– W jakim celu?

– Żeby zrozumieć. Kim pan jest.

– Nie widzę powodu.

Tym razem przybrał szorstki ton. Zniechęcony Hugo przygryzł wargę. Nie poddawał się jednak.

– Proszę przyznać, że mimo wszystko jest pan intrygujący. Największy magik w dziejach, który przerywa karierę, będąc u szczytu sławy, i potajemnie zaszywa się tutaj... My pracujemy dla pana, dochowujemy sekretu, ale czy nie mamy prawa dowiedzieć się czegoś więcej?

Strafa zszedł o jeden stopień, a wtedy jego klatka piersiowa, która z trudem się podnosiła, znalazła się w zasięgu ich wzroku. Podniósł dłoń zaciśniętą kurczowo na gałce laski.

– Powtarzam wam – powiedział tym swoim charczącym, rozkazującym tonem. – W jakim celu?

Powoli wycedził każde słowo, jakby je odcinał skalpelem.

– Żeby lepiej pojąć, czym jest to miejsce – odparł nieco bardziej zdecydowanie Hugo.

– To nie jest odpowiedź – skwitował Strafa, kręcąc w półmroku głową. – To miejsce, jak je pan nazywa, to ja, a ja nie odslaniam się bez powodu.

Zamierzał odejść, wrócić do swej kryjówki, odprawić oboje gestem, znudzony ich widokiem.

– Żebyśmy przestali się go bać – rzuciła Lily. – Tego miejsca. Pana.

Ze schodów spadał na nich świszczący oddech Strafy. Dostrzegłszy nadarżającą się okazję, Hugo poszedł za ciosem:

– Miał pan wszystko i zrezygnował z tego, żeby się zakopać tutaj. I od tamtej pory Val Quarios jest jak... przekłete.

Hugo starannie wybrał to słowo. Choć nie widział twarzy starca, czuł na sobie jego zaintrygowane spojrzenie.

– Istnieją prawdy o wiele bardziej przerażające niż niewiedza – oznajmił zagadkowo magik.

– Ale niewiedza nie wznosi umysłu – zripostował natychmiast Hugo.

Strafa zwlekał przez chwilę, dając sobie czas na decyzję, po czym powoli dotknął końcem laski poręczy schodów i kilkakrotnie ją poklepał.

– Nie zadajecie sobie właściwego pytania, drogie dzieci – odrzekł ciszej.

– Zastanawiacie się, dlaczego rozstałem się z publicznością, porzuciłem magię. Tymczasem powinniście zapytać o powód, dla którego musiałem to uczynić...

Co powiedziawszy, wsparł się na lasce i ruszył w milczeniu na górę.

## 33.

Lily przekonała go, żeby zjedli kolację w jadalni, z innymi.

Hugo nie miał apetytu, a tym bardziej ochoty na znalezienie się w otoczeniu załogi, na udawanie, Lily jednak się uparła.

– Jeżeli nie chcesz wzbudzać podejrzeń, zachowuj się tak jak zwykle. Dzisiaj są urodziny Ludovica i nikt nie zrozumie, dlaczego cię nie ma.

Wynegocjował tyle, że ona zostanie przy nim przez cały posiłek, i wielokrotnie chwycił ją za rękę, podczas gdy reszta rozmawiała i się śmiała. Lubił ciepło między palcami, potrafił niemal wyczuć uderzenia jej serca poprzez skórę. Życie. Rzeczywiste. Pośrodku tego ponurego chaosu. To dodawało mu otuchy.

Ludovic nie należał do wylewnych, co jak zauważył Hugo, było eufemizmem. Przyjął tort i prezent z ledwie widocznym grymasem, za to z tym samym co zwykle, trochę nieobecny spojrzeniem. Podarowali mu wełniany sweter we wzory – w duchu, który nigdy go nie opuszczał. Tic i Tac uparcie się z niego natrzęsali, a pod koniec wieczoru, pod wpływem alkoholu, który wlał w siebie niemal na siłę, Ludovic zaczął się wreszcie szczerze uśmiechać i chwilami pozwalał sobie tracić kontrolę.

Hugo z niecierpliwością czekał na koniec. Przetrawił epizod ze Strafą, chciał o tym porozmawiać. Wykorzystał moment zmywania naczyń wspólnie z Lily i szepnął jej na ucho:

- Trzeba wtajemniczyć Jinę.
- Spanikuje.
- Mam to gdzieś, musi się dowiedzieć.
- Dowiedzieć o czym? Przecież nic nie odkryliśmy.
- O tym, jakiego rodzaju gościem jest Strafa. No i pomoże nam to wszystko rozkminić.

– OK – poddała się po namyśle Lily. – Uprzedzę ją.

Po kolacji Tic i Tac oraz Merlin zaanektowali akwarium – dyskutowali przed kominkiem, popijając likier na trawienie. Lily zatrzymała swoich

towarzyszy i położyła palec na ustach, nakazując milczenie, po czym opuścili statek matkę i ruszyli na zachód, w kierunku Wieży.

– Zaraz zrobię przez was w gacie ze strachu – oświadczyła Jina. – Co takiego się stało, że potajemnie się spotykamy?

Lily zerknęła na Hugona, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, a nie mówiłam?”, i zaprowadziła ich do domku szwajcarskiego, gdzie ona i Hugo uprawiali poprzedniego dnia seks. Nie pozwoliła Jinie włączyć światła, zamiast tego pozapalała świece w całym salonie.

– Jak zobaczą, że jest zajęty, domyślą się czegoś – ostrzegła.

– To nadal moglibyśmy być my dwoje.

– Philippe nie ma nic przeciwko nocowaniu raz na jakiś czas w domku, ale jeżeli to się będzie powtarzać, zaczniesz się wkurzać.

Jina otworzyła szeroko oczy.

– Aha, bo wy dwoje...

Mrugnęła do Lily.

– Czyli wasze wieczorne sekreciki to było to? – zapytała uspokojona.

Hugo pokręcił głową.

– Nie. Byliśmy u Strafy.

– Cholera. No i?

Usiedli przed przeszkloną ścianą, po czym Hugo dokładnie streścił rozmowę, nie pomijając opisu wnętrza zameczku.

– On jest porąbany – skwitowała Jina.

– Powiedziałbym, że podtrzymuje własną reputację.

– Dyrektor potem was nie ochrzanił, czyli że Strafa się niczym nie zdradził, to już coś.

– Jak na razie – zastrzegła Lily.

– Ale nie chciał z wami gadać – podsumowała Jina.

Hugo bawił się płomieniem świecy, który przebijał się przez mrok, oświetlając mu twarz od dołu.

– Pogrywał z nami – stwierdził.

– Mimo wszystko podsunął nam pewien trop – oznajmiła Lily. – Jest otwarty na dialog.

– Pod warunkiem, że okażecie się tego godni? – wtrąciła Jina. – O ile dobrze zrozumiałam. Czy to nie świadczy o lekkim nadęciu?

Hugo o mało nie oparzył sobie palca płomieniem. Skrzywił się i odstawił świecę.



– Nieważne – stwierdził – to jest jakaś furtka, trzeba z niej skorzystać. Co miał na myśli, mówiąc, żebyśmy zadali sobie właściwe pytanie?

– Dlaczego musiał uprawiać magię? – zastanowiła się Lily. – Chciał, żebyśmy właśnie to zrozumieli.

– To debilne, nie? – zdenerwowała się Jina. – Bo chciał. Bo jako dzieciak o tym marzył?

– Bo mógł? – podsunął Hugo. – Dysponował wystarczającymi zdolnościami intelektualnymi i zręcznością. Pracował na to.

Jina rozważała dalej:

– Dla kasy, dla sławy?

Hugo wstał, by rozjaśnić umysł.

– Co popycha człowieka do wejścia na scenę?

– Zdaje się, że to ty powinieneś nam powiedzieć.

– Potrzeba bycia rozpoznawalnym. Żeby sobie udowodnić, że się potrafi. Żeby pokonać nieśmiałość. Poczuć, że się żyje. Trzymać publiczność w garści wyłącznie samą swoją obecnością. Dla skoku adrenaliny.

– Proszę bardzo – rzekła Jina – słowa, które płyną prosto z serca.

Lily zagłębiła się w sofie z nogami na stole. Przygryzała policzki.

– Wybacz, Hugo, ale to wszystko banały – oznajmiła. – Nie sądzę, żeby Strafa naprowadzał nas na ten trop dla tego rodzaju wniosków.

– A jeśli wykonywał ten zawód ze względu na tradycję? – wpadła na pomysł Jina. – Żeby pójść w ślady ojca.

Chłopak burknął w odpowiedzi:

– Przejrzałem jego biogram, tam nic takiego nie ma. Rodzina włoskich imigrantów. Gdyby tatuś zrobił karierę jako magik, ówczesna prasa by się do tego dogrzebała.

Oczy Lily rozjaśnił błysk.

– A jeśli zajął się magią, żeby przezwyciężyć jakąś ułomność?

– OK, dlaczego nie. Dokąd nas to prowadzi?

– Jeżeli chciał coś ukryć albo zrekompensować...

Własne przypuszczenie wzbudziło w Lily nagłą ekscytację. Dziewczyna podkuliła nogi i mówiła dalej:

– Wyobraźcie sobie, co mógłby robić, gdyby brakowało mu palców, powiedzmy, gdyby miał dziurawe biodro, coś w tym guście. Nikt o tym nie wie, on się zachowuje tak, jakby był normalny, ale w rzeczywistości nosi protezę, w której może chować różne przedmioty. Widzicie to?

Jina ściągnęła usta. Hugo odparł:

- Co nam daje wyobrażenie sobie tego?
- Ułomność, trudne dzieciństwo, kpiny, wyjątkowy wygląd fizyczny...
- Mówiliście, że zawsze pozostawał w cieniu, zgadza się? – zapytała Jina.
- Nie chciał się pokazywać. Może to to. Czy jest dotknięty kalectwem?

Lily pokręciła głową.

– Nie, spotkałam go dwa lata temu. Wiekowy, nadzwyczaj charyzmatyczny, ale normalny.

– A ja widziałem zdjęcia – dodał Hugo – potwierdzam.

– A od dwóch lat nic więcej? – drążyła Jina. – Jakaś choroba degeneracyjna, która zmusza go do ukrywania się?

– Co to ma wspólnego z magią?

Jina klepnęła się po udach.

– Nie mam pojęcia. I chce mi się pić. Znajdzie się tu coś na pragnienie? Jakiś alkohol?

Lily wskazała jej kciukiem kuchnię.

– Sprawdź w lodówce, została jeszcze butelka białego wina.

Hugo uniósł brwi.

– Myślałaś, że będziesz musiała mnie upić?

Lily nie miała jednak ochoty na żarty. Wróciła do tematu:

– A jeśli on nie może się pogodzić z tym, że się starzeje? – podsunęła.

– Czy odkąd pracujesz w Val Quarios, żaluzje u niego zawsze są opuszczone w dzień?

Lily przez chwilę szukała w pamięci.

– Nie umiem powiedzieć na pewno. To możliwe. Tak mi się zdaje, tak.

– Nadwrażliwość na światło! – wykrzyknęła z kuchni Jina przy akompaniamencie odgłosu wyciąganego z butelki korka. – Kto chce? Nie pozwólcie mi pić samej, nie zniosę, jak uznacie mnie za pijaczkę!

Nikt jej nie odpowiedział, każde było bowiem zatopione we własnych myślach. Kiedy wróciła do salonu z butelką i dwoma kieliszkami, rozwinięła temat:

– Słyszeliście o dzieciach księżycy? To dzieciaki dotknięte arcyzadką chorobą genetyczną, pod żadnym pozorem nie wolno ich wystawiać na słońce, ich skóra i oczy tego nie znoszą z powodu promieni UV. Lily, widziałas kiedykolwiek Strafę w plenerze, za dnia?

– Nie. Jedyne raz, kiedy się spotkaliśmy przed dzisiejszym dniem, miał miejsce wieczorem, w ośrodku.

– A na jego zdjęciach, które widziałeś? – nalegała Jina, tym razem odwracając się do Hugona.

– Zdaje się, że nie były robione za dnia, nie. Ale jaki by to miało związek z uprawianiem magii?

– Nie mam zielonego pojęcia. Nikt? – zapytała Jina, wyciągając kieliszek.

– Nie jestem przekonany, że to jakaś ułomność – wyznał Hugo. – Przeciwnie, on sprawia wrażenie, jakby stał wyżej od reszty śmiertelników.

– Czyli że jestem nadworną alkoholiczką? Trudno, biorę to na klatę – oznajmiła Jina i naląła sobie kieliszek białego wina, po czym bezzwłocznie upiła z niego łyk i postawiła butelkę na ławie.

Lily wpatrywała się w wielkie okno przed nimi – odbijające się w szybie świece tworzyły złudzenie, jakby w górach, zabarwionych na niebiesko przez noc, rozgorzały maleńkie pożary.

– A jeżeli nie miał wyboru? – powiedziała.

– Dokładnie tego szukamy – zauważył Hugo.

– Nie miał wyboru w sensie witalnym. Musiał uprawiać magię, żeby przeżyć.

– Teraz to domagam się wyjaśnienia.

Nie potrafiąc usiedzieć na miejscu, Lily ponownie zmieniła pozycję i uklękła na kanapie.

– Tak naprawdę nie mam wyjaśnienia, to tylko przeczucie. Zajął się magią, bo inaczej nie dałby rady przeżyć. Relacja oparta na dominacji z... sama nie wiem kim. OK, odpuście, to było głupie.

Hugo wrócił na miejsce obok niej. Znienacka zaczął się zastanawiać nad wszystkimi artykułami, które przeczytał na temat Strafy. Na temat jego tak spektakularnych występów, że ludzie mdleli, że eksperci, nawet uczeni, nie umieli ich naukowo wytłumaczyć. Zastanawiał się nad plotkami krążącymi o prestidigitatorze.

– Nie, zaczekaj, wcale nie aż tak bardzo... Strafa rozpoczął karierę bez rozgłosu, to był pośledni magik, a potem usilnie się starał zatrzeć wszelkie ślady po nieudanym debiucie. Następnie poszybował w górę. Niemal z dnia na dzień z artysty bez umiejętności stał się niezrównanym geniuszem.

– Chętnie bym poznała jego sekret – oświadczyła Jina po kolejnym łyku.

Hugo wycelował w nią palec.

– Faktycznie, za tym jego wzlotem kryje się jakiś sekret. Zupełnie jakby użył czarodziejskiej różdżki.

– Przecież człowiek nie zostaje wyjątkowym prestidigitatorem ot tak – sprzeciwiła się Lily.

– A jednak właśnie to przydarzyło się Strafie. A gdyby to coś miało związek z koniecznością występowania publicznie? Niedawno sam wspomniał o swoich widzach, to nie było niewinne. Porzucił ich, ponieważ przestali mu być potrzebni.

– Miał dosyć kasy? – zaryzykowała Jina.

– Nie, to nie ma związku.

W ożywionym umyśle Hugona kłębiła się pewna myśl. Dziwna myśl. Niepokojąca. Chłopak wpatrywał się kolejno w Lily i Jinę, po czym wysunął ręce przed siebie.

– Jesteście gotowe? To porąbane, ostrzegam.

– Już mi się to nie podoba – stwierdziła Jina, przytykając do warg kieliszek.

– A gdyby Strafa zaprzedał duszę diabłu?

## 34.

– O cholera – wyrwało się zawiedzionej Jinie.

Lily wytrzymała spojrzenie Hugona, czekając na ciąg dalszy.

– Gdyby w zamian za niewiarygodne moce – rozwinął swą myśl – Strafa oddał duszę diabłu, a potem zrobił wszystko, żeby ją odzyskać?

– To znaczy? – zapytała Lily. – Jak to?

– Nie mam pojęcia, jakiś rodzaj... rytuału z publicznością. Na każdym seansie wyciąga część jej energii witalnej. Pamiętam, że czytałem wiele wypowiedzi widzów, którzy utrzymywali, że po przedstawieniach czują się wyczerpani, wysrani.

– Daleko się zapędzasz – zauważyła Jina.

– Nie widziałas, jak ma urządzony dom. Alegoria na tapiserii w jego salonie jest oczywista: człowiek świętuje na bankiecie obfitości, ale uwaga na cenę, jaką przyjdzie mu potem zapłacić. A poza tym te jego ezoteryczne książki w biblioteczce...

Lily była najwyraźniej sceptycznie nastawiona, ale udawała, że bierze jego słowa na poważnie. Aż podskoczyła.

– Chyba mu się to udało, skoro tak szybko przeszedł na emeryturę.

– I nie bierze odpowiedzialności za to, co wyrządził tym wszystkim ludziom – dodał Hugo. – Kiedy byłem nastolatkiem, sporo czytałem o okultyzmie, przypominam sobie samą zasadę energii witalnej, która ożywia każdą żywą istotę. Im bardziej odczuwasz emocje, życie, tym bardziej ona w tobie promienieje. Istoty ludzkie stoją najwyżej w królestwie zwierząt w tej materii, ona nas niesie, sprzyja nam.

Lily przyjęła rolę adwokata diabła:

– Dlaczego Strafa miałyby oddać duszę, a potem chcieć ją odzyskać? Jaki w tym wszystkim sens?

– On jest magikiem...

– Prestidigitatorem – sprostowała Lily.

– OK, jest tandetnym prestidigitatorem, któremu marzy się sława, i pewnego dnia trafia mu się sposób, żeby stać się najbardziej fenomenalnym magikiem. Dzięki jakiejś starej książce, „spotkaniu”, nieważne, jest gotów oddać wszystko. I na to właśnie się decyduje. A wtedy staje się tym Strafą, którego zna cały świat. Ale w miarę jak jego renoma rośnie, dociera do niego, co zrobił. I cena, jaką będzie musiał zapłacić. Od tej pory ma tylko jeden cel: naprawić swój błąd. Wykupić duszę. W taki czy inny sposób.

Jina dołała sobie wina.

– Hola, wyłączyłeś się po „zaprzedeniu duszy” – powiedziała.

Wyłączyłem się, kiedy skończyłaś swój kieliszek, zgadza się. Lily zachęciła go gestem ręki, by mówić dalej.

– Podczas wszystkich występów, tournée po świecie Strafa spił energię witalną maksymalnej części widzów, żeby spłacić swój diaboliczny dług. W konsekwencji niektóre osoby, pozbawione zbyt dużej jej ilości... Jak tam pisali w tych książkach? Jak byłem nastolatkiem, czytałem na ten temat... Ach tak! Przygasły. Pech, nieszczęście. W najgorszych przypadkach straciły chęć do życia. Podły los i samobójstwa. Oto co ma na sumieniu Strafa. To dlatego po zerwaniu paktu zaszył się tutaj.

– Na czym opierasz swoje spostrzeżenia? – zapytała Jina.

– Na... Niczym. To tylko hipoteza.

– Która zakłada, że diabeł istnieje! Jeżeli tak rzeczywiście jest, natychmiast was opuszczę, żeby wstąpić do zakonu... Chyba zdajesz sobie sprawę, że to mocno naciągane, nie?

Hugo skrzyżował ręce na piersi. Uważał, że to szalone, niemożliwe. A jednak strasznie nęcące. Wszystko stawało się jasne. Lily znów przygryzała policzki.

– A ty? Co ty na to? – odezwał się.

Miała ponurą minę. Świdrowała go wzrokiem.

– A gdybyś poszedł dalej?

– Jak to?

– Jeśli on nie przeszedł na emeryturę? Jeśli po prostu znalazł sposób, żeby kontynuować swoje dzieło, tylko bardziej... dyskretnie?

– Mów jaśniej.

Lily wskazała domek szwajcarski i cały ośrodek.

– A gdyby całe to miejsce było katalizatorem dla jego obrzędu? Każdej zimy przyciąga tłumy ciekawskich, wysysa część ich energii witalnej

i nadal spłaca dług. To by tłumaczyło zaginięcia, samobójstwa...

– „Val Quarios jest jak... przekłete” – przypomniał sobie Hugo.

Jina przyglądała im się przybita.

– Wy tak na poważnie? Sami wierzycie w to, co mówicie?

Hugo otworzył usta, by odpowiedzieć, ale zastygł. Sam nie wiedział, co naprawdę myśli. Wszystko to rodziło się w jego głowie spontanicznie i mimo że wydawało się kompletnie irracjonalne, miało sens.

– Nie wierzysz w Boga? – zapytał.

– Bo ja wiem? Nie bardziej niż w szansę na wygraną w totka, chociaż przyznaję: od czasu do czasu gram.

– W takim razie dlaczego nie w diabła?

– Bo... No bez jaj! Zastanówcie się! Gdyby istniały diabły, anioły i cała reszta tych idiotyzmów, wszyscy by o tym wiedzieli. Od czasu...

– Otóż historia jest pełna legend, o których nie wiadomo, czy są fałszywe, opowieści opartych na faktach, wierzeń.

– Nigdy nie było dowodów! A poza tym pogubiłam się: jeszcze dziesięć dni temu robiliśmy w gacie ze strachu, że po Val Quarios może grasować morderca, jednocześnie uznaliśmy, że to za grubo, żeby w to uwierzyć, a dzisiaj wieczorem wręcz rozmawiamy o diable, tylko tym razem to staje się prawdopodobne!

Hugo nie miał ochoty jej przekonywać, sam bowiem nie do końca w to wierzył, gorzej, był świadomy, że gdyby się na spokojnie zastanowił, doszedłby do wniosku, że zgłupiał, skoro wygaduje takie brednie. Lily się nie odzywała.

– A ty co o tym myślisz? – zapytał.

Zrobiła bardzo głęboki wdech.

– Ten punkt widzenia jest równie przerażający co urzekający.

– Wierzysz w to? – Jina o mało się nie zachłysnęła.

Lily się skrzywiła.

– Nie mam pojęcia. Nie. Chyba nie. Ale jeżeli to nie to, w takim razie co nam pozostaje?

– Zdrowie psychiczne – wykrzyknęła Jina, po czym wychyliła duszkiem zawartość kieliszka.

– Nie – sprostował Hugo. – Dusza.

## 35.

Wprawdzie świeca o zapachu lilii nie czyniła cudów, za to w okresie, gdy Hugo całymi dniami naprawiał cuchnące buty w warsztacie, przynosiła duchową pociechę. W kółko roztrząsał temat Strafy. Nie był w stanie myśleć o niczym innym. Strafa i magia. Strafa i Val Quarios. Strafa i diabeł.

Strafa i ja.

Dlaczego wbił mu w oczy pinezki? Jemu i wyłącznie jemu. Nie Ludovicowi, nie Jinie, nie Merlinowi, nie, tylko jemu, w sam środek, żeby przedziurawiły źrenice.

Żeby przeniknęły aż do duszy.

Czyżby miał jakieś porachunki z Hugonem? Tak naprawdę to było bez sensu, przecież nigdy wcześniej się nie spotkali, Hugo zaś nie wyobrażał sobie, żeby zdążył zaszkodzić jakiemuś starszemu gościowi przyczajonemu w górach, zanim jeszcze się tam pojawił. A poza tym to nie Strafa go tu sprowadził – on sam znalazł sobie tę robotę. Chociaż właściwie to nie była w stu procentach prawda, przypomniał sobie na koniec. Przeczytał o niej na forum internetowym, jakiś ukrywający się pod nickiem nieznajomy naprowadził go na ogłoszenie, po tym jak Hugo się zwierzył, że chwilowo poluje na jakieś zajęcie. A jeśli Strafa od dawna go namierzał, kryjąc się za tą ksywką? Aby chłopak uwierzył, że sam o sobie decyduje, chociaż tamten nim manipulował. To by oznaczało, że chcieli tylko i wyłącznie jego kandydatury. Gorzej: co najmniej DePrigent i prawdopodobnie Adele też byli w zмовie – wspólnicy tajemniczego pustelnika. To już było dużo. Cała ta historia uderzała mu do głowy.

Wieczorem w łóżku rozmyślał o basenie. Od „incydentu” więcej tam nie wrócił. Z czasem nabierał przekonania, że to mu się tylko przywidziało. Przecież musiało mu się przywidzieć! Ponieważ nie istniało żadne inne wyjaśnienie. Zmęczenie, przepracowanie, syndrom podepresyjny, choroba wysokościowa – wszystko to mogło racjonalnie wytłumaczyć to przykre doświadczenie. Wrażenie, że coś znajdowało się razem z nim w basenie,



z każdym dniem słabło. Za bardzo przypominało to, co sobie wyobraził w podziemiach Tetryka, żeby nie istniał bezpośredni związek, a przecież parkingowy pajak był szaleństwem, perfidnym figlem, jaki płała mu fantazja, gdy nie potrafił jej powściągnąć.

Nie zwariowałem, po prostu jestem wyczerpany psychicznie. Mimo to bezustannie powracał myślami do Luciena Strafy. Tak jakby on stanowił lekarstwo. Tak jakby zrozumienie, kim naprawdę jest ten człowiek, skąd się wzięły jego tajemnice, mogło uzdrowić Hugona, uwolnić go od lęków, od własnych bolączek.

Nie było w tym nic dziwnego: nazajutrz rano wysunięta wspólnie z Lily hipoteza na temat kolekcjonera energii witalnej wydała mu się wyraźnie mniej wiarygodna. Co ich napadło, żeby snuć równie fantastyczne przypuszczenia? Uwierzyć w diabła! Tylko tyle! A jednak krążyła mu po głowie, na granicy wiarygodności, gotowa w kółko powracać, gdy chociaż odrobinę uśpi kartezyjską czujność. Jeśli to nieprawdopodobne, ale sam Strafa w to wierzy? Wypadki, zaginięcia i samobójstwa w Val Quarios to jedynie zbiegi okoliczności...

Nawet teraz, przebywając w ciepłym i własnym otoczeniu, a nie na posępnym terytorium magika, kiedy Hugo rozmyślał o Strafie, nie potrafił się pozbyć pewnego uczucia zawodu. Sam nie wiedział, czego się spodziewał, ich spotkanie jednak nie przebiegło aż tak gładko, jak na to liczył. Strafa wywarł na nim silne wrażenie, nie mógł temu zaprzeczyć, ale w gruncie rzeczy okazał się tylko starcem, który się chowa w ciemnościach. A niby do czego miałyby być podobny? Do ryczącego wampira z rozpostartymi na plecach skrzydłami nietoperza? Głos mi drżał, chociaż nie stałem z nim twarzą w twarz, nie widziałem jego charyzmy, magnetyzmu, nawet oczu!

Gdy nazajutrz po ich rozmowie natknął się na korytarzu na Jinę, zapytała go, co chce zrobić, a on nie wiedział, co odpowiedzieć. Z pewnością nie zamierzał polać zameczku Strafy wodą święconą, a teraz, kiedy ta diaboliczna przesłanka stawała się coraz mniej przekonująca, był zbity z tropu. Nic. Oto co mu pozostało. Przypuszczenia, zagadki, domniemania... Nic konkretnego. Był zagubiony. Hugo miał świadomość, że nie wyszpera więcej odpowiedzi w internecie – już próbował. Strafa ich wyrolował.

Albo zaprzedał duszę diabłu i staje na głowie, żeby ją odzyskać, albo... pogrywa ze mną, tak jak manipulował publicznością, dlatego nie ma nic do

znalezienia – co najwyżej jest to jakaś kretyńska kuglarska sztuczka.

Do takich właśnie doszedł wniosków, czyli mniej więcej żadnych. Tęsknił za Lily, szczególnie wieczorami, kiedy zasypiał. Pragnął poczuć jej gorące ciało przy swoim, pozwolić się ukołysać jej spokojnemu oddechowi, dotknąć w nocy jej ramienia albo nogi, a przede wszystkim ją przytulić...

Najwyraźniej nie przestał tęsknić w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, toteż mijali się w jadalni albo na korytarzu, ale jak tylko próbował ją zaprosić, wymigiwała się. Puszczala do niego oko, posyłała mu słodki uśmiech albo wyzywające spojrzenie, w którym Hugo czytał obietnicę zbliżających się płomiennych igraszek, i to go uspokajało. Obietnica z definicji zapowiadała jakąś przyszłość. A zatem związek.

Hugona zaskoczyło, jak szybko jego serce ponownie się otwierało. Wręcz za mocno. Za szybko. Będzie cierpiał, jeśli ona go zostawi. Rzucasz się na oślep, z prędkością walących się na łeb kłopotów. Tylko że były te spojrzenia. Ta niewypowiedziana obietnica. Hugo chciał jeszcze jednej nocy. Nie wyłącznie po to, żeby się z nią kochać, chociaż pomysł był niesamowicie kuszący, ale ze względu na to, co wydarzyłoby się wraz z seksem, obok niego, potem. Rozmowy, jej zapach, widok, uczenie się jej. Poza wyglądem fizycznym, który już uwielbiał, oczarowała go jej osobowość. Jej szczerość, pewność siebie, mimika, nigdy nie dziecinna, za to jakże świeża.

Cholera, tylko się nie zakochaj! Nie w jedną noc! Widywał się z nią prawie od miesiąca. I gdyby miał być szczery, gdyby miał się zakochać w Lily, musiałby przyznać sam przed sobą, że stało się to, jak tylko postawił stopę na peronie. Jeszcze do tego nie doszedłeś. To nic pewnego. Uporczywie sobie wmawiał, że chwilowo tęskni za jej ciepłem.

Był jednak gotów na wszystko, żeby ją zdobyć, dlatego przez cały piątek, ponieważ z powodu braku tropu nie mógł dalej drążyć tematu Strafy, obmyślał plan – miał oko na kolegów, chociaż zdawał sobie sprawę, że to niewiele. Zaraz po skończeniu pracy przeszedł przez sabaudzką restaurację i upewnił się, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Pierwszy plus. Wieczorem się postarał, żeby Lily znalazła w kantynie, pod talerzem, kopertę. Do środka włożył zaproszenie na niedzielny wieczór, w wolny dzień, przy czym dokładne miejsce miał podać we właściwym czasie. Hugo cieszył się ze swojego fortelu. Będzie go to kosztowało sporo zachodu, ale pomysł spędzenia wieczoru z Lily bardzo przypadł mu do gustu.

W sobotę stary Max wysłał go do JC, który potrzebował pomocy u stóp urwisk pod ośrodkiem. Atletyczny czterdziestolatek zabrał się do oczyszczania pobocza drogi i chciał zyskać na czasie.

– Chcę wyrąbać wszystko, co namierzyłem na pierwszych pięciuset metrach. Zejdź na dół i oznacz mi sprayem każde drzewo, które może sprawiać kłopoty na odcinku dwóch kilometrów, jedna plama na pniu i jedna linia na szosie, żebyśmy ich nie przeoczyli.

Hugo żonglował pojemnikiem pomarańczowej farby.

– Pieczęć śmierci – powiedział.

Humor mu dopisywał, co w tych okolicznościach zaskakiwało. Efekt Lily.

– Jak skończysz, wrócisz i zaczniesz ładować na przyczepę traktora gałęzie, które ja za sobą zostawię.

– Tak jest!

Hugo sprawdził, czy ma pełną manierkę – nie był nowicjuszem i wiedział, że powrotna wspinaczka będzie ciężka – po czym energicznym krokiem ruszył asfaltem z tyłów Dużego B. Schodzenie było przyjemne, wejście na górę będzie znacznie bardziej wyczerpujące, zauważył, ale się tym nie przejął, uskrzydlała go ekscytacja na myśl o niedzieli.

JC oznaczył bardzo wiele drzew iglastych odblaskowym krzyżykiem, głównie chore pnie albo te, które przez zimę przechyliły się w złą stronę. Zanim Hugo przyjął tę robotę, nigdy nie przyszłoby mu do głowy, jak wiele czynności należy wykonać, żeby utrzymać ośrodek narciarski. Nie licząc ogromu pracy przy jego działalności w pełni sezonu, kiedy pękał w szwach od turystów. Zapanowanie nad ludźmi musiało być najgorsze, nieprzewidywalne. Wszystkie te rodziny, pary, bandy młodzieży...

Całe to życie. Wszystkie te dusze. Nieodwołalnie nasuwało mu się to samo stwierdzenie. Te stłoczone dusze, na łasce pierwszego lepszego ich kolekcjonera, w jakiejś głuszy...

– To nie ma sensu – skarcił się głośno Hugo. – Diabeł nie istnieje.

W takim razie Bóg też nie. A skoro ani diabeł, ani Bóg, to dusza również nie. Religia to nie bufet, z którego można się częstować tym, co się chce, a resztę odrzucić. Pojęcie duszy zrodziło się z wiary w świat duchowy połączony z życiem wiecznym, w sąd boski, w raj i w piekło. Jedno nie funkcjonuje bez drugiego. Lecz jeśli siły te nie stanowią wymysłu człowieka, wobec tego Strafa mógł być jednym z tych kolekcjonerów dusz. Żeby spłacić dług. W dodatku czas naglił, aby zdążyć przed zbliżającą się niechybnie śmiercią... Czyżby Strafa czuł nieuchronność ostatecznej

zapłaty? Musiał się panicznie bać. Ile energii witalnej potrzeba, żeby zapłacić diabłu za duszę? W jaki sposób to się mierzy?

– Co za idiotyzmy – zaklął Hugo.

Sam nie wiedział, co myśleć. Po prawej stronie ukazała się wąska szosa, częściowo zasłonięta przez listowie, które wokół tworzyło tunel. Droga do zameczku.

– W porządku, już to przerabiałem.

Przechodząc obok, Hugo zmusił się, by przyspieszyć. Nie miał ochoty ponownie zobaczyć Strafy. Wyciszył się. Po kolejnych kilku minutach spostrzegł uginającą się jodłę, która groziła zatarasowaniem przejścia. Nie było na niej żadnego znaku. Hugo okraczył pagórek, utworzony z kamieni pozostałych po roztopach, i przydeptał krzaki, aby się dostać do kandydatki do poczęstowania piłą. Namalował na korze sprayem uśmiechniętą buźkę i poklepał przyjaźnie drzewo.

– Przykro mi, kochana, ale możesz spowodować zagrożenie.

Przez godzinkę Hugo tropił pechowych wybrańców, rozmyślając nad okrutną dominacją człowieka w przyrodzie, który jednym gestem wyrokuje o tym, że żywa roślinna istota rosnąca przez dziesięć, dwadzieścia albo i trzydzieści lat musi zginąć, bo tak mu pasuje. Złościło go, że jest jego zbrojnym ramieniem. Jak powiem to DePrigentowi, od razu mnie wyleje... Więc panie wybaczą, ale albo wy, albo ja.

Hugo sam dobrze nie wiedział, czy oddalił się od ośrodka przynajmniej o dwa kilometry. Przebywał na powietrzu od trzech godzin i planował zawrócić, gdy wtem trzysta metrów od drogi ujrzał zatopiony w krajobrazie dach. Małe gospodarstwo: dwa domy i stodoła. Z jednego z kominów unosił się dym, przekreślając hipotezę o ruinie. Nie miałem pojęcia, że tak blisko nas ktoś jest.

Nie znajdował się już w Val Quarios, nic więc dziwnego, że nikt wcześniej nie uznał, że należy mu o tym wspomnieć. Poza tym gdy patrzyło się z góry, nawet od strony domków szwajcarskich, osada chowała się za rzędem stromych stoków. Jednakże dla Hugona, któremu się wydawało, że w ośrodku jest całkowicie odcięty od cywilizacji, od świata, było to niespodziewane odkrycie. Cywilizacja to dużo powiedziane, nawet nie jestem pewien, czy mają prąd.

Hugo przypomniał sobie o gospodarzu, o którym napomknęła Lily, a który zaopatruje ich co tydzień w mleko i mięso. Już miał odejść, gdy sobie uprzytomnił, że może uda mu się wykorzystać to do jutrzejszej

niespodzianki. Podążył niżej i znalazł dostęp, porośniętą falującą trawą ubitą ścieżkę – niekoniecznie widoczną, jeśli ktoś szybko przejeżdżał samochodem. Kiedy zabawiał się w wędrowca, woń lasu przyjemnie łechtła mu nozdrza.

Na zakręcie znalazł się wprost nad farmą. W pobliżu nie było żadnego pastwiska ani obory. Nie, to nie wyglądało na własność tamtego gospodarza, toteż Hugo przystanął. Nie dostanie tu owczego sera ani dojrzewającej szynki. To zwykła góralska chata.

Faktycznie, przy silniku starego citroena uwijał się jakiś mężczyzna. Co Hugo zdoła powiedzieć, jeśli tamten wyjdzie mu na spotkanie? Pokręcił głową. Nie miał tu czego szukać, na dodatek czekała na niego robota. Mężczyzna wyprostował się, by ponarzekać i wytrzeć ścierką powalane smarem dłonie. Miał szerokie bary, ale nieco przygarbione plecy. Rzadkie siwe włosy. Twarz ogorzałą przez dziesięciolecia. Co najmniej sześćdziesiąt lat, ocenił Hugo. Mężczyzna go nie zauważył, chłopak jeszcze mógł się oddalić, nie musząc się tłumaczyć.

– Cholerny grat! – wykrzyknął mężczyzna. – Jak tak dalej pójdzie, zepchnę cię do przepaści!

Na dźwięk tego głosu Hugona z miejsca zmroziło. Od razu go rozpoznał.

## 36.

Jina, u której właśnie zaczynała się migrena, masowała sobie skronie opuszkami palców.

– Jesteś pewien? – dopytywała.

– Nie mam cienia wątpliwości – odparł Hugo.

Westchnęła zbita z tropu.

– Nie wiem, co powiedzieć. Uprzedziłeś Lily?

Znajdowali się w sali gimnastycznej na statku matce. Po epizodzie z osadą Hugo czym prędzej wspiął się na górę, żeby bez słowa odwalić pańszczyznę z JC i nie budzić podejrzeń. Pod wieczór, nareszcie wolny, pognął do ośrodka w poszukiwaniu przyjaciółek, a gdy tylko ujrzał Jinę, od razu ją tutaj zwabił.

– Nie, nie udało mi się z nią porozmawiać, Armand mówi, że razem z Exhellem pojechała do doliny po jakiś tam sprzęt informatyczny i późno wróci.

– Myślałeś, żeby się udać do dyrekcji i zapytać, co oni na to?

– Zwariowałaś? Jak zobaczą, że ja wiem...

Jina podniosła do góry rękę.

– Co ty sobie wyobrażasz? Że cię zabiją? Hugo, bądź poważny, zejź na ziemię. Nie ma żadnego spisku, musi istnieć jakieś wyjaśnienie.

– Czuję to. Dlaczego mi nie wierzysz? Pierwszego wieczoru sama wspomniałaś, że tutaj, wśród nas, może być morderca!

– Nie, to ty użyłeś w rozmowie tego słowa, a poza tym to, co się mówi w nerwach, niekoniecznie okazuje się prawdą na drugi dzień. Przypominam ci, że dwa dni temu uznaliście, że Strafa i diabeł są tutaj, w Val Quarios!

Czując, że właśnie go przyszpiliła, Jina dodała:

– Dobra, przyznaję, że nie wszystko jest jasne, ja też mam wątpliwości, ale żeby od razu oskarżać kogoś konkretnego...

– Oni z nas kpią.

– Jacy znowu „oni”?

– Nie wiem, ale Strafa nie jest sam w tej sprawie. W wieczór filmowy widziałem kogoś w ostatnim domku szwajcarskim, jakiś cień, i to nie mógł być członek załogi, bo wszyscy przebywali jeszcze w jadalni. Lily zapewnia, że Strafa w zameczku nikogo nie zatrudnia, więc to musiał być on albo... ten człowiek, którego widziałem w południe. On ma z tym wszystkim związek.

– Poszedłeś sprawdzić?

– W domku? Nie.

Hugo był na siebie zły, że nawet o tym nie pomyślał. Przypuszczał jednak, że domek byłby pusty, zwłaszcza tydzień później, ale i tak nie miał nic do stracenia. Jina zacisnęła zęby.

– Muszę połknąć tabletkę paracetamolu. Co zrobisz?

– Nie wiem, ale koniec z bezczynnością. Nie będę dłużej biernie się przyglądać. Chcę przyłapać DePrigenta.

– A jeżeli on nie ma z tym nic wspólnego?

– On coś przed nami ukrywa, na bank.

– Nie świruj, przynajmniej najpierw pogadaj z Lily, zgoda?

Ponieważ milczał, Jina ponagliła:

– Przyrzekasz?

Hugo nieśmiało przytaknął ruchem głowy.

– I błagam, jeżeli wieczorem odzyskasz Lily, nie wciskaj mi na kark Exhella, ten facet jest nieznośny, przyczepił się jak rzep do psiego ogona, już dłużej nie mogę!

Nagle zapadła noc, Hugo zjadł kolację w swoim apartamencie, nie chciał się z nikim widzieć, lecz kiedy nieco później wpadł do kantyny, była pusta, co w sobotni wieczór go zaskoczyło. Przed jedynym wspólnym dniem wolnym grupa lubiła się spotkać i korzystać z wieczoru, na ogół do późna. Czyżby wydarzyła się jakaś tragedia, czy też DePrigent zarządził godzinę policyjną? Czyżby Strafa doniósł mu o nieproszonej wizycie?

Włócząc się po statku matce, Hugo usłyszał głosy i wybuchy śmiechu. Dobiegały z akwarium. Fałszywy alarm. Tak czy inaczej, w napadzie paranoi Hugo ubzdurał sobie, że z niego kpią, że to tylko nagranie, aby stworzyć złudzenie, że tam są, chociaż w rzeczywistości wszyscy znajdują się gdzie indziej i szykują kolejny dowcip. Przeciął półpiętro, przy czym jego kroki stłumił pstry dywan, podszedł do wejścia do akwarium

i dyskretnie zajrzał. Żadne tam nagranie, tylko siedzący na kanapie plecami do niego Tic i Tac, razem z Merlinem, Maxem...

Hugo się cofnął. Musiał ochłonać. Przede wszystkim powinien się rozmówić z Lily.

A zatem ją usłyszeć. Mam czas. Jeżeli zjechali na dół, to zanim zrobią zakupy i wrócą... Skoro połowa załogi śpi, a druga zebrała się w akwarium, mógł swobodnie trochę się rozejrzeć. Tak, teraz albo nigdy, nakazał sobie.

Wymknął się przez boczne drzwi i popędził do podziemi statku matki, aby zabrać z pasa wiszącego w magazynie ze sprzętem latarkę, następnie ruszył w ciemnościach wzdłuż domków szwajcarskich. Jina miała rację, należało zacząć od tego – co z niego za kretyn, że sam na to nie wpadł.

Szósty domek był pogrążony w mroku. Upewniwszy się, że w zasięgu wzroku nikogo nie ma, Hugo pchnął drzwi. Po sezonie wewnątrz panował zaduch. Hugo zapalił latarkę i wycelował w podłogę – dawała wystarczające światło. Wszystko tutaj wyglądało identycznie jak w domku, w którym kochał się z Lily. Okrągły stół, ażurowe schody, aneks kuchenny z szerokim blatem roboczym, olbrzymie okno na spowitą mrokiem dolinę... Na wspomnienie dotyku skóry dziewczyny Hugona przeszedł dreszcz.

Zupełnie nic nie świadczyło o tym, by ktoś tu ostatnio przebywał. Ani śladów na podłodze, ani pozostawionych ubrań, ani tajemnego świstka papieru wciśniętego w szparę w boazerii... absolutnie nic. Dla świętego spokoju Hugo wspiął się na piętro, lecz doznał podobnego zawodu. Cokolwiek mógł tu robić ten ktoś, kogo on tu zobaczył, zdążył się ulotnić. Rozczarowany chłopak postanowił wrócić do serca ośrodka i czatować na powrót Lily.

Po drodze poszukał jakiegoś punktu obserwacyjnego. Najbardziej logiczne byłoby udanie się na koniec Tetryka albo Dużego B i wypatrywanie reflektorów jeepa pokonującego zbocze, ale to nie wchodziło w rachubę. Z powodu bujnej wyobraźni Hugonowi nie uśmiechało się spędzenie samotnego wieczoru w jednym z tych niskich, długich budynków. Na basenie też nie. Zdecydował się na bar, w którym Jina grała w bilard. Nie włączył światła, sprawdził, czy w lodówce zostało jakieś piwo z tych, który które przyniosły, po czym wyjął desperadosa i sączył powoli, siedząc na stołku przy oknie. Około północy, kiedy był przy trzeciej butelce i zastanawiał się, czy ich nie przeoczył, z Dużego B wyłonili się Lily z Exhellem. Hugo pognał ku nim. Złapał Lily, zanim zdążyła wejść do budynku D. A więc tutaj mieszka. Co do Exhella, już zniknął.



- Hugo? Co ty tu robisz o tej porze?
- Musimy pogadać.
- To naprawdę pilne? Bo zaraz padnę ze zmęczenia.
- To dotyczy Alice.

Wyprostowała się, nagle czujna.

- No więc co?
- Moim zdaniem DePrigent zrobił nas w wała.
- Jak to?
- Wątpię nawet, że w ogóle z nią rozmawiał przez telefon. To wszystko ściema.

Lily zaczynała się niepokoić.

- Mów jaśniej.
- Pamiętasz taksówkarza, którego słyszeliśmy przez telefon? Tego, który rzekomo zabrał Alice we wtorek, kiedy wyjechała? To pic. Facet jest takim taksówkarzem jak ty albo ja i mieszka tuż pod ośrodkiem.
- Ale co ty opowiadasz?
- Słyszałem go dziś w południe, to był on, jego głos, nie mam żadnych wątpliwości. Przysięgłbym na własne życie, że to był on.
- Ale to niemoż...
- Że DePrigent nas okłamał? A niby dlaczego nie? Nie wydaje ci się dziwne, że Alice zmyła się w pośpiechu, bez słowa?
- Owszem, ale ona była w dołku.
- A jeżeli to coś innego? Coś poważnego. Masz numer jej komórki?
- Eee, nie, tutaj bez przerwy się widywaliśmy, nie było potrzeby...
- Zdaję sobie sprawę, że kwestionowanie wszystkiego z powodu jednego głosu to grubo, ale proszę cię, uwierz mi.
- Hugo, Philippe DePrigent ma co najmniej sześćdziesiąt pięć lat, jest delikatny jak źdźbło trawy, ślepy jak kret, nie wyobrażam sobie ani przez chwilę, żeby zaatakował taką dziewczynę jak Alice.
- Może nie sam, nie bezpośrednio, w każdym razie on coś wie albo kogoś kryje.

Lily nie potrafiła przełknąć podobnej hipotezy, wobec tego Hugo wyciągnął kolejny argument:

- Skoro tak, to nie ma o niczym pojęcia i sam dał się wykołować, a ja planuję to ujawnić.
- Teraz napędziłeś mi cykora. O czym myślisz?

W drzwiach do statku matki rozległy się gromkie śmiechy Tica i Taca, Hugo odciągnął więc Lily w ciemność.

– Zaprosisz mnie na noc? – zapytał. – Chciałbym ci wszystko dokładnie wytłumaczyć.

Lily potarła policzki i powieki.

– Nie gniewaj się, ale nie jestem w nastroju.

– Bez seksu, obiecuję.

– W takim razie nie ma po co.

Ta kąśliwa uwaga zraniła Hugona, chociaż doskonale wyczuwał, że to żart. Pomimo wyczerpania Lily starała się okazać mu serdeczność.

– Nie wierzysz mi, prawda? – odgadł.

– Wierzę, ale... na pewno można to wyjaśnić w mniej...

– A jeżeli mam rację?

Lily otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale się nie odezwała. Rozglądała się wokół, szukając właściwych słów, aż w końcu westchnęła pokonana.

– Jestem wykończona, przepraszam. Nie wolisz się przespać na górze, a potem rozgryźć to wszystko w świetle dnia?

Wyraźnie widział, że ma wątpliwości i w głębi duszy liczy na to, że gdy tylko minie noc, sprawa przestanie być taka paląca. Że on poczuje się lepiej. Jesteś w błędzie, wiem, że się nie mylę. Miała zaczerwienione i podkrążone oczy. Hugo pokiwał głową, pojmując, że nie powinien nalegać. Musnął wargami kącik jej ust.

– No to do jutra. Będiesz mi potrzebna.

Zgodziła się.

– Nie gniewaj się, Hugo. Po prostu umieram ze zmęczenia.

## 37.

Tej niedzieli Hugo późno się obudził, chociaż wolałby się nie obudzić wcale.

Zrobił sobie dwie grzanki z chleba tostowego i wypił duszkiem kawę, po czym wskoczył pod prysznic i się ubrał. Nie było żadnych wieści od Lily, a on nadal nijak nie mógł się z nią skontaktować. A jednak epoka telefonów komórkowych miała swoje plusy.

Kiedy zszedł zajrzeć do kantyny, dotarło do niego, że coś się stało. W kącie płakała skulona Jina. Exhell stał z czołem opartym o szybę okienną. Armand i Paulo obejmowali się, jeden z twarzą wtuloną w zagłębienie szyi drugiego. Nawet Merlin nie zdołał ukryć oszołomienia.

Hugo zapytał, co się wydarzyło, lecz nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy byli jak nieprzytomni. Wtedy pojął. Puścił się biegiem po korytarzach, nawołując ją. Rzucił się na każde drzwi, wykrzykując jej imię. Powinno się zrobić zbiegowisko, powinny istnieć jakieś wskazówki, gdzie do tego doszło, Hugo jednak nie był w stanie na chłodno przeanalizować sytuacji, krążył więc kolejno po wszystkich korytarzach budynku C, piętro po piętrze, obawiając się wkroczyć do budynku D. Zachwiał się, kiedy zobaczył ich przed otwartym apartamentem. Adele podniosła dłoń, aby go zatrzymać, ale Hugo ją odepchnął. Chciał się przekonać na własne oczy. Tylko wówczas uwierzy. To było nie do pomyślenia. To było niemożliwe.  
Kot

Każdy krok w kierunku pokoju przybliżał Hugona odrobinę do tego, co za chwilę miało go kompletnie rozbić. Każde uderzenie serca było ostatnie w swojej beztrosce, zanim czekający widok miał go przygwoździć na resztę życia.

W progu stał poblady JC, podtrzymując Ludovica, który próbował odzyskać oddech. Stary Max usiadł w kącie przedpokoju, skrzyżował ramiona i płakał nad tym, czego już nigdy nie uda mu się zapomnieć.

Hugo wszedł do środka i nadzieją się na niewzruszonego DePrigenta. Dyrektor przecząco pokręcił głową, ale to nie przeszkodziło chłopakowi przedrzeć się do sypialni.

Lily spoczywała na materacu z rozłożonymi ramionami. Równie piękna po śmierci jak za życia.

Z wyjątkiem oczu. Pustych.

Jej wydrążone i purpurowe oczodoły płakały krwawymi łzami.

A jej gałki oczne tkwiły na ścianie nad łóżkiem.

Dwa gwoździe lśniły wbite w szklistą galarete.

## 38.

Hugo ochlapował się wodą. O mało się w niej nie utopił.

Najzimniejszą, jak się dało. Dopóki nie wymazał z pamięci tej potwornej wizji Lily. Żeby rozproszyć koszmar. Wszystko wydało mu się tak bardzo prawdziwe.

Gdy późnym rankiem zastał dziewczynę w kantynie, zapragnął ją uściskać, długo wdychać jej zapach, lecz ogromnym wysiłkiem się pohamował. Był tak szczęśliwy, widząc ją żywą, że delectował się każdym jej gestem. To było takie prawdziwe, do licha!

Lily poprosiła, by zachowywał się wobec niej jak gdyby nigdy nic. Nie życzyła sobie żadnych plotek, żadnych docinków, szczególnie pochodzących od Tica i Taca – usłyszawszy te przezwiska z ust Hugona, sama zaczęła ich używać – i chwilowo wołała przeżywać ich romans w samotności, czekając na dalszy rozwój wypadków. Hugonowi to odpowiadało, bo sam również nie dojrzał do ordynarnych przytyków ze strony bandy.

Lily musiała dostrzec jego przygnębienie, ponieważ jak tylko ostatni członek załogi opuścił jadalnię, przysunęła się i przytuliła do niego.

– Przepraszam za wczorajszy wieczór – powiedziała.

– Nie musisz przeproszać.

Nie musiał niczego tłumaczyć, żeby dostrzegła jego determinację, równie silną jak poprzedniego dnia. Zapytała więc:

– Zdradzisz mi swój plan? Czy mam jakąś rolę do odegrania? Ale uprzedzam: to, że śpimy ze sobą, wcale nie oznacza, że można mnie wykorzystywać, że będę przyklaskiwać wszystkim twoim zachciankom.

Hugo miał ochotę jej przypomnieć, że spali ze sobą tylko jedną noc, a potem ciągle się mijali, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał, zdając sobie sprawę, że to dziecinne.

– To łatwe: chciałbym, żebyś podała się za Alice.

– Ja? Ale... Nie ma szans! W ogóle nie jestem do niej podobna!

– Twój głos. Przez telefon.

– Słyszałeś? Chciałbyś, żeby Bonnie Tyler wzięto za Sinead O'Connor?

Powodzenia.

– Gdybyś mówiła powoli i była bardzo ostrożna, może się udać, zwłaszcza przy niewprawnym uchu.

Lily ściągnęła usta, niezbyt przekonana.

– Wyjaśnij.

– Nie mogę wparować do człowieka, który mieszka na gospodarstwie pod Val Quarios i domagać się od niego prawdy.

– Zgadzasz się z tobą.

– Za to DePrigent twierdzi, że rozmawiał z Alice przez telefon w sobotę po jej wyjeździe. Albo DePrigent robi nas w wała, albo sam został wyrolowany. W tym drugim przypadku DePrigent się nie zorientował, że to nie prawdziwa Alice do niego mówi, wobec tego spokojnie możesz ją udawać, to przejdzie.

– Albo Alice ma się świetnie, to rzeczywiście ona była przy telefonie, a tamten gość w wiosce jest kierowcą taksówki i tam mieszka, co przy pracy w Montdauphin nie byłoby znowu takie surrealistyczne.

– Nieważne: zadzwonisz do DePrigenta i podasz się za Alice, a po jego reakcji od razu poznamy, co on wie. Jeśli będzie ciągnął rozmowę jak gdyby nigdy nic, to będzie znaczyło, że jego zdaniem ona żyje, czyli że on nie ma z tym nic wspólnego. Ale jak będzie dukał, kręcił, wtedy...

Lily się zgarbiła i wpatrywała w niego wstrząśnięta.

– Żyje? – powtórzyła. – Zaczekaj, uważasz, że Alice może być martwa?

Hugo splótł dłonie przed sobą, wsparłszy łokcie na stole.

– Biorę pod uwagę wszystkie możliwości. I nie ma co mydlić sobie oczu, jeśli DePrigent skłamał, że rozmawiał z Alice przez telefon, a tamten facet tak naprawdę nie jest taksówkarzem, tylko współnikiem, to owszem, faktycznie obawiam się, że jedyne wytłumaczenie jest dość dramatyczne.

Lily powoli wypuściła całe powietrze z płuc. Z kolei jej umysł pracował na bardzo szybkich obrotach, a oczy strzelały na boki, jakby nie mieściły się w oczodołach. Hugonowi przemknęła przez głowę wizja jej gałek przebitych gwoździami, zamrugał więc i się otrząsnął.

Lily podsumowała:

– Ponieważ nie wierzysz, że taksówkarz, którego słyszeliśmy w biurze Philippe'a, był autentyczny, wyobrażasz sobie, że Alice zamordowano? – zapytała. – To piekielnie pokręcone.

– Przysięgam, że...

– Nie, nie, pasuje mi. Zrobimy to. Choćby po to, żeby się pozbyć wszelkich wątpliwości. I mam pewien pomysł, jak się do tego zabrać.

Lily wzięła Hugona do Wieży, po czym wdrapali się po wewnętrznych służbowych schodach na poddasze, które zamieniono w biura. W tym okresie krzesła osłaniały pokrowce i wszystko zostało tak wysprzątane, że nie walał się ani papierek, ani jeden dokument. Stała przy oknie, wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i wyciągnęła przed siebie, jakby chciała zwabić piorun.

– Normalnie tutaj jest coś na kształt zasięgu. Szału nie ma, ale przy odrobinie szczęścia powinno wystarczyć, żeby się dodzwonić.

– A poza tym jeżeli i tak słabo złapie, będzie mu trudniej rozpoznać twój głos.

Hugo liczył na to, że się nie pomylił co do wątpliwego słuchu dyrektora. Wprawdzie nie widział go z aparatem w uszach, ale czepiał się nadziei, że tamten go nie nosi z lenistwa albo przez kokieterię, a nie dlatego, że go nie potrzebuje.

– Przełącz na głośnik, żebym ja też mógł usłyszeć. Pierwsze sekundy są kluczowe.

– Muszę zadzwonić z ukrytego numeru, zaczekaj. Żeby tylko nie odebrała Adele...

Kiedy rozległ się sygnał, serce Hugona przyspieszyło.

– Halo? – odezwał się DePrigent.

Lily odstawiła mistrzowski numer, przemawiając tak słodko, jak to tylko możliwe:

– Pan DePrigent? Tu Alice.

– Alice? Alice Langlois? Nie myślałem, że tak szybko znów panią usłyszę. Mam nadzieję, że nie było problemów z czekiem z wypłatą?

Hugo zamknął oczy. Dyrektor był bezpośredni. Spontaniczny. Ani cienia zdumienia czy wahania. Dla niego ta rozmowa była czymś naturalnym. Wiarygodnym. Chłopak pokręcił przecząco głową.

– Wszystko w porządku, proszę pana. Chciałam tylko zapytać: zapomniałam oddać Jinie sweter, a komórki nie łapią zasięgu, więc prosiłabym, żeby przekazał jej pan ode mnie wiadomość.

– Oczywiście.

– Oddaję go do pralni, a ona może go odebrać, kiedy będzie chciała. Może jej pan to powiedzieć? I bardzo ją przeprosić w moim imieniu.

– Zrobione, proszę się nie martwić. U pani wszystko w porządku? Powrót z gór nie okazał się zbyt trudny? Chandra minęła? Jak już mówiłem, to może potrwać. Życie wśród nas to nie bułka z masłem!

Po czym się roześmiał.

Lily zakończyła rozmowę i się rozłączyła.

– No i co?

– Nie, nie kłamał – przyznał Hugo.

– Ja też tak wyczułam.

– Tylko że to wcale nie uniewinnia gościa z farmy.

– Hugo! Przestań, za bardzo się rozpędzasz. Zadzwoniliśmy, powinieneś być zadowolony!

– Wiem, ale skoro DePrigent w tym nie siedzi, może sam ulega manipulacji kogoś innego.

– Zamierzasz zastawić pułapkę na każdego członka personelu po kolei?

– Nie, po prostu sprawdzić innego prawdopodobnego podejrzanego.

Lily z rozpaczą odrzuciła do tyłu głowę.



## 39.

Cierpliwość nie była jego mocną stroną. Tylko że Hugo nie miał wyboru. Po numerze z telefonem od „Alice” nie mógł popędzić do dyrektora i zasypać go pytaniami na temat taksówkarza. Należało to tak zostawić, żeby przyszło, nie spieszyć się, by na pewno nie dać się przyłapać.

Zresztą plan B na niedzielę zapowiadał się znacznie weselej. Wczesnym popołudniem Hugo rozstał się z Lily, przypominając jej, że wieczorem są umówieni na kolację, i spędził wiele godzin w kuchni na pichceni tego, co potrafił najlepiej, po czym poszedł się zająć romantyczną oprawą.

O dwudziestej, gdy Lily wkroczyła do sabaudzkiej restauracji, którą udekorował świecami, aby rozjaśniły ustawiony pośrodku stół, poczuł zadowolenie, że zadał sobie tyle trudu, a także zachwycił się urodą swojej towarzyszki.

Lily włożyła buty na obcasach, długą suknię, podwójny sznur drobniutkich kamieni, aby uwydatnić dekolt, i zrobiła makijaż, by podkreślić skrzące oczy. Nawet włosy miała upięte niewidocznymi spinkami, tak by opadały kaskadą po jednej stronie twarzy.

Hugo aż zaniemówił, co wywołało uśmiech na twarzy dziewczyny.

– Tym razem jestem oczarowana – zapewniła.

– Mógłbym powiedzieć to samo.

Zaprosił ją, by usiadła, wyszedł na korytarz i opuścił metalową żaluzję, która zasłoniła całą szybę, odgradzając ich od reszty budynku.

– Sprawdziłem, nawet świec nie widać – oznajmił urzeczony. – Proponuję ci dzisiaj menu z trzech smaków.

Przerwała jego przemowę, podnosząc palec.

– Jeżeli sam jesteś jednym ze smaków, uznam to za grubiaństwo – ostrzegła z przekorną miną.

Hugo wyjął z wiaderka z lodem, które postawił wcześniej za oparciem krzesła, butelkę meursaulta premier cru rocznik 2016.

– Skąd to wytrzasnąłeś?

– Mam swoje dojścia – odparł, napełniając kieliszki.

W tej kwestii bardzo pomocny okazał się JC.

Trójkolorowe przystawki w szklanych pucharkach zahipnotyzowały Lily i zachwyciły jej kubki smakowe – dziewczyna nie mogła uwierzyć, że chłopak potrafił to przygotować. Hugo nic nie powiedział. Pod koniec posiłku Lily, błagając o litość, ponieważ nie była w stanie nic więcej zmieścić, pogratulowała mu, zafascynowana jego talentem. Hugona, który dawno już dla nikogo nie gotował, przepełniała ogromna duma. Zdołał zaprezentować swoje zdolności. Najtrudniejsze okazało się poradzenie sobie tylko z tymi składnikami, które miał do dyspozycji w sklepie.

Lecz chyba jeszcze większą dumą napawało go to, że dał radę przez cały wieczór nie poruszyć tematu Strafy ani Alice. Prowadzili wyłącznie lekką, przyjemną rozmowę.

– Jak pomyślę o tatuażu, który zajmuje ci całe plecy – zaczął. – Gdyby twoi zimowi uczniowie wiedzieli...

– I co z tego? Co by to zmieniło? Że odbiegam od normy? Uważasz, że byliby w szoku?

– Matki o ciasnych horyzontach pewnie tak. Ale tatusiowie byliby zachwyceni. To by ich podniecało.

– Ciebie to podnieca? – zapytała prowokująco.

– Trochę, przyznaję...

– Nie masz tatuaży, kolczyków, niczego, co podkreślałoby twoją wyjątkowość, twój sprzeciw, bo się w tym nie odnajdujesz, czy twoim zdaniem nie jest ci to potrzebne?

– Umysł buntownika? Kontestatora? Czuję w środku, że już i tak jestem wystarczająco stuknięty, żeby nie musieć trąbić o tym naokoło!

– Wyczułam to w tobie od razu, jak tylko cię zobaczyłam. To twoje patrzenie na ludzi, na życie. W twoich oczach widać wyzwanie. Niechęć do podporządkowania się. Ty nie należysz do świata, to on należy do ciebie.

– Łał, tylko tyle? Nie wiedziałem, że tak wiele można ze mnie wyczytać.

Zamierzał posprzątać ze stołu, ale Lily zatrzymała go po drodze, aby ją pocałował. Jej język wydzieliał elektryzujące ciepło. Hugo czekał na ten moment cztery dni, które ciągnęły się bez końca. Delektował się każdą sekundą.

Kochali się wyjątkowo czule. Lily oddała mu się z namiętnością, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczył, aż poczuł zawrót głowy, po czym w ochryplym wyzwalającym westchnieniu nadeszło wspólne spełnienie.

Lily siedziała na nim w kącie pogrążonej w półmroku restauracji i odzyskiwała oddech wtulona w jego szyję. Po chwili euforycznego spokoju wyszeptała:

– Mój apartament jest na drugim piętrze w budynku D.

## 40.

Nie więcej niż trzy noce w tygodniu.

W tym tkwił sekret, by za sobą tęsknić, pożądać siebie nawzajem, bezgranicznie pragnąć. Hugo przystał na ten układ. Już i tak rozpierało go szczęście, bo mógł mówić o związku w trybie oznajmującym, chociaż dotychczas możliwy był jedynie ten przypuszczający. Noc z niedzieli na poniedziałek nie zaliczała się do umowy, wyjaśniła Lily, wpuszczając go do apartamentu, to był bonus, prezent od firmy. Hugo spał tak dobrze, jak dawno mu się to nie udało, z wtuloną w niego Lily.

Z początkiem tygodnia przejawiał tak gorący zapał do pracy, że uradowany JC zapytał, czy nie bierze narkotyków. Hugo odparł, że po prostu tak bardzo się cieszy, bo nie musi siedzieć z nosem w śmierdzących butach. Rozśmieszyło to obu mężczyzn. We wtorek późnym popołudniem Hugo wpadł do biur administracji. Zaczekał dyskretnie na korytarzu, aż DePrigent zamknie się w gabinecie, by zatelefonować, i wszedł do pokoju Adele.

– Dzień dobry, Hugo, co mogę dla ciebie zrobić?

– Człowiek nie zagląda tu przypadkiem, prawda?

– Rzeczywiście, nie. Chyba w dniu, kiedy któreś z was wejdzie na górę ze zwykłą grzecznościową wizytą, uronię moją pierwszą łzę. A więc co cię sprowadza? Jeżeli wypłata, to normalne, że jeszcze się nie pojawiła na twoim koncie, pieniądze przelewamy trzeciego albo czwartego w zależności od tego, który z nich jest dniem roboczym, ale nie martw się, zadbałam o to, co niezbędne, mam to w planach.

– Nie, to miłe, ale nie chodzi o pieniądze. Prawdę mówiąc, w najbliższych dniach zamierzałem sobie zrobić małą wycieczkę do doliny, może jutro, bo mam wolne, i chciałbym dostać numer telefonu, żeby wezwać taksówkę.

– Taksówkę? Przecież to będzie kosztowało fortunę! Lepiej poproś naszego kierowcę, Lily może cię zawieźć.

– Nie chcę jej narzucać jazdy, zwłaszcza że często robi kurs po zakupy...  
A poza tym ona i ja chyba nie mamy wolnego w ten sam dzień.

– Masz prawko? W takim razie powinniśmy znaleźć dla ciebie jakiś samochód, jeśli ch...

– Mam, ale nie prowadziłem całe wieki, tak to jest, jak się mieszka w Paryżu. A już na takich drogach jak tu... przyznaję, że nie czuję się na siłach. Nie, taksówka będzie świetna, nie szkodzi, że to drogo, potrzeba mi tak dużo rzeczy. Latem zaoszczędzę.

Hugo śledził każde spojrzenie, każdą zmarszczkę na twarzy Adele, próbując z niej wyczytać to, co oczywiste. Był bliski schwywania jej w pułapkę. Złapała przynętę.

– Jak chcesz – ustąpiła, otwierając notes. – W końcu to twoje pieniądze.  
No więc...

Hugo postanowił ją przyszpilić.

– Chcę numer do tego samego kierowcy, który odwoził Alice, byłbym spokojniejszy. On na pewno dobrze zna ośrodek.

Uniosła brwi i odparła potulnie:

– Dobrze, jeżeli chcesz. Zaraz powinnam ci go odszukać, minutkę...

Przewracała kartki w zeszycie. I zupełnym przypadkiem go nie znajdziesz. Udasz zaskoczenie, wciśniesz kit i podasz inny numer, tym razem prawdziwy...

– O, jest. Joffin Taxi. Zapiszę ci na karteczce.

Pełen podejrzeń Hugo przechylił się nad biurkiem.

– Jest pani pewna, że to ten?

– Tak, dzwonił do niego z Philippe'em tego dnia, kiedy szukaliśmy Alice, i...

– Byłem tu, pamiętam.

Podowała mu żółtą karteczkę samoprzylepną z zapisanym numerem.

– Coś jeszcze?

Hugo był porządnie ogłupiały. Podziękowawszy, wyszedł i krążył po wyższych piętrach statku matki. Zarówno samo zachowanie, jak i reakcja na prośbę chłopaka przemawiały za niewinnością Adele. Poczuł się nieco dezorientowany. Jego umysł konspiratora uznał ją za drugą potencjalną podejrzaną zaraz po DePrigencie. Albo on, albo ona, nikt inny nie zdołałby ukryć zaginięcia Alice, potrzebna była współpraca przynajmniej jednego z nich.

Zaczekał do osiemnastej, aż sekretarka i dyrektor opuszczą biuro. Upewniwszy się, że wyszli, wrócił pod ich drzwi w nadziei, że będą otwarte. Bez trudu wszedł do środka i rozsiadł się w fotelu Adele, po czym z telefonu stacjonarnego wybrał numer, który mu podała. Joffin odebrał w ostatniej chwili, gdy Hugo sądził, że zaraz włączy się poczta głosowa.

– Tak, słucham?

– Pan Joffin?

– We własnej osobie.

Był to ten sam głos co wtedy, należał do tego samego gościa, który naprawiał starego gruchota w gospodarstwie pod Val Quarios.

– Jest pan taksówkarzem?

– Tak, chodzi o kurs?

Hugo ledwie zdążył się zastanowić nad tym, co powie, tak bardzo był bowiem przekonany, że numer jest fałszywy.

– Ja... Eee, tak. Do doliny.

– Do doliny? A której? – odrzekł z rozbawieniem mężczyzna.

– Eee... Do Montdauphin. Robi pan tę trasę z Val Quarios?

– Ależ tak, oczywiście. Kiedy życzy pan sobie wyjechać?

– Jeszcze nie wiem, chciałem się na razie dowiedzieć, czy to możliwe.

– Oczywiście.

– OK. W takim razie... Czy... dobrze pan zna tę trasę? Tę, która prowadzi do Val Quarios?

– Tak, znam, bo co? Boi się pan, że się zgubimy? To łatwe: cały czas prosto! Jest tylko jedna droga w całych górach.

Mężczyzna się śmiał.

– W samochodzie dostaję choroby lokomocyjnej, jak jest za dużo zakrętów, i...

– Zamierza pan rzygać w mojej taksówce? Są na to lekarstwa, wie pan?

– Nie, proszę się nie obawiać, po prostu muszę się... upewnić. Szukam kierowcy, który dobrze zna drogę, zakręty, rozumie pan, miejscowego, który...

Hugo zacisnął zęby, mając nadzieję, że tamten skorzysta z koła ratunkowego, które mu rzucił.

– Och, niech pan się o to nie martwi. Dobra, proszę zadzwonić, jak pan już będzie wiedział, i się dogadamy. Obowiązuje stała cena, oprócz niedziel i taryfy nocnej, która...

Pudło. Mężczyzna zaraz się rozłączy. Hugo, któremu wpadł do głowy inny pomysł, podjął kolejną próbę.

– Czy jeśli uprzedzę pana w ostatniej chwili, długo panu zajmie, żeby mnie odebrać?

– To zależy, czy będę w domu, czy na dole. Mieszkam tuż pod Val Quarios.

Hugona zatkało.

– Pasuje panu? – dopytywał facet na drugim końcu linii. – Ma pan mój numer, proszę się odezwać, jak się pan zdecyduje.

Rozłączył się. Zanim Hugo powoli odłożył słuchawkę, w uszach jeszcze rozbrzmiewał mu sygnał. Z ręką na telefonie wpatrywał się w idealnie uporządkowane różnokolorowe kartonowe teczki, które miał przed sobą.

DePrigent uważał, że Alice żyje. Adele niczego nie podejrzewała. A teraz się okazało, że mężczyzna spod ośrodka to faktycznie kierowca taksówki. Skoro mieszka tak blisko, to logiczne, właśnie on robi najwięcej kursów, doszedł do wniosku Hugo. Kiedy więc Alice chciała wezwać taksówkę, siłą rzeczy to on otrzymał zlecenie. Nie było żadnego spisku. Ani nieboszczyka.

Nagle poderwał się z fotela i zaczął gorączkowo wyciągać szuflady, po czym, nie znalazłszy tego, czego szukał, przystąpił do przeglądu szaf, przesuając palcem po odręcznie wypisanych naklejkach. To musi gdzieś tutaj być, pomyślał. Poszcęściło mu się przy dokumentach księgowych. Nie było CV Alice, na którym mu zależało, były za to paski z wypłatą. Przypięty spinaczem kartonik zawierał najistotniejsze informacje. W tym numer jej telefonu komórkowego.

Hugo go wybrał i pełen lęku czekał na połączenie. Nie było sygnału.

„Dzień dobry, tu Alice, nie mam w tej chwili zasięgu, proszę zostawić wiadomość, a ja zobaczę, co da się zrobić, albo wysłać e-mail. Do usłyszenia”. Hugo odłożył słuchawkę. Po upływie pięciu minut powtórzył operację z tym samym rezultatem. Przy trzeciej próbie zdecydował się w końcu zostawić wiadomość:

– Alice, tu Hugo z Val Quarios. Wiem, że może ci się to wydać głupie, ale gdybyś mogła do mnie oddzwonić, martwię się... Przepraszam, martwimy się o ciebie razem z Lily, bo tak nagle wyjechałaś. Nie mam możliwości zbyt często sprawdzać telefonu, ale poradzę sobie, albo lepiej odezwij się do Lily, po prostu daj znać, że wszystko w porządku. Nie dzwoń na ten stacjonarny numer, prześlę ci mój adres e-mailowy...

Gdy skończył, przepisał numer i adres z kartonika na karteczkę samoprzylepną, po czym schował ją do kieszeni i z powrotem usiadł. Ona odpowie. Nikt w ośrodku nie ponosi za nic winy.

Hugo zamknął oczy. Uspokojony i zarazem pełen lęku, który go nie opuszczał. Nie potrafił go wyjaśnić. Być może problem nie tkwił w innych, tylko w nim samym.



## 41.

W ciepłe wczesnego popołudnia JC wraz z Hugonem siedzieli na zwałonym pniu na poboczu drogi i zajadali kanapki.

Zgodnie ze swym zwyczajem drwał nie otworzył ust niemal przez cały poranek, za to w czasie przerwy około dwunastej często nabierał ochoty na pogawędkę.

- Mam wrażenie, że dobrze sobie radzisz.
- Tak, czuję, że nieźle mi idzie.
- To widać.

Hugo nigdy nie przypuszczał, że mógłby polubić pracę na powietrzu, prawdziwą fizyczną robotę, mimo to wypadły do lasu, manewrowanie piłą i wiążąca się z tym samotność przypadły mu do gustu. Nie cierpiał jedynie zwożenia ściętych drzew, od którego potwornie bolały go plecy.

– To piękne miejsce do pracy – podsumował JC, podziwiając porośnięte lasami zbocza poniżej. – I do życia co najmniej równie piękne. Rozważałbyś pozostanie tutaj?

– W Val Quarios? No cóż, przyznaję, że się nad tym nie zastanawiałem. Najpierw muszę dotrzeć do końca pięciomiesięcznej umowy, a potem zobaczę.

Lecz pomysł zaczął się już gwałtownie przebijać przez kłębowisko możliwości. Oczywiście Hugo nie mógł przewidzieć, jak rozwinie się jego związek z Lily, chociaż w razie gdyby im się udało... Czy z początkiem października byłby gotów powiedzieć jej „żegnaj” i wrócić do Paryża, żeby... Właściwie co? Brać udział w nieudanych castingach? Zacząć szukać jakiegoś kretyńskiego zajęcia, które pozwoliłoby mu zarobić na chleb i pisać wieczorami? Wszystko to wydawało mu się odległe i zależne od wielu niewiadomych, nad którymi nie panował. Mimo to badał teren:

- Myślisz, że zimą znalazłaby się tu dla mnie robota?
- Umiesz jeździć na nartach?
- E, nie, nie bardzo.

– W takim razie w restauracjach albo w logistyce, o ile jesteś gotów się przyuczyć. Tutaj pracy nie brakuje.

Hugo zapamiętał tę informację. Jeszcze nie był na tym etapie. Gdy dojadł kanapkę, niedaleko przystanęła kawka, przypatrująca się bacznie okrucinom pomiędzy jego stopami. Ptak z miejsca uzmysłowił mu jeszcze jedną wyjątkową cechę ośrodka. Uznawszy, że to odpowiedni moment, chłopak zagadnął JC:

– Któregoś dnia na płaskowzgórzu zabroniłeś mi się zapuszczać do środkowej strefy.

JC przytaknął, wbijając zęby w kromkę chleba.

– Urwisko – odparł z pełnymi ustami.

– Tam dalej, w sercu puszczy jodłowej. Wiesz, co tam jest, prawda?

JC przestał żuć i odwrócił się ku niemu.

– Girlandy z kości – wyjaśnił Hugo, nie dając mu najmniejszej szansy na wykręcenie się od odpowiedzi.

JC na powrót zabrał się do jedzenia, powoli, nie odrywając od Hugona oczu, równie czarnych jak oczy kawki. Przełknął i przejechał językiem po zębach.

– Poszedłeś tam? – zapytał w końcu.

– Zgubiłem się i nadziałem na nie.

– Nie powinieneś być.

– To ty je robisz?

– Ja? Nie.

Najwyraźniej szczerze się oburzył, że ktoś mógłby go posądzić o coś takiego.

– Więc kto? Strafa?

JC wybałuszył oczy. Hugo miał wrażenie, że zaraz mu wypadną i poturlają się po policzkach, zawieszane na cynobrowych nerwach wzrokowych.

– Wiesz o Strafie?

– Szczerze mówiąc, to tajemnica poliszynela. Zresztą nie mam zamiaru głośno o tym trąbić. Skoro chce się tu ukrywać, to jego sprawa. Tak czy siak, teraz wszyscy mają to gdzieś. Strafa to stare dzieje, nikt już o nim nie pamięta.

JC przez chwilę przetrawiał nowinę. Po czym oznajmił:

– On był najlepszy. I dla wielu nadal jest. Nikt mu nigdy nie dorównał, wiedziałeś o tym?

W jego głosie słyhać było respekt.

– Tak, czytałem. To było przedtem. Co z niego dzisiaj pozostało? Jest nieobecny i w pewnym sensie wszechobecny. Sprawia wrażenie, jakby porzucił ośrodek, a tymczasem on jest ośrodkiem. Cała ta współzależność jest dość dziwaczna. Masz do niego żal?

JC obserwował drzewa nieobecnym wzrokiem.

– Nie kłamię ręki, która mnie karmi.

Hugo pojął, że niewiele więcej zdoła z niego wyciągnąć, mimo to spróbował:

– A ty go widziałeś na scenie?

– Głupi gnojek – rzucił z krzywym uśmiechem JC.

– Co? – zapytał szczerze Hugo.

– Nie mogę być od ciebie starszy więcej niż dziesięć lat! Strafa wycofał się tuż przed moim urodzeniem. Jesteś dobry we wsadzaniu wszędzie nosa, ale rachunki to nie twoja mocna strona, co?

JC miał rację, Hugo nie przemyślał tego. Paryżanin postanowił wrócić do poprzedniego tematu.

– Więc co to za girlandy w puszczy jodłowej?

JC cisnął kanapkę do przepaści, kawka zaś z piskiem pofrunęła za nią, po czym jej śladem natychmiast ruszyły inne ptaki.

– Wiesz, co to takiego talizmany? – zapytał JC.

– Rodzaj ochrony wynikającej z przesądów. Przed czym? Kto je zrobił?

JC się najeżył, nie podobał mu się bowiem kierunek, w jakim zmierzała ich rozmowa.

– Starzy... – odrzekł – ...wyjadacze.

– W rodzaju... starego Maxa?

– Między innymi.

– Ale żeby się chronić przed czym?

JC wstał i strzepnął okruchy z kombinezonu.

– Przed ośrodkiem – rzucił, oddalając się. – Ci, którzy uważają, że to miejsce jest złe.

Hugo nie wycisnął już z kolegi ani słowa więcej. JC był wyraźnie rozdrażniony, że dał się tak podejść. Pod koniec dnia wysłał Hugona, by sam pozbierał sprzęt. Chłopak roztrząsał słowa drwała, usiłując nadać im sens. Kim byli ci starzy, o których mówił? Nie użył liczby pojedynczej, tylko mnogiej. DePrigent? Adele? Simone? Ludzie, którzy przyjeżdżają zimą? Wszystko to wydawało się bardzo mgliste. I po co zostawać na

miejscu, urządzić sobie tu życie, skoro uważają, że ośrodek jest zły? Zły w jakim sensie? Jak żywa istota, która posiada własną osobowość? Zwierzę gotowe ugryźć?

Wydawało mu się, że będzie miał o czym rozmyślać przez cały wieczór, wychodząc jednak ze statku bocznymi drzwiami, natknął się na Ludovica. Chłopak miał spuszczoną głowę, zbyt długie włosy tworzyły mu nad łukami brwiowymi daszek.

– Cześć – zagadnął Hugo, gdy się zrównali.

Ludovic nie odpowiedział, co zezłościło i tak już nieco podminowanego Hugona. Nie potrafił się więc powstrzymać, by dać mu to odczuć:

– Nigdy nie odpowiadasz? Powiedziałem: cześć.

Ludovic znieruchomiał. On także podążał do podziemi statku matki, w dłoniach czarnych od smaru po pracy przy wyciągach niosąc etui z narzędziami. Zmierzył go wzrokiem, lecz zachował milczenie.

– Masz coś do mnie? – zapytał Hugo. – Jeżeli tak, wyduś to wreszcie, teraz jest okazja, bo spędzimy razem jeszcze cztery miesiące, a ja zupełnie nie kumam, co ci nie pasuje.

Słabo znał Ludovica, wiedział jednak, że to niemal chorobliwie nieśmiały milczek, który wszystko obserwuje tymi swoimi kunimi oczkami i w nic się nie miesza, zawsze trzymając się z daleka. W ciągu czterech tygodni Hugo usłyszał z jego ust nawet nie sto słów, a jedyny raz, kiedy Ludovic wysilił się na więcej niż uśmiech z powodu nieporozumienia, zdarzył się wtedy, gdy Tic i Tac zmusili go niemal przemocą do picia.

– Nie – odparł Ludovic.

– Co: nie?

– Nic do ciebie nie mam.

– To dlaczego nie odpowiadasz? Bez przerwy gapisz się na mnie z daleka, jakbym był twoim wrogiem, a jak czasem wpadamy na siebie, nigdy się nie odzywasz.

– OK.

Hugo nadał się, zaraz jednak sobie uświadomił, że sam zachowuje się jak idiota, zbyt napastliwie. Może on ma autyzm albo coś w tym guście...

– Jesteś pewien, że wszystko w porządku? – drażył dalej, starając się, by zabrzmiało to możliwie jak najzyczliwiej.

Ludovic pokiwał głową.

– Dobra – powiedział bezradnie Hugo. – Nie spodziewam się, że zostaniemy najlepszymi kumplami na świecie, ale gdybyś przy okazji

zdobył się na zwykłe „cześć”, byłoby miło.

Ludovic nie okazał nawet cienia gotowości, by zrobić pierwszy krok. Po prostu wpatrywał się w niego z rękami pełnymi narzędzi.

– Jak chcesz – skapitulował Hugo, odwracając się plecami.

– Widziałem, jak szedłeś do lasu nad urwiskiem – oznajmił bezbarwnym głosem Ludovic.

– Owszem, do roboty.

– Widziałeś je?

Tym razem Hugo poczuł, jak podnoszą mu się włoski na przedramionach.

– Talizmany?

Ludovic przysuwał się powoli, Hugo zaś spostrzegł, że tak mocno zaciska palce na etui z narzędziami, aż pobielają mu kłykcie.

– To przez ośrodek – rzekł zimno chłopak z włosami wpadającymi w oczy. – On zjada ludzi.

## 42.

Lily wzięła sprawy we własne ręce.

Po tym jak Hugo powtórzył jej słowa Ludovica, zadeklarowała, że z nim pomówi. Uznała, że kobieta ma większe szanse, by go zmiękczyć. W istocie Ludovic był chłopcem niezwykle zamkniętym w sobie, rzadko uczestniczył we wspólnych posiłkach i większość czasu spędzał na powietrzu, przy wyciągach narciarskich, w szopie, pięćset metrów wyżej na trasach zjazdowych albo w swoim pokoju. Nie zwerbowano go ze względu na umiejętności społeczne, ale smykałkę do mechaniki, z którą radził sobie dostatecznie gładko, by nie potrzebować instruktora.

– Widziałem jego oczy, kiedy to mówił – dodał Hugo. – I wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby sam zrobił ostatnie girlandy-talizmany, czy czymkolwiek to cholerstwo jest!

– Przyjechał tuż przed tobą, nie mógł być autorem poprzednich – stwierdziła Lily.

– Ale ktoś mógł go do tego zachęcić. Stary Max?

Im dłużej myślał o jowialnym wśwaczu, tym głębiej zastanawiał się nad jego rolą w tym wszystkim. Lily kategorięcznie ucięła dyskusję.

– Ja się zajmę Ludovikiem, ty już dość zrobiłeś. A przyznanie się przed JC, że wiesz o Strafie, to nie był twój najlepszy wyczyn. Teraz przestanie ci ufać, będzie się bał, że wszystko wypaplesz, że tajemnica wyjdzie na jaw.

Hugo miał świadomość, że o mało nie powiedział o jedno zdanie za dużo, że Lily ma po dziurki w nosie tej jego potrzeby, by wszystkich kontrolować, toteż poddał się, chociaż aż go język świerzbiał, by odpowiedzieć, że w tej chwili cały świat ma Strafę gdzieś, że o nim zapomniano. Lily nie odezwała się, gdy zrelacjonował jej rozmowę z Adele, z jej zachowania mógł jednak wyczytać pewną dezaprobatę. Dla niego większość tych ludzi to byli nowi znajomi, nowe relacje do zbudowania, dla niej stanowili niemal rodzinę, skoro spędziła z nimi trzy lata, nie potrafiła więc uwierzyć w winę żadnego z nich. Zresztą jaką winę? Że

spletli zwierzęce kości z gałęziami i sznurkami? Że wykonali w pniach rzeźby w złym guście? Wprawdzie podczas ich wieczornej imprezy z Jina bawiła się w grę w diabolicznego Strafę, ale potem trochę spuściła z tonu przynajmniej w kwestii paktu ze Złym. To się nie trzymało kupy. Ani przez sekundę. To wszystko było wyłącznie szaleństwem jednego wieczoru. Strafa to stary stuknięty gość, który z nich zakpił, kiedy ośmielili się wtargnąć do jego domu bez pozwolenia.

To nieco ochłodziło ich relację, toteż Hugo zrobił krok w tył. Już zbyt mocno zależało mu na Lily, a on w ogóle nie brał pod uwagę, że wszystko narazi na niebezpieczeństwo, bo nie potrafi zająć się czymś innym. Musi zająć się czymś innym.

Mimo to wysłał do Alice e-mail na adres, który zdobył w gabinecie Adele. Poprosił tylko, by go uspokoiła, zapewniła, że nic jej nie jest.

W nocy z soboty na niedzielę potężne ulewy spowodowały drobne osunięcie ziemi u stóp Wieży, dlatego mimo wolnego dnia wezwano go do pomocy przy uprzątnięciu drogi. W zamian dostał poniedziałek. Lily wraz z Maxem zajęli się smarowaniem nart w warsztatach, on zaś skorzystał z tego, by uzupełnić zapasy, które się skończyły. Przez godzinę napełniał w sklepie torby pod smutnym spojrzeniem Simone. Poza tym Hugo jej nie widywał. Codziennie rano sześć dni w tygodniu wiernie trwała na stanowisku przy kasie. Co jednak robiła potem? Gdzie się wałęsała? Nigdy nie mijał jej w korytarzach. Na nielicznych wspólnych imprezach wieczornych zresztą też nie. Musiała mieć pod siedemdziesiątkę, prawdopodobnie była najstarsza w Val Quarios. Hugo uzmysłowił sobie, że z powodu przygaszonej miny i niepozorności nigdy nie włączył jej do swojej listy podejrzanych. A przecież było najbardziej prawdopodobne, że wszystko wie, wszystkich zna, nawet Strafę.

Zwłaszcza Strafę.

Hugo nie brał pod uwagę, że Simone zjawiała się w ośrodku niedawno – po co taka kobieta jak ona miałaby tu przyjeżdżać w wieku, w którym normalnie powinna przejść na emeryturę? Pracowała tutaj, ponieważ przywykła. Może nawet od... Kiedy przesuwiała jego zakupy po taśmie, Hugo zdecydował, że nie ma nic do stracenia. Zaryzykował więc:

– Jest tu pani od początku?

Przytaknęła niemal nieuchwytnym skinieniem głowy. Hugo był już zmęczony tymi ludźmi, z których trzeba wyduszać każde słowo, stracił do nich cierpliwość. Od razu przeszedł do sedna:

– Poznała pani Strafę, kiedy się tu wprowadził?

Podniosła szare oczy, jakby się poruszały na sprężynach. No i proszę, pomyślał Hugo.

– Ma dzieciak rację – mruknęła – ten to jest dopiero ciekawski.

– Kto pani o mnie mówił? Ludovic?

Pokręciła głową, nie kryjąc lekceważenia.

– Ależ skąd, dzieciak. Mój.

Mózg Hugona pracował na najwyższych obrotach, dokonując skojarzeń. Paryżanin powiedział z o wiele większym zdziwieniem, niżby chciał:

– JC? JC to pani syn?

Znów pokręciła głową z dezaprobatą.

– Proszę mi wybaczyć, nie skojarzyłem, jestem kiepskim znawcą fizjonomii.

Zastanawiał się teraz, czy ta informacja ma wpływ na wnioski, które wyciągnął na temat wszystkiego, co się dotąd wydarzyło, po czym nie bez goryczy uznał, że to niczego nie zmienia. JC wywodził się stąd, Hugo zawsze o tym wiedział, w tej chwili zaś usłyszał tylko, że jego matka również znajduje się wśród nich. Nigdy nie wychodziła, JC zresztą też nie, nie był bowiem bardziej aktywny w życiu społecznym od swojej rodzicielki. Wyobraził ich sobie wieczorami zamkniętych w jednym apartamencie, wpatrzonych w telewizor, każde z talerzem parującej zupy przed sobą, matka i syn, którzy nigdy nie opuszczają mieszkania, przywiązani do siebie.

To „Psychoza”...

Tylko że JC nie miał nic z Normana Batesa. Owszem, był szorstki, ale względnie spoko. Dosyć uroczy, wysportowany... Hugo nie widział go w roli psychopaty głaszczącego swoją mamusię, do której się przytula w nocy przed zaśnięciem. Nie, nic z tych rzeczy. A w co ja jeszcze gram? W szukanie zbrodniarza, który nie popełnia żadnej zbrodni? Ponieważ taka była rzeczywistość. Od kiedy tu przybył, w tych murach właściwie nie wydarzyło się nic konkretnego, musiał to przyznać.

Simone wręczyła mu paragon. Zdecydowanie nie należała do rozmownych. Hugo dał sobie spokój i stwierdził, że ma pięć dużych, porządnie wypchanych toreb i po zgrzewce mleka w butelkach oraz coca-coli zero. Zostawił jedną część, drugą zaś zaniósł do kuchni za kantyną i ułożył w szafce, którą sam sobie przydzielił. Następnie wrócił do sklepu



po dwie ostatnie torby, do których w przypiływie wiary we własne siły uznał, że może dorzucić zgrzewkę coli. Ich przeznaczeniem był apartament.

W drodze przez korytarze budynku C do schodów miał ręce uwięzione w uszach siatek, ramiona go paliły i zaczynało go kłuć w plecach. Zrobił sobie przerwę, żeby odsapnąć. Czekwały go dwa piętra, a potem seria korytarzy. Okazał się idiotą, chcąc zabrać wszystko naraz, zamiast nosić po kolei. Mógł zostawić na dole partię ładunku, a potem przyjść po resztę, Hugo był jednak zbyt leniwy, żeby kursować w tę i z powrotem.

Obie windy najwyraźniej z niego drwiły, ich przyciski przypominały usta podśpiewujące: „Po prostu tu jestem, nic nie mówię, ale tak szczerze po prostu tu jestem, gotowa”. Lily jasno mu powiedziała, że latem nikt do nich nie wsiada, żeby nie ryzykować. Ale jakie mogło istnieć ryzyko w posłużeniu się którąś z nich raptem jeden raz? Jeśli musi się popsuć akurat przy tej jedynej okazji, gdy Hugonowi tak bardzo zależy, równie dobrze powinien zagrać w totka, bo właśnie jest w okresie niewiarygodnej karmy.

Nie igraj z ogniem...

W gruncie rzeczy nie widział problemu. To nie było to samo co używanie windy codziennie, rano i wieczorem, żeby jechać do roboty – wówczas owszem, zwielokrotniałyby szanse na niefart. Ale jeśli wsiądzie jeden jedyny raz, musiałyby być największym pechowcem świata, żeby spotkało go coś złego.

Przede wszystkim jednak Hugo nie wierzył, że zdoła dotrzeć na szczyt schodów, zanim te przeklęte uszy przetną mu palce.

Wcisnął guzik. Przycisk świecił złotym blaskiem. Był idealnie okrągły, lśniący jak aureola. Aureola jego świadomości, która informowała go, że jeszcze nie jest za późno. Jeszcze może się wycofać. Może nie przekraczać progu windy. Jeśli to uczyni, drzwi się za nim zamkną i będzie tak, jakby z własnej woli wszedł do piekła. Bzdury. Zastrana wyobraźnia. No to do czyśćca. Hugo westchnął.

Kiedy rozległo się piknięcie, odruchowo zrobił krok w tył, po czym otwały się metalowe skrzydła, odsłaniając głęboką kabinę. Wystarczająco dużą, by pomieścić jego samego, jego zakupy, gnuśność i całe olbrzymie kretyństwo. Wystarczająco dużą dla kilku osób z nartami, i tyle. Wsiadł, postawił torby, które z każdą sekundą ważyły coraz więcej, i wyciągnął palec, by wybrać piętro. Jego dłoń zastygła przed przyciskiem oznaczającym piwnicę.

Przypomniał sobie, że słyszał coś o jakiejś pralni pod budynkiem, której używano wyłącznie w sezonie zimowym do obsługi pokoi, ale do której mógł się udać, jeśli pewnego dnia pralka w apartamencie sprawiała mu kłopoty. Nie, na pewno nie, dziękuję. Jak pomyślał, co jest w stanie sobie wyobrazić na klatce schodowej w Tetryku, nie było mowy, żeby pozwolił hulać swojej monstrualnej fantazji po piwnicy, pełnej maszyn stojących w rzędzie pod jarzeniówkami. Co to to nie.

Wcisnął guzik z numerem 2 i drzwi się zasunęły. Niczym dwie gilotyny. O, nie, nie zacznę od początku. Kabina się zatrzęsała i z mozołem ruszyła. Powoli. Bardzo powoli.

Nie trzeba się spieszyć. Tempo było bardzo powolne, aż Hugo zaczął podejrzewać, że specjalnie, że inaczej się nie da. Aby przy jakimś podskoku któryś z pasażerów nie potknął się w tych swoich śmierdzących buciorach i nie wbił narty w twarz facetowi z tyłu.

– Coś takiego, pańska narta jest nieźle naostrzona.

– Słucham?

– Pańska narta tnie jak brzytwa! Proszę spojrzeć na moje gardło! Sika krwią!

Hugo potrząsnął głową, odzyskując kontrolę nad swoimi wizjami żywcem wyjętymi z horroru. Przecież nie będzie awarii. Zaświecił się przycisk wskazujący jedynekę. Już prawie dojechał na miejsce. Właśnie mijali pierwszy poziom. Bez pośpiechu.

Jedyńska zgasła. Hugo wpatrywał się w cyfrę dwa, czekając, aż czerwona dioda rozbłyśnie, aż rozlegnie się „ding” oznaczające, że jest u celu. Tymczasem winda nagle znieruchomiała, zmuszając go do chwycenia się poręczy.

Nie.

Po czym światło się wyłączyło.

## 43.

To nie mogło być nic innego jak koszmar.

Czy istniała jedna szansa na milion, że akurat ten jedyny raz, kiedy wsiadł do windy – właśnie do tej, a nie do innej – ona musiała się zepsuć? Pieprzony jeden jedyny raz.

Hugo czuł, że musi się opanować, nie wolno mu ulegać panice. To nie był odpowiedni moment. Nie teraz, kiedy utknął między piętrami pustego budynku, gdzie rzadko kto przechodzi, w sercu niemal równie wyludnionego ośrodka, w najgłębszym kącie jakiegoś zadupia w Alpach. Gdy wyczuł koło stóp obydwie torby z zakupami i zgrzewkę coca-coli, wzięła go ochota na śmiech. Przynajmniej nie zdechnę z głodu ani pragnienia. Tylko że nie było w tym nic śmiesznego. Zachowaj zimną krew. Zaraz ruszy. To po prostu brak dopływu prądu, pewnie taki sam jak tamtego wieczoru.

Nie mogąc przepuścić takiej okazji, jego wyobraźnia natychmiast odparowała: Chcesz powiedzieć jak tamtego razu, kiedy otoczyły cię ciemności, tak jak teraz, a wtedy wyskoczył olbrzymi robal i chciał cię wszamać, wessać twoje cielsko, które chętnie by najpierw rozpuścił? Nieźle to rozegrałeś, gościu! Naprawdę nieźle! Tutaj jednak nie groziło mu, że usłyszy, jeśli cokolwiek będzie się zbliżać. I właśnie na tym polegał problem.

– No dalej, jedź – powiedział.

Poszukał po omacku przycisków sterujących i rozpoczął od tego najwyżej, by skończyć na tym, który – jak przypuszczał – oznaczał dwójkę. Kilkakrotnie mocno go nacisnął.

– Przecież nie mogę mieć takiego parszywego szczęścia, to niemożliwe.

Nic nie widział. Absolutnie nic. Gorzej niż w bezksiężycową noc. „Noc, która zalała kabinę windy atramentowym jeziorem”. To zdanie było całkiem nieźle i w innych okolicznościach mógłby je zapisać, aby wykorzystać w którymś z przyszłych rozdziałów. Powieści, której nawet nie

zaczęłam... Jak długo może tkwić tutaj zamknięty, zanim ktokolwiek się zorientuje?

Jeszcze nie ustalili, który wieczór spędzą z Lili razem, jako że dopiero co spali u niej. Hugo przypuszczał jednak, że jeśli dziewczyna nie zobaczy go do środy, zacznie się martwić. To w końcu trzy dni... W dodatku jeszcze pomoc techniczna musi go tu odnaleźć. Czy usłyszą jego krzyk? Ile musi upłynąć godzin albo dni, zanim firma sprzątająca może wezwać ekipę? Przyślą do mnie strażaków. Hugo nie był pewien, czy wytrzyma trzy dni w tej ciasnocie i mroku i nie zwariuje.

A potem czeka go upokorzenie... Tic i Tac nie odpuszczą. Przez całe lato już nie będzie Hugonem, może się pożegnać ze swoim imieniem, tylko Otisem – zawodowym alpinistą, a podczas zakrapianych imprez Otisem – zawodowym zjeżdźczaczem. A jeśli na dodatek odkryją, że sypia z Lily, zostanie Otisem – zawodowym ruchaczem!

Hugo oparł głowę o ścianę. Zaczynał mieć trudności z oddychaniem. To psychika. Wszystko w porządku, powietrze samo się wymienia. Czy był tego całkowicie pewien? Bo jakoś nie planował dotychczas śmierci przez uduszenie w ciemnej windzie. Hugo westchnął głęboko.

– Hej tam! Jest tam kto? – wykrzyknął zniecierpliwiony. – Słyszysz mnie ktoś?

Jego słowa odbiły się od metalowych ścian, tak jakby miały one moc więzienia dźwięków. Ależ skąd, głos się przebija na zewnątrz. Ktoś musi mnie usłyszeć na schodach. Uświadomił sobie, że ciągnie za kołnierz bluzy. Było mu gorąco. Będę wrzeszczał co minutę, w końcu do kogoś to dotrze. W tym tempie po godzinie zupełnie straci głos, a potem dużo mu to da, jak ktoś będzie go mijał, a on nie zdoła wykrztusić z siebie żadnego dźwięku.

Walić w ściany? Nie dysponował niczym, co mogłoby zastąpić kij, uznał jednak, że pięści w zupełności wystarczą. Uderzył raz, lekko zabolowało, i poczuł, jak kabina zakołysała się odrobinę na linach. Tylko tego brakuje, żeby spadła. Nie, to niemożliwe, jest idealnie przymocowana, trzyma się na hamulcach, nie ma żadnego zagrożenia. Tak samo niemożliwe jak prawdopodobieństwo, że kiedy jeden jedyny raz wsiądziesz do windy, to akurat wtedy się zepsuje?

Wciąganie powietrza nosem już nie zdawało egzaminu, Hugo więc zaczął oddychać ustami.

– Hej! – ryknął. – Jest tam kto?

A jeśli ktoś właśnie tutaj, tuż obok odpowie ci „tak”? Co zrobimy? Ześwirujemy, oto co zrobimy. Lecz w windzie nikogo z nim nie było. Hugo

pokręcił głową. Dlaczego musiał ustąpić przed tym kretyńskim impulsem? Zawołał znowu, po czym nadstawił ucha, a w końcu usiadł w ciemności.

Nawet najdrobniejszego źródła światła.

Słyszając słaby gwizd, przechylił się w bok. Dźwięk dobiegał z szybu windy. Ustał jednak. Hugo wstał. Był przekonany, że usłyszał odgłos. Taki jak ten, przez który pewnego wieczoru w oczach Exhella wyszedł na idiotę. Czy to nie była ta sama winda? Wiatr, to był wiatr.

Świst zabrzmiał znowu. Delikatny. Z dołu, to dochodzi spod windy. Ktoś na pierwszym piętrze albo na parterze? Możliwe... Hugo ukląkł i przytknął ucho do podłogi. Dźwięk się powtórzył. To było... westchnienie. Nie, raczej stęknienie. Przenikliwe. Rozległo się po raz kolejny. Jakaś kobieta jęczy. Tak jakby cierpiała. Nie, to było nieprawdopodobne. Exhell miał rację, to wiatr, a ciągnące się przez budynek rury zniekształcają jego odgłos.

Lecz kiedy jęk rozbrzmiał ponownie, Hugo bardzo wyraźnie wyłowił wołanie. Wołanie o pomoc. Resztkami sił. Powolne i pełne rozpacz. Odwala mi. Hugo naprawdę z trudem oddychał. Ponownie przyłożył ucho do podłogi i czekał. Kilka minut. Kwilenie się urwało. Po czym na powrót dało się słyszeć. I tym razem Hugo runął na plecy.

Ona tu była! Razem z nim, w kabinie windy! Ona tu była, niecały metr pod nim, mógł wyczuć jej obecność, jej wzrok wbity w niego w tych atramentowych ciemnościach, jęczała z ochrypłym rżeniem jak ktoś, kto zaraz umrze! Jej zimne palce wyciągnięte ku niemu, niemal wczepiające się w jego policzek. Jej udęczony oddech, który o mało nie wylewał się z gardła.

Hamulce windy pomrukiwały wokół Hugona. Chłopak zamrugał, serce waliło mu zbyt mocno, o mało nie wyskoczyło z piersi. To nie żadna kobieta, tylko kabina, która zaczęła zjeżdżać z potwornym jazgotem. Posuwali się w dół.

Kiedy rozległo się piknięcie, drzwi otworzyły się na szary korytarz, w którym w oddali, na zakurzonej betonowej posadzce lśniło maleńkie światełko ewakuacyjne.

Hugo znajdował się w podziemiach.

## 44.

Oślupiały Hugo leżał na plecach, wspierając się na łokciach.

Wpatrywał się w szary korytarz, upstrzony pajęczynami, które falowały wraz z oddechem budynku C. Tchnieniem niesionym przez przeciąg, którego źródło stanowiły szyby wind. Odwrócił się ostrożnie, spodziewając się zobaczyć skuloną w kącie kabiny kobietę w agonii, ale był sam. Hamulce. To hamulce tak zawodzą. A przedtem? Westchnienie, jęk, przecież to było rzeczywiste!

Drzwi kabiny się zamknęły. Hugo rzucił się naprzód i odepchnął je stopą. Wolał stracić nogę niż dać się zamurować w tym grobie po raz drugi! Wysiadł, pozwalając, by winda się zarygłowała. Zostawiał w środku zakupy, które przestały mieć znaczenie. Wentylatora z boku strzegła krata taka wysoka jak on. Wiatrak kręcił się z rytmicznym trzaskiem. Pach. Pach. Pach. Hugo wcale nie czuł chłodu. Bo wentylator wpycha powietrze do środka.

Co on tu robił? Dlaczego winda go tu przywiozła? To naprawdę przypominało koszmar. Z tą różnicą, że Hugo był w stanie myśleć, działać. Oddychał. A także dygotał. Nie, on wcale nie był pogrążony we śnie. Ale przecież winda nie może mnie zawieźć tam, gdzie chce! To niemożliwe! Musiało istnieć jakieś inne wytłumaczenie.

Hugo stawiał kroki jak rozbitek, który się wydostał z płonącego wraku samolotu, a teraz błąka się nie bardzo jeszcze świadom, co właśnie przeżył. Posuwał się korytarzem, mijał drzwi do kolejnych podziemnych czeluści, podążał wzdłuż krat zamykających jakieś magazyny, w oddali zaś za plecami słyszał, jak milknie rozdzierający odgłos.

Pach. Pach. Pach.

W końcu natrafił na schody, które doprowadziły go w jakieś miejsce w budynku C, chociaż dokładnie nie wiedział gdzie. Nie dbał o to, dostrzegł w pobliżu światło dnia i to mu wystarczyło. Utykał.

Odetchnąć świeżym powietrzem, oto czego było mu trzeba. Olbrzymiego haustu czystego powietrza, aby obmyć płuca, aż do ścian tętnic, a przy odrobinie szczęścia oczyścić także czaszkę od środka. Osunął się na trawę, smakując każdą sekundę wolności. Nie czuł się najlepiej, miał zawroty głowy. Czyżby dostał w kabinie ataku klaustrofobii? Napadu paniki? Nie miał pojęcia. Zamknął oczy. Kiedy tak leżał odrętwiały, ujrzał samego siebie w podziemiach budynku C, przed wentylatorem.

Krata zniknęła, ale ogromne śmigło obracało się z tym samym niewzruszonym uporem. Hugo wyciągnął dłoń, po czym jeden stalowy cios zmiażdżył mu ją z suchym chrupnięciem.

Pach. Hugo posuwał się dalej, krok za krokiem. Kolejna łopata trafiła go w zgięcie łokcia. Odcięła mu rękę, która upadła na beton, tym razem z mokrym kłaśnięciem.

Pach. Krew, niemal czarna w półmroku, sikała, przypominała olej wypluwany z trudem przez ledwie zipiący silnik, raptem parę centymetrów dalej. Nadjeżdżało śmigło, aby zżąć to, co zostało. Hugo patrzył, jak sunie prosto na jego twarz, wytrwałe niczym fala uderzająca o piasek.

Pach. Wbiło mu się w czoło, rozłukło na miążgę mózg, po czym wyrwało szczękę, która poleciała w deszczu krwi. Szczęka i lśniące zęby spadły na próg windy. Na każdym końcu drżały jeszcze strzępy skóry i ścięgien.

Drzwi windy zamknęły się gwałtownie, rozgniatając szczękę z taką łatwością, jakby to było truchło kurczaka.

Ding!

Hugo obudził się zlany potem. Słońce stało wysoko na niebie. Jak długo spał tak wyciągnięty w trawie? Koszmar przyprawił go o mdłości, za to rozjaśnił umysł. Co mu się przydarzyło? Chłopak potarł policzki i wrócił do budynku C, po czym skierował się do swojego apartamentu.

Nadal dokładnie nie pojmował, czy padł ofiarą obłądu wywołanego strachem, czy też istniało jeszcze bardziej oczywiste wyjaśnienie. Coś w rodzaju zatrucia gazem? Ze źle konserwowanych pieców mogą się ulatniać niebezpieczne ilości gazu. Tylko że on zabija, nie powoduje napadów szału. Hugo wreszcie wszedł do siebie, nie ustalwszy jeszcze, co się stało.

To, co zobaczył, prawie całkiem odebrało mu rozum.

Na stole stały torby z zakupami i zgrzewka coca-coli zero.

## 45.

Tym razem Hugo musiał sobie radzić sam.

Nie mógł się przyznać przed Lily, że nie wie, czy właśnie odbija mu szajba, czy w ośrodku dzieje się coś innego, niemal bardziej niepokojącego.

Coś niemożliwego. Tajemniczego. Co pozwala uwierzyć w hipotezę o Lucienie Strafie, który zaprzedał duszę diabłu, a teraz próbuje ją odzyskać, wsysając tyle energii witalnej, ile się da.

Ponieważ Hugo był z natury pragmatykiem, nie przestawał sobie powtarzać, że to niemożliwe, ale skoro odrzucał myśl, że popada w obłąd, miał nadzieję na inne wyjaśnienie. To, które w końcu zakiełkowało w jego głowie, było zdumiewająco oczywiste. Pocieszające.

Ktoś usiłuje doprowadzić go do szaleństwa. Wszystko to tylko sztuczki. Na czym polegały? Nie miał pojęcia, ale kto jak nie były magik potrafił wykrecać równie dziwaczne numery? Epizod z windą przypominał do złudzenia chore psikusy, które mógł robić artysta jego pokroju.

Strafa próbuje zastawić na mnie pułapkę.

W końcu trzymał u siebie w salonie zdjęcie Hugona z pinezkami w oczach. Z jakiegoś osobistego powodu stary magik uparł się, żeby go zniszczyć.

Tylko jaki jest związek między nim a mną? Hugo w całych swoich kolejach losu nigdy nie uczynił nic, czym zasłużyłby sobie na taką zaciekłość, nigdy nie brał udziału w przestępstwie, nigdy nikomu nie zniszczył życia, był zaledwie zwykłym gościem z Normandii, który dwoił się i troił, żeby zrobić karierę, na próżno zresztą, który pozwolił się rzucić, zresztą słusznie, i który wylądował tutaj za sprawą ogłoszenia w internecie.

Ogłoszenia, które podsunął ci nieznajomy na forum, nie zapominaj o tym. W gruncie rzeczy to mógł być każdy.

A więc Strafa. Prawdopodobnie człowiek jego pokroju nie był cyfrowym geniuszem, Hugo ani przez chwilę nie wątpił jednak, że jako jeden z najbardziej fascynujących prestidigitatorów musiał znać się na wielu



dziedzinach naukowych, a tego rodzaju ciekawość nigdy tak do końca nie zanika. Z pewnością śledził, przynajmniej z daleka, postępy w informatyce, rozkwit internetu. Stworzenie nicka i chatowanie na forum nie wymagało nadzwyczajnych umiejętności.

Albo miał pomocnika.

Dopiero co zjawił się tu Exhell, co nasunęło Hugonowi kolejne pytanie. Val Quarios od dawna miało własną stronę, na którą można zaglądać przez cały rok, a zatem i odpowiedzialnego za nią informatyka pracującego na cały etat. Kto zajmował się nią przed Exhellem?

Oto kwestia, która być może powinna przynieść coś konkretnego.

W ciągu popołudnia ekstremalnie silne rozgorączkowanie umysłowe Hugona przerodziło się w niepokojącą pewność. Wcale nie popada w obłąd, a to miejsce nie jest nawiedzone. Za to Strafa sobie pogrywa.

A ja muszę się dowiedzieć dlaczego.

Jeszcze tego samego wieczoru zaczął namierzać Exhella, lecz niestety nie udało mu się go znaleźć, nie spotkał też Lily, wiedział jednak, że ona musi mieć odrobinę spokoju, zwłaszcza po tym, jak spędzili razem noc. Ta wilczyca czuje potrzebę regularnego zaszywania się gdzieś w górach, by nabrać energii. Natknął się natomiast na Jinę, która rozprawiała o czymś z Armandem i Merlinem. Postarał się przyciągnąć jej uwagę, aż w końcu dołączyła do niego na antresoli w akwarium.

– Ja też chciałam cię zobaczyć – zaczęła. – Mam wieści od Alice. Wszystko w porządku!

Serce Hugona zabiło mocniej.

– Sama z nią rozmawiałaś?

– Nie, DePrigent. Przekazała mi wiadomość o swetrze, który jej pożyczyłam.

Spuścił głowę rozczarowany. To przynajmniej dowodzi, że DePrigent nie próbuje niczego ukryć.

– Przykro mi, chciałam ci o tym powiedzieć od razu, ale nie widziałam cię przez cały dzień. Ta wiadomość spadła dzisiaj na mnie jak grom z jasnego nieba, nawet sobie nie wyobrażasz. Koniec z paranoją!

– Domyślam się – odparł ledwie dosłyszalnie Hugo.

Nie chciał się wdawać w szczegóły małej intrygi uknutej wraz z Lily, to nie był właściwy moment.

– No co jest? Okaż trochę radości! Z Alice wszystko w porządku.

Hugo zmusił się do zdawkowego uśmiechu.

– Co chciałeś? – zapytała Jina.  
– Przysługi.  
– Możesz sobie pomarzyć.  
– Jeszcze nie wiesz, o co chodzi – odparował z rozdrażnieniem Hugo.  
– Ale wiem, że mi się nie spodoba. Gdyby to było łatwe, sam byś to zrobił.

– Posłuchaj, nie proszę, żebyś wychodziła przed szereg, tylko żebyś w razie czego nadała bieg wydarzeniom.

Westchnęła.

– Jazda, wyduś to z siebie – powiedziała.  
– Jeżeli Exhell znów będzie ci się naprzykrzał...  
– Jeżeli? Chyba: kiedy będzie mi się naprzykrzał. A tak na poważnie, czy ktoś przed czterdziestką mówi jeszcze „naprzykrzać się”?

Hugo zignorował uszczypliwą uwagę. Minimalna dbałość o słownictwo, które poznał dzięki lekturom, napawała go dumą.

– Chciałbym, żebyś go wysondowała w sprawie...  
– Co to to nie, nie będę sondować tego typu, mowy nie ma.  
– Jina! Przestań, ja mówię poważnie. Wypytaj go o jego poprzednika. O to, kto przed nim zajmował się kwestiami informatycznymi i stroną ośrodka. Możesz to zrobić?

Cmoknęła.

– To cię będzie drogo kosztować. Mam na myśli butelkę tego samego wina, którym poiłeś Lily w sabaudzkiej restauracji.  
– Opowiedziała ci o tym? – oburzył się Hugo.  
– Nigdy nie lekceważ plotkar, które trzymają sztamę, to one rządzą światem.

Jina obróciła się na pięcie w bardzo teatralny sposób i ruszyła dołączyć do towarzystwa w akwarium.

Nazajutrz wieczorem Hugo i Lily zjedli kolację w jego apartamencie. Przyrządził sałatkę z quinoa i muskali się nawzajem stopami pod stołem.

– Czyli że opowiadasz o wszystkim Jinie? – zagadnął, pilnując się, by w jego głosie zabrzmiał śmiech, a nie wyrzut.

– O wszystkim, co nie jest ściśle tajne – odparowała dziewczyna, po czym odsunęła krzesło i ostentacyjnie wbiła spojrzenie orzechowych oczu w jego krocze.

– Nie wierzę w ani jedno słowo, jestem pewien, że o naszych łóżkowych wyczynach wypaplałaś jej na samym początku!

– W tym wypadku mylisz laski z facetami.

Pomachał jej przed nosem widelcem.

– Teraz czuję się przy niej całkiem goły.

Lily cofnęła się na krzesło i podniosła kieliszek do ust, następnie dodała:

– Po południu widziałam się z Ludovikiem.

Hugo aż się wyprostował.

– Gadał coś o tym, co wie?

– Jak ty nie owijasz w bawełnę, „co wie”!

– W końcu przecież walnął coś takiego, że ośrodek zjada ludzi. Wybacz, ale nieważne, czy gość ma problemy, czy nie, on coś widział albo przynajmniej słyszał.

Lily nie zdołała powstrzymać nerwowego tiknięcia z boku twarzy. Denerwuje ją tym.

– Nakłoniłam go do rozmowy o talizmanach w puszczy jodłowej. Przyznał się, że tam był. Wiele razy. Lepiej: zwierzył mi się, że to on jest autorem najnowszej girlandy.

Hugo klasnął w dłonie.

– W końcu robimy postępy. Wreszcie jakiś konkret. Powiedział dlaczego? Kto mu to pokazał?

– Nie. Tylko tyle, że to dla naszej ochrony.

– Przed czym? Przed kim?

– Ludovic uważa, że wszystkie te budynki to bogactwa, które człowiek ukradł naturze. Że trzeba przywrócić równowagę, bo inaczej niedługo za to zapłacimy. Jego zdaniem społeczeństwo pożera swoich członków. A ten ośrodek w jakimś sensie jest jego przedłużeniem. Właśnie dlatego „zjada ludzi”. Konkretnie nas, jeżeli nie zważamy na własne człowieczeństwo.

Hugo miał niezadowoloną minę.

– Naprawdę ci to wszystko powiedział?

– Mniej więcej słowo w słowo.

– To porąbane, nie?

– Bardziej niż to, że po ośrodku grasuje jakaś szatańska siła?

Hugo przyjął tę drobną złośliwość z uśmiechem. To było czyste zagranie.

– Co ty o tym myślisz? – zapytała Lily.

– Że on nie mówi wszystkiego.

– Nie, nie o Ludovicu, o tej jego przemowie. Społeczeństwo, które urabia jednostki, kształtuje, modeluje na jedno kopyto.

– Taka była jego przemowa?

– To ja pytam ciebie.

Hugo westchnął przeciągle, zastanawiając się.

– Że rak jest śmiertelny, a wojna paskudna? – powiedział z ironią.

– Nie rób sobie ze mnie jaj, chciałabym wiedzieć. Kim tak naprawdę jest Hugo Chavaud? Jakie ma ideały? Jakie przekonania? Lepiej znam smak twojego ciała niż wewnątrz twojego umysłu.

– Czy ja jestem posłusznym żołnierzem czy groźnym burzycielem systemu? Ani jednym, ani drugim, jeżeli to cię martwi. Po prostu trzydziestolatkiem, który chciałby znaleźć dla siebie miejsce tam, gdzie mu się uda, żeby być szczęśliwym.

– W mieście? W górach? Wśród ludzi czy z dala od nich? Wierysz w politykę? W społeczeństwo? W Boga? Nawet tego o tobie nie wiem!

We wszystkich tych pytaniach kryło się jakieś niedopowiedzenie, które spodobało się Hugonowi. Lily zaczęła się interesować jego osobą. Tym, czego on może pragnąć. Nareszcie. Jej podejście nie było zbyt subtelne, ale jednocześnie nie czała się, posuwała się po szachownicy, badała teren. Starła się. Już sama ta myśl wystarczyła, by rozgrzać Hugonowi serce mocniej, niżby to zrobiła elektrownia atomowa.

Miał ochotę drążyć dalej temat Ludovica. Był przekonany, że chłopak nie wydusił z siebie wszystkiego. I że w pewnym momencie, kiedy trzeba będzie znaleźć sprzymierzeńców, pomimo zamknięcia w sobie i rażącego braku uprzejmości, może się okazać cenny, jeśli teraz zdołają nawiązać z nim jakąś relację. Hugo wyczuwał jednak, że właściwa chwila minęła. On i Lily mają co innego do roboty. Wobec tego odpowiedział na wszystkie pytania. Ludovic mógł zaczekać. W gruncie rzeczy mamy czas, stwierdził w duchu.

## 46.

Strafa zostawił podniesione żaluzje.

W biały dzień.

To, co u ogółu śmiertelników było czymś normalnym, u starego magika stawało się intrygująco wyjątkowe.

Hugo spostrzegł to już w środę rano, a ponieważ akurat miał wolne, wiedział, co będzie robił.

Alice nie odpisała na jego dwa e-maile. Odkąd zostawił na jej poczcie głosowej wiadomość, minęło osiem dni, a ona ani razu nie oddzwoniła do Lily – Hugo zadrezczał ją, by poszła sprawdzić na wierzchołek Wieży. Oczywiście Alice miała prawo zmienić numer, nawet adres e-mailowy, miała nawet prawo do milczenia, jeśli pragnęła spalić za sobą mosty, ale że nie przysłała nawet zwykłego „cześć, u mnie w porządku, nara” albo czegoś w tym stylu – Hugo nie oczekiwał niczego więcej – to było trudne do przeknięcia. Nie pojmował tego, to tylko nasilało jego obsesję na punkcie Strafy.

Obiecał Jinie wspólny obiad, i obawiał się, że nie wystarczy mu czasu, by dotrzeć do zameczku, porządnie poobserwować, bo już przyjdzie pora wracać, dlatego zaplanował wyprawę na popołudnie. Przy stole Jina uprzedziła jego pytanie.

– Tak, rozmawiałam z Exhellem. Zresztą nie dał mi wyboru. Wkurwiacie mnie z Lily tą ciągłą dziecinadą i tym, że wciąż zostawiacie mnie z nim samą.

– Co powiedział?

– Że przed nim była jakaś dziewczyna, nie poznał jej, pracowała przez rok, a potem pojechała w siną dal. Z kolei przed nią był jakiś gość, ten, który położył sieć internetową w ośrodku. Exhell się przechwala, że od swojego przyjazdu ją unowocześnia.

– To wszystko?

– No tak, a czego się spodziewałeś?

– Podał ci ich nazwiska?

– Hugo, to była rozmowa, nie przesłuchanie.

Troje informatyków w ciągu ilu lat? Najwyraźniej młodych, którym siedzenie w jednym miejscu musiało się prędko nudzić. Nic w tym nadzwyczajnego. Hugo czuł, że zabrnął w ślepią uliczkę, i to go złościło. Kto pomógł Strafie zwerbować go przez internet? Tamta dziewczyna, której już nie ma? Podobnie jak Alice... Nie. Nie powinien znów iść w tym kierunku. Pomimo wieku Strafa mógł to zrobić sam. Jina właśnie wymachiwała ręką przed twarzą Hugona.

– Halo, Księżyc, tu Ziemia, to znaczy jakiś zakątek zagubiony gdzieś między Ziemią a Alpami. Jesteś tu?

– Przepraszam. Zamyśliłem się.

– Prawdziwa rzadkość.

Od kiedy spotkał ją po raz pierwszy, wieczorem po swoim przyjeździe, w akwariu, Jina zachowywała się z rezerwą w stosunku do wyniosłej Alice. Koniec z dyskrecją, słodyczą, teraz, gdy mogła mówić swobodnie, nie szczędziła uszczypliwości, obelg... Pod wpływem alkoholu. Często piła, to prawda. Nie aż do tego stopnia, by się o nią martwić, ale blisko, ocenił Hugo. Czy w wieku dwudziestu pięciu lat było to raczej mało zaskakujące, czy przeciwnie, źle wróżyło? Hugo już sam nie wiedział, jaki właściwie jest, chociaż nie był dużo starszy, ale samo rozważanie tego w takich kategoriach czyniło z niego człowieka, który przeszedł na drugą stronę, pomyślał z niechęcią.

– Mam mu zrobić laskę, żeby wyciągnąć jakieś nazwiska?

Hugo zamrugał.

– Co? – wymamrotał, uzmysławiając sobie, że Jina nie piła przy stole wina.

– Nie słuchasz mnie, mogłabym wygadywać nie wiadomo jakie paskudztwa. Obiad z tobą jest naprawdę spoko!

Hugo usilnie starał się być obecny, ale myślami rzeczywiście błądził gdzie indziej, Jina miała rację. Ledwie wyszedł z kantyny, pognął na wschodnią stronę ośrodka, przez łąkę, prosto do zameczku Strafy. Teraz miał w nosie, że mogą go zobaczyć, był już ponad to.

Wkroczył na drogę w połowie wysokości i podązał nią aż do stóp budowli o niekształtnej architekturze. Zajął pozycję na stercie drewna na uboczu, częściowo zasłoniętej przez niskie leśne gałęzie. Dlaczego Strafa podniósł żaluzje akurat dzisiaj? Czyżby przyjmował gości? Przed domem

nie parkował ani jeden pojazd, w środku też nie dostrzegł oznak życia. Lecz okna salonu były bardzo wysokie, przypomniał sobie, zbyt wysokie, by dało się zobaczyć, czy jest tam jakiś ruch. Na wzmiankę o salonie Hugonowi wróciło wspomnienie tapiserii i wynurzających się ze skrzyni diabłów za plecami biesiadników. Czyżby to była metafora sytuacji Strafy czy też wszystkich jego dawnych widzów?

Wszystkich ludzi, którzy przyjeżdżają się rozerwać tutaj, do Val Quarios... Nie płacą dużo, bawią się, a na koniec pobiera im się po cichu, niepostrzeżenie opłatę do uiszczenia. Kawalek ich samych. Ten najlepszy. Porcję energii, która nosi ich po ziemi.

Hugo skrzyżował ręce na piersi. A jeśli to dotyczy także jego? Nie, ja nie czerpię przyjemności, ja przyjechałem do pracy. Ja daję... Jego związek z Lily się nie liczył. Była to wzajemna relacja, za obopólnym przyzwoleniem. O nic nie prosił, żeby doszła do skutku.

Tkwiał tak ponad dwie godziny, niczego nie widząc, i korciło go, by zawrócić, ale zmienił zdanie. Nie czekały na niego żadne obowiązki. Wykazał się więc kolejną dozą cierpliwości, wpatrując się w okna i drzwi. Intrygował go obszerny witraż w wieży. Hugo był przekonany, że to gabinet Strafy, jego jaskinia.

Przecież nie mogę tam wtargnąć. Za pierwszym razem niespecjalnie mu to przeszkodziło, chociaż mógł udawać, że nie jest zorientowany, że w swojej naiwności wpadł się przywitać, zastał otwarte drzwi i martwił się o leciwego właściciela... Jasne.

A czy jeśli Hugo się zbliży, drzwi ponownie się otworzą? A jeśli on chce mnie widzieć? Jeśli umyślnie próbuje mnie tu zwabić? Hugo wyobraził sobie nagle, jak przyczajony za jednym z okien Strafa od jakiegoś czasu go obserwuje, z krzywym uśmiechem w kąciку ust. Nie, to bez sensu, po co miałby to robić?

W górę zbrocza posuwał się motocykl. Hugo przeszedł za stertę drewna i kucnął, by się schować.

Bez zdziwienia rozpoznał Simone, jak poprzednim razem. Mimo swojego wieku jeździła skuterem, zauważył z podziwem i zarazem z podejrzliwością. Chwyciła głowę diabła i kilka razy mocno uderzyła.

Drzwi w końcu się otworzyły i tym razem wyszedł przez nie wytatuowany Merlin. Co ty tu robisz, do cholery?

– Wszystko poszło dobrze? – zapytała Simone.

– Bezbłędnie.

– Nie opuściłeś żaluzji.

– Szlag. Mam wrócić?

Simone przytaknęła po krótkim wahaniu.

– Nie spodoba mu się, jeśli będzie musiał to zrobić sam, chodź.

Zniknęli w zameczku i wkrótce automatyczne żaluzje opadły, pogrążając wnętrze w ciemności.

Czego, u licha, szukał tutaj Merlin? W czym jego umiejętności... Hugo klepnął się w czoło. On jest złotą rączką. Jeżeli Strafie naprawdę nikt w środku nie usługuje, od czasu do czasu musi potrzebować kogoś do drobnych prac porządkowych.

Hugo zaklął w swoim kącie. Przez całe popołudnie sterczał z tyłkiem na klockach drewna tylko z tego powodu. Żeby pilnować sprzątaną. Zdenerwowany pohamował się, by nie odejść natychmiast. Zaczeka, aż obie płotki wyjdą, aż znów będą rozmawiać i wymuski im się jakaś bomba. Oboje pojawili się, wsiedli na skuter i ruszyli w tym samym ślimaczym tempie, tymczasem Hugo nie posunął się ani o krok do przodu.

I to wszystko po to, powtarzał sobie. Czuł potrzebę, żeby się wyżyć, porządnie potrenować, aby rozładować frustrację. Wieczorem zobaczy się z Lily i ta myśl wystarczyła, by go uspokoić.

Dosyć marnowania czasu. Nie zejdzie na dół drogą, tylko przez las.

Trudno, jeśli to wymaga przedzierania się przez wyjące w pniach twarze, po prostu spuści wzrok.

Gdy Hugo zanurzył się między milczące jodły, domyślił się obecności nieco w dole wykrzywionych ust. To nie był najprzyjemniejszy kierunek. Chłopak znajdował się po złej stronie, tej od zdeformowanych cierpieniem rysów. Przygotował się na to w duchu. W końcu to tylko rzeźby w korze i drewnie.

Nie przygotował się jednak na to, co zobaczył jako pierwsze, toteż aż zeszywniał. Pojawiła się kolejna twarz. Biała, jeszcze niewyglądzona przez deszcz i wiatr. Idealnie obrobione drewno, by pokazać krawędź rozchylonych warg, zmarszczki wokół zapadniętych oczu. Maski jakby wyskakiwała z drzewa. Hugo spodziewał się, że poczuje błagalny oddech ulatujący z głębi tej udręczonej gęby. Żywica pozostawiła smugi, spływając niczym krew.

Hugo z miejsca rozpoznał te rysy zastygłe w potwornej męce.

Alice.



Zaraz poniżej z roślinnego więzienia próbowały się uwolnić dziesiątki kolejnych osobników, a wszyscy wykrzykiwali swój ból. Spoglądali na Hugona, błagając, by zrobił cokolwiek.

U stóp wzgórza podniósł się wiatr. Lodowaty. Potrząsał gałęziami i zawodził jak skarga umarłych.

## 47.

Nie sposób było przeszukać każdy najgłębszy zakamarek. Zbyt dużo pokojów, apartamentów, korytarzy, magazynów i piwnic. Hugo nigdy nie zdołałby sprawdzić całości, aby znaleźć jakąkolwiek wskazówkę co do tego, co się stało z Alice. I choćby nawet mu się wyjątkowo poszczęściło, nie miał gwarancji, że natrafi na najdrobniejszą źle wytartą kroplę krwi – nie był technikiem kryminalistyki, nie potrafił odkryć miejsca zbrodni bez odpowiednich narzędzi. Wiedział jednak, że nie powinien dłużej się chować za mgliście pocieszającymi teoriami, Alice rozplynęła się w powietrzu i nie dało się tego w żaden sposób wyjaśnić. Ona nie żyje. Należało spojrzeć prawdzie w oczy. Przestać się oszukiwać. Koniec uników.

Przekonała go rzeźba krzyczącej Alice w drzewie. Zbyt długo próbował odwracać wzrok, wmawiać sobie, że jest tylko w jego głowie. Tym razem miarka się przebrała. Pognał do siebie po telefon komórkowy, upewnił się, że po ostatnim słuchaniu muzyki bateria się nie wyczerpała, po czym poszedł do Wieży. Wspiął się po służbowych schodach do biur i odstawił przed oknem taniec w poszukiwaniu zasięgu. Gdy wybrał numer Alice, znów się odezwała poczta głosowa.

Nie, ona nie zmieniła telefonu, nie, nie jest zajęta. Spotkało ją coś złego! Właśnie to oznacza jej twarz w lesie pod zameczkiem! To podpis! Ona weszła w skład kolekcji Strafy!

Kolejny wniosek przyprawił go o gęsią skórę. Wszystkie te twarze, wszyscy ci ludzie... Ile było rzeźb w drewnie przed tą przedstawiającą Alice? Dwadzieścia? Trzydzieści? Jeszcze więcej?

Hugo posuwał się wzdłuż wyciągów, mając domki szwajcarskie po lewej stronie. Musiał się zastanowić. Czy zawiadomić gliny już teraz? Nie, wcale nie musiał się na tym znać, by wiedzieć, że nie rozpoczną dochodzenia z powodu dorosłej kobiety, która postanowiła zwinąć żagle i kazać o sobie zapomnieć dawnym kolegom. Oni potrzebowali namacalnych dowodów. Ciąła.

Tymczasem to nie było znów takie jasne nawet dla samego Hugona. Na początek rola dyirekcji ośrodka. DePrigent mógł się przygotować na ewentualność schwywania w pułapkę. Adele też. Mógł być w to również zamieszany gość, który podawał się za taksówkarza (i najwyraźniej nie kłamał). Trójka zabójców Alice? Mimo wszystko szyte zbyt grubymi nićmi. Sami sześćdziesięciolatekowie. Niekoniecznie typowi napastnicy, mordercy. Czyżby Strafa mógł ich nastraszyć do tego stopnia, żeby zamknąć im usta? Czyżby obmyślił swój numer, żeby ją usidlić, jak tylko przyjedzie do doliny? Za plecami wszystkich. Zanim wsiądzie do pociągu? Nie, Hugo przeczuwał, że to się stało tutaj. Na terytorium Strafy. Dalej magik był nikim. Tutaj był panem.

To las jest ich autorem, powiedział, mając na myśli totemy. Chciał się otoczyć tym, co kochał. Tymi, których kochał?

Wtem Hugo spostrzegł Ludovica schodzącego po długiej łące, która zimą zamieniała się w trasę zjazdową. Mężczyzna kończył właśnie dzień pracy. Hugo głowił się, co też porabiał na górze, po czym uświadomił sobie, że Lily wspominała o szopie na sprzęt do wyciągów. Był przekonany, że Ludovic nie wyśpiewał jeszcze wszystkiego, co wie. Że jeśli chce zyskać w nim ewentualnego sojusznika, musi pomóc mu się pozbyć chorobliwej nieśmiałości. Czyżby nadszedł ten moment? On coś widział. Jestem tego pewien. Musiał jednak znaleźć sposób, by zaskarbić sobie jego zaufanie. Jeśli Ludovic nie powiedział Lily nic więcej, będzie milczał jak grób również przy Hugonie, o ile ten nie wymyśli dobrego powodu, by nakłonić go do zwierzeń. Dumał nad tym, co powinien zrobić. Logiczne następstwo. Muszę popatrzeć na to pod innym kątem. Zobaczyć wszystko w szczegółach, punkt po punkcie. Może jakiś detal mi umyka...

Popatrzeć pod innym kątem...

Hugo dostrzegł Latarnię Morską i jej białe kolumny podpierające kopułę, symbol Val Quarios. Nie znajdzie tam odpowiedzi na swoje pytania, mimo to miał ochotę wdrapać się na górę. Po raz pierwszy to nie Lily była najważniejsza. Pal licha, jeśli późno wróci, to było istotne. Czym prędzej pomknął do budynku C, przeciął go, by za kuchniami poszukać schodów – znalazł je przy chłodniach i spiżarniach. Wszystkie poziomy włącznie z piwnicą obsługiwała winda towarowa. Hugo pamiętał, że w podziemiach ciągnie się tunel prowadzący od Tetryka do budynku D i wychodzący na rampy wyładunkowe tuż pod jego stopami. Windy to nie dla mnie.

Ruszył po schodach i wkrótce zapiekły go uda. Bez trudu odnalazł dostęp do służbowego szybu, który wiódł aż na szczyt Latarni Morskiej. Gdy pchnął ukryte drzwi, znalazł się pośrodku kopuły, chłostany wiatrem, tuż pod olbrzymim dzwonkiem wiatrowym. Jego rurki, wycięte z całych drzew, nieruchome, przytrzymały łańcuchy godne kotwic tankowców. W ciągu pięciu tygodni Hugo nieczęsto go słyszał i w gruncie rzeczy tak było lepiej – jedynie burze potrafiły go poruszyć i nakłonić do „śpiewu”.

Błąkając się u stóp kolumnienek, odkrył kręte schody, które prowadziły na górę. Zdobywszy się na kolejny wysięk, dotarł do bardzo wąskiego sklepionego przejścia, a gdy je pokonał, znalazł się w samym środku Latarni Morskiej, następnie po stalowych prętach wbitych w kamień dźwignął się aż do budki strażniczej, która górowała nad budowlą.

Tam doznał uczucia, że jest królem Val Quarios, siedzącym na ciasnym i samotnym tronie. Perspektywa mających swój początek poniżej długich budowli, które ciągnęły się aż do krawędzi urwiska, zapewniała mu złudzenie, że stanowi serce posiadłości. Jego źródło. Ciepłe powietrze rozwiewało mu włosy. Hugo uchwycił się balustrady i pozwolił oczom błądzić. Po to tu przyszedł. Dryfować, aż uchwyci się jakiegoś podejrzenia, wczepi się pazurami w jakiś opuszczony punkt w zasięgu wzroku i złapie się go w nadziei, że zaprowadzi go do krainy oczywistości. Nic się jednak nie pojawiało. Tylko prądy denne, które pchały go donikąd, wiatr niosący mżawkę pachnącą trawą, pyłkami i chlorofilem.

Gdy patrzył stąd, rozległość ośrodka uprzytomniła mu, że tak naprawdę nie sposób wszystko sprawdzić. Nie miał żadnych szans. Słońce bawiło się szczytami na zachodzie, za którymi wkrótce się schowa. Lily będzie czekać.

Hugo odwrócił się w stronę zameczku Strafy, gdzie witraż w wieży łapał ostatnie promienie dnia. Czy powinien zakraść się do środka? Zbadać jego trzewia, licząc na to, że odkryje prawdę? Jak głęboko był gotów szukać? Jak silne były teraz jego przekonania? I na jak długo jeszcze wystarczy mu zapachu? Westchnął.

Po drugiej stronie cienie domków szwajcarskich kładły się równo aż do starej Wieży. Niemal anachronicznej na tle tego nowoczesnego krajobrazu. Jakże proste, jakże czyste, jakże zwyczajne linie przed oczami, kontrastujące z zagmatwaną prawdą i jej meandrami, rozwidleniami, ślepymi zaułkami.

Jakże proste linie...

Oczywiste trajektorie, które mógł połączyć kropkami.

Jakże proste linie...

Hugo zacisnął gwałtownie palce na poręczy. Wychylił się, by mieć lepszy widok na Latarnię Morską w dole i zyskać bezpośredni obraz całości.

Nie, to niemożliwe...

Przeszył go dreszcz.

A jednak...

Coś tak oczywistego. Właśnie tam. Przed jego oczami. Od samego początku.

Przed oczami wszystkich.

Strafa pogrywał z nimi od pierwszego dnia.

Na długo przed przybyciem Hugona.

## 48.

Lily wstała i zamknęła drzwi apartamentu na klucz.

– To naprawdę jej twarz? Nie masz żadnych wątpliwości? – zapytała.

Hugo przytaknął.

– Prawdopodobnie jestem najgorszym znawcą fizjonomii w całej dolinie, ale mogę cię zapewnić, że to ona. Tak wiernie oddana, jakby Strafa zanurzył jej twarz w gipsie i zrobił odlew.

Hugo nastawił się na sprzeczkę – nie mógł już dłużej udawać, musiał się podzielić z Lily myślami, które kłębiły mu się w głowie – tymczasem dziewczyna wysłuchała go, nie przerywając, a na koniec wzięła go za rękę. Co potwierdziło jego podejrzenia: Lily zawsze miała wątpliwości. Odkąd usłyszała pogłoski na temat tych wypadków, tych zaginięć. Nie aż do tego stopnia, żeby wysunąć jakąś dziwną teorię, akurat tyle, by gdzieś na dnie umysłu ciągle paliło jej się światełko, małe lampka na wszelki wypadek, która rozbłysła mocniej, gdy udali się razem do Strafy, po czym stała się na powrót słabym światełkiem, ponieważ trudno im było w to wszystko uwierzyć.

Wzmianka o nieodebranych telefonach i e-mailach w połączeniu z wiadomością o twarzy Alice wyrzeźbionej w pniu wystarczyła, by lampka ponownie mocniej rozbłysła. Hugo czuł, że jego towarzyszką martwi się losem Alice, z którą zaprzyjaźniła się przez zimę. W jej głowie też w każdej chwili mogło zapłonąć ostrzegawcze światło. Postanowił ją dobić ostatnim argumentem:

– Plan ośrodka nakreślony przez Luciena Strafę nie jest przypadkowy. Lily, jeśli połączysz kropki każdego budynku, włączając zameczek i wieżę, Val Quarios przedstawia pentagram. Od wierzchołka Latarni Morskiej aż do fundamentu Dużego B, dalej poprzez zameczek aż do Wieży, a potem do krańca Tetryka, następnie w górę do Latarni Morskiej. Ten drań za pomocą murów stworzył pentagram! Val Quarios stoi na planie pentagramu, to aż bije po oczach i od zawsze jest na wyciągnięcie ręki...

W spojrzeniu Lily, które powędrowało ku niemu, nie wyczytał ani odrobiny zaskoczenia.

– Co? Wiedziałaś? – zdumiał się Hugo.

– Nie jestem architektem, ale od trzech lat jeżdżę po trasach nad Val Quarios, jasne, że zauważyłam. Zresztą jak wszyscy.

– Ale...

– Ty widzisz pentagram, a wielu ludziom budynki nasuwają skojarzenie z gigantycznym A, jak w słowie Strafa. A nawet jeśli to pentagram, co to zmienia?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Wtedy, kiedy się zastanawialiśmy, czy mógł sprzedać duszę diabłu? To się trzyma kupy, potwierdza tę teorię!

– Widzisz to, co chcesz widzieć, nie obiektywną rzeczywistość. To może być A od Strafy albo odnoszący się do magii pentagram, na którym prestidigitator jego kalibru mógłby chcieć się wzorować, to mnie nie dziwi.

Hugo pomachał palcem.

– Nie, nie pentagram, jaki można znaleźć w książkach o ezoteryce, Lily, zapominasz o jednej rzeczy.

Hugo wstał i wskazał okno, a za nim dolinę w oddali.

– Kierujemy się na północ – powiedział. – Czyli teoretycznie, gdyby chciał narysować pentagram, o którym mówisz, zrobiłby to w przeciwnym kierunku, tak żeby celował w górę. A Strafa nie jest typem człowieka, który robi coś na pół gwizdka, tym bardziej który się myli. Wybrał ten właśnie kierunek, ponieważ to odwrócony pentagram. Wiesz, co to znaczy?

W jej oczach coś się zmieniło, wątpiła, jak domyślił się Hugo. Zakończył swój wywód:

– Odwrócony pentagram to symbol diabła.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Lily przetrawiała tę rewelację, wodząc wzrokiem na boki i szukając kontrargumentów, ale nie potrafiła ich znaleźć.

– Moim zdaniem zrobił coś złego Alice – upierał się Hugo.

– O kurwa... – westchnęła zgnębiona Lily.

– Jeszcze nie umiem tego udowodnić, ale jestem o tym przekonany.

– Trzeba zawiadomić żandarmów.

– Każą nam się walić albo w najgorszym razie, jak tu wpadną, żeby nas przesłuchać, uznają przy wszystkich kolegach za świrów, potem się rozejrzą, a na koniec zwiną manatki, bo nic nie znajdą, w dodatku Alice

jest w takim wieku, kiedy człowiek nie daje znaku życia i niekoniecznie trzeba się tym zamartwiać.

– Hugo, jeśli twoje słowa okażą się prawdziwe, nie możemy siedzieć z założonymi rękami.

– Nie mam takiego zamiaru.

– Więc co?

– Trzeba zdobyć jakiś dowód, którego gliny nie będą mogły zignorować.

– A jak chcesz się do tego zabrać?

Lily położyła dłoń na udzie Hugona. On uświadomił sobie, że jest tak zdenerwowany, że jego wyobraźnia galopuje w szaleńczym tempie.

– Jeszcze nie wiem, ale obiecuję, że coś znajdę.

Wahał się, czy nie wspomnieć o windzie i zakupach, ale się powstrzymał. Gdzieś na dnie umysłu czał się cień zwątpienia. Odrobina rozsądku, która nie pozwalała mu całkowicie wykluczyć, że wszystko to dzieje się tylko w jego głowie. A zatem, że zwariował.

Gdy obudził się tej nocy, Lily leżała wtulona plecami do niego. Po oddechu słyszał, że śpi. Wypełniało go jej ciepło. Jej skóra go urzekała, podniecała. Wcześniej się kochali i pozostali nadzy.

Musiało być późno albo bardzo wcześnie. Przez podwójne zasłony sączyło się bladoniebieskie światło. Hugo uzmysłowił sobie, że nie obudziło go pożądanie, tylko jakaś myśl. Do tej pory nawet nie powstała mu w głowie, teraz jednak, gdy przebiła się przez stan połowicznego odrętwienia, wiedział, że często będzie go wrywać ze snu.

A jeżeli Strafa nie zamierza na tym poprzestać?

Jeżeli Hugo jest następny? Czy nie to właśnie oznaczały wbite w jego oczy pinezki?

Gorzej: a jeżeli Lily jest następna?

Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna z miejsca odrzuci ten argument, jeśli on o nim napomknie. Przebywa tu od trzech lat i nikt nigdy nie próbował jej skrzywdzić, dlaczego więc teraz? I będzie miała rację. Tylko że... Strafa nie nastawał na własne owieczki. Przynajmniej dopóki okazywały się przydatne. Ale wystarczyło, by zechciały go opuścić...

Właśnie to spotkało Alice. I być może innych przed nią. To oznaczało, że Lily nic nie grozi, do momentu aż pozostanie w Val Quarios. Czy zatem to samo dotyczy jego?

Są skazani na życie tutaj tak długo, jak uzna za stosowne właściciel posiadłości.



Para potępieńców.

## 49.

Hugo musiał opracować jakiś plan.

I zrobił to od razu rano.

Był przekonany, że ukryty w układzie ośrodka pentagram to niejedyna tajemnica Val Quarios. Strafa lubił się zabawiać z publicznością, pokazywał, że trzyma coś w jednej ręce, tymczasem w ciemności wykonywał jakieś ewolucje drugą. Z pewnością tak samo było z jego matecznikiem. Jego świątynią.

Hugo wałkował ten pomysł na wszystkie strony przez cały poranek, podczas gdy okrzesywał pień modrzewia. Wykorzystał jeden z ostatnich dni na zewnątrz, które jeszcze długo nie miały się powtórzyć, ponieważ stary Max wcześniej rano przyszedł mu zakomunikować, że jak tylko skończy z JC, będzie musiał pomóc Armandowi w Dużym B, a potem przyda się albo Jinie przy odnawianiu kwater, albo jemu i Lily przy woskowaniu nart. Zatem jeden z ostatnich dni, kiedy mógł się wałęsać, gdzie mu się żywnie spodobało, po całym ośrodku, pod pretekstem, że chce się upewnić, czy żadne drzewo nie domaga się pieszczot jego piły.

Hugo łamał sobie głowę, żeby zrozumieć. Co też Strafa uknuł, kreśląc plany tego miejsca? Czyżby w samej podstawie pentagramu kryła się jakaś tajemnica? Latarnia Morska. Była to wyjątkowa budowla, nietypowa w wysokich górach. Ale przecież Hugo ją zwiedził i oprócz dzwonka wiatrowego o kolosalnych proporcjach nie dostrzegł tam żadnych osobliwości ani okultystycznych znaków. Ewentualny trop stanowiły domki szwajcarskie. Hugona uderzyła ich liczba. Sześć. Liczba diabła wynosi 666, czyli tyle, ile przedstawień dał Strafa przed swoim zniknięciem. Wszystkie domki stały odizolowane, starannie oddzielone ścianą drzew iglastych. Z dala od ludzkich spojrzeń i uszu. Było ich dostatecznie dużo, żeby zamydlić oczy, jak w grze w trzy kubki. Który z nich strzegł sekretu Strafy?

Ostatni. Ten, w którym wieczorem go zobaczyłem.

Tylko że Hugo już obejrzał to miejsce, ale bez powodzenia. Czyżby należało tam wrócić w biały dzień?

Jego owczarnia mieściła się w długich budynkach mieszkalnych, Dużym B i Tetryku. To tam gromadził stado, żeby je strzyc. Dwie niekończące się zagrody, które stanowiły serce pentagramu, jednocześnie nadając mu całe swoje znaczenie. Nie, to nie było tam. Hugo nie przypuszczał, żeby Strafa upchał swoje zasoby razem z ołtarzem, nie był człowiekiem, który miesza to, czym gardzi i co traktuje instrumentalnie, z tym, co mocno kocha. Jednakże idea lustrzanego budynku była interesująca, podobnie jak obie dłonie magika. Jedna przyciąga wzrok, robi show, zaś druga wykonuje prawdziwą sztuczkę.

Myśl ta zbiła Hugona z tropu. Piła wgrzyzała się z rykiem w kore, po czym zoczyła z kursu i o mało nie przecięła mu nogi. Hugo zorientował się w ostatniej chwili, wykazując się błyskawicznym refleksem, łańcuch musnął go w obłoku spalin. Powinien się skupić. To nie był odpowiedni moment, żeby skończyć w szpitalu. Byłby to sposób równie dobry jak każdy inny, żeby opuścić to miejsce, dopóki jeszcze mogą, nie?

Pokręcił głową. O czym myślał, kiedy prawie przekroił sobie udo? To było istotne, skojarzenie, które właśnie mu się nasunęło... W mordę! Górowała nad nim masa Dużego B, w jego oknach odbijało się niebo i pióropusz białych chmur.

Dwa długie budynki... Jak dwie dłonie magika, który wykonuje sztuczkę. Symetria.

Hugo wyłączył piłę.

Punkt wyjścia stanowił zameczek Strafy, newralgiczny środek. To, czym przyciągał spojrzenia. Dłoń, którą wymachiwał w blasku światła.

Po przeciwnej stronie była druga, która w ciemnościach wykonywała sztuczkę. Lustrzane odbicie zameczku stanowiła właśnie...

Wieża. Stara. Już obecna, zanim jeszcze wszedł w posiadanie tej ziemi.

Wówczas pojawiło się kolejne przypuszczenie. A jeżeli Strafa nie wybrał tego miejsca przypadkowo? Jeżeli powodem jego przybycia w góry było nie co innego jak ta wieża, która powstała tu jako pierwsza?

Hugo podniósł wzrok ku urwiskom, nad którymi dominował rząd domków szwajcarskich. A za nimi kamienny stożek, idealny kontrpunkt dla donżonu przy zameczku Strafy.

Hugo wiedział, co mu pozostało do zrobienia.

## 50.

Wieża rzucała cień aż do stóp Hugona, jakby ostrzegała, by się nie zbliżał. Jej nieliczne okna, szare niczym woda w jeziorze w burzowy dzień, szpiegowały go.

Hugo wpadł do statku matki, by odstawić sprzęt, nie dbał o to, że nie dokończył dziennej porcji roboty, w razie czego coś wymyśli i wytłumaczy się przed JC. To, co mu chodziło po głowie, nie mogło czekać.

Wewnątrz panował chłód, od progu sali kinowo-konferencyjnej, z obitymi na bordowo ścianami i wytartą aż do osnowy wykładziną, czuć było wilgoć. Wprawdzie w swoich podejrzeniach Hugo wykluczył salę widowiskową, mógł się jednak mylić, toteż wołał szybko się rozejrzeć. Z powodu okrągłego kształtu, imponującej wysokości, zwartych i bardzo stromo ustawionych rzędów siedzeń nie do końca przypominała typową salę kinową, ale zdawał sobie sprawę, że środki na jej wyposażenie były ograniczone. Nie dostrzegł ani śladu pentagramu czy najdrobniejszego oczywistego symbolu ezoterycznego. Jeżeli Strafa ukrywał część swoich tajemnic w Wieży, to nie tutaj.

Hugo już miał wyjść, lecz zwolnił, mijając scenę. A jeśli... To by oznaczało, że porządnie zagrał wszystkim na nosie. Cała scena miała półtora metra wysokości i zasłaniała ją czarna aksamitna kurtyna. Po obu stronach zamocowano niewielkie kratki szybów wentylacyjnych. Czyżby pod spodem istniało jakieś ukryte pomieszczenie? Hugo wdrapał się na deski, odsunął kurtynę i zerknął do środka. Zobaczył tylko dość ciasną przestrzeń i ekran. Gdy ujrzał w półmroku stopnie, szedł po nich do maleńkiej klitki z elektryczną konsolą i wyłączonymi monitorami. Nic specjalnie zaskakującego, biorąc pod uwagę obsługę świateł, projektora... Tymczasem pod scenę wiodły kolejne, jeszcze węższe schody, zakończone na dole czarnymi drzwiami.

Na szczęście Hugo pamiętał, by odpiąć od roboczego pasa latarkę i zabrać ją ze sobą na wypadek, gdyby musiał zbadać tego rodzaju

korytarz. Pchnął drzwi i przekroczył próg tak niskiej izdebki, że był zmuszony lekko się pochylić. Nie szukał włącznika światła, chcąc zachować jak najdalej posuniętą ostrożność, mimo że w Wieży nie było nikogo. Nigdy jednak nie wiadomo. Stojaki pełne wieszaków i pstrokatych kostiumów, a także skrzynie pękające w szwach od rekwizytów wystarczyły, by pojał, gdzie się znajduje. Dwa stoły z lustrami okolonymi żarówkami utwierdziły go w przekonaniu, że to garderoba. Godna byle chałturnika, a nie prestidigitatora rangi Strafy.

Dla świętego spokoju Hugo omiół snopem światła każdy mebel. Uważnie obejrzał drewniane klepki podłogi, ale nie dostrzegł ani jednej częściowo zatartej osobliwej figury geometrycznej. Stał za jedną z krtek wentylacyjnych. Przy oświetleniu na sali dałoby się rozróżnić twarze. Czyżby Strafa pojawiał się już tutaj, by obserwować swoje ofiary? Wybierać je? W jaki sposób mogło się odbywać wysysanie energii witalnej? Czy był to złożony rytuał, który musiał odprawiać blisko zdobyczy, czy też obrzęd wpisany w sam ośrodek, odbywający się powoli, nieprzerwanie?

Hugo wrócił na scenę i opuścił salę widowiskową, następnie ruszył po służbowych schodach, które pokazała mu Lily, a które wiły się wokół całej Wieży, po wewnętrznej ścianie, aż pod sam dach. Tam mógł zgasić latarkę, przez okna bowiem, ciągnące się wzdłuż całego obwodu sali, przedostawało się popołudniowe światło. Puste biura, krzesła poustawiane jedno na drugim albo osłonięte pokrowcami. Zimą musiało to przypominać małe mrowisko na otwartej przestrzeni, gdzie trudno zauważyć obecność kogoś niepożądanego, miejsce barbarzyńskich albo mistycznych aktów. I znów, aby niczego nie przeoczyć, Hugo dokładnie wszystko przepatrzył, zajrzał pod biurka, obmacał ściany, otworzył szafę (pustą) oraz drugą wnękową (pełną zapasów). Obszukał cały budynek i niczego nie znalazł.

Czego się spodziewał? Jeśli Wieża odgrywała rolę dłoni w ciemności, tej, która wykonuje prawdziwą sztuczkę, to nie mogło rzucać się w oczy, Strafa by nie ryzykował, że tak łatwo zostanie zdemaskowany. Czyżby to miało wyłącznie symboliczny charakter? Czyżby Hugo za daleko się zapędził?

Oparł się o parapet i wyjrzał na dół przez okno. Dostrzegł domki szwajcarskie... Czyżby popełnił błąd? Sprawdzałem już w szóstym i nic tam nie było. Czwarty też znam dzięki Lily i wiem, że nie ma tam nic ciekawego. A może powinien obejrzeć wszystkie?

Dokładnie u stóp Wieży Hugo dostrzegł metalową konstrukcję, która zimą zapewne podtrzymywała płócienną markizę, co mu przypomniało, że

w podziemiach mieści się również dyskoteka. Postukał trzykrotnie paznokciem w szybę. Musi to sprawdzić.

Znalazł wejście na tyłach budowli, szerokie schody prowadzące do podwójnych drzwi, nad którymi w kamieniu odcinał się jaśniejszy prostokąt, zdradzający obecność szyldu w pełni sezonu. Jaka nazwę mógł nosić ten lokal? Trzy kubki?

Hugo spodziewał się, że nie da rady wejść, ale drzwi nie były zamknięte na klucz. Przemierzył coś w rodzaju niewielkiego holu, z szatnią po jednej stronie i tabliczką informującą o toaletach naprzeciwko. Właściwa dyskoteka zajmowała niemal całą powierzchnię Wieży – miała okrągły bar w jednej części, okolony stołkami. Budynek wspierał się na umieszczonych pośrodku, w okręgu filarach, które wyznaczały coś, co zapewne było sercem parkietu tanecznego. Hugo puszczał po nim białe błyski latarki, rozcinając mrok, który natychmiast, ledwie chłopak odwracał się tyłem, zalewał wszystko z powrotem niczym płynne błoto.

Unosił się tu szczególnie zapach, mieszanina stęchlizny i resztek potu. Hugo posuwał się ostrożnie, lawirując między kanapami. Rozsiane wszędzie po trochu, na co najmniej tak samo licznych oddzielonych przestrzeniach, przytwierdzone do betonu reflektory czekały, aż ktoś je obudzi. Snop światła prześlizgiwał się po balustradach, wyściełanych poduszkami wnekach i ustawionej na podwyższeniu kabinie DJ-a. Hugo podszedł do kręgu filarów. Wyobraził sobie za każdym z nich przytulone pary, kołyszące biodrami, złane potem, z podniesionymi rękami, krzyczące w takt muzyki, bliskie wpadnięcia w trans.

Przy wystroju wnętrza i kolumnach przypominających krąg w Stonehenge, przy amoku publiczności, która tłoczyła się tu przez całą zimę, było w tym coś z ceremonii, pomyślał chłopak. W jaki sposób mógł wykorzystywać to Strafa? Czyżby kanalizował to uniesienie? Jak? Po co?

Hugo posuwał się powoli od kolumny do kolumny, szukając jakiegoś kabalistycznego rysunku, natchnienia. Nieomal czekał, aż zza krawędzi wyłoni się zniecka jakiś kształt. Pająk? Nie, nie tutaj. To nie było miejsce odpowiednie dla niego. Raczej jakaś przyklejona do ściany postać o alabastrowej skórze, której bladość podkreśli dodatkowo cynobrowa czerwień ran, odwrócona twarz, tył głowy, plecy i dłonie będą się zlewać z betonem, tak jakby cały ośrodek był jedną istotą delektującą się swymi ofiarami, które wypija z powolnością wiecznego cierpienia.

Przestań. Opanuj się. Powściągnij tę piekielną wyobraźnię.

Teraz Hugo błąkał się wśród sinych mężczyzn i kobiet o niebieskich wargach, zaczerwienionych oczach, kończynach zatopionych w ścianach, suficie, niekiedy nawet w podłodze, o poranionych bokach, oni przenikali przez samą strukturę Wieży, pozwalali się wsysać. Przez cienką skórę przesączały się ich fluidy, narządy ślizgały się nienormalnie jak grzbiety wypływających na powierzchnię ryb, które przywierają do betonu. Ich zbiorowy histeryczny krzyk przeradzał się w jęk, na który już prawie nie mieli sił. A wszyscy patrzyli na niego, błagali. Zrób coś dla nas. Uwolnij nas. Hugo czuł teraz metaliczny odór krwi, który zatruwał całą dyskotekę, wymieszany z kwaśnym smrodem moczu, mdlącym i ciężkim fetorem odchodów, kwaśnym zapachem żółci, potu... Wdychał strach.

Po drodze ich palce wczepiały mu się w ubranie, przytrzymując go, drapiąc, ciągnąc do tyłu, a kilkoro zrozpaczonych ust usiłowało ugryźć go, byleby tylko utrzymać się przy życiu, nie pozwolić się całkiem połknąć. Narastała kakofonia. Rozbrzmiewała wśród filarów.

Hugo zamknął oczy, chcąc wypuścić całe powietrze naraz. Doszczętnie opróżnił płuca.

Rzeżenie ucichło. Zaciśnięta na jego T-shircie pięść się rozluźniła i materiał znów przylgnał do ciała. Nawet śluzówka uwolniła się od smrodu.

Gdy ponownie rozejrzał się dokoła, nie było już nikogo. Jedyne snop drżącego światła, który zalewał parkiet nieskazitelnie białą aurą. W tym miejscu na podłodze widniały barwne plamy.

Hugo podszedł bliżej i ukląkł. Ciemne plamy. Mnóstwo. W większości prawdopodobnie stare. Po dokładnym zbadaniu okazało się, że są rozsiane wręcz wszędzie po całym betonie. Zupełnie jakby cała dyskoteka posłużyła do zbiorowego szlachtowania. Podziemna rzeźnia, satanistyczna muzyka zagłuszająca wrzaski wszystkich tych gardeł podrzynanych jednocześnie nożami, w których ostrzach odbija się stroboskopowe światło. Hugo muskał plamy opuszkami palców. Za daleko się zapędzał. Tak daleko, że wszędzie widział zło. To tylko ślady po wszystkich rozlanych drinkach, które nakładały się na siebie przez lata. Nic więcej. Ze szklanek potrącanych w tańcu łokciami. W tym miejscu nie przelano krwi, nie składano ofiar.

Hugo wstał i uznał, że dość już widział. Jeszcze jedna strata czasu. Po raz kolejny. Zawrócił alejką między kanapami, minął bar.

Koniec z tkwiącymi w ścianach ofiarami, koniec z przykrymi woniami i skargami. Po prostu klub nocny. Pusty. Obskurny.

Gdy wyszedł na powietrze, z ulgą powitał słońce i tlen, w którym nie unosiły się chmury kurzu. Przysiadł na schodach, żeby się zastanowić i przyznać przed samym sobą, że nie ma nic. Musiał się pogodzić z tym, że dał plamę.

Cień Wieży się wydłużył, teraz sięgał już prawie szóstego domku.

Hugo wreszcie się poddał, ale zamiast zawrócić, mimo wszystko zapragnął dokończyć obchód całego budynku. Nie wykrył niczego szczególnego, po chwili jednak obrócił się na pięcie, a wtedy wpadły mu w oko gęste zarośla z tyłu. Zauważył go bez trudu, tym bardziej że do samego wejścia prowadziła ścieżka. Mały kamienny szałas, prawdopodobnie sięgający tych samych czasów co Wieża. Ani jednego okna, tylko prostokątny kłoc jeszcze mniejszy od garażu. Tak naprawdę wcale nie był schowany, jedynie „zapomniany” wśród gałęzi na skraju lasu, w zakątku, którego nikt nie miał powodu odwiedzać.

Gdy Hugo się zbliżył, zdziwił go widok tablicy na drodze, z napisem: „Wstęp wzbroniony – niebezpieczeństwo”. Wyraźne ślady świadczyły o tym, że ktoś tędy przechodził, i to wielokrotnie.

Masywne wzmocnione drzwi pokrywały ostrzeżenia w tym samym tonie. Na środku połyskiwała czarna trupia czaszka, ucieleśniająca groźbę. Hugo położył dłoń na kłamce. Zamknięte. Był nie jeden, ale trzy różne zamki. Hugo wiedział, gdzie znaleźć klucze.

– To bardzo zły pomysł – odezwał się jakiś męski głos za jego plecami.



## 51.

Stary Max gładził siwe wąsy swoją ogromną dłonią, kciuk drugiej zaczepił o pasek. Stał u wylotu wąskiej ścieżki. Hugo odsunął się od przybudówki.

– Czy to rozdzielnia elektryczna? – zapytał.

– Przy prądzie masz szansę przeżyć. Ale nie z tym, co jest tam w środku.

– Co to jest?

Max przywołał go skinieniem głowy.

– Nic, co ciebie dotyczy.

Zrównawszy się z nim, Hugo, który nie zamierzał na tym poprzestać, drażył dalej:

– Co tu ukrywacie?

– Zawsze musi się znaleźć jakiś natręt, którego przyniesie aż tutaj. Kiedy nie umieszczaliśmy żadnych ostrzeżeń, żeby nie przyciągać ciekawskich, i tak przychodzili, a teraz, gdy jest wyraźnie napisane, żeby się nie zbliżać, tym bardziej przyłazą. Nie rozumiem, co tu nie jest jasne.

– Co to jest? Zbiornik gazu?

Max zatopił inkwizytorskie spojrzenie w oczach Hugona.

– Prewencyjne wywoływanie lawin, mówi ci to coś?

Hugo odwrócił się twarzą ku kamiennemu domkowi bez okien.

– Materiały wybuchowe?

– Pirotechnicy z patroli narciarskich używają ich do wysadzania warstwy śniegu, która w sezonie grozi powstaniem lawiny. Zimą gromadzimy je w różnych miejscach, a latem przenosimy zapasy tutaj. Nie wolno ci wchodzić do środka.

– A komu wolno?

Max patrzył na niego tak, jakby zadawał nieprzyzwoite pytania.

– Jaka to dla ciebie różnica?

– Czysta ciekawość.

Max odsunął się, by zrobić przejście, i tym samym machnięciem głowy nakazał mu iść dalej.

– Czy te wszystkie materiały wybuchowe tak blisko naszych kwater nie są dla nas niebezpieczne? – zdumiał się Hugo.

– Do najbliższego domku szwajcarskiego jest ponad dwieście metrów, a o tej porze roku i tak nikt w nim nie mieszka, poza tym kwatery są na drugim końcu, możesz spać spokojnie. Zresztą detonatory znajdują się gdzie indziej.

– Gdzie?

– Jesteś terrorystą?

– Co?

– Dlaczego zadajesz te wszystkie pytania?

Hugo wzruszył ramionami.

– To intrygujące.

– Detonatory są w skrzyni, reszta to nie twoja sprawa.

– To ty zarządzasz materiałami wybuchowymi? – nie dawał za wygraną Hugo. – Jesteś pirotechnikiem?

– Nie, nic z tych rzeczy.

Umysł Hugona pracował jak szalony. Urodzony w tych stronach, należący do patrolu narciarskiego i obsługujący ratrak zimą, jego profil pasował jak ulał.

– To JC – oznajmił.

Ze względu na swobodę, z jaką drwał zachowywał się w terenie, i całkowity brak lęku przy manewrowaniu piłą, Hugo bez żadnego trudu wyobraził go sobie na nartach, z plecakiem wypełnionym dynamitem na ramionach.

– To JC, prawda?

– Jego musisz o to zapytać – skwitował Max.

Czyli to JC. Nie chcąc rozdrażnić szefa „kameleonów”, Hugo wolał skapitulować. Zawrócił do statku matki, wiedząc, że wąsacz obserwuje go z daleka, po czym znalazł odpowiednie okno na górze i sam zabrał się do szpiegowania.

Max pokonywał właśnie zbocze z wyciągami. Hugo spostrzegł, że po długiej wspinaczce podchodzi do jakiejś postaci przy słupie. Ludovic.

Hugo zerknął na zegarek. Nie minęła siedemnasta. Miał jeszcze trochę czasu. Obecność Maxa nie zniechęciła go do realizacji własnego pomysłu.

Pół godziny później Max i Ludovic zeszli, niosąc skrzynkę z narzędziami, po czym udali się do pomieszczenia technicznego w podziemiach statku matki. Chłopak miał wolną drogę.

Hugo pognął na parter i wśliznął się do pokoju za jadalnią, otworzył metalową szafę, do której w dniu zniknięcia Alice zaglądała Lily. Wisiało tam kilkadziesiąt kluczy. Potrzebował pęku z trzema, żeby otworzyć trzy zamki. Większość opatrzona była zawieszką wskazującą, jakie pomieszczenie otwierają. Przepatrzył wszystkie po kolei, ale niczego nie znalazł. Zawiedziony powtórzył czynność, lecz też bez powodzenia. Nie wyobrażał sobie, żeby JC przez cały czas targał ze sobą te klucze, tym bardziej że przez całe lato ich nie potrzebował. Nie, na pewno gdzieś je chował. W swojej kwaterze? Hugo uznał za mało prawdopodobne trzymanie w kuchennej szufladzie kluczy do pomieszczenia z materiałami wybuchowymi.

Z pamięci wyłonił mu się obraz innych kluczy, które niedawno widział gdzie indziej. Chłopak usiadł w fotelu w niszy na antresoli i wypatrywał nadejścia DePrigenta i Adele. Ci wkrótce się pojawili. Odczekał dziesięć minut, aby się upewnić, że żadne z nich niczego nie zapomniało, następnie ruszył na górę, do ich biur.

Przed dziewięcioma dniami, szperając w rzeczach Adele w poszukiwaniu CV Alice, zauważył w jednej z szuflad skrzynkę pełną kluczy.

Jak zwykle drzwi nie były zamknięte. Hugo natychmiast odnalazł skrzynkę. Znajdowało się tam ze dwadzieścia kompletów, ale tylko jeden zawierający trzy klucze i opatrzony plakietką „MW”. MW jak materiały wybuchowe. To wcale nie jest zabezpieczone, wystraszył się Hugo. Każdy mógł zrobić dokładnie to samo co on. Tylko że trzeba by wiedzieć, dokąd iść, czego i w jakim celu szukać, a to z pewnością znacznie ograniczało możliwości.

Potrząsnął pękiem kluczy w garści. Po co czekać? Hugo ocenił swoje szanse, by niepostrzeżenie wrócić w tamto miejsce. Brakowało jakiegokolwiek osłony, olbrzymia otwarta przestrzeń ciągnąca się aż do Wieży była widoczna ze wszystkich okien po zachodniej stronie, nawet jeżeli nikt nie mógłby go już zobaczyć, gdyby znalazł się przy przeciwnej ścianie Wieży. Nie, to nie było ostrożne, nie teraz. Musiał poczekać do nocy.

Wieczór bez towarzystwa Lily mógł spędzić w swoim apartamencie. Nie potrafiąc się skupić na lekturze, w końcu włożył adidasy i poszedł się

zmęczyć na bieżni na siłowni, po czym wziął prysznic i z tego, co znalazł w lodówce, przygotował sobie kolację.

Za każdym razem, gdy spoglądał na zgrzewkę coca-coli zero pod zlewem, powracał myślami do epizodu w windzie. Od tamtej pory nie był w stanie otworzyć ani jednej butelki z tym napojem. Na próżno sobie wmawiał, że to był numer Strafy, rodzaj umysłowej manipulacji – cień wątpliwości pozostawał. Hugo nie umiał stwierdzić, czy bardziej przeraża go hipoteza nawiedzonego ośrodka, czy własnego obłądu.

Noc zapadła niczym kurtyna w teatrze, oplatając wszystko gęstą siecią. Hugo wyszedł, nie włączając latarki, którą zabrał ze sobą. Posuwał się wzdłuż szpaleru jodeł przy domkach szwajcarskich, aby się wtopić w mrok. Uświadomił sobie, że nie uprzedził Lily. Mógł jej zaproponować, żeby mu towarzyszyła. Nie, i tak by tego nie zrobił. Nie naraziłby jej na niebezpieczeństwo, zachęcając, by poszła razem z nim do pomieszczenia wypełnionego po sufit materiałami wybuchowymi, nieważne czy z detonatorami, czy bez. Tak czy inaczej, wątpił, żeby się zgodziła. Lily była zbyt przywiązana do tego miejsca, do tych ludzi, aby ryzykować popsucie tej relacji. Hugo potrafił to pojąć bez trudu. Dla niej to nie była praca dorywcza, to było całe jej życie i coś, co najbardziej przypominało rodzinę.

W ciemnościach wznosił się stożkowaty zarys Wieży. Hugo nie znajdował się zbyt daleko. Po swojej prawej stronie miał ostatni domek szwajcarski. Czy gdyby nastąpił wybuch, rozprzestrzeniłby się jeszcze dalej? Ile dynamitu tam składowali?

Hugo wspiał się drogą, minął tablicę ostrzegawczą, a gdy stanął przed ciężkimi, wzmocnionymi drzwiami, wyjął pęk kluczy i zdecydował się zapalić latarkę, celując nią dokładnie w zamki. Prędko uporał się z każdym z nich i nacisnął na kłamkę.

Zgodnie z jego przewidywaniami pomieszczenie nie było duże, lecz zamiast szaf wypełnionych pudłami, na których widniałyby trupie czaszki albo coś podobnego, znalazł dziurę.

Schody.

Prowadzące w głąb góry.

## 52.

Drobinki kwarcu w kamiennych murach połyskiwały w świetle latarki. Hugo stał u stóp schodów wyrąbanych w wapieniu, w okrągłej salce z klepiskiem, gdzie unosił się zapach grzybów. Na dwóch wykonanych z rurek stojakach mieściły się pudełka z nieprzezroczystego plastiku bez żadnych etykietek. Chłopak zbliżył się i obejrzał jedno z nich, zawierające dodatkowo worek z grubo tkanego płótna, w którym krył się materiał wybuchowy w foliowych otoczkach. Ani śladu symbolu ostrzegającego przed ryzykiem eksplozji, żadnego napisu „Niebezpieczeństwo”, po prostu zwykłe plastikowe pojemniki. Hugo zupełnie się nie orientował w temacie i nie miał pojęcia, czy wystarczy tego raptem do wysadzenia jaskini, czy jest aż tyle, żeby wywalić w powietrze całe Val Quarios, ale całość ocenił na jakieś dwadzieścia kilo.

Chociaż to miejsce samo w sobie robiło niezłe wrażenie, w niczym nie pomagało mu zrozumieć, w jaki sposób mogło służyć Strafie w jego machlojkach, toteż Hugo zaczynał poważnie wątpić we własne hipotezy. Po raz kolejny dał plamę. Nie było tu nic poza wejściem w głębi. Prowadziło do ciasnego tunelu. Oświetlił go, by oszacować głębokość. Trzy do czterech metrów i zakręt w lewo.

Hugo ostrożnie ruszył przed siebie. Na ścianach widniał białawy osad, z sufitu zwisała sieć cienkich korzeni, co nasuwało myśl, że ta część nie jest w dobrym stanie, zatem jej nie używano. Pokonawszy ostry zakręt, chłopak dotarł do kolejnego pokoju, o średnicy pięciu metrów, na tym samym planie co poprzedni. Z tą różnicą, że tutaj znajdowała się cała graciarnia. Były tu stare zapleśniałe kartony, jakieś nieciekawe przedmioty: podstawa pod lampę, dwa stłuczone telefony komórkowe, wyszczerbiona karafka... Zauważył też parę czasopism pornograficznych o pozaginanych i posklejanych od wilgoci kartkach, składane krzesło kempingowe, którego żelazna rama od dawna rdzewiała, i torby. Torebki, plecaki, nerki, wszystkie w stanie bardziej lub mniej zaawansowanego rozkładu. Jednak

większość stosu stanowiły piętrzące się zwinięte, pogniecione, zakurzone ubrania, swetry, spodnie, skarpetki, T-shirty, biustonosze... Latarka Hugona przeczesywała, co się dało.

Ktoś zaanektował tę piwnicę na własne śmietnisko. Nie, to mieszanina rzeczy osobistych i przedmiotów pozbieranych to tu, to tam... Hugo obstawiał zguby, znajdowane przez lata, a następnie wrzucone tutaj. Snop światła wyłowił bardziej schludne, czyste materiały. Świeże.

Serce mu przyspieszyło. Hugo postawił stopę na jednym ze stosów i przysunął się bliżej. Dżinsy, wełniane swetry i T-shirty, których pobyt tutaj jeszcze nie zdążył zniszczyć. Chłopak spostrzegł pod spodem walizkę i nie musiał ciągnąć zbyt mocno, by zawieszka ze sztucznej skóry na rączce pokazała to, czego się domyślał, tylko nie miał odwagi ubrać w słowa.

Widniało na niej nazwisko Alice Langlois.

## 53.

Jina uparła się, by zeszli na basen. Ściany wszędzie mają uszy, w kantynie, w akwarium. Jej zdaniem mogli być podsłuchiwanie nawet przez drzwi do pokojów. Basen natomiast, ze względu na wielkość, plusk wody i szum wentylatorów, był idealnym miejscem. Zawzięła się dla odmiany, żeby naprawdę się wykąпали, dzięki czemu nie wzbudzą podejrzeń.

Dwie godziny wcześniej Hugo zaczął ją przed kolacją u stóp schodów i pokazał zdjęcia, które zrobił telefonem komórkowym poprzedniego dnia. Przewinął fotografie najbardziej czystych ubrań, jakie ujrzał w pomieszczeniu pod ziemią.

– Czy rozpoznajesz sweter, który pożyczyłaś Alice?

– Dlaczego o to pytasz? Boję się.

Podsunał jej komórkę pod nos, aż dotknęła pomalowanym paznokciem zdjęcia kardiganu w blad różowym kolorze.

– To ten. Wyjaśnij mi, co właśnie oglądam? To Alice przysłała ci te zdjęcia? Gdzie zostały zrobione?

– Musimy jak najszybciej pogadać z Lily. Te ciuchy znajdują się tutaj, w Val Quarios, porzucono je razem z jej walizką.

Jina natychmiast wszystko zorganizowała. Wejście do basenu po tym, co przeżył tam ostatnim razem, okazało się dla Hugona wyzwaniem. Siłą wziął się w garść, powtarzając sobie, że nie nastąpi awaria prądu, że nie jest sam, a przede wszystkim że ani tutaj, w Val Quarios, ani nigdzie indziej nie istnieje żaden pająk olbrzym czy inny potwór, i że odczuwanie choćby najlżejszego strachu przed czymś takim jest niegodne dorosłego mężczyzny.

Wszedł do wody i dopłynął do drugiego brzegu basenu, pod szklaną ścianę, gdzie pogrążone w rozmowie, z wystraszonymi minami Lily i Jina już na niego czekały.

– Co się stało? – zapytała Lily, świdrując go wzrokiem.

Hugo opowiedział o swoim odkryciu, o ubraniach i walizce z zawieszka. Na koniec dodał:

– Jestem przekonany, że za pomieszczenie na materiały wybuchowe odpowiada JC, nie mam pewności, czy to on zgromadził te wszystkie rzeczy, może nawet o niczym nie wie. Ich składowisko znajduje się na bardziej oddalonej przestrzeni. Jeśli poprzestaje na zniesieniu materiałów wybuchowych wiosną i zabranii ich stamtąd jesienią, bez szukania głębiej, mógł nigdy nie zwrócić uwagi na zaplecze.

Po jego wyjaśnieniach zimny gniew w oczach Lily przygasł, mimo to dziewczyna zachowywała w stosunku do Hugona rodzaj dystansu. On zaś, rozemocjonowany i podekscytowany własną opowieścią, ciągnął:

– Alice nie wróciła do domu. Nie mam nawet pojęcia, czy w ogóle opuściła Val Quarios. Może taksówkarz mówi prawdę, że odstawił ją do doliny, a to się wydarzyło później, ale równie dobrze może ściemniać.

Jina nie posiadała się ze zdumienia. Miotła się pomiędzy niedowierzaniem a paniką.

– Macie pojęcie, co to znaczy? Poważnie?

– Według mnie ona nie żyje, Jino.

Dziewczyna kręciła głową, nie chcąc uwierzyć.

– Alice...

Hugo dał im czas, by przetrwały wiadomość. Sam miał na to dwadzieścia cztery godziny, całkowicie albo prawie całkowicie nieprzespaną noc, potem dzień harówki wśród drzew, w kompletnym osłupieniu.

– To tylko zawieszka, kto wie... – zaczęła Jina.

Hugo wszedł jej w słowo:

– Nie ma już żadnych wątpliwości! Tym razem musimy przestać udawać, że nic się nie stało. Wszystko jest tam, na stosie, jej walizka z ciuchami, wyrzucone, daleko od wszystkiego. Schowane.

Lily się nie odzywała, leżała na powierzchni, z ustami pod wodą, oddychając przez nos. Jina natomiast mówiła dalej, jakby chciała zachować większą kontrolę, musiała działać albo przynajmniej zabrać głos.

– Czyli facet widział ją jako ostatni? To na pewno on! Powiedziałeś, że mieszka tuż pod ośrodkiem, zna okolice, jak nic to on!

Hugo przeprowadził to samo rozumowanie i nawet poszedł dalej. Taksówkarz nie był młody. Jeżeli tutaj dorastał, znał to miejsce, a zatem Wieżę i tylną przybudówkę przed pracami budowlanymi Strafy.



– Ale jeśli to on, moim zdaniem to dziwne, że używa tego pomieszczenia jako śmietnika – wyjaśnił. – Poza nim ktoś inny też mógł mieć do niego dostęp, tymczasem koło domu ma mnóstwo potrzebnego miejsca, trochę brak w tym logiki.

– Ma żonę, dzieci? – zapytała Jina. – Mógł chcieć je chronić, więc zorganizował składowisko z dala od nich.

Hugo również na to wpadł, ta urządzona jaskinia mogła zajmować szczególne miejsce w dzieciństwie mężczyzny i sprawić, że regularnie tam powracał.

– A jeżeli to nie on, w takim razie jak wytłumaczysz zniknięcie Alice? – upierała się Jina.

– Ktoś odebrał ją spod hotelu albo przed dworca. Ktoś, kogo znała, kto nie budziłby jej podejrzeń.

– O kurwa... Powiedźcie mi, że to koszmarny sen.

Hugo odnosił wrażenie, że przygotowuje się na to od początku. Pławił się w tej możliwości, w makabrze, lecz miał więcej czasu, by choć w minimalnym stopniu dojść do siebie, nie dać się ponieść emocjom i przesądzić to wszystko przez filtr zdrowego rozsądku, aby się chronić. Opracował cały system dedukcji.

– To musi być jeden ze starych, nie nowy – oświadczył.

– Dlaczego?

– Bo tam były starsze ciuchy, bo to pasuje do girland w puszczy jodłowej, jestem tego pewien, i do totemów ludzi, którzy wrzeszczą w lesie pod zameczkiem Strafy. To coś, co trwa.

Gdy wypowiadał te słowa, Jina i Lily zanurzyły się nieco głębiej pod wodę. Przytłoczone. Przerazone. Niestosowność sytuacji – rozmowa o śmierci kobiety i o mordercy podczas kąpieli w basenie – rzucała się w oczy. Budziła zakłopotanie.

– Te wszystkie ubrania – oznajmił Hugo – ktoś albo zgromadził przez lata, ukradł, zapomniał, zgubił, albo zdarzyło się to samo co z Alice...

– On już zabił – skwitowała bezbarwnym głosem Jina.

Hugo pragnął za wszelką cenę uniknąć sparaliżowania przez strach, gdy uświadomią sobie wymiar tego, z czym mieli do czynienia. Powiedział:

– W takim razie sprawa załatwiona. Po sztuczce, którą zastosowaliśmy wobec DePrigenta, nie bardzo wierzę, żeby był w to zamieszany, to samo dotyczy Adele.

– Jakiej sztuczce? – zapytała Jina.

Hugo pominął jej pytanie milczeniem.

– Stary Max ma zręczne ręce, JC zdradził mi półgębkiem, że pomagał w tworzeniu talizmanów z kości w puszczy jodłowej. Mógłby być też autorem totemów. I przyłapał mnie za pierwszym razem, kiedy podszedłem do pomieszczenia z materiałami wybuchowymi, tak jakby pilnował okolicy.

– Mijam się z nim codziennie w Dużym B – przyznała pobladła Jina.

Hugo ciągnął swój wywód:

– JC ma klucze od pomieszczenia, ale to nic nie znaczy. Wystarczy popatrzeć, w jaki sposób ja dałem radę się tam dostać, żeby stwierdzić, że każdy może tam wejść, jeśli tylko najdzie go ochota. Ale on jeden nie ma jeszcze pięćdziesiątki, a to nie przemawia na jego korzyść. W dodatku mieszka tutaj ze swoją matką Simone, która krąży między ośrodkiem a zameczkiem Strafy. Oczywiście nie możemy definitywnie wykluczyć Tica ani... Armanda z Paulem. Już od jakiegoś czasu przyjeżdżają każdego lata. Poza tym też są dosyć młodzi, dobrze zbudowani, zdolni obezwładnić kobietę.

Nagle Hugo uzmysłowił sobie, że Lily od samego początku milczy.

– Wszystko w porządku?

Wynurzyła się nieco, żeby jej usta znalazły się nad wodą.

– Czy ja też jestem podejrzana?

– Ty? – powtórzył z niedowierzaniem Hugo.

– Mieszkam tu od trzech lat. Należę do „starych”.

– Nie, jasne, że nie. Talizmany mają dużo więcej niż trzy lata, tak samo totemy, a biorąc pod uwagę pleśń na niektórych ciuchach i torbach w piwnicy, myślę, że możemy się cofnąć do czasu sprzed pięciu, o ile nie wręcz dziesięciu lat!

Lily zacisnęła usta. Czuli, że chociaż zwykle była wyjątkowo silna, teraz jest bliska łez, co jeszcze bardziej zbijało ich z tropu. Jina położyła jej dłoń na plecach. Z kolei Hugo tak mocno pogrążył się w zadumie, aby się chronić, że zatracił uczuciową spontaniczność, toteż nawet mu przez myśl nie przeszło, by ją pocieszyć. Jina przysunęła się do Lily i pokręciła głową.

– Nie mogę uwierzyć, że rozmawiamy o Alice. To się wydaje takie... konkretne.

– Nagromadzenie faktów nie pozostawia miejsca na wahanie – odparł z uporem Hugo.

– Trzeba zawiadomić gliny – oświadczyła Jina. – Tym razem mamy dowód.

Hugo zaprzeczył ruchem głowy.

– Jeszcze nie. Jeżeli drań, który za tym stoi, był ostrożny i nie zostawił żadnych odcisków ani DNA, a żandarmi nic nie odkryją, odjadą, a cała nasza trójka znajdzie się na celowniku mordercy.

– Mordercy – powtórzyła cicho Lily.

Hugo skinął głową.

– Nie owijajmy w bawełnę, nazywajmy rzeczy po imieniu – powiedział.

– To robota dla policji – upierała się Jina. – Co więcej chcesz zrobić?

– To, co już zaczęliśmy. Posłuchaj, miesiąc temu Alice rozpląnęła się w powietrzu i wszyscy uznali, że to normalne, nie mieliśmy nic, a teraz popatrz, co znaleźliśmy. Jeśli będziemy drażnić, możemy zajść dalej.

– Co ty znalazłeś – sprostowała Lily, w której oczach znów rozbłysła iskierka gniewu. – Nie zdradziłeś się ani słowem ze swoich zamiarów. Mieliśmy sobie ufać. Powinieneś był mi powiedzieć, poszłabym z tobą.

– Nakłoniłabyś mnie do zmiany zdania.

– Możliwe, ale podejmujesz bezsensowne ryzyko.

Hugo nie zareagował. Płynęli powoli. Po zmroku szklana ściana przekształciła się w lustro, w którym Hugo mógł się zobaczyć wraz z obiema współniczkami. Pośrodku wielkiej tafli wody każde z nich wydawało się takie kruche. Gotowe lada chwila zatonać. W wodzie czy w prawdzie?

– Nie da się zrobić nic więcej, Hugo – rzekła z naciskiem Jina.

– A jeżeli za tym wszystkim stoi Strafa? Jeżeli się z tego wywinie?

– To wiekowy starzec – odparowała Jina. – Niby co miałyby zrobić w swoim stanie?

– To mu nie przeszkadza pociągać za sznurki, jeżeli ma taki kaprys. A jeśli tak jest, mogę się z tobą założyć, że nie zapomniał starych magicznych sztuczek. Z jednej strony przyciąga twój wzrok i wyprowadza cię w pole, z drugiej robi to, co chce. To facet, który zawsze ma parę kroków przewagi. Największy manipulant, nie pamiętasz?

– Znowu zaczynasz z tym paktem z diabłem? – zapytała zimno Lily.

– Nie mam pojęcia, nie wiem, co nim kieruje, o ile to rzeczywiście on, ale mówię wam, że on nie jest w stu procentach niewinny. Szczerze uważacie za normalne, żeby „starzy” robili w puszczy jodłowej talizmany? I żeby potem pałeczkę przejął Ludovic, prawdopodobnie wciągnięty przez Maxa? Moim zdaniem właśnie to jest słaby punkt.

– Ludovic? – skrzywiła się Jina.

– Tak. On jest wrażliwy. Łatwo ulega wpływom, nie wątpię w to, ale nie wierzę w jego pokrętne wyjaśnienia, że chce zachować równowagę między przyrodą a ludźmi, jak ci nabajdurzył, Lily. Uważam, że widział coś na własne oczy albo przynajmniej o czymś usłyszał.

Przygnębiona Lily prychnęła.

– Spędziłam tu, wśród tych ludzi, trzy lata, Hugo – oznajmiła. – Zdajesz sobie sprawę, co to są trzy lata? Nie sądzisz, że gdyby między nimi był jakiś szaleniec, gdyby istniał jakiś spisek, na dłuższą metę bym się zorientowała? Mieszkamy wszyscy na kupie! Możemy ukrywać przed sobą drobiazgi, ale po pewnym czasie prawda rzuca się w oczy. I powtarzam ci: nie zauważyłam niczego, co mogłoby wzbudzić moją nieufność.

– Powiedziałaś też, że zimą dużo się dzieje, że nie macie czasu nawet się podrapać. Jesteś pewna, że przy tłumie coraz to nowych ludzi, przy ciągłym zmęczeniu dałabyś radę cokolwiek zobaczyć? Bo ja chyba nie. A poza tym ty pierwsza stwierdziłaś, że Val Quarios ma podejrzaną przeszłość. Nawet jeśli nie chcesz tego przyznać, jakaś część ciebie czuje, że coś jest nie tak.

Jina wtrąciła:

– To znaczy, że morderca miałby działać trochę jak... zwierzę, które gromadzi zapasy? Korzysta z tłoku, żeby przejść do czynu, a potem przez całe lato siedzi cicho?

– Dlaczego nie? – zgodził się Hugo. – Turyści to dla niego idealny staw rybny, może w nim łowić, ile dusza zapagnie, znajduje się na swoim terenie, opracował dokładny sposób działania, wystarczy, że będzie ostrożny, że nada zbrodniom pozory wypadków, ucieczek... Później, w martwym sezonie, może przetrawiać swoje morderstwa i czuć, jak wraz ze zbliżaniem się nowego sezonu jego podniecenie rośnie. Traci panowanie i atakuje kogoś z załogi, jak choćby Alice. Ale nie jest idiotą, to zorganizowany spryciarz, nawet w tym przypadku czeka, aż ona wyjedzie, żeby uderzyć, aby nie budzić podejrzeń wśród jej koleżanek i kolegów.

– Brzmi makabrycznie, jak o tym mówisz – uznała Jina.

– Miałem kiedyś fazę na kryminały, pożerałem dwa na tydzień, przeczytałem też wszystkie książki o seryjnych zabójcach, uwielbiałem to, wydawało mi się, że to się może przydać do jakiejś roli – wyznał.

Lily oddaliła się od nich i podплыnęła do brzegu.

– To wy jesteście makabryczni – oznajmiła. – Bo rozmawiacie o tym, jakby to była jakaś gra.

– Ona ma rację – zauważyła Jina. – Hugo, trzeba o wszystkim powiedzieć glinom.

Hugo pokręcił głową.

– Nie podejmę tego ryzyka, nie teraz. Gwarantuję ci, że Strafa się wywinie, jeśli zawiadomimy ich, nie mając nic więcej.

– Ale co cię napadło? Pasuje ci zabawa w detektywa?

Hugo posłał jej ponure spojrzenie.

– Nie chcę narażać życia Lily. A jak się zjawią gliny, znajdziemy się w niebezpieczeństwie, kiedy tylko wyjadą. Zapewniam cię.

Jina westchnęła. Lily wyszła z wody i zdjęła ręcznik ze stojaka na sprzęt ratunkowy, który obudził w umyśle Hugona złe wspomnienie.

– Daję ci czas do niedzieli – ostrzegła Jina. – Potem sama zadzwonię do żandarmów.

– Potrzebuję trochę więcej czasu! To się nie wyklaruje w jednej chwili!

– Poniedziałek rano.

– Środek przyszłego tygodnia. Tu chodzi o nasze bezpieczeństwo.

– Właśnie! – zdenerwowała się Jina. – Po co czekać?

– Błagam cię. Zaufaj mi. Strafa to mistrz manipulacji, wszystkich nas wydyma, jeśli pójdziemy na żywioł i nie zabezpieczymy sobie tyłów.

Jina zacisnęła szczęki.

– OK. Świetnie. Bo to ty miałeś rację od samego początku, a ja wątpiłam. Ale w środę nie będzie żadnych dyskusji, dzwoniemy po gliny.

– A ty nie robisz nic bez porozumienia ze mną – oświadczyła kategorycznie Lily, otulając się ręcznikiem.

Hugo znów bacznie się przyjrzał ich odbiciu w szklanej ścianie.

Miał nadzieję, że nie pożałuje własnego uporu.

## 54.

Słabym ogniwem okazał się Ludovic.

Hugo był o tym przekonany. Nie miał jednak jeszcze pojęcia, jak go podejść i pokonać. Jeśli się bał, wtedy trzeba by dodać mu odwagi. Jeśli pozostawał pod czyimś wpływem, wówczas trzeba by nim pokierować. Jeśli był zagubiony, Hugo powinien wskazać mu drogę.

Hugo nie mógł go śledzić niepostrzeżenie. Nie mógł także wypytać jego przyjaciół, bo Ludovic nie miał ani jednego – jako że prawie nigdy nie spędzał czasu z innymi, stanowił uosobienie samotnego introwertyka. Hugo nie wiedział nawet, gdzie mieszka, i właśnie dowiedzenie się tego było jego pierwszym celem. W tej kwestii przynajmniej mógł robić postępy. Lily powinna być zorientowana.

Poprzedniego dnia wieczorem, po rozmowie na basenie, Hugo wyraźnie wyczuł, że ma mu za złe brak otwartości, musiał więc na nowo wkraść się w jej łaski. Odfajkował jak najprędzej dzienne obowiązki i poszedł do niej po południu do warsztatu narciarskiego. Odciągnął ją na bok, by się wytłumaczyć, po czym zdecydował, że będzie wobec niej absolutnie szczery.

– Nie wziąłem cię ze sobą, bo nie byłem pewien samego siebie. Tego, co przeżywam tutaj, w ośrodku. Od przyjazdu mam jakieś zwidy, popuszczam wodze fantazji, już ci to tłumaczyłem, zawsze trochę taki byłem, ale teraz czasami to przybiera obłądne rozmiary. Wezmę się w garść, potrzebuję stabilności, aklimatyzuję się i nie chcę cię przestraszyć, nie chcę, żebyś się ode mnie oddaliła. Poza tym jest jeszcze jeden powód, dla którego trzymałem cię na dystans: w żadnym razie nie chcę cię narażać.

– Za to przyznajesz sobie prawo do narażania siebie.

Wzruszył ramionami.

– Jestem czujny. To ważne, Lily. Nie odwalilo mi, miałem rację, Alice spotkało coś złego.

Spoglądali na siebie zmieszani, gorąco pragnąc paść sobie w objęcia, żadne z nich nie potrafiło przewyciężyć zakłopotania. Oddalili się, tak jakby najmniejsze pęknięcie między nimi zmuszało ich do rozpoczęcia wszystkiego od początku w kwestii zaufania, intymności. Lily podała mu dłoń i to wystarczyło, żeby się odblokował, toteż mocno ją przytulił.

– Dlaczego nie wezwiesz glin? – zapytała szeptem.

– Słyszałaś. W głębi duszy czuję, że to by nas naraziło na dodatkowe niebezpieczeństwo. Wszyscy się dowiedzą, co zrobiłem, co każde z nas trojga myśli, a tak morderca niczego się nie spodziewa. Mam szansę złapać go w pułapkę.

Lily cofnęła się, by przyjrzeć się uważnie jego twarzy, oczom. Musiała w nich wyczytać determinację, bo powiedziała:

– Nie nakłonię cię do zmiany zdania i cię nie zdradzę. Wobec tego obiecuję, że od tej pory wszystko robimy razem. Nie chroń mnie, jestem dużą dziewczynką.

Hugo przytaknął.

– Wiesz, gdzie mieszka Ludovic?

– Na parterze budynku D. Co ci chodzi po głowie?

– Jeszcze nie wiem, muszę się zastanowić. Czy on spędza całe dni przy wyciągach?

– Normalnie tak. Ma swój warsztat w szopie nad ośrodkiem, a w nim quada, którym dostaje się wyżej.

– Quada? Daleko się zapuszcza?

– Teren narciarski nie jest olbrzymi, ale mimo wszystko to sporo urządzeń do regularnego sprawdzania i konserwacji, jeżeli to chcesz wiedzieć. Quad pozwala mu szybciej do nich dotrzeć.

– Usiłuję zrozumieć, co mogło się wydarzyć. Gdzie przebywał, co akurat robił w chwili, kiedy był świadkiem tego, co go popchnęło do...

– Popchnęło do czego?

– Co sprawiło, że poczuł potrzebę dodania kolejnej girlandy do talizmanów, aby nas chronić.

– A jeśli to stary Max na niego wpłynął, opowiadając mu o talizmanach?

– Nie jest specjalnie wygadany, szczerze mówiąc, nie wygląda na gościa, który chce komuś coś narzucić. Talizmany są dosyć stare, w pewnym okresie Max pewnie je umieszczał, może nakłoniony przez kogoś, z powodu przesądów albo sam nie wiem czego, ale wydaje mi się, że od jakiegoś czasu już nikt ich nie robi. Dopiero Ludovic się tym zajął. I musi być jakiś

dobry powód. Wcale tego nie robi, żeby chronić przyrodę, w tym przypadku sobie z nas drwi.

– Jak twoim zdaniem mamy działać?

– Ponieważ Max często jest blisko ciebie, miej na niego oko, jeżeli możesz. Nigdy nie wiadomo.

– A ty?

– Ja zrobię sobie spacer do szopy Ludovica, chyba już najwyższy czas.

Nad doliną kłębiły się coraz bardziej szare, coraz bardziej ciężkie chmury, które nie mogły się wzbić, nie mogły nabrać wysokości, żadna z nich jednak nie otworzyła swego brzucha nad wierzchołkami gór.

Hugo podążał wzdłuż słupów, usilnie się starając utrzymać tempo i prawidłowo oddychać. Po kwadransie dotarł do płaskowzgórza, gdzie zatrzymywały się pierwsze wyciągi, po czym droga wiodła na kolejne, bardziej strome zbocze. Dokładnie tam, po lewej stał mały blaszany barak, w połowie osłonięty ścianą z kamieni i gliny w kształcie litery L. Drzwi były zamknięte – ani śladu Ludovica. Albo on też zakończył swój dzień pracy, albo szwendał się gdzieś po górach.

Wiatr przeczesywał trawę na płaskowzgórzu. Było to spokojne miejsce, z którego rozciągał się widok na Val Quarios w dole. Przyglądając się ośrodkowi, Hugo ujrzał odwrócony pentagram. Nie było w tym przypadku. Nawet jeśli Strafa nie zabił Alice, wiedział o jej zniknięciu, a może nawet sam był w nie zamieszany.

W co ty grasz, Lucien? Jaką ukrywasz tajemnicę?

Hugo był coraz bliżej, miał tego pewność. Rzuciwszy okiem po raz ostatni, by się upewnić, że jest sam, przesunął drzwi i wszedł do baraku.

W środku czuć było smar. Na wysokich stojakach mieściły się wszystkie orczyki od wyciągów. Z boku stał zaparkowany lśniący niebieski quad. Hugo krążył po alejkach, obserwując, zastanawiając się, aż dotarł do warsztatu w głębi. Drewniany blat roboczy, porysowany i upstrzony plamami, nic bardziej typowego. Wszędzie naokoło skrzynki, puszki ze smarem, większe narzędzia. Nic, co przyciągałoby wzrok, co budziłoby ciekawość.

Z wyjątkiem zwijanego płóciennego pokrowca na narzędzia. Hugo widział już z tym Ludovica w dniu, kiedy na siebie wpadli. Zaintrygowany paryżanin rozwinął pokrowiec i odkrył rząd ostrzy o wszelkich możliwych kształtach i grubościach, nożyczki i delikatne młoteczki. Rozpoznał niezbędnik do obróbki drewna. Albo kości. Do wyrobu girland, prawda?



Wyszedł na zewnątrz, wspiął się na stos głązów i wzięwszy się pod boki, omiół spojrzeniem okolice. Puszcza jodłowa rozciągała się u jego stóp, z prawej strony. Ludovic nie musiał daleko chodzić, by się tam dostać. Hugo był przekonany, że gdyby przetrząsnął skrzynki i beczki, pootwierał wszystkie szafy, mógłby znaleźć skład zwierzęcych kości, a przynajmniej sznurek. Tylko po co? Na co by mu się to zdało poza namierzeniem Ludovica? Przecież tamten sam przyznał się przy Lily, że jest autorem ostatnich girland.

Nie mając nic lepszego do roboty, Hugo ruszył w kierunku puszczy jodłowej. Zszedł po zboczu, pilnując się, by nie dać się porwać pędowi, po czym wkroczył do lasu w chwili, gdy niebo zaczęło pomrukiwać. Nie był to suchy grzmot pioruna, raczej długi łoskot, ostrzeżenie. Niebiosa zapowiadały to, co miało się wydarzyć, a Hugo się domyślił, że to nie był dobry znak. Muszę się pospieszyć.

Odnalezienie polany z talizmanami nie zajęło mu nawet dziesięciu minut. Amulety tańczyły nieśmiało na wietrze, który coraz bardziej się nasilał, kości stukały o siebie z suchym crescendo. Głucha melopea. Hugo obracał się powoli wokół własnej osi, aby przesiąknąć atmosferą. Łańcuchy ptasich czaszek, gryzoni i ich maleńkich torsów, kości łapek, kręgosłupy... Pływały po kolei w bezładnej procesji. Całość nie tworzyła konkretnego motywu, raczej wytyczała naturalną przesiekę w lesie, wąski pas ziemi w rzadszym podszyciu. Hugo posuwał się wzdłuż „przecinki” i przedostał się od przeciwnej strony niż zazwyczaj. Teren ten był trudniej dostępny, bardziej skalisty, sękate korzenie wynurzały się z podłoża i plątały, tkając bezładny dywan przypominający stos skamieniałych węży boa albo anakond. Talizmany zadźwięczały mu w uszach jeszcze donośniej.

Tutaj puszcza jodłowa narzucała się z całą mocą, pnie ścisnęły się, torując drogę, zapach pleśni, błotnistej próchnicy przywoływał człowieka do porządku, spychając go na jego własne terytorium, gałęzie rosły coraz niżej, stawały się coraz groźniejsze.

Zdawało się, że granicę obszaru kości wyznaczają trzy girlandy umieszczone blisko siebie. Reszta należała do natury, była niedostępna dla ludzi. Hugo zaczął wątpić w słuszność swoich przypuszczeń. A jeśli Ludovic jednak mówił prawdę? Jeśli nie miał nic więcej do dodania? Jeśli traktował to miejsce jak rodzaj świątyni, gdzie musiał składać hołd matce żywicielce wszechrzeczy, aby przeprosić za swoją obecność, za ludzkie budowle poniżej, które tak bardzo zniszczyły jej kolebkę?

Hugo sam już nie wiedział. Miał nadzieję – wierzył – że w pewnym momencie dozna olśnienia, że objawi mu się prawda albo przynajmniej sposób dotarcia do niej, tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Pozostała mu jedynie niepewność.

Chór talizmanów narastał, teraz od sotto voce przeszedł do forte, a wiatr oznajmiał, że wkrótce partytura radośnie pominie te niuanse i rozpocznie się coś bliższego wyciu. W tle szumiały falujące gałęzie. Hugo postanowił zawrócić, zaraz góry staną się groźne dla małego kruchego człowieka.

W drodze powrotnej jakaś gałąź, której nie zauważył, porządnie rozharatała mu policzek i po chwili na brzegach rany poczuł krew. Las strofował go za zuchwałość. Może Ludovic miał rację.

Wieczorem okazało się, że podążając swoim jedynym tropem, wcale nie posunął się do przodu. Leżał przytulony do Lily i chociaż to przynosiło mu ukojenie. Mimo że wcale nie był spokojny.

Za oknem przyroda powarkiwiała, lecz nie wybuchała gniewem. Poprzestała na przypomnieniu o swojej obecności.

Na przywołaniu nas do porządku.

Zasnął nagle i śniło mu się coś, czego później nie zdołał sobie przypomnieć, mimo to po przebudzeniu czuł ciężar i ucisk w piersiach.

Przez całą niedzielę był markotny, rozdrażniony, jednocześnie nie potrafiąc tego ubrać w słowa. Spędził ten dzień z Lily, śledził każdy gest wszystkich członków zespołu, co nie doprowadziło go do żadnych wniosków. Widział przez szyby nieustającą ścianę deszczu, doskonale pasującą do jego nastroju. Drażniło go pytające, natarczywe spojrzenie Jiny, ale się nie poddał. W głębi duszy bowiem wiedział, że jeśli teraz, kiedy nie wie nic więcej, zawiadomi żandarmerię, ktoś z ich trójki przez to zginie. Był o tym przekonany. Może nawet wszyscy troje. Nie opierało się to na żadnych podstawach, jedynie na zakorzenionym głęboko w duszy wewnętrznym przeświadczeniu.

Wieczorem Lily wprosiła się do niego. Ponieważ doskonale widziała, w jakim jest stanie, nie chciała zostawiać go samego. Wreszcie krótko przed północą rozpętała się burza. Wściekłe monstrum rozbijało się o kolejne wierzchołki, grożąc zniszczeniem całej doliny. Hugo długo nie mógł zasnąć.

Gdy otworzył oczy, nie od razu wiedział, czy to z powodu grzmotu. Mimo to jego umysł pracował na pełnych obrotach. Podświadomość na drugim planie prędko się wyciszała: dokonał swojego dzieła. Na

powierzchnię myśli wypłynęły więc wrażenia i skojarzenia. Hugo rozchylił wysuszone wargi i gwałtownie zaczerpnął powietrza.

Właśnie nadeszło olśnienie.

Nienawistne.

Odpychające.

Już wiedział.

## 55.

Hugo nie mógł już dłużej czekać w łóżku z tą myślą, miał wrażenie, że bruka pościel, w której jeszcze spała Lily. Przemknął do salonu i złapał się rękami za głowę, żeby się zastanowić. Wydawało mu się, że słyszy, jak przez łoskot pioruna przebija się dźwięk dzwonka wiatrowego, który porusza się w Latarni Morskiej. Deszcz uderzał o szyby, wszystko spowijał mrok, jakby właśnie nastąpił koniec świata. Na moment pokój rozświetliła błyskawica.

Hugo ujrzał ciało Alice z brzuchem pozieleniałym z powodu rozkładu, z mchem wokół ust, z zapadniętymi oczami, z półotwartymi powiekami, unoszonymi przez robaki, które zrobiły sobie pod nimi ucztę. Leżała w błocie. W gęstym jak smoła błocie, które sunęło ku niemu, wkładało się w duszę, zatapiało go, gotowe wypełnić mu płuca i zadusić go, by skończył w powolnej, parzącej agonii. Ponad wszystkim zaś unosił się odór śmierci spowijający Hugona i Alice. Organiczna zgnilizna, tak lepka, że wnikając w jego nozdrza, przyjmowała płynną postać, po czym spływała po przełyku. Hugo musiał to wyjaśnić. Pozbyć się wątpliwości, tej wizji.

– Już nie śpisz? – odezwała się od progu Lily.

Przecięła ich kolejna błyskawica, dwie srebrne sylwetki, stojące twarzami do siebie wśród cieni.

– Lily, ja wiem, gdzie ona jest. Wiem, gdzie jest ciało Alice.

– Co... Ale... Jak to?

Hugo chwycił ją pod łokcie zaciśnięte na piersiach.

– To ten odór, myślałam, że to zapach pleśni i bagnistej ziemi, ale to coś innego. To ona. Alice jest w puszczy jodłowej, za talizmanami!

Lily nie reagowała, sama nie wiedząc, czy to jawa, czy jeszcze śni jej się dziwny koszmar. Hugo ostatecznie ją dobił:

– Muszę tam pójść, muszę wiedzieć.

– Teraz? Ale...

– Chodź ze mną.

- Hugo, jest burza, nie może...
- Mam to gdzieś, nie dam już rady zmrużyć oka, dostanę świra, jeżeli nie sprawdzę.
- Nie. Nie – powtarzała.
- I tak pójde, z tobą albo sam. Muszę to zrobić, rozumiesz?
- To niebezpieczne, Hugo, to szaleństwo!
- Mniejsze niż czekanie, aż zacznie znowu.
- Ale przecież on nie...
- Jeżeli jest tam, wysoko, zawiadomię żandarmów.

Lily wpatrywała się w niego w półmroku. Ich naznaczone lękiem twarze wyłaniały się w świetle rzadkich błyskawic. Powoli pokręciła głową.

- Bez względu na to, co powiem, i tak nie posłuchasz. – Dotarło do niej. Pocałował ją w czoło i odsunął od siebie, po czym ruszył się ubrać.
- Sam nie pójdziesz, mowy nie ma. Idę z tobą – oświadczyła.

Philippe DePrigent wspomniał kiedyś o potężnych burzach, porównując je do starcia bóstw. Hugo jednak zrozumiał to lepiej, gdy się znalazł na zewnątrz, zgięty wpół, aby dać odpór wiatrowi, aby zimny deszcz nie chłostał go po samej twarzy. Góry zachowywały się jak olbrzymie pudło rezonansowe. Właśnie rozgrywało się starcie tytanów. Aż ziemia się trzęsła. Błyskawice przecinały mrok – tak jakby niebiosy były zaledwie nędzną czarną szybą – pozostawiając elektryczne zygzaki, które natychmiast rozpływały się w eterze. Mowa gniewu na poziomie bogów. Hugo nigdy dotąd nie był świadkiem podobnej nawałnicy. Jego skóra reagowała na grzmoty, włoski się jeżyły, a instynkt podpowiadał mu, by jak najprędzej pobiegł się schować, wrócił do domu.

Trzymał się jednak. Zaciągnął Lily aż do pomieszczenia pod statkiem matką, aby zabrać łopatę, kilof i swoją latarkę. W korytarzach i dalej rozlegały się grzmoty, uzmysławiając Hugonowi, że większości przejść nie zna. Cały ośrodek mu umykał. Ale już nie to, co tu się wydarzyło. Z trudem wspinali się po zboczu, wspomagając się narzędziami, których trzonki wbijali w trawę, aby się na nich wesprzeć. Wiatr zrywał im kaptury, chłostał ich po policzkach, deszcz przedostawał się pod ubrania na drżącą skórę. Każda błyskawica robiła wyłom w rzeczywistości, otwierając przejście do innego świata, złożonego z osobliwych cieni, które ledwie majaczyły, rzucane z okrucieństwem migawki. Lily coś wołała, lecz Hugo nie rozumiał.

- Co? – zapytał, przekrzykując wiatr.

– Łopata! Nie podnoś łopaty! Bo ściągniesz piorun!

Gdy wreszcie dotarli na płaskowzgórze, Hugo był cały przemoczony, chociaż nie miał pewności, czy przez pot, czy deszcz. Zagłębili się w las w nadziei, że znajdą tam schronienie, ale w środku było niemal jeszcze gorzej niż na zewnątrz. Gałęzie jodeł unosiły się i opadały poruszone upiornym prądem powietrza, niektóre trzaskały i wyginały się pod ciężarem wody, inne, choć stawiały opór, wyrwał albo łamał wicher, zaś obie istoty ludzkie toczyły walkę pośród tych wzburzonych iglastych fal, aby ich nie zmiotło albo nie poharatało. Cała ta wściekła furia wydawała z siebie przerażający dźwięk, nieustanny makabryczny szelest przypominający, że zagrożenie może się pojawić znikąd, w każdej chwili. Sypały się na nich szyszki, igły i inne śmiecie. Gdy Lily pośliznęła się na kamieniu, Hugo zdążył ją złapać, zanim upadła na łopatę. Wyjął jej z rąk narzędzie i musiał użyć siły, by zgodziła się puścić.

Po czym dotarli do upstrzonego plamami światła pasa ziemi, gdzie tańczyły talizmany z kości. Część z nich owinęła się wokół gałęzi, część utkwiała pomiędzy nimi, wiele jednak smagało powietrze, niczym kościane i sznurkowe macki świszczące wśród burzy. Hugo w samą porę się schylił, unikając ciosu od jednego z nich. Skinął na Lily, by podążyła za nim, i razem ruszyli ku krawędzi śmiertelnego jezora.

Odór mieszał się z zapachem przemokniętej roślinności, mimo to potrafili go wyczuć: pleśń i tłusty torf. Hugo i Lily uchylili się przed trzema girlandami wytyczającymi granicę. Albo wejście do czegoś innego... I uczepili pni, aby móc się wdrapać na grube korzenie, na wystające głązy, następnie przemknąć pomiędzy krzewami i konarami, które tarasowały drogę. Bujniejszy, bardziej zwarty las. Fetor stał się bardziej kwaśny, bardziej oszałamiający, zabarwiony wonią próchnicy, która stwarzała złudzenie leśnego dotyku natury. Ponieważ tu jest zakopane ciało. Na wysokościach kapąła woda, lecz nie była w stanie spaść bezpośrednio aż tutaj. W aż nazbyt gęstym listowiu panowały również głębokie ciemności. Pułap lasu był w bezustannym ruchu, z kolei na poziomie ziemi królował o wiele większy spokój, dał się słyszeć jedynie ciągły, niepokojący szum.

Lily włączyła latarkę, która zakłóciła tę intymność silnym, chociaż ograniczonym do wąskiego trójkąta promieniem. Hugo nie wiedział dokładnie gdzie, był jednak przekonany, że Alice jest niedaleko. Przemierzali ten hałaśliwy labirynt krok za krokiem, ze wzrokiem utkwionym w wodne serpentyny, które płynęły bezładnie, po czym znikwały.

Hugo miał ich pełne nozdrza. Teraz kwaśność mieszała się ze swądem mięsa, czegoś zjełczałego. Był on tak potężny, że aż niemal namacalny w powietrzu. Ona jest tam, już niedaleko. Hugo próbował iść za odorem, cuchnęło jednak tak uporczywie, że nie dał rady. Lily chwyciła go za rękaw i skierowała snop światła na lekkie wybrzuszenie w ziemi. Korzenie i krzaki zostały w tym miejscu wyrwane. Nasyp miał ponad półtora metra długości, ocenił Hugo. W dodatku jest świeży. To ludzka ręka przewróciła ziemię. Po kilku ruchach łopaty silny fetor rozkładu przybrał na intensywności, zmuszając Hugona i Lily do ciągłego zasłaniania nosa i ust łokciem, by odzyskać oddech.

– Nie powinno nas tu być – oznajmiła dziewczyna, przebijając się przez odgłosy burzy. – To nie jest zajęcie dla nas.

– Ona jest pod spodem, a ja jej tu nie zostawię.

Hugo kopał ostrożnie: skoro tak śmierdziało, nie powinna być zagrzebana zbyt głęboko. Światło błyskawic z trudem przenikało do nich, jodły skwapliwie się ścięły, aby zachować grób w tajemnicy. Piorun natomiast nie miał oporów, by uderzyć w zbocze i w ich udęczone uszy. Hugo nawet przestał mrugać, bojąc się, że wbije łopatę w ciało Alice.

Gdy odwalił kolejną skibę ziemi, w blasku latarki ukazał się jakiś białawy fragment. Mokra gleba natychmiast go przysypała. Hugo padł na kolana i zaczął kopać gołymi rękami. Odłonił trójkąt, muskając go opuszkami palców, zimną, miękką materię. Oczyszczył wokół, a wówczas powierzchnia skóry się powiększyła, aż domyślili się, że to biodro.

Hugo powrócił do kopania i zaczął drążyć z zajadłością rozwścieczonego psa. Wkrótce poczuł, jak jakieś włókna oplątują mu się wokół palców. Włosy. Powstrzymał wymioty.

Odór był nie do zniesienia. Zleżałe mięso zamarynowane w sosie ze zgniłych jaj. Tylko że to mięso to ciało Alice, a sos to jej skisłe płyny ustrojowe.

Spojrzał na Lily, która dygotała w ciemności, tak mocno skulona, jakby zajmowanie jak najmniej miejsca w świecie gwarantowało, że wszystko to stanie się mniej rzeczywiste. Gdy skinęła na „tak”, skończył odsłaniać czoło, potem nos... Deszcz trochę mu pomagał.

– Zgaś latarkę – nakazał.

– Wtedy nic nie zobaczysz.

– Proszę cię.

Lily spełniła polecenie. Hugo skupił się na swojej czynności, jeden obszar po drugim, policzki... Po czym przechodził do następnego. Broda... Nie chciał zobaczyć Alice, zbyt mocno się lękał, że nie da rady kontynuować. Pragnął ją odkopać, tak jakby to mogło jeszcze coś zmienić, tak jakby ona mogła zniecka zaczerpnąć tchu i ożyć. Skończył, czuł ją pod palcami. Szarpały nim mdłości.

W pobliżu rozjuszony wiatr złamał ze straszliwym trzaskiem jakieś drzewo, którego upadek wywołał kolejny łoskot. Każde z nich schowało głowę w ramiona i trwało tak, dopóki pień nie runął na ziemię.

– Skończyłem – powiedział po raz pierwszy zbyt słabym głosem, by Lily zdołała usłyszeć.

Powtórzył i poprosił, by włączyła latarkę. Bezwstydy snop światła obnażył przesiąkniętą wilgocią ziemię u stóp Lily. Po czym powoli się przysunął. Hugo już wiedział, co ich czeka. Serce mu waliło, ścisnęło go w gardle. W trakcie mozolnej pracy wydobył na wierzch dłoń. Nawet o tym nie pamiętał. Paznokcie trupa czarne od ziemi. Należące do kobiety, wywnioskował bez zdziwienia. Światło wędrowało wyżej. Ukazał się zarys szczęki, profil, łuki brwiowe. Hugo przewrócił się do tyłu.

Nie tego się spodziewał.

Właśnie odkopał inną kobietę niż Alice, powalaną błotem.

Tę również znał, nawet lepiej.

O mało nie postradał zmysłów.

To były zwłoki Lily.



## 56.

Piorun, który rąbnął w wierzchołek góry, rozświetlił cały las. O mało nie roztrzaskał jej na pół.

Hugo nie potrafił oderwać oczu od martwej twarzy Lily. Dłonie miał zanurzone w ziemi, po spodniach spływała mu woda, lecz nie czuł tego. Istniały wyłącznie sine rysy twarzy, które w wyniku rozkładu zdążyły stracić część swej łagodności.

Nie pojmował.

Już nie pojmował.

Wiązka światła się poruszyła. Ale kto trzyma latarkę, skoro Lily leży tu pogrzebana, zimna? Odwrócił się, by popatrzeć na stojącą za nim osobę.

Dziewczyna w tej samej chwili uniosła latarkę, oślepiając go. Hugo zasłonił się ramieniem. Nic nie widział. Zamrugał, by rozróżnić kształty w mroku... Kobieta... Jej sylwetka była znajoma. Deszcz przykleił jej włosy do głowy. Wiem, kim jesteś... To nie miało żadnego sensu.

– Hugo?

Światło latarki się przybliżyło.

Po czym Hugo rozpoznał pochylającą się nad nim Lily. Omiotła wzrokiem zwłoki. Skrywał ją mrok. Hugo wyrwał z rąk Lily latarkę i wycelował ją w kobietę w ziemi.

Alice.

Ponownie obrócił się ku tej, która stała nad nim.

Lily.

Żywa. Nie było żadnych wątpliwości.

Odbija mi.

– Hugo, słyszysz mnie? – wystraszyła się Lily.

Przytaknął. Atak paniki. Pomieszało mi się z powodu emocji i tyle. Lily właśnie do niego mówiła. Muszę wziąć się w garść. To naprawdę nie jest odpowiedni moment, żeby się rozsypać. Skoncentrował się na oddechu,

aby oczyścić umysł. Kolejne spojrzenie na kobietę pochowaną w grobie. Alice. To tylko strach płata figle. Już po wszystkim.

Lily przywarła do niego, wtuliła się z całych sił w jego szyję i wczepiła weń, jakby od tego zależało jej życie. Odwzajemnił uścisk. Czekali w burzy, aż nie będą mieli wyboru, aż zabraknie im łez. Lily nie krzyczała. Nie wywróciło jej wnętrzości na drugą stronę. Gdy wreszcie zdołał ją zobaczyć w nikłym blasku wciśniętej między nich latarki, była dumna, lecz zdruzgotana. Położyła mu dłoń na policzku i wtedy wreszcie usłyszał jej głos:

– Nie damy rady jej przenieść, nie w tych warunkach, w czasie burzy to niemożliwe – zastrzegła. – Trzeba zejść na dół i narobić rabanu.

Hugo pokręcił głową.

– Nie! Nie powiadomimy nikogo.

– Ale przecież ona nie żyje! Ona jest...

– Tylko gliny. Nikogo innego.

Lily w końcu ustąpiła i pomogła mu się podnieść. Popatrzyli na wyłaniającą się z ziemi twarz Alice, na rozchylone wargi, na ciągle jeszcze pełne ziemi usta. Lily chwyciła Hugona za rękę. Po czym zeszli na dół ze splecionymi dłońmi, zostawiwszy narzędzia obok ciała. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, stawiając czoło rozszalałym żywiołom.

Hugona nadal prześladowała krótka wizja jak z horroru. Lily zaciągnęła go do statku matki, nie warto było tracić czasu i się narażać, szukając telefonów komórkowych, by spróbować złapać odrobinę zasięgu na szczycie Wieży – przy tej pogodzie było bardziej niż prawdopodobne, że ponieśliby fiasko.

W gabinecie Adele Hugo oprzytomniał i chwycił za słuchawkę. Po policzkach spływały mu łzy, niewidoczne na mokrej od deszczu skórze. Zamierzał wybrać numer alarmowy. Nie było sygnału. Hugo odłożył słuchawkę i podniósł ją z powrotem, ale również bez powodzenia.

– Co? Co się dzieje? – zaniepokoiła się Lily.

Zostali odcięci od świata. To przez burzę. To nie mogło być nic innego. Bo inaczej to by znaczyło, że ktoś celowo uszkodził linię. A kto miał w tym interes?

Istniała tylko jedna odpowiedź.

Morderca.

## 57.

Hugo właśnie sprawdził połączenie z internetem na komputerze Adele i okazało się, że sieć nie działa. Bez wątpienia to był ten sam przewód. Wyrwało mu się przekleństwo. Nie chciał tracić czasu na próby z ich telefonami komórkowymi, wiedział bowiem, jaki przy tej burzy będzie rezultat.

– Trzeba zjechać samochodem – powiedział.

– Postradałeś rozum? Już sama jazda nocą jest niebezpieczna. Nie widziałeś prognozy pogody? Nie, to zwyczajne samobójstwo.

– Lily, ktoś przeciął linię. To oznacza, że morderca zdaje sobie sprawę, że depczemy mu po piętach. Śledzi nas, może nawet widział, jak niedawno wychodziliśmy, i się domyślił, że znaleźliśmy Alice. Nie możemy dłużej czekać!

Lily z zaskakującą siłą chwyciła go za rękę i poprowadziła do okna, za którym szalała burza.

– To nie morderca – oświadczyła, przekrzykując łoskot. – Znajdujemy się wysoko w górach, Hugo, i przy takiej pogodzie podobne rzeczy się zdarzają. Za dzień, dwa telefony znów będą działać.

Hugo spostrzegł, jak błyskawica uderza w dolinę, i jego napięcie częściowo spadło. Lily się nie myliła. To on działał zbyt pochopnie.

– Ale nie będę czekał dwóch dni – zastrzegł.

Odwróciła go twarzą do siebie.

– Jak tylko ten potop się skończy, sama cię zawiozę na posterunek żandarmerii.

Ujrzał nikły błysk w oczach swej współpracownicy. Pod maską kobiety, która daje radę, w rzeczywistości kryła się dziewczyna równie zagubiona jak on. Przerazona. Objął ją mocno.

Leżąc wtuleni w siebie na kanapie, przez wiele godzin nie zdołali zasnąć ani nawet wpaść na pomysł, żeby przenieść się na łóżko. Nie odzywali się, każde jednak wiedziało, co drugiemu chodzi po głowie.

Alice, samotna tam, wysoko, w rozmokłej ziemi, wydzielająca zapach zgnilizny.

Jak wyglądały jej ostatnie chwile? Czyją twarz widziała tuż przed śmiercią? Czy cierpiała? Z pewnością się bała. O mało jej nie odwaliło ze strachu, który odebrał jej zdolność myślenia, sprawił, że stała się na powrót zwierzęciem, że aż pozrywała sobie paznokcie, próbując uciec...

Za oknem wył wiatr. Jak długo to jeszcze miało trwać? Lily popłakiwała. W pewnej chwili popędziła do łazienki, żeby wymiotować, chociaż Hugo nie usłyszał żadnych odgłosów. Sam czuł się psychicznie rozbity, mimo że jego ciało w ogóle nie reagowało na to, czego przecież dotykał na górze, w lesie. Na tę zimną skórę. O pierwszym brzasku Lily zaparzyła kawę.

– Chciałbym zawiadomić Jinę – oznajmił Hugo, trzymając w dłoniach gorącą filiżankę.

– To nie jest dobry pomysł. Wpadnie w panikę.

– Powinna mieć oko na to, co tu się będzie działo, kiedy pojedziemy. Morderca mógłby zareagować. Wyobrażasz sobie, co będzie, jeśli pójdzie przenieść ciało Alice? A jeżeli ucieknie?

– To nie nasz problem, gliny będą się tym martwić. Trzymaj ją z dala od tego wszystkiego, daj jej jeszcze parę godzin wytchnienia.

Hugo zapatrywał się na to sceptycznie. Jina została wtajemniczona już na samym początku, a oni potrzebowali sprzymierzeńców, szczególnie na czas nieobecności. Burza nieco ucichła, lecz deszcz nie zelżał. Droga pewnie będzie zawałona gałęziami, pełna błota. Na szczęście razem z JC zdążyli już pościnać drzewa, które mogłyby zatarasować przejazd.

– Poprowadzę, jeżeli chcesz – zaproponował Hugo.

Lily przywarła do jego boku.

– Zabijesz nas – wyszeptała. – Znam trasę na pamięć. Zaufaj mi.

Postanowili nie iść do kantyny, nie chcieli się na nikogo nadziać, a nawet woleli wymigać się od czekającej ich roboty i zniknąć na cały dzień. Przy odrobinie szczęścia JC i Max uwierzą w ich chorobę albo do nich dotrze – o ile wcześniej nie skojarzyli – że ci dwoje są parą i właśnie zdecydowali, żeby poleniuchować w łóżku.

Lily śledziła przez okno intensywny deszcz, chmury wiszące nisko nad doliną oraz ilość wody chlupiącej na trawę z każdej rynny. Hugo dostrzegał jej zdenerwowanie – ona także nie potrafiła usiedzieć w miejscu.

W ośrodku panowała grobowa cisza. Zupełnie jakby znajdowali się sami na pokładzie. Hugo nie znosił tego nawracającego uczucia. Ani śladu

czyjejkolwiek obecności, jakiejkolwiek aktywności.

Późnym rankiem Lily pokręciła głową.

– No i dupa – rzuciła. – Chodź, nie mogę już dłużej czekać. Zabierz telefony, nigdy nie wiadomo.

Kiedy usadowili się w jeepie i Lily włożyła kluczyk do stacyjki, Hugo spodziewał się, że silnik nie zapali. Morderca wszystko przewidział. Żaden pojazd nie będzie działał. Ponieważ miał czas, by uszkodzić je wszystkie. To było oczywiste. Warkot go zaskoczył. Hugo był nie mniej zdumiony, widząc, że w bladym świetle dnia zdołali się wydostać spod Dużego B. Drogę porządnie przysypały szczątki roślin, które jednak nie były w stanie powstrzymać szerokich opon wranglera. W najgorszym razie mieli koło zapasowe, stwierdził chłopak, kiedy ruszali.

Z ulewy została jedynie drobna, choć niezmordowana mżawka, z którą toczyły walkę wycieraczki. Lily omijała największe kłody, te o ostrych końcach, połamane albo powyrywane w ciągu nocy. Jechała bardzo powoli, co u kogoś, kto ją znał, budziło większy niepokój. Hugo omal nie zwichnął karku, kiedy mijali gospodarstwo taksówkarza, ale niczego nie wypatrzył. W tym tempie dotrą do Montdauphin za jakieś cztery, pięć godzin, ale było mu wszystko jedno. Żałował tylko, że nie udało mu się zawiadomić Jiny, ponieważ chętnie zostawiłby na miejscu ich współpracowniczkę, ale również dlatego, że był jej winien prawdę. I żeby podwoiła czujność, dla własnego bezpieczeństwa.

Ledwie kilometr niżej jeep stanął jak wryty. Drogę zatarasował imponujący zwał błota i kamieni. Kilka ton gruzu. Lily tak mocno ścisnęła kierownicę, że aż jej pobielwały kłykcie.

– To niemożliwe... – wysyczała przez zęby.

Nie dało się przejechać. Nawet quadem, uświadomił sobie Hugo, wyjmując z kieszeni telefony. Ani śladu zasięgu.

– To jedyna droga, prawda?

Lily przytaknęła bez słowa. Była blada jak płótno. Ona także uzmysłowiła sobie konsekwencje. Muszą zawrócić do Val Quarios. Uwięzieni z mordercą.

Hugo pochylił się nad tablicą rozdzielczą, by lepiej ocenić szkody. Błoto oderwało się od zbocza w położonym dużo wyżej punkcie i zabrało wszystkie jodły na swojej drodze. Po przerwaniu linii telefonicznej teraz ośrodek był zupełnie odcięty od świata. To dużo jak na jedną noc, ale Hugo starał się nie świrować i nie dać zaślepić szaleństwu.

Damy radę. To tylko brzydki dowcip losu. Chociaż trafił się mordercy w samą porę.

Jak magiczna sztuczka.

## 58.

Wysiadając z jeepa na podziemnym parkingu, o mało się nie przewrócili, tak bardzo byli otumanieni. Zdezorientowani. Hugo stanął przed Lily i wziął ją pod brodę.

– Znajdziemy jakieś rozwiązanie, OK?

Przytaknęła nieśmiało.

– Ufasz mi? – dopytywał Hugo.

– Tak.

– W takim razie wyjdziemy z tego, a ten śmieć za to zapłaci. Obiecuję.

Umysł Hugona znów pracował na najwyższych obrotach. Najważniejsze to działać, by nie pozwolić się ponieść wyobraźni, wiedział o tym.

– Kto da radę uprzętnąć drogę? – odezwał się.

– Nie mam pojęcia. Pewnie my i jeszcze ekipa z Montdauphin.

– To robota na parę dni. A kiedy mogą naprawić linię telefoniczną?

– Dokładnie nie wiem, to nie zależy od nas, trzeba zawiadomić operatora, który namierzy, gdzie to się stało, a przy zwałach błota tarasujących drogę możliwe, że oni też będą mieli opóźnienie.

– Czyli co najmniej przez tydzień jesteśmy zdani na siebie.

Kręcił się w kółko, chodząc od jeepa do najbliższego filaru.

– Na początek wrócisz do roboty – oznajmił.

– Hugo, nie jestem w sta...

– Tak trzeba. Nie wzbudzać podejrzeń, pamiętasz? Ostatnia rzecz, jakiej chcemy, to żeby morderca poczuł się przyparty do muru i wziął nas na cel, bo pomyśli, że wiemy, kim jest. Powiedz, że zasnęłaś przez burzę. I znajdź jakiś pretekst, żeby pojechać do Montdauphin, a potem wrócić i oświadczyć, że droga jest nieprzejezdna, nie chcę czekać kolejnego tygodnia, zanim się zorientują.

– A ty co będziesz robił?

Hugo zastanawiał się, przygryzając wargi.

– Będę musiał wrócić do Alice – wyznał wreszcie. – I zakopać ją z powrotem.

– Nie, nie możesz tego zrobić!

– Jeżeli morderca tam pójdzie i znajdzie ją w takim stanie, zrozumie. Mordercy często wracają tam, gdzie zostawili swoje ofiary. Nie mogę tam siedzieć dzień i noc i pilnować, a nie mam kamery, żeby śledziła zamiast mnie, więc muszę znaleźć inne rozwiązanie. Ale w kwestii Alice nie mam wyboru.

Lily oparła czoło o jego pierś.

– I nie możemy tego dłużej ukrywać przed Jiną – dodał. – Będziesz musiała ją uprzedzić. Jesteśmy jej to winni. A ona nam pomoże.

Dłonie Lily zacisnęły się na jego T-shircie. Hugo objął dziewczynę. Po czym z twarzą w jej włosach wyszeptał:

– Nie ufaj nikomu innemu. Możemy liczyć wyłącznie na siebie.

Butelka ginu albo wódki załatwi sprawę. W ostateczności nawet podłe i kwaśne czerwone wino. Jakikolwiek alkohol, byleby uspić zmysły, pomóc mu zapomnieć twarz Alice, którą przysypał ziemią i liśćmi.

Każda porcja ziemi ważyła dziesięć razy więcej niż w rzeczywistości. Z początku Hugo obiecał sobie, że nie będzie na nią patrzył. W końcu jednak zmusił się do patrzenia, przez szacunek. I przy każdym ruchu łopata prosił Alice o wybaczenie. Nie mamy wyboru. Albo to, albo ryzyko, że Lily lub on sam skończą tutaj pożarci przez robaki.

Mżawka nie ustawała. Przemoczony Hugo chwycił ręcznik z szatni przy magazynie ze sprzętem, żeby się jako tako osuszyć. Oczyszczył łopatę i oskard, zanim odłożył je na miejsce, a gdy w podziemnym korytarzu nadział się na Maxa, schował czarne ręce do kieszeni. Spodziewał się, że stary wąsacz porządnie zmyje mu głowę, ponieważ nie pokazywał się przez cały dzień, ale on tylko zapytał:

– Paskudnie wyglądasz, wszystko w porządku?

Po minionej dobie Hugo bardzo chciał w to wierzyć.

– Jestem wypluty, w ogóle nie spałem. Przepraszam, powinienem był cię uprzedzić...

– Och, to nie fabryka, jak nie możesz, to nie możesz.

Hugo podziękował i już miał odejść, lecz Max zatrzymał go w ostatniej chwili.

– Ale jeżeli nie czujesz się dobrze, staraj się nie włączyć w taką pogodę – powiedział, wskazując na ubłocone buty i dół spodni Hugona.



Cholera.

Wąsacz oddalił się, nie dodawszy ani słowa więcej. Hugo rozważał, czy tamten się domyśla, że go okłamał, ale uznał, że ma coś ważniejszego do zrobienia, pilniejsze zadania do wykonania.

Napicie się, by zapomnieć, do nich nie należało. Jeszcze nie. Miał czas wszystko przetrwać, kiedy wspinał się do puszczy jodłowej. Nie sposób było czekać na naprawę linii telefonicznej ani na uprzątnięcie drogi. Nie z założonymi rękami. Może zawdzięczał to umysłowi powieściopisarza albo pisarskiego czeladnika – chociaż to nie była pora na samobiczowanie – ale w głowie szybko zakiełkowały mu rozmaite możliwości, z zadziwiającą łatwością. Wiedział, co robić. Najtrudniejsze będzie przekonanie Lily.

Mimo że nikt nie okupował akwarium, w jednym z kominków ciągle jeszcze płonęły z trzaskiem polana. Jina i Hugo usiedli przed ogniem, czekając na Lily. Paryżanin przyniósł plastikową torbę, którą trzymał przy sobie. Cieszył się, że Jina nie poszła zjeść kolacji w kantynie, ze wszystkimi, ponieważ zgnębiona mina i czerwone oczy od razu by ją zdradziły. Nie znała Alice tak dobrze jak Lily, tak naprawdę ledwie parę razy na siebie wpadły, ale jej śmierć i świadomość, że ciało dziewczyny znajduje się tak blisko, wyjątkowo nią wstrząsnęły. Każdy by był co najmniej wstrząśnięty, nie? Zwłaszcza gdyby wiedział, że między nimi jest morderca. Pieprzony morderca. Słowo to dziwnie brzmiało. Już samo wypowiedzenie go budziło strach.

– Powinniśmy umówić się w barze, muszę się napić – oświadczyła.

– Nie pora na to.

– Przeciwnie, pora w sam raz na to.

– Za dużo pijesz, Jino.

Słowa popłynęły same, zanim zdążył ugryźć się w język.

– A ja cię pieprzę. To mi dobrze robi. Dzięki temu lepiej śpiam. A dziś w nocy nie dam rady zmrużyć oka...

– Masz koszmary?

– Nawet o tym nie mów.

– Często?

– Za często.

W oczach Hugona rozbłysła iskierka zaciekawienia. Chłopak już miał mówić dalej, gdy do pokoju weszła energicznym krokiem Lily.

– W porządku, zawiadomiłam Philippe’a, że droga jest nieprzejezdna – oznajmiła. – Udałam, że muszę pojechać do jednego z naszych dostawców

po partię mięsa. Zaraz rano to sprawdzą. Jutro wieczorem będzie zebranie całej załogi, żeby omówić tę sprawę.

Przysiadając obok Jiny, Lily dostrzegła jej udreńczoną minę. Chwyła ją za rękę.

– Trzymasz się?

Jina skinęła głową bez przekonania.

– Pożarłam dwa xanaxy.

– Uważaj z prochami – ostrzegł Hugo – żebyś nie przedawkowała.

Jina uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: „A co to zmieni?”.

– Mam pewien plan – oznajmił Hugo. – Żeby wykurzyć z nory popaprańca, który to zrobił.

– Jasne, znowu uważasz się za Sherlocka Holmesa? – odparła ironicznie Jina.

– Możesz się zabarykadować w pokoju i siedzieć tam, dopóki droga nie będzie przejezdna, i modlić się, żeby ten, kto zaatakował Alice, nie zaczął od nowa, albo możesz mi pomóc.

Dotknięta do żywego Jina otrząsnęła się z odrętwienia i posłała mu wyzywające spojrzenie.

– Mów jaśniej – poprosiła Lily.

– Jak na razie żyje sobie spokojnie i niczego się nie domyśla, a my nie mamy rady go wskazać, o ile nie zdarzy się cud. Ale jeśli go sprowokujemy, zareaguje i popełni jakiś błąd.

– A jak zamierzasz się do tego zabrać?

– Wywołując elektrowstrząs.

Lily i Jina wpatrywały się w niego z powątpiewaniem. Ogień strzelał w kominku, przypominając o swoim istnieniu.

– Wsuniesz pod każde drzwi zdjęcie Alice?

– Nie, będę liczył na to, że ma dobrą pamięć i ciekawi go, jak się ubieramy.

– Co? – skrzywiła się Lily.

Hugo otworzył plastikową torbę, po czym wyjął z niej spódnicę i blad różowy sweter, które zabrał wcześniej ze stosu rzeczy w pomieszczeniu wydrążonym pod składem materiałów wybuchowych.

– To mój sweter! – zawołała Jina piskliwym głosem zdradzającym zdenerwowanie. – Ten, który jej pożyczyłam!

Lily skuliła ramiona i splotła ręce na piersiach.

– Coś ty zrobił? – zapytała, chociaż się domyślała.

– To ciuchy Alice. Chciałbym, żebyś od jutra je nosiła. Codziennie inny zestaw. Przypuszczam, że morderca to zauważy. Już samo to, że Jina narobiła takiego rabanu o swój sweter...

– Mowy nie ma – odparła Lily.

Hugo nie dawał za wygraną:

– Jeśli je rozpozna, a moim zdaniem rozpozna, bo zabójcy często zapamiętują tego rodzaju szczegóły... Opowieści, że gdy się kogoś zabija, pozbawia się go wszystkich rzeczy, nie są wyssane z palca.

– To są ubrania zmarłej, Hugo! Nie włożę ich!

Nagle wbrew wszelkim oczekiwaniom Jina wtrąciła:

– Ja to zrobię.

Hugo się skrzywił.

– Nie sądzę, żeby to było rozsądne. Lily może się tak zorganizować, żeby w dzień nie być sama, a poza tym śpi ze mną, za to ty regularnie siedzisz sama w pracowni krawieckiej albo w pokojach w Dużym B.

– Na co ty właściwie liczysz? – zapytała Jina. – Że on się na mnie rzuci?

– Nie, myślę, że w pierwszej chwili w to nie uwierzy, zada ci jakieś niewinne pytanie, jak gdyby nigdy nic, i właśnie wtedy go namierzemy, chyba że jest bardzo ostrożny i będzie próbował zrozumieć, jak to możliwe, a wtedy wkroczę ja.

– OK, wchodzę w to.

Lily usiłowała nakłonić ją do zmiany zdania:

– Jina, nie powinnaś...

– Nie, daj spokój, już postanowione. Jeśli to was uspokoje, poproszę starego Maxa, żeby przez dwa dni razem ze mną mocował karnisze w Dużym B. Zrobię to dla Alice i żeby się dowiedzieć, kto jest tym świrem.

Sięgnęła po torbę.

– Mimo wszystko istnieje ryzyko – uprzedził Hugo. – Nie mogę zagwarantować, jak on zareaguje.

Jina nakazała mu gestem dłoni, by podał jej reklamówkę, a on spełnił polecenie.

– Jutro rano będę paradować na oczach wszystkich w fatałaszkach Alice.

– A szczególnie wieczorem, na zebraniu – zaznaczył Hugo. – Żeby każdy cię zauważył.

– Po dwóch albo trzech piwach dam radę, możesz mi wierzyć.

Lily, która tego nie pochwałała, piorunowała Hugona wzrokiem.

- Postaram się nie odstępować cię ani na krok – zapewniła przyjaciółkę.
  - Będę się dwoić i troić.
  - A gdzie ty wtedy będziesz? – zapytała Hugona Jina.
  - Niedaleko. Wyżebrzę dzień urlopu, symulując chorobę, a w środę normalnie mam wolne. Przy odrobinie szczęścia do tego czasu on zdąży wykonać jakiś ruch. I mam pomysł, co zrobi.
- Mniej więcej wszystko, czego Hugo dotąd spróbował, skończyło się porażką, zacisnął więc pięści, modląc się, żeby tym razem się nie pomylił.

## 59.

Hugo wytrzymał napad złości Lily.

Wyrzucała mu, że za mocno ryzykuje, i nie chciała wziąć udziału w jego grze. Pozwolił jej się wyładować, po czym przedstawił kolejno wszystkie swoje argumenty. Zdążył już ją trochę poznać. Nie mógł się obejść bez jej pomocy, ona zaś wiedziała, że nie odpuści. Przypomniawszy jej okrutnie, co wykopali oboje w puszczy jodłowej, i wreszcie zamilkła. Niechętnie przyznała mu rację.

Zapakował do plecaka trochę żywności, głównie wodę i owoce, dorzucił nawet książkę, aby wypełnić czymś długie godziny czuwania. Oczekali do wieczora, by podkraść klucze, po czym Lily odprowadziła go na tyły Wieży, zamknęła w składzie materiałów wybuchowych i zastrzegła, że wróci po niego dopiero po północy. Hugo wątpił, żeby koczowanie na miejscu o tak późnej porze miało sens, w końcu przy tak wyczerpujących dniach nawet morderca musi trochę odpocząć. Lily musnęła przelotnie wargami kącik jego ust, następnie pchnęła drzwi, ponownie je otworzyła, dosłownie go zgarnęła wściekłym gestem i tym razem namiętnie pocałowała.

– Siedzisz na tyłku i nie bawisz się w bohatera, jasne?

– Obiecuję.

– Bo jak nie, to skopię ci ten tyłek, nawet jak będziesz trupem. Mam nadzieję, że dotarło.

Gdy pancerne drzwi trzasnęły i Hugona otoczyły absolutne ciemności, wściekle zapragnął krzyknąć, by wróciła, porzucić cały plan, ale się powstrzymał. Wcale mu się nie podobała myśl, że utknął w tych murach bez jakiegokolwiek możliwości wydostania się o własnych siłach, nie widział jednak innej ewentualności. Istniał tylko jeden komplet kluczy, który musiał się znajdować w szufladzie biurka Adele, żeby morderca przyszedł go zabrać. Jak najszybsze schowanie go tam z powrotem i dołączenie do Jiny na zebraniu to było zadanie Lily. Dziewczyna miała go usprawiedliwić, że niby ciągle chory leży w łóżku. Z kolei Jina miała

paradować w słynnym bladuróżowym swetrze i białej spódnicy w maki, którą Hugo wybrał dlatego, że od razu rzucała się w oczy. Jeśli morderca odznaczał się chociaż minimalnym zmysłem obserwacji – a Hugo był przekonany, że tak, bo inaczej zostawiłby jakikolwiek ślad – rozpozna strój. Z początku będzie zdezorientowany, a potem, jak objaśnił dziewczynom Hugo, jak gdyby nigdy nic przyjdzie wybadać Jinę, jej ubiór i to, skąd go wzięła. Chłopak uważał jednak, że w pierwszym odruchu pojawi się tutaj. Żeby sprawdzić.

Nie będzie się demaskował, nie, z miejsca popędzi przetrząsnąć stos ubrań. Żeby się upewnić. Czy uzna, że zwariował? Zwątpi w to, co zrobił, we własną pamięć? Albo zrozumie, że ktoś tu był? Jina albo jej współnik. Tak czy inaczej, dla niego będzie już za późno. Hugo wyda go przed całą ekipą, aby go unieszkodliwić, a wtedy robota będzie skończona.

Alice pomszczona.

Mimo wszystko pozostawało jeszcze całe mnóstwo czynników, których Hugo nie był w stanie kontrolować i które budziły jego niepokój. A co, jeśli morderca tu przyjdzie i stwierdzi, że ktoś odwiedził to pomieszczenie, a potem nie odłoży kluczy do szuflady Adele? Jeżeli Lily spotka coś złego i nie da rady go uwolnić? Hugo powściągnął wyobraźnię, zanim zdążyła narobić szkód.

Zapalił latarkę i zszedł do składu materiałów wybuchowych. Istniało tu sporo możliwych kryjówek, z czego najpewniejsza znajdowała się za stosem jeszcze niezmontowanych metalowych stojaków, on wszakże wolał być jak najbliżej serca akcji. W samej jaskini mordercy. Kiedy przyszedł po rzeczy Alice, naprzeciw sterty ubrań zauważył wnękę. Nie było to idealne schronienie, ale jeśli morderca nie zamierzał przeszukać tego pomieszczenia, nie istniał żaden powód, by dostrzegł Hugona.

Wewnątrz panował chłód. Hugo skorzystał z naturalnego siedziska stworzonego przez kamienny występ, poprawił bluzę i oparł się plecami o ścianę. Jeżeli wieczorem nikt się nie zjawi, nazajutrz zacznie od nowa, a potem przez kolejne dni. O tej samej porze. Za dnia nikt nie mógł niepostrzeżenie wziąć kluczy z szuflady Adele.

Przyjdzie, i to niedługo. Kiedy zobaczy Jinę i ciuchy Alice, na pewno będzie chciał sprawdzić. Mają to jak w banku.

Hugo usiłował dodać sobie pewności siebie za wszelką cenę. Był zdenerwowany, więc aby się czymś zająć, zjadł jabłko.

O dwudziestej pierwszej wyobraził sobie, jak cały zespół zbiera się w akwariium. Zgodnie z przewidywaniami Lily DePrigent pojechał obejrzeć zwały błota na szosie jeszcze tego samego ranka, w towarzystwie JC i jej. Na wieczór zarządził obowiązkowe zebranie. Zła wiadomość była taka, że w samochodzie, w drodze powrotnej Lily słyszała, jak mówi, że szkody są zbyt poważne, by sami mogli się tym zająć, dlatego muszą poprosić o pomoc Montdauphin, a zatem zaczekać, aż naprawią linię telefoniczną. W najgorszym razie w piątek spodziewali się dostawczej ciężarówki. Zobaczywszy, co się stało, kierowca z pewnością zawiadomi swoich przełożonych i alarm zostanie wszczęty. Jednakże to skutkuje odcięciem ich od świata aż do piątku, może nawet do soboty.

Trzeba wytrzymać jeszcze cztery dni. Jeżeli zidentyfikuje zabójcę Alice, a potem wszyscy się zjednoczą i go zaatakują, gdzie go zamkną?

Wszystko w swoim czasie... Czekaając, Hugo nie był w stanie czytać, toteż regularnie rozprostowywał nogi i zerkał na zegarek.

Dwudziesta druga. O tej porze zebranie musiało się już skończyć.

Jina wparowała w ciuchach Alice. Jak się do tego zabrała? Ostro dała w palnik, żeby się znieczulić? Oczywiście zjawiała się ostatnia. Żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. Bez wątpienia usiadła obok DePrigenta, twarzą do zespołu. Lily zajęła miejsce z boku, po skosie, żeby obserwować innych.

Na myśl, że równie dobrze mogły wcale na tym nie poprzestać, bo korciło je, by osobiście śledzić mordercę, Hugo poczuł ukłucie w sercu. Nie, nie zrobią tego.

A właściwie dlaczego nie? Jeżeli Lily zauważy jakieś podejrzanе zachowanie... Czy nie przyklejono jej łatki tej, co wszędzie wściubia nos? Jest ostrożna. Czy rzeczywiście jest tego aż tak pewien? Żeby mieć udział w pomszczeniu Alice. Żeby chronić jego.

Hugo zaczął przytupywać. Nie rób tego, Lily. Błagam cię, nie świruj.

Dwudziesta druga trzydzieści. Jeżeli nawet po zebraniu zostali jeszcze na pogaduszki, o tej porze musieli się już rozejść. Każdy członek grupy, łącznie z mordercą, ruszył w swoją stronę. Jeśli zabójca jeszcze tego nie zrobił, w tej chwili musiał się znajdować w gabinecie Adele, by zabrać klucze. A Jina? Ich wczorajsze rewelacje mocno nią wstrząsnęły. Mogła być zdolna do wszystkiego. Zwłaszcza do tego, żeby wydoić dwie flaszki, wparować na zebranie nawalona jak stodoła i rozpieprzyć cały plan. Hugo wyobraził sobie, jak wysypuje się pijana do nieprzytomności, rzuca na

oślepie oskarżenia, jak przez nią wszystko bierze w łeb. Nie, wprawdzie pije, ale zna umiar.

Wtedy przypomniał sobie to, o czym mu opowiedziała, kiedy czekali na Lily. O swoich koszmarach. Hugonowi wydało się to znajome. Z początku Jina była onieśmielona, potrzebowała czasu, żeby nabrać swobody, a picie jej w tym pomagało. I popijała coraz częściej.

Bo koszmary się nasilają? Właśnie to dawała do zrozumienia. Zupełnie jak u mnie? Kiedy on popuszczał wodze wybujałej fantazji, dręczyła go mieszanina złych snów i zwidów... Zgadza się, ale nigdy aż do tego stopnia! Żeby zmusić go do zawrócenia na schodach, ponieważ się bał. Żeby sobie wmówił, że jakiś stwór jest razem z nim w basenie. Żeby spanikował w windzie...

Czyżby on i Jina mieli ze sobą coś wspólnego? W takim razie dlaczego nie Lily? Ponieważ ona tu jest już od trzech lat. Zdążyła przywyknąć. Do jakich wniosków mogły doprowadzić jego spostrzeżenia? Powinienem zapytać Lily, czy ona też przeszła przez to samo. To było niemożliwe. Wymyślał zależności, powiązania, które nie miały racji bytu. To śmieszne. A co jeśli? Czyżby ośrodek sam wywoływał koszmary w umysłach mieszkańców? I co jeszcze?

Dwudziesta trzecia. Dlaczego go jeszcze nie ma? Czyżby czekał, aż wszyscy położą się spać? Nagle Hugo się przeraził. Dlaczego kazał Lily przyjść o północy? To za wcześnie! A jeśli napatoczy się na niego na zewnątrz? Jeśli on ją zaatakuje? Nie, nie, nie, to się nie stanie. Hugo zacisnął pięści. Klucze!, pomyślał z uśmiechem. Jeżeli morderca znajduje się jeszcze na zewnątrz, w drodze stąd do biura Adele, Lily nie znajdzie kluczy w szufladzie i stanie się dla niej jasne, że nie wolno jej się zbliżać. Tak, może jej zaufać. Ona jest sprytna.

Dwudziesta trzecia dwadzieścia jeden. Gdy w pomieszczeniu na górze zgrzytnęły metalowe drzwi, serce podskoczyło Hugonowi do gardła. Chłopak czym prędzej zgasił latarkę i przywarł do ściany. Czy Lily aby nie przyszła za wcześnie?

Nie, to on! U szczytu schodów rozległo się szuranie. Hugo słyszał własny świszczący oddech przez nos. Otworzył usta, próbując się opanować.

Za słabo się zamelinowałem. Jak skręci w prawo, nadzieje się na mnie. Kiedy Hugo wpadł wcześniej do warsztatu po latarkę, wziął nóż i przecinak. Teraz jednak oba tkwiły w plecaku, który miał między stopami, on zaś nie śmiał się poruszyć, żeby nie wywołać najdrobniejszego



szelestu. Zacisnął zęby, wyzywając samego siebie od najgorszych. Było za późno.

Ktoś właśnie schodził, Hugo dostrzegając tańczące światło. Zaraz zostanie namierzony. Tylko morderca wciskałby się w prowadzący tu ciasny korytarz, ktokolwiek inny zatrzymałby się w poprzednim pomieszczeniu, w składzie materiałów wybuchowych.

O tej porze nikt inny nie ma tu nic do roboty. To on. Kto inny by tu przyszedł po tym, jak Jina paradowała w ubraniu Alice? To może być tylko on!

Światło rozbłysło mocniej, towarzyszył mu odgłos ocierania się o ściany wąskiego przejścia. Hugonowi wydawało się, że wszyscy są w stanie usłyszeć potężne łomotanie serca, które czuł w skroniach. Czoło miał zroszone potem. Oddychał zbyt głośno. O wiele za głośno.

Biały snop światła rozlał się aż do stóp Hugona, więc ten cofnął nogi o dziesięć centymetrów, tak daleko, jak tylko zdołał.

Pojawił się morderca, poruszająca się szybko postać, która ledwie pokazała łokieć, a już odwróciła się do chłopaka plecami i pognąła w drugą stronę, by przetrząsnąć stertę ubrań.

Latarka unosiła się i opadała, wędrowała w prawo i w lewo, pod światło zaś odcinała się jakaś sylwetka.

To morderca! Jasny szlag, to morderca!

Udało się. Hugo nie poczuł ani odrobiny satysfakcji. Był przerażony. Miał dłonie wilgotne od potu. To się działo naprawdę. Było takie rzeczywiste. Morderca tuż obok, nawet nie pięć metrów dalej. Istota, która obmyśliła, a potem uknuła plan, żeby zmasakrować inną istotę. I która nie uczyniła tego po raz pierwszy. Na stosie znajdowało się zbyt dużo ubrań.

Seryjny zabójca.

Który nie odczuwał najmniejszych wyrzutów sumienia, najmniejszego wahania, gdy wbijał ostrze w ciało drugiego człowieka albo zaciskał z całych sił węzeł wokół jego miękkiej szyi.

A jeśli mnie usłyszysz...

W tej chwili morderca grzebał w stercie rzeczy.

Po czym latarka znieruchomiała i Hugo ujrzał jego profil.

Rozpoznał go natychmiast.

Ale to przecież było niemożliwe.

## 60.

Lodowate podziemne pomieszczenie zamieniło się w piekarnik.

Po twarzy Hugona spływał pot, który zatrzymywał się na chwilę na brwiach, po czym piekł w oczy.

Mimo to chłopak nadal widział. Rozpoznawał mordercę.

Nie potrafił w to uwierzyć. To nie pasowało do posiadanej przezeń wiedzy. Już nic nie miało sensu.

Zdezorientowany Hugo niechcący otarł się łokciem o skałę i zamarł.

Nie ruszać się. Wstrzymał oddech.

Tamten naprzeciwno nic nie usłyszał, w końcu się wyprostował i głęboko westchnął, z tak przeciągłym świstem, aż Hugonowi wydało się, że to on sam, że własne ciało go zdradza. Morderca kopnął stos. Zobaczy mnie, jak będzie zawracał. Kurwa, jak nic mnie zobaczy, dokładnie przed samym nosem!

Hugo musiał działać. Uprzedzić bieg wydarzeń. Ciągłe mógł wykorzystać efekt zaskoczenia. Nogi jednak odmówiły mu posłuszeństwa, ręce były jak przyspawane do boków. Jeżeli dosięgnę noża... Tylko na co właściwie liczył w starciu z wytrawnym zabójcą?

Mięśnie zupełnie mu sflaczały, cały zamienił się w galaretę. Wiedział, że tamten jest w pełnej gotowości, przecież ma wprawę w tego rodzaju walkach, więc pokona go jednym ruchem, a potem skieruje jego własne ostrze ku niemu, wtedy Hugo poczuje, jak zimna stal przecina mu skórę, przebija chrząstkę na torsie i boleśnie wnika w serce, aż krew wypełni klatkę piersiową, a ostatnią rzeczą, jaką ujrzy, będzie beznamiętny wzrok mordercy, który nie odczuje najmniejszego wahania. Ale muszę chociaż spróbować. Nie był w stanie.

Latarka w pomieszczeniu po przeciwnej stronie wnęki zawirowała i snop światła zatrzymał się na Hugonie. To znaczy pomknął w jego kierunku, dotarło do paryżanina, który nie pozwolił sobie nawet przełknąć śliny, w obawie, że zrobi to zbyt głośno.

Morderca się zbliżał. Hugonowi kręciło się w głowie. Światło latarki wystrzeliło do góry i zboczyło, za nim zaś przez wąską kiszkę przedzierał się morderca.

Oddalał się. Nie widział mnie. Hugo nie mógł już dłużej wytrzymać, zdołał się jednak opanować, dopóki trzask metalowych drzwi nie utwierdził go w przekonaniu, że tamten sobie poszedł. Chłopak o mało nie zemdłał. Gdy powietrze na powrót zalało mu płuca, uświadomił sobie, że nie oddychał już dłuższą chwilę. Szumiało w uszach i prawdopodobnie czarne mroczki latały mu przed oczami, chociaż i tak nic nie widział. Wcisnął guzik i włączył własną latarkę.

Żył. Odzyskał zmysły po dziesięciu minutach, przejrzał stertę przedmiotów i ubrań, aby się upewnić, czy morderca nie zostawił tam niczego nowego, następnie wrócił do składu materiałów wybuchowych, drżąc z niecierpliwości.

Do północy pozostało dwadzieścia minut. Jeśli morderca prędko odniesie klucze na miejsce, a Lily postanowi udać się tam około dwudziestej czwartej, nie wpadną na siebie, ale niewiele będzie brakowało. Dlaczego naraziłem ją na takie niebezpieczeństwo? Powinien był założyć większy margines czasu.

Hugo krążył w tę i z powrotem. Jak wytłumaczyć to, co zobaczył? Wszystkie jego hipotezy wzięły w łeb. Nie mógł się doczekać, by dołączyć do Lily, aby odzyskać spokój i podzielić się z nią tym, co wiedział. Aby wspólnie znaleźli odpowiedzi. W tej sytuacji bowiem im głębiej to analizował, tym bardziej czuł się zagubiony.

Z trochę zbyt dużą nonszalancją oparł się o jeden ze stojaków, a ten przechylił się do tyłu i rąbnął w ścianę. Hugo zeszywniał, słysząc, jak materiały wybuchowe obijają się o wnętrze plastikowej skrzyni. Gdyby to cholerstwo było czułe, mógłby wylecieć w powietrze.

Przecież nie ma detonatorów, to nie może być takie łatwe...

Przez głowę przemknął mu obraz Lily, która podbiega do ziejącej dziury pośród drzew nad krawędzią urwiska – niemal dał się słyszeć jej krzyk. Nagle w jego płodnym umyśle zakiełkowała pewna możliwość. Natchnienie, które podsuwało zupełnie inną historię.

Nie, nie... Mimo to ona sporo wyjaśniała.

Hugo wycelował latarkę w plastikowe skrzynie. Był ostrożny i przerażała go własna zdolność do snucia szalonych teorii spiskowych.

– Za bardzo się rozpędzam – mruknął.

Podszedł bliżej, wsunął latarkę pod pachę i otworzył skrzynie, by sprawdzić ich zawartość. Prędko pozbył się wszelkich wątpliwości. Od ostatniej inspekcji brakowało co najmniej dwóch worków z materiałami wybuchowymi. Hugonowi zatrzęśły się nogi.

## 61.

Gdy klucz wsunął się do pierwszego zamka, Hugo niczego nie podejrzewał. Był na to jeszcze zbyt oszołomiony. Oślepił światłem wchodzącą właśnie Lily.

– Musisz to zobaczyć.

Popchnął ją ku plastikowej skrzyni, którą zostawił otwartą.

– Przedwczoraj, kiedy zajrzałem do środka, była jeszcze pełna – dodał.

Lily instynktownie się cofnęła.

– Zabrał je? Dałeś radę zobaczyć, kto to jest?

W półmroku oczy Hugona płonęły gorączkowym blaskiem.

– Ludovic. To on tu był przed chwilą.

– Ale...

– Jest tu dopiero od półtora miesiąca, wiem. To się nie trzyma kupy. Chyba że...

Wycelował palec w pustą skrzynię.

– Że ma współnika. Cały czas to przetrawiam.

– Hugo, musimy natychmiast wracać do ośrodka. Jeżeli ma materiały wybuchowe i ich użyje...

– Nie przypuszczam.

– Zabrał je, tak czy nie?

– Moim zdaniem one już zostały użyte.

– Słucham?

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

– Nie widzę związku...

– Linia telefoniczna zerwana tego samego dnia co zablokowana droga.

– To burza, skąd u ciebie aż taka obsesja?

Hugo machnął ręką w kierunku pustej skrzyni.

– To oni nas odcięli. Burza to był dla nich szczęśliwy traf.

– Ale w sumie po co mieliby się porywać na taką operację? Zdajesz sobie sprawę, jakie to skomplikowane?

– Bo wiedzą, że pętla się zaciska. Albo coś szykują.

– Kogo masz na myśli, mówiąc „oni”?

– O ile wiem, w tym momencie jest tutaj tylko jedna osoba, która potrafi się obchodzić z materiałami wybuchowymi, to JC. Ma łatwy dostęp do tego pomieszczenia, mieszka tu od dzieciństwa, jest wystarczająco dobrze zbudowany, żeby obezwładnić swoje ofiary. I wyobrażam sobie, że musi znać szyfr do sejfu, w którym są schowane detonatory.

– Dopiero co mówiłeś, że to Ludovic.

– Że to jego widziałem. Tylko że Ludovic jest tutaj dopiero od półtora miesiąca, a zbyt wiele elementów pochodzi sprzed lat, ubrania, talizmany, totemy... Niedawno odkryłem, że przed zatrudnieniem sezonowych pracowników was, ekipy pracujące na stałe, pytano o zdanie. A jeśli JC skorzystał z tego, żeby ściągnąć swojego współnika? Bo nie sądzę, żeby w tak krótkim czasie zdołali odkryć w sobie nawzajem mordercze skłonności, natomiast jeżeli znali się dłużej...

– Dwóch morderców – powtórzyła cichutko zszokowana Lily.

– Rzadko się zdarza, ale się zdarza. Czytałem coś na ten temat w książkach. Zawsze jest zdominowany i dominujący. Silna osobowość i introwertyk. Nikogo ci to nie przypomina?

Przerażona Lily zatkała usta.

– Dobrze znam JC – powiedziała głosem zduszonym przez dłoń. – To wporzo gość.

– Właśnie tak zawsze twierdzą na przesłuchaniach sąsiedzi seryjnych zabójców.

– Ale wszystko przemawia na korzyść JC, jesteś pewien, że nie za szybko wyciągasz wnioski?

– Lily, rozejrzyj się.

– To jakiś koszmar...

– Gdzie jest Jina?

– U siebie, gotowa wrzeszczeć, jak tylko ktoś się zbliży. Nie zaśnie, dopóki do niej nie zajrzemy.

– Zrób to. Ja pójde opowiedzieć o wszystkim DePrigentowi.

Lily energicznie pokręciła głową.

– Nie, w żadnym razie. Coś tu nie gra. Jeszcze nie potrafię się połapać co, ale czuję, że coś nie pasuje.

Hugo chwycił ją za ramię i powiedział:

– Lily, nie ma już miejsca na wątpliwości, to JC albo Ludovic.

– A jeżeli się mylisz? Jeżeli JC nie ma z tym nic wspólnego? Jeżeli zaatakujemy JC, chociaż jest niewinny, a tymczasem prawdziwy świr zachował przy sobie choćby odrobinę materiałów wybuchowych i jest zdecydowany się zemścić? To zadanie dla żandarmów.

– Niby kiedy? W sobotę? W niedzielę? Nie będziemy czekać.

– Właśnie że tak. Teraz wiemy, kogo śledzić. Kogo się wystrzegać. Oni nie mają pojęcia, że my wiemy.

– Z powodu swetra wezmą na celownik Jinę.

– Jak Ludovic zareagował na stertę ciuchów?

– Wydawał się zakłopotany... Przetrzęsnał stos, a potem westchnął. Miałem wrażenie, że jest... zrezygnowany.

– Wrócisz tu i wsuniesz do sterty różowy sweter, porządnie go ukryjesz między resztą rzeczy. Jeżeli JC albo ktoś inny jest w zмовie, będzie chciał osobiście się przekonać. Przyjdą tu więc, a jak go znajdą, pomyślą, że Ludovic w pośpiechu źle sprawdził i że Jina ma taki sam sweter, że niepotrzebnie spékali. Zupełnie logicznie uznają, że gdyby Jina albo ktokolwiek inny znalazł to miejsce, gliny już by tu były. Dzięki temu zyskamy potrzebny czas.

– Lily, to nasuwa mnóstwo przypuszczeń...

– Uda się. W każdym razie nie zbliżaj się do nich. Jasne? Jeżeli to mordercy, nie próbuj ich sam unieszkodliwić. Przysięgasz?

Ponieważ nie odpowiedział natychmiast, Lily powtórzyła ostrzejszym tonem:

– Hugo? Przyrzeknij.

Chłopak niechętnie ustąpił. Gdy Lily podeszła do drzwi, rzucił ostatnie spojrzenie na plastikowe skrzynie. Zrobi to, o co go poprosiła.

Ale nie tylko to.

## 62.

Zaledwie pięć godzin snu.

Tylko na tyle Hugo mógł sobie pozwolić. Po nieprzespanej nocy nie był zbyt przytomny. O dziwo jednak, tuż po wypiciu kawy jego umysł zaczął pracować na pełnych obrotach. Natomiast Lily jeszcze spała. Postanowił zostawić ją w spokoju, pozwolić na rzadką chwilę beztroski, ponieważ potrzebowała tego. Martwił się o jej bezpieczeństwo, ale również o zdrowie psychiczne. Czuł, że padła ofiarą przerastających ją emocji, i wcale nie uspokajało go, że potrafi pogodzić przygnębienie z determinacją w działaniu. Prędzej czy później dziewczyna się załamie, Hugo modlił się, by to nie nastąpiło, zanim wszystko się skończy. Powinni nawzajem się wspierać.

Popędził do Jiny, żeby ją wy badać. Otworzyła mu dopiero wtedy, gdy kilkakrotnie zapytała go o tożsamość i pozbyła się wszelkich wątpliwości, że to rzeczywiście on. Lily miała powody do obaw, ale Jina znajdowała się w dużo gorszym stanie. Białka jej oczu w kolorze kości słoniowej upstrzone były czerwonymi żyłkami. Na policzkach widniały kręgi czarniejsze niż tusz do rzęs. W dodatku cała się trzęsła.

– Kiedy ostatnio jadłaś? – zapytał.

– Możesz wyluzować, nie muszę dawać w palnik, jeśli to masz na myśli, nic wczoraj nie piłam.

Ona, zwykle tak czarująca, teraz budziła litość.

– Masz w apteczce leki na uspokojenie, prawda?

– Antydepresanty, środki nasenne, mam wszystko. Ale w nocy niczego nie łykałam. Za bardzo boję się spać.

Hugo otworzył lodówkę, napełnił szklanek sokiem pomarańczowym i podał jej.

– Musisz wytrzymać co najmniej do soboty albo niedzieli. A mamy dopiero środę, Jino.



– Próbowałeś przez internet? Przecież z policją albo żandarmerią można się skontaktować e-mailem!

– Internet przechodzi przez te same łącza co telefon, wszystko padło.

– Jeżeli naprawią linię telefoniczną przed weekendem, będzie można zadzwonić do glin, a oni znajdą jakiś sposób, żeby się tu dostać, prawda?

– Nie mam pojęcia. Proszę, pij.

Spełniła polecenie, aby sprawić mu przyjemność.

– Odłożyłeś na miejsce sweter i spódnicę? – zapytała.

– W nocy – potwierdził Hugo.

– A jak przyjdą przeszukać moje rzeczy i zobaczą, że już ich nie mam, domyślą się, że zrobiłam ich w wała...

– Nie zaryzykują.

– Skoro tak mówisz...

Była jedna rzecz, której Hugo nie chciał jej powiedzieć, podejrzewał mianowicie, że JC i Ludovic zaplanowali podły numer. Nawet jeśli, jak twierdziła Lily, burza mogła usprawiedliwić przerwanie linii telefonicznej i blokadę drogi, to jednak w magazynie brakowało materiałów wybuchowych.

– Lily postara się pracować dzisiaj blisko ciebie, ale jeżeli jej się uda, będzie też miała oko na Ludovica. A ty zrób wszystko, żeby stary Max siedział ci na plecach. A jak nie da rady, to... Exhell będzie w siódmym niebie, mogąc ci towarzyszyć, jestem tego pewien.

Dziewczyna zacisnęła usta.

– Nawet ja się ucieszę, jeżeli będzie przy mnie.

– Zastanawiałem się, czy nie przenieść cię do Lily i do mnie na noc, ale jeśli to się wyda, wszyscy będą gadać, a wtedy dojdzie do uszu obu zainteresowanych, a tego absolutnie nie chcemy. Po epizodzie ze swetrem mogliby zacząć coś podejrzewać. Jak sądzisz, wytrzymasz?

Przysunęła do siebie na wpół opróżnioną szklanę, jakby to była świeca w ciemnościach.

– A czy mam wybór?

Hugo kierował się warkotem traktora. Przyczajony w zaroślach obserwował, jak sto metrów niżej JC ładuje do przyczepy zwalone pnie i gałęzie, które pokrywały drogę. Śledził go przez sporą część poranka, aż nadeszła pora drugiego śniadania. JC odpiął przyczepę i zostawił ją na miejscu, po czym odpalił traktor. Zamiast jednak pojechać do Val Quarios, ruszył na dół. Co ty odwalasz? Hugo wahał się, czy podążyć za nim, ale na

piechotę, po przemokłej i śliskiej ziemi przede wszystkim ryzykował złamanie kończyny. Droga jest zatarasowana, nie może odjechać zbyt daleko...

Hugo postanowił zaczekać tutaj i schronił się pod modrzewiem przed mżawką, której końca nie było widać. Przez ponad godzinę zbijał bąki, zanim usłyszał warkot silnika. Przemókł do suchej nitki. Zbliżył się ostrożnie do swojego punktu obserwacyjnego.

– Gdzieś ty się podziewał przez ten czas? – mruknął pod nosem.

Ledwie JC zsiadł z traktora, Hugo pojawił w lot.

Przebrał się. Bo wozi w traktorze łachy na zmianę, to by było logiczne, skoro zaszuwa w taką ulewę... Tylko że kiedy Hugo prowadził ciągnik, nigdy ich nie widział.

Czekał dalej, zmuszając się do pozostania pomimo zimna, które zaczęło mu się dawać we znaki. Nie powinien spuszczać JC z oka. To on gra pierwsze skrzypce w tym duecie. On jest mózgiem. Prowodyrem. Hugo sporo czytał na temat seryjnych zabójców, w tym przypadku wcale nie przesadził, doskonale pamiętał profil par morderców. Uległy niezwykle rzadko działał z własnej inicjatywy. Hugo uważał, że dopóki trzyma JC na muszce, nic złego nie może się wydarzyć. Pod warunkiem, że to on.

Późnym popołudniem JC pojechał wyżej, żeby opróżnić przyczepę w swoim ulubionym wąwozie, kiedy zaś Hugo zmierzał ukradkiem do Dużego B, przekonany, że JC natychmiast odstawi traktor na sam koniec parkingu pod Tetrykiem, nagle aż się skulił w krzakach, widząc, że tamten oddala się w przeciwnym kierunku. Odprowadziwszy opróżnioną przyczepę, wybrał się z powrotem do doliny. A dokąd to tak sobie jedziesz?

Tym razem Hugo zdecydował się pójść za nim. Szybko pozwolił się wyprzedzić i w każdej chwili spodziewał się, że traktor wyłoni się zza zakrętu, długo jednak musiał tak maszerować i o mało co się nie zniechęcił. Chyba nie pojechał aż do zwałów błota? Co by miał tam robić?

Odpowiedź spadła na Hugona, gdy dotarł do nawisu w pobliżu gospodarstwa, gdzie mieszkał kierowca taksówki. Traktor stał na podwórzu.

Hugo podszedł bliżej w wieczornej szarudze. Dotarcie tutaj zajęło mu prawie dwie godziny, czuł się wyczerpany, niemal chory. Lecz to, co zobaczył, było zbyt intrygujące, żeby zrezygnować. Co ten JC tutaj wyprawiał? Okna domu rozświetlał blask.

Hugo pokonał ostatnie metry i o mały włos nie przewrócił się w błoto, lecz w ostatniej chwili uchwycił się jakiegoś krzaka, następnie czym prędzej ukląkł za stertą brudnych beczek. Jeśli przetnie podwórze, piekielna mżawka go nie zasłoni, wobec tego postanowił podążyć wzdłuż stodoły, a gdy mijał huśtające się drzwi, nie zdołał powstrzymać się, by nie zerknąć do środka. Wewnątrz znajdował się stary citroen, którego widział wcześniej. Przede wszystkim zaś oparty na stópce obok skuter. Ten sam, który pożyczala Simone, odwiedzając Strafę w jego zameczku.

– Co to...

Hugo już nic z tego nie rozumiał. Dotarł do domu, usilnie próbując wyciszyć plaskanie stóp o upstrzone kałużami podwórze. Skulił się jak tylko mógł pod ścianą i stanął pod rozświetlonym oknem. Wytarł rękawem wszystkie krople zbierające mu się na czole i brwiach. Powoli podniósł głowę w kierunku parapetu.

Dostrzegł kuchnię otwartą na coś, co zapewne było pokojem dziennym. Rondle, zawieszane na relingu w połowie wysokości okna, częściowo zasłaniały mu widok. Nie aż tak jednak, by nie zauważył mężczyzny z krótkimi siwymi włosami, taksówkarza, który siedział przy stole między kuchnią a salonem i czytał coś z kartki.

Wtem za futryną wyrosła Simone. Hugo ledwie zdążył się schylić – miał nadzieję, że go nie widziała. Ponieważ nic nie usłyszał, w końcu ostrożnie się wyprostował. Stara kobieta właśnie pochylała się nad lodówką, z której wyjęła piwo. Odkapslowała je przed samym nosem Hugona, po czym przemierzyła pokój i zaniosiła butelkę komuś na drugim krańcu domu.

Hugo wykręcił szyję i stanął na palcach, by przekonać się, kto to jest. Potężne ramię i zielone nylonowe spodnie wystarczyły. JC.

Hugo nie był znawcą fizjonomii, jak lubił powtarzać, mimo to z miejsca uderzyła go jedna rzecz.

Simone i taksówkarz. To jego rodzice.

Nie bardzo wiedział, jaki to ma wpływ na wszystkie jego teorie, poza tym, że potwierdza wizerunek atletycznego czterdziestolatka o pewnym uroku, pracowitego samotnika, który nadal mieszka z rodzicami, prawdopodobnie w tym samym miejscu, gdzie się urodził, w zapyziałym gospodarstwie w sercu gór.

Hugo nie musiał być profilerem, by pojąć, że właśnie ma przed sobą swojego mordercę. Pozbył się wszelkich wątpliwości.

## 63.

Lily zdołała odwieść Jinę od odwiedzenia grobu Alice, o ile w ogóle można to było nazwać grobem. Nie udało jej się natomiast utrzymać jej z dala od butelki wódki w porze kolacji. Hugo zdawał sobie sprawę z tego, że właśnie ją tracą. Istniało ryzyko, że wszystko wypaple, zdemaskuje ich i narazi na niebezpieczeństwo.

– Gdzie ona jest? – zapytał Lily po wyjściu spod prysznic o dwudziestej drugiej.

Hugo dopiero co wrócił z gospodarstwa.

– Zamknęła się z butelką w swoim pokoju.

– Myślisz, że da radę?

– Wszystko zależy od tego, jak długo.

– Są jakieś wieści na temat łączności?

– DePrigent mówi, że telefon nadal nie działa, komórki w ogóle nie łapią zasięgu, nawet na Wieży, więc czekamy.

– Wiedziałaś o Simone i JC?

– Nie, wydaje mi się, że nigdy nie poruszali przy mnie tego tematu. Czy to coś poważnego?

– Nie, ale że taksówkarz, który twierdzi, że odwiózł Alice do doliny, jest jego ojcem...

– Twoim zdaniem to rodzina porąbańców?

– A dlaczego nie?

Lily otworzyła szeroko oczy. Nie była jednak w stanie przedstawić żadnego argumentu przeciw. Żadnego nie miała. Zdążyła je wyczerpać. Wszystko to ją przerastało i przyznała się przed nim do tego.

Zanim Hugo się położył, podstawił krzesło pod klamkę drzwi do swojego apartamentu. Lily, która go przyłapała, nie powiedziała ani słowa. Ich rytuał trzech nocy w tygodniu trafił szlag z powodu ostrożności, a im było już wszystko jedno. Spali obok siebie, ale tym razem bez dotykania się.

Nazajutrz, mając świadomość, że nie może już dłużej zwlekać z powrotem do pracy, Hugo musiał dołączyć do starego Maxa. Ten zaprowadził go do Armanda, żeby pociągnąć przewody w Dużym B. Hugona kusilo, by wszystko im opowiedzieć, by zbudować mur sprzymierzeńców i pozbyć się ciężaru własnego odkrycia. Ale nie zrobił tego. Niczyja rola nie została jeszcze ostatecznie wyjaśniona, i chociaż przestał się obawiać, że są zamieszani w śmierć Alice, i tak mogliby źle zareagować i próbować zgrywać bohaterów. Skoro jednak w ośrodku znajdowały się materiały wybuchowe, lepiej było nie ryzykować. W ciągu dnia Hugo usiłował złapać Jinę, ale na próżno.

– Jina? – odezwał się Max. – Daje sobie radę w pojedynkę, czasem w pokojach, czasem w pracowni, czasem... nie mam pojęcia gdzie. Czy to ważne?

– Nie – skłamał Hugo, aby nie musieć się tłumaczyć.

Lily również była nieuchwytna, poczuł więc rosnący niepokój, gdy wtem ujrzał ją pod koniec dnia w oddali, jak opuszczała statek matkę.

O osiemnastej, wracając do swego pokoju, zahaczył o apartament Jiny i zapukał. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Mogła nadal przebywać w pracowni, szykować sobie kolację, drzemać albo nawet odsypiać. Hugo obrócił się na pięcie, zajrzał do kantyny, by sprawdzić, kto tam jest, po czym zauważył Exhella i Merlina z piwem w dłoniach. Postanowił im potowarzyć, aby wybadać teren.

– Nie wkurza was zablokowana droga? – zagadnął.

– A co to zmienia? – odparł Exhell.

– Internetu też nadal nie ma?

– Niestety, nie – przyznał z żalem nawiedzony informatyk, zerkając na porzucony na stole laptop. – Jestem na technicznym bezrobociu.

– A reszta daje radę? Ludovic? JC? W ogóle się nie pokazują...

– To samotnicy.

– W przeciwieństwie do Maxa – dodał Merlin. – Wszędzie go pełno, udaje kowboja, za to jednakowo nie lubi się odzywać i słuchać czyjegoś gadania!

Hugo spróbował z innej beczki, lecz z równie marnym skutkiem. Nie potrafił ich skłonić, by powiedzieli, co myślą o tych dwóch mężczyznach. W końcu Merlin wstał, beknął i oświadczył, że idzie zjeść w pokoju, bo zamierza się wcześniej położyć. Exhell zaproponował Hugonowi grę, ten jednak odmówił, ponieważ to było całkowicie ponad jego siły.

– Widziałeś dzisiaj Jinę?

– Nie, a co, chciała się ze mną zobaczyć? – zdziwił się Exhell, którego nagle zainteresował temat rozmowy.

Hugo podsunął pierwszy pretekst, jaki wpadł mu do głowy, i pomyślał, że nie bałby się tak mocno, wiedząc, że Jina nie jest sama, przerażona i spragniona alkoholu, tylko pod eskortą dużego rudzielca.

– Zaraz będę sobie szykował kolację – oznajmił Exhell. – Ugotuję makaron, chcesz?

– Nie, dzięki.

Hugo patrzył, jak Exhell wychodzi z kantyny i znika w przyległej kuchni. Następnie jego wzrok ześliznął się na komputer. Pokusa była silna. W przypadku braku internetu Exhell musiał mieć całą kartotekę swoich poprzedników wraz z nazwiskami. Potencjalnych ofiar? Pewnie posiadał też dokumentację dotyczącą personelu...

Hugo okraczył ławkę i dopadł do laptopa. Ekran rozbłysnął i zażądał hasła. Cholera! Hugo widział Exhella dokładnie w tym samym miejscu dziesiątki razy, jak siedział przed komputerem, podczas gdy wszyscy rozmawiali, i dziesiątki razy patrzył, jak wklepuje hasło, gdy tylko maszyna się włączyła. Nigdy jednak szczegółowo się nie przyglądał. To było coś krótkiego. Szybkiego. Pamiętał, że informatyk błyskawicznie stukał w klawiaturę, prawdopodobnie w ten sam klawisz...

Przypomnij sobie... Klik-klik-klik-klik. Nie. Coś jeszcze szybszego. Dla zawodowca nie było to specjalnie skomplikowane hasło, wręcz śmieszne. Pewnie z niego kpił. Klik-klik-klik. Tak, to ten rytm. Trzy litery. Takie same. Szybkie i bez zawracania głowy. Hugo wpatrywał się w klawiaturę w poszukiwaniu przycisku bardziej wytartego od reszty, co okazało się równie nieprzydatne co idiotyczne, jak sam stwierdził. Trzy razy to samo...

Exhell. „Jak eks i hell jak piekło po angielsku”, mawiał. Mimo wszystko wcale nie aż takie proste... Hugo wcisnął 666, liczbę diabła. Pokazała się strona startowa. Śmieszne i takie przewidywalne, mój kumpel fan skandynawskiego metalu...

Hugo miał ochotę krzyczeć z radości, zamiast tego jednak zerknął w stronę kuchni, czy drzwi są nadal zamknięte.

Na pulpicie panował wyjątkowy porządek. Foldery były starannie skatalogowane. Hugo przebiegł po nich wzrokiem, czytając po przekątnej, i nie zrozumiał połowy tytułów. Kliknął na chybił trafił. Pojawiło się okno składające się z jakichś dziesięciu kolejnych plików. Katalog bez końca dla kogoś, kto dokładnie nie wie, czego szukać.

Hugo spojrział na drzwi do kuchni. Nie minęło nawet pięć minut. Pewnie woda dopiero zaczęła wrzeć. Będąc zwolennikiem maca, podobnie jak każdy szanujący się paryski hipster, Hugo nie przywykł do pecetów, toteż zmarnował sporo czasu na znalezienie odpowiednika Findera. Gdy wreszcie zlokalizował pasek wyszukiwania, wpisał „Strona internetowa”, po czym ukazały się dziesiątki folderów. Zmienił zdanie i zdecydował się na „Prowadzenie” – nic. „Dane osobowe” – nic. „Strona”: kilkadziesiąt folderów zawierających inne pliki.

Drzwi ani drgnęły. Hugo spróbował „Web”, a wtedy ekran zalało jeszcze więcej propozycji. Bądź zwięzły. Dokładny. „Web design”: osiem folderów. Hugo zawahał się. „Web development”: jedenaście folderów. Nie miał na to czasu. Może sprawdzić jego własną historię? „Historia”: pięć folderów. Hugo nastawił się na przekopywanie się przez historię wyszukiwania Exhella, ale jeden z folderów szczególnie przykuł jego uwagę. „Historia Val Quarios”. Hugo otworzył folder.

Zawierał kolejne ikony, tym razem podzielone na lata. Od 1970 roku do obecnego. Dziesiątki, z czego większość od 1978 do 1980. Hugo kliknął na chybił trafił na 1979. Wówczas pojawiło się siedem dokumentów w Wordzie, siedem skopiowanych stron internetowych i dziesięć innych logo, o których funkcji ani naturze Hugo nie miał pojęcia. Kliknął dwukrotnie w dokument Worda. Był to przepisany artykuł prasowy. Tytuł, data, nagłówek, śródtytuły i treść. Wszystko.

Strafa we Włoszech?, widniało tłustym drukiem. Artykuł wymieniał świadka, który twierdził, jakoby widział pod Mediolanem słynnego zaginionego prestidigitatora. Hugo nie tracił czasu na dokładne czytanie i przeszedł do następnego. Czyżby człowiek, który wymyślił magię na nowo, zmarł? Znowu o Strafie. Ten tekst Hugo czytał już w internecie, prowadząc poszukiwania na własną rękę.

Po co to było Exhellowi w laptopie? Czyżby odziedziczył to po poprzednikach? Czyżby przeprowadził własne śledztwo na temat Strafy? W końcu był przecież informatykiem, sam mógł zgłębić tajemnicę i zebrać owoc własnej ciężkiej pracy. Retranskrypcje w Wordzie nie znalazły się tu przez przypadek. On je wykorzystuje do wyszukiwania za pomocą słów kluczy. Word to umożliwiał, natomiast gdyby zadowolili się skanem artykułu, przeszukiwanie tekstu za pomocą programu byłoby niemożliwe. Tylko czego on chciał? Dlaczego akurat jedno czy dwa konkretne słowa?

Na dźwięk stalowego rondla uderzającego o zlew Hugo przyspieszył. Brakowało mu czasu. Wszystko czym prędzej pozamykał i w ostatniej chwili pohamował się przed kliknięciem na pliki, które Exhell sam odpalił i które właśnie obrabiał. Najświeższą datę nosił bank jego danych fotograficznych. Hugo go przewinał i wstrzymał oddech. Dotyczył wyłącznie Jiny.

Ciągnął się kilometrami. Wszędzie jej zdjęcia zrobione ukradkiem. Przy stole, na kanapie, na stojąco, podczas rozmowy z innymi członkami załogi. Zbliżenia na dekolt. Na uda. Na tyłek. Wszystkie pochodziły z laptopa, Hugo uprzytomnił sobie, że Exhell nigdy nie rozstawał się ze swoim sprzętem, który leżał przed nim na stole albo na kolanach. I że się obracał. Nakierowywał od niechcienia. Międlął klapę laptopa, bezustannie go ustawiając. Tak naprawdę ten świr fotografował Jinę. Codziennie. Kamerą zamontowaną z tyłu ekranu. To zakrawało na obsesję.

Teraz Hugo lepiej rozumiał irytację Jiny w stosunku do Exhella. Jeżeli jego natarczywość dorównywała fascynacji jej ciałem, to musiało być nie do zniesienia. Wkrótce przerodzi się to w nękanie, o ile już się tak nie stało. Zawartość fototeki wystarczyła, by uznać go za zboczeńca.

Usłyszawszy odgłos zbliżających się kroków, Hugo zminimalizował okno, zatrzasnął laptop i odłożył go na miejsce. Stał, kiedy Exhell wszedł, niosąc przed sobą tacę. Miał zaparowane szkła.

– Jestem głodny jak wilk – obwieścił gromko.

Hugo bardzo chciał mu wierzyć. Ulotnił się, ale nie od razu wrócił do pokoju. Ponownie zapukał do drzwi Jiny. Tak samo bez odpowiedzi jak przy poprzedniej próbie. Wprawdzie jeszcze nie minęła dwudziesta, ale zważywszy na okoliczności, to nie miało żadnego znaczenia. Przy wódce i prochach, o ile nie potrafiąc dać sobie rady, w końcu się na nie zdecydowała, równie dobrze mogła się zaszyć w pościeli.

Hugo wahał się, czy pukać dalej. I przez krótką chwilę zastanawiał się nawet, czy nie wyważyć drzwi. Wolał jednak pozwolić dziewczynie odpocząć. Tylko tego brakowało, żeby wywołał u niej jeszcze większą panikę. Poza tym, że sam by odzyskał spokój, nie miał jej nic do powiedzenia. Niech sobie kima, dopóki może.

Hugo oddalił się nieskończenie długim korytarzem z podłogą pokrytą pstrokatą wykładziną. Wydało mu się, że słyszy w oddali pikanie wind, ale pokręcił głową. Przecież nikt ich nie używa. Przyśniło mu się. Mijając dwa



prostokąty lśniącej stali, nie czuł się zbyt dobrze, przyspieszył więc. Bał się tylko jednego: że się otworzą i zaproszą, by wsiadł do środka.

Kiedy zaś nieufnie im się przyglądał, z szybu wydostał się podmuch wiatru, który zagwizdał między linami. Gwizd przypominający jęk kobiety zamkniętej daleko, w trzewiach ośrodka.

Hugo prawie biegł.

To tylko moje wymysły, powtarzał sobie.

## 64.

Nieobecność Jiny w piątkowy poranek nie była jednak wymysłem Hugona. Nie dało się jej znaleźć. Nie reagowała na pukanie do drzwi, nie było jej też ani w kantynie, ani w pracowni. Pozostawały pokoje w Dużym B.

Rankiem, gdy tylko nadarzyła się okazja, Hugo opuścił Maxa i Armanda, aby przemknąć jak błyskawica po pokojach skrzydła. Po paru minutach przestał sobie zawracać głowę dyskrecją i głośno wykrzykiwał jej imię. Bez odpowiedzi. Po jakimś czasie z parteru, gdzie pracowali przy wsuwaniu przewodów elektrycznych do rur osłonowych, odezwał się Armand.

– Hej, czego chcesz od Jiny, że tak się wydzierasz?

Hugo wychylił się z balkonu na drugim piętrze, wychodzącego na patio, i odkrzyknął:

– Widział ją pan od środy?

– Przyznaj no się, to jakaś obsesja? Wystawiła cię do wiatru czy co?

Hugo zignorował pytanie i w końcu zszedł na dół. Nie odczuwał już niepokoju, był bliski paniki. Jeżeli coś jej się stało, nigdy sobie tego nie wybaczę. To on wpadł na pomysł z różowym swetrem, to on ściągnął na Jinę spojrzenia pary morderców, ponieważ przypuszczał, że to wystarczy, by ich zdemaskować, nie przejmując się konsekwencjami.

Dyszał zgięty w pół, chwytając się za uda. Musiał ochłonać. Nie mógł się załamać. Był piątek, dzień, kiedy powinna się pojawić ciężarówka z dostawą, której kierowca zda sobie sprawę ze szkód na drodze i zawiadomi odpowiednie władze, aby jak najprędzej przystąpiono do ich usuwania. Na pewno właśnie leczy kaca w jakimś kącie, na pewno nic jej nie jest. Nie wyobrażaj sobie od razu najgorszego. Nazajutrz, najdalej w niedzielę dotrze tu jakiś samochód. Powróci kontakt ze światem. I natychmiast ktoś da znać glinom.

Jak będzie trzeba, jutro w południe pójdę pod zwały błota, jeśli po drugiej stronie będą jacyś ludzie, ostrzegę ich, będę wrzeszczał, wdrapię się

na górę, powiem, żeby jak najszybciej wezwali żandarmów.

– Ten nasz Hugo jest rozpalony do czerwoności – zakpił Armand, gdy chłopak wrócił. – Nieźle się kamuflujesz, świntuchu! Czyli że ty i Jina...

Hugo nie odpowiedział, tylko zabrał się do pracy. Kiedy Max i Armand zrobili sobie przerwę obiadową, pognął do warsztatów za wypożyczalnią sprzętu, w statku matce, a tam natknął się na Lily, która niosła przed sobą stos nart.

– Nikogo z tobą nie ma? – prawie na nią ryknął.

– Max jest zajęty, niby kogo mam ze sobą ciągnąć? W porządku, jestem na własnym terenie, wszystko gra.

Uniosła niczym broń długi stalowy pilnik.

– To nie jest dobry pomysł, Lily. Chcę, żebyś zamknęła się na klucz. Jasne? Widziałaś ostatnio Jinę?

– Nie, nie odpowiada na walenie do drzwi. Boję się, że się naćpała. Chciałam z tobą o tym pogadać. Moim zdaniem trzeba ją wziąć do naszego pokoju. Ona się sypie, czuję to.

– Od kiedy?

– Od wczoraj. To znaczy widziałam ją w środę, czyli przedwczoraj.

– Nie podoba mi się to. Będę się do niej dobijał.

– Idę z tobą.

Hugo powstrzymał ją stanowczym gestem ręki.

– Nie. Właściwie to koniec, nie czekamy dłużej. Pójdiesz do DePrigenta. On musi się dowiedzieć. Nie będę więcej narażał ani Jiny, ani twojego albo czyjegokolwiek życia. Idź z nim porozmawiać, ciebie potraktuje poważnie.

Nie pozostawwszy jej czasu na odpowiedź, Hugo wybiegł z warsztatu. Musiał zdobyć pewność, że Jinie nic nie jest. Pukał do jej drzwi tak długo i tak mocno, jak tylko mógł, ale w apartamencie dziewczyny nie usłyszał odgłosów czyjejkolwiek obecności. Jeżeli coś jej się stało...

Hugonowi mignęły w pamięci wszystkie zdjęcia Jiny zrobione ukradkiem przez Exhella. Dopadły go potężne wątpliwości. A jeśli?... Nie, nie on. Nie olbrzym wiking, miłośnik wirtualu i zabawy. Hugo musiał się skupić, nie tracić orientacji przed najdrobniejszym rozstajem, jaki widział przed sobą. Jednakże obsesja Exhella na punkcie Jiny nie mogła ujść jego uwagi. Ale to nie jest morderca. A właściwie co on o nim wiedział? Przecież znał go dopiero od niecałych dwóch miesięcy!

Bo oprócz tych zdjęć nic na niego nie wskazuje. To tylko zapalony komputerowiec, który fantazjuje na temat niedostępnej dla niego

dziewczyny i karmi swoją wyobraźnię tym, co potrafi robić... Nie mogę skakać do gardła pierwszemu lepszemu gościowi pod byle pretekstem. Wszyscy mają tajemnice. Nawet ja, nie?

Z kolei przeciwko Ludovicowi i JC przemawiało coś więcej niż zdjęcia. Hugo uderzył otwartą dłoń w drzwi. Musiał wejść do środka. Drzwi sprawiały wrażenie zbyt solidnych, żeby spróbował je sforsować jak na filmach, wobec tego wziął z końca korytarza gaśnicę i okrążył budynek – Jina mieszkała na parterze.

Policzył okna, a gdy uznał, że dotarł we właściwe miejsce, rąbnął gaśnicą w szybę, aż się zbiła. Następnie podciągnął się i przeskoczył do salonu.

Pomylił się. W apartamencie było pusto i panował w nim porządek. W dodatku Hugo wyczuł zapach środka czyszczącego. Tak jakby dopiero co ktoś tu posprzątał. Chłopak rzucił się do szaf i szafek, ale nic nie znalazł, po czym przypomniawszy sobie, że po wewnętrznej stronie drzwi wejściowych wisi plan piętra wraz z numerem pokoju, poszedł sprawdzić.

Znajdował się rzeczywiście w apartamencie Jiny.

O, nie. To niemożliwe...

Koszmar się powtarzał.

Tym razem jednak całkowicie z jego winy.

## 65.

Świat się zakołysał.

Przechylił się gwałtownie w jedną, potem w drugą stronę, a za każdym razem Hugo o mało nie runął na podłogę, o mało nie zwymiotował resztek, które miał w żołądku, z determinacją trzymając się w ryzach, żeby nie zwariować.

Po czym wziął się w garść, zmuszając umysł, by postawił tamę wszelkiemu poczuciu winy. Prowizoryczną tamę, która w końcu i tak się zawali. Przedtem jednak musiał działać.

Hugo potrzebował godziny, by się pozbierać, obmyślić plan postępowania, po czym popędził do Dużego B, błyskawicznie je przemierzył i zatrzymał się przed przeszkloną ścianą na końcu. Wypatrywał przez długą minutę, aż w oddali na drodze dostrzegł dach traktora. Na przyczepie ukazała się postać JC. Hugo śledził go przez pół godziny i w końcu nabrał przekonania, że cały czas jest pochłonięty uprzątaniami drogi. Jeśli nawet to on wyrządził Jinie jakąkolwiek krzywdę, na razie był porządnie zajęty.

JC zostanie tu na całe popołudnie, nie ruszy się stąd. Hugo znał jego rytm pracy. Zlokalizował przynajmniej jednego. Pozostała jeszcze trudniejsza część. Ta, wobec której Hugo czuł największy opór. Lecz wiedział, że nie ma wyboru. Musiał się wdrapać do szopy, w której Ludovic zaszywał się na większość dnia, i upewnić, że tam jest, a w razie gdyby quada nie było, toby oznaczało, że znajduje się gdzieś na zboczach, zbyt daleko, by komukolwiek zaszkodzić. Potem Hugo zejdzie do puszczy jodłowej. Aż do korytarza z makabrycznymi girlandami. I będzie ze złością zaciskał pięści, licząc na to, że nie nadzieje się znowu na pagórek świeżo usypanej ziemi. Jeśli takiego nie znajdzie, być może pozostanie iskierka nadziei, że Jina gdzieś tam nadal żyje.

Czyżby w jednej z wielu piwnic pod ośrodkiem? W jednym z apartamentów Dużego B? Albo w którymś z pustych pokoi w Tetryku?

Hugo nie zdążył jeszcze sprawdzić, ale to zrobi. Z pomocą Lily i DePrigenta przetrząsną całe Val Quarios, jeśli będzie trzeba. O ile tam, wysoko, w puszczy jodłowej nie ma kolejnego kopczyka ziemi...

Mając wyostrzone wszystkie zmysły, już był jedną nogą poza Dużym B, gdy wtem ujrzał, jak Ludovic idzie pod wyciągami. Właśnie zawracał w stronę ośrodka. Na obiad było już trochę za późno, a na fajrant grubo za wcześnie. Hugo cofnął się do holu, przycałił przy jednym z okien i nie spuszczał go z oka. Tamten sunął przed jego nosem – za długie włosy opadały mu na twarz – po czym wszedł do statku matki.

Lily. Ona jest w środku.

Hugo ruszył za nim tak niepostrzeżenie, jak tylko zdołał.

Wewnątrz statku matki Ludovic przeskakiwał po dwa stopnie szerokich schodów naraz, serce Hugona zwolniło natychmiast, jak tylko mężczyzna oddalił się od warsztatu, gdzie pracowała Lily. Ale czy ona nadal tam była? Czy nie pognąła na górę w poszukiwaniu DePrigenta, tak jak sam jej przykazał?

Hugo również bezszelestnie popędził po schodach, a słysząc głos Ludovica, dobiegający gdzieś z antresoli przed akwarium, przywarł do ściany na piętrze.

– Tutaj jesteś – powiedział Ludovic.

Hugo wstrzymał oddech. Do kogo mówił? Czyżby go zdemaskował?

– No tak, kazano mi posprzątać akwarium, to niby gdzie mam być?

Hugo od razu rozpoznał tę nieco bełkotliwą wymowę. Merlin. Były wyrokowiec z tatuażem, który zdradza zamiary właściciela. Przywołał z pamięci gotyckie litery na jego torsie: „Gwałtowny, mogący spowodować śmierć bez zamiaru jej zadania”.

– Pójdziemy coś wszamać? – zapytał Ludovic.

– Wiesz, która godzina? Dawno już nie wrzuciłem nic na ruszt.

– Nie zwróciłem uwagi. Czas mi się przestawił. To przez tego palanta Axela.

– To była jego kolej.

Hugo usłyszał terkot kółek wózka do sprzątanania, który Merlin zawsze pchał po korytarzach ośrodka. Nie miał żadnych wątpliwości, to był na pewno on.

– Przed chwilą mijałem się z DePrigentem – oznajmił Merlin. – Chce pilnie zwołać zebranie, wieczorem o dziewiętnastej. Nie wyglądał normalnie.

- Powiedział w jakim celu? – dopytywał przejętym głosem Ludovic.
- Nie. Był z Lily i oboje byli nabuzowani.
- Aha.
- Pewnie z powodu drogi. Może ma jakieś wieści.

Lily przekonała dyrektora. Ale zebranie całej załogi? Hugo uważał, że na to o wiele za wcześnie. Wręcz że to niebezpieczne. Co temu DePrigentowi chodziło po głowie? Muszę mu wyperswadować wspomnianie o mordercach, przynajmniej dopóki nie będzie wiadomo, czy nie mają materiałów wybuchowych...

Wszystko nabierało prędkości. Odkąd Jina paradowała w różowym swetrze, Hugo wprowadził w ruch maszynę i nie w pełni uświadamiał sobie tego konsekwencje. Sam odczuwał nagłą potrzebę węszenia, działania bez ustanku, co wywoływało efekt kuli śnieżnej. Dokąd ich to zaprowadzi?

Teraz Hugo obawiał się reakcji Ludovica. Jeżeli tamten poczuje się przyparty do muru, a Jina nadal żyje, może się postarać, by zniknęła, zanim będzie za późno.

– W południe zrobiłem za dużo makaronu, został w pojemniku – zaproponował Merlin. – Możesz się poczęstować.

Gdy Ludovic mu odpowiedział, Merlin dodał jeszcze jedno słowo.  
Jedno słówko.

Tylko że ono wywróciło wszystko do góry nogami.

## 66.

Hugo zamarł.

Przed oczami przeleciały mu jak na filmie ostatnie tygodnie. I tkwił bez ruchu na szczycie schodów.

Nie zdążyłby zejść, bo Ludovic wyrósłby jak spod ziemi i się na niego rzucił. A wtedy morderca by się dowiedział. Hugo nie miał żadnych wątpliwości. Nie potrafił ukryć konsternacji, odgrywać komedii. Zaraz się pobiją tu, na schodach.

Ludovic zbliżał się szybkim krokiem, był tuż-tuż, dwa metry od niego. Wszystko zakończy się właśnie tutaj, na wykładzinie dywanowej przytwierdzonej do stopni mosiężnymi prętami, z której spłynie powoli krew Hugona...

Odległość między nimi zmniejszyła się do jednego metra. Po czym Ludovic się oddalił. Idzie na górę. Ruszył w przeciwną stronę, wspinał się po piętrach. Hugonowi znów zawirowało w głowie. Wydało mu się nawet, że wykładzina znienacka zafalowała, tak jakby jakiś węzowaty stwór odkrył jego obecność i błyskawicznie sunął naprzód, by zdać raport swojemu panu. Hugo pokręcił głową. To nie była odpowiednia pora.

Chłopot wody w wiadrze wskazywał na to, że Merlin znów się zabrał do mycia mopem.

– OK. Dzięki – powiedział wcześniej Ludovic. Potem wyrwało mu się tamto słowo, które wszystko zmieniało. Dzięki któremu wszystkie fragmenty ogromnej chaotycznej układanki wskoczyły na swoje miejsce.

– OK. Dzięki, tato.

Merlin był ojcem Ludovica.

Wózek ze środkami czystości.

Nikt nie miał pojęcia, że łączą ich więzy krwi. Zachowali to w tajemnicy.

W apartamencie Jiny jeszcze pachniało detergentem. Tak samo jak u Alice.



– To była jego kolej – powiedział wcześniej Merlin, mając na myśli Axela. Exhella.

Hugo musiał się przytrzymać poręczy, żeby nie spaść ze schodów.

Oni nie działają we dwóch. To cała banda! Ludovic i Exhell. Alice i Jina.

– To była jego kolej. – Obsesja Exhella.

A potem wkraczał Merlin. Sprzątał po wszystkim.

Zorganizowane trio, które wypracowało własną rutynę.

Do jakiej sztuczki się posunęli, by mieć pewność, że wszyscy trzej zostaną zatrudnieni, skoro rzekomo wcześniej się nie znali?

Bo jeden z nich jest z ośrodka. Totemy, talizmany, stare ubrania rzucone na stertę w jaskini... Morderca, który grasował tu od bardzo dawna.

JC. To on był zdrajcą, który wpuścił wilki do owczarni. Samotny zabójca, który nie chciał dłużej działać w pojedynkę. Który chciał się podzielić. Wymienić się. Żeby sobie wzajemnie pomagali. To on był przywódcą. To on się z nimi skontaktował. Sprowadził ich, wykorzystując swoją charyzmę, wpływ na DePrigenta, aby każdy z nich otrzymał upragnioną posadę.

Kurwa... Alice, potem Jina. Hugo aż się wzdrygnął na logiczne następstwo tego ponurego równania. Lily.

– To była jego kolej – powiedział wcześniej Merlin, mając na myśli Exhella. Jego... kolej...

Prędzej czy później nadejdzie kolej jednego z pozostałej trójki.

Hugo zamierzał popędzić do Lily i DePrigenta, by ich ostrzec, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Lily nie była celem. Jeszcze nie. Wybiegał naprzód. Mieli jeszcze trochę czasu. Tak czy inaczej, utknęli w ośrodku. Chociaż instynkt podpowiadał mu ucieczkę, była ona niemożliwa. Okoliczności ciągle jeszcze sprzyjają Lily, uspokajał sam siebie. Zabójcy dopiero przeszli do czynu, tak szybko nie złączą od nowa. Lily nie grozi natychmiastowe niebezpieczeństwo, powtarzał sobie wielokrotnie, aby przekonać samego siebie, aby uwolnić własny umysł. Przeciwnie, skoro zostali uwięzieni w Val Quarios, bezwzględnie musi uprzedzać każdy ich ruch, nie może dać się ubiec. Ponieważ Hugo wiedział, musiał zachować przewagę, bo to jedyne, co miał. A to oznaczało konieczność działania. Tylko w jaki sposób?

Jego następne posunięcie na szachownicy śmierci okaże się decydujące. Kolejny ruch, który wywoła odpowiedź przeciwnego obozu. Wszystko się zająbiało. Nie wolno mu działać na oślep.

Jest ich czterech. JC i pozostała trójka, którą wpuścił do środka.

Na swoim polu Hugo grał zużytymi pionami. DePrigent, Adele, stary Max... Lepiej było na nich nie liczyć, można było raczej się nimi posłużyć, żeby wyznaczyć strefę, osaczyć ofiarę. W skład jego bijących bierek wchodziłi Armand, Paulo i Lily. Trudno ich nazwać machinami wojennymi. Nie działaj na oślep. Zastanów się!

Mop klaskał o posadzkę przy wejściu do akwarium.

Ty cholerny draniu, tak właśnie poczynałeś sobie dziś w nocy u Jiny?

Nie rozpraszać się. To było najistotniejsze. Co zrobią, jeżeli Hugo pobiegnie ostrzec DePrigenta i Lily?

Nie, jest coś innego... Czy przypadkiem trochę się nie zagalopował? Oskarżenie Exhella raptem z powodu zdjęć i ciągu skojarzeń wywołanego jednym zdaniem? Miał u siebie w kompie artykuły o Strafie... Dlaczego szukał Strafy w...

Hugo zadarł brodę.

Trójka zabójców nie wybrała Val Quarios przypadkowo.

## 67.

Hugo bezszelestnie zszedł po schodach, pozwalając Merlinowi dokończyć sprzątanie.

Upewniwszy się, że nikogo nie ma, przeciął hol i zajął pozycję przy jednych z drzwi po wschodniej stronie, tuż obok Tetryka.

Gdzie się podziewali DePrigent i Lily? Prawdopodobnie robią rundkę po ośrodku, żeby powiadomić wszystkich o zebraniu. Dopóki pozostaną na widoku, Lily będzie bezpieczna. Tylko to się liczyło.

Hugo miał jeszcze cztery godziny, zanim w akwarium zbiorą się mordercy i ofiary. Cztery godziny, żeby odróżnić, kto jest kim. Exhell przechowywał wszystkie te artykuły prasowe na temat Strafy, ponieważ oni go ścigali. Exhell, Ludovic i Merlin. Szukali Luciena Strafy w każdym najdrobniejszym tekście, najmniejszej wzmiance w internecie. Jak im się udało namierzyć go tu, w Val Quarios? Hugo nie miał pojęcia, przypuszczał jednak, że w dobie internetu to nie było niemożliwe. Strafa zapadł się pod ziemię w epoce, gdy nie było komputerów, wszystko robiło się ręcznie, przy użyciu sprytu, pieniędzy i czasu – czyli tego, czym Strafa dysponował w nadmiarze – nie było trudno pozwolić o sobie zapomnieć. Ale dzisiaj już jest inaczej. Wszystko zostało zdigitalizowane. Mikrofilmy z gazetowych archiwów. Publiczne bazy danych. Wszystko.

Strafa kupił te ziemie, kazał na nich budować. Nazwiska jego albo ludzi z nim związanych powinny się pojawić w starych dokumentach, Exhellowi zaś pozostało jedynie cierpliwie gromadzić surowiec, przepuścić wszystko przez jeden ze swoich programów, który skanuje wyrazy i przekształca je w plik Worda, a następnie przeprowadzić poszukiwania tematyczne poprzez słowa kluczowe. W pewnym momencie wyskoczyło nazwisko Strafy powiązane z tymi górami.

Potem Exhell i jego dwaj wspólnicy postarali się, by zatrudnił ich JC. Właśnie na tym wyłożył się Hugo. Nie pojmował, w jaki sposób doszło do spotkania JC i całej bandy. Dlaczego JC ich tu wpuścił. Nie mam nawet

pojęcia, dlaczego aż tak im zależy na odnalezieniu Strafy! Czyżby to miało związek z człowiekiem, którym kiedyś był? To nie mogło być nic innego. Od tamtej pory tkwił w ukryciu, już nie wychodził, zatem to musiało się łączyć z jego przeszłością, z czasami, kiedy był sławny. Tylko że żaden z nich nie żył w tamtym okresie – poza Merlinem, który musiał być nastolatkiem, gdy Strafa odszedł na emeryturę.

Czyżby znajdowali się tutaj z powodu... jego rzekomych mocy? Mimo wszystko to było szyte zbyt grubymi nićmi. Jakiś związek z szalonym paktem z diabłem, który wyobrazili sobie Hugo i Lily? Nie, to mało prawdopodobne...

Ale przecież nie ubzdurałem sobie planu ośrodka w kształcie odwróconego pentagramu! Strafa ma powiązania z diabłem. Zgoda, symboliczne, ale żeby od razu wierzyć w jakiś pakt, w handel duszami... Strafa bawił się diabolicznym wizerunkiem. Był utalentowanym iluzjonistą. Nie, nie utalentowanym, największym. Iluzjonistą wszech czasów. Jeszcze nikt mu nie dorównał... W konsekwencji nie potrafił się powstrzymać, by nie naszpikować swojego otoczenia ezoterycznymi atrybutami, by nie zabawiać się ze swymi gośćmi.

Hugo sam dokładnie nie wiedział, co mu chodzi po głowie, ale zdarzały się takie dni, że był w stanie uwierzyć we wszystko, po czym nazajutrz stawał się na powrót nieprzejednanym sceptykiem. Ośrodek miał na niego osobliwy wpływ. Nie był to wpływ dobry. To nie to miejsce jest nawiedzone, pomyślał, tylko ja sam. Wydawało mu się, że słyszy głosy, że ma zwidy, że co rusz zmienia ocenę sytuacji...

Stop! Nie teraz. Do Val Quarios zjechało trzech morderców, żeby przyłączyć się do czwartego, a powodem ich przybycia był Strafa. Muszę go ostrzec.

Lucien Strafa musi się bronić. W zamian powinien mu wszystko powiedzieć. Zagrać z nim w otwarte karty. Jeżeli nie zrobi tego teraz, nie będzie miał więcej okazji. Jego życie jest w niebezpieczeństwie.

Tak, przekonywał sam siebie Hugo, kiwając głową. Musi pędzić na górę, do zameczku. W przypływie nadziei umyślił sobie, że stary poczciwiec na pewno ma jakiś specjalny sposób, by się komunikować ze światem zewnętrznym. Dla człowieka jego pokroju to było możliwe.

Hugo wyszedł, upewnił się, że nikt go nie widzi, a potem wśliznął się do Tetryka. Musiał się pospieszyć. Niecałe cztery godziny.

Po drodze podsumowywał w myślach to, co już wiedział, co odkrył. Strafę zaopatrywała Simone, która regularnie dowoziła mu zakupy. Wychodząc z założenia, że jej mąż, kierowca taksówki, skłamał w sprawie Alice, aby osłonić syna, Simone równie dobrze mogła być w zмовie i ułatwiać zdobywanie informacji na temat Strafy. Jak nic to ona wpuściła Merlina, żeby posprzątał. Oni nie chcą go zabić. W każdym razie nie to jest ich nadrzędnym celem, ponieważ mogli to zrobić już dawno. Nie, to coś innego... Coś, czego osiągnięcie wymaga czasu. Jakiś przedmiot. Pieniądze? Czyżby Strafa ukrywał w zameczku majątek wart miliony? Zważywszy na stan, w jakim znajduje się Val Quarios, to bardzo mało prawdopodobne...

Wszystko roztrwonił na ten snobistyczny zakup. Nie, to było coś innego...

Dopadłszy do jednego z pokoi na parterze, Hugo podniósł żaluzje i otworzył okno, po czym wyskoczył na łąkę po wschodniej stronie Tetryka. Stamtąd pomknął w las. Na szczycie wieży przez wierzchołki drzew przezierał zameczek Strafy.

Kiedy Hugo wspinał się po zboczach, gałęzie ani drgnęły, nie docierały do niego żadne odgłosy owadów ani ptaków w listowiu, wokół panował złowieszczy spokój. Miał wrażenie, że ktoś na niego czeka. Obserwuje go. Zaczęło się to, jak tylko się pokazały totemy.

Surowe drewniane twarze przebijające się przez kręgi bieli. Mijając je, Hugo zdawał sobie sprawę, że ich niema skarga, wystające szczęki, rozciągnięte do granic możliwości wargi, wzrok zatopiony w bólu za plecami są zaadresowane do niego, błagają, by je uwolnił. By uciekał.

Kto w końcu jest ich autorem? Od niedawna Ludovic i jego narzędzia do obróbki drewna, ale wcześniej? Wszyscy pozostali? To mógł być tylko JC. Drwał, człowiek mający styczność z drzewami, morderca z Val Quarios, który wycinał wizerunki ofiar na wieczność. Umieszczał we własnym otoczeniu istoty, którym odbierał życie, ten świat empatii, który tak bardzo mu umykał. Cóż za dziwaczny podpis. Nagle Hugo uzmysłowił sobie, że JC rzeźbił to, co widział. Z jednej strony codzienną twarz swej ofiary, tę, którą wszyscy znali, a z drugiej oblicze strachu, śmierci, której jedynie on się przyglądał, którą sam spowodował. Swoje dzieło. Swoje stworzenie. Jedna z twarzy, dojrzałego mężczyzny, poruszyła się, gdy Hugo podszedł bliżej. Utkwiła w nim oczy przy trzasku drewnianych włókien. Usta rozchyliły się, skrzypiąc niczym ocierające się o siebie pnie, po czym odezwał się znienacka głos z zaświatów:

– Idź stąd. Odejdź, dopóki jeszcze możesz.

Hugo skupiał się na drodze. Wiedział, że to jego wyobraźnia. Twarz innej postaci, wyżej, wygładziła się w obłoku trocin i wiórów, tym razem była to młoda, bardzo młoda kobieta.

– Hugonie, jesteś nawiedzony przez Val Quarios. Jeśli odejdziesz, zostawisz za sobą swoje upiory. Uciekaj!

Pomimo wspinaczki Hugo zdobył się na intensywny wysiłek i przyspieszył, zasapany i spocony. Wpatrywał się w ziemię, by się nie potknąć. Żeby nie patrzeć na tych ludzi, którzy oglądali się, gdy ich mijał.

Jakaś stara kobieta również zburzyła wizerunek nieruchomej istoty – kiedy skrzywiła się z bólu, natychmiast z oczu i z nosa popłynęła jej brunatna gęsta żywica...

– UCIEKAJ! – zagrzmiała skrzeczącym głosem, który wydobył się z wyschniętego gardła.

Chciała wrzeszczeć dalej, ale żywica zalała jej usta i zdławiła krzyk.

Już prawie dotarł na miejsce. Dygotał, wiedząc, że wszyscy ci ludzie i ich potworne podobizny znajdują się tuż-tuż, za jego plecami. Nie zdoła wrócić tą samą drogą.

Alice była ostatnia. Nie Jina, pomyślał Hugo z odrobiną ulgi. Świdrowała go wzrokiem niewzruszona. Spodziewał się, że go ucapie, lecz drewniana twarz pozostawała zacięta. Z wyjątkiem wklęsłych źrenic, które podążały za nim. Ku swojemu zdziwieniu Hugonowi błysnęła myśl, że milczy, ponieważ jest jeszcze zbyt młoda, wykonana z zielonego drewna i jej uwięziona dusza nie zdążyła nabrać doświadczenia, aby zmusić nowe tkanki do uległości. Jeszcze nie dość wycierpiała tam, w środku. Ale to przyjdzie z czasem.

Przyjdzie z czasem...

Teraz zameczek wznosił się na wprost niego. Okna chroniły żaluzje.

Zmęczony, zdenerwowany Hugo westchnął. Pognał do diabelskiej kołatki. Uniósł rękę, by ją chwycić, lecz dłoń zastygła w powietrzu, pomiędzy rogami. Wolał rąbnąć pięścią. Odczekawszy dostatecznie długo, przekreślił klamkę i wszedł.

Domostwa Strafy nigdy nie zamykano na klucz.

Diabeł był gościnnie.

A jego drzwi zawsze otwarte.

## 68.

Przedstawiająca ucztę tapiseria przerażała bardziej niż kiedykolwiek. Biesiadnicy świętowali beztrąsko, tymczasem od tyłu zbliżały się demony. Groźba ucieleśniała się właśnie tutaj, w Val Quarios. Od tyłu zbliżały się demony...

Hugo przemierzył długie pomieszczenie aż do mauzoleum ku chwale magika. Tylko tyle po nim zostało. Wspomnienia, ślady. Wkrótce zniknie, a po jego ziemskim życiu pozostaną przedmioty, kostiumy, relikwie z jego czasów. Hugo obejrzał je w przelocie, nieświadomie zwalniając kroku, zafascynowany.

Przystanął przed biblioteczką. Przesunął palcami po grzbietach książek. Aż do gabloty pośrodku. Do „Piekła” jego kolekcji. Hugo zawsze uważał za wielką ironię to, że dziełom zakazanym, na ogół z powodu ich diabolicznej albo przeciwnie, bardzo oświecającej treści, nadaje się nazwę „Piekło”. To, czego szukali Exhell i jego banda, nie mogło się znajdować tu, za tą szybą, to było zbyt oczywiste, dostępne.

W takim razie co? Hugo poczuł nieodparty impuls. Chciał się dowiedzieć. Przebiec wzrokiem po tych stronach. Sprawdzić. Pociągnął za uchwyt i upewnił się, że gablota jest zamknięta na klucz. Za dużo frustracji, lęku, zakazów, Hugo nie był już w stanie się wycofać, oprzeć się. Złapał pogrzebacz umieszczony obok kominka i uderzył. Szkło się roztrzaskało.

Chwycił księgę ze środka, najbardziej tajemniczą. Necromicon. Legenda głosiła, że ma wielką moc. Jest niebezpieczna. Oprawiona w ludzką skórę, przypomniał sobie Hugo. Każdy, kto przeczyta ją w całości, kompletnie wariuje.

W dotyku to rzeczywiście przypominało skórę. Trzeszczało w palcach. Sporo ważyło. Kurz świadczył o długim czasie, jaki księga spoczywała tu nieruszana. Hugo nabrał powietrza i otworzył ją.

Wbrew jego wyobrażeniom kartki nie były poźółkłe. Pergaminowe też nie, tylko białe. Całkowicie białe. Co to za wariactwo? Hugo przekartkował

księgę. Nic tam nie było. Żadnego tekstu, żadnego przeklętego pentagramu. Żadnej obłądnej wiedzy. Nic oprócz pustki.

Chłopak pozostawał pod tak silnym wpływem tego miejsca i historii Strafy, że zastanawiał się, czy słowa nie pojawią się po kilku sekundach albo kiedy upuści kroplę krwi... Następnie wybadał wnętrze okładki, tam, gdzie oprawa łączyła się z wyklejką. Dał radę dojrzeć nity, a nawet ordynarny klej. Za szybą księga prezentowała się idealnie, ale nie wytrzymywała bardziej szczegółowych oględzin. To ściema. Iluzja.

Czy po takim człowieku jak Strafa należało się spodziewać czegoś innego?

Ale wobec tego... Hugo popatrzył na resztę mauzoleum. Krążył pośród kolekcji i zatrzymał się przed jednym ze starych afiszy Strafy. Zdjął go ze ściany i zdemontował ramę, żeby go dotknąć. Na przodzie papier był zużyty, za to na odwrocie odznaczał się całkowicie nowoczesną bielą i fakturą. Zupełnie jak reprodukcja, którą na siłę postarzano. Hugo rzucił się więc ku najbliższej gablocie, podniósł szklany klosz, upuścił go z krystalicznym brzękiem i porwał talię tarota, która według legendy miała tysiąc lat i której używał wyłącznie Strafa. Hugo przesunął w palcach karty wybrzuszone z powodu upływu czasu... albo po tym, jak trzymano je w herbacie, aby nadać im ten wielowiekowy wygląd, albowiem obracając je w dłoniach, nie miał żadnych wątpliwości: pochodziły zaledwie sprzed paru lat, a najwyżej sprzed dziesięciu.

Co to... Wzburzony i zdezorientowany Hugo ponownie podniósł pogrzebacz i rozbił w drobny mak stojącą obok gablotę. Wydobył z niej kółka zębate połączone z kajdankami. Tandetna atrapa. Kolejny cios w następną gablotę odsłonił kolekcję luster, zgodnie z ulotką mającą uosabiać jedną z największych iluzji Strafy, za pomocą których pokazywał twarze umarłych. Lustra były połączone strukturą z malowanej żywicy. Ona także pochodziła z XXI wieku. W przyćmionym świetle i z daleka wszystko mogło stwarzać iluzję... W tym rzecz jednak, że wszystko było wyłącznie iluzją.

Hugo stąpał po odłamkach szkła, które trzeszczały pod jego stopami. Szkody nikogo jeszcze nie zwabiły. Cisnął pogrzebaczem w manekina bez twarzy, ubranego w jeden ze scenicznych kostiumów Strafy, i ruszył po skrzypiących stopniach. Wspinał się na wieżę. To tam miało się rozegrać ich starcie. W sercu zameczku, oku widocznym z każdego miejsca ośrodka, które w rewanżu samo go śledziło. Hugo nie mógł dłużej czekać.



Na podeście schodów dopadło go zwątpienie. Co właściwie odkrył przed chwilą? Co to oznaczało? Mimo to się zdecydował i wkroczył do czegoś, co uważał za świątynię Strafy.

Na drugim końcu pokoju przez witrażową lukarnę wlewało się na parkiet różowo-biało-fioletowe światło. Spoglądając wprost na nią, Hugo zdał sobie sprawę, że nigdy nie interesowało go, co właściwie przedstawia witraż. Nie pomyślał o tym.

Planetę Ziemię. Pośrodku. Spora jej część pogrążona była w głębokim fioletowym cieniu, bez wątpienia Boga, którego dłoń o groźnych palcach przywodziła na myśl kontrolę podobną do tej sprawowanej przez lalkarza. Nadano jej przydymione barwy, brakowało wypukłości. Po przeciwnej stronie jedna trzecia globu, pozostająca pod wpływem szeroko uśmiechniętego diabła, lśniła różowym blaskiem. Pod spodem tkwił rulon pergaminu z wypisaną maksymą: „Lucyfer, lux ferre, niosący światło”.

Między witrażem a Hugonem stało krzesło z wysokim oparciem. Chłopak zbliżył się powoli. Na krześle siedział Strafa z rękami na podłokietnikach. Czekał na niego.

Hugo poczuł, jak serce mu przyspiesza. Nie był pewien, jak zacząć, ani co Strafa tak naprawdę o nim wie.

Magik był starcem. Policzki miał jeszcze bardziej zapadnięte niż na fotografiach. Czoło pod resztkami siwych włosów wyższe. Surowy, niemal okrutny wyraz twarzy. W słabym różnokolorowym świetle przesączonym przez witraż jego wzrok wydawał się zgaszony. Hugonowi znów spocły się dłonie. Zaczął mocniej dyszeć.

Lucien Strafa świdrował go wzrokiem. W nicości.

Hugo pochylił się ku niemu. Ku jego zmumifikowanej skórze. Suche. Pożółkłej.

Mężczyzna, który siedział przed nim, to był rzeczywiście Lucien Strafa.

Tyle że nie żył.

Od dawna.

## 69.

Legenda rzucała wyzwanie śmierci.

Przynajmniej jej powłoka.

Albowiem co do reszty, z Luciena Strafy, tego, który był największym prestidigitatorem na świecie, już nic nie zostało.

Hugo wsunął kciuk w woskową dłoń spoczywającą na biurku. Zimną i sztywną. Niemal oleistą. Ktoś musiał regularnie nacierać go balsamem. Po dokładniejszym przyjrzeniu się nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że namaszczone go dawno temu. Przed miesiącami? Przed laty? Hugo nie byłby w stanie określić.

To tłumaczyło, dlaczego nikt go już nie widywał. W takim razie kim jest człowiek, na którego się natknęliśmy? Również leciwy mężczyzna, to było oczywiste, nawet w półmroku – przy czym facet rozmyślnie starał się z niego nie wyłaniać, teraz Hugo lepiej rozumiał dlaczego. Głos, którego nigdzie indziej w ośrodku nie słyszał. Kim on jest? I kto o tym wie? Dlaczego nadal uciekano się do tego podstępu? Żeby duch ośrodka się nie ulotnił?

Nad wejściem przez kolejne dwie witrażowe lukarny przesączały się tańczące smugi światła. Każda przedstawiała pergamin z gotyckimi literami. Ten z prawej głosił: „Przychodzi pod postacią człowieka. W przyszłości ucieleśni się człowiek... Antychryst to sam diabeł, zarazem ucieleśniony na Ziemi i ożywiony ciałem ducha, który się ukrywa”. Cyprian z Kartaginy. Hugo zadrżał. Przeczytał ten z lewej: „Dzieci, jest już ostatnia godzina, i tak, jak słyszeliście, antychryst nadchodzi, bo oto teraz właśnie pojawiło się wielu antychrystów; stąd poznajemy, że już jest ostatnia godzina”<sup>2</sup>. Ten był podpisany 1 Jan 2,18.

Strafa daleko się posunął w swej diabelskiej fascynacji. Czyżby sam uważał się za owego antychrysta, który miał nadejść?

Gdy minęło rozczarowanie niemożnością uzyskania odpowiedzi na początkowe pytania, Hugo uświadomił sobie, że to rodzi ich jeszcze więcej.

Na początek o rzeczywisty cel Exhella, Ludovica i Merlina. A jeśli zamiast go zabić, przyszli tu po to, żeby spróbować go wskrzesić?

Tajemnicza historia Strafy. Ośrodek na planie pentagramu. Nawet te witraże, wszystko łączyło go z diabłem. A jeśli upatrują w nim kandydata na ucieleśnienie Lucyfera?

Hugo miał wyznającą chrześcijaństwo matkę i chociaż sam nigdy nie hołdował żadnej wierze, pamiętał własne wychowanie religijne. Czarnego mesjasza. Antychrysta. Szatan miał pewnego dnia powrócić na Ziemię, tak było napisane.

Właściwie po co? Żeby ogłosić apokalipsę? Żeby zniszczyć świat...

Wtedy Hugo dostrzegł na biurku dwie czarne świece, a także kałamarz z atramentem. Pośrodku mapę Val Quarios. Oryginalną. Tę samą, którą narysował niegdyś Strafa. Na statku matce domalowano czerwonym atramentem drugi, mniejszy pentagram.

Środek. Statek matka to serce pentagramu. Jeśli się dokładniej przyjrzeć, czerwony rysunek znajdował się pod spodem. Piwnice. Hugo nigdy się tam nie zapuścił, nie licząc pomieszczenia po zachodniej stronie, ale nie dalej. Przypominał sobie przeciągi wyjące po korytarzach z szarych pustaków. Coś tam zamelinował, Strafa?

Pomacał w półmroku krawędź biurka i wyczuł uchwyt szerokiej szuflady, którą wysunął ostrym szarpnięciem. Były tam pożółkłe wizytówki na żeberkowanym papierze wysokiej jakości. Pośrodku widniał napis „L. STRAFA”, nic więcej. Czyżby pochodziły z epoki, czy też stanowiły oszustwo? Prawdopodobnie są tak samo fałszywe jak cała reszta... Pod spodem Hugo znalazł dziesiątki gazet i czasopism z lat siedemdziesiątych, tym razem bez wątplenia autentycznych. Brakowało wielu nagłówek bądź kolumn z tekstem, które zostały wycięte. Następnie Hugo rozłożył stronę „France-Soir”, do której przyklejono artykuł o Strafie. Kolaż był wyraźnie uzupełnieniem, dodatkiem, czymś tworem. Hugo nic nie rozumiał.

W tej samej chwili zawadził stopą o małe, za to ciężkie drzwiczki u dołu biurka. W podstawie wbudowano sejf, który zastępował dolne szuflady. I był wybebeszony. Hugo przykucnął i zajrzał do wewnątrz. Pusto. Czyżby Exhell i jego banda już zdążyli zgarnąć łup? W głowie paryżanina kłębiły się chaotyczne myśli, z których nie potrafił nic wyłuskać. Oparł dłonie na biurku i zamknął oczy.

Statek matka, serce pentagramu, pusty sejf, mordercy na wolności, plan, zebranie załogi... Wtem oszołomiony otworzył szeroko oczy. Max dokładnie mu wyjaśnił, że detonatory były schowane w skrzyni. Brakowało co najmniej dwóch worków z materiałami wybuchowymi... Hugo wiedział, co zaraz zrobią.

Wysadzą statek matkę. Umieścili całość w podziemiach i wykorzystają zebranie, żeby wszystkich pozabijać!

Rzucił się naprzód, po drodze wywracając kałamarz.

Wbiegał po dwa stopnie naraz, gdy tymczasem atrament spływał po skórzanej podkładce, zalewając mapę Val Quarios. Z ciemnej wnęki wyłoniła się jakaś postać i poprawiła kałamarz pergaminową dłonią.

Mężczyzna, którego Hugo zauważył pewnego dnia na schodach i wziął za Strafę, oblizał spierzchnięte wargi. Zastygł na chwilę, po czym wyjął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne. Wraz z wiekiem nie znosił zbyt ostrego światła, ale był najwyższy czas, żeby wydostał się na powietrze. Popatrzył na zwłoki Strafy i powiedział:

– Prawda musi wyjść na jaw. Nie mamy już wyboru, drogi przyjacielu.

## 70.

Trzy godziny.

Dokładnie tyle czasu zostało Hugonowi do zebrania. Trzy godziny na podjęcie decyzji. Właściwej decyzji. Odwołanie narady mogło skłonić bandę JC, żeby przeszła do czynu i uderzyła w odizolowane ofiary. Z kolei zgromadzenie się w jednym miejscu sprawi, że atak za pomocą materiałów wybuchowych stanie się przerażająco skuteczny.

Hugo zamierzał zawrócić przez las, żeby nie tracić cennych minut, ale to oznaczało stawienie czoła twarzom w pniach. Mogę się z tym zmierzyć. W grę wchodziło życie ludzi. Lily.

Popędził przez jodły, wśród struchlałych masek, tym razem jednak żadna do niego nie przemówiła. Nawet się nie poruszyły.

Hugo przeciął łąkę szybkim krokiem, ocierając pot z czoła. Musiał się dostać do podziemi statku matki, odnaleźć materiał wybuchowy i jeśli będzie się czuł na siłach, odzyskać go. A po drodze dać się wysadzić, rzecz jasna...

Przede wszystkim powinien zbliżyć się bezszelestnie, w razie gdyby JC i jego wspólnicy ciągle tam byli. Co do reszty postanowił improwizować.

Przemierzył Tetryka, aby nikt nie wypatrzył go z daleka, następnie przycisnął się przy drzwiach, aby niepostrzeżenie przedostać się z jednego budynku do drugiego. Znalazłszy się w statku matce, przeciął hol, wyszedł z przeciwległej strony i zbiegł po kilku stopniach wiodących do pomieszczenia pod ziemią, gdzie składowano sprzęt. Tam chwycił latarkę i nóż z długim ostrzem. Potem jednak zamiast skrócić w prawo, żeby zawrócić, jak to zawsze robił, udał się na lewo, w kierunku szarego korytarza, który zagłębiał się w czeluście statku matki. Był w domu. Tuż przed potworami, w każdym razie tak blisko...

Za nic w świecie nie chciał się zdradzić, nie dotknął więc nawet wyłączników i zapalił latarkę, by sobie przyświecić. Nie mogło być zbyt wielu dróg do wyboru. Przy Strafie lepiej się spodziewać najgorszego...

Korytarz prowadził jednak do równoległego tunelu, w którym co jakiś czas pojawiały się drzwi do pustego pomieszczenia, magazynu ze stosami kartonów z zapasami. Hugo przykładając ucho do każdych drzwi po kolei i odczekiwał dobrą minutę, by mieć pewność, że nie usłyszy nikogo wewnątrz, po czym z najwyższą ostrożnością je otwierał. Powoli zbliżał się do centrum budynku. Czuł to. Mógłby pognać prosto do serca budowli, bo przeczuwał, że wszystko rozegra się właśnie tam, ale wolał uważać na to, co zostawia za sobą. Nie panował już nad zbyt wieloma czynnikami, by dodatkowo ryzykować, że niespodziewanie zostanie otoczony.

Pomruk maszynerii odbijał się echem od surowych pustaków. Basen. Jestem całkiem blisko. Wzdłuż sufitu biegły drżące rury szersze niż piłka do kosza. Światło latarki omiatało ściany, wytartą i brudną cementową posadzkę, pajęczyny... Kolejny zakręt. Buczenie się nasilało. Prawie dotarł na miejsce.

Wtedy wyobraził sobie dziurę w pajęczynie, w której bestia czeka na ofiarę, przepastną studnię ukrytą za liściem... Za rogiem... Dwie długie łapy ledwie wystawały, zdradzając obecność potwora czyhającego na jakiegoś owada... Na mnie... Bestia była gotowa wyskoczyć z nienacka niczym w anonimowym lesie... Z tych podziemi...

Hugo położył dłoń na zimnej ścianie. Basen musiał się znajdować po drugiej stronie.

Jakieś gigantyczne pająkopodobne stworzenie przemieszcza się równo ze mną, wdycha mój zapach, dzieli nas tylko grubość muru z tych pustych cegieł, czeka w ciemności, wie, że się zbliżam, i idzie za mną, milczące i wygłodniałe...

Niemal słyszał, jak śliniąc się, szepcze świszczącym głosem... Hugo pokręcił głową.

– Nie teraz! – nakazał sobie. – Nie teraz!

Korytarz ciągnął się, przybierając kształt litery T. Hugo uniósł latarkę w prawo: dziesięć metrów, boczne drzwi i następny róg. Nie, tędy wracam pod hol. Wobec tego skręcił w lewo, a wraz z nim trójkątny snop białego światła, i... Wtem gdzieś w oddali coś mignęło błyskawicznie, coś dużego, miękkiego i chitynowego, owłosionego i wyposażonego w wyrostki. Nie! Skończ z tym wreszcie, do licha ciężkiego! Kilkakrotnie zamrugał. Nic nie było widać.

Buczenie mechanizmu dobiegało stamtąd. Słyszać było nie tylko pompy i filtry przepuszczające hektolitry wody, lecz także niższy pomruk kotłów.

Hugo zebrał się na odwagę i ruszył w tym kierunku, powtarzając sobie, że nic nie ma, żadnego potwora, żadnego...

Zjeść... cię!

...pajaka. Nic.

Może z wyjątkiem zgrai zabójców o satanistycznych poglądach.

Do wyboru – sam nie wiedział, na co wolałby się nadziać.

Dotarł do dwojga drzwi ustawionych naprzeciwko siebie. Jedne wiodły pod basen, był tego pewien, drugie... Do wnętrza statku matki. Do serca pentagramu. Długo nasłuchiwał, usłyszał jednak tylko wrzenie kotłów gazowych. Hugo zgasił latarkę. Opadły go ciemności, czekał więc rozdygotany. Nic się na niego nie rzuciło.

Położył dłoń na klamce, nacisnął tak wolno, jak tylko się dało... Po drugiej stronie ukazał się blask nieśmiałego niebieskawego płomyka. Hugo przekroczył próg. Z powodu stresu z trudem oddychał. Łomotało mu w skroniach.

W sali o średnicy co najmniej dziesięciu metrów mruczał olbrzymi kocioł. Przez otwarty właz kontroli palników widać było rzędy płomieni. Rzucały one na posadzkę nikłą poświatę, jednak wystarczająco wyraźną, by Hugo dostrzegł zarys pentagramu na cemencie. Identyczny jak ten, który wytyczał cały ośrodek. Zwrócony na południe. Gwiazdę Szatana.

To była ich kryjówka. Jaskinia potwora. To stąd wkrótce wyruszy śmierć. Ogień piekielny.

Hugo upewnił się, że jest sam, i zapalił latarkę. Jego uwagę przykuła jakaś skrzynia. Obawiając się pułapki, chłopak otworzył ją bardzo powoli, czubkiem buta. Wewnątrz znajdowały się łańcuchy połączone skórzanymi bransoletkami i dwa ostre noże.

Hugo wycelował latarkę w pentagram i odnalazł to, co dostrzegł wcześniej kątem oka: stalowe pierścienie przymocowane do posadzki. Wszystko, czego potrzeba, żeby skrupować ofiarę i...

Jina! Jeżeli przed eksplozją należy dokonać jakiegoś obrzędu, Jina stanie się ich duchowym detonatorem.

Muszę znaleźć materiały wybuchowe. Przystąpił do metodycznego przeszukiwania każdego zakamarka, o mało nie poparzył rąk o gorące rury, po dziesięciu minutach doszedł jednak do wniosku, że nic tu nie ma. Pomylił się.

Nie, to musi być tutaj, to stąd wszystko się zacznie. Oni po prostu jeszcze nie dotarli i tyle. Dowodził tego pentagram na posadzce.

Hugo zerknął na zegarek. Pozostały mu dwie godziny. Dwie godziny, żeby znaleźć Jinę. I opracować jakiś sprytny plan. Ona nie może być zbyt daleko, pomyślał. Przecież nie ryzykowałiby przemarszu przez cały ośrodek z uprowadzoną dziewczyną na plecach, w dodatku w biały dzień.

Tak, ona na pewno jest tu, na dole, w jednym z pomieszczeń.

Hugo nie miał czasu do stracenia. Nie mógł już dłużej wytrzymać, musiał się wydostać z kryjówki zabójców. Z jaskini potwora...

Gdy się odwrócił, on tam był! Dokładnie tam! Przed samym nosem, jego ohydny i ogromny pysk ledwie dwadzieścia centymetrów dalej! Wpatrywał się w niego mnóstwem martwych oczu. I nagle jego gigantyczne szczękoczułki rozwarły się, tocząc stróżkę śliny...

Pająk jeszcze bardziej monumentalny niż kocioł, do którego Hugo zapragnął się rzucić, żeby przed nim umknąć. Odskoczył do tyłu, latarka wysliznęła mu się z rąk, po czym puścił się biegiem, aż rąbnął z całej siły o rurę i przewrócił się na plecy.

Uderzył głową o posadzkę. Latarka poturlała się na jego zamglonych od ciosu oczach. W drgającym świetle ujrzał zbliżające się plugawe łapy.

Po czym stracił przytomność.



## 71.

Obudziło go ukąszenie w policzek.

Z powodu jadu rozboleła go cała lewa strona. Hugo z trudem otworzył oczy. Widział jak przez mgłę. Pulsowało mu w skroniach. Od smaku zakrzepłej krwi w ustach poczuł mdłości. Powoli wracał do siebie. Mógł się poruszać, nie uwiązał w żadnej lepkiej sieci.

Latarka świeciła tuż nad posadzką, w odległości jednego metra, podkreślając ciemne linie pentagramu. Zawór pstryknął i wypuścił strumień gazu. Delikatne niebieskie płomienie palników rozbłysły i zamieniły się w piekielnie żółte pochodnie. To rozbudziło Hugona odrobinę mocniej.

Przypominał sobie. Potwora, przerażenie, ucieczkę i... potem nic. Był odrętwiały nie z powodu ukąszenia, tylko przez zimny dotyk cementu na policzku i zbyt długie leżenie bez ruchu. Z każdą mijającą sekundą odzyskiwał zmysły. I z niechęcią sobie uświadamiał, że stwór jest owocem jego wyobraźni. To było takie prawdziwe... Lśniące refleksy kotła na jego pysku, tego przecież nie mógł wymyślić. Smród starej piwnicy i zgnilizny z jego paszczy, to też nie był wytwór fantazji. Tylko że gigantyczne pająki nie istnieją. Ani tutaj, ani nigdzie. Już tak wiele razy to sobie powtarzał.

– Już bym nie żył, gdyby to była prawda.

Zeżarty od środka, rozpuszczony, wsysany przez gardło, aż moja skóra by się pomarszczyła i zbiegła jak przekłuty balon. Jak więc sobie to tłumaczył? Zatrucie tlenkiem węgla? Czy taki był plan? Otruć cały budynek? Nie, wtedy ja też już bym nie żył.

Hugo poruszył obolałą szczęką i pokręcił ramieniem, na które upadł. Nie miał żadnych złamań, tylko siniaki i otarty język.

Jina! Musiał ją jak najprędzej znaleźć, zanim zrobią to inni.

Przed zebraniem.

Hugo spojrział na zegarek i o mało się nie udusił. Była 19.10. Za późno. Wszyscy już się zgromadzili na górze.

Zbyt długo był nieprzytomny. Z trudem się podniósł, a potem schylił po latarkę. Wszystkie opcje wzięły w łeb. Powinien stąd wyjść. Zapobiec masakrze. Tylko on o niej wiedział.

W pośpiechu omiótł wzrokiem pomieszczenie, sprawdzając, czy w ciągu tego czasu nie przybyły kolejne paczki z materiałami wybuchowymi, ale to nie miało sensu, przecież gdyby zjawili się tu, kiedy leżał nieprzytomny, nie zostawiliby go tak, tylko przynajmniej by go związali albo zamknęli w innej piwnicy. Na tę myśl Hugo dopadł do drzwi, spodziewając się, że będą zaryglowane, ale nie były.

Przemierzył korytarze przy akompaniamencie szumu basenowej maszynerii, a kiedy natrafił na schody wiodące na parter, a twarz zalały mu promienie zachodzącego słońca, jak nigdy dotąd poczuł, że żyje. Obraz pająka wydał mu się głupi. Jeszcze jeden koszmar więcej i tyle.

Prawdziwy koszmar miał się jednak rozegrać na piętrze, w akwarium. Pędem wbiegł na górę. Gdy przekroczył próg przestronnej sali, zobaczył, że wszyscy są obecni, wszyscy siedzą z wyjątkiem DePrigenta, który stoi przed zebranymi ze splecionymi dłońmi. Szykował się do przemowy. Jeszcze jej nie rozpoczął. Zgromadzili się i...

– O, jest nasz spóźnialski! – wykrzyknął DePrigent. – Chodź, Hugo, czekaliśmy tylko na ciebie.

Nie, nie należy nic mówić. Nie teraz, nie, dopóki się nie dowiem, co dokładnie się wydarzy.

Exhell leżał rozwalony na kozetce, nieco na uboczu. Ludovic przycupnął na brzegu kanapy ze spuszczoną głową, z twarzą niewidoczną spod włosów. Za to siedzący niedaleko Merlin wpatrywał się w niego, żując laskę lukrecji. Brakuje JC. Dostrzegł go obok rozpalonego kominka, jak zawsze. On również ulokował się na wprost grupy.

Nie, on zajął to miejsce, żeby być za plecami DePrigenta. Żeby wkroczyć, gdy tak zdecydują.

Hugo miał mętlik w głowie. Nie wiedział, co zrobić, by powstrzymać to, co zaraz nastąpi. Podązał ku nim i obserwował. Lily znajdowała się pośrodku. Straszliwie pragnął wziąć ją w ramiona, poczuć jej ciepło, jej ciało przy swoim. Dziewczyna posunęła się, by zrobić mu miejsce.

Nie, za daleko od centrum akcji. Postanowił usiąść na końcu półkola utworzonego przez załogę. Blisko dyrektora. Lily zrobiła nadąsaną minę, nie pojmując nagłego odrzucenia.

Hugo pochwycił spojrzenie Exhella. Zimne jak lód. Wie. Czyżby tamten się zorientował, że on grzebał w jego komputerze? Czyżby Hugo nie zamknął jakiegoś programu? Od czego powinien zacząć? Nie pozwolić DePrigentowi przywołać morderców?

Strafa. Powiedzieć im, że nie żyje. Że wszystko zostało spreparowane. Jego obecność, afisze, książki, gazety... Wszystko było fałszem. Wszystko.

Hugo podniósł wzrok na Exhella. Artykuły prasowe... Uświadomił sobie, że wszyscy na niego patrzą. Wszyscy. Bez wyjątku. Artykuły w komputerze Exhella... Hugo zobaczył przed oczami stronę „France-Soir” z dodanym tekstem na temat Strafy. Podrobioną stronę... Gdyby ją zeskanować i dołączyć do strony internetowej, wykrzyknie, że to falsyfikat, byłoby niemożliwe. Na stronę „France-Soir” mógł się nabrać każdy.

Exhell ma wszystkie artykuły w Wordzie, bo sam je napisał! Wszystkie strony, które przeglądałem, to ściema. Wymysł. Całe mnóstwo stron internetowych założonych wyłącznie po to, żeby stworzyć legendę Luciena Strafy. Ale to wymysł! Podobnie jak wszystkie przedmioty, jego książki, afisze, nic nie pochodzi z tamtych czasów.

Lucien Strafa. Słowa te kołatały się w jego głowie. Litery się mieszały... Lucien Strafa...

Hugo zamknął oczy i złapał się za głowę. Świat znów zawirował. Val Quarios wywracało się do góry nogami. Miasto cieni. Kłamstw. Ton DePrigenta złagodniał. Stał się bardziej cyniczny.

– Wierzę, że Hugo jest wśród nas, przyjaciele – powiedział.

Od progu akwarium zadudnił czyjś inny głos – Hugo nawet nie musiał podnosić głowy, żeby go rozpoznać. Głos należał do mężczyzny, którego spostrzegł na schodach w zameczku, tego samego, który podawał się za Strafę.

– Porządna sztuczka magiczna nie mogłaby się obejść bez równie sensacyjnej rewelacji na końcu, prawda? – oznajmił.

## 72.

Hugo otworzył oczy.

– Lucien Strafa nigdy nie istniał – oświadczył bezbarwnym głosem. – To była jedynie iluzja.

– Brawo – odparł mężczyzna w drzwiach. – Przejrzałeś naszą gierkę w niecałe dwa miesiące.

Hugo musiał ubrać w słowa kłębiące się w jego głowie myśli, dlatego mówił dalej:

– Przed przyjazdem tutaj nigdy nie słyszałem o Strafie, ponieważ nigdy kogoś takiego nie było. Trzeba najpierw usłyszeć jego nazwisko, tutaj, a potem odpalić internet... Wszystkie te strony... to podróbki.

Obrócił się do Exhella.

– To ty...

– Och – mruknął wielki informatyk – ja i mój poprzednik, który odwalił kawał dobrej roboty, muszę to przyznać.

Exhell wskazał DePrigenta, Adele i mężczyznę przy wejściu.

– Teksty to ich dzieło, ja tylko wzbogacałem strony, które sfabrykował pierwszy informatyk ośrodka. Uzupełniłem hasła w Wikipedii, czerpiąc ze wszystkich tych stron i archiwów, które tworzyliśmy przez lata. Niesamowita harowa, to prawda, ale jak się dysponuje czasem i sprytem, nie jest specjalnie trudno wymyślić w wirtualnym świecie człowieka i jego historię.

Aż pękał z dumy.

– Afisze, przedmioty służące do uprawiania magii, książki, wszystko to fałsz – stwierdził głośno Hugo.

– Godne najlepszych rekwizytorów filmowych – potwierdził mężczyzna, którego nazwiska nie znał. – Sprokurowane wyłącznie po to, żeby nadać kłamstwu rozmach.

Wszystko miał dosłownie przed nosem, od samego początku. Od pentagramu ukrytego w planie ośrodka po samo cudaczne nazwisko

rzekomego magika. Anagram.

Litery przestały się mieszać.

Lucien Strafa.

Lucifer Satan.

– Dlaczego? – zapytał Hugo o wiele ciszej, niżby chciał.

Mężczyzna z progu podszedł bliżej.

– Hugo – odezwał się DePrigent – przedstawiam ci Rolanda Dewittera. Naszego seniora, nasz cień, tego, kto nad sceną pociąga za sznurki.

Starszy mężczyzna zdjął okulary przeciwsłoneczne, jako że światło zachodzącego słońca już go nie raziło. Świdrował Hugona martwymi niebieskimi oczami, w których nie było śladu emocji. Wysoki i chudy, prawie przypominał trupa. Hugo go jednak rozpoznał. Już go widział na fotografiach za Strafą, kiedy był młodszy. To on podawał się za jego impresaria.

– Sama koncepcja sztuczki magicznej – zaczął wyjaśniać Dewitter, skrzecząc jak kruk – polega na skierowaniu uwagi widza tam, gdzie się chce, po to, żeby nie patrzył gdzie indziej.

DePrigent też zabrał głos.

– Gdy skupiłeś się na Strafie – powiedział, wymachując prawą ręką – przestałeś się interesować całą resztą. Nami.

Pokazał lewą dłoń, którą schował za plecami.

– Ale...

Hugo poszukał wzrokiem oczu Lily. Siedziała dokładnie na wprost niego. Jej zaciętą twarz okalała burza nieposkromionych włosów. Nie, nie ona, przecież to dla niej takie samo odkrycie jak dla mnie... Dewitter dodał:

– Normalnie to dosyć dobrze funkcjonuje. Pracownicy sezonowi nie zadają tyłu pytań co ty. Wykonują swoją robotę, a jak zaczynają za bardzo węszyć, wyciągamy kartę Strafy, która zajmuje ich przez cały pobyt, i trzymają się z daleka.

Hugo był wstrząśnięty. Coraz mocniej rozdziawiał usta.

– Czyje to zwłoki tam na górze, w gabinecie? – zapytał.

– Założyciela naszej wspólnoty – odparł Dewitter. – Eole'a de Treille'a. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym dzięki osobistej fortunie kupił to miejsce, żeby wybudować Val Quarios. To jego przebiegłości zawdzięczamy pentagram Lucyfera w architekturze. On był naszym przewodnikiem. Natchnieniem. To on wpadł na pomysł stworzenia Luciena Strafy, żeby w razie potrzeby odwracać uwagę. I całkowicie naturalnie on

wcielił się w tę rolę. Z początku Strafa był jedynie prestidigitatorem, który zbił majątek za granicą, a potem założył ośrodek, gdzie spędzał emeryturę, nic więcej, i to wystarczyło. Z czasem rozbudowaliśmy jego legendę. Eole de Treille czuwał nad wszystkim. Część z nas stała u jego boku.

Adele, Simone, DePrigent i stary Max się uśmiechnęli.

– A kiedy umarł, ja zająłem jego miejsce – wyznał Dewitter.

– Waszej wspólnoty... – powtórzył Hugo, wpatrując się w każde z nich po kolei.

Lily odwzajemniła jego spojrzenie, wręcz przeszywała go wzrokiem. Nie potrafił uwierzyć, zbierało mu się na wymioty.

– Czyli że – wyjąkał – Exhell, Ludovic, Merlin, Armand... wszyscy. Żaden z was nie przyjechał tu niedawno, prawda? Jesteście tu od długiego czasu.

Exhell przytaknął.

– Ja przyjechałem ostatni. Trzy lata temu. W sumie moja „poprzedniczka” nie dała rady się zintegrować, ku mojemu wielkiemu szczęściu trzeba było ją zastąpić...

Powiedział to z zimnym okrucieństwem, za którym kryło się coś więcej. Hugo szarpał się za włosy, w miarę jak docierała do niego skala tej manipulacji. Zesztywniał.

– Lily? Ty też? Od... od jak dawna?

Zacisnęła usta. Była zakłopotana, widok Hugona w takim stanie nie pozostawiał jej obojętnej. On uczeplił się tego z równie silną nadzieją co naiwnością.

– Urodziłam się tutaj, Hugo. Poszwendtałam się trochę, ale prędko wróciłam.

Wskazując DePrigenta i Adele, dodała:

– Masz rację, nie jesteś znawcą fizjonomii, chociaż muszę przyznać, że trzeba się naszukać, żeby wyłapać podobieństwa między nami.

– Twoi... rodzice?

JC był synem kierowcy taksówki i Simone, Ludovic Merlina, a teraz jeszcze Lily... Rodziny.

– Tworzycie... sektę.

Dewitter odsłonił drobne żółte zęby.

– Podaj nazwisko, jakie tylko chcesz. Nie poznałeś epoki, kiedy się stworzyliśmy, epoki wierzeń, prób i emancypacji, nie oczekuję więc, że nas zrozumiesz, ale wiedz, że to były niesamowite czasy. Młodzi powstawali przeciw autorytetom, przeciw temu, co podyktowane z góry. Narzucone

ramy się rozpadały. Wszystko stawało się możliwe. Marzyliśmy. Wszyscy eksperymentowaliśmy z narkotykami, miłością, duchowością i ideałami, nareszcie wyzwoleni.

Na to wspomnienie jego zmęczone oczy znów rozbłysły. Wydawał się niezmordowany.

– Pod koniec lat siedemdziesiątych państwo dokreśliło śrubę, po dziesięciu latach „rozpasania”, jak to nazywali, naród, wraz ze swoją moralnością, ze swoim purytanizmem, przejmował kontrolę. Tylko że my zasmakowaliśmy tego, czym była prawdziwa wolność. Totalna. Absolutna. Pozbawiona barier tego społeczeństwa pełnego manipulacji, kłamstw podsuwanych przez wysoko postawionych ludzi, żeby nas sobie podporządkować. Dlatego przyjechaliśmy się schronić tutaj, aby móc w pełni żyć obietnicą tamtych lat.

Następnie pałeczkę przejął DePrigent:

– Hugo, naprawdę sądzisz, że przeznaczeniem człowieka jest wtłoczenie w narzucone ramy? Jego umysł stłamsiły doktryny, opracowane po to, żeby nas ujarzmić, uformować, chociaż każdy osobnik jest tak wyjątkowy, tak różny.

Hugo był jak zając oślepiiony reflektorami samochodu, łykał wszystko odcięty od emocji, ogarnięty potrzebą zrozumienia, co się z nim dzieje, nieświadomie wznosił tamę między własnymi odczuciami a przeżyciami.

– Jaki to ma związek z pentagramem, ze Strafą? – zapytał.

DePrigent skrzywił się z politowaniem.

– Lucyfer to upadły anioł. Ten, który nie chciał ślepego posłuszeństwa, Hugo. I którego wygnano z powodu odmienności. To kontrwładza, bunt wobec zniewalającej i ślepej zwierzchności, on wychwala człowieka wolnego, akceptowanego w swojej indywidualności, a skoro Bóg wystawia nas okrutnie na pokusę, którą sam stworzył, z całym sadyzmem, jaki to za sobą pociąga, Lucyfer z kolei nakazuje nam jej ulec, ponieważ to naturalne. Bóg chce, byśmy cierpieli, wahali się, byli potulni wobec świata, który ukształtował na swoje podobieństwo, z mieczem sądu ostatecznego nieustannie wiszącym nad każdym naszym postępkiem, a nawet myślą! Diabeł zaś uspokaja i mówi, że nie ma żadnego powodu, byśmy słuchali niesprawiedliwych i usidlających rozkazów. Że we właściwym czasie on weźmie nas w obronę.

Rozplómienny własną przemową DePrigent podniósł głos.

– Czyżbyś zapomniał, że na początku Lucyfer był aniołem? Bóg odrzucił swoje dziecko, Lucyfera, albowiem podważał jego wizję, wypędził człowieka z raju, albowiem kobieta ośmieliła się posmakować owocu wiadomości, który sam Bóg tam umieścił, na widoku. Czyż nie jest to dowód jego nieznośnego autorytaryzmu? Sadyzmu? Bóg chce, żeby człowiek był jego zabawką, pozbawioną wszelkiej niezależności. Diabeł natomiast mówi, że skoro zostałeś stworzony właśnie taki, to po to, byś się cieszył własnymi możliwościami, rozwijał się, rósł, poznawał... Bóg to społeczeństwo! Diabeł jest tutaj, to my!

Ostatnie słowa niemal wykrzyczał. Adele zaś dodała łagodnie, lecz stanowczo:

– Piekło to wypaczona wizja, a religijne instancje chciały za wszelką cenę, byśmy uznali je za wieczne cierpienie, tymczasem to miejsce istot niepodporządkowanych i wolnych.

Na wspomnienie swojego mentora zwykle tak powściągliwa i przygaszona Simone się ożywiła:

– W tamtych czasach De Treille otworzył nam oczy, był naszym mesjaszem, a jeśli życie bez zahamowań, bez negacji samych siebie, rezygnacja z wiary i haniebnych praw, narzuconych przez, jak to nazywają, „cywilizację”, czyni z nas antychrystów, w takim razie niech będzie błogosławiony nasz Pan, ten prawdziwy, owszem, jestem antychrystem, dzieckiem ostatniej godziny! Oby kres czasów mógł być jedynie kresem czasu Boga i otworzyć się na nasz czas.

Zewsząd równocześnie podniosły się głosy, wprawiając Hugona w oszołomienie. Kiedy przemówił Max, jego wąsy podjechały do góry.

– Żądza, skąpstwo, łakomstwo, pycha... Cały zestaw tego, co stanowi nasz fundament, a czego nam się zabrania, jeśli słuchać Kościoła. A przecież to kwintesencja człowieczeństwa! To, co wyróżnia nas od zwierząt tam, na zewnątrz. Czyżbyśmy powinni wyprzeć się samych siebie? Założyć sobie kaganiec... I czym byśmy się stali? Zaledwie zbiorowiskiem pozbawionym duszy, emocji, pragnień, wybryków, popędów, przyjemności. Rządy, duchowieństwo, jednym słowem, społeczeństwo chce nas stopniowo wyjałować, przekształcić w maszyny. Żebyśmy produkowali, konsumowali, byli posłuszni i nie stwarzali problemów.

Hugo kręcił głową.

– To są granice – powiedział – ustanowione po to, żeby umożliwić nam życie w zbiorowości, żeby zapobiec... gwałtom, morderstwom!



Wszyscy patrzyli na niego tak, jakby wykazał się żenującą naiwnością. Dewitter oświadczył:

– Uważasz, że się zabijamy nawzajem? Nie. Rzecz jasna, w ciągu czterdziestu lat zdarzały się drobne kłopoty, przejawy tchórzostwa, nad którymi należało zapanować, trafiło się parę głów, które trzeba było ściąć, aby zachować spójność, ale czy w gruncie rzeczy to nie jest czymś normalnym? Tak bardzo... ludzkim.

Exhell parsknął śmiechem. DePrigent pochylił się nad Hugonem i rzekł:

– Na czym twoim zdaniem polega ostateczny akt wolności? To definitywny dowód twojej odmowy posłuszeństwa...

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, krwiożerczo.

– Odebrać życie komuś innemu, Hugo! – wrzasnął. – Zabić bliźniego! Poświęcenie rzekomej moralności na ołtarzu osobistego spełnienia! Otwórz oczy!

Lily wstała i podeszła bliżej.

– Ile milionów zginęło z powodu domniemanej woli bożej? – zapytała. – Ile milionów zginęło, bo jeden jedyny człowiek obwieścił, że chce napaść na sąsiada? Ile milionów zginęło, ponieważ ludzie podporządkowują się władzy garstki? Bo ślepo za nią idą? Bo są słabi? Czymże jest życie w porównaniu z tym?

Przyklękła przed nim, by znaleźli się twarzą w twarz, i chwyciła jego dłoń, po czym mówiła dalej:

– Możesz wybrać bycie po stronie mas, zostanie owcą, która daje się potulnie prowadzić na rzeź, zre ich gówna, słucha ich coraz bardziej fałszywej gadaniny, możesz powoli zdychać, chociaż niczego mocnego w pełni nie przeżyłeś. Albo możesz przyjąć wiarę w odmienną, która się liczy. Wyrazić to, co jest w tobie największym tabu, dotrzeć do kresu własnych emocji. Zmysłów. I dokonać przeobrażenia. Dowiedzieć się, kim w pełni, w głębi jesteś. Całkiem w głębi. Życ. Naprawdę. A my będziemy tu, żeby ci towarzyszyć.

Lily kochała się z nim namiętnie. Wybadała go, zadając pytania o niego samego, o to, kim jest, zasiała w nim ziarno, aby wykiełkowało...

– Ulec Szatanowi – mruknął z uśmiechem rozczarowania.

Hugo wyczuwał emocje kumulujące się za ochronną tamą, którą zbudował pospiesznie, aby móc znieść tę sytuację. Chłupotały na szczycie, gotowe wystąpić z brzegów. Lily wyjaśniła, ociekając słodyczą:

– Wolimy nazywać go prawdziwym imieniem: Lucyfer. Wiesz, co ono oznacza? Pochodzi z łaciny: lux, czyli światło i ferre, czyli nieść. Lucyfer, niosący światło. Nie my to wymyśliliśmy, to są same korzenie jego imienia, które otrzymał na początku. Bo właśnie tak z nim zawsze było, to historia, duchowni i możnowładcy usiłowali powiązać go z tym, co najgorsze, co wynaturzone. Tymczasem wystarczy wejrzeć w sens jego imienia, żeby odróżnić prawdę. Lucyfer, ten, który opromienia, krótko mówiąc: oświeca. Ale to symboliczne, Hugo, nie musisz w niego wierzyć, tylko podporządkować się jego obrzędom, bo dzięki nim wejdiesz do naszej rodziny, dzięki tym rytuałom zerwiesz kajdany, staniesz się prawdziwy.

Hugo podniósł oczy i spojrzał na Lily.

– Proponujesz mi, żebym się do was przyłączył?

– Proponuję ci, żebyś stał się prawdziwy. Żebyś stał się człowiekiem, który wyraża cały swój życiowy potencjał.

Podsunała mu na dłoni jaskrawoczerwone jabłko.

## 73.

W lśniącej skórcie owocu odbijały się płomienie kominka za plecami Hugona.

– Na początek wystarczy wbić zęby – kusiła Lily. – To pierwszy krok.

Wierzchołek wewnętrznej tamy, którą postawił Hugo, zalała fala, toteż chłopak jednym ciosem wytrącił jabłko, a ono poturlało się po podłodze.

– Wszystko, co razem przeżyliśmy, było fałszem – oburzył się.

Lily ponownie złapała go za rękę i mocniej ścisnęła, po czym przysunęła twarz do jego twarzy.

– Nie, Hugo. Odnaleźliśmy się. Jesteś idealnym kandydatem. Nie jesteś z nikim związany, odznaczasz się inteligencją, odczuwasz, jak mocno świat na zewnątrz jest zepsuty, to on jest fałszywy, nie my! Ty i ja tutaj możemy dokonać wszystkiego!

– Ty i ja... – powtórzył z rozpaczą Hugo.

Lily nie dawała za wygraną.

– Urodziłam się tutaj i pojechałam stawić czoło światu, widziałam, jaki jest niesprawiedliwy i niszczyielski. Piramida kłamstw, prób wzięcia pod but, zmuszania do pracy, do posłuszeństwa, do dopasowania się. Całe miasta zaślepionych mrówek, które tłumią rzeczywiste pragnienia w imię ideału i narzucanego im oszukańczego modelu. Tutaj mógłbyś być sobą, myśleć, co chcesz, spełniać wszelkie pragnienia, nie będąc osądzany, z pomocą naszych nauczycieli wzniesiesz się na wyższy duchowy poziom, bez intelektualnej nieprawości.

DePrigent dodał:

– Będziesz mógł się oddawać temu, co tamci z zewnątrz określają jako przywary, a my będziemy ci towarzyszyć, ponieważ to coś naturalnego, droga ku wielkości, ku rozwojowi lepszego, wyższego człowieka!

Pałeczkę przejęła Lily. Nie dali mu nawet sekundy wytchnienia, tylko nieustannie go bombardowali.

– Dzieci otrzymują prawdziwą edukację, tak jak ja, jak JC, jak Ludovic, aby zachęcić je do wszechstronnego rozkwitu, w zgodzie z ich głębokimi pragnieniami, jakiegokolwiek by były. Nie ma zakazów, ani jednego, wyłącznie próby i błędy, żeby wznieść się wyżej.

– Wy manipulujecie ludźmi – mruknął Hugo.

– Po to, żeby przetrwać, i dlatego, że panowanie nad tymi ignorantami jest formą władzy, która dostarcza niesamowitej rozkoszy. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wielkiej.

Hugo dostrzegł kątem oka Exhella.

– Gwałćcie...

– A jeżeli właśnie taką masz potrzebę? – odparował DePrigent. – Jeśli możesz to robić bez żadnych konsekwencji, jeśli czujesz, że dzięki temu lepiej poznasz samego siebie, osiągniesz nowe płaszczyzny rozwoju, dlaczego się tego pozbawiać? Te dziewczyny to motłoch! A nawet ci mężczyźni, jeżeli tego chcesz, dzieci albo zwierzęta, nieważne, liczy się tylko twoja żądza, która ułatwi ci ekspansję.

Hugo nie wierzył własnym uszom, dosłownie go zatkało. Fundamenty wewnętrznej tamy zaczęły złowroźnie trzeszczeć. Głos zabrał Dewitter:

– Tutaj będziesz absolutnie sobą i uzyskasz wsparcie w totalnej emancypacji. Bez względu na to, czy doprowadzą do niej przemoc, narkotyki, negacja systemu zewnętrznego, jego praw, obowiązków, moralności, polityki i purytańskiej gadaniny, będziemy ci towarzyszyć, bez kłamstw. Gdy się już raz wstąpi do naszej wspólnoty, pozostaje wyłącznie prawda. Staniesz się równy każdemu z nas. A my będziemy cię chronić, tak jak chronimy się nawzajem.

Nad tamą spiętrzącą wodę rozległy się pomruki burzy.

– A Alice? Wykorzystaliście ją do swoich obrzędów, zgadza się?

Lily spuściła głowę. Po czym odrzekła, podnosząc głos, aby usłyszeli ją zgromadzeni, z nutą wymówki:

– Alice nie było w planach, to nasz drogi Ludovic nie potrafił się powstrzymać – oznajmiła ze złością, przez zęby. – Widzisz, Hugo, żeby nasza tajemnica przetrwała, mimo wszystko musimy sobie narzucać pewne ograniczenia, to cena przeżycia. Ale Ludovic nie przestrzega żadnych zasad, słucha jedynie własnych popędów.

Tamten, skryty za zasłoną zbyt długich włosów, ciągle jeszcze nie podniósł głowy, tak jakby znajdował się tu mimo woli, jakby to wszystko nie miało najmniejszego znaczenia. Raczył jednak rzucić:

– Lampiłem się na nią przez całą zimę. Całą zimę...

Exhell znów parsknął śmiechem:

– I ostatniego dnia pękłeś, jełopie!

– A Jina? – dopytywał Hugo. – To twoja sprawka, co, Exhell? To ty ją zabiłeś!

Exhell przygwoździł go morderczym spojrzeniem.

– Od razu wielkie słowa... Powiedzmy, że pięknie wykorzystałem jej śliczne ciało. Dałem upust swoim prawdziwym popędom. Nawet sobie nie wyobrażasz, co to jest. Prawa, dyktat obyczajów i całe te pierdoły istnieją wyłącznie po to, żeby chronić słabych, podczas gdy my składamy się z samych popędów. Oddawanie się im to chwytanie w ramiona własnego człowieczeństwa, to droga do nirwany, bracie!

Strumienie emocji napierały na tamę i już wyciekały strużki wody, zalewając Hugonowi policzki. Lily chwyciła jego twarz w dłonie i odwróciła ku sobie.

– Zapomnij o winie – powiedziała – to starodawne pojęcie, żeby wymusić posłuszeństwo. Alice ani Jina nie mają żadnego znaczenia. To były tylko owce, po prostu spotkały swoje przeznaczenie wcześniej, niż się spodziewały.

– Przecięcie linii telefonicznych i droga zatarasowana przez eksplozje to wasze dzieło.

– Sytuacja wymykała się spod kontroli, musieliśmy zyskać na czasie, żebyście ty i Jina nie zrobili czegoś głupiego. Zainstalowaliśmy w Wieży zagłuszacz sygnału. Nie mogliśmy ryzykować.

Hugo prawie nic nie widział z powodu łez.

– Nie miało być dzisiaj żadnej ciężarówki z dostawą, prawda?

Lily skinęła głową z poczuciem winy.

– Przykro mi. Nie mieliśmy wyboru.

– Przecież... Kazałaś mi wezwać gliny – przypomniał sobie Hugo, który o mało nie wyszedł z siebie.

Lily skrzywiła się z niechęcią.

– Musiałam kłamać, żeby poznać twoje zamiary. Kontrolować cię. Nie pozwoliłabym ci tego zrobić. Nie mogłam. I musiałam udawać, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Czasami trzeba było grać na zwłokę, żeby ostrzec wspólnotę, jakie masz plany, to prawda, raz czy dwa nawet wolałam uprzedzić fakty, tak jak wtedy, kiedy wspomniałam o zaginionych w Val Quarios. Domyślałam się, że w końcu to odkryjesz, należało dostarczyć ci

z góry pewnych elementów, żeby podsyć nasz związek, towarzyszyć ci, żeby sprawy nie wymknęły się z rąk. Ale to nie było wymierzone przeciwko tobie, musiałam po prostu zachować jakąś równowagę i środki ostrożności. Rozumiesz?

Tama pękała wszędzie, zaczynała z niej tryskać czarna woda. Wobec rozmiarów zdrady popełnionej przez Lily w przeliku wzbierała mu żółć – albo błoto, Hugo już sam nie wiedział.

– Manipulowałaś mną! Wykorzystałaś moje uczucia...

Lily, w której aż się gotowało, szła w zaparte:

– Nie, byłam z tobą szczerą! Musiałam się tylko upewnić, czy wszystkiego nie zepsujesz. Byłeś nie do zniesienia od pierwszego dnia, bez przerwy zadawałeś pytania, chciałeś wszystko wiedzieć, żadna z naszych technik nie dała rady cię uspokoić, ale w tym, co do ciebie czułam, byłam szczerą.

– Uwierzyłem ci od samego początku... Wmówiłaś mi, że martwisz się o Alice... Kłamstwa. Na każdym kroku.

– Naprawdę martwiłam się o Alice! Bałam się, że...

Lily posłała Ludovicowi szybkie, lodowate spojrzenie.

– Przysięgam, że byłam z tobą szczerą – powtórzyła z uporem – tak często, jak się dało, i mogę w pełni taka pozostać, jak nigdy żadna kobieta przede mną, jeśli mi zaufasz.

– Iluzja – wyszeptał sam do siebie Hugo.

– Nie, Hugo, prawdziwa iluzja to iluzja społeczeństwa, z którego się wywodzisz! Oni są zaślepieni, uwięzieni w jarzmie coraz liczniejszych kłamstw. Ja proponuję ci po prostu oświecenie. Pozbycie się tej iluzji wolności, życia, odpowiedzialności. Oni wszyscy to kukły.

Tama runęła. Rzeka emocji, których Hugo nie potrafił już powstrzymać, wylała się, wywracając wszystko na swojej drodze. Chłopak gwałtownie odepchnął Lily i wstał, po czym błyskawicznie wyjął spod kurtki coś, co przypominało białą pałkę. Materiał wybuchowy w foliowej otoczce, który wykradł w nocy, gdy poszedł podłożyć sweter Alice. Od tamtej pory się z nim nie rozstawał. Było to jego zabezpieczenie na wypadek ataku, nigdy jednak nie przypuszczał, że będzie musiał się nim posłużyć w taki sposób. Pochyliwszy się, drugą ręką pociągnął za uchwyt szyby od kominka i otworzył.

Nikt nie zdążył zareagować.

– Nie masz detonatora – zauważył z daleka JC. – Rano zabrałem je ze skrzyni, w razie gdyby...

Hugo wpatrywał się w nich wszystkich gorączkowo, pilnując, by nikt się nie zbliżył.

– Nie potrzebuję go. Jeśli ktoś się ruszy, wrzucę to do ognia, a wtedy wszyscy popędzimy na spotkanie z waszym kochanym Lucyferem.

Domyślał się, że zanim chroniony otoczką materiał wybuchowy zareaguje na ogień, minie pięć do dziesięciu sekund, lecz był gotów do walki, by zyskać potrzebny czas. Przestał być sobą, nie potrafił jasno rozumować, zadbać o własne przetrwanie.

Na antresoli pojawiła się nowa postać. Kierowca taksówki. Sukinsyn przyczaił się tam, żeby mnie złapać, gdybym spróbował uciec!

Cała wielka rodzina w komplecie. Wszystko przewidzieli. Oprócz tego, że totalnie mu odbije.

Lily wycofywała się rakiem. Jak mogła mu to zrobić? Wierzył w każdy jej gest, każde słowo, każdą pieszczotę... Fala przyływu zabrała wszystko.

Tymczasem DePrigenta ta sytuacja najwyraźniej rozbawiła.

– Spróbuj nie mieć zbyt wielkiego żalu do Lily – powiedział. – W końcu robiła tylko to, co uznała za dobre. Dla wszystkich. Wiesz, kim jest asystent magika podczas wykonywania sztuczki? Figurantem. Figurant to ktoś, kto siedzi na sali obok ciebie, kto sprawia wrażenie równie zaskoczonego jak ty, kogo magik niby to przypadkiem wyławia z tłumu i kto musi odpowiednio zareagować, żeby sztuczka się udała. Lily była tylko figurantem przy sztuczce, którą wszyscy wykonaliśmy na twoich oczach.

Hugo wyciągnął dłoń ku bijącemu od kominka ciepłu, nie spuszczając zebranych z oczu.

– Wszyscy, cofnąć się – rozkazał.

Jednak wcale nie zbity z tropu DePrigent postąpił krok naprzód.

– Czy zdajesz sobie sprawę, w jak niewiarygodnej sztuczce magicznej właśnie wzięłeś udział?

– Cofnąć się, powiedziałem!

– Odwracasz głowę i stwierdzasz, że otaczają cię sami figuranci! Podziwiałeś najbardziej wyjątkową sztuczkę na świecie! W rzeczywistości byłeś jednym jedynym widzem na sali.

DePrigent prawie się z nim zrównał, Hugo otworzył więc dłoń i chwycił otoczkę w dwa palce.

– Zaraz ją upuszczę – ostrzegł.

DePrigent uśmiechał się szeroko.

– Myślę, że jesteś do tego zdolny. Ale nie odrobiłeś lekcji, chłopcze. Tutaj wszystko jest tylko iluzją.

Hugonowi po plecach przebiegł dreszcz. Lodowaty strach, który narastał wraz ze zwątpieniem. DePrigent machnął w stronę kominka i zapytał:

– Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego w palenisku zawsze jest ogień? Nigdy nie przyjrzałeś mu się z bliska?

Wszyscy zebrani się uśmiechnęli. Hugo czuł na dłoni nieustanne i regularne ciepło. Wtedy odwrócił głowę, pojmując. Grzejnik wypychał gorące powietrze nad drugą szybą, w której widniał łudząco realistyczny obraz płomienia. Należało się pochylić, by odkryć złudzenie optyczne. Z kolei głośniki nadawały monotonne trzeszczenie.

– To telewizja 3D, Hugo – rzekł ze śmiechem DePrigent – elementarna iluzja. Ale obawiam się, że fatalna.

Na te słowa JC natarł na chłopaka. Po czym reszta rzuciła się na niego. Bili go i dusili tak długo, aż płomienie stały się ostatnią rzeczą, jaką był w stanie widzieć.

Płomienie, które tańczyły i migotały niczym obietnica lepszego świata.



## 74.

Gardziel piekieł płonęła cudownym niebieskim płomieniem. Strzelała i rozżarzała się na przemian, a skórę Hugona pieściła fala gorąca i równocześnie nozdrza atakował siarkowy odór gazu.

Właśnie to go obudziło. Przed kotłem w podziemiach statku matki. Leżał pośrodku pentagramu. Ręce i nogi miał uwięzione w grubych skórzanych obręczach na końcach łańcuchów, które przymocowano do tkwiących w betonie haków, co znacznie ograniczało ruchy.

Pentagram dzieliła z nim jakaś przykryta prześcieradłem bryła oraz trzynaście postaci odzianych w togi, które zamykały go w okręgu.

Wszędzie po trochu paliły się świece o zapachu drewna hebanowego. Członkowie okręgu recytowali jednym głosem modlitwę: „Chwała ci, Lucyferze, niosący światło, miłujemy cię za twoją ochronę i oświecenie. Jesteśmy twymi dziećmi, antychrystami, i razem dopuszczamy się bluźnierstw, aby wyswobodzić się z ziemskich barier”.

Hugo miał świszczący oddech, bolały go żebra i gardło. Gdy spróbował się podnieść, ból się nasilił.

Obok niego pojawiła się jakaś sylwetka, by mu pomóc. Emanowała cytrynową wonią, która sprawiła, że serce mu na chwilę przyspieszyło, po czym zamarło. Lily. A może od teraz powinien ją nazywać Lilith? Kobieta, która się nie poddała. Lilith, córka Szatana.

W tym momencie wszystko stało się takie oczywiste. Mógłby to zrozumieć, gdyby tylko bardziej uważał. Ale było już za późno...

Lily pomogła mu usiąść, a potem uklęknąć.

– Jeszcze możesz przejść próbę – szepnęła mu na ucho.

JC szarpnął prześcieradło i odsłonił ciało Jiny, nagie, zwinięte u stóp Hugona. Gdy chłopak ujrzał, jak jej pierś się unosi, i pojął, że dziewczyna żyje, poczuł iskierkę nadziei. Nie był już sam. Spodziewał się dla niej najgorszego. Po czym dostrzegł ślady na jej ramionach, udach. Piersiach. Czerwone, głębokie rany.

Jakim ohydny męczarniom ją poddali?

Zanim Hugo zdążył się zorientować, co się dzieje, Lily wsunęła mu w dłoń długi nóż i cofnęła się, żeby się znaleźć poza jego zasięgiem. Blask świec bijący od posadzki dodatkowo podkreślał chudość Dewittera i jego twarz szkieletu. Mężczyzna wpatrywał się w Hugona rozgorączkowanym wzrokiem.

– Zanurz się w swoich namiętnościach, najbardziej szalonych popędach – rozkazał – objaw się samemu sobie i przez tę ofiarę wstąp do naszego kręgu.

Jina, również spętana, powoli odzyskiwała przytomność. Na ich widok wrzasnęła przerażona i targnęła za łańcuchy, aż z nadgarstków pociekła jej krew.

– Weź ją, Hugonie! – wykrzyknął Dewitter. – Wypij jej krew, zjedz jej duszę, a wtedy będzie do ciebie należeć na zawsze, będzie w tobie, a ty staniesz się jednym z nas!

Oślupiały chłopak wpatrywał się w ostrze, które trzymał przed sobą. Jina zaklinała go, by darował jej życie.

– Hugo! Nie! Błagam cię! O mój Boże... Nie!

Z jej gardła wydobywał się obłąkańczy, rozpaczliwy krzyk. Hugo wątpił, by pewnego dnia dziewczyna zdołała się z tego otrząsnąć, o ile w ogóle wyjdzie z tej piwnicy żywa. Miał również wątpliwości co do swojego ocalenia. Poza tym, że był okaleczony i zamroczony, czuł się w dziwny sposób oderwany od części własnego ja. Jakby... szybował.

Pośród litanii wyróżniał się głos Lily:

– Popelnij ten grzech, Hugonie, i poprzez niego przyłącz się do nas. Większość z nas nie jest zabójcami. Nie będziesz musiał zrobić tego ponownie, jeżeli nie zechcesz. Musisz jednak udowodnić swoją przynależność, musisz zerwać zasłonę moralności. Ta krew, która pozostaje na twojej łasce, to więź łącząca cię z tamtym światem. Musisz zerwać tę więź, musisz przelać tę krew.

Hugonowi niewiele brakowało, by stracił przytomność albo postradał zmysły, sam już nie wiedział. W głębi pomieszczenia przemknął jakiś masywny cień. Tylko on go dostrzegł. Cień o ogromnych łapach. On ich pożre. Wszystkich po kolei, żeby zaspokoić monstrualny głód...

– Hugonie, popelnij ostateczny grzech – ponaglił Dewitter – wznies się ponad stan urobionego człowieka, zaznaj tej krańcowej wolności!

Jina darła się wniebogłosy, podkuliwszy nogi i oplótłszy je ramionami tak mocno, jak pozwalały na to łańcuchy, twarz pokrywała jej skorupa zaschniętych łez i smarków.

– Pomóżcie mi! – wołała. – Zaklinam was! Pomóżcie mi!

– Hugonie! Zerwij moralne kajdany, a zerwiesz też te!

Okrag recytował swoją pieśń: „Chwała tobie, Lucyferze, niosący światło...” Jina potrząsała głową jak szalona. Płomienie w palniku kotła trysnęły z pomrukiem, aż na ostrzu przed Hugonem malowały się hipnotyzujące refleksy. W metalu chłopak znów ujrzał odbicie potężnego chitynowego kształtu, który przemykał na swych ośmiu łapach niezauważony przez wyznawców.

„Chwała ci, Lucyferze, niosący światło...”

– Błagam cię, Hugo.

Z ust Jiny ciekły strużki śliny.

– Zrób to! – zagrział aż nazbyt znajomy głos.

Znalazł się tu za sprawą Lily. Otwierając przed nim ciało i serce, wzbudziła w nim czujność, nakłoniła go do działania dla ich bezpieczeństwa, ponieważ mu na niej zależało. Nie, to moja wina. Tylko i wyłącznie moja. Przyjechałem do Val Quarios z własnej woli i zawsze pozostałem wierny sobie, aby się odnaleźć. I właśnie to go tu zwabiło, skazało na morderstwo, na życie fanatyka, jeśli chciał je w ogóle zachować. Wiedział, jaka jest stawka, nie był naiwny.

Po raz pierwszy się zagubił i trzeba było aż brutalnego zerwania, by to do niego dotarło, by dostał drugą szansę. W ciągu kilku tygodni spędzonych tutaj, sam na sam ze swoim prawdziwym ja, odnalazł się. Odzyskał ufność i radość.

„Chwała ci, Lucyferze, niosący światło...”

Jina runęła przed nim na kolana przy akompaniamencie szczęku łańcuchów, błagała go, zalewając się łzami. Hugo był dumny z tego, kim jest. A bycie właśnie takim człowiekiem nie pozwalało mu dokonać tego, czego od niego żądali.

Odnalazł własną duszę. Oni już nie mieli dusz. Wyrzekli się ich. Podobnie jak wszystkiego, co czyniło z nich istoty ludzkie pośród innych istot. Społeczeństwo.

Pająk odszedł. Nie było w nim bestii albo już zniknęła.

Hugo upuścił więc nóż, który zadzwonił o posadzkę z taką siłą, jakby właśnie ogłoszono wyrok śmierci.

Paulo pochwycił nóż i oddał go Lily, a ona pokręciła głową. Wyraz jej twarzy się zmienił, nie malowały się już na niej zachęta, nadzieja, tylko zimna nieuchronność. Gorzkie rozczarowanie.

Jina łkała zrezygnowana, drapiąc beton paznokciami. Zrozumiała.

Pierwszy rzucił się na nią Exhell i dźgnął ją czymś w łopatkę, potem w ramię, ze zwierzęcą zaciekłością, z której przebijały frustracja i dawna nienawiść. Dołączyli do niego Ludovic i Merlin, którzy obkoczyli swą zdobycz z demonicznym grymasem.

Następnie Hugo poczuł, że szarpia go na wszystkie strony, zadają ciosy, rozorują pazurami skórę, zamieniając stopniowo w fontannę ciepłej krwi, w której kąpia się z lubością.

Wtem wyrosła nad nim Lily. Spoglądała na niego z nożem w dłoni. Gdy wbiła mu broń w brzuch, Hugona przeniknął rozdzierający ból. Doznał olśnienia. Ujrzał wszystkich tych wrzeszczących ludzi, na zawsze wyciętych w pniach drzew pod zameczkiem człowieka, który nigdy nie istniał. Co było częścią koszmaru? A co rzeczywistości? Lily zanurzyła w nim twarz, a wtedy z gardła Hugona wydobył się ryk. Gdy się wyprostowała, była cała we krwi, odsłaniając swe prawdziwe oblicze. Lilith, księżnej piekiel.

– Będiesz ze mną – powiedziała.

Hugonowi wydało się, że zamiast Lily pokazała się większa, czarna i potworna głowa, lecz zanim zdążył rozróżnić jej kształty, już zniknęła. Lily zaś mówiła dalej:

– Będiesz ze mną, dopóki będę żyła.

Krew Hugona spływała jej po brodzie. Oczy jej płonęły obłąkańczo, rozświetlone prymitywną ekstazą. Jej rysy ponownie na chwilę się zamazały.

– Twoje serce i dusza – dodała Lily.

Pochyliła się i musnęła wargami wargi Hugona. Własna krew skapnęła mu do ust.

– Zaraz...

Zamiast Lily Hugo ujrzał ohydny pysk gigantycznego pająka, który prześladował go przez cały ten czas. Potwór przemówił łagodnym głosem, głosem, który pokochał:

– ...cię zjem.

A wtedy pochłonęła go ciemność.

## 75.

Gałęzie jodeł i modrzewi unosiły się w rytmie oddychającego organizmu. Słabego tętna.

Łąki wokół ośrodka kołysały się leniwie na wietrze. Cała przyroda milczała, nasłuchując. Śpiewu talizmanów na wysokościach, biegnącego po płaskowzgórzu. Szeptu kości.

Ludovic właśnie zawiesił nową girlandę, ozdobioną na środku piękną czaszką kawki. Z trudem dał radę ją upolować, czekał na nią, zasłużył, pomyślał. Trochę jak z Alice. Z tą suką, na którą się zasadził w przeddzień jej wyjazdu. Lily miała o to do niego pretensje. Lubiła tę całą Alice. Poza tym Lily nie znosiła nie wiedzieć, być pominięta, a żądza Ludovica ją ziryutowała. Na szczęście inni stanęli w jego obronie, aż w końcu pogodziła się z tym. Najważniejsze było, żeby Hugo wszystkiego nie odkrył. Ten wścibski natręt. Ludovic nie zrezygnowałby z Alice za nic w świecie. Nawet jeśli jej zniknięcie wywołało zgrzyty i naprowadziło Hugona na drogę do prawdy, Ludovic miał to w nosie. Przez siedem miesięcy opierał się potrzebie, by ją osiąść. Zniszczyć. Siedem długich miesięcy frustracji.

Zawsze fascynował go zapach lasu, w którym przychodził się zatracić od najmłodszych lat. Woń igieł, mchu, ziemi. Matka nauczyła go robić talizmany. To był jej pomysł. Żeby chronić się przed wzrokiem aniołów, „tych zdrajców”, jak mawiała. Anioły były niczym wszyscy ludzie z zewnątrz, potulne pionki i kapusie. Na usługach opresyjnego systemu albo Boga, jeden pies. Ludovic stworzył swój pierwszy warkocz pogrzebowy już w wieku sześciu lat. To było, zanim zobaczył, jak ojciec zatłukł matkę łomem. Zanim zaczęła podważać ich obecność tutaj, we wspólnocie, i grozić, że opuści Merlina. Ludovic uznał, że na to zasłużyła, chociaż obraz ten nadal go prześladował. Przedtem byli szczęśliwi. Matka wszystko schrzaniła swoimi wątpliwościami. Nie cierpiał jej za to. Od tamtej pory nie cierpiał też wszystkich kobiet. Czyż ludzkość nie została wygnana z rajy właśnie przez kobietę?

Odtąd puszcza jodłowa już nie pachniała tak samo. Jej ziemia nasiąkała zepsutymi fluidami. Przez matkę on również utracił swój raj. Został zmuszony go zbrukać. Ludovic otarł łzę z kącika oka – nie wiedział, skąd się tam wzięła. Nie powinien dłużej zwlekać, musi wpaść po narzędzia do rzeźbienia i dołączyć do ojca, żeby mu pomóc. Czekają ich sporo pracy.

Armand krzątał się po dawnym pokoju Hugona. Demontował płytę podwieszanego sufitu, aby wydobyć kolumnę głośnikową, którą ukrył w wylocie szybu wentylacyjnego. Była połączona z systemem, który mógł nadawać pliki audio na odległość. To Dewitter wpadł na ten pomysł. Puszczenia wiadomości podczas snu, aby wpływać na Hugona, wywoływać koszmary, kiedy chcieli go zmęczyć, wyczerpać psychicznie, żeby mieć nad nim silniejszą władzę. Był to test inspirowany metodami hipnozy – wprawdzie nie okazał się przekonujący, zasługiwał jednak na kolejne doświadczenia, później. Doskonalenie techniki. W efekcie sami dobrze nie wiedzieli, jaki rzeczywisty wpływ miało to na paryżanina. Armand zastanawiał się wręcz, czy to nie z powodu tego ustrojstwa Hugo był aż tak upierdliwy. Prawie dwa miesiące wszędzie węszył, wypytywał, szpiegował... Na szczęście tacy upierdliwcy rzadko się zdarzają. Co do niego ich wybór nie okazał się trafny. Hugo nie był dostatecznie potulny. Skądinąd gdyby do nich przystał, akurat to mogłoby stanowić zaletę.

Niedaleko, na dnie szybu windy w budynku C, Paulo uprzątał kolumny i odtwarzacz MP3, które posłużyły do efektów dźwiękowych. Nagrane kobiece szepty lub jęki. Kolejny koncept Dewittera, aby zrobić wyłom w twardym umyśle Hugona. Wmówić mu, że słyszy głosy. Zniszczyć go. Wstrząsnąć nim. Aż w jego psychice powstanie wyrwa. Przesuwać granicę kompletnego rozpadu, wywołać pierwsze objawy obłądzenia, zmiękczyć go, sprawić, by skwapliwiej wykonywał rozkazy, zdławić opór, by skuteczniej go kontrolować. Hugo był inny. Z rodzaju tych, co to podnoszą głowy z wrogością. Odślaniają prawdziwe oblicze. Do tego stopnia, że przechodzą od kategorii potencjalnej ofiary do prawdopodobnego kandydata. Przed upływem roku, jeszcze następnego lata, wszystko znów wróci na swoje miejsce, na wszelki wypadek, na razie jednak przezorniej nie zostawiać tego typu sprzętu. W każdej chwili mogli wpaść żandarmi i zainteresować się zaginięciami. Nie byłby to ani pierwszy, ani ostatni raz, ale okolica słynęła z tego, że przyciąga ludzi słabych, jak pewne klify w Normandii wabią kandydatów na samobójców. Później Paulo zawoła Armanda, aby zdemontował dodaną przez siebie skrzynkę sterowniczą, która umożliwiała

automatyczną awarię windy, jeśli ktoś do niej wsiądzie, co Hugo właśnie zrobił, kiedy miał dzień na leniuchowanie. Każdy sposób był dobry, żeby pokonać opornych, tak ich urobić, aby chodzili na pasku. Nie było to porażająco skuteczne, ale wystarczyło, żeby go nadłamać. Bardziej praktyczne, by zgłębić jego charakter. Zanalizować go. Określić, co z nim zrobić.

We wspólnej kuchni JC odkażał chlorem szafkę, w której Hugo trzymał jedzenie. Lepiej, żeby nikt nie znalazł tam mikroskopijnych drobinek LSD, silnego halucynogenu, który członkowie załogi na zmianę wstrzykiwali mu do żywności. Hugo nie wykazał się przezornością, pozostawiając dużą część zapasów tutaj, przy tak łatwym dostępie. Tylko czy mógłby się czegośkolwiek domyślać? LSD podawano mu stopniowo i okresami, dokładnie tyle, ile trzeba, żeby go lepiej nastroić, żeby trochę go oderwać od emocji, jeśli to im pasowało, nawet jeżeli narkotyk mógł wywołać pewne bardziej niż niepokojące „wizje”. „Odpąły”, mówił sobie zapewne. Halucynacje tak realistyczne, jakby były prawdziwe, kiedy zastosowali zbyt silną dawkę.

To DePrigent był zwolennikiem narkotyków, doskonale się na nich znał, ponieważ w młodości często je zażywał, zanim ocalił go de Treille i otworzył przed nim drogę do sprytniejszego ich wykorzystania. DePrigent był przekonany, że LSD łagodzi charakter, osłabia czujność. Hugo wykazał się piekielną tolerancją na to świństwo, ocenił JC, dlatego czasami trzeba było zwiększać dawki, żeby się uspokoił. Co za syf...

Wyciągnięty na kanapie w kantine Exhell właśnie kończył sprawdzać jego historię wyszukiwania. Wszystko dokładnie wyczyścił. Ani jednego „odcisku palca”, jak mawiał z rozbawieniem. Również nic na forum, na którym poznali się z Hugonem, kiedy to chłopak zwierzał mu się ze swojego doła, a Exhell w końcu podsunął mu ich ogłoszenie. Nic na temat wszystkich licznych poszukiwań, których dokonał w necie na temat Hugona, aby sprawdzić, jakiego typu jest człowiekiem. Samotnym gościem, bez prawdziwych przyjaciół, bez bliskiej rodziny, trajkoczącym w wirtualu o swojej rozpacz, tak jakby to mogło go wzmocnić. Idealnym kandydatem dla nich albo też idealną ofiarą, to zależy.

Co do Jiny, sprawa została załatwiona. Pokój jej duszy... i jej pieprzonemu ciału, którego z taką lubością pragnął. Dla porównania, gdy ją posiadał, doznał zawodu. Często tak bywa. Najsilniejsza rozkosz, ocenił Exhell, to ta, o której snuje się fantazje, a nie ta, którą się konkretyzuje.

Właśnie dlatego bardziej szczęśliwy bywał w internecie, tam, gdzie wszystko jest wyłącznie fantazją i mrzonką.

Stary Max znajdował się w podziemiach statku matki. Właśnie oglądał z bliska świeżą warstwę cementu w kotłowni. Życzył powodzenia ewentualnym gliniarzom, choćby nie wiadomo jak zdolnym i cwany, którzy w ogóle pomyślą, żeby tu zajrzeć, jeśli mają nadzieję na znalezienie najdrobniejszego śladu krwi. Ponieważ teraz wszystko zalał świeży beton. Nie do wykrycia.

Jedyny pentagram, na jaki mogli jeszcze natrafić, to był ten obejmujący ośrodek, ale by go dostrzec, musieliby wzbić się wysoko, a kto dzisiaj to potrafi? W czasach, gdy ludzie częściej gapią się na swoje buty, w telewizor albo telefon...

Siedząc przy biurku, Adele przerzucała dziecięce rysunki, które skosiła tego lata. W sumie dość mało. Za mało. Od którego zacznie? Prawdopodobnie od tego bardzo naiwnego, podpisanego przez małą Rose. Przedstawiał trzymających się za ręce rodziców, z małą dziewczynką pośrodku. Zbyt dużo uśmiechów. Na początek Adele użyje wahadełka, aby otoczyć energię zgromadzoną w pociągnięciach kredką. Jeżeli wahadełko wykaże jej dość, wtedy któregoś wieczoru, przy świecy, Adele przystąpi do swojego rytuału. Do pradawnego ćwiczenia, o którym przeczytała w starej książce de Treille'a, a które podobno pozwala spijać energię dziecka. Żeby się wzmocnić. Przez dziesiątki lat Adele utwierdziła się w przekonaniu, że to działa, że jej cera, forma i bystrość umysłu właśnie stąd się biorą. Karmiła się witalnymi przypływami dzieciaków poprzez ich rysunki, które służyły jako nośniki pomiędzy nimi a nią. Niewinne i wielkoduszne dzieci, tworząc swoje dzieła, dawały z siebie wszystko. Odciskały własne piętno, które Adele skwapliwie wysysała aż do ostatniej kropli... Co się potem działo z młodymi rysownikami? Adele nie miała pojęcia i nie dbała o to. Przypuszczała, że to nie pozostaje tak zupełnie bez konsekwencji, że dzieciaki dorastają później z pustką. W końcu nic nie powstaje i tak naprawdę nie zostaje wyeliminowane ze świata, czyż nie? Wszystko podlega recyklingowi. Skoro wchłonie jakąś ich część, choćby i odległą, z pewnością brak ten spowoduje u nich zachwianie równowagi. Czy pograży je w depresji? Czy uczyni z nich przyszłych samobójców? W gruncie rzeczy co ją to mogło obchodzić? Adele było to potrzebne. Dlaczego więc miałyby się tego pozbawiać? Każdy ma własne problemy. Trzeba było nie stawać po złej stronie. Tutaj jest ziemia oświeconych.



Tych, którzy wiedzą. Którzy mogą. Którzy biorą. Którzy powstają. Poklepała z dumą stosik kartek. Bez wątpienia nie była to jakaś ogromna ilość, ale wystarczająco dużo, żeby przetrzymać całe lato.

W pokoju obok DePrigent gawędził z Dewitterem. Przygotowywali ciąg dalszy. Kolejną zimę. Jeszcze ponad trzy miesiące, zanim wylądują tu nowe twarze. Cierpliwości. W tym roku letni rekruci nie zagrzali miejsca. Szkoda. Tak to bywa. Mimo wszystko dobrze ich wykorzystali. De Treille byłby z nich dumny.

Pójdą złożyć mu hołd wieczorem, natrą szczątki maścią, żeby zachować powłokę w dobrym stanie. Przez pamięć na jego nauki. Na drzwi, które otworzył w ich umysłach. Kajdany, które zerwał.

Ludzie na zewnątrz są głupi, powiedziała sobie Adele. Wyćwiczeni przez kłamstwo. Gdyby wiedzieli, jakie szczęście daje czerpanie z życia pełnymi garściami, zaspokajanie wszystkich potrzeb!

Eole de Treille przyniósł światło.

Lux ferre. Lucyfer.

„Chwała ci, Lucyferze, niosący światło...”

Wreszcie powrócił na ziemię. Pokazał drogę.

DePrigent i Dewitter śmieją się z dowcipu, którego Adele nie dosłyszała. Jesteśmy tacy szczęśliwi, pomyślała.

W Val Quarios jest tylko jedna osoba, która naprawdę płacze.

Ma na imię Lily. Jej prawdziwe imię brzmi Lilith. Zdejmuje lateksowe rękawiczki, w których pisała na klawiaturze Hugona. Aby zmyślić jego dziennik. Skoro sam marzył o rozpoczęciu pisania nowej książki, ona uczyniła powieść z jego życia. W dodatku nie zostawiwszy śladów, co, jeśli się dobrze zastanowić, zakrawa na ironię.

Lektura fałszywych wynurzeń Hugona odsłania wyraźnie jego kruchą psychikę. Nie czuł się dobrze, przyjechawszy tutaj, nie umiał dojść do siebie po zerwaniu. Izolacja w górach tylko pogorszyła jego stan. A potem powoli przerodziło się to w obsesję. Na punkcie innej kobiety, która przypominała mu byłą. Jiny. Mogły o tym świadczyć setki zrobionych ukradkiem zdjęć, które Exhell przeniósł z własnego laptopa na komputer Hugona. Chorą obsesję. Z dziennika przeziara namacalny rozkład, postępujący z każdym dniem, składnia staje się coraz gorsza, chłopak przyznaje się, że już nie sypia. Dziennik kończy się na potrzebie „naprawienia” tego, co nie gra. Zabierze Jinę na długi spacer, wysoko w góry, znajdzie urwisko nad lasem, żeby „naprawić to, co już nie gra”.

Jina wcieli się w jego byłą. We wszystkie kobiety. A on w śmierć. Zadba, żeby zrobić to w odległym zakątku, aby nigdy ich nie odnaleziono. Jeżeli gliny zechcą zajrzeć do jego komputera, właśnie to przeczytają. To będzie wiarygodne. Szczególnie, gdy nieliczne osoby, które znały Hugona przed jego wyjazdem do Val Quarios, począwszy od wzmiankowanej słynnej byłej, potwierdzą, że kiepsko się czuł. Że miał „drobną” depresję.

Lily cofa się na krzesło. Nie zawsze go okłamywała. Wolałaby. Nie da się jednak bezustannie kontrolować własnych uczuć, prawda? Wobec tego płacze.

Korytarze ośrodka są pogrążone w ciszy. Absolutnej ciszy, która zaniepokoiła Hugona zaraz po przyjeździe. Jako że budynek skierowany jest prosto na północ, wpadają na nie ukosem promienie słońca. Aż do jesieni w Val Quarios będzie panował spokój. W tym roku poradzą sobie bez dodatkowych posiłków z zewnątrz. Trudno, nie można tak prędko zastąpić Hugona ani Jiny, to by było nieostrożne. Tym razem wszystko potoczyło się zbyt szybko z winy paryżanina. W październiku napłyną pracownicy sezonowi, a po nich turyści.

Mały rodzinny ośrodek, który nie chce się powiększyć. Co to to nie. Nie przyciągać zbyt wiele uwagi. W ten sposób sam zaspokajają własne potrzeby, ponadto jest dostatecznie tłoczno, żeby można sobie było pozwolić na zgubienie od czasu do czasu jednej czy dwóch osób. To w zupełności wystarczy. Jedna czy dwie osoby, aby się przyczynić do rozkwitu wspólnoty. Do jej rytuałów, które umacniają więzy.

Przyszłej wiosny trzeba będzie wskrzesić legendę Strafy na wypadek, gdyby nowi pracownicy okazali się nadmiernie ciekawscy. Zwrócić ich uwagę na prawą dłoń. Żeby nie patrzyli, co w tym czasie robi lewa. Lewa dłoń, która obserwuje. Która wykorzystuje niezbędną siłę roboczą. Która analizuje. Dopóki się nie dowie, kogo zwerbujecie i kogo poświęci. I rzecz jasna ogromna większość nie zalicza się do pierwszej kategorii. Niestety. Ponieważ odrobina świeżej krwi zawsze ma zbawienny wpływ. Wspólnota jest w stanie przetrwać tylko wtedy, gdy zapewni sobie przyszłość, rozród. W naszych czasach jednak bardzo rzadko można spotkać postępowy i otwarty umysł. Świat mentalnie kostnieje, kuli się w sobie, zamyka w starych przekonaniach moralnych, we własnym nacjonalizmie, fundamentalizmie duchowym, indywidualizmie... Ale w Val Quarios mają to w nosie. Dzięki temu będzie więcej motłochu na zaspokojenie ich

potrzeb. Motłoch zapewnia witalność. Nawet dzieci to wiedzą: trzeba porządnie jeść, żeby być silnym. Inteligentnym. Lepszym.

Chwilowo gałęzie jodeł i modrzewi unoszą się w rytmie oddychającego organizmu. Słabego tętna. Chyba że to są westchnienia wstydu. Albowiem tuż pod spodem tkwią wszystkie te beznamiętne twarze, zastygłe w pniach.

Niedaleko oblicza Alice ukazało się to należące do Jiny. Wyżej zaś twarz Hugona. Jego spojrzenie jest niemal prawdziwe. Spod rąbka drewnianej powieki kapie trochę żywicy, niczym łza. Stojący z tyłu Merlin jeszcze nie skończył.

Wkrótce Hugo będzie krzyczał przez wieczność.

## Epilog

Nie każdy ma szansę zacząć od zera. Właśnie to powtarza sobie Marie, odkładając na składany stolik powieść, której nie jest w stanie czytać.

Większość ludzi jest nieszczęśliwa, a przynajmniej nie w pełni rozkwita w życiu. Ich małżeństwa są nijakie, „z rozsądku”. Albo wykańcza ich praca, wysysając stopniowo energię, podobnie jak młodzieńcze marzenia. Jak wiele jednak potrafią zaryzykować albo jak mocno chcą wszystko rzucić i spróbować zacząć od nowa? Po trzydziestce każdy wybór staje się albo kolejnym gwoździem do trumny, albo kolejnym szczeblem, by się wspiąć. Sęk w tym, że potrzeba odwagi, aby sobie uświadomić, że dokonuje się złych wyborów. A jeszcze więcej, by zrezygnować z tego, co już się zbudowało.

Marie nie zboczyła zbyt daleko z autostrady dla rutyny, tej, która sprawia, że nie zdajemy sobie nawet sprawy z natury każdego z naszych wyborów. A potem na szczęście pewnego pięknego poranka jej firma splajtowała. Ponieważ również na szczęście nie miała faceta – albo laski, nigdy na dobre nie porzuciła tej orientacji – autostrada prędko zamieniła się w małą, poznaną dziurami drogę lokalną. Ku swemu przerażeniu Marie stwierdziła, że jest najeżona gwoździami. Grubymi i długimi. Które w każdej chwili mogą człowieka załatwić.

Zadziałała magia sieci społecznościowych, spotkań, do jakich w nich dochodzi, toteż Marie zrezygnowała z wynajętego umeblowanego mieszkania i wsiadła do tego pociągu jadącego donikąd. Mając w perspektywie całe lato pełne możliwości. Nadziei.

Kiedy pociąg stanął na stacji Montdauphin-Guillette przy akompaniamencie niekończącego się zgrzytu hamulców – można by to uznać za ostrzeżenie, zażartowała – pierwszym, co zobaczyła na tle oszalałych gór, był mały budynek dworca z bladezielonymi okiennicami.

Potem spostrzegła mężczyznę, który czekał na nią na peronie. Jest czarujący, powiedziała sobie. Ma pewny uśmiech. Przenikliwe spojrzenie. Wyciągnął do niej dłoń.

– Witaj w Val Quarios. Mam na imię JC.

Lato pełne nadziei, powtórzyła w duchu Marie. Nadziei...

## Podziękowania

Dla mojej rodziny, szczególnie dla żony, pierwszej czytelniczki, która robi tak trafne uwagi. Przyjaciele czytelnicy/przyjaciółki czytelniczki, jeśli ta książka jest odrobinę lepsza, to właśnie jej to zawdzięczacie. Mojej żonie, której dziękuję z całego serca i całej duszy (w tej powieści to nie bez znaczenia!), która sprawia również, że podczas gdy ja zaszywam się na górze, świat nadal się kręci. Także za to ją Kocham. Ale nie tylko. Ona czyni mnie lepszym.

Dla moich dzieci, które gdy podrosną, przypomną sobie, że tata przez całe ich dzieciństwo zawsze siedział w domu, chociaż jego głowa znajdowała się niekiedy na innej planecie, zwłaszcza gdy przebywał tak długo zamknięty w swoim pokoju. Mam nadzieję, że ta książka napełni was dumą i pomoże zrozumieć, dlaczego myślami byłem gdzie indziej. Musiałem ją z siebie wydobyć. Dziękuję, że mi towarzyszyliście i ułatwialiście zadanie.

Dziękuję całemu zespołowi wydawnictwa Albin Michel. W takiej podróży jak ta błędy mogą się mnożyć „z prędkością walących się na łeb kłopotów” i to właśnie oni pomagają mi je wyłapać, poprawiać, w pierwszym rzędzie Caroline, której jestem wdzięczny za nieustającą życzliwość – nawet wtedy, kiedy podczas jakiegoś wrześniowego obiadu opowiadam jej o nowej książce, do jakiej się zabieram, a ta, którą oddaję jej w czerwcu, nie ma z nią nic wspólnego! Dziękuję, że mnie wspierasz przy tworzeniu, w moich autorskich potrzebach.

Dziękuję Richardowi, mojemu przewodnikowi, jakże uważnemu i zawsze służącemu dobrą radą.

I wreszcie dziękuję zespołom, które robią moje powieści, które nadają im kształt i dzięki którym powstaje więź między wami, czytelnikami, a mną. Gdyby nie oni, byłyby jedynie słowa blakające się po moim biurku.

Aha, ostatnia rzecz, pewnie już wiecie, że jeśli pewnego dnia wpadnie wam w ręce porzucony albo zapomniany dziecięcy rysunek, nie

zostawiajcie go, nigdy nie wiadomo, do kogo mógłby trafić...

To nie ma nic wspólnego z tą historią, chociaż... To ważne: być może znajdziecie trochę czasu, aby sprawdzić, co UNICEF robi dla dzieci na świecie – one są naszą esencją: [www.unicef.fr](http://www.unicef.fr).

Wspieram tę organizację.

Zajrzyjcie na Twittera i opowiedzcie mi, co myślicie o tej lekturze: @ChattamMaxime, albo na moje konto na Facebooku: Maxime Chattam Officiel.

Do zobaczenia wkrótce.

Maxime Chattam

Edgecombe, lato 2020 roku

1 Tłumaczyli Jarosław Dudek i Edyta Kiresztura-Wojciechowska.  
(Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2 Pierwszy list św. Jana Apostoła, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Warszawa–Poznań, Przegląd Reader's Digest, Pallottinum 2000.



# Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49  
Rozdział 50  
Rozdział 51  
Rozdział 52  
Rozdział 53  
Rozdział 54

Rozdział 55  
Rozdział 56  
Rozdział 57  
Rozdział 58  
Rozdział 59  
Rozdział 60  
Rozdział 61  
Rozdział 62  
Rozdział 63  
Rozdział 64  
Rozdział 65  
Rozdział 66  
Rozdział 67  
Rozdział 68  
Rozdział 69  
Rozdział 70  
Rozdział 71  
Rozdział 72  
Rozdział 73  
Rozdział 74  
Rozdział 75  
Epilog  
Podziękowania  
Przypisy